

John Crowley

MIŁOŚĆ I SEN

Love & Sleep

Ægipt

KSIĘGA DRUGA

Przełożyli

Joanna Bogunia i Dawid Juraszek

SOLARIS

Stawiguda 2009



Spis treści

Spis treści	2
DO CZYTELNIKA	4
PROLOG DO KWADRANTU LETNIEGO.....	6
I GENITOR.....	11
JEDEN	12
DWA	19
TRZY	27
CZTERY	38
PIĘĆ.....	50
SZEŚĆ.....	57
SIEDEM.....	66
OSIEM	76
DZIEWIĘĆ	86
DZIESIĘĆ.....	93
JEDENAŚCIE.....	103
DWANAŚCIE.....	113
TRZYNAŚCIE.....	122
CZTERNAŚCIE	131
PIĘTNAŚCIE.....	145
II NATI	155
JEDEN	156
DWA	166
TRZY	175
CZTERY	195
PIĘĆ.....	202
SZEŚĆ.....	208

SIEDEM.....	218
OSIEM	232
DZIEWIĘĆ	243
DZIESIĘĆ	252
JEDENAŚCIE.....	262
DWANAŚCIE.....	274
TRZYNAŚCIE.....	285
CZTERNAŚCIE	293
PIĘTNAŚCIE.....	302
III VALETUDO	319
JEDEN	320
DWA	338
TRZY	351
CZTERY	359
PIĘĆ.....	374
SZEŚĆ.....	388
SIEDEM.....	397
OSIEM	410
DZIEWIĘĆ	419

DO CZYTELNIKA

W poprzednim tomie cyklu wyrażam wdzięczność dla licznych pisarzy, myślicieli i historyków, od których wiele się dowiedziałem, a zwłaszcza nieżyjącej już Dame Frances Yates.

W niniejszym tomie listę tę chciałbym poszerzyć o następujące osoby: Harry'ego Caudilla (*Night Comes to the Cumberlands*) za przypomnienie mi, o czym zapomniałem, i wyjaśnienie, czego nie rozumiałem; Johna Bossy'ego (*Giordano Bruno and the Embassy Affair*); Geralda Mattingly'ego (*The Armada*); Carlo Ginzburga (*The Night Battles*); R.J.W. Evansa (*Rudolf II and his World*). Korzystałem z badań Piero Camporesiego, Caroline Walker Bynum, Caroline Oates i Emany McMullena. Dziękuję także L.S.B., Jennifer Stevenson, Thomasowi M. Dischowi, Johnowi Hollanderowi i Haroldowi Bloomowi. Za poprawki do pierwszego wydania dziękuję Ronowi Drummondowi, a także Rodgerowi Cunninghamowi i Jerry'emu Cullumowi.

Szczególne podziękowania składam nieżyjącemu Ioanowi Culianu za *Eros and Magic in the Renaissance*, z której to książki wiele zaczerpnąłem, zaś za wszystko inne pragnę wyrazić wdzięczność i żal. *Quæ nunc abibis in loca; nec ut soles dabis iocos.*

Ale nie zgadłbyś nawet, jak mi ciężko na sercu.

Hamlet, tłum. Stanisław Barańczak

PROLOG DO
KWADRANTU
LETNIEGO

Kiedyś świat był inny.

Kiedyś świat działał inaczej, niż działa teraz. Sama jego tkanka - prawa fizyki - różniła się od tej, którą znamy. Historia też różniła się od tej, którą znamy, i wywiodła z siebie przyszłość inną niż ta, która stała się naszą teraźniejszością.

W epoce owej (nie tak bardzo odległej w czasie, lecz odległej pod względem pokonanych mostów, którymi już nie zawrócimy) istniały możliwości, których dziś nie ma. I vice versa - to, co u nas się nie zdarzyło, nastąpiło tam. Były też inne różnice, małe i duże, lecz żadnej zbadać się już nie da, bo teraźniejszość jest teraz, a przeszłość przeszła.

Tak naprawdę świat („świat”: to wszystko, czasoprzestrzeń, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, pamięć, gwiazdy, związki, fizyka, możliwości i niemożliwości) przechodził przez ten bolesny stan więcej niż raz, być może wiele razy w ciągu ludzkiego życia na ziemi, jak je dziś, w naszej epoce, mierzymy. I zawsze, kiedy ów stan następuje, przychodzi krótka chwila - kiedy świat odwraca się od tego, czym zawsze był, ku temu, czym od teraz będzie - moment, kiedy każde możliwe uniwersum, wszelkie możliwe drogi rozwoju Istnienia w przestrzeni i czasie stają się wyczuwalnie gotowe do urzeczywistnienia; a potem wybór pada na jeden zakręt, jedną drogę, i wszystkie inne możliwości wracają do stanu niebytu, poza jedną - tą. Świat jest taki, jakim go dziś znamy, od zawsze: wszyscy zapominają, że mógł być, a nawet był, inny niż teraz.

Gdyby tak było, gdyby naprawdę tak było, zorientowałbyś się?

Gdybyś nawet w jakiś sposób wyobraził sobie, że tak jest, gdybyś - w przypiływie krótkotrwałej ekstazy w słonecznym ogrodzie, albo zimą na górskiej drodze - poczuł pewność, że tak było, jaki dowód mógłbyś przedstawić?

A gdyby jakiś człowiek przekroczył granicę między jedną taką epoką a drugą (przejście nie trwałoby bowiem długo, krócej niż stulecia, życie rozpoczęte w ubiegłej epoce może zakończyć się w następnej, i ktoś, kto urodzi się w jednych warunkach, dorośnie i umrze w innych)? Gdyby stojąc na odległym brzegu ktoś taki odwrócił się strapiiony i zamyślony ku miejscu, gdzie stał kiedyś? Czy nie zdołałby dostrzec - we wspomnieniach

własnego życia, w swej własnej istocie - tej ukrytej historii?

Chyba nie, bowiem nowy świat miałby w sobie wszystko to, co ów człowiek pamiętałby z dawnego świata - wszystkich ludzi i wszystkie miejsca, miasta i miasteczka, drogi, psy, gwiazdy, kamienie i róże te same lub takie same, a także tę samą historię, z podróżami, wynalazkami i imperiami, którą znałby lub mógłby poznać.

Jak lustro pośród niepogody, tak i pamięć podczas przejścia zamgliliby się, zamazując świat, by po przejściu burzy ukazywać wszystko takie samo, lecz nie to samo.

Byłyby rzecz jasna drobne różnice, zapewne nie większe niż drobne zmiany - zagadkowe dane geograficzne, zmyślone książki, nazwy nieistniejących produktów - wprowadzane przez autora, by odróżnić świat powieści od świata codzienności znanej wszystkim czytelnikom. Różnice te są nieomal zbyt drobne, by odkryć je samą pamięcią; zresztą kto dziś ufa pamięci, władczej, niszycielskiej pamięci, która nieustannie zżera albo zmusza do zaistnienia to, co ponoć powinna wyłącznie przechowywać i chronić.

Nie - tylko dokładnie w chwili przejścia z jednego świata do drugiego można dostrzec tę osobliwość ekonomii czasu. W tej chwili (trwającej miesiąc? rok?) jesteśmy jak człowiek, który wychodzi zza zakrętu ku swemu rodzinnemu miasteczku i widzi, jak za znajomymi niskimi wzgórzami wzbija się w niebo nowe, istic alpejskie pasmo śnieżnych wierzchołków. Lśniące, zachwycające, strome! To tylko chmury, oczywiście, że tylko chmury, kaprysem wiatru i pogody przedziergnięte na moment w niby-góry, tak prawdziwe, że aż chce się na nie wspiąć; tak wyglądałaby twoja rodzinna okolica, gdyby wzgórza wznosiły się u stóp śnieżnych olbrzymów. Lecz nie - błękitne jezioro tam, wysoko na zboczu, odbijające niebo, to właśnie niebo widoczne przez szczelinę w chmurach. Nigdy nie zaczerpniesz zeń wody. Przełęcz pośrodku, tam, na wysokości, już zaczyna się drzeć i rozrywać.

Pierce Moffett (stojąc zimą na górskiej drodze w trzydziestym szóstym roku życia, niezdolny w tej chwili ruszyć do przodu ani w tył, ale zdolny poczuć, jak ziemia pod jego stopami toczy się w swoim locie przez kosmos) wspominał chłopięce lata, gdy w górach Cumberland w Kentucky razem z kuzynami przygarnęli wilcze szczenię i trzymali je potajemnie w pokoju z zamiarem oswojenia.

Czy to się naprawdę wydarzyło? Dlaczego w ogóle zadawał sobie to pytanie, skoro pamiętał tamten dotyk, pamiętał, jak dbał o nie, karmił, ochrzcił?

Pamiętał, jak w tamtych czasach potrafił zmienić bryłkę węgla w diament, którym naprawdę jest, i jak tego dokonał. Pamiętał, jak odkrył krainę pod powierzchnią ziemi, do której można się było dostać szybami nieczynnej kopalni. Pamiętał bibliotekarkę w Lexington (widział ją wyraźnie, pośród regałów ciemnych książek, z łańcuszkiem przy okularach) i

postawione przez nią zadanie, którego podjął się ochoczo, nie przeczuwając, dokąd go zaprowadzi ani ile będzie go kosztowało. Zadanie, o którym teraz wiedział na pewno, że nigdy go nie ukończy.

Podpalił kiedyś las, żeby kobieta, którą kochał, zobaczyła, jak płonie. Bo kochała ogień. Czy tak było?

O Boże - czy naprawdę zabił dla niej swego jedyne syna?

Ale wtedy droga w górę znów rozwinęła się i zabrała z sobą Pierce'a. Zbliżył się do szczytu, gdzie znajdował się pomnik, o którym słyszał, lecz którego nigdy nie widział. Słońce wstało; nowy znak. Patrząc w dół ze zdumieniem i strachem odkrył, że nosi buty z różnych par, prawie takie same, lecz nie całkiem. Wyszedł z domu i przeszedł tak kilka mil, nie zauważając niczego.

Lecz uczucie byłoby inne, musiałoby być inne. Koniec jednej i początek nowej epoki odczulby inaczej każdy człowiek przestępujący przez wrota.

A może wcale nie da się tego odczuć. Może trudno to dostrzec. Nasza uwaga pochłonięta jest prawie cały czas życiem, które prowadzimy. Zapewne po prostu przeć będziemy ku przyszłości, jak to zawsze czyniliśmy, choćby wokół nas zmieniała się niezauważalna sceneria. Być może odczulibyśmy nieco mocniej tę stratę - lub nadzieję, przekonanie, że rok za rokiem wszystko idzie ku lepszemu lub ku gorszemu.

Winnie Oliphant Moffett rozwiązała problem rozstajów.

Wcześniej nie czuła zbytniej potrzeby znalezienia rozwiązania. Nie była z tych, którzy roztrząsają dokonane wybory i poddają się żalowi. Zwykle cieszyła się, że w ogóle ma przed sobą jakąkolwiek drogę, którą może podążać.

Tak jak ze sprzedażą domu w Kentucky, gdzie mieszkała z bratem Samem i jego dziećmi, póki nie umarł; tam też wychował się jej syn, Pierce. Jak z inwestycją w motel na Florydzie, którą podjęła razem z Doris, choć ledwie ją znała. Podążała drogą, która pojawiła się przed nią. I dotarła aż tutaj.

Dopiero tej zimy zaczęła myśleć, że mogła postąpić zupełnie inaczej, nie tylko w kwestii Doris i domków letniskowych, ale dużo wcześniej, wiele wyborów wcześniej. Nie potrafiła jasno określić, co mogła zrobić, ale możliwość wydała jej się nagle rzeczywista i niepokojąca. Widziała, czy też wyczuwała siebie w innym życiu, życiu, którego nigdy nie wiodła, i potrafiła sobie wyobrazić, niekiedy z okropnym ukłuciem żalości, że to było jej prawdziwe życie, porzucone, wciąż czekające na nią w przeszłości.

- Przyszła na ciebie pora - powiedziała Doris. - Klimakterium. Ja też czułam się dziwnie. Płakałam jak wariatka.

Winnie pojęła wreszcie, jak brzmi rozwiązanie: zawsze trzeba wybierać dokładnie tę drogę, którą chcemy podążać.

Doris powiedziała, że ludzie z a w s z e uważają, iż powinni byli podążać właśnie tą drogą, której nie wybrali. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Zawsze myślimy, że naszym prawdziwym przeznaczeniem była droga, którą nie podążyliśmy. Na pewno była, ponieważ uważamy, że ta, którą wybraliśmy, na pewno nim nie jest.

Ale zawsze tak nam się wydaje, stwierdziła Winnie, bez względu na to, jaką drogę wybierzemy. Więc nawet gdybyśmy wybrali tamtą drogę, niewątpliwie tęsknilibyśmy teraz do tej, marząc o jej celu i wiedząc, że to ją właśnie powinniśmy byli obrać. A tymczasem - proszę.

A więc zawsze wybieramy drogę, której najbardziej pragniemy, tę, do której, gdybyśmy jej nie wybrali, tęsknilibyśmy teraz. A przecież ją wybraliśmy. Wybraliśmy właściwą drogę. Jak zawsze.

Ogarnął ją głęboki spokój, poczuła się uprzywilejowana. Siedziała, paląc old golda i rozczesując mokre włosy na słonecznym tarasie. Bez względu na to, czy to życie było w pełni szczęśliwe - a nie było - czy pełne sukcesów - a nie było - żyła oto w sposób, który próbowałaby sobie wyobrazić, gdyby wybrała inaczej. Żyła życiem prawdziwym, życiem, którego pragnęła.

Próbowała wyjaśnić to Doris, ale ona tego nie rozumiała. Postanowiła opowiedzieć o tym Pierce'owi, kiedy wróci, jeśli tylko pamięć jej nie zawiedzie. Komuś takiemu jak on na pewno by się to przydało.

Ale ta myśl zaczynała się rozplywać, pozostawiając tylko w duszy cień absurdalnej satysfakcji. Było to tego dnia, kiedy zadzwonił dzwonek. Otworzywszy drzwi, Winnie ujrzała Pierce'a. Wyglądał na bardziej niespokojnego, niż brzmiał, kiedy dzwonił z zapowiedzią. Wyglądał na chorego i zdumionego, jak gdyby dopiero co przywiał go tu nagły podmuch wiatru.

I
GENITOR

JEDEN

W 1952 roku dziewięcioletni wówczas Pierce Moffett naprawdę podpalił las w górach Cumberland w Kentucky. Pożar szalał od sobotniego poranka do niedzielnego wieczora, rozprzestrzeniając się ze zbocza za domem Pierce'a przez wzgórze do Rzeki Bezimiennej na wschodzie, gdzie się zatrzymał.

Co sobotę Pierce'a i jego młodszych kuzynów czekał uciążliwy obowiązek - wynieść śmieci z całego tygodnia w wypalone i ogołocone miejsce obok nieużywanego garażu. Dlaczego garaż stał tak daleko od domu i bez wiodącego doń podjazdu, dziwiło podówczas Pierce'a, ale ważne, że stał, a obok dwa zardzewiałe kosze, zbyt małe, by pomieścić wszystkie śmieci, reszta ładowała więc pomiędzy nimi.

Do Pierce'a należało podpalenie stosu zapałkami, dlatego uważał, że to właśnie on podpalił las, choć przecież byli tam wszyscy - Hildy, Ptasia i Warren. Hildy, rok starsza od Pierce'a, pierwsza pobiegła po wodę.

Przeważnie śmieci paliły się bez fajerwerków. Wujek Pierce'a, Sam, po latach przerzucił się z kremu do golenia na piankę w aerozolu. Kiedy przychodziło do spalania pustych pojemników, dzieciaki kładły je na spód stosu, a gdy Pierce już porządnie rozpałił śmieci, wszyscy chowali się w garażu (Warren biegł tam ze śmiechem) i przez szpary w sfatygowanych ścianach patrzyli, jak pojemniki wybuchają. Dopiero kiedy wszystkie trysnęły strumieniami iskier i rozsypały grudy żaru, czasem na sporą odległość, można było bezpiecznie wyjść.

Ale tym razem to nie pojemnik po aerozolu spowodował pożar. Poranek był suchy i wietrzny, w powietrzu unosił się ostrzegawczy zapach spalenizny, a wokół wysoko pięły się krzewy i zarośla. Pośród tych ostatnich była trojeść, krwawnik i nawłóć, dziewanna i komosa. Obrzeże polany wyznaczał wyschły potok i szpaler topoli, które mieszkańcy Kentucky nazywają *bummagillies*. Za nimi wznosiło się lesiste zbocze. Wiatr wiał w tamtą stronę.

Czy była to kartka z „Collier's”, a może z „Look”, którą obliział płomień, (zaczerniając ją z każdym dotknięciem), czy z „Our Sunday Visitor”, a może woskowany papier wyściełający pudełko płatków Kix? Rozżarzona płachta wzniosła się raptownie, lecz dostojnie spomiędzy płomieni, kiedy Pierce szturchnął ognisty stos grabiami. Próbował ją złapać, ale wymknęła się i uniosła na czarnych falujących skrzydłach ponad polaną. Dzieciaki

patrzyły jak skamieniałe. Niedaleko zatrzymały ją wysokie zarośla; pokruszyła się i rozpadła. Nic więcej. Ale nie - oto wybująca łodyga zajęła się ogniem i niczym lont poprowadziła płomień ku ziemi.

Trzeba było pędzić na miejsce i zdeptać ogień, zdławić go tenisówkami, a potem wrócić do pracy. Ale w tę sobotę ulotna płachta zdążyła wzniecić już ogień, a czerń ziemi pokryć się bielą popiołu, zanim dobiegli na miejsce i zaczęli zdeptywać. Pierce, Ptasia i Hildy ścigali jeden łuk postępującego ognia, tupiąc hałaśliwie, dopóki Warren nie zawołał na nich. Odwróciwszy się, ujrzeni, że ogień wgrzył się już głęboko w polanę, zarośla zapalały się u podstawy i płonęły niczym pochodnie. Zrozumieli, że ten ogień nie zagaśnie. Wtedy właśnie Hildy pobiegła do domu po wodę.

Nawet uświadamiając sobie boleśnie, że wydarzyło się coś strasznego i nieodwracalnego, Pierce czuł, że pojmuje frapującą logikę działania ognia, logikę, na którą mógł być wpaść wcześniej, ale nie wpadł, logikę posuwania się w doskonałych okręgach od punktu wyjścia na zewnątrz we wszystkich kierunkach w miarę znajdowania paliwa na obrzeżach i zostawiania za sobą pustki. Pojmował, że okręgi będą rosły, póki starczy paliwa. Ogień płonął, zostawiał za sobą spalone miejsce i szedł dalej. I nie miał powodu, by się zatrzymać.

Ptasia pobiegła do domu za Hildy, a Warren z płaczem za Ptasią. Podeszwy tenisówek Pierce'a rozgrzały się bardziej niż wtedy, kiedy stał długo na asfaltowej drodze w pełnym słońcu. Za bardzo. Ruszył za innymi.

Hildy wracała już z wiaderkiem w jednej i konewką w drugiej ręce, kiedy Pierce dotarł do domu. Biegając chwiejnie, rozlewała większość wody. Widok jej zaciętej twarzy, jej nagłej gotowości oraz miotającego się węża ogrodowego, którego nie zakreśliła napelniwszy niezdatne do niczego pojemniki, sparaliżował Pierce'a. Zrozumiał, że niebezpieczeństwo wzrosło do poziomu, który wymaga zawiadomienia dorosłych. Zatrzymał się, myśląc, czy wujek Sam jest w domu, a raczej czekał, a żywe obrazy wujka w domu, poza domem, znów w domu pojawiały się i znikwały w jego głowie. Nie doszedł jeszcze do niczego, kiedy matka wystawiła głowę przez drzwi.

- Pierce, coś się stało?

I w jednej chwili pożar Pierce'a był już problemem kogoś innego.

- To pewnie nic takiego? - Rzuciła papieros na ziemię i zdeptała go dokładnie. A potem poszła z Pierce'em na skraj ogrodu, skąd widać było pola. Ptasia i Warren poszli za nimi.

- O cholera - powiedziała.

Długo później Pierce zapytał Ptasie, czy myśli, że naprawdę podpalili las, czy też spłonęło tylko kilka akrów zarośli.

- Chyba pożar był duży - powiedziała. - Na pewno. Spalił pewnie ze sto akrów. Co najmniej. Wiem, że ogień doszedł aż do Yokuna, bo spalił mu się płot, i chciał, żeby tata kupił nowy. Ale to był stary, połamany płot, i tak nikt go nie naprawiał, a on chciał nowy płot, wiesz, z ładnymi słupkami i drutem kolczastym. I paliło się aż do rzeki. Mówili, że nie da się go zatrzymać, że sam się zatrzyma, jak dojdzie do rzeki. I chyba doszedł. Wtedy pożary były na porządku dziennym. Pamiętasz, słońce w lecie w suche dni było zamglone i czerwone. Pewnie przez dym z jakiegoś pożaru.

W czasach powojennego boomu kopalnianego drwale wysyłani przez właścicieli kopalń wycięli ponad tysiąc akrów lasu. Opłacani od sztuki, wywozili co łatwiej dostępne, zostawiając resztę - niedocięte pniaki, strzaskane resztki i całe długie pnie, które trudno było wywieźć. Lasy za zboczem Sama Oliphanta były dziwnym i zdziwałym pobojuwiskiem wykrotów, starych pniaków i zwalonych niczym wielkie rozsypane bierki pni, zmieniających się w zeszlę próchno w oczekiwaniu na zapalną kłosa. Ptasia - w przeciwieństwie do Pierce'a - pamiętała, jak po zachodzie czerwonego słońca wyszła z Hildy i Joe Boydem (starszym bratem, który nie był przy wybuchu pożaru) na dach przez okno pokoju na piętrze - Pierce zastanawiał się, kiedy się tego nauczył - i siedzieli w tchnącym popiołem półmroku, patrząc, jak ich ogień pełźnie przez górskie jary i granie.

Jeśli to był pożar lasu, to nie wyglądał na taki. Nie wyglądał jak pożar, który zniszczył dom Bambi i zmusił przerażone zwierzęta do ucieczki. Nie była to przestrzeń żywego pomarańczowego ognia, lecz szarobrunatna linia, dymiąca pręgą między tym, co już spalone, a tym, co jeszcze nie, niczym się nieróżniącą od ognia w trawie, gdzie się zaczęła.

- Twój tata za to zapłaci - powiedział Joe do Pierce'a, zadowolony z siebie, bo pewny swojej niewinności. Palenie śmieci nigdy doń nie należało.

- To niesprawiedliwe - powiedziała Hilda.

- Ale prawdziwe - odparł. - Kiedy małe dziecko coś zrobi, nie może zapłacić. Wtedy tata jest odpowiedzialny. On musi zapłacić.

Pierce milczał, niezdolny wyobrazić sobie wysokości zapłaty. Góra, dwie góry? Wydawały się Pierce'owi bezcenne albo bezwartościowe.

- To nie jego wina - powiedziała Ptasia. Wiedziała już jednak, że kiedy Joe mówi coś tak okropnego, często ma rację. Mama Bambi (choć Ptasia zakryła uszy, żeby nie słyszeć, co Joe jej mówi) naprawdę umarła. - A zresztą jego tata jest w Nowym Jorku. I jest biedny.

Nie dodała, że nie sam Pierce zaczął pożar. Wszyscy zaczęli. Niewidzialne Kolegium,

działające razem, jeden za wszystkich. A skoro tak, to Joe też był winny, ponieważ był stałym prezesem filii Kolegium w Kentucky, obranym uroczyście przez członków. Ptasia o tym nie wspomniała, bo mówiąc to, zdradziłaby mu istnienie Kolegium i fakt jego prezesostwa. A to był największy z sekretów, których przyrzekli strzec.

- Nie mój tata - powiedział Joe, żeby nie było żadnych wątpliwości. - Tylko twój.

Nie był to jedyny ogień płonący tego wieczora w górach, ani jedyny nieugaszony. Góry Cumberland płonęły od lat i nigdy nikt ich nie gasił. Płonęły nie tylko porastające je lasy, ale i same góry: podpalały je eksplozje dynamitu używanego do uwolnienia zębatach złóż węgla; te zapalały się i góry płonęły, dym dobywał się ze szczelin, ziemia wysychała. Gorący, gorzki oddech wydostawał się z ust kopalni, a na górskich grzbietach kamienie pod nogami promieniowały ciepłem żywego ciała.

Płonęły też hałdy łupków wzniesione nieopodal kopalni. Ogień zaczynał się głęboko, od ciśnienia ton skał na bryły i pył węglowy, a potem wznosił się liniami uskoków, by wydobyć się i dymić płózącymi się żyłami. Od czasu do czasu wysyłano ekipy, by gasiły te linie popiołem. Ekipy pracowały dzień albo dwa, wspinając się po zboczach jak diablęta w miniaturowym piekle, z tą tylko różnicą, że zamiast wzniecać, gasiły ogień. Nie przynosiło to długotrwałych skutków. Ogień podkradał się gdzie indziej, znajdował inne ujścia. Niektóre z takich pożarów trwały całymi latami. Niektóre, płonące, kiedy Sam Oliphant, świeżo upieczony lekarz, przybywał tutaj po raz pierwszy, płonęły nadal, kiedy wracał tu z rodziną po wojnie.

Pochodził z rodziny o lekarskich tradycjach. Kiedy zmarł sędziwy doktor Oliphant, starsi bracia Sama przejęli po nim interes, a Sam musiał szukać pracy na własną rękę. Bez większego namysłu odpowiedział więc na ogłoszenie przychodni w Kentucky poszukującej lekarzy i został przyjęty z otwartymi ramionami. Wyruszył na południe w oldsmobilu ojca, który przypadł mu w udziale z niewielkiego majątku po nim. W tym samochodzie przejechał niezliczone mile niczym podróżny kaznodzieja. W krainie starych fordów wzbudzało to zarówno respekt, jak i podejrzliwość, dopóki karoserii nie ozdobiły wgniecenia, a kurz nie przyćmił lakieru.

Górski kraj był dziki i dziwny. Trasa Sama wiodła przez miasta i kopalnie o prostych, użytkowych nazwach, jak Potok Skaleczonej Łydky, Cuchnący Strumyk, Czarna Góra, Wielka Piaszczysta Rzeka. Nazwy nadawano zresztą tylko tym miejscom, które ich potrzebowały, nie zaś z ambicji chwały czy trwałości. Nie nawiązywały one do starożytności ani nawet do Pisma Świętego. Nie było tu Betel, Goszen czy Beulah. Być może dlatego, że

założyciele nie znali nawet Biblii, a może dlatego, że choć piękne i rozległe były owe góry, nie uważali ich za krainę Boga, nawet za ziemię obiecaną. Rozmowy z miejscowymi (czy to możliwe, że nie wiedzieli nawet, jak zbudować porządną wygódkę albo jak właściwie przechowywać żywność?) złożyły się na opowieści, w które trudno byłoby uwierzyć jego krewnym z Westchester. Sam wygładził je przez lata, a potem jego dzieci jeszcze je poprawiły we własnych wersjach.

Sam podczas pierwszego objazdu. Bada czternastolatkę, która kiepsko się czuje. Konsternacja. Dziewczyna jest po prostu w ciąży.

Dziecko drogie, czy wiesz, że będziesz mamą?

Oczy rozszerzają się ze zdumienia. Gdzie tam!

No tak. Wiesz, jak do tego doszło? Jak się zachodzi w ciążę?

Skinienie pełne powagi. No chyba. Więc co się stało? Możesz mi powiedzieć. Zostałaś zgwałcona?

O, doktorze (westchnienie radosnej rezygnacji), całe lato ino gwałt za gwałtem.

Jego podopieczni, toczący surowe, żalodne życie. Jego podróże o świcie pośród łąk wyki, drogami, które omijały głębokie jary i przecinały szemrzące strumyki (nauczył się je nazywać zgodnie z miejscową gwara). Poranny opar niewidocznych rzek unoszący się ponad lasem, odpływający wraz ze smugami dymu z kominów chat. Nawet zapach oldsmobila i jego tapicerki, smak cameli i kawy. Wszystko to zabarwiło się dla Sama miłością. To z powodu miłości wracał do tych wspomnień, kiedy został wdowcem. Nic go już tu nie trzymało, został jednak do śmierci.

Opal Boyd była nauczycielką, dzieckiem zachodnich farm i - jak Sam - rekrutką nadziei postępu, jaką zrodziła owa dekada. Popielatoblond włosy nosiła splecione w dwa długie warkocze, upięte na głowie niczym błada tiara. Chodziła w bawełnianych szmizjerkach z plecionymi paskami, które kupowała co roku podczas wyjazdu do Louisville albo Chicago. W pokoju, który wynajmowała u pewnego urzędnika, znajdowała się rakieta tenisowa. Pełna nadziei i śmiałości, lecz tutaj bezużyteczna, rakieta również miała dla Sama posmak miłości.

Kiedy się pobrali, a Opal zaszła w ciążę, inaczej spojrziała na spustoszone góry. Pojechali na Północ, by tam doczekać rozwiązania, odwiedzili wspaniałą Wystawę Światową w Nowym Jorku, ujrzeli przyszłość i postanowili już nie wracać. Ale gabinet na Long Island, który Sam kupił za wszystkie oszczędności swoje i Opal, nie okazał się zbyt lukratywny. Wróciwszy po czterech latach wojny, Sam odkrył, że gabinet przestał się liczyć, podzielony między dwóch lekarzy, którzy postanowili zostać, zamiast - jak on - zaciągnąć się do wojska. W tym samym periodyku medycznym, gdzie znalazł kiedyś ogłoszenie przychodni w

Kentucky, natknął się teraz na ofertę małego katolickiego szpitala misyjnego w Bondieu w powiecie Breshy (nie pamiętał nawet, czy przejeżdżał kiedykolwiek przez to miasteczko). Oferowano dobrą płacę dla naczelnego lekarza, nawet lepszą, niż spodziewał się dostać wśród hodowców ziemniaków i ostryg. Zatem jakieś dziesięć lat po opuszczeniu gór Cumberland wrócili tam z czwórką dzieci. Nie na zawsze, na tyle, ile trzeba będzie, by zebrać kapitał na nowy początek gdzie indziej.

„To była dość nagła decyzja, i niezbyt mądra”, pisał do Hildy długo później, u kresu życia. Z Hildy rozmawiało mu się najłatwiej, ale i tak zdumiała się, kiedy zaczęła otrzymywać listy od ojca, i postanowiła szybko go odwiedzić. „Przykro mi, że nigdy nie zarobiłem dużo pieniędzy, że nie zrobiłem majątku, który mógłbym wam zostawić. Lekarzy zwykle uważa się dziś za zamożnych, i pewnie powinno być mi wstyd, że ja zamożny nie jestem. Ale kiedy byłem na studiach, nikt z nas nie oczekiwał, że będzie zarabiał krocie. Większość koniec końców dorobiła się, bo w świecie medycyny sporo się zmieniło, ale nie spodziewaliśmy się tego, inaczej niż dzisiejsi studenci. Więc nie czuję się przegrany, dlatego że mi się nie udało. Jest mi tylko przykro z powodu tej mojej przeklętej impulsywności. Nigdy nie potrafiłem przemyśleć najważniejszych decyzji. Może przekazałem Wam tę cechę, jak i brak szczęścia do pieniędzy. Za zdrowy rozsądek powinniście dziękować Mamie”.

Opal nie lubiła Long Island. Przyczyny swoich bólów głowy upatrywała w słonych mgłach. On nigdy jej tego nie powiedział, ale uważał, że sama je na siebie sprowadziła. I chociaż miał się za dobrego lekarza i wiedział, że nie należy się obwiniać za niepowodzenie, jeśli robi się wszystko zgodnie ze swoją wiedzą i umiejętnościami, już zawsze żałował tego pochopnego osądu. Urządzili właśnie swoje nowe mieszkanie w Bondieu - w największym domu w mieście (niegdyś w posiadaniu Hazeltona), który kupił im szpital - kiedy u Opal wykryto guza mózgu.

Pierce, który miał wtedy osiem lat, nigdy nie zapomniał - być może dlatego, że wtedy po raz pierwszy widział łzy w jej oczach - jak w kuchni brooklyńskiego mieszkania wpadł na matkę, siostrę Sama, ze zmiętym listem od niego w dłoni. Bożodrzew rósł tak blisko okien kuchni, że czasem jego ciekawskie gałęzie wchodziły do środka. - Biedny Sam - mówiła matka, zaciskając powieki i podpierając czoło dłonią. - Biedny Sam. Biedne, biedne dzieci.

I nawet po długiej znajomości z Samem i jego dziećmi, twardymi urwisami, które nie zawsze się z nim przyjaźniły, wspomnienie łez Winnie wylanych nad nimi powodowało, że w gardle Pierce'a rosła gula nieznośnego żalu.

Rok później Winnie wsadziła Pierce'a do autobusu i pojechali razem do Pikeville w Kentucky. Było to miasto leżące najbliżej Bondieu, do którego dojeżdżały autobusy. Sam przyjechał w wielkim nashu, kupionym niewiele wcześniej z myślą o wyprawie na Południe, i zabrał ich do Bondieu. Od tamtej pory Winnie zajmowała się domem i dziećmi. Zawsze kochała, a nawet ubóstwiała starszego brata i bardzo żałowała jego dzieci. Ale to nie dlatego opuściła na zawsze własnego męża w Brooklynie. Pomimo niezmiennej niechęci do Bondieu i niewzruszonego poczucia nieprawdopodobieństwa zostania tam na zawsze, nie żałowała tej decyzji. Nie miała dokąd pójść.

- Wtedy było inaczej - powiedziała Winnie do Pierce'a na Florydzie. Siedział ze stopami wspartymi o poręcz tarasu i ogrzewał w dłoniach puszkę napoju gazowanego. - Dziś jest tyle możliwości działania, myślenia. Aż tyle. Wtedy było ich niewiele. Wybierało się spośród tych, które były, i cieszyło się z bezpieczeństwa. Nie mogłam dostać rozwodu, nie mogłam sama zarobić na sobie. Przynajmniej myślałam, że nie mogę. Chyba staram się usprawiedliwić. Ale nie przeprosić. Trudno to sobie teraz wyobrazić. Dziś to normalne, ale wtedy ten szok... Spójrz na Key West, na litość boską. Ale wtedy to nie było normalne. To było... hm, to było jak znalezienie wady w naturze. Przecież nie mogłam spać z nim w jednym łóżku, prawda? I musiałam ciebie od niego zabrać. Rzecz oczywista, jak wyniesienie dziecka z pożaru. Ale wiesz, co w tym wszystkim jest najbardziej smutne - zaśmiała się z goryczą. - To, że on naprawdę był dobrym ojcem. Na swój sposób. Przykro mi, Pierce.

DWA

Pierce przybył do Bondieu jesienią. Mniej więcej w czasie, kiedy już się z Winnie zaaklimatyzowali, z garażu wyniesiono dodatkowe okna zabezpieczające przed wichurą i ułożono na werandzie z myślą o ich wstawieniu. Nikt jednak nie dokończył pracy. Przez długi czas leżały tam w dwóch długich rzędach. Z powodu, którego nie mógł sobie później przypomnieć (tylko czasem wracało doń tamto ciekawe uczucie - być może tak naprawdę jedyny powód), Pierce z rozmysłem i ostrożnie stawał na każdej szybie. Przez moment wytrzymywały jego ciężar, a potem załamywały się niczym warstewka lodu na wyschniętej kałuży. Kiedy odkryto, co zrobił, wyparł się wszystkiego, choć sprawa była dla Sama oczywista. Brakowało jednak prawdziwego dowodu, wobec czego Pierce nie odczuwał potrzeby przyznawania się. W końcu jednak musiał.

I czy zawsze nie wypierał się tego, co zrobił? Czy nie wypierał się tego, kim się stał? Czy nie był tak naprawdę kłamcą? Czy jego matka też się nie wypierała, z tą tylko różnicą, że posiadała przydatną cechę - zapominała o tym, co zrobiła, a pamiętała tylko powody, te dobre, dla których to zrobiła?

Czuł, że tym, co sprawiało, iż tak trudno było mu się przyznać, było to, że kolejne pytanie Sama brzmiałoby „Dlaczego?”, jak to bywało w tylu innych przypadkach. To pytanie nie byłoby złośliwe, lecz i tak nie dałoby Pierce’owi żadnej szansy, ponieważ nie wiedział dlaczego. Nie miał powodu. Kiedy później zaniósł narzędzia Sama do lasu i zostawił je tam na pastwę rdzy, nie pamiętając, że je pożyczył, kiedy pewnego zimowego popołudnia przeciął nożem kabel telefoniczny do sypialni Sama i kiedy wziął z szuflady biurka pierścionełk zaręczynowy jego zmarłej żony, wtedy - przynajmniej wtedy - wiedział, czemu to wszystko robił: wymagały tego wyzwania, przed jakimi stało Niewidzialne Kolegium. Jego kłamstwa w tych wszystkich przypadkach kierowały się tą samą logiką co pierwsze z nich - okna: gdyby się przyznał, usłyszałby pytanie „Dlaczego?”. A nie mógłby odpowiedzieć. Więc wyparł się wszystkiego.

- Co ci w ogóle przyszło do głowy? - pytał Sam, trzymając go za ramię i wskazując szklane resztki.

- To nie ja.

- Oczywiście, że ty! Nie obrażaj mojej inteligencji. Chcę tylko wiedzieć dlaczego.

- To nie ja.

Sam zawsze twierdził (w co nie wierzył Pierce) że wyczyny siostrzeńca mniej go trapią niż to stawianie się okoniem. Wymyślał łagodne, ale pomysłowe kary, aby przekonać Pierce'a, że nie warto kłamać. Pierce poddawał się im, choć miał poczucie krzywdy za to, że Sam rościł sobie prawo do ich wymierzania. Ale kary te nie zmieniły go.

Czy naprawdę wierzył, że te bezczelne kłamstwa ujdą mu na sucho? Było tak, jak gdyby sądził, że naprawdę jest niewidzialny, że nie zostawia śladu, który można wytropić, że w niczym nie można się doń przyczepić, bo tak naprawdę wcale go nie ma.

- Żyje we własnym świecie - powiedział Sam do Winnie. Ale jej wydawało się, że jest odwrotnie. Przecież znała Pierce'a lepiej. Chłopak żył w świecie wcale nie własnym.

Dom zbudowany na wzniesieniu ponad Bondieu przez starego Hazeltona (lekarza w czasach I wojny światowej, potem polityka, spekulanta węglowymi dzierżawami, wreszcie bankruta i samobójcy) dzielił się na dwie części. Jedną stanowił duży, kwadratowy, dwupiętrowy budynek z werandą z kolumnami, drugą niski bungalow z czterema pokojami jeden za drugim, połączony z głównym budynkiem kratowaną wiatą. Ptasia powiedziała Pierce'owi, że mniejszy budynek zbudowano jako podarunek dla jedynej córki Hazeltonów i jej męża, aby się nie wyprowadzali. Podówczas Pierce nie potrafił uwierzyć w ten motyw. Ptasia miała dla siebie pierwszy z czterech pokoiów, Hildy drugi, trzeci był kuchnią córki, a czwarty maleńkim oszklonym salonikiem lub werandą, gdzie pleśniała stara kanapa.

Na piętrze większego budynku Sam i Opal Boyd mieli sypialnię, a mały pokój przechodni należał do Warrena. Joe Boyd zajmował trzeci, a czwarty stał pusty. Ten wybrała sobie Winnie. Stała tam zdobiona marmurem komoda, a na niej lustro i szczotki do włosów, z których Winnie nigdy nie korzystała, oraz oprawne w srebro fotografie rodziców. Te przedmioty w jakiś sposób przywiała tu ze sobą zapach Brooklynu i dzieciństwa, który Pierce potrafił wyczuć nawet całe lata później.

Gdzie miał zamieszkać Pierce? Zrazu planowano, że będzie mieszkał razem z Joe Boydem, ale ten tak ostro się temu sprzeciwił, że nikt, ani Sam, ani Winnie, a już na pewno Pierce, nie chciał go przekonywać. Więc do Ptasi wprowadziła się Hildy, a Pierce zajął jej pokój obok kuchni bungalowu. (Kiedy Joe wreszcie się wyniósł, Pierce mógł się przenieść do jego pokoju obok Sama, ale wolał zostać w skrzydle dziewcząt. Pokój Joego zajęła Hildy).

Sam sądził, że pod swoim dachem zapewnia Pierce'owi kogoś w rodzaju starszego brata, kto mógł zrównoważyć wpływ ojca. W istocie wiedział, że to za dużo powiedziane, lecz mimo to uważał, że Joe mógł być mentorem, przewodnikiem, przyjacielem Pierce'a, tym,

czym dla Sama byli jego starsi bracia. Był tego tak pewien, że poświęcał Pierce'owi mniej uwagi, niżby mógł. Ale dla Pierce'a Joe Boyd ze swoją groźną miną i więzienną fryzurą pozostał tym, czym zawsze był - wicekrólem albo mrocznym archaniołem Sama, przynoszącym jego polecenia, te moralne i te praktyczne, z których Pierce nigdy nie wyniósł żadnej lekcji.

Tamtej wiosny Joe Boyd zorganizował siostry i brata w klub, mający hasła, urzędy i zaprzysiężenia. Nazwał go Klubem Retrieverów, wzorem bractw, które znał z północy - Wapiti, Łosi, Lwów. Nazwę tę nadał na cześć rasy psów, które podziwiał, a których nigdy nie miał posiadać. Klub miał siedzibę w starym kurniku na stromym zboczu, a zajmował się głównie iście herkulesową pracą oczyszczania budynekczku ze złogów łąjna, piór i stłuczonych skorupki. Polecenia Joe Boyda wykonywali młodszy członkowie klubu.

Pierce z rękami w kieszeniach kurtki stał u drzwi, patrząc na obrzydliwą robotę. Nigdy wcześniej nie widział ani nie czuł podobnego miejsca. Nie zaprosił go do Klubu jedyny członek, który mógł zapraszać, czyli Joe Boyd, a on sam nie mógł się zdecydować na prośbę o przyjęcie. Uświadomił sobie jednak, że nie spędzi reszty dzieciństwa w swoim pokoju, z której to nadziei zwierzył się matce. Musiał pójść na kompromis.

- Co robicie?

- A jak ci się zdaje?

Wzruszenie ramion. Zapytał jednak, co to za miejsce, patrząc na klatki o wyblakłych ściankach i czując stęchliznę. Joe poczuł się urażony tonem wyższości, choć Pierce nie miał takich zamiarów.

- Za kiepskie dla ciebie?

- No, nie mamy kurników na Brooklynie.

- Ta? No i co.

Nie wiedząc, do czego zmierza rozmówca, Pierce pozwolił się wciągnąć w debatę na temat zalet Nowego Jorku i Kentucky. Nie było wątpliwości, kto zwycięży. Joe Boyd, choć wierny rodzinnemu stanowi swojej matki, w którym powołano go do życia, sam nie był w stanie wymienić dość zalet, by wyjść na swoje.

- Jaki bohater pochodzi z Kentucky?

- Daniel Boone.

- Mało.

Joe Boyd nie wymienił Abrahama Lincolna, chociaż Pierce był przygotowany na kontratak.

- A ty podaj kogoś z Nowego Jorku - rzucił Joe.

- Peter Minuit. Miał drewnianą nogę. Peter Stuyvesant. Alexander Hamilton. Joe DiMaggio. Thomas E. Dewey.

- Kto?

Wreszcie Joe Boyd wybrał inny sposób załatwienia sporu. Starcie nie było wcale tak nierówne, jak to się wydawało Hildy, która zwróciła uwagę, że Joe jest o dwa lata starszy. Pierce bowiem wszedł już w okres roślinno-małpiego rozrostu (jak to potem ujmował), który miał przekształcić go w krzepkiego mężczyznę wzrostu sześciu stóp, Joe zaś odziedziczył posturę po wątłej i delikatnej matce. A jednak to on łatwo zwyciężył, mniej od kuzyna bojąc się zadawać i czuć ból, i silniej dążąc do ostatecznego zwycięstwa. Pierce z twarzą wciśniętą w smrodliwy pył podłogi musiał przyznać, że Kentucky, stan w którym teraz mieszkał, był lepszy niż Nowy Jork, gdzie mieszkał kiedyś z rodzicami.

- Masz dość?

- Tak.

- Powiedz „poddaję się”.

- Co?

- Powiedz „poddaję się”!

Pierce pierwszy raz był w takiej sytuacji. Ale nie wahał się.

- Poddaję się.

Gdy w końcu Joe pozwolił Pierce’owi się podnieść, długo siedział przy nim i obejmował go ramieniem. Pierce bał się je strącić. Kiedy spotkanie łoży dobiegło końca, a kolację zjedzono, Joe wziął Pierce’a do swojego pokoju, by pokazać mu kolekcję skarbów.

Wytrącony z równowagi tą nagłą intensyfikacją znajomości, Pierce patrzył w milczeniu na zadbane komiksy i muszle z Long Island. Na prawdziwe wypchane ptaki przytwierdzone do gałęzi prawdziwymi ptasimi łapkami - sójkę, kardynała, drozda. Wężową skórę, jeleni czerep. Rewolwery wiszące w olstrach nad łóżkiem. Rycinę Roberta E. Lee - wyblaganą pamiątkę z Arlington, przez które Oliphantowie przejeżdżali w drodze na południe. Było coś wzruszającego w tej smutnej szlachetnej sylwetce w rękawiczkach i szarfie.

Wreszcie Joe Boyd wyjął z pudła i pokazał Pierce’owi swój ostatni projekt.

- To jest bitwa.

Był to długi zwój białego gładkiego papieru, jakiego Pierce nigdy nie widział (Joe nazwał go „papierem półkowym”). Rozwinął go na około stopę, ukazując postacie nakreślone

ołówkiem, niewielkie, liczne, zajęte walką. Każdy kreskowy człowieczek miał kreskową broń, z której strzelał lub mierzył, lub którą kurczowo trzymał, leżąc trupem. Kropkowane linie wskazywały trajektorie pocisków lecących ku tłumowi uzbrojonych postaci, które wyłoniły się z dalszej części zwoju.

- Umiem lepiej rysować - powiedział Joe - ale tak można szybko narysować dużo.

Powiedział, że to bitwa, ale tak naprawdę nie była nią. Brakowało manewrów zwartych formacji, regimentów i oficerów. Dziesiątki walczyły po obu stronach po swojemu na tle prymitywnego krajobrazu, strzelały zza skał i pni, umierając samotnie w masowych, pieczołowicie obmyślonych pozach. Niektórzy ronili symboliczną krew.

- Ale popatrz tu - powiedział. Dalej rozwinął zwój, ukazując, że wrogowie pierwszej grupy są atakowani z tyłu przez jeszcze jedną grupę. Niektórzy już się ku niej odwracali. Było jasne, że ta trzecia grupa też jest zagrożona, chociaż Joe Boyd nie dotarł tam jeszcze. To się nie mogło skończyć. Nigdy.

- Narysuję więcej - powiedział Joe, zwijając rolkę. - Dużo więcej.

Nie, to nie mógł być mentor Pierce'a, nie mógł być jego przyjaciel, bez względu na nadzieje Sama. I chociaż Pierce nie przejawiał żadnych spośród inklinacji Axela i miał wkrótce zacząć gromadzić dowody, że nie ma ich w sobie, jednym z jego sekretnych bohaterów miał zawsze być Georgie Porgie, fiołek i bez, co panny całował, przywodził do łez:

Lecz gdy chłopaki ruszali w las

Georgie Porgie brał nogi za pas.

A jednak Pierce'a nie zaproszono do Klubu. Być może Joe Boyd wyczuł w nim resztki niechęci do braterstwa lub do działań, których wymagało członkostwo, a które mogłyby przynieść niezadowolenie.

- I tak mi nie zależy - powiedział Pierce do Ptasi i Hildy w bungalowie tego wieczora.

- Już mam klub. Pewnego rodzaju.

Cała trójka zebrała się pod brązowym, wielkim jak komoda grzejnikiem gazowym, który stał w pokoju Pierce'a i ogrzewał cały budynek. Trzeba było trzech osób, żeby go rozpalić. Hildy zarządzała wszystkim i włączała gaz, Pierce zapalał zapalną, a Ptasia, która bała się zapalać zapalną, ale w przeciwieństwie do Pierce'a nie bała się samego grzejnika, wrzucała płonące drewno w otwór z boku.

- W jakim jesteś klubie?

- To tajemnica.

Stanął przygotowany z zapalką i pudełkiem obok Ptasi przy otworze zapalowym. Hildy uklękła przy kurku gazowym.

- To tajemny klub mojego ojca.

- Wpuszczają do niego małe dzieci?

- Niektóre.

- Jak się nazywa?

- Nie mogę powiedzieć. To tajemnica.

Widział twarz ojca, zobowiązującego go w wyobrażonej, lecz nagle żywej przeszłości do zachowania tajemnicy.

- Gotowi? - spytała niecierpliwie Hildy. Jej chude nogi drżały z zimna.

- OK.

- OK.

Po kilku nieudanych próbach zapalił wreszcie zapalkę i obrócił ją w palcach. Hildy już odkręciła kurek. Zbyt wcześnie. Ptasia niezgrabnie sięgnęła po zapalkę w palcach Pierce'a. Każde z nich starało się trzymać jak najdalej od płomienia. Cisnęła wreszcie zapalkę w otwór i odwróciła się. Gaz zgromadzony w komorze zapalił się z niecierpliwym łomotem, ciszej niż wtedy, gdy cały proces trwał jeszcze dłużej.

- Kto tam należy? - pytała Hildy. - Czy my możemy?

- Chyba tak.

- A Warren?

Pierce wzruszył ramionami.

- A Joe Boyd?

Nie było powodu go wykluczać. Nie było także powodu, ani chęci ze strony Pierce'a, by informować go o możliwości członkostwa albo o tym, że jego członkostwo było rozważane. I zaakceptowane. Pierce czuł na podniebieniu smak triumfu i posmak palącego się gazu.

- Pewnie. Jasne, że może.

Później, już w łóżku, obie kuzynki próbowały odgadnąć nazwę tajemnej loży Pierce'a albo wydobyć ją z niego. Próbowały z ptakami i zwierzętami, szlachetnymi i paskudnymi („Klub Jaszczurek! Klub Robali!") aż zaczęły się śmiać. Pytały Pierce'a o pierwszą literę, ile nazwa ma liter, z czym się rymuje. Pierce nie odpowiadał. Sam nie wiedział. Wiedział tylko, że jest członkiem, wprowadzonym do Klubu już dawno temu (miał tych „dawno" tak niewiele, że ostatnio nabrały dlań szczególnego znaczenia); całe szeregi braci w togach witały

go z uśmiechem na twarzy. Serce przepełniała mu złośliwa satysfakcja, że wbrew ich wyobrażeniom nie był sam, ale należał do grupy, niewidocznej teraz, ale zbliżającej się doń cały czas.

Klub Retrieverów szybko przeminął, kurnika nie wysprzątano, bo Joe Boyd zwrócił się gdzie indziej, by zaspokoić głodne serce. Pierce nie pamiętał później, czy kiedykolwiek został formalnie zaprzysiężony, ale Ptasia powiedziała, że oczywiście był, jak mógł nie pamiętać, były wyjazdy i oficjalne przyjęcia z jego udziałem, pobrano składki. Potem zdumiewało Pierce'a, o ile lepiej od niego jego młodsze kuzynki pamiętały to wszystko, przez co przeszli. Ten pierwszy rok w Bondieu, pomyślał, był chyba przepełniony różnorodnymi wyzwaniem i sprawami trudnymi do pojęcia, których niczym kolejnych strachów długiego snu nie można zapamiętać; zostaje tylko umbrowa kolorystyka i poczucie zmagania.

- Nie umiem nawet ci powiedzieć, jak się tam znaleźliśmy - powiedziała Winnie jeszcze na Florydzie - ze wszystkimi naszymi rzeczami, bagażami, ubraniami, łózkami i tak dalej.

- Marmurowa komoda - powiedział Pierce, nagle ją widząc jak żywą, w chwili, kiedy miała mu umknąć. - Łóżko z kolumienkami.

- To Axel je przysłał, prawda? - zastanawiała się Winnie.

- Tak musiało być, bo później wszystko to tam było. Tak. No cóż, byłam wtedy... wiem.

Pierce nigdy nie winił Winnie za to wygnanie. Ojca dogłębnie i niewypowiedzianie się wstydził. Kiedy wieczorami Axel dzwonił, żeby z nim porozmawiać, słuchał niemal bez słowa nieprzerwanego potoku żalów (w tle zawsze odzywały się brzęk i pomruk głosów i muzyki), które stawały się coraz bardziej ckiwe, gorzkie, przerywane łzami, podczas gdy Oliphantowie patrzyli, a Pierce pąsował. Nie obwinał też Axela za to, kim się stał, bo nie obwinała go Winnie. Nigdy nań nie narzekała. Nie sprawiała wrażenia, że chowa urazę. W zasadzie rzadko o nim wspominała. Może dlatego, że potrafiła nie zauważać pewnych rzeczy, pragnąc znaleźć dla siebie azyl wolny od wszelkich konsekwencji; może dlatego, że kochała Pierce'a i nigdy nie stawiała znaków zapytania, więc Pierce znajdował w jej pokoju nie powody wygnania, ale wytchnienie.

„Opiekuj się matką” - polecił mu Axel przez łyzy tamtego ostatniego poranka na Brooklynie, zanim Pierce i Winnie wsiedli do taksówki pełnej pękających walizek i ruszyli na dworzec autobusowy. „Bądź prawdziwym rycerzem!”.

Bądź prawdziwym rycerzem. Axel, donkiszotowski miłośnik romansów, rycerskości i

przysięg wierności, ucierpiał także przez nie na mózgu. Pierce pamiętał to napomnienie, ale nie czuł jego brzemienia. Przynajmniej wtedy. W Kentucky Axel zaczął się Pierce'owi zacierać, tracić znaczenie. Sądząc po zachowaniu Winnie, tak właśnie miało się z tym wspomnieniem dzieć - miało wyparować, stopić się niczym śnieżny bałwan i zniknąć w upływie pór roku Pierce'a. Ale Pierce naprawdę był rycerzem swojej matki i miał nim pozostać. Uratowała go z mrocznego lasu mieszkania w Brooklynie, gdzie zagubił się jego ojciec (czemu mroczny? czemu zagubił?) a teraz była cała jego, na górnym piętrze głównego budynku, w sypialni obok Sama. Tam jej pomagał, usługiwał, śmiał się z nią, błaznował. Przelewał się bez końca w pustkę, jaką się stała, dokuczając jej pytaniami, które miały rozbrzmiewać wiecznie, bo nie znała odpowiedzi. Co by było, gdyby wszystko nagle powiększyło się dwa razy? Czy byłoby to widać? A może gwiazdy są naprawdę małe i tuż nad głową, zaledwie na tysiąc mil, i tylko wydają się dalekie? Może jedynie wyglądają na takie, gdy naprawdę można dotrzeć do nich odrzutowcem? Czemu wszystko jest takie, jakie jest, a nie jakoś inaczej? Czemu jest kosmos? Czemu w ogóle jest coś, a nie nic?

TRZY

Jesienne deszcze ugasiły popiół pokrywający zbocze i parów. Przez długi czas swąd rozmokłej spalenizny atakował z wiatrem nozdrza, ale kolejne zimne deszcze oczyściły powietrze. Wiosną spalona ziemia miała być żyźniejsza dzięki popiołowi, jakim pokryły ją dzieci; wypalanie i sianie od dawna zresztą było w Cumberland uznaną techniką rolną. Pierce przewrócił stronę pisma „Colliers” i zobaczył ogłoszenie Plywood Association: szmaragdowy kielek jodły, osłonięty troskliwie niczym płomień złożonymi dłońmi - pierwszy znak nowego lasu w bezbarwnej, zwiędłej okolicy.

Dla Oliphantów nie zaczął się jeszcze rok szkolny. Każdej jesieni, odkąd tu przybyli, szkoła zaczynała się z opóźnieniem, a w tym roku ich nauczycielka, panna Marta, pojechała do odległego szpitala, właśnie gdy proces zakładania szkoły w kuchni i salonie bungalowu miał się zacząć. Do jakiego szpitala pojechała i po co, tego dzieciom nie wyjaśniono, wyobrażały więc sobie powody i konsekwencje bardziej drastyczne, niż w istocie były. Nie lubiły panny Marty, siostry ojca Midnighta, ale była roztargniona i naiwna, toteż się jej nie obawiały.

(To Hildy pierwsza zauważyła, że ich ksiądz był repliką niebohaterskiego bohatera telewizyjnego, który bez względu na to, czego kiedyś dokonał w jakimś innym medium, teraz w soboty tylko zapowiadał zza biurka stare westerny, a w przerwie reklamowej sprzedawał gorące napoje, których dzieciaki nigdy nie piły, a nawet nie umiały ich sobie wyobrazić. Wyglądał dokładnie jak ksiądz, ale w fałszywych okularach i szatach liturgicznych: ojciec Midnight. Warrena trzeba było wyuczyć, żeby tak go nie nazywał).

Nie do pomyślenia było, by dzieciaki chodziły do miejscowej szkoły. Kanciasty ceglany budynek mieścił się nie w Bondieu, a w odległym o milę Good Luck. Jak ceglany szpital, jak rzędy brudnych domów wzdłuż torów, tak i szkoła była wynikiem hojności Good Luck Coal and Coke Company w początkach wieku. Teraz stała się własnością stanu i wszystkie dzieci z Bondieu w wieku szkolnym tam właśnie uczęszczały, podobnie jak niemal wszyscy ojcowie pracowali niegdyś dla Good Luck Coal and Coke Company. Sam doktor Hazelton wydawał leki górnikom i ich żonom w szpitalu w Good Luck, który właśnie zamknął swoje podwoje na dobre.

- Good luck¹ pacjentom - powiedział Sam.

Umowa Sama ze szpitalem od początku zakładała indywidualnego nauczyciela dla dzieci. Opal Boyd widziała zbyt wiele takich szkół jak ta w Good Luck i знаła ich nauczycieli. Więc zatrudniono pannę Martę, która miała wykształcenie pedagogiczne, aczkolwiek krótkie doświadczenie w zawodzie, a Opal zajęła się resztą, dopóki bóle głowy nie stały się nazbyt dotkliwe. A teraz także panny Marty zabrakło. Minął wrzesień, zaczął się październik. Dzieciaki przyzwyczyły się do tej niezwyklej wolności, która mogła zakończyć się w każdej chwili. Zabawy letnie trwały w najlepsze. Były jak te górskie dzieci, o których wiedziały, ale które rzadko spotykały - bose zjawy niewidzialne dla nauczyciela i dyrektora.

Ale czytały. Nawet Joe Boyd. Czytały w trakcie posiłków, prac i jazdy samochodem, okupowały łazienkę, gdzie urozmaicały sobie czas lekturą. Hildy potrafiła zarazem czytać i słuchać radia, i nie tracić nic z Nancy Drew ani Sky Kinga. Sam czytał książki, kiedy skończyła je Winnie, tak jak kiedyś czytał książki Opal.

Książki otrzymywali, pisząc do Stanowej Biblioteki w Lexington. W bliższej i dalszej okolicy wokół Bondieu nie było biblioteki publicznej. Raz w miesiącu wielkie pudło książek przyjeżdżało w czymś, co przypominało kosz na pranie z płóciennymi pasami, które można było zawiązać po przeczytaniu (albo nieprzeczytaniu) książek i odesłać. Jakie książki otrzymają, zależało od tego, co zamówiono, kto odebrał zamówienie i co było na półkach - wszystkiego biblioteka nie miała, ale i tak z perspektywy Bondieu wydawała się bezdenna. Jeśli Ptasia prosiła o książkę o koniach, mogła równie dobrze dostać grube tomy o końskiej anatomii lub zarządzaniu ranczem, jak i książkę w rodzaju *Czarnego księcia*, o którą jej chodziło. Joe Boyd wiedział, czego chciał, ale nie potrafił tego opisać: chciał książek pełnych faktów dziwnych ale prawdziwych, rzeczy, o które mógłby pytać innych i mieć pewność, że nie będą ich znać: o liczbę stworków, które zmieściłyby się na jednym ołówku, albo o to, ile ołówków można by zrobić z jednego cedru. Im mniej znane i bardziej obrzydliwe, tym lepiej.

To właśnie dzięki takim opisom, jakkolwiek sformułowanym, Joe Boyd dostał kiedyś wielką książkę, której wyklejka przedstawiała ruiny, a dwuszpaltowe strony pełne były mrocznych ilustracji. A może dołożono ją tylko po to, by dopełnić pudło - w ten sposób rodzina dostawała najlepsze i najgorsze książki. Tak czy owak, Joe Boyd przywłaszczył ją sobie i przeglądał czas jakiś, zatapiając się w obrazach potwornych bóstw, wiedźm na sabatach i heretyków na stosach. Potem wziął ją Pierce. Był to *Leksykon bóstw, diablów i demonów ludzkości* autorstwa Alexis Payne de St.-Phalle. Sam ubawiłby się tym nazwiskiem,

¹ Good luck (ang.) - powodzenia, wszystkiego najlepszego.

gdyby Pierce pokazał mu tę książkę. Kiedy przychodziła (a Pierce zamawiał ją raz za razem) od razu trafiała do pokoju Pierce'a na półkę, gdzie trzymał rzeczy dla niego ważne: mszał od ojca, album fotograficzny, kwarcowy kryształ i pamiątkowy nóż w pochwie z Bear Mountain. Podpórki pod książki miały kształt półkul globusa, a po obu stronach stały rzeźby chłopców i dziewczynek czytające książki pełne niewyobrażalnych faktów.

- Znowu ta? - spytała Winnie, kiedy otworzyła pudło w październiku. Pierce bez słowa wziął książkę. Wiedział, ile wciąż pozostaje w niej do przeczytania lub przypomnienia. Winnie rozdzieliła pozostałe książki. Hildy dostała Nancy Drew i Cherry Ames. (Nie ryzykowała i zamawiała w seriach. Ryzykowała tylko, że dostanie dwa razy to samo, czego jednak po pewnym czasie nie zauważała). Książki Winnie były poważne i pozbawione obrazków. Ptasia dostawała konie; Warren też, ale z kowbojami na grzbietach. Każde z nich pochłaniało potem własne stopy na osobności, jak głodomory.

Abraxas. Adocentyn. Apollyon. Ariel. Ars Notoria. Azazel. W *Rozmowach z aniołami doktora DEE (q.v.)* Azazel jest interpretatorem Boga. Co znaczyło to „q.v.”? Zaraz po wpatrzeniu się w olbrzymie ruiny ukazane na wyklejkach - potrzaskane antyczne tory, ogromne nagrobki pokryte niezrozumiałymi napisami, obalone filary zatopione w kępach trawy, łuki, urny, kapitele, obeliski - odnajdywał stronę, gdzie widniała nazwa sekretnej loży czy też klubu, którego prezesem był Joe Boyd (choć nie miał o tym pojęcia). Strona ta była gdzieś na początku, w haśle Alchemia (słownik miał szerszy zakres, niż sugerował tytuł; prawie każde dziwne pojęcie mogło się w nim znajdować). Książka niemal sama się tam otwierała - tak często była otwierana w tym miejscu.

Widniał tam rząd małych czarnych sztychów stworów zrodzonych alchemiczną sztuką z materii podstawowej: Czerwony Mężczyzna i Biała Kobieta, Zielony Lew, Dziecko Filozofa, Hermafrodyta (jedna pierś, pół brody, genitalia zbyt zagmatwane, by się rozeznąć). Poniżej obrazek Alchemika w płaszczu i dziwnym kapeluszu. Dym dobywający się z kotła i płomień pod nim nakreślono tymi samymi toporami czarnymi liniami co fałdy jego szaty. Był zbyt zajęty swymi tajemnicami, by zauważać tłum szponiastych, krętokłych, uskrzydłych po nietoperzowemu diabłów wlatujących przez okno i zadowolonych, że widzą go przy pracy, która przyniesie mu potępienie. Poniżej kolejny obrazek: miniaturowy zamek z podniesionym mostem zwodzonym, którego mieszkańcy zajęci są transformacją, lekturą opasłych tomów albo strzelaniem przez okna z pistoletów i łuków.

Zamek ten jednak się ruszał, a przynajmniej mógł, na czterech szprychowych kołach umocowanych na narożnikach. Wyglądał na komicznie mały, niewystarczający, jak komiksowy dom Humphreya Pennywortha, a zarazem ponury i groźny. To nie była zabawa. Z

nieba wskazywał nań palec, a wiatr wydymał napędzające zamek żagle. Jak wyjaśniała Alexis Payne de St.-Phalle w podpisie nieomal zbyt małym, by go odczytać, było to Niewidzialne Kolegium Różokrzyżowców, a po ubiorach mędrców w środku i ignorantów na zewnątrz widać było, że ruchome kolegium działało dawno temu, w dalekiej przeszłości. Dziś na pewno już przeminęło, jeśli kiedykolwiek istniało. Przeszło jak przeszłość, w której istniało, w której istniały także te wszystkie pozycje wyliczone w porządku alfabetycznym, ludzie, zdarzenia i fakty dziwne acz prawdziwe.

Przeszłość: te ruiny.

W przeszłości, niegdyś, kiedyś, gdzieś, królowie i bogowie chodzili nago: uzbrojeni, koronowani i obuci niekiedy, lecz nadzy tam, gdzie nagość ma znaczenie, przepelnieni być może tą samą poważną euforią, którą czuł Pierce, kiedy w zabawie jako wyzwoliciel, starożytny król, nakazywał swemu ludowi zrzucać szaty i być takim, jakim był kiedyś. Dałby przykład, odkładając płaszcz, i układałby się wygodnie w przyjemnej nagości, z koroną w dłoni i wspaniałomyślnością w sercu, a świat wokół wróciłby do pierwotnej radości. Kiedyś był złoty wiek.

- To było przed Kolumbem - mówiła Hildy.

- To był Stary Świat - mówił Pierce.

W przeszłości, w Starym Świecie, istniały imperia, których geograficzny bezmiar zginął bez śladu - mapy nie miały już dla nich miejsca, wypełnione krajami znanymi ze szkoły - mocarstwa wciąż jakoś istniejące, lecz poza granicami globu, podmorskie lub podziemne. Pierce wykuł na pamięć spis ich wymiennych bóstw i bożątek, które wówczas zaludniały powietrze i wodę, potężnych, lecz nie wszechpotężnych. To ostatnie stanowiło krzepiącą wieść - byli przyjaciółmi mocnymi lub wrogami trudnymi, ale nie wszystkowidzącymi ani wszechobecnymi. Mędrcy mogli podówczas nad nimi zapanować (a może było to później, kiedy stracili na sile): mogli zakląć ich w lustrach i posągach, rozmawiać z nimi. *Magi*, twierdziła Alexis Payne de St.-Phalle, to słowo z PERSJI (*q.v.*).

- To było przez Jezusem - powiedziała Hildy. - Bo wierzyliby w Jezusa. - Przecież wszyscy dobrzy i mądrzy, którzy nie słyszeli o Nim, na pewno by uwierzyli, gdyby mieli szansę. Byli Niezachwianymi Ignorantami dlatego, że żyli, kiedy żyli. A gdzie są teraz? W Otchłani.

Być może, powiedział Pierce, ale sam nie potrafił umiejscowić imperiów w czasie; były one przedtem albo potem, albo gdzie indziej, nieokreślone; w datach naszej ery, które zmniejszają się, im bliżej są początku, albo w lustrzanych datach przed naszą erą, które

biegną w drugą stronę i rosną, im bardziej się oddalają: epoka brązu, żelaza, kamienia łupanego. Kiedy Jezus przybył, bogowie już umarli lub skryli się, powietrze opustoszało. Wtedy także, choć może nie wszystkie naraz, i nie z powodu Jego przyjścia, ale ponieważ zaistnienie nowego porządku w pewien sposób wyklucza istnienie starego porządku nawet z mocą wsteczną (wiatr dmący w tył poprzez czas, burzący kolumnady, chramy i dębowe gaje), tamte imperia Upadły. Upadła Persja, Upadł Rzym, Upadło Bizancjum. Pierce znów przyjrzał się ruinom na wyklejkach książki i ujrzał Upadek. Jeden smutny blok pękniętego marmuru na wpół zatopiony w zapomnieniu, jakie oferuje ziemia, nosił głęboko rzeźbiony napis: - Ægipt.

Wędrowali od jednego upadłego imperium do drugiego, wygnani, samotni, mający tylko siebie. Ich bronią były zaradność i pomysłowość, przysięga, którą sobie złożyli, i mikstura zabrana z niezapomnianej ojczyzny, mikstura tak potężna, że mogła ożywić zmarłego, jeśli dusza jeszcze nie wyszła z ciała. I jeszcze niewidzialność, która podobnie jak niewidzialność mandragory, nie była prawdziwą niewidzialnością, lecz czymś w rodzaju niewidzialności ekstatycznej, która zasłaniała ich przed wzrokiem ludzi. Mieli także miecze. - I pistolety - mówił Warren, który nie chciał się rozstać ze swoją bronią.

Kiedy Warren do nich dołączał, gra zamieniała się w niekończący się ciąg walk, podstępów, starć i ucieczek. Łagodnie i pozytywnie nastawiona Ptasia była ofiarą napadów, porwań, ratunku i obrony epoka po epoce. Wrogowie byli wyimaginowani, bo nikt się w nich nie wcielał, ale trzech Niewidzialni mogli reprezentować każdą ich liczbę, nawet migrujące tysiące, w drodze ze swoich domów do Starych Światów powstających bez końca. Hildy nie przepadała za udawankami (choć uwielbiała teatr, widowiska, odgrywanie żywotów świętych i narodzin narodów), więc brała role umierających królów lub proroków, którzy wydawali polecenia, organizowali krucjaty, wiązali Bractwa przysięgą. Czy młodsi wcielali w życie jej instrukcje, nie wiedziała. Czasem, kiedy siadała do lektury, widziała, jak przechodzili za oknem, w pelerynach, uzbrojeni, skoncentrowani na swoim zadaniu. Warren wracał z meldunkami o postępach, które przekazywał w swój chaotyczny sposób.

Już jako dorosły - typowe - Pierce zapomniał, ile pracy wymagało od dzieci podtrzymywanie iluzji, koncentracja, nie, ekspansja woli, świadomy wysiłek, by zapomnieć o świadomej decyzji o udawaniu (do czego dzieciaki są zdolne jedno naraz, hipnotyzując te, którym było trudniej, terroryzując te, które się opierały, jeśli było trzeba); a potem ciągłe poprawianie i dogłądanie wytworów imaginacji - usunąć sprzeczności bez wahania, odrzucić zużyte przygody, potoczyć kulę w nieznane. Kiedy na bramach tych ogrodów zawisły kłódki, kiedy te studnie przykryto, Pierce nie pamiętał, jak dobry kiedyś w tym był. W otchłani

owego października z Warrenem i Ptasią przeszukiwali codziennie pod kierunkiem Hildy wzgórza wypalone lub żółte (ambrozja, o dziwo, kiełkowała znów w popiele), ciągnąc opowieść, aż nie mogli już się odnaleźć w rosnącym mroku.

- Mają to miasto - powiedział do Ptasii i Hildy, kiedy leżeli w swoich łóżkach długo po zgaszeniu światła - miasto podziemne...

- Jak można zbudować miasto pod ziemią?

- Kiedyś leżało nad ziemią - wyjaśnił Pierce - ale potem Upadło. Teraz jest pod ziemią.

- Ale umieją tam wejść.

- Wiedzą, jak tam wejść, bo są wejścia w wielu miejscach. Wygląda jak, no wiecie, jaskinia albo dziura w skałach. Tam się wchodzi i idzie do tego miasta.

Ścigana przez złych ludzi (z powodu klejnotów, sekretów, mikstur) grupka wchodzi.

- Joe też - powiedziała Ptasia.

- Joe też.

Odepchnąć skałę, wetknąć pochodnię: odgłos spadającej kropli, błysk płomienia na kamieniu. Ale po kilku niepewnych krokach docierają do schodów wykutych w litej skale - schodów prowadzących w dół. Przemineły całe pokolenia, a pamięć o tej drodze wraz z nimi. Zdumieni Niewidzialni (Joe Boyd też), naśladowując płaskorzeźby, idą bokiem wzdłuż ścian w dół. Jaskinia się poszerza, na ścieżkę pada niewiadome światło. Teraz nie zdołają już odnaleźć drogi z powrotem, ale nie boją się wcale. Poniżej jaśnieje dziwny blask, słychać odgłosy życia i ruchu. Wychodzą na taras widokowy nad ogromną wewnętrzną przestrzenią i widzą ruiny zniszczonego miasta, teraz na wpół odbudowanego, krzątaninę istot wykonujących nieznaną czynność w ogrzewającym wszystko sztucznym słońcu.

Adocentyn. Już bezpieczni. W środku środka maszyna budowana od dziesięcioleci, srebrny dysk, idealny, lecz nieruchomy, czekający tylko na klejnot, z którym przybywamy, klejnot, którego pożąдали źli ludzie, dla którego podjęliśmy wszelkie ryzyko, nie wiedząc, ile jest wart. Mag w toczce z brodą białą jak mleko i zadowolonym w poważnych oczach bierze go i umieszcza w sercu statku kosmicznego. Góra rozwiera się nad nimi, ukazuje się nocne niebo roziskrzone gwiazdami.

Jak góra Palomar, którą Pierce widział kiedyś w telewizji. W jego wspomnieniach góra i obserwatorium połączyły się w jedno. Kuzynki teraz spały i sam Pierce miał nie pamiętać nazajutrz tych konkluzji, ale to nie miało znaczenia; było ich więcej tam, skąd przyszły. W tym mieście, gdzie wyobrażali sobie także inwestyturę na prezesa Joe Boyda, wręczenie berła władzy, przekazanie hasła i pierścienia, tylko że oni nie potrafili powstrzymać się przed

rozbudowywaniem ceremonii do absurdu, nie mogli powstrzymać się od śmiechu, kiedy Joe Boyd dostawał specjalny kapelusz i buty, przechodził niekończące się rytuały, słuchał treści grubych ksiąg i zwojów, składał jedną i drugą przysięgę, poganiany z ołtarza na tron, przy wtórze śmiechu Pierce'a i dziewczynek wyobrażających sobie tę scenę.

Ale Joe Boyd nie miał czegoś, co mieli inni - znaku.

Warren, Hildy i Ptasia sądzili, że Pierce sam wymyślił ten znak, choć z ochotą słuchali opowieści Pierce'a (wedle której był to prawdziwy hieroglif ostatnich sprawiedliwych Egipcjan, stworzony po to, by mogli się poznawać) i patrzyli, jak rysuje go na ich skórze długopisem - na ramieniu Hildy, na łopatkę Ptasi i po naleganiach Warrena na jego brudnym brzuchu.



- Ech, Warren - powiedziała Winnie, myjąc go. - Wolałabym, żebyś nie rysował na sobie.

- Nie rysowałem.

- A co to jest?

- Nie wiem. - Spojrzał po sobie zdumiony, jak gdyby znak dopiero teraz się pojawił, niebiesko-czarny pajęczy stygmat (jak ci się podobam?).

- W każdym razie nie chce się zmyć. Nie rób już takich rzeczy.

W tajemnicy, jak pozostali, poprawiał znak, kiedy ten blaknął, dziwiąc się razem z Winnie jego uporczywości. Po latach potrafił go odtworzyć na serwetce albo w notesie i zadumać się nad nim.

W ostatnią niedzielę miesiąca Pierce siedział w salonie zwinięty na krześle z czarnego płótna i kościstego żelaza, pisząc comiesięczny list do ojca. Zaczął dobrze, pewien, że samym pożarem zdoła wypełnić kilka stron, zanim straci węgę i znudzi się, ale już na dole pierwszej strony (maszerując słowami stromo ku dolnemu rogowi jak żołnierze po zboczu góry) przypomniał sobie słowa Joe Boyda: T w ó j tata. Nie wierzył w to, ale zatrzymał się, złapany w pułapkę sprzecznych bodźców, z jednej strony napawając się wspianą szkodą, z drugiej ją odrzucając. Aż wreszcie poddał się. Schylił się w nietoperzowatym krześle, wyciągając rękę po komiks, który pod nim leżał.

W telewizji leciał *The Christophers*² a potem *The Big Picture*³, poważny młody ksiądz

² The Christophers - założona w 1945 roku organizacja katolicka zajmująca się między innymi działalnością społeczną. Jej motto brzmi: lepiej zapalić świecę niż przeklinać ciemność.

w gabinecie i poważny oficer przy biurku. Po jego bokach stały flagi, a z niewidocznych żaluzji padały na ścianę za nim skośne pasy światła. Czołgi przejechały z lewej do prawej strony ekranu. Joe Boyd, leżący na podłodze, podniósł głowę nad krawędź sofę i popatrzył. „Przez te pradawne równiny Europy tysiąc armii maszerowało we wszystkich kierunkach, obalając królów i cesarzy”. Czołgi wspięły się po nagich wzgórzach, strzelając ku nieistniejącym wrogom. „Dziś twoja Armia bierze udział w obronie Europy przed królami Wschodu”.

Pierce odwrócił wzrok. Lepiej zapalić świecę niż przeklinać ciemności. Złym ludziom udało się zdobyć wielki kawał jaskrawozielonego Kryptonitu, którego wpływ na Clarka Kenta był straszliwy - spadła nań ciężka, dławiąca słabość, śpiączka, prawie śmierć. „Muszę... muszę... wydostać się stąd...”. Ocyka się w obskurnej uliczce dużo później (dni? tygodnie?), nie odzyskawszy jeszcze swojej supermocy, nie pamiętając nic - ani swojej prawdziwej natury, ani fikcyjnej, ani utraconej ojczystej planety, ani ojca Jor-Ela, ani miłych przybranych rodziców w Smallville. Błąka się po ulicach z naciągniętym głęboko kapeluszem i podniesionym wysoko kołnierzem. Kim jestem? Jak się tu znalazłem?

- Myślałam, że piszesz do ojca - powiedziała Winnie, kiedy przyszła po swój sweter i papierosy schowane w jego kieszeni.

- Pisałem. Piszę. Napiszę.

- O czym pisałeś?

- O pożarze.

„Ogromna energia, odkryta w sercu materii, oddaje w ręce twojej Armii nową broń do obrony wolności”. Joe Boyd - jak i Pierce i Hildy, bo nie dało się nie patrzeć - oglądał rozrost dziwacznej chmury-kwiatu i słuchał jej dudnienia. W tle była legenda, $E=mc^2$, jej mistyczna przyczyna. „Materia, energia, światło: wszelkie przejawy Stworzenia. Jak możemy mądrze wykorzystać tę wiedzę? Jak możemy jej użyć?”.

- Naprawdę można przemieniać ołów w złoto - powiedział Joe. - Można rozwalić ich atomy.

Żołnierze w ciemnych goglach także patrzyli na przemianę, bielejąc, kiedy uderzyła w nich fala światła. Winnie zapłonęła, siedząc przy pianinie, i zapaliła old golda. Tak naprawdę nie była tu całą sobą, ale też dała się złapać.

Jak czarne krzesło, na którym siedział jej syn, jasne pianino zostało kupione z myślą o domu na Long Island, który Sam i Opal nabyli rok przed wyjazdem, jeszcze zanim go

³ Amerykański serial dokumentalny z dziedziny wojskowości, emitowany w latach pięćdziesiątych.

zbudowano, a który opuścili niedługo po ukończeniu budowy. Reszta mebli z tamtego parterowego długiego domu w stylu ranczo także tu się znalazła - pokryte czerwonym plastikiem fotele klubowe o czarnych nogach, stojak na gazety z kutego żelaza, stojąca lampa z jajowatym aluminiowym „owocem” wyrastającym z „łodygi”, zasłony typu „bananowe liście” i przybory kominkowe z mosiężnymi uchwytami jak płomień. Pod ścianą stała segmentowa sofa w kolorze fioletowobrazowym, z materii o fakturze supełkowej, nigdy do końca niepasująca bez względu na to, gdzie ją ustawiono („seksualna sofa”, żartował Joe, szokując pruderyjnego Pierce’a). Kiedy Winnie zobaczyła, że te rzeczy wciąż tu są, zdały jej się bardzo smutne - rozłączone z oknem panoramicznym, kamiennym kominkiem, wypędzone wraz z właścicielami w to zaniedbane miejsce z szafką na porcelanę z drzewa eukaliptusowego i tapetą w stulistne róże. Ale upłynęło sporo czasu, zanim zaproponowała zmianę. Sam nie zwracał na nie większej uwagi - o to właśnie chodziło, Winnie wiedziała o tym. Wszedł i wziął jedyny duży fotel w pomieszczeniu, swój fotel, z którego każdy niezwłocznie wstawał, widząc, jak Sam wchodzi. Wyglądał bowiem nie na miejscu w jakimkolwiek innym fotelu, tak samo, jak nie na miejscu wyglądał w samochodzie na siedzeniu innym niż kierowcy.

- Co się tam działo? - zapytała Winnie. Sama wcześniej wezwano do szpitala, jak często w niedzielę przed południem, zwykle po to, aby postawić na nogi ocalańców sobotnich nocy.

- Dziecko miało atak padaczkowy - odparł Sam. Winnie skrzywiła się z żalu. - Myślę, że to po prostu z powodu gorączki. Czasem tak się dzieje przy wysokiej temperaturze. Trudno powiedzieć, dopóki gorączka nie minie.

- A jeśli nie minie?

Wzruszył ramionami, patrząc w telewizor.

- Spróbujemy fenobarbitalu. Wyślę go do Lexington na obserwację, jeśli matka z nim pojedzie. Szkoda, wielka szkoda, że dzieciak jest niedożywiony. - Roześmiał się. - Pytałem, czym go karmi, a ona na to: tym co zwykle, cyckiem i ziemniakami.

- Sam! - przerwała Winnie. Dzieci udały, że nie słyszą. Naukowiec w białym kitlu wsadził deskę w punkt skupienia wielkiego talerza anteny - stanęła w ogniu. Z samochodu wysypali się górnicy i zeszli w głąb mrocznych tuneli. Jedna usmarowana na czarno twarz odwróciła się z uśmiechem. „Energia słońca, energia stworzona z bezsłonecznych przestrzeni”.

- A wiesz - spytał Joe - że diamenty to tak naprawdę węgiel w innej formie? Można zrobić diamenty z węgla. Wystarczy je rozgrzać i ścisnąć.

- A wiesz - zapytała ironicznie Hildy - że na ołówku zmieści się sześćdziesiąt stworków?

- Diament to węgiel - powiedział Joe, patrząc na nią. - Tylko węgiel.

- Nie powiedziałam, że nie - odpowiedziała Hildy, bez strachu zbliżając swoją twarz do jego twarzy. - Zresztą już to wiedziałam.

- Jasne - parsknął Joe.

- Mam wieści - powiedział Sam. Począł, aż zwrócił nań uwagę. Tak się stało, choć ich oczy wciąż śledziły ekran. - Wpadłem na siostrę Mary Eglantine. - To była jego szefowa, dyrektorka szpitala. - Powiedziała, że znalazła siostrę, którą może wypuścić, by was uczyła.

- Wypuścić? - zaśmiała się Winnie.

- Wypuścić: tak powiedziała. Nie wiem, gdzie ją trzymają.

Z wyjątkiem Warrena wszyscy byli już wcześniej uczeni przez zakonnice, w Brooklynie i Long Island. Wciąż wpatrywali się w ekran, ale w ich milczeniu pełno było teraz złych przeczuć.

- Siostra Mary Filomela - powiedział Sam poważnie.

- Zdaje się, że ma odpowiednie wykształcenie. Przez lata uczyła trzecie klasy w Cincinnati czy gdzieś tam. Brzmi OK.

- Chciałabym się z nią spotkać - powiedziała Winnie. - Przynajmniej tyle.

- Oczywiście - przytaknął Sam. - Mówi, że może zacząć jutro.

- Jutro?! No dobrze, ale...

- Im wcześniej, tym lepiej. Musimy z tym ruszyć. Sięgnął po niedzielną gazetę rozsypaną wokół fotela. Winnie powstrzymała się od zgłoszenia obiekcji. Hildy ześlizgnęła się z sofy i wyszła z pokoju (było dużo do zrobienia, skoro szkoła zaczynała się od jutra), a Winnie wkrótce do niej dołączyła. Joe Boyd został do końca *The Big Picture*.

- Tato, byłeś w wojsku lądowym czy lotnictwie?

- I tu, i tu.

- Tato, serio.

- Naprawdę i tu, i tu. Byłem w lotnictwie, zanim oddzielono je od wojska.

Joe Boyd tkwił zatopiony w myślach, rozważając możliwe wybory - ziemia czy powietrze. Program się skończył: czołgi sunęły niestrudzenie, żołnierze maszerowali, samoloty pięły się w niebo. Kiedy i Joe wyszedł, Pierce został sam z wujkiem.

- Wyłącz telewizor, Pierce.

Sam Oliphant posiadał w swoim domu niekwestionowaną władzę, nad którą wcale się nie zastanawiał: ani jak ją zdobył, ani czy powinien z niej korzystać. Niekiedy dopadała go

chandra, do czego, jak sądził, miał prawo, czasem bywał gniewny i łatwo się irtutował, jak gdyby nie był w stanie pogodzić się z faktem, że po tragedii, która go spotkała, i po wszystkich staraniach, jakie podjął, by nie dać się jej zgnieść, wciąż mogą go dotykać codzienne nieprzyjemności życia. Reszta rodziny starała się to nadrobić, a Sam stawiał na swoim i przeważnie bez trudu uzyskiwał w domu to, co chciał. Wciąż jednak uważał się za osobę w gruncie rzeczy dobroduszną i przystępną i zabolaloby go, gdyby się dowiedział, że siostrzeniec nie potrafił wytrzymać z nim w tym samym pokoju dłużej niż kilka minut.

Pierce znalazł u stóp wujka dowcipy rysunkowe i rozciągnął się na podłodze, by je przeczytać. Sam potrząsnął stronami gazety. Pierce poruszył się, czując się nieswojo, i odwrócił kolorowe strony. Piotruś Ból⁴ (ogórkowozielony demon, o którym milczał słownik) trzymał głowę chorego w żelaznym uścisku i zatykał mu nos, trzeba go potraktować Ben-Gayem. Sam spojrzął na Pierce'a znad okularów.

Chłopak wstał z westchnieniem. Czuł, że Sam nań patrzy, ale nie odwzajemnił spojrzenia. Bez nieuprzejmego pośpiechu, jak gdyby nie miał nic szczególnego do zrobienia gdzie indziej, ale też nie miał po co zostawać tutaj, wyszedł.

Zrobiło się zimno. Za oknem, przez które spoglądała Hildy, i za tym, przez które spoglądał on, wiatr zrywał kolorowe liście z drzew. Hildy przyszedł na myśl kalendarz, którego strony przemykają w scenie filmowej. Na piętrze większego budynku Winnie szukała po szafkach podręczników, które tu zesłała na wiele miesięcy, standardowych tekstów dla tegorocznego poziomu dzieci, które ukryła przed nimi, by nie przeczytały ich, zanim zaczną się szkoła.

⁴ w oryg. Peter Pain; postać z reklamy maści rozgrzewającej.

CZTERY

Anioł stróż siostry Mary Filomeli obudził ją przed świtem, zgodnie z jej wcześniejszą prośbą. Otworzyła oczy o 4:24 (według fosforyzujących wskazówek położonego na nocnym stoliku maleńkiego zegarka ręcznego - подарunku od ojca z okazji złożenia ślubów). Leżała bez ruchu na wąskim łóżku i cicho odmawiała Magnificat. Powinna uklęknąć, ale nie chciała przeszkadzać siostronom śpiącym po obu jej bokach za białymi zasłonami. Pielęgniarki potrzebowały każdej sekundy snu.

Kiedy dormitorium przebudziło się i zasłony zaczęły falować, powodowane ruchem siostr, Mary Filomela podniosła się z łóżka i uklękła na płytkach podłogi (znacznie zimniejszych od drewnianych desek waszyngtońskiego konwentu), by modlić się o pomoc, siłę i mądrość do nowego zadania, do którego wykonania ją wezwano. Poczwała, jak wypełnia ją swoista siła, niczym światło jaśniejące coraz mocniej w oknie obok łóżka.

Kiedy poszła do toalety, stwierdziła, że okres już minął. Dobrze - mogła wziąć prysznic, czego nie robiła od kilku dni, i myć się, myć się, myć. Zimna i wilgotna kabina prysznicowa zdawała się nawet mniej pokutna niż zwykle, choć woda cuchnęła jak zawsze siarką. To całkowicie naturalne, siostry, górskie źródła - mówiła siostra Mary Eglantine, ale nie tylko siostrze Mary Filomeli przychodziło na myśl zanieczyszczenie, odpady górnicze, ciężarówka z węglem ciągnące bez końca drogą za terenem szpitala.

Ubierając się - tego poranka wyjątkowo starannie - powtórzyła Magnificat. Wielbi dusza moja Pana. Myślała o długiej i stromej drodze do domu Hazeltona na wzgórzu. Nie zdołała jeszcze znaleźć materiałów, podręczników, plansz ani książki dla nauczyciela, które wykorzystywała, ucząc w Waszyngtonie. Modliła się o wskazówkę, gdzie w szpitalu lub budynkach gospodarczych teraz się znajdują, ale nie otrzymała jej. Drewniana figurka świętego Wacława - jedyny przedmiot w jej celi poza krucyfiksem i szafką - stała twarzą do ściany. Święty nie pomógł siostrze w kłopotcie, w poszukiwaniach podręczników ani w problemie z podbrzuszem. Niech jeszcze trochę tak sobie postoi.

Siostry sunęły korytarzami ku kaplicy, chowając dłonie w rękawach, a twarze w kapturach, z żółwią intymnością i ślimaczą samowystarczalnością, chociaż spojrzenia miały wesole. Zajęły miejsca w niewielkiej kaplicy i wraz z siostrą Mary Eglantine odmawiały litanię, oczekując na księdza:

Królowo Anielska.

Módl się za nami.

Góro Miłosierdzia.

Módl się za nami.

Jaskinio niewzruszona.

Módl się za nami.

Wieżo z kości słoniowej.

Módl się za nami.

Mądrości Egiptu.

Módl się za nami.

Wrota Księżyca.

Módlcie się za nami.

Kaplica ze swym miniaturowym wyposażeniem zawsze przypominała siostrze Mary Filomeli małe zamki i sale tronowe dawnej sztuki; inkrustowane klejnotami szafki akurat mieściły figurkę Marii Panny lub świętych, łokieć o mało co nie wystaje przez łukowate okno, stopa opiera się na progu. Ale bez względu na to, gdzie, tu czy u świętego Piotra, misterium przebiegało w ten sam sposób, kojący i rytmiczny, jak szybko i sprawnie założony bandaż. Inkarnacja, Męka Pańska, Zmartwychwstanie, Wniebowstąpienie. *Hoc est enim Corpus Meum*. Siostra Mary Filomela wzięła hostię na język, słodczyz wypełniła jej usta; nieomal znowu zasnęła.

Podczas śniadania, w obliczu zwykłych ziemskich płatków zbożowych, znów straciła siły. Zjadła tyle co ptaszek, starając się odzyskać radość i energię, ale nie było jej na to stać. Niech to. I do tego czekało ją długie przedpołudnie. Umyła naczynia, mając nadzieję, że zmarnowane jedzenie nie zostanie zauważone. Najbardziej świątobliwa Matka przełożona w historii zakonu uzyskała dar ineditii - nie jadła, czy raczej nie potrzebowała jeść, przez trzy miesiące. A może lata? A ponieważ nie jadła, więc także nie - no, nie miała też okresu, co było błogosławieństwem. Siostra Mary Filomela wątpiła, by jej własna niezdolność do zjedzenia śniadania była darem łaski. Czuła po prostu mdłości i chłód w żołądku.

Wyszła z kuchni tylnym wyjściem, gdzie jedna z sióstr za pomocą czegoś w rodzaju gofrownicy wypiekała komunikanty dla kościoła - białe kółeczka ozdobione wzorem literowym (IHS) piętrzyły się w stosach, przypominając siostrze Mary Filomeli celuloidowe żetony pokerowe jej ojca, piękne, kolorowe i białe kółka, którymi się bawiła. Dziwne rzeczy przychodzą na myśl. Pamiętała smak tamtych żetonów.

Nie było czasu szukać dalej kartonowych pudeł z jej dawnymi materiałami. Ruszyła spiesznie po schodach - nigdy się nie śpieszcie, siostry - i przez szpital do dormitorium. W korytarzu na tle jasnej boazerii stał, a może raczej leżał, niczym smoczy trup albo katowski kaptur i topór, Stary Kufer. Wiekowy, podziurawiony przez korniki, poczerniony pszczelim woskiem, rzeźbiony kufer ze Starego Świata. Przybył tu wraz z pierwszymi siostrami jako jedna z rzeczy rozdzielonych między oddziały zakonu niczym udziały w bezużytecznym spadku starego imigranta, niesiony przez lasy i wody, nie wolno zapomnieć. Zakonnice mówiły, że można w nim znaleźć wszystko to, co się zgubiło. Był to żart, bowiem klucz albo klucze doń same dawno się zgubiły - dziś liczne szufladki i drzwiczki pozostawały zamknięte. Wykorzystywano go tylko jako stojak pod wielki flakon z kwiatami, zawsze świeżymi, wyrastającymi z niego jak z grobu. Siostra Mary Filomela zatrzymała się w pędzie, by je powąchać. W łazience też nic.

W celi między białymi zasłonkami zauważyła, że Wacław nieśmiało, ale i z nadzieją, odwrócił się trochę od ściany. O, co to, to nie, pomyślała. Nie ma mowy, jeśli na tak niewiele cię stać. Zdecydowanym ruchem ujęła świętego za ramiona i odwróciła twarzą do ściany.

Zakonnice ze Szpitala Matki Boskiej Przydrożnej („Matki Boskiej Przynożnej”, powiedział kiedyś nieświadomie Warren, a dziś wszyscy Oliphantowie tak go nazywali między sobą) stanowiły część zakonu austriackiego, założonego w XVII wieku na ziemiach czeskich pod panowaniem Habsburgów, które podówczas nawrócono z powrotem na katolicyzm. Był to zakon nauczycielski, któremu cesarz powierzył opiekę nad dziećmi szlacheckich rodów Bohemii, z których wiele było do niedawna protestantami. (Pierce i reszta Oliphantów nauczyli się na pamięć baśniowej wersji tej historii w ramach lekcji). Pełna nazwa zakonu brzmiała Pacyficzny Zakon Najświętszego Dzieciątka. Wyrażał on głębokie oddanie postaci Jezusa czczonej w Pradze, *gratiosa Jesula pragensis*, gdzie był on ładnym chłopczykiem w miniaturowej koronie i królewskich szatach. W pachnącej tartą sali wejściowej Szpitala Dzieciątka Praskiego stał na piedestale pod szklanym kloszem w koronkach i jedwabiach („jak laleczka do kolekcji” powiedziała Hildy), a dalej za Nim Jego Matka.

Misja zakonu nie zmieniła się od tamtych czasów. Nadal było nią głoszenie Wiary na ziemiach protestanckich, ale siostry już nie nawracały - zwróciły się teraz ku Pracom zgodnie z sugestią Matki Boskiej (przekazaną dziewiętnastowiecznej Matce Przełożonej, obecnie na etapie beatyfikacji). Być może to związek z dawną monarchią przyciągnął je do Bondieu, ponieważ pierwszymi mieszkańcami maleńkich rzędów domów wzniesionych przez Good Luck Coal and Coke byli (wraz z mieszkańcami gór ściąganyymi z całego kraju) górnicy z

Bohemii, zatrudnieni przez agentów w węglonośnych złożach Pensylwanii. To dla tych właśnie ludzi i ich rodzin (nazywanych często Holendrami albo Polakami) przysłano do Bondieu pierwszego księdza, który z ich pomocą zbudował w jarze drewniany kościół pod wezwaniem Najświętszego Sakramentu, różniący się od pozostałych sześciu kościołów w miasteczku.

Pierce'owi trudno było lata później wytłumaczyć sobie i innym świat swojego dzieciństwa. Skrajności były zbyt od siebie odległe, zakonnice i prostytutki; jego i Oliphantów obecność pośród nich zbyt nietypowa. W niedzielę ze wzniesienia słyszeli głościki Kościoła Bożego w Chrystusie, który nadawał nabożeństwo (pieśni, władcze przemowy, nieokreślone krzyki i jęki) na całe miasto. Głośność była podkreślona, akcenty zbyt silne, teologia zbyt skrajna, by dzieci zrozumiały więcej niż kilka słów. Hildy zastanawiała się jednak, czy samo słuchanie nie stanowi złamania zasady, która zabrania katolikom uczęszczać na nabożeństwa innowierców.

- A w ogóle to jakie mają prawo zmuszać wszystkich do słuchania?

Pierce pomyślał, że najlepiej byłoby wziąć helikopter, załadować ogromny głośnik na długim kablu i w pochmurny dzień (jeden z dni, jak powiedział, kiedy pękate chmury wypełniają całe niebo, rozstępując się co jakiś czas, by przepuścić religijne snopy światła, rozchodzące się promieniście po ziemi) polecieć helikopterem z ukrytego miejsca ponad chmury, tak wysoko, żeby nie było słychać silnika. Potem ze zwieszono nisko na kablu głośnika odezwałby się Bóg i kazał wszystkim przejść na katolicyzm.

- Uwierzyliby - prychnął Joe Boyd. - Jasne.

- Tak czy siak - odpowiedziała Hildy - wszystko by się zmieniło, gdyby tak ich nabrać.

Pierce nie tak to widział. Według niego, gdyby ludzi zebrać w jedną prawdziwą trzódkę, w jakikolwiek sposób, z czasem wszyscy dojrzeliby oczywistą słuszość doktryny - a w międzyczasie nie groziłaby im śmierć poza Kościołem. To musiałby być helikopter, bo helikoptery potrafią utrzymać się w jednym miejscu. Zadanie dla Niewidzialnych.

- Tak czy siak - powtórzyła Hildy - gdyby Bóg chciał tego, zrobiłby to sam. A nie robi, więc nie chce.

Hildy uważała, że głupotą jest wyobrażać sobie Boga jako intryganta, który stale ingeruje w codzienność. Przyrodzony porządek reguł i ich konsekwencje ustalono na samym początku, a teraz działają już same z siebie, dostępne dla każdej myślącej osoby dobrej woli. Maria mogła tu i ówdzie objawiać się dzieciom z własnych powodów, ale Bóg nie zwracał sobie głowy tego typu cudami. Hildy najwyżej ceniła w Bogu Ojcu wyraźny, acz bezosobowy realizm. To samo najbardziej ceniła także we własnym ojcu.

Żyjąc z dala od kontroli instytucji, Sam Oliphant zrobił się heterodoksyjny i pelagiański; niechcący wpadł w pułapkę heretyckiej doktryny dwóch kościołów, jednego dla dzieci i ignorantów, gdzie wszystkie opowieści są prawdziwe w przekazanej formie i nie wolno ich kwestionować, drugiego zaś dla mądrzejszych, którzy wiedzą lepiej. Niczym osiemnastowieczny deista Sam uważał, że fundamentem jego wiary jest rozum, a każda warstwa liturgii, dogmatu i rytuału położona na tym fundamencie jest do zaakceptowania, choć niekoniecznie do usprawiedliwienia, dzięki tej pierwszej rozumności. Należało spełniać najróżniejsze zobowiązania kościelne według litery, lecz wierzyć tylko w to, na co godził się rozum - w istocie, jeśli rozum czegoś wymagał, to stawało się to dogmatem. Sam świat to produkt rozumu, postępu ewolucji, szukania sensu, ludzi nabierających mądrości i przenikliwości w poznawaniu świata. Świat obraca się wokół prawdy; stworzył go Bóg i Jego Kościół temu nie zaprzeczy. Jak sekrety bractwa czy maskotki drużynowe, absurdy wiary nie trapiły Sama, bo było to jego stronnictwo, jego absurdy.

- Tato, a ty ochrzciłeś kiedyś kogoś?

- Nie przypominam sobie.

- No bo siostra mówi, że wszyscy, a lekarze to już w ogóle, powinni wiedzieć, jak chrzcić, gdyby spotkali kogoś umierającego, kto chciałby się ochrzcić. Szczególnie lekarze.

- Gdybym kogoś nie wyleczył, co? Powinienem wysłać ich do nieba, jeśli nie uda mi się zatrzymać ich na ziemi?

- Nie trzeba księdza ani wody święconej. Po prostu trzeba to zrobić.

- A co zrobić, jeżeli się w ogóle nie ma wody?

- Wystarczy, jeśli jest to w większości woda. Może być błoto.

- W większości woda! A wiesz, że twoje ciało składa się w większości z wody? 65%. Świstak składa się w większości z wody. Czy wolno mi chrzcić za pomocą świstaka?

- Tato!

Podczas tych kłótni lubił spierać się z dziećmi albo Winnie o religijne niuanse (co robił z radosną sofistyką). Często zdawało się, że tak naprawdę mówi do kogoś innego, albo marzy, że ktoś inny podsłucha i się ubawi (ktoś inny - jakaś inna wersja jego samego). Mówił bowiem rzeczy, których dziecko nie pojmie, a nawet nie dostrzeże, że mogą być zabawne. Pierce orientował się, kiedy Sam robił tak z Warrenem, więc zakładał, że z nim samym też tak robi, choć wtedy nie mógł się zorientować.

Ironia nie przychodzi dzieciom naturalnie. Brutalny sarkazm („T e r a z jesteście zadowoleni?") potrafią dostrzec i potępić, ale - zwłaszcza w kwestiach religijnych - są dogmatykami, nie ironistami. Dokuczanie Sama stawiało je w trudnej sytuacji, a nawet

żenowało, czego on nie odczuwał. Wreszcie pojęły cały trik i przejęły go, podobnie jak herezję Dwóch Kościołów, co rozumiały po prostu jako zdrowy rozsądek. Zaczęły żyć - każde z osobna - pewnego rodzaju podwójnym życiem. To była trudna szkoła i Hildy przetrwała ją tylko odwracając warunki Sama, które polegały na zewnętrznym przestrzeganiu obrządku przy wewnętrznej ironicznej niezgodzie. Ekstrawertyczna i żartobliwa poufałość Hildy balansowała na granicy pogardy i sprowadzała na nią kłopoty ze strony zakonu i jego przełożonych, lecz odzwierciedlała wewnętrzną lojalność mocniejszą niż jakiegokolwiek słowa.

Siostra Mary Filomela była bóstwem innym niż Sam, bardziej wielostronnym i zdumiewającym, a także bliższym.

- Dzieci - powiedziała - w ogródku w centrum szpitala, dokładnie pośrodku ogrodu, gdzie przecinają się dróżki, jest poidelko dla ptaków, wiecie o tym? A dokładnie pośrodku poidelka jest srebrna kula. Prawda?

- Taak sioostroo.

- Jeśli spojrzycie w tę srebrną kulę, zobaczycie, że odbija wszystko naraz: górę, dół, poniżej, powyżej, blisko, daleko, prawda?

- Taak sioostroo.

- Tak. Widzicie w niej wszystkie ściany wyginające się do środka, i każde okno, i nawet samych siebie, patrzących w kulę. A kiedy ja siedzę tam i patrzę w tę kulę, myślę sobie, takie właśnie jest oko Boga, które patrzy na wszystko naraz.

Pod kierunkiem siostry Mary Filomeli dzieci Oliphantów i Pierce wpadały na nowo w dawną sieć obrządków i skrupułów, i znów dostały przedmioty kultu, szkaplerzyki, święte obrazki, cudowne medaliki, bez których obywateli się pod okiem panny Marty. Teraz na urodziny rodziców, na Święto Dziękczynienia albo Boże Narodzenie musiały wszystkie przygotować Duchowy Bukiet - serię odprawionych modlitw, odbytych mszy, przyjętych komunii, odmówionych różańców. Liczyły się nawet drobne modlitwy szeptane w ciągu dnia, dodane do bukietu tu i ówdzie niczym gipsówka. Ejakulacje⁵.

- Chwalmy Pana! - powiedziała Hildy. - To ejakulacja.

- Albo „O Boże”! - dorzucił Sam, którego Hildy uczyła tej modlitwy, nie rozumiejąc, czemu śmiał się, gdy proponowała mu Tysiąc Ejakulacji.

- Ejakulacje mogą trwać cały dzień - powiedziała. - Wszędzie.

⁵ W języku angielskim ejakulacja (*ejaculation*) to także wykrzyknienie, zwrot do Boga lub chwalący Go.

- Tak - odparł Sam, wciąż się śmiejąc. - Rozumiem.

Siostra Maria Filomela była ich przewodniczką po takich zbożnościach, wielką wieszczką ich kultu, strażniczką wrót ziemi zmarłych. To ona nauczyła ich modlitw, które wedle Kościoła, odmawiane w Dniu Zadusznym, uwolnią duszę od zbawiennych mąk czyśćca i zabiorą ją (wciąż obolałą i drżącą) prosto do nieba. To ona całkiem sama zabrała ich do kościoła tamtego listopadowego poranka, zaraz po Zaduszkach, kiedy mżyło, a w powietrzu unosił się zapach dymu i gnoju. Dwie, cztery, sześć dusz uwolnili swoimi modlitwami. Hildy chciała zostać dłużej i zrobić więcej, marząc o wdzięcznych zmarłych uwolnionych modlitwami sumiennych dzieci, takich jak ona, z całego świata, ulatujących w górę setkami i tysiącami niczym kosy szykujące się jesienią do migracji.

To także ona przekonała Pierce'a (oraz Winnie i Sama), że Pierce może wypełniać powinności liturgiczne. Wykorzystała jego próżność i zainteresowanie księżowskimi zadaniami, a także dobry charakter i zgodność. Zaprowadziła go do ojca Midnighta na naukę. Teraz (powiedziała) będzie mu łatwo przyjmować komunię; mógł też zacząć gromadzić specjalne korzyści, jakie czekają na tych, którzy ochoczo decydują się działać dla Boga. Joe Boyd prychnął, zdumiony, że Pierce zgłasza się na ochotnika do wykonywania obowiązków, z których mógłby się wykręcić, ale Pierce nie miał nic przeciwko. Nauczył się tekstu na pamięć, zajął miejsce za ołtarzowymi balaskami z ojcem Midnightem. A długo później, kiedy słowa, których się nauczył, nie były już wymawiane, a przynajmniej nie w martwym języku, w jakim Pierce je poznał, od czasu do czasu wracały doń samorzutnie niczym melodyjki ze starych reklam, słyszalne w uchu wewnętrznym w mnemonicznych rytmach, do jakich je nagiął, z absurdalnym południowoamerykańskim akcentem. *Soosheepiat Dominus sacrafeechium d'manibus tooies*. Wracały doń na ulicy czy schodach, wywołując niewytłumaczalne wzruszenie.

W pewien sposób obcowanie z siostrą Mary Filomelą podobne było do obcowania ze sprytnym i silnym dzieckiem, takim Warrenem zdolnym do przedstawienia po dorostem swojego strachu przed ciemnością lub teorii, że źli ludzie weszli nocą do jego pokoju, kiedy spał, i narobili bałaganu. Jeśli siostra Mary Filomela otwierała szafę, szukając parasola, i nie mogła go tam znaleźć, a niewiele później (poprosiwszy Boga o pomoc w poszukiwaniach) otworzyła szafę znowu i znalazła tam parasol, nie myślała wcale, że przeoczyła go za pierwszym razem. Święci i aniołowie, jeśli zmuszą ich do tego właściwe inwokacje, wstawiają się w imieniu proszącego u bardziej oddalonych osób boskich, które następnie zmieniają pogodę i naturalny porządek rzeczy, wysyłają w drogę posłańców oraz oczywiście leczą chorych i ratują zagubionych lub zagrożonych.

Dzieci Oliphantów nie potrafiły się spierać z twierdzeniami, jakie siostra Mary Filomela miała pełne prawo wysuwać. Powiedziała im, że Jezus obiecał: proście, a będzie wam dane, kropka. Jeśli ktoś prosi o chleb, Bóg nie da mu kamienia.

- Ale jeśli poprosisz o pistolet, albo sto funtów cukierków, prośba nie zostanie spełniona - ostrzegła Hildy Warrena i innych po szkole. - Bóg nie da ci tego, co może ci zaszkodzić. Sprawdźcie.

A więc prawie wszystko, o co człowiek chciałby prosić, było wykluczone, tym bardziej że decyzja, czy dana rzecz może, czy nie może zaszkodzić, nie należała do ciebie, jak zawsze. A pomimo to Jego obietnice pozostawały w mocy. Siostra Mary Filomela nie wątpiła, że są one w mocy, a kiedy Winnie modliła się o Jego pomoc za pośrednictwem Jego Świętych, bez autoironii śpiewała:

Święty Antoni

Pomóż znaleźć klucze mi

Bo nie pójdę do piekarniiii

I tak wszyscy nosili drapiące i niewygodne filakterie i cynowe medaliki na paciorkowych łańcuszkach - skąd ona to wszystko ma, zastanawiał się Pierce: czy kupowała to z własnych niewielkich zasobów, czy też może wydobywało się po prostu z jej ukrytych i bezdennych kieszeni? - a on przez tydzień starał się uwierzyć, że słaby ektoplazmowy poblask w rogu jego pokoju to wizerunek Matki Boskiej albo Ducha Świętego, który przybył odpowiedzieć na jego modlitwę, aby Joe Boyd przestał dążyć do bójki z nim. Zaś Hildy nauczyła się prosić swojego anioła stróża, aby budził ją rano, dając jej czas na kąpiel i ubranie się staranniej niż zwykle i bardziej po myśli siostry - i podziałało. Sam uważał, że to zabawne.

Do pewnego stopnia było to podobne do wymogów iluzji: wymagało podziału na „ja postulujące” i „ja akceptujące”, takiego samego szybkiego pozbywania się nieprzynoszących satysfakcji przypadków, takiego samego wspólnotowego natężenia wysiłku. Miało także w sobie coś z życzenia; przedmioty były bardziej ograniczone, ale wymagały takiego samego poddania się pożądaniu, ochoty do zaakceptowania tymczasowo (przynajmniej na tak długo, jak życzenie albo modlitwa przepelniało serce) prymatu pożądania nad zwykłą rzeczywistością. Siostra Mary Filomela nazywała to Wiarą.

Od samego początku odczuwała szczególną odpowiedzialność za te bystre, dzikie dzieci. Panna Marta przychodziła o dziewiątej i wychodziła w południe, rozdawszy zadania domowe, o których nazajutrz mogła nie pamiętać. Siostra Mary Filomela wychodziła w

południe, czarna fregata pod pełnymi żaglami, i schodziła ze wzgórza do szpitala na lunch. Następnie o drugiej, ku zgrozie dzieci, znów nadpływała z naręczem papierów i projektów, by dręczyć swoich podopiecznych przez nieskończenie długie popołudnie. Na to nie miała zlecenia; mówiła, że przychodzi po to tylko, by „posprzątać” w klasie i przygotować na następny dzień (przygotować co?), ale sama niejasność jej obecności po południu dawała możliwości, po które panna Marta nigdy nie ośmieliłaby się sięgnąć. Było przecież pełno rzeczy, które aktywne dzieci mogły robić, zamiast oglądać w telewizji Garry’ego Moore’a.

Siostra Mary Filomela nie wiedziała, że jej nadprogramowa obecność zakłóca nie tylko bezczynność. Niewidzialne Kolegium miało swoje sprawy, Pierce musiał przeprowadzić dalekosiężne badania. Doświadczał niepokoju nieomal nie do zniesienia, wiedząc, że zakonnica jest w pobliżu, nawet jeśli się nie wtrącała - niepokoju, że swoją obutą na czarno stopą przebije cienką tkaninę, którą wokół siebie rozpostarł. Jego wiara nie była tak silna jak jej własna.

Kiedy dużo później studiował historię i zapoznał się oczywiście z historią Kościoła, w którym ona się wychowała, doznawał niewątpliwego, lecz nienazwanego dreszczu, (zwykle przypadkiem) trafiając na swoje dawne przekonania w ich początkowej fazie, jakąś praktykę lub odmianę rytuału, co do którego odwieczności i oczywistości przywykł. Suche Dni i dni krzyżowe, święta i posty oraz ich przyczyny, podziały w następnym świecie i pośród jego mieszkańców. Kult Najświętszego Serca (makabryczny Jezus z jaśniejącym odsłoniętym sercem w cierniach) pojawił się na początku XIX wieku; chóry anielskie (Trony Potęgi Cnoty Panowania i reszta) zaistniały pod koniec II. Była to przyjemność podobna, a zarazem niepodobna do tej, jaką się odczuwa, otwierając stare szkolne czytanki („Roads and Highways”) i znajdując w nich pełno sterowców i pulmanów, katarzyniarzy i taborów cyrkowych, Arbor Day⁶ i Armistice Day⁷: to, co brał niegdyś za cały wielki świat, okazywało się tylko wąskim przekrojem, światowym, lecz szerokim jeno na dekadę, a dziś razem z autorami minionym.

- Co byście dzieci myślały - pytała siostra Mary Filomela - gdyby bogacz przy obiedzie usłyszał o żebraku pod jego drzwiami, który nie ma nic, i posłał mu coś do jedzenia? Byłby to dobry uczynek, prawda? A gdyby ten bogacz dał biedakowi własny obiad? Czy nie pomyślelibyście, że to dobry człowiek? A gdyby podarował żebrakowi własną rękę do

⁶ Arbor Day - święto sadzenia drzew, przypadające na ostatni piątek kwietnia.

⁷ Armistice Day - rocznica zakończenia pierwszej wojny światowej.

zjedzenia, byłby to cudowny akt miłosierdzia, prawda? Jezus daje nam nie tylko swoją rękę, albo część siebie do zjedzenia, lecz całe swoje ciało. Pomyślcie o tym.

Myśleli o tym, trochę przestraszeni, nieświadomi, że (o czym Pierce miał przeczytać wiele lat później w triumfalnym zdumieniu) siostra Mary Filomela powtórzyła typowy trop barokowej pobożności datujący się z epoki, kiedy obłąceni katolicy dawali z siebie wszystko przy transsubstancjacji, z epoki, kiedy zakładano klasztor siostry Mary Filomeli.

Mimo że żyła w świecie podatnym na kształtowanie wiarą i pożądaniami, siostra Mary Filomela wciąż zwracała baczną uwagę na przyziemne przyczyny i codzienne kierowanie życiem; Pierce pomyślał o niej później, kiedy jego świetny nauczyciel z college'ju, historyk Frank Walter Barr, opowiadał, że nawet jeśli prymitywny łowca wierzy, iż modlitwy i magia zwracają ostrze jego włóczni ku zwierzynie łownej, to jednak wciąż wie, że musi naostrzyć włócznię, nauczyć się nią celować i miotać.

- Czy Bóg pomoże nam, jeśli go poprosimy?
- Taaak, siostrze.
- Czy Bóg pomoże nam, jeśli sami nic nie zrobimy?
- Neeee, siostrze.
- Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie sami.
- Taaak, siostrze.

Siostrze łatwo było przyjąć pozycję niezagrożonej przewagi nad dziećmi. Pierce w żółtych ceglanych murach kościoła pw. św. Szymona Cyrenejczyka na Brooklynie (z osobnymi drzwiami dla chłopców i dziewcząt) i Oliphantowie w nowym, długim i niskim kościele pw. św. Longina na Long Island z betonu i szkła nauczyli się niezwykłego zwyczaju szacunku. Nie mogli się sprzeciwić - chociaż czuli się pokrzywdzeni - kiedy siostra Mary Filomela organizowała im zajęcia po szkole, takie jak czyszczenie akwarium, w którym pływał jej tłusty karp, zrywanie koniczyny, lilii zielonych i żółtych i przystrajanie nimi ścian zależnie od pory roku, ani nawet kiedy wzięła na siebie zadanie zmuszenia ich, niczym pensjonariuszy zakładu karnego, do umycia podłóg własnych pokoi i pościelenia łóżek.

Z Joe Boydem szło jej trudniej. Było oczywiste, że jest zbyt duży na miniaturową klasę, wycinanki i plansze. Siostra Mary Filomela starała się dawać mu zadania i lektury do samodzielnego odrobienia w zimnym, ale przynajmniej prywatnym pokoju obok kuchni. Chociaż postępowała z nim oględnie, nie bała się go. Ostrożnie dobierała sytuacje, kiedy zmuszała go do wyciągania wniosków, i prawie zawsze zwyciężała z łaskawością, lecz

nieugięcie, wciągając go przy tym w to nauczycielskie „my”, które raniło go głębiej, niż można to wyrazić słowami: czy możemy zacząć już zadanie?

Stanowił on jedną z tych dusz, które zawsze zadziwiały Pierce’a, podejrzewał bowiem, że są rzadkie: był człowiekiem, który nie przyznaje nikomu absolutnej władzy, który przyjmuje, że wszelkie zakazy są *ad hoc* i do negocjacji i że ludzie u władzy nie różnią się wiele od innych. Pierce mógł stawać na głowie, żeby wymknąć się spod władzy innych, tych, którzy tworzą zasady i egzekwują je, ale ani myślał o tym, by kwestionować ich prawo do egzekwowania własnego zdania, ani też nie przypuszczał, że zasady te można nagiąć. Joe Boyd przeciwnie.

- Nie musisz tego robić - powiedział Ptasi, która była zajęta mierzwą i uprzątnięciem gołego kawałka ziemi, gdzie siostra Mary Filomela postanowiła założyć wiosną kwietnik - tylko dlatego, że ona tak powiedziała.

- Mi to nie przeszkadza.

- Ona nie jest tu u siebie - powiedział. - To nie jest jej posiadłość.

- Mi to nie przeszkadza.

- Chcesz robić wszystko, co ona ci każe? Skoczyłabyś do rzeki, gdyby ci kazała?

- To głupie.

- Tyś jest głupia.

Ich ojciec, przygotowujący się właśnie, by zasiać na kłozecie w ubikacji, której okna wychodziły na projektowany ogród, podsłuchał to i wyszedł.

- Joe, czemu jej dokuczasz?

- Nie dokuczam. - Wbił ręce w kieszenie w odruchu obronnym, widząc zbliżającego się Sama.

- Słucham? Dziewczyna robi coś przydatnego i pięknego, a ty nie robisz nic. Dlaczego z niej szydzisz?

- Nie szydzę.

- Zostaw ją w spokoju. Znajdź sobie coś do roboty. Jeśli nie wiesz co, mogę ci podsunąć parę pomysłów. - Odwrócił się, wkładając czasopismo pod ramię. Joe Boyd też poszedł w swoją stronę, ale odchodząc, rzucił ostatni komentarz pod adresem Ptasi:

- Pupilka nauczycielki.

Sam to usłyszał i ruszył na Joe Boyda.

Nigdy nie bił dzieci i prawie nigdy nie podnosił na nie głosu. Nigdy nie musiał. Teraz Ptasia patrzyła przerażona, jak Sam łapie Joe Boyda za kołnierz obiema rękami i przyciska go do ściany.

- Słyszałeś, co powiedziałem? - wycedził z bliska w twarz chłopcu. - Słyszałeś, jak powiedziałem, żebyś ją zostawił w spokoju? Po co się odwróciłeś? Po co ją obraziłeś? No po co?

Nie było odpowiedzi; Joe Boyd wiedział, że lepiej jej nie dawać. A jednak, patrząc prosto we wściekłą twarz Sama, nawet nie zmrużył stalowych oczu, nie okazał lęku, był gotów. Wstrząśnięta Ptasia, zawstydzona, że dała pretekst do tego gniewu, nigdy nie zapomniała jego odwagi i spokoju.

Tego popołudnia Pierce chował się na strychu z książką.

PIĘĆ

WILKOŁAK: Mężczyzna (rzadziej kobieta), który czasami przybiera postać wilka. Największym problemem dotyczącym wilkołaków, który jest przedmiotem dyskusji uczonych i pisarzy, jest kwestia tego, czy wilkołaki potrafią zmieniać swoją postać, czy też tylko tak im się wydaje; czy w efekcie swojej natury albo działania DIABŁA (q.v.) są w stanie dokonać transformacji, czy też cierpią na złudzenie (likantropię), które powoduje, że wyobrażają sobie, iż ulegają transformacji, chociaż pozostają ludźmi. Wytłumaczenie psychologiczne z czasem przeważało, chociaż wyjaśnia dużo mniej znanych przypadków niż wytłumaczenie fizjologiczne.

Z jednego końca chłodnego, zakurzonego strychu na drugi Pierce przeciągnął sznur i powiesił na nim cztery stare kotary upstrzone brązowymi różyczkami. Za nimi, oświetlony spiczastym oknem, znajdował się klub Niewidzialnego Kolegium - nie tej kapituły fizycznej, lecz innej, tej, która składała się tylko z Pierce'a. Czasami przygody, na jakie porywało się Kolegium, opowiadano sobie podczas regularnych nocnych spotkań. A czasami nie.

Augustyn uważał, że tym, co ulega przemianie, jest *phantasticum*, rodzaj widmowego sobowtóra, który porusza się w widocznej formie, podczas gdy śpiąca osoba śni o jego działaniach. Jednak niejeden wilkołak twierdził, że wilcza skóra stanowi jego integralną część, tyle tylko, że zwróconą do środka jak włosienica (*yersipilis*). Pewien wilkołak, który utrzymywał, że jego sierść jest w środku, został pokaleczony przez chirurgów weryfikujących jego słowa do tego stopnia, że zmarł. A zatem prawdopodobnie nie był to „środek”, o którym mówił.

Pierce zadrżał, jednak nie z zimna. Przyłożył palec do strony i podniósł wzrok; z dołu wołali nań Joe Boyd i Warren. Muszą poczekać.

Wilkołaki znane były oczywiście w starożytności - pojawiają się w literaturze i tekstach medycznych, przypadłość tę nazywa się *morbis lupinus* i zawsze interpretuje się ją jako złudzenie, w przeciwieństwie do epok następnych. Wilkołaki przewijają się także przez średniowiecze, lecz nagły i wyraźny wzrost notowanych zgłoszeń o pojawiających się lub atakujących wilkołakach ma miejsce pod koniec XVI wieku i na początku XVII. W Burgundii, na Węgrzech, w Bohemii i Mołdawii ludzi

oskarżano o wilkołactwo i obwiniano o śmierć zwierząt domowych oraz dzieci. Organizowano wielkie polowania: wilkołaki łapano i skazywano na straszliwą śmierć. Jest to też czas, kiedy wszędzie odkrywa się WIEDŹMY (q.v.), osądza, torturuje i pali w wielkiej liczbie. Encyklopedysta Bodin uważał, że plaga wiedźm wynikała z działań zbyt ufnych we własne siły magów, którzy nieodpowiedzialnie wypuścili na wolność tłumy dæmonów opętujących osoby nieostrożne.

Uderzyła go obecność tej dziwacznej, podwójnej litery „æ”, którą często widział w tej książce i na stronach swojego mszału, lecz nigdzie indziej. Czy dæmon to demon? Czym się różniły? Gdzie leżał Ægipt?

Zwykle uważa się wilkołaki za istoty złe, szkodzące trzodzie i pasterzom, które potrafią przeistoczyć się w zwierzęta, tak samo jak wiedźmy potrafią przeistoczyć się w koty lub myszy. Istnieją jednak dowody na to, że wilkołaki nie zawsze myślały o sobie w ten sposób. W Jurgensburgu w 1692 r. miał miejsce proces niejakiego Thiessa, mężczyzny w wieku osiemdziesięciu lat, który przyznał się do wilkołactwa i zadziwił sędziów, twierdząc, że jego gatunek jest w istocie naturalnym wrogiem wiedźm. Wiedźmy, jak powiedział, to również szkodniki: zabierają świeżo posiane ziarno i sadzonki, kradną dojrzewające zboże i zabierają ze sobą do piekła. W Suche Dni wilkołaki zbierają się nocą, żeby ścigać wiedźmy i walczyć z nimi, odzyskiwać zboże oraz trzodę i inne plody ziemi skradzione przez wiedźmy i oddać je bezpiecznie polom. Jeżeli zawiodą, jeżeli opóźnią pościg, wrota piekieł zamykają się przed nimi i zbiory danego roku się nie udają, ryby chowają się w głębinach, młode umierają. Inflanckie wilkołaki nie były wyjątkiem: rosyjskie i niemieckie tak samo walczyły z wiedźmami. Thiess poniósł karę za czary, pomimo że zdradził historię wrogości między wilkołakami a wiedźmami - historię tajemną w obrębie historii czarów.

A jeśli to prawda? To niemożliwe, ale jeśli...? Dziwne, ale prawdziwe.

Dziwne uczucie przeniknęło serce Pierce'a, tak głęboka i prosta tęsknota, że nawet nie mógł się nią zdziwić, tęsknota podobna do żalu, że choć ta historia powinna być prawdą, to nią nie jest.

Rozmyślał o ich cierpieniach: być jednym na zewnątrz, a czym innym w środku, wydawać się nikim i niczym, doświadczać wzgardy i ignorowania, nie być widzianym, a zarazem być kimś, od kogo zależy dobrobyt innych, chociaż oni o tym nie wiedzą.

Pierce pomyślał wtedy, że jego pociąg do przegranych stron historycznych zmagają jest skłonnością jego duszy do przybierania roli słabszego, w sposób szlachetny, podobny do

zainteresowania Joe Boyda szarą Konfederacją, ale tak nie było. Często przegrani, którzy go pociągali, nie byli wcale słabsi (Pierce skłaniał się ku torysom w amerykańskiej wojnie o niepodległość oraz ku Południu, chociaż wiedział równie dobrze co Joe Boyd, kto miał rację w obu tych sytuacjach, a kto nie). Nie chodziło o stawanie po stronie słabszego. To była po prostu chęć odwrócenia sytuacji, chęć przeżycia historii, jak gdyby rządziła się tajemną logiką wewnętrzną, przeciwną do tej zwykłej, ci dobrzy byliby teraz tymi złymi, walczyliby pod innym sztandarem. To nie mogła być prawda, ale gdyby była? Ta gra dała mu niewyjaśnioną satysfakcję, taką samą, jak kiedy leżał w łóżku na plecach, zwieszając głowę w dół poza krawędź i siłą woli przekonując oczy, że podłoga jest w istocie ciemnym, zakurzonym sufitem nad jego głową, a sufit białą podłogą, z której sterczą w górę lampy, i cały dom jest inny, choć ten sam, pozbawiony mebli, rozchodzący się we wszystkich kierunkach od pokoju do pokoju nad wysokimi progami otwartych drzwi.

Wciągnął Niewidzialnych lekkomyślnie w sekretne walki, które sobie opowiadał. Byli przegranymi z nieistniejącego już czasu, można było sobie wyobrazić, że biorą złą stronę, stronę przegraną, stronę, którą Historia odrzuciła. Tak czy owak (jak sądził) nie był przecież w stanie zmienić rezultatów, biorąc te strony, które brał, ponieważ właściwa strona zawsze zwyciężała - według wszystkich historyków, których Pierce czytał, albo których musiał studiować, koniec końców działo się tak za każdym razem - i w ten sposób tajemne sojusze Pierce'a były bez znaczenia: a jednak do tych przygód inni nie mieli wstępu.

A wojna aniołów: którą stronę wybrać?

Tego popołudnia, jak co sobotę, Joe Boyd i Pierce pojechali razem z Warrenem do kina w Bondieu na western: każdy szedł z rękami w kieszeniach dzinsowej kurtki, z postawionym sztruksowym kołnierzem. Tylko Warren nosił pas z bronią. Na chodniku pod kinem kłębili się chłopcy z miasta, czekając na wejście, patrząc na Oliphantów i Pierce'a. Jeden czy dwóch w jego wieku paliło luzacko papierosy. Sam mówił, że palenie hamuje wzrost. I rzeczywiście, najwyraźniej im zahamowało.

Film miał dziesięć lat, ale ani o tym wiedzieli, ani się przejmowali. Potem następowała kreskówka, albo komedia, jak nazywali ją mieszkańcy Kentucky, szybkie rytuały destrukcji i konstrukcji, a następnie znana, inspirująca muzyka serialu. Katastroficzny głos lektora opowiadał o wydarzeniach ostatnich dziesięciu tygodni, a sceny pędziły przez ekran w rytm muzyki. Jak Gene odkrył opuszczoną kopalnię prowadzącą do podziemnego imperium, jak zszedł na dół, by walczyć z potężnym Podziemiem i jego planami podboju. Na końcu każdego odcinka zawsze znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, właściwie to był

już trupem, ale na początku kolejnego okazywało się, że jednak przeżył: klif, na który go zepchnięto, okazywał się mieć poniżej wysuniętą półkę skalną, choć wcześniej jej tam nie było, ciężarówka go ominęła, udało mu się odskoczyć, chociaż było to fizycznie niemożliwe. Zdawało się, że to, co drastyczne i ostateczne, łagodniało między jedną a drugą sobotą.

Ale nie tym razem. Bomba radioaktywna, której tor Gene odwrócił od górnych regionów i własnego niewinnego rancza, sfiksowała i zabiła samego Gene'a. - No, z tego to się nie wykręca - powiedział Joe Boyd w zeszłą sobotę z wyczuwalną satysfakcją. I rzeczywiście się nie wykręcili. Gene wciąż był trupem. Cesarzowa podziemi patrzy na nieruchome ciało, na jego wymierzone w górę noski butów. Ale w sekrecie jest jego sojusznikiem. Przekonuje mrocznego wezyra (ojciec Midnight w pelerynie z wysokim kołnierzem i długimi rękawiczkami), że tajemnice, które zna Gene, nie mogą zostać utracone. Dobrze, Wasza Wysokość. Są na to sposoby. Dzięki nauce i technice, których górne regiony nie pojmą jeszcze przez stulecia, albo których już od dawna nie pamiętają, Gene wraca do życia.

- *Spiesz się, spiesz.*

- *Cierpliwości, Wasza Wysokość. Śmierć jest silna.*

Jego ciało drży na iskrzącym się stole operacyjnym pod ożywiającymi lampami. Z ust dobywa się obcy głos.

- *Co on mówi?*

- *To język umarłych, Wasza Wysokość. Mówią w nim po powrocie, ale potem często zapominają.*

- O, ja cię kręcę - westchnął Joe Boyd. - O rany.

Kiedy wyszli z filmu, Joe Boyd postanowił, że wstąpią do mrocznego i cuchnącego sklepu wielobranżowego z pismami i komiksami. Żując mięsistą gumę Bazooka, przeglądał najnowsze wydanie „Guns and Ammo”. Warren i Pierce kręcili się przy komiksach, nigdy nie trzymając żadnego zbyt długo, bo zgorzkniały i uważny sprzedawca, którego tylko Joe Boyd się nie bał, mógł zdecydować nagle, że komiks został zabrudzony, a więc sprzedany.

Mściwe trupy powstające ze zgniłych trumien, wlokące za sobą butwiejące łachmany. Szkielety dziewczyn można poznać po włosach, białych i lśniących, wciąż porastających żółte czaszki. Naprawdę? Warren nie dotykał, a nawet nie podchodził do horrorów; zerkał na okładki jednym okiem i zaraz odwracał głowę.

Wyszędłszy ze sklepu, rozstali się. Pierce miał następnego dnia służyć do mszy wcześniej rano i powinien (jak sądził) przyjąć też komunię; kiedy służył do późniejszej mszy,

nie musiał, bo jako dorastający chłopak potrzebował śniadania. A skoro miał tę komunię przyjąć, to musiał teraz iść się wypowiadać. Joe Boyd zasalutował mu na pożegnanie, śmiejąc się szeroko, i Warren poszedł za starszym bratem do domu.

Kościół pw. Najświętszego Sakramentu był inny niż wszystkie kościoły, które Pierce znał z Brooklynu - inny niż czarny jak dym kościół pw. św. Szymona Cyrenejczyka, inny niż kościół św. Bazylego o różowo-błękitnym wnętrzu, gdzie Axel chadzał niegdyś posłuchać muzyki. Wyglądał jak dom, mały, brudnobiały, drewniany, o kwadratowych oknach; jak mała weranda. Przed nim znajdował się trawnik i ogrodzenie ze sztachet, ciągnące się wzdłuż cementowego chodnika. Jedyłą różnicę mogła stanowić niewielka wieżyczka z elektrycznym dzwonem.

Mówiono, że pierwszy ksiądz (poprzednik ojca Midnighta) zbudował go z pomocą parafian. Pierce myślał o tym często, kiedy siadał w ławce, i zwracając uwagę na szczegóły konstrukcji, zastanawiał się, czy to przez księdza odlewy nie miały kąta prostego w rogu i czy to ksiądz wymyślił ołtarz z pomalowanego na biało drewna, niczym domek dla lalek. IHS. *In hoc signo*. Pod kamieniem wpuszczonym w ołtarz znajdowały się relikwie świętego, ponieważ każdy ołtarz musiał je mieć - tak uważał Pierce. Relikwie: nierozpoznawalne szczątki. Żadnych czaszek z bujnymi włosami.

Ukląkł z rękami w kieszeniach, odgadując, które z osób w kolejce - było tam sześć czy osiem starszych kobiet plus samotny mężczyzna - przyszły tutaj po rozgrzeszenie, a które odprawiały już pokutę. Mężczyzna klęczał, zakrywając twarz dłońmi podobnymi do wielkich zużytych narzędzi, jak gdyby całe życie przesuwiał nimi skały albo łamał drzewa. Cóż on zrobił? Od czego się teraz uwolnił?

Sumienie Pierce'a, kiedy mu się przyjrzał, było spłowiałe, ale nie brudne, jak jego bielizna. Problem stanowiło znalezienie wystarczającej liczby możliwych do nazwania przewin, aby warto było mówić o nich ojcu Midnightowi. Pierce wiedział, że niewyjawienie grzechu, o którym się wie, jest równoznaczne z odebraniem sakramentowi sensu i samo w sobie stanowi grzech, on zaś nie odczuwał pokusy ukrywania czegokolwiek; przeciwnie, kusilo go, by je wymyślać. Zazdrość. Gniew. Pycha. Nieczystość.

Jego kolej. Czekał w mroku konfesjonału, słysząc słaby szmer głosu księdza rozmawiającego z grzesznikiem po drugiej stronie. Potem okienko zasunęło się i otwarło od strony Pierce'a. Postać ojca Midnighta ciemniała za fioletową przesłoną. Ojcze, wybac mi, bo zgrzeszyłem. Wiele lat później Pierce dowie się o wynalazku podwójnego konfesjonału, którego dokonali jezuici w XVI wieku, i wtedy spojrzy nań tak, jak musieli patrzeć ci, którzy nie wychowali się z nim - na konstrukcję dziwną jak kabina plażowa, przerażającą jak

gilotyna.

- Ojcie, wywołałem pożar.

Fioletowa cisza. Pierce nie miał wątpliwości, że jest anonimowy - był tylko nierozpoznawalnym głosem nieznanego grzesznika. Z czasem tę pewność stracił.

- Synu, czy wywołałeś ten pożar celowo?

- Nie, ojcie, to był wypadek.

- No cóż, żeby jakiś czyn był grzechem, musi być zamierzony. Nie można popełnić grzechu przez przypadek.

Pierce milczał.

- Jesteś w stanie zrekompensować wyrządzone szkody?

- Nie wiem.

- Dowiedz się, ale nie powinieneś myśleć, że to był grzech. Za nieostrożność, której popełnienia jesteś winien, odmów akt skruchy.

Pierce pochylił głowę na wyściełany brzeg klęcznika i szybko wyszeptał modlitwę z pamięci. Czuł się dziwnie uprzywilejowany - spowodował olbrzymie zniszczenia, a zarazem był oficjalnie niewinny.

Dlaczego (zastanawiał się, odpowiadając niewielką pokutę) musimy robić coś oprócz modlitwy? Skoro wiemy, że życie jest krótkie, w porównaniu z Wiecznością krótsze nawet niż okamgnienie, to po co je ryzykować? Najlepiej było po prostu uklęknąć, złożyć dłonie i oddać się adoracji, póki nie nastąpi (rychły) kres. A potem łup, szast-prast w wiekuiste szczęście. Niemniej fakt, że sam nie odczuwał pokusy, by to zrobić, że rozumowanie zdawało mu się ewidentne, ale jakoś nie do końca przekonujące, sugerował, że gdzieś jest błąd, może w nim samym, a może nie.

Był wieczór, kiedy wyszedł; rok zmierzał ku mrokowi, starości Słońca. Kiedy doszedł do miejsca, skąd było widać wielki kanciasty dom na szczycie wzgórza, na końcu miasta, lampy świeciły się już w oknach kuchni i pokoju Joe Boyda na piętrze: żółte światło, które kazało mu trzymać się z daleka. Zszedł z ulicy i wspiał się zlebem zbocza w znanym sobie miejscu. Cicho stapał przez karłowaty laszek na brązowe pole powyżej. Zapadała noc, delikatne istoty dnia szukały kryjówek.

Poczuł czarną melancholię swojej duszy, zwróconą teraz na zewnątrz i szykującą go do wykonania zadania. Był, jaki był, nie inny: i dobrze. Zboże ścięto i złożono w stodołach. Stada - być może wyczuwając go - sunęły szybko do obórek. Czując wiatr na policzku, wszedł pomiędzy sosny na szczycie wzgórza, gdzie już zapadła noc (noc, pełnia księżyca, świat przerażony), i wspiał się po grani ponad domem i budynkami gospodarczymi.

Co jest trudniejsze, pomyślał: mieć dom w dalekim obcym miejscu, czy też być obcym we własnym domu?

Wspaniały w swojej samotności spojrzął w dół na ludzkie sadyby, niech jedzą i piją w pokoju: nie muszą wiedzieć, że on tu przechodzi, zdążając ku miejscu, którego oni nie potrafią sobie nawet wyobrazić. I tak powinno być.

Skręcił w kierunku odległej strony grani i ścieżki w dół w kierunku bitwy. Miał tam być. Jego pobratymcy go rozpoznają. Nie będzie sam.

SZEŚĆ

W świąteczną noc tego samego roku temperatura nagle spadła, a niezolowane rury biegnące pod bungalowem w korytarzu technicznym zamrzły, co działo się przynajmniej raz każdej zimy. Przez większość świątecznego poranka Sam i Joe Boyd lali na nie gorącą wodę z czajników i owijali gorącymi szmatami. Sam miał na sobie płaszcz i kapelusz typu Fedora.

- Oni tu myślą, że mieszkają na Południu - mruczał - na tym słonecznym Południu.

Właśnie w te święta Ptasia dowiedziała się, że nie ma Świętego Mikołaja, albo może została o tym oficjalnie poinformowana. Więc tylko Warren tkwił samotny w mroku niewiedzy; a może w jej świetle. Tak czy owak Ptasia dostała od Mikołaja aparat fotograficzny, który strasznie się jej spodobał, i szybko opanowała jego obsługę. Hawkeye. Jednym z pierwszych zdjęć było zdjęcie podjazdu prowadzącego od ich domu na ulicę. Zdjęcie to wiele lat później znalazło się pośród rzeczy Pierce'a i w jego oczach stanowiło ekstrakt całej cumberlandzkiej zimy w pojedynczym błyszczącym kwadraciku: czarne niewysokie drzewka lśniące w deszczu, wystawione na światło dzienne przez zimę śmieci, ujęte w pazury krzewów, chudy kurczak, splątany drut kolczasty. Na drugim końcu podjazdu, za ulicą, widać było sklepik wzniesiony na palach nad glinianymi brzegami Małej Rzeki Bezimiennej, czy raczej strumyka, jak wszyscy ją nazywali. Zaparkowane Chevrolet i hudson, zero ludzi. W tym właśnie sklepie, pośród niezliczonych butelek Nehi i batonów Skybars, Pierce kupił pierwszy tytoń, jaki wypalił w życiu.

Stało się to w lutym po nowym roku, kiedy Sam i Winnie byli na Florydzie. Zdecydowali się jechać, a właściwie Sam zdecydował, nagle i nerwowo, jak to miał w zwyczaju, kiedy podejmował decyzje o pofolgowaniu sobie w czymś: kupując nowy samochód, jadąc na urlop. Zdumiał Winnie tą decyzją, a Winnie z kolei zdumiała dzieci. Dwa tygodnie. Przez ten czas zajmować się nimi miałyby gospodyni (przy Joe Boydzie nie można było powiedzieć niania), która zatroszczyłaby się o wszystkie ich potrzeby. Siostra Mary Filomela zostawałaby na dłużej, żeby pomóc.

Jaka gospodyni? Sam wypytywał w szpitalu i pośród pacjentów, a Winnie pytała w sklepie i pojawiło się jedno czy dwa nazwiska; Winnie rozmawiała z kandydatkami trochę niepewnie.

- Ma pani własne dzieci?

- Tak, psze pani. Trójkie.
- Nie będą potrzebować pani opieki?
- Ino mały Henry psze pani. Córka już po ślubie.
- Och. Ile ma lat?
- Szesnaście. A czecie jes w niebie.
- Och.
- Suchoty.
- Och.

Mysza (nie było to przezwisko, ale prawdziwe imię) była dużą, pulchną kobietą o dużych, pulchnych ramionach, upstrzonych pomarańczowymi piegami w tym samym odcieniu co jej włosy i rzęsy. Dzieci miały się zwracać do niej per pani Calton, nie Mysza, a ona im na to pozwalała, choć po jej mlecznobiałej twarzy widać było, że bawi ją to bardziej niżli prawdziwe imię.

- Dlaczego tak panią nazwali? - odważyła się w końcu zapytać Ptasia.

- Bo jakim się urodziła, mama myślała, że wyglądam jak mała myszka. Tak mi pedziała.

Kiedy zgroza pozostania pod opieką tej kobiety zmalą, podobnie jak zgroza widoku Sama i Winnie odjeżdżających na Południe w nashu, dzieci polubiły Myszę i nigdy nie przestały się nią zadziwiać. Włączała telewizor zaraz rano, kiedy poza mężczyzną z fotografią farmy za plecami, który mówił o tytoniu i fasoli, nie było co oglądać, i tak leciał bez przerwy: *Ding Dong School* i *A World Elsewhere*, rozbrykane kukielki, prezenterzy programów informacyjnych o lakierowanych włosach; nie wyłączała go nawet w porze kolacji, kiedy mężczyzna wygrywał na kościelnych organach ulubione utwory przez pół godziny non stop, czasem tylko rzucał słodkie spojrzenia w stronę pokoju, gdzie latorośle Oliphantów, Mysza i mały Henry jedli kolację.

Winnie starała się, jak mogła, przygotowując listy godzin kładzenia się spać, obowiązujących zasad, złych zwyczajów, ale i tak dużo pozapominała, a to, co pamiętała, napisała w języku tak dziwacznym dla kogoś z Bondieu, że niewiele z tego zostało zrozumiane.

- Nie mogę dojść, o co tu się rozchodzi - powiedziała Mysza, zastanawiając się nad śmiałym niebiesko-czarnym pismem Winnie, kiedy jego autorka była daleko. Gdy gotowe porcje i zamrożony chleb Winnie się skończyły, Mysza zaczęła serwować im to, co sama jadła: kanapki z białego chleba („biały jak chusteczki higieniczne”, powiedziała Hildy) z bładą, zimną mielonką, sałatą i margaryną, z ciepłym napojem truskawkowym i lodami w

różowe, białe i brązowe paski.

Dawała im też co rano porcję witamin, zgodnie z poleceniem Sama: kleistą żółtozieloną papkę, której smak wciąż można było wyczuć na języku wiele godzin później, a w pamięci wiele lat. Dawała Alka-Seltzer, jeśli skarżyli się na bóle brzucha (z czego często korzystała Hildy, jako że lubiła ten musujący płyn, a zwłaszcza lubiła patrzeć, jak tabletki się rozpuszczają, podskakując w ekstazie, kręcąc się i wpadając na siebie). Dawała małemu Henry'emu coś na ząbkowanie po czym robił się spokojny (a może odziedziczył te cechy po Myszy) i Ptasia miała frajdę ubierając go, kładąc do łóżka i zabierając na wycieczki.

Przyzwyczaili się być sami i ignorowani, ale Mysza (być może słusznie zakładając, że istnieją sfery kłopotów, których dzieci są nieświadome) rzadko wydawała im rozkazy podczas swego pobytu, o ile nie było to jedno z poleceń zawartych w instrukcjach od Winnie. - Wasza mama mówi, myćcie włosy w sobotę wieczór - do dzieła. - Zwłaszcza do Joe Boyda miała pewien szacunek i bezproblemowo, niejako automatycznie, znaleźli wspólny język. Po prostu traktowała Joe Boyda jak dorosłego, tak samo jak wszystkich chłopców w jego wieku, których znała, rozumiejąc jego prawo do bezczynności i własnych zajęć. Jedyny mężczyzna w rodzinie. Joe Boyd nie zapomniał o tym. Dzieci rzadko wykraczały poza granice domu Hazeltonów na wzgórzu, chyba że w nashu. Hildy czasami odwiedzała córki właścicieli sklepu u stóp wzgórza. Albo one odwiedzały ją i z poważnymi minami grały w karty albo Parcheesi. Był też mały chłopak, który czasem biegał za Niewidzialnymi, z niezłomną cierpliwością ignorując przeciągłe krzyki matki „Johnnie Ray, Johnnie Raaay”. A teraz Mysza wniosła w ich świat nie tylko małego Henry'ego ale także swoją zameżną córkę oraz jej męża i dziecko (mąż Myszy był w Detroit, pracował przy produkcji samochodów i miał wrócić niedługo z „piniendzmi”). Córka była na zasiłku, a jej mąż nigdy nie wchodził do domu: zamiast tego, gdy jego żona odwiedzała matkę, podnosił maskę swojego forda, wczółgiwał się pod niego i majstrował przy nim. Nic dziwnego, że wtedy podchodził doń Joe Boyd.

- Podaj mi ten klucz chłopcze, OK?

- Ten?

- Mm-mm, ten mały, ten drugi tam.

Joe Boyd klękał nad narzędziami leżącymi na tłustej szmacie obok forda. Zięć Myszy palił przy pracy, papieros zwisał mu w kąciku ust, oko mrugało w dymie. Jeżeli Kentucky miało swoje przeznaczenia, to Joe Boyd właśnie się z jednym z nich zetknął i poczuł, że też do niego należy.

Na tym jednak rodzina Myszy się nie kończyła.

- Pani Calton, na werandzie stoi mała dziewczynka, która nie chce ani wejść, ani pójść.

- Hildy patrzyła z holu jak Mysza wychodzi na werandę. Dziewczynka cofnęła się o krok, ale nie uciekła.

- A co ty tutaj robisz? - spytała Mysza i wtedy obie zaczęły mówić naraz, z oburzeniem wzięwszy się pod boki, każda starając się przekrzyczeć drugą; wyrzucały z siebie narzekania i polecenia zbyt szybko, by Hildy mogła za nimi nadążyć, a potem umilkły. Mysza machnęła dłonią na dziecko.

- Idź se, idź. Do domu, do taty, już.

- To nie jest mój tata.

Była mniej więcej w wieku Ptasi, oceniła Hildy, chuda i chłodna, o okrągłej twarzy lalki, z grubymi, potarganymi puklami. Miała na sobie płaszczyk ze sztucznego futra ze sfilcowanym kołnierzem. Guziki były krzywo zapięte.

- To teraz jes twój tata.

- Wcale że nie.

- Wracaj doma.

- Nie pójdę.

Mysza skrzyżowała na piersiach pulchne ramiona, zbita z tropu.

- Jakżeś się tu w ogóle dostała?

- Przyszłam.

- No to możesz teraz się wrócić.

- Nogi mnie bolą.

Buty miała ze spękanej, lakierowanej skóry, skarpetki przetarte, aż bolało patrzeć.

- Bardziej cię zaboli, jak wrócisz do domu.

Dziewczynka zmrużyła oczy.

- Ty grubasko.

To przeważyło. Mysza złapała dziewczynkę za kołnierz i wyprowadziła z werandy po schodach na podjazd. Pierce i Ptasia (wynoszący śmieci siostry Mary Filomeli z bungalowu) zauważyli całą scenę i zaczęli się jej przyglądać. Na podjeździe Mysza lekko pchnęła dziewczynkę. Ta, ze spuszczoną głową, postąpiła kilka kroków w dół wzgórza, ale kiedy tylko Mysza odwróciła się, by wrócić do domu, dziewczynka zawróciła.

- No idź. - Mysza pochyliła się jakby chcąc podnieść kamień - gest był taki, jakiego Sam uczył dzieci, żeby odstraszały obce psy. Teraz zadziałał równie dobrze: dziewczynka odwróciła się na pięcie i z rozmysłem, ale bez pośpiechu, odeszła. Być może, jak psy,

przywykła, że rzucają za nią kamieniami.

Mysza rozejrzała się i zobaczyła, że trójka dzieci przygląda jej się ze zdumieniem.

- Jak ona tu zaszła? - spytała samą siebie. - Dzikie dziecko. - I nic więcej.

Tego dnia Pierce i Hildy zauważyli znów dziewczynkę w pewnej odległości od domu; a więc koniec końców nie odeszła. Raz widzieli ją poprzez płataninę drzew wzdłuż drogi, u stóp wzgórza. Wyglądała, jakby szukała porzuconych butelek na poboczu; Oliphantowie też tak czasem robili, żeby dostać kaucję. Nieco później Ptasia zobaczyła ją na wzgórzu koło kurnika, jedzącą coś, może batonik kupiony za pieniądze z butelek.

Nie uzgodniwszy między sobą, co robić, milczeli przed Myszą o tym, co widzieli.

Wieczorem Pierce w piżamie poszedł do łazienki, żeby odkręcić wodę - Sam zalecił im to, żeby przeciwdziałać zamarzaniu rur. Sztuczka polegała na tym, żeby z kranów ciekł stały strumyczek, najcieńszy jak się da, dosłownie wodna nić, która nie pęka w niweczące sen tiktakujące kropelki. Ustawiał właśnie wszystko starannie, kiedy wpierw okiem, a potem umysłem spostrzegł twarz odbijającą się w oknie łazienki. Pół twarzy od nosa w górę. Kiedy krzyknął zaskoczony i spojrzał znów, twarz zniknęła.

Wiedział, do kogo należała.

- Co robimy? - spytał dziewczyn.

- Ona może zamarznąć - powiedziała Hildy. Siedzieli na łóżku Ptasi, z jakiegoś powodu szepcząc.

- Mysza jej nie wpuści - zauważyła Ptasia.

- Może poprosimy?

- Nie - odparła Hildy.

Wtedy podnieśli naraz wzrok, ponieważ dziewczynka, o której mówili, stała za oknem sypialni, zaglądając do środka.

Hildy podeszła do okna i powiedziała cicho przez szklaną barierę:

- Idź do tylnych drzwi.

Kilkukrotnie wskazała palcem drugi koniec bungalowu. Potem w towarzystwie Pierce'a i Ptasi poszła do holu poprzez ciemną teraz salę lekcyjną i otworzyła je.

W domu dziewczynka wydawała się większa niż na zewnątrz. Kiedy tylko weszła, uświadomili sobie, że wpuszczając ją, dokonali czegoś nadzwyczajnego, nieomal anarchistycznego, jak gdyby wprowadzili tu półdzikiego psa ze zjezoną sierścią, którego chcieliby teraz udomowić. Przez dłuższą chwilę stali tylko, wpatrując się w nią, wdychając woń zimnej wełny i jej samej. Potem Ptasia przypomniała sobie o savoir-vivrze i zadała pierwsze właściwe pytanie dziecięcej konwersacji.

- Jak się nazywasz?

- Bobby.

Hildy w koszuli nocnej zaczęła się trząść. Bobby także, jak gdyby teraz, w ciepłe bungalowu, mogła się odsłonić, pozwolić, by dygot wstrząsnął jej wątłym ciałem; kolana jej zadrżały, zęby zaszczeły.

- Chodź - powiedziała Hildy i dotknąwszy jej lekko, jakby była niewidoma, powiodła ją przez salę lekcyjną i hol do pokoju Pierce'a, gdzie znajdował się grzejnik.

- To jest wasz dom cały?

- To jest nasza jego część.

- A gdzie mieszka Myszka?

- W drugiej części.

Przestała drżeć i obejrzała się nieufnie, mocno obejmując się w pasie w geście obronnym.

- Aha.

- Pewnie mamy to samo imię - powiedziała Ptasia. - Roberta, jestem Roberta, tylko nazywają mnie Ptasią.

- Nie, po prostu Bobby.

Imię to było prawie tak głupie jak Myszka.

- No przecież nie można kogoś ochrzcić Bobby - powiedziała delikatnie Ptasia. - To nie jest prawdziwe imię.

- Nie chrzcili mnie. A jak on się nazywa?

- Pierce - odpowiedziała Ptasia.

Bobby uśmiechnęła się doń.

- To jest ładne imię - powiedziała. - Brzmi jak „pierdę”.

Pierce spiekł raka; Bobby patrzyła nań z zainteresowaniem.

- Chcesz zobaczyć się z panią Calton? - spytała Hildy.

Bobby potrząsnęła głową.

- Czy ona jest twoją krewną?

- Tylko trochę.

- Dlaczego kazała ci pójść?

Bobby wzruszyła jednym ramieniem.

- Bo jest gupia krowa.

- Czemu nie chcesz wrócić do domu?

- Nie mam domu.

- Mysza, znaczy się pani Calton, powiedziała ci, żebyś wracała do taty.
- To nie jest mój tata.
- To czemu tak powiedziała?
- To nie mój tata, ino dziadek.
- Aha.
- Adoptował mnie. Więc mówi, że jest moim tatą i ja mam go tak nazywać, ale nie nazywam.

Odgarnęła ciemne loki zaniedbanych włosów z twarzy i splótła małe dłonie na podolku, nieświadoma, że powiedziała coś tak zdumiewającego, iż trójka dzieci nie wiedziała nawet, o co ją teraz zapytać.

- Ona ci pozwoli tu zostać - powiedział Pierce wspaniałomyślnie. - Powiemy jej, żeby ci pozwoliła.

- Nie - wtrąciła Ptasia.

- Musi - powiedział Pierce. - Przecież pracuje dla nas, nie?

Z tym nie dało się dyskutować, ale nikt nie wiedział też, jak się za to zabrać. Bobby im nie pomogła - nie prosiła ich, żeby pozwolili jej zostać, ale nie próbowała odejść. Siedziała tylko obok grzejnika, coraz mniej się trzęsąc, spoglądając po dzieciach z kocią szczerością. Z braku lepszej alternatywy zdecydowali, że zostanie z nimi w domku, a Mysza o niczym się nie dowie. Miała spać na kanapie w salonie. Pierce zaoferował, że pójdzie po coś do jedzenia, ponieważ zdecydowali (podczas gdy Bobby przysłuchiwała się beznamiętnie, jak o niej rozmawiają), że tego jej potrzeba.

- Mleko - zaproponowała Hildy.

- Mleko nie - powiedziała Bobby. - Mleko jest dla mnie jak trucizna.

Pierce włożył szlafrok i rozejrzał się za kapciami. Przez szklane drzwi bungalowu widział, że w domu palą się jeszcze światła.

„Pierdź”. Zakonnica w kościele pw. św. Szymona Cyrenejczyka powiedziała mu kiedyś, że Pierce to nie jest imię świętego, a każdy katolik powinien nosić imię jakiegoś świętego. Niedługo po tym, jak przybył do Kentucky, powiedział o tym z pełną powagą przy kolacji, a Hildy odparła, że w porządku, może wybrać sobie nowe imię na bierzmowaniu, a Sam przytaknął i podszedł do półki po księgę świętych, żeby wyszukać dobre imię. Dzieci rzucały propozycje, najczęściej Franciszek, Józef i Antoni, ale Sam je wykpił; zbyt łagodne. Przekartkował księgę. Waldo, a może Waldo. Nie? Mój Boże, spójrzcie na te imiona. Święty Pankracy, wspaniały dworzec kolejowy, święty Quodvultdeus, co u licha? Wszyscy się śmiali. „Błogosławiony Dodo”, zawołał Sam, płacząc ze śmiechu, „znany w regionie z

praktykowania zdumiewającej prostoty. O Boże!" Pierce też się śmiał.

Nocny wiatr wiał między budynkami, zimny i wonny.

Pierwszym pomieszczeniem, do którego wszedł w większym budynku, była letnia kuchnia, w zimie zamieniająca się w - przedpokój, gdzie stała stara lodówka i rzędy butów. Następnie właściwa kuchnia. Z głębi domu dochodził szmer telewizora - tych programów Pierce nigdy nie widział. Jeśli zostanie przyłapany, „ocknie się”, uda zdziwionego i powie, że lunatykował. Otworzył lodówkę, wyciągnął pudełko sera Velveeta i kilka kromek „chusteczkowego chleba”, marchewkę i napój pomarańczowy Nehi. Wrócił niezauważony.

Bobby zdjęła już płaszcz, ale nie ruszyła się jeszcze z miejsca przy grzejniku. Miała na sobie letnią sukienkę z cienkiej bawełny. Naciągnięty sweter był szary i za mały.

- Ale dlaczego cię adoptował? - pytała Hildy. - Czy twoi rodzice nie żyją?

Książki, jakie czytała, pełne były dziewcząt osieroconych przez matki, a adoptowanych przez życzliwe ciotki albo bogatych wujków.

Bobby aż się wzdrygnęła.

- Nie, oni som w Detroit.

- No to czemu jesteś adoptowana?

- Jestem bękartem - powiedziała Bobby. - Mój tata skrzywdził mamę w Detroit, potem ona wróciła i ześmy zamieszkali w Clay Country, i tu rosłam, a dziadek mnie zaadoptował, żeby dostać zasiłek. Teraz moja mama jes znów w Detroit, szuka taty, a dziadek mówi, że jes moim tatam, ale nie jes.

Pierce i jego kuzynki słuchali uważnie, ale niewiele rozumieli; równie dobrze mogli słuchać glosolalii.

- Tak czy siak nie wracam do niego. Idę szukać mamy.

Nie mieli noża, by kroić ser, więc użyli cienkiego wieszaka z drutu. Bobby jadła plasterki za plasterkami, z chlebem, nie odrywając wzroku od pomarańczowej kostki, jak gdyby bała się, że ta zniknie, zanim ona zdąży się najeść. Napój otwarli otwieraczem przyśrubowanym do futryny drzwi łazienkowych, jak w motelu. Tylko po co? Wyłączyli światła w pokoju Hildy i Ptasi i szeptali, chociaż Myszka była daleko. Konsekwencje odkrycia Bobby przez Myszę w trakcie jedzenia u nich sera były nieprzewidywalne. Potem wzięli dodatkowy koc z szafy w holu (indiańskie paski, romby i trójkąty) i długi płaszcz Hildy.

Zaprowadzili Bobby z powrotem do ponurego salonu. Hildy niosła koc i płaszcz. Stąd było daleko do grzejnika, ale Hildy nalegała (trzymała się konwencji, wedle której tak właśnie działo się w książkach - sieroty kładziono spać na sofach). Bobby położyła się zatem na kanapie w ubraniu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach niczym trup, a oni ją przykryli.

- OK.
- OK.
- OK. Bobby?
- Chyba.
- OK.

Ale później, kiedy już zasnęli w swoich łóżkach, Bobby wstała, przemknęła przez pokój Pierce'a, a może i przez jego sen, weszła do frontowego pokoju, zdjęła buty, ale nie zdjęła sukienki i dziecięcego swetra, wgramoliła się na łóżko Ptasi, nie budząc jej, i spała tam w bezruchu do rana.

SIEDEM

Pierce obudził się przekonany, że coś zupełnie nowego, coś zarówno niebezpiecznego, jak wartościowego leży z nimi w bungalowie, ale z początku nie pamiętał, co to jest. Kiedy sobie przypomniał, uświadomił sobie także, że Winnie, nie, Mysza, przyjdzie zaraz sprawdzić, czy już wstali, i zawoła ich na śniadanie; trochę później przybędzie też siostra Mary Filomela, a ona nie może zobaczyć Bobby.

- Pierce, ona tu jest!

Zerwał się z łóżka, lecz zbyt późno, bo drzwi już się otwały i Mysza przemówiła:

- Chodźcie na płatki bo zara wystygnom. I drzwi zamknęły się za nią.

Zajrzał do pokoju Ptasi i Hildy akurat wtedy, gdy Bobby się odkrywała, maleńka pośród artystycznego nieładu pościeli na łóżku Ptasi. Wstała bez śladu zmęczenia i skruchy, obiema dłońmi odgarniając splątane kosmyki: od teraz ich podopieczna, zadowolona z tego stanu rzeczy, choć wciąż pod powierzchnią jej zamkniętej twarzy pełgała niepewność.

Kiedy ubierała się i myła, starali się obmyślić jakiś plan, ale plany Pierce'a były tak szalone - przebieranki, iluzje, kłamstwa, itede, itepe - że Hildy stwierdziła, iż nie chce brać w tym udziału, a Bobby zrobiła się nerwowa i na ich sprzeczkę krzyknęła nie mówcie, nie mówcie, nie MÓWCIE, choć nic takiego nie mieli na myśli: była przecież pomiędzy specjalistami od sekretów, a więc całkowicie bezpieczna.

Podczas śniadania wypełniali kieszenie chlebem i owocami, zgodnie z poleceniem Hildy, co Mysza zauważyła, ale nie poświęciła temu uwagi; nie było jednak czasu, żeby Bobby to zjadła, ponieważ niebawem zjawić się miała siostra Mary Filomela.

- Kogo siostra?

- Siostra, ze szpitala.

- Ale kogo?

Kazali jej włożyć płaszcz, napchali kieszenie i Pierce zaciągnął ją za rękę przez pokój lekcyjny do tylnych drzwi. W samą porę, ponieważ kiedy przekradali się po drugiej stronie bungalowu, schylając się pod oknami (Gene i Smiley tak to właśnie robili, pochylali się pod oknami, zaglądając do środka, by podglądać nieświadomych złoczyńców), usłyszeli, jak siostra Mary Filomela wita się z Myszą i Warrenem.

Biegli między budynkami na tyły - Pierce bał się puścić jej gorącą rękę, żeby nie

zwała - aż do wzmocnionych drzwi prowadzących do piwnicy.

- Nie ide tam.

- Tylko na sekundę - nalegał Pierce. - Stamtąd pójdziemy na górę.

Rozejrzała się po wzgórzu; z jej ust dobywała się zimna para. Nie miała dokąd pójść. Zeszła w ciemność z Pierce'em.

Piwnica - piwo i nic? U świętego Szymona Cyrenejczyka toalety zlokalizowane były w piwnicy i prośba o pozwolenie wyjścia do piwnicy wywoływała śmiech. Siostrzo, czy mogę iść do Piwnicy; przestępowanie z nogi na nogę.

Jego tata także skrzywdził mamę, w pewien sposób; Pierce nie wiedział jak ani dlaczego, wiedział tylko, że w pewien sposób.

Włącznik był blisko wewnętrznych schodów, więc piwnicę przeszli po ciemku; milcząca Bobby sama trzymała go teraz za rękę. Zamarła, kiedy automatyczny podajnik zsyłał węgiel do pieca - napełnianie go codziennie węglem należało do Joe Boyda, który w każdej chwili mógł tu zejść.

- To nic.

- Ktoś tu jest.

- Nie, to nic, chodź.

Ramię w ramię wspięli się po wąskich schodach; częścią świadomości Pierce odczuwał dziwną, silną woń Bobby, prostą jak jej słowa. Axel nazywałby to fetorem. Pierce uchylił drzwi.

Dom był pogrążony w ciszy. Myszka pewnie wróciła do łóżka albo wyszła z domu, albo też była w łazience z małym Henrym. Pierce wyciągnął opierającą się Bobby na korytarz i schody wiodące na górę. Kiedy się tu jednak znaleźli, Bobby poczuła ochotę zatrzymania się na dłużej i rozejrzenia, więc Pierce musiał ją poganiać szeptem; bardziej nawet niż w bungalowie, Bobby wydawała się kimś poza kontrolą, źródłem katastrofy, tu, w domu Sama. Ale Sama nie było.

Nie było.

Wepchnął ją na schody, wyęzając słuch, by usłyszeć Myszę i małego Henry'ego. Nic. Skierował Bobby pod ścianę korytarza, pokazując jej, gdzie stapać, żeby klepki podłogowe nie trzeszczały.

- No idź, idź.

Wreszcie stawiała opór, miała dość, obróciła się i spojrzała nań z buntowniczą pogardą, biorąc się pod boki. Pierce gestykulował nerwowo - te drzwi, te! Bobby weszła zdecydowanie, samodzielnie: była tu gościem.

Sypialnia Sama była jeszcze cichsza niż cały cichy dom. Pierce'owi serce waliło, chyba świadome nadużycia, jakiego dopuszczał się jego właściciel.

- Zostań tu - powiedział do Bobby, która rozglądała się po pokoju na progu, poruszając tylko oczami, jakby niezdolna do postawienia nogi na dywanie. - Po prostu zostań tu.

Wskazał mały zegar na szafce nocnej obok telefonu, który co jakiś czas budził Sama w środku nocy.

- W południe wróć. W południe.

Długi czas po tym, jak zamknął za sobą drzwi (patrzyła, jak ostrożnie kręci gałką, by ta nie szcęknęła), stała tylko, obejmując się za ramiona, ale czuła narastającą odwagę. Wyjęła pulchny chleb z kieszeni i zjadła, rozglądając się po sprzętach. Były tu dwa łóżka, a raczej jedno podzielone na dwa, połączone z tyłu półkami z szarego drewna o wyraźnych słojach; przesunęła dłonią po ich szklistej, nie przypominającej drewna powierzchni. Spojrzała w szerokie lustro nad komodą, przypaloną w jednym miejscu papierosem. Mała rana, która nigdy się nie zagoi; Bobby położyła na niej palec.

Kiedy przestała się bać pokoju, ośmieliła się otworzyć drzwi i wyjrzeć na zewnątrz. Usłyszała głosy, jeden należący do Myszy, a drugi męski, którego nie знаła (to był Joe Boyd). Znowu zamknęła drzwi. Wypróbowała krzesło; do szczytu oparcia przymocowany był drewniany wieszak, z którego zwieszał się płaszcz, poniżej zaś na półce stały duże buty, jakby to krzesło nosiło ubrania. Podeszła do łóżka i położyła się z boku, wsłuchując się w tykanie zegara (na którym się nie znała) i czując znajomy męski zapach poduszki, podobny do zapachu jej dziadka. Kiedy wstała, zauważyła, że na łóżku i poduszce pozostało wgłębienie.

Otworzyła szuflady i ze zdziwieniem patrzyła na czarne jaja zwiniętych skarpet Sama, na wielkie błyszczące egzemplarze „Esquire”, które Sam pruderyjnie tu ukrył - zdjęcia samochodów, butelek bursztynowej whisky, smukłych kobiet o barwie biskwitów. Znalazła szkatułkę o wypukłym wieku i miękkiej wyściółce, w której były pierścienek zaręczynowy i obrączka Opal. Zaciskając uda i wsuwając dłoń między nogi, patrzyła, jak maleńki kamień barwi przenikające go światło.

W mniejszym domu, gdzie mieszkały dzieci, widziała toaletę i myślała, że tu też musi jakaś być, ale gdzie. Pochyliła się, by poszukać pod łóżkiem nocnika, z tej strony, z drugiej strony, mocząc spodnie. Nie było nocnika. Wreszcie wzięła dzbanek z wezglowia łóżka i wykorzystała najlepiej, jak się dało, przy okazji mocząc też wełniany dywan. Zwinęła mokre spodnie i wrzuciła je głęboko pod łóżko, pewna, że nikt nigdy ich nie znajdzie. Zamknęła dzbanek i odłożyła go. Później zapyta, gdzie go opróżnić.

Zapomniała o tym jednak, kiedy zobaczyła, jak gałka w drzwiach się obraca. Do środka zajrzała zaniepokojona twarz Pierce'a. I chociaż Winnie znalazła kiedyś te ukryte spodnie, przez długi jeszcze czas Sam czuł w pokoju woń starego moczu, pochodzącą nie wiadomo skąd.

- Chodź - szepnął Pierce.

- Tam jest brylantowy pierścionek - powiedziała.

- Chodź.

Cały ten czas przesiedział na lekcjach siostry Mary Filomeli, świadomy, że Bobby jest w domu, i ta świadomość powodowała przyspieszone bicie, a zarazem kurczenie się jego serca. Kiedy teraz otworzył drzwi i ujrzał ją, zdała mu się inną osobą niż ta, o której myślał, poważniejszą, bardziej problematyczną, a to odnowiło w nim strach i zdumienie.

- Jestem głodna - powiedziała.

Czy naprawdę (zastanawiał się Pierce, mając powód do roztrząsania znów tamtych spraw) trzymali Bobby w tajemnicy przez wiele dni, co najmniej przez tydzień bez wiedzy Myszy? Może w domu było aż tyle dzieci, że Mysza nie wyczuła dodatkowej pary nóg tupiącej po schodach; być może siostra Mary Filomela nie potrafiła rozróżnić cumberlandzkiego szeptu pośród ponagających głosów w ogrodzie pod oknem pokoju lekcyjnego (Bobby sprzeciwiała się pozostawianiu w kryjówce pod domem, którą dla niej znaleźli).

Tak czy owak, nikt jej nie złapał. Spała z Ptasią i jedyny raz, kiedy pod pościelą jej sylwetkę zauważyła Mysza, Hildy siedziała w łazience, więc Mysza pomyślała, że to właśnie ona leży w łóżku Ptasie.

We dnie przechodziła z pokoju do pokoju albo wymykała się do lasu lub kurnika, czy też do miasta, z Pierce'em i Ptasią (było to niebezpieczne i śmiałe; gdyby nie sądzili, że naprawdę są Niewidzialni, podobnie jak Bobby, o ile była pod ich opieką, zdradziliby siebie i ją). Potrafiła z nadnaturalną sprawnością pozostawać w bezruchu i ciszy, stawać się niewidoczną niczym nakrapiana ropucha w opadłych liściach; jeśli się długo na nią patrzyło (Pierce krył się z nią w szafie na piętrze, czekając na sposobność ucieczki), w kształcie jej twarzy można było dostrzec coś obcego, coś mętnego w hardym oku, jak gdyby była tylko bliską doskonałości kopią młodej samicy gatunku homo sapiens.

Ciągle mówiła o wyjeździe do Detroit i o swojej mamie, ale - chociaż naradzali się z nią i wykradali dla niej z kuchni i szaf jedzenie i ubranie - wiedzieli, przynajmniej Pierce i Hildy, że to iluzja, jak ciągnęła groźba Joe Boyda, że ucieknie na pełne morze. Było jasne, że Bobby nie zna drogi, a kiedy pewnego razu przynieśli mapy z gabinetu, gdzie znajdowała się

brązowa encyklopedia, i odszukali na nich Kentucky, nie potrafiła za nimi nadążyć. Tu jest Clay County. Tu Pikeville. Była też rzeka Bezimienna i stonoga torów kolejowych. Bobby patrzyła bez cienia zainteresowania.

Powoli zrozumieli, że nie potrafi czytać.

- Pewnie, że umiem - zaprzeczyła i zaśpiewała „ejbi sidi iefdzi ejczaj dzejkej ello mello pi”, ale nie potrafiła zdać prawdziwego testu, który Hildy szybko jej zrobiła. Ona sama zdawała się nie do końca wierzyć, że oni potrafią czytać to, co czytają, i kazała im czytać całe fragmenty ze stron, które własnoręcznie wybierała, żeby nie mogli jej oszukać.

- Ofici - przeczytał Pierce ze słownika w miejscu, które Bobby wskazała palcem z żalobą za paznokciem. - Była to sekta, która jak większość gnostyków, odnosiła się do żydowskiego Jehowy ze wstrętem i wierzyła, że uwolnienie ludzkich dusz spod jego władzy jest największym zadaniem życia. Uważali oni zatem, że wąż, który kusił Ewę do sprzeciwu, był dobroczyńcą ludzkości. Czcili węża, którego trzymali w sanktuarium, i kiedy pobłogosławił (dotknięciem języka) hostię, każdy wierny całował jego pysk.

Bobby zadumała się.

- Wiem czemu nie lubili Żydów - powiedziała. - Zabili Jezusa. Mój wujek podniósł raz węża w kościele, bo Biblia mówi, że jak się wierzy, można łapać węże, albo pić truciznę, a nic się nie stanie. Ale go nie pocałował.

Przekartkowała książkę.

- Całować węże - powiedziała ze zdumieniem i obrzydzeniem. Obróciła stronę: - A co to?

- Posągi.

- Gdzie majom ubrania?

- Wtedy się nie ubierali tak jak teraz.

Podniosła powoli oczy na Pierce'a, jak gdyby to on wstawił tam zdjęcie Hermesa tylko po to, żeby ona je znalazła.

- To było dawno - powiedział, rumieniąc się. - W innym kraju.

- W jakim kraju? - spytała. - Chyba w Krainie Golasów.

- Nie. W starożytnej Grecji.

- Ha. W starożytnej Grecji - powiedziała cynicznie, patrząc na zdjęcie.

Wiedziała coś, czego oni nie wiedzieli: jak zapalić papierową zapałkę, przyciskając skrzydełko opakowania do jej główki i brązowego paska i wyszarpując nagle zapałkę. Jak płuć spomiędzy zębów, wypuszczając cienki prosty strumień niczym pocisk, by trafić oddalony cel. Jak skręcić papieros z tytoniu i papieru i palić bez krztuszenia się. Kiedy Pierce

kupił jej tytoń (obojętny sprzedawca odnotował go w długiej tabelce pozostałych należności Oliphantów, gdzie później miał zdziwić Winnie pomiędzy napojami, chlebem i mlekiem), zatrzymali się na chwilkę, widząc na wystawie tytoń do żucia. Smacznie wyglądające złote kwadraciki w celofanie albo zwykłe zwitki liści, wyglądających jak gruba winorośl.

- Żujecie? - spytała go.

- Nie.

- Mój dziadek żuje. Spróbuj - powiedziała i wyciągnęła ku jego twarzy kosmaty zwitek.

- Nie!

- No spróbuj! - ponagliła i kiedy dotknął językiem tytoniu, by zaraz go cofnąć, czując piekącą gorycz, przywodzącą na myśl wszystkie paskudne potrawy, których kiedyś spróbował przez pomyłkę, zaśmiała się z zadowoleniem.

Gdy próbowali palić luźno zwinięty tytoń spod jej ręki podczas sobotniego ogniska, Bobby pokazała im, co jeszcze wie.

- Paczcie - powiedziała. Wydarła z opakowania dwie papierowe zapalniczki i długimi paznokciami rozdzieliła warstwy papieru, otrzymując w ten sposób dwie maleńkie sylwetki, takie jak te, które walczyły w niekończących się bitwach Joe Boyda. Kucając przy płaskiej skale, zginając spiczaste kolana i obciągając spódnice pięścią wbitą między kolana, położyła obie figurki jedną na drugiej. Potem, śmiejąc się, zapaliła po swojemu trzecią zapalniczkę i dotknęła nią główek sylwetek.

- Widzicie?

Sylwetki podskoczyły, a potem ich kończyny zaczęły wić się powoli, nogi rozszerzać, a plecy wyginać w łuk, w miarę jak płomień zwijał je i czernił. Bobby patrzyła z przyjemnością, a potem spojrzała na Pierce'a. W jej matowych oczach lśniła diabelskość.

- To twoja mama i tata - rzuciła. - Jebiom się.

Potem zerwała się do biegu, pewna, że dogłębnie go obraziła, ale Pierce tylko spojrzał znów na dwoje zapalczanych ludków poskręcanych w agonii płonących ciał. Jebiom się. Bobby zaśmiała się w oddali, czekając, aż zaczną ją gonić.

W nocy, w pomroce bungalowu obok poświaty grzejnika, rozmawiali o śmierci, Bogu i objawieniu.

- Jak umierasz - powiedziała Bobby - kładom cie do grobu i tam leżysz martwy i śpisz aż przyjdzie Jezus. Wtedy wszyscy wstajom z grobów znowu żywi i idą do sądu. Potem wy wszyscy pójdziecie do piekła, a chrześcijanie zamieszkajom na ziemi z Jezusem przez tysiąc

lat, a potem pójdę na zawsze do nieba. To wszystko.

Wiedza ta pochodziła według niej z Biblii. Czy oni nie czytali Biblii? Jej dziadek czytał Biblię cały czas, a kierował nim Duch Święty. Duch Święty objawił mu sekretną ewangelię, skrytą za ewangelią, którą wszyscy czytają.

- Tylko nie mylcie Ducha Świętego ze zwykłym duchem - zawołała Bobby, oburzona samą myślą. - Zwykle duchy to trupy, co wracajom brzęcząc łańcuchami albo z nożem w plecach. Duch Święty to coś innego.

- A co z nami? - spytał Pierce. - My jesteśmy chrześcijanami.

- Wcale że nie. Żeście się odrodzili? Przyjęli Chrystusa?

- A ty?

- Ja jeszcze nie umieram.

- A co z małymi dziećmi? Które umierają bez chrztu? One nie zrobiły nic złego.

- Też idom do piekła.

Zszokowana Ptasia głośno wciągnęła powietrze.

- Żeby się ochrzcić trzeba przyjąć Chrystusa. Dziecko tego nie umi.

- Robią to rodzice chrzestni - powiedziała Ptasia, której chrzestni co roku w dzień chrzcina przysyłali prezent. Bobby parsknęła z pogardą: nie miała pojęcia, kto to jest chrzestny, ale szybko kontratakowała.

- Kiedy dzieci umierają bez chrztu - powiedziała jej Hildy - idą do otchłani. To nie jest piekło. To obok nieba.

Hildy uważała, że śmierć jest jak wejście do szafy - ziemi; tyle tylko, że szafa ta ma po drugiej stronie wyjście, takie jakie mają magicy, którzy po zamknięciu wydostają się na zewnątrz, nie wychodząc. Z szafy wychodzi się na obszary, które według Hildy nie mieściły się ani w niebie, ani na ziemi, lecz w samej śmierci. Niebo. Piekło. Czyściec. Otchłań. Kiedy myślała o ludziach w tamtym miejscu, zawsze wyobrażała sobie, że się poruszają, przemieszczają, migrują coraz dalej i dalej, ku nieskończonej głębi śmierci.

- Ponieważ nie zostały ochrzczone, nie mogą iść do nieba, ale to nie jest ich wina, więc idą do otchłani, gdzie wszystko jest w miarę okej. Ale nie mogą być z Bogiem. Nigdy.

- Ale - powiedział Pierce - jeśli ktoś nie jest ochrzczony i dorośnie, i jest zły, to idzie do piekła.

Nierówność tej sytuacji uderzyła go po raz pierwszy: było to jak przegrana w grze, w którą człowiek grał nieświadomie, a wygrana była niemożliwa.

- Ale - dodała Hildy, podnosząc palec - istnieje jeszcze chrzest pragnienia. To znaczy, że ten ktoś uwierzyłby w Boga i dałby się ochrzcić i byłby katolikiem, gdyby tylko słyszał o

tym, ale nie słyszał, a mimo to postępował najlepiej, jak mógł.

Bobby we flanelowej koszuli nocnej Ptasi siedziała zasłuchana, wspierając podbródek w dłoniach. Jej niepokonana ignorancja (co uświadomił sobie z nieprzyjemnym uczuciem) szybko zniknęła, a wraz z nią szansa na chrzest pragnienia. Nie była też niemowlęciem. W jakim więc znalazła się położeniu?

- Przynajmniej nasza mama jest teraz w niebie - powiedziała Ptasia.

- Nieprawda - powiedziała Bobby. - Nie jes w niebie, bo Jezus jeszcze nie przyszed. A potem się zobaczy.

Ale była tylko ona jedna przeciwko trzem inteligentnym Oliphantom (czterem po tym, jak Warrena trzeba było dopuścić do sekretu), a wiedziała, po której stronie chleb masłem smarowany: słuchała katechizmu Hildy wcale niezrażona zamieszaniem wokół siebie.

Nie dało się zaprzeczać, sądził Pierce, tym łagodnym dogmatom, co do których chcieli ją przekonać. Podobnie jak Sam, dzieci wierzyły, że nic, co jest prawdziwe, nie kłóci się z wiarą, ani ewolucja, ani miliardy lat Ziemi, ani względność; urodzeni kazuiści, szybko zauważali i wykorzystywali wszelkie zastrzeżenia, ekumenizmy, luki w potężnej twierdzy wiary, do wpuszczenia prawdziwego świata, który dla nich miał prymat niedostrzegany i niekwestionowany. Dla Oliphantów - przynajmniej dla Pierce'a - cała długa historia odczytywana była po kawałku co mszę, nigdy w całości, wciąż się powtarzała, nigdy niedokończona, chociaż była niekwestionowaną prawdą, która przydarzyła się gdzie indziej: może w wieczności. To była Historia, która przydarzyła się teraz.

Ale Bobby nigdy nie słyszała o Historii. Miała tylko jedną historię, którą usłyszała od dziadka, historię o zmarłych i ich przebudzeniu, o sądzie, drastyczną jak komiks grozy, w której rzeczywistość zdawała się wierzyć - i wierzyła, że wszystko to dzieje się teraz, w tym tygodniu, tej zimy. Nie miała żadnych zobowiązań obrzędowych, nie chodziła nawet do kościoła w niedzielę, bowiem w żadnym kościele nie opowiadano prawdziwej historii, którą Duch Święty opowiedział jej dziadkowi. Nie znała też żadnej modlitwy.

Pod bungalowem Hildy i Ptasia pokazywały jej, jak się modlić: dłonie złożone razem, kciuki skrzyżowane albo obok siebie. Święta Mario, Matko Boża. Kiedy pojawiło się imię Jezusa, Hildy palcem popchnęła głowę Bobby w dół, a potem puściła. Owoc żywota twego. Czy mogło to mieć coś wspólnego z nazwą majątek Pierce'a⁸? Coś w tym musi być. Takie podobieństwa nie dają się wyjaśnić przypadkiem. Z góry (byli tuż pod oknem pokoju

⁸ Owoc Żywota Twego - ang. the fruit of the womb brzmi podobnie jak nazwa marki odzieżowej Fruit of the Loom.

lekcyjnego) doszedł ich brzęk dzwonka siostry Mary Filomeli. Ośmielili się zignorować go raz.

- Jeśli jest się katolikiem, nie jest się uprzedzonym - powiedziała Hildy - i nie trzeba myśleć, że Murzyni są gorsi od innych ludzi. Uprzedzenia to grzech.

Ludzie innych ras nie różnią się od nas, powiedziała im kiedyś Opal Boyd i Hildy w to uwierzyła, chociaż nie знаła nikogo o innym kolorze skóry; podobnie zresztą jak Opal.

- W Clay County słońce ciągle dla nich świeci - powiedziała łagodnie Bobby. - Moja mama powiedziała, że lepiej, żeby nie zaszło.

Zaczęła drzeć. Znów rozległ się brzęk dzwonka. Widzieli go oczyma wyobraźni, srebrny przedmiot o kształcie identycznym jak czekoladowe ciasteczko, nie wiadomo czemu.

- Nie idź nigdzie - powiedziała Hildy. Przycisnęła plecy Bobby do twardej, zimnej gliny.

Clay County - Gliniane Hrabstwo. Sam mówił, że dzieci z tych gór czasami jedzą glinę.

Jeszcze na Brooklynie, kiedy był w drugiej klasie, Pierce'owi przyśniło się kilkakrotnie to samo - że będzie ukrzyżowany obok syna Marii, że weźmie udział w Jego ofierze; miało to się stać w audytorium u św. Szymona Cyrenejczyka, gdzie ustawiono trzy krucyfiksy pośród zakurzonych aksamitnych zasłon, na oczach dzieci siedzących na wypolerowanych niezliczonymi tyłkami drewnianych krzesłach (Pierce w dziwny sposób znajdował się między nimi, a zarazem był, czy też miał zostać, ukrzyżowany); nie czuł strachu ani niechęci, tylko ciężkie brzemie odpowiedzialności, a jednocześnie czuł się uprzywilejowany, czuł tę samą fałszywie skromną satysfakcję, którą czuł potem, starając się nawrócić Bobby. Kiedy to sobie przypomniał - pierwszy raz od tamtej zimy - bezwolnie jęknął z zakłopotania. Jak mógł.

Kiedy przyszli po nią, już jej nie było. Pusty korytarz techniczny pachniał nią i jedzeniem, które jej tam przynieśli. Zaczęło mżyć.

W kurniku też jej nie było, podobnie jak w garażu opodal paleniska śmieci. Mżawka przeszła niczym katar; Myszka zawołała ich z kuchni na kolację. Parówki wiedeńskie z fasolą, osłodzone ciemnym syropem Karo. Jedli w ciszy, czując, jak wokół nich i domu zbiera się zimna ciemność.

Leżała w łóżku Ptasi owinięta narzutą (chyba nie rozróżniała między narzutą, kocem a prześcieradłem) i spała; kiedy Hildy jej dotknęła, wzdrygnęła się, jakby coś ją ugryzło, i podniosła się, by na nich spojrzeć. Włosy na czole miała mokre. Kiedy spytali, gdzie była, wybełkotała coś, czego nie zrozumieli, i przykryła się poduszką. Potem zerwała z siebie

narzutę i wstała z otwartymi ustami, oddychając szybko i chrapliwie.

- Jesteś chora? - Hildy położyła rękę na jej wilgotnym czole, ale Bobby strząsnęła ją i chwiejnym krokiem ruszyła do umywalki w łazience (podążyli za nią). Mokre majtki leżały na podłodze, toaleta była niespłukana. Bobby odkręciła kran drżącymi dłońmi i przyssała się doń.

Przełykając głośno, przepchnęła się na oślep przez nich z powrotem do łóżka i momentalnie zasnęła, a przynajmniej znieruchomiała z twarzą zwróconą w dół, oddychając głośno i z wysiłkiem. Stanęli wokół łóżka, czując kwaśny odór jej choroby.

- A jak umrze? - szepnęła Hildy.

OSIEM

Całą noc rzucała się na łóżku i bredziła, raz wstała, by zaraz znów się położyć; jej przerażający oddech, głęboki i szybki jak u psa, uspokoił się trochę dopiero nad ranem. Leżała cicho, kiedy budzik obudził Pierce'a. Czas iść na mszę.

Mysza też powinna już być na nogach, naszykować mu cheerios i dopilnować, by się uczesał, ale kiedy pierwszego poranka tygodnia, w którym miał służyć do mszy, wszedł do kuchni, wciąż było tam ciemno. Stał, czekając i słuchając, jak budzik na górze rozdzwania się, cichnie i wreszcie milknie, a potem napawając się ciszą. Najwidoczniej Mysza nie mogła jeszcze wstać, więc Pierce (nie chcąc jej przeszkadzać ani zakłócać snu całego domu przyrządzaniem sobie śniadania) po prostu wyszedł, po drodze chcąc zatrzymać się w sklepiku, żeby kupić krakersy pomarańczowe z szarym nadzieniem orzechowym.

Wszelako tego ranka nie zatrzymał się tam, tylko pędził przez smutno budzący się poranek i drżał cały; pościł, czego zwykle nie robił, i kiedy ojciec Midnight zwrócił się doń pytająco, przyjąwszy własną wielką hostię, Pierce mógł wreszcie podłożyć sobie patenę pod brodę (przy ofierze obecni byli tylko on i ojciec Midnight - dwie osoby wystarczały, a prawdę powiedziawszy, nawet jedna). Z kilkoma niezmiennie niezrozumiałymi słowy ojciec Midnight położył okrągły opłatek na jego języku. Pierce zamknął oczy, lewą dłoń przyciskając do brzucha, a prawą trzymając patenę, na którą spadały okruchy Boga (każdy najmniejszy kawałeczek, każda cząstka była całością Boga), kiedy nieomal nieistniejący słodkawy krążek rozpuszczał mu się na podniebieniu, czekając na pewność, a przynajmniej postanowienie, by płynąć do jego wnętrza.

Po mszy w westybulu ksiądz zdjął wszystkie warstwy wyszywanego atlasu i białych koronek, jedną po drugiej, poruszając przy tym nieomal niepostrzeżenie wargami w cichej modlitwie, po czym ucałował stulę, w której zawierała się jego moc (mszę można było odprawić bez tej całej reszty, ale nie bez stule) i ją odwiesił. Pierce też odwiesił swoją białą komżę i czarną sutankę pośród innych; serce wciąż biło mu szybko i promieniało ciepłem hostii, którą przełknął.

- Synu.

- Tak, ojcze.

- Czy wiesz, że przechodząc z Ewangelii do Listów należy ucałować stronę?

- Tak, ojciec.

- Rozmawialiśmy już o tym?

- Tak, ojciec.

- Czy masz coś przeciwko pocałunkom? - Słowo to wypowiedziane zostało tonem Sama, jak gdyby dla zabawy jakiegoś obeznanego słuchacza, którego tutaj nie było. Pocałunki - domyślał się, o co może chodzić, nie miał nic przeciwko. Wydawało mu się to tylko dziwacznie śmiałe, ekstrawaganckie niczym całowanie podstarzałych krewnych.

- W porządku - odpowiedział ojciec Midnight.

Pierce włożył kurtkę.

- Dziękuję, synu.

- Dziękuję, ojciec.

Powrót przez pusty kościół z rękami w kieszeniach. Pierce nie zapomniał uklęknąć, kiedy mijał ołtarz, kierując się do drzwi, ku wypełnionej zimną i nieco śluzowatą wodą chrzcielnicy z bladego kamienia. Czując na grzbiecie straszliwą pewność, że zostanie złapany, że nawet teraz patrzy nań ojciec Midnight, wyjął z kieszeni aluminiowy cylinder (wodoszczelny, przeznaczony do przechowywania zapalek podczas wycieczek kempingowych, chociaż nigdy nie trafiła doń ani jedna zapalka) i zanurzył go w chrzcielnicy. Przez krótką, niekończącą się chwilę pojemnik bulgotał, napełniając się. Zamknawszy go, Pierce wyszedł na dzień, który podczas jego pobytu w kościele rozwinął się w całej swej szarej pełni.

Być może komunia, którą przyjął, nie była zbyt dobrze przemyślana. Ciepło w jego sercu rozlało się po całej klatce piersiowej, lecz zarazem zmieniło w żrący i wściekły afront, być może z powodu jego impertynencji. Gardło wypełniło mu się kwasem, głowę miał lekką.

Hildy ze zbielełą twarzą i otwartymi oczyma wyjrzała z okienka w drzwiach bungalowu i uchyliła je lekko, by go wpuścić.

- Zwymiotowała - wyszeptła doń, przestraszona - taką dziwną breją.

Ptasia siedziała obok Bobby na łóżku, trzymając ją za rękę i patrząc na nią nieruchomo. Twarz Bobby wydawała się powleczone śluzowatą warstewką. Patrzyła na Pierce'a niewidzącymi oczyma - mętnymi i bladymi, jak gdyby ugotowanymi niczym jajka. Gdy tylko ją zobaczył, gdy tylko poczuł zaduch choroby, zrozumiał dwie rzeczy: że wszystko się wydało, że trzeba było powiedzieć Myszy, oraz że sam jest chory. I w przyszłości, kiedykolwiek napad gorączki komasował w nim wszystkie inne przegorączkowane przezeń dni (jak gdyby gorączka stanowiła życie prowadzone tylko niekiedy, życie z własnymi wspomnieniami, pragnieniami, potrzebami i słabościami), ten poranek stanowił jeden z takich

dni.

- Ona musi wyzdrowieć, musi, musi, musi - jęczała cicho Hildy, zagubiona i przestraszona.

- OK. - powiedział Pierce. - OK.

Wyciągnął fiolkę wody święconej z kieszeni i położył na rozklekotanym stoliku obok łóżka, oblepionego obrazkami niedźwiedzi i zajęczków, gdzie zwinięte chusteczki higieniczne i szklanki z wodą walczyły o miejsce.

- Boże, spraw, żeby ona wyzdrowiała.

Tak naprawdę musieli po prostu beczynnie czekać - zgodzili się na to bez słowa, zgodzili się siedzieć w zawieszeniu, w pełnym poczucia winy transie, między oczywistą potrzebą zawiadomienia dorosłych a niemożnością zrobienia tego, aż wreszcie Mysza otworzy drzwi.

Ale to nie Mysza pierwsza otworzyła drzwi, lecz siostra Mary Filomela.

Ona po prostu brała na serio obietnicę złożoną doktorowi Oliphantowi, że będzie mieć oko na dzieciaki, obietnicę, którą Winnie przyjęła, nie myśląc o niej zbyt wiele. W sobotni poranek miała coś do zrobienia i można to było zrobić równie dobrze w pokoju lekcyjnym, jak i gdziekolwiek indziej. Być może wyczuła, że tego dnia przekracza pewne bariery, ponieważ zaglądała przez półotwarte drzwi bungalowu bardziej powściągliwie, niż zwykła była to robić.

Pierce przypomniał sobie później, że nie zrobiła nic głupiego; zobaczyła chore dziecko w łóżku Ptasi, dziecko, którym zaczynał właśnie wstrząsać spazmatyczny kaszel, i ruszyła na pomoc.

- Kto to jest? - spytała spokojnie, siadając na łóżku. Bobby, wciąż kaszląc, odsunęła się słabo w róg, jak gdyby chciała precyzyjnie się przez ścianę; patrzyła na siostrę, widząc coś nieznanego, coś w czarnym habicie i barbecie.

- Bobby - powiedziała Ptasia, niemal szlochając ze strachu i ulgi.

- Musimy zabrać Bobby do doktora, prawda?

- Tak, siostrze.

- Ale najpierw zmierzmy jej temperaturę.

Różowa dłoń dotknęła czoła Bobby. Ręka otuliła drżące ramiona. Przez chwilę Bobby przestała kaszleć: wybałuszyła zezujące oczy, a jej usta otworzyły się w niemożliwym do opanowania odruchu. Wypnęła się jak wymiotujący pies i wyrzuciła z siebie masę żółtawej flegmy. Siostra Mary Filomela próbowała się cofnąć, ale wymioty zmoczyły czarny habit;

dzieci patrzyły ze zgrozą, którą później miały przywoływać z wesołą dokładnością, kiedy już dorosły: Bobby puściła pawia na siostrę.

- Porzygałam się - powiedziała słabo Bobby pokrytymi pianą ustami - znowu.

Hildy wysłano po termometr. Bobby, dysząc i przełykając, siedziała bez ruchu niczym schwytyany ptak w objęciach siostry Mary Filomeli. Pod jej łokciem stał pojemnik ze skradziona wodą święconą; może go zauważyć, myślał Pierce, wyczuć jakąś tajemną wibracją. Jego ręka zadrgała w kieszeni, chcąc poczuć dotyk aluminiowej fiolki, ale wtedy wróciła Hildy, napotkawszy w letniej kuchni Warrena i Myszę, którzy wybierali się właśnie do nich.

Otworzyła drzwi szeroko i poważnie. Wszystkie sekrety wyszły na jaw. Ustąpiła na bok, by pozwolić Myszy przejść.

- Tutaj jest.

Mysza powoli podniosła dłonie ku twarzy, białymi palcami osłaniając otwarte usta, przesuwając wzrok z dziecka na zakonnice, a z niej na brudne ręczniki na podłodze i poskręcane, zabrudzone prześcieradła, na których leżała Bobby: była bardziej wstrząśnięta, niż dzieci mogły to sobie wyobrazić, ponieważ cierpiała i martwiła się, odkąd tylko tak arbitralnie oddaliła stąd to dziecko. W domu, który jej powierzono, nie było dla Bobby miejsca; Mysza bała się, jakie zamieszanie dziewczynka mogłaby spowodować, ale nigdy nie spodziewała się czegoś aż tak strasznego; co to ma być?

W Bobby, która zrazu nie poznała Myszy, coś pękło. Zdawała się podrywać i na powrót chować we własnym ciele; podniosła ręce do Myszy, jak gdyby stały w ogniu, zaczęła łkać, oddychając szybko, niczym niemowlę.

- Co to ma być? - powiedziała Mysza, siadając obok i odgarniając mokre włosy z jej czoła, gdy Bobby, szlochając, przytuliła się do niej.

- Co to ma być, na Boga?

Odwróciła się wtedy razem z siostrą ku Pierce'owi; wiedział, że przyszedł czas na wyjaśnienia, ale w tej właśnie ciszy rozbrzmiał dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu; mógł dochodzić tylko z ich podjazdu.

- Tata - powiedział Warren stojący przy oknie.

- Dobrze - powiedziała siostra Mary Filomela. - Bardzo dobrze. - Uśmiechała się w sposób dobrze znany dzieciom, którego oczywistego znaczenia nie chciały w tej chwili podawać w wątpliwość: modlitwa została wysłuchana i to tak zdecydowanie, że mogli pragnąć, aby tak się nie stało; niemniej jednak stało się. - Doktor przybył - powiedziała wesoło do Bobby. - Już dobrze.

Sam i Winnie otwarli drzwi, dzieci podskoczyły na swoich miejscach, równie zdumione jak rodzice. Sam i Winnie (o dziwnie pomarańczowych twarzach i rękach, jak gdyby nałożono im filmowy makijaż) rozejrzeli się po pokoju i przez niezmierny czas nikt się nie odezwał; Pierce, wstrzymując oddech, czekał, aż Bobby usłyszy, żeby natychmiast wynosiła się z domu, a wraz z nią może też i on; ponieważ to był dom Sama, miał on pełne prawo ich wyrzucić, Pierce zaś nie miałby nic do powiedzenia.

- Tato! - zawołał Warren. - Możemy ją zatrzymać?
- Warren - ostrzegła go Hildy.
- Możemy? Jak nie, to ona umrze i pójdzie do piekła.

O dziwo stało się tak, że nikt ich nie przesłuchiwał na okoliczność Bobby, jak się tu dostała, co z nią czy jej wtedy robili; Sam i Winnie automatycznie obarczyli odpowiedzialnością Myszę, a zresztą Bobby była tak chora, że trzeba było najpierw zająć się nią, a pytania musiały poczekać, co dało dzieciom czas na wymyślenie wykrętów i wymówek.

Gdy tylko Sam wrócił z samochodu ze swoją czarną torbą, obie kobiety ustąpiły mu miejsca, a on skupił się cały na Bobby, uspokajając ją szybko, umiejętnie i zadziwiająco stanowczo, choć delikatnie, a w międzyczasie sprawdzając, co jej dolega. Pierce, który po raz pierwszy widział Sama jako lekarza, a nie wujka, patrzył nań jak na wywróconego na nice lub do góry nogami, na zupełnie innego człowieka, nie dokuczliwego, zmęczonego, kapryśnego, lecz pełnego wiedzy, współczucia, szacunku. Bobby patrzyła nie na stosowane przezeń instrumenty, lecz w jego oczy, które, choć Pierce ich nie widział, musiały dawać jej pokrzepienie, ponieważ nie cofała się przed nim.

- A co z wami? - spytał Sam, wciąż patrząc na Bobby. - Wszyscy OK?
- OK - powiedziała Hildy.
- OK - powiedziała Ptasia.
- OK - powiedział Warren.
- Ja tam nie czuję się za dobrze - powiedział Pierce.

Sam kazał mu iść do pokoju i tam czekać na swoją kolej, a pozostałym kazał wyjść. Pierce leżał na łóżku, nie będąc już sobą, powtarzając wciąż w duszy dziękuję, dziękuję, dziękuję, choć nie potrafił powiedzieć, komu dziękuję i za co.

Bobby dostała zastrzyk - wieść tę wszystkim w bungalowu szybko przekazała stojąca u drzwi Hildy. Przez cienką ścianę, rozdzielającą pokoje, Pierce mógł śledzić leczenie, którego Bobby najwidoczniej nie była świadoma do tego stopnia, że nie protestowała; słyszał, jak Sam odsuwa rzeczy na nocnym stoliku (pośród których znajdował się pojemnik na zapalki

Pierce'a wraz z nietypową zawartością) i przygotowuje się. Potem Bobby miała dostać małe plastikowe pudełko po ampułkach w ramach rekompensaty za ból. Wiedząc, że jest następny w kolejce, Pierce leżał ze ściśniętymi pośladkami i czekał na jej płacz, którego nie zdoła powstrzymać, kiedy będzie kłuta. Cały dzień i całą noc on i Bobby leżeli w bungalowie, jakby przechodzili kwarantannę; z głębi narastającej gorączki Pierce słyszał kogoś, Winnie, jak wchodzi i sprząta pokój Bobby, i widział, jak Bobby przechodzi w koszuli nocnej Ptaszki przez jego pokój do łazienki. A może tak mu się tylko wydawało.

Kiedy zamknął oczy, nie tyle śnił i marzył, co wierzył, że nawet leżąc w łóżku zarazem wchodzi spiralnym szlakiem na gładką stożkowatą górę, górę składającą się wyłącznie z jego wchodzenia, któremu oddawał się całymi godzinami, nigdy nie docierając wyżej; ścieżka była niczym wirująca spirala na ruchomym paliku, który wiecznie się wznosił, nie przemieszczając się. Wycieńczony, budził się nagle mokry od potu w pokoju o zasłoniętych oknach i z podkreślonym ogrzewaniem; podnosił się na łokciu z poczuciem nierzeczywistości i wsłuchiwał w odgłosy domu, w oddech Bobby. A potem opadał znów na poduszki i kiedy tylko zamykał oczy, na nowo podejmował wspinaczkę.

Jakiś czas po zmroku wylądował wreszcie w starym świecie, niczym podróżnik na latającym dywanie, czując się nowo narodzony i rozpalony. Nie widział, jak zaczęła się noc, więc nie wiedział, jak późno jest. Chciało mu się pić. Jego płuca były czyste, penis sztywny.

- Bobby?

Nie poruszyła się, ale jej obecność była oczywista. Wezgiem jej łóżka opierało się o tę samą ścianę, do której przylegał bok jego łóżka. Przysunął się do ściany i nasłuchiwał, ale nic nie słyszał.

Wstał, pewien, że nie śni, bo nie śpi, a jednak czuł ten nakaz snu - pokoje wokół były pozbawione rzeczywistości, ale naładowane gęstym znaczeniem; patrzyły nań. Grzejnik jaśniał błękitem i oranżem. Pierce poszedł do pokoju obok.

- Bobby?

Już ciszej nie mógł mówić; tylko gdyby powiedział to prosto w muszelkę jej ucha, mogłaby go usłyszeć, ale nie usłyszała. Z gorąca odrzuciła pościel i leżała na plecach na całej szerokości łóżka; flanelowa koszula nocna podwinęła jej się wokół ud, a blade nogi leżały złączone. Stał, patrząc na nią przez nieokreślony czas, dostosowując oddech do jej rytmu, a potem wrócił do łóżka.

Obudził się znów nieświadom, że spał, jak gdyby czas stanął w miejscu; ale oto rodził się dzień, wypełniając świat za oknem śmietankowym światłem. Gdyby przeturlał się na łóżku i

wyciągnął rękę najdalej, jak się da, zdołałby dosięgnąć książek na półce; tak też zrobił, wyciągając za grzbiet tę, o którą mu chodziło (poczuł przyływ krwi do głowy).

Tym razem postanowił czytać ją systematycznie od początku do końca, od ABBA do ZARATUSTRA, czytając każdą definicję i zapominając ją już podczas lektury.

OGIEŃ to bóg w każdym klimacie i czasie, i chociaż był czczony sam w sobie przez PARSÓW (q.v.) częściej bywa personifikowany. Ogień to AGNI (q.v.) wśród Hindusów i HEFAJSTOS (q.v.) wśród Greków, którego odpowiednikiem u Rzymian jest WULKAN (q.v.).

Drgnął, kiedy kątem oka, prześlizgującego się z jednej na drugą stronę, dostrzegł ruch w drzwiach. Bobby przyglądała mu się.

- Czytasz to?

- Tak.

PROMETEUSZ, psotnik, wykradł ogień z niebios i darował go ludzkim rzemieślnikom, których był patronem. Ci, którzy władali ogniem, od tamtej pory byli uważani za posiadaczy władzy boskiej, mających kontakt z bogami: byli to kowale, alchemicy, kaci. Nie bez powodu autodafe dokonuje się ogniem.

Podeszła i stanęła przy łóżku, żeby zobaczyć, co czyta.

- Przeczytaj mi - poprosiła.

- PARACELUS (q.v.) - przeczytał Pierce - podejrzewał, że skoro istnieją istoty zamieszkujące żywioły ziemi, wody i powietrza, muszą także istnieć istoty zamieszkujące ogień. Nazwał je salamandrami.

- Posuń się - powiedziała.

- Trudno wyjaśnić, dlaczego wilgotne stworzenie o miękkiej skórze, żyjące wśród leśnego runa, miało być uważane za ognioodporne, ale zawsze tak było. - Przesunął się, żeby Bobby mogła usiąść na wąskim łóżku obok. - Benvenuto Cellini jako chłopiec widział w ogniu Wielką Salamandrę, a ojciec uderzył go w głowę, ból zaś sprawił, że wspomnienie o tym wyjątkowym zdarzeniu nie opuściło go nigdy.

Bobby spojrzała na kartkę. Znajdowała się tam ilustracja czegoś w rodzaju monety lub pieczęci z muskularną jaszczurką otoczoną symbolicznymi językami płomieni i łacińskim napisem.

- Co to jest?

- Salamandra - rzekł Pierce. - Tak myślę.
- Mój dziadek widział raz salamandrę. Pod krzesłem.
- Ja też. W lesie.
- Nie takom małom czerwonom. Świątom.
- Aha - mruknął Pierce.
- Wyśmiała mojego dziadka, kiedy spytał jom.
- Tak?
- Wtedy pokazała swoim siłę i przeciwiała się dziadkowi. Wtedy las się zapalił.

Zobacz na następnym stronie.

Pierce obrócił kartkę. Hermes w swojej skrzydlatej czapce robotnika budowlanego i kedsach, bardzo podobny do postaci z reklamy kwiaciarni wysyłkowej z tyłu książki telefonicznej. I nic innego.

- Kraina Golasów - powiedziała Bobby, potakując. - Coś podobnego.

- No cóż - powiedział Pierce, ale właśnie wtedy wyskoczyła z łóżka i pobiegła do siebie, ponieważ usłyszała, w przeciwieństwie do Pierce'a, że ktoś zbliża się szybkim krokiem. Winnie otworzyła drzwi dokładnie wtedy, gdy Bobby przykryła się kołdrą Ptasi po samą szyję. Niosła im śniadanie i miała na sobie nowojorski żakiet (przynajmniej tak o nim myślał Pierce) i jesienny kapelusz z rudego pluszu z bażancim piórkiem, a na twarzy niedzielny makijaż; wciągnął w nozdrza woń jej perfum, kiedy położyła na stoliku nocnym tosty.

- Sam mówi, że najlepiej będzie, jeżeli nie pójdziesz dziś na mszę - powiedziała. - Masz tylko odpoczywać, dobrze?

Pierce przytaknął z powagą.

- Dasz sobie radę?

- Tak.

Zatrzymała się przy stoliku Bobby i zapytała ją o to samo, otrzymując odpowiedź, której się spodziewała. Oczywiście nie wiedziałyby, co zrobić, gdyby usłyszała odpowiedź negatywną. Powiedziała też, że jej ojciec powinien wkrótce po nią przyjść.

- To nie jest mój ojciec.

- W każdym razie niejaki pan Shaftoe. Pani Calton powiedziała nam...

- To nie jest mój ojciec.

- No cóż. - Oddaliła się, nieskora do rozstrzygnięcia sprawy. - Wrócimy niedługo.

Odpoczywajcie.

Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Przez długi czas Bobby i Pierce leżeli cicho, słuchając krzątający rodziny opuszczającej dom, udającej się do samochodu, ktoś zawrócił po coś, co zostało zapomniane, silnik zawarczał, Sam przełożył biegi, odjechali. A potem przez chwilę Pierce wciąż leżał w nieomal nieznośnie napiętym bezruchu, w ciszy pustego domu i własnej tęsknocie za mszą - spokój brzemienisty był nieodgadnioną możliwością niczym ogień za mostkiem.

Tym razem wstał z łóżka, zabierając z sobą wielką, czarną książkę.

- To twoja mama?

- Tak.

- Ale nie ich.

- Nie. Ich nie żyje.

- Gdzie twój tata?

- Na Brooklynie w Nowym Jorku.

Odrzuciła kołdrę.

- Pokaż mi - powiedziała.

- To było dawno temu. W Starym Świecie.

Otworzył książkę: Kraina Golasów.

- Zróbmy to - powiedziała Bobby.

Winnie na swoim zwykłym miejscu w kościele pw. Najświętszego Sakramentu klęczała teraz, wyciągnąwszy różaniec, by zabić czas, dopóki wszystko się nie zacznie (przynajmniej tak Pierce odczytywał zawsze wyraz jej twarzy); jasno-bursztynowe paciorki przypominały sznur glicerynowych pastylek na kaszel.

- Pacz! - zawołała Bobby. - Czemu on tak robi?

- Nie wiem. Po prostu robi.

- Możesz se powiesić na nim czapkę.

- Możesz go dotknąć, jak chcesz.

Delikatnie dotknęła jednym palcem, sama wciąż ubrana, drobnymi palcami ostrożnie trzymając się za wzgórek dokładnie tak, jak matczyzna Wenus na kolejnej stronie słownika. Roześmiała się i na wpół odwróciła od niego, kiedy lekko pociągnął jej dłoń. Potem rzuciła się z powrotem na poduszkę, z rękami nad głową, rozciągnięta, wesola; kolana jednak wciąż trzymała razem.

- Możesz jom pocałować - powiedziała. - Jak chcesz.

Prawdopodobnie był to wyzywający dowcip, na który Pierce nie miał zareagować, z rodzaju tych, które lubiła mu robić. Być może zaskoczyła ją jego ochota. „Pocałunek”. Miększa niż sugerowałyby to jędrność, ciągle rozpalona gorączką i o woni, którą nie zawsze

pamiętał, lecz nigdy do końca nie zapomniał, odmienną od morskiego zapachu dojrzałych kobiet, które jego ochota także zaskakiwała.

Ośmio- i dziewięcioletnie dziewczynki z Cumberland w tamtych czasach albo wiedziały wszystko o seksie, albo nie wiedziały nic. Bobby nie wiedziała nic poza kilkoma brzydkimi słowami, a Pierce nie wiedział nawet tyle; kiedy jego matka odkryła, że wszystko wygląda inaczej, niż to sobie wyobrażała, postanowiła, że o całym tym temacie nie będzie się mówić, i nawet się nie starała. Więc przez większość czasu Pierce i Bobby leżeli po prostu obok siebie, czuści jak rycerz i dama oddzieleni mieczem, świadomi radosnej rozkoszy wyboru dotyku i widoku: rozkoszą była wiedza, węzowa wiedza przyniesiona Adamowi i Ewie, którą cieszyli się oficy: wiedzieli, że są nadzy.

- Twój dziadek przyjechał - krzyknęła Ptasia u drzwi bungalowu (Pierce i Bobby leżeli znów w swoich łóżkach, zapięci i okryci). - Jest tutaj.

Patrzyła uważnie na Bobby, ciekawa, jak zareaguje na tę wiadomość, ale twarz dziewczynki nie wyrażała niczego, co Ptasia potrafiłaby odczytać; poza tym, że po raz pierwszy Bobby wydała się Ptasi obca, przejściowa, nie na miejscu w tym łóżku i domu, w drodze gdzie indziej.

DZIEWIĘĆ

Włosy sterczały mu grube i czarne, a nie siwe czy białe, jak przystoi dziadkom, lecz twarz miał pomarszczoną tak głęboko, że zdawała się potwornie okaleczona - bruzdy żłobiły mu nie tylko policzki i czoło, ale ciągnęły się ukośnie nad brwiami przez oczodoły. Zajechał w pickupie prowadzonym przez kogoś innego, kto nie wysiadł, kiedy Floyd podszedł do werandy.

Sam jadł właśnie niedzielny obiad, gdy zawołała go Winnie, którą z kolei zaalarmował Warren wysłany przez Hildy, która zauważyła nadjeżdżający samochód, wychodząc z bungalowu po przyniesieniu tac Pierce'a i Bobby. Winnie spojrzała z werandy na Floyda, ale ten nie przejawiał ochoty, by podejść bliżej. Silnik samochodu wciąż pracował.

- Przyszłem po córkę.

- Mam nadzieję, że porozmawia pan chwilę z doktorem Oliphantem.

Floyd zacisnął szczękę i westchnął niecierpliwie, patrząc w dal.

- To nie potrwa długo. Była taka chora.

Floyd obejrzał się na samochód i po chwili kierowca zgasił silnik. Floyd ruszył po schodach na werandę; w tym samym czasie Hildy biegła przez kuchnię, pozbywając się tac i zabierając Ptasie i Warrena, a potem pociągnęła ich na tylne schody i przez hol do pomieszczenia, gdzie (jak doskonale wiedzieli) można było podsłuchać rozmowy z pokoju poniżej.

Nie zdążyli na powitanie i inne takie ani na rytualny poczęstunek papierosem, którego Floyd przyjął i włożył sobie za ucho jak stolarz ołówkę.

Według prawa odpowiadam, mówił Floyd.

Ależ oczywiście (głos Sama dochodzący od strony jego fotela).

Nie mogę się niom opiekować, jak jej nie widzę.

Ale ja też mam swoją odpowiedzialność, powiedział Sam (a pierś Hildy wypełniła się ciepłem tam, gdzie zwykle wypełniała się oddechem). Dziecko jest bardzo chore i mam obowiązek dopilnować, by jego stan się nie pogorszył. Spokojnie (to może reakcja na jakiś gest Floyda), mogę położyć ją w tutejszym szpitalu. Mam taką możliwość.

Rozległ się szmer protestu, albo nastąpiła zmiana układu sił, której Hildy, chociaż wyteżala słuch, nie mogła zrozumieć. Potem Warren zaczął się domagać, żeby mu wszystko

wyjaśniono.

- Cicho Warren, proszę, cicho.

Nie chce nikogo obrazić, usłyszała Floyda.

Jasne.

Pan zrozumie doktorze. Tak to jest. Jesteśmy chrześcijanami. Aha.

Hildy domyślała się, jaki teraz wyraz twarzy musi mieć Sam.

Wy tam w tym szpitalu czcicie papieża. Dla nas to to samo co czczenie szatana.

Oburzona Hildy wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź Sama, której nie potrafiła sobie wyobrazić, lecz której stanowczość już przeczuwała.

Ale Sam powiedział tylko: nie zamierzam się z panem spierać.

Chyba wstał i Hildy usłyszała, jak mówi jeszcze: zrobmy tak - pan pójdzie się z nią zobaczyć w tym małym domu na tyłach i sprawdzi, jak ona się ma. Potem pogadamy.

To było wszystko. W pokoju poniżej zapadła cisza. Hildy (podczas gdy Warren dręczył ją pytaniem, co mówili, co mówili) sparaliżowała świadomość, że świat dorosłych oddzielała od znanego jej świata przepaść, którą pewnego dnia będzie musiała pokonać, by myśleć i odczuwać jak oni, a nie jak ona sama teraz; i że dopiero wtedy zrozumie, czy przerażenie tym, co Sam zrobił - i czego nie zrobił - było usprawiedliwione, czy nie: tak samo jak tylko ktoś, kto śpi, może ocenić swoje sny po przebudzeniu.

Leżący w łóżku Pierce słyszał, jak otwierają się drzwi do bungalowu; wyczuwał, że Floyd Shaftoe przygląda się córce, wnuczce - słychać było jego oddech i milczenie Bobby. Kiedy wreszcie otwarli usta, mówili niemal jednocześnie i tak cicho i szybko, że brzmiało to jak obcy język.

Chodź, nie zostaniesz tu.

Zostanę jak bede chciać.

Nie jesteś chora.

Chce umrzeć.

Ale teraz nie jesteś chora. Chodź.

Nie pójdę.

Floyd milczał przez chwilę. Pierce (jak gdyby jego uszy były wielkie i wrażliwe jak antena) słyszał teraz oddech Bobby - szybki, pełen złości, sykliwy od flegmy zalegającej w jej gardle.

Uczom cię tutaj czego? Każom ci przysięgać? Gadaj.

Nie twój interes.

Trochę cholera szacunku.

Dupa.

Wracasz do domu.

Nie wracam. Nie dotykaj mnie. Dotkniesz mnie, to cie zabije. Poderżnę ci gardło jak będziesz spał. Poderżnę.

Ty diablicio. Urobili cie przeciwko mnie. Jesteś przeklenta.

Zapadła cisza. Drzwi do bungalowu zamknęły się. Pierce leżał bez ruchu; ohydne słowa sprzed chwili (tym straszliwsze, że mające postać napiętych szeptów) wyparowały, a oddech Bobby zwolnił. Jego serce waliło; nie miał wątpliwości, że Bobby nie może opuścić tego domu, że nie może wrócić tam, skąd przyszła, że udało jej się uciec, nie doznając przy tym szwanku ze strony Floyda, dzięki niezwyklej śmiałości i odwadze, i że powrót oznaczałby śmierć: zło tego wszystkiego było oczywiste i nie było dla niego miejsca w świecie w jakim żył Pierce, w świecie, którym władali Sam i Winnie, a nie Floyd.

Nieco później weszła Winnie i powiedziała Bobby łagodnie, że ojciec chce, aby odpoczęła tu z nimi i wróciła do zdrowia, i że jutro albo pojutrze doktor Oliphant odwiezie ją do ojca.

A więc tej nocy w bungalowie zebrali się Niewidzialni (wymykając się pojedynczo pod pretekstem różnych spraw, łamiąc kwarantannę, która i tak była de facto zakończona); kazali Bobby ubrać się w czystą białą koszulę nocną, a potem odnaleźli fiołkę, którą Pierce wypełnił u źródła Najświętszego Sakramentu - przekładano i ukrywano ją niejednokrotnie w ostatnich dniach; być może utraciła nieco ze swojej skuteczności, ale przynajmniej nie uroniono z niej ani kropli.

Nie było wątpliwości kto wypełni sakrament. Siostra kiedyś odczytała zasady z oprawnej na czarno książki (do czego namówiła ją ciekawa Hildy): duchowny, jeśli jest obecny, raczej niż osoba świecka; katolik raczej niż ktoś innej wiary; mężczyzna raczej niż kobieta - chociaż poza przypadkami skrajnej konieczności rodzic nie powinien chrzczyć swego dziecka (ale czemu, zastanawiała się Hildy i zastanawia się do dziś).

Bobby zmieniła zdanie w ostatniej chwili, ale pod nawałem argumentów - to jej ostatnia szansa, a na pewno dość już wie, by się poddać obrzędowi, nie opuszczą jej, będą nadal ją nauczać - zgodziła się. Kazali jej uklęknąć; u jej boków stanęli chrzestni: Ptasia i Hildy, a Pierce (pewny, że w każdej chwili ktoś im przeszkodzi, ale kto) odkorkował fiołkę skradzionej teurgii. Po chrzcie, przez jedną chwilę, zanim pierwszy impuls, pierwsza zła żądza nieuchronnie ją przyćmi, dusza jest biała, tak jak pragnie tego Bóg: i gdyby dach miał

teraz na nich wszystkich spaść, tylko Bobby bez najmniejszej zwłoki znalazłaby się przed tronem Boga. Serce Pierce'a przepełniła radość, gdy strużka oleistego płynu spływała po ciemnych lokach Bobby; dziewczynka zachichotała, kiedy ją połaskotały. Świat obrócił się wyczuwalnie pod nimi.

- *Baptizo te...* - odczytał z mszału.

- Paptiso? - powtórzył Warren rozbawiony.

- *Baptizo te, Roberta, in nomine + Patris et + Filii et + Spiritus Sancti.*

- Amen - powiedzieli chórem. I nie wiedzieli co dalej. Pierce, trochę nieswój od zdumienia i strachu, odłożył książkę i fiolkę. Bobby wytarła strużkę wody ściekającą z jej ucha ramiączkiem koszuli nocnej, nie patrząc nigdzie. Potem zerwała się, rzuciła na łóżko Ptasi i obróciła do ściany, gdzie legła bez ruchu.

- Paptiso - śmiał się bez przerwy Warren. - Pap Paptiso.

Następnego dnia, bladego, leniwego i niemal bezdźwięcznego, Bobby wciągnęła cienką sukienkę, bardziej zeszmąconą teraz, niż kiedy po raz pierwszy się w niej tutaj pojawiła, następnie sweter (po omacku próbując palcami odnaleźć guziki i dziurki, kiedy patrzyła gdzie indziej) i płaszcz z futrzanym kołnierzem. Do papierowej torby zapakowano inne ubrania należące do Ptasi i Hildy, które Winnie jej wybrała, trochę puszkowanego jedzenia i bochenek chleba oraz książkę z obrazkami aniołów, którą wybrała sobie z księgozbioru Oliphantów. Hildy przejrzała swoje święte obrazki i wybrała te, które nie były jej ulubionymi, a potem wielkodusznie dołożyła jeden, który naprawdę lubiła: z przypominającą kowalika świętą Teresą w brązowym habicie i czarnym welonie, z naręczem róż - i podarowała je Bobby.

Dziewczynka usiadła z tyłu nasha, przy oknie, nie patrząc na zewnątrz, lecz wbijając wzrok w potylicę Sama; jej drobna rączka chwyciła mocno dłoń Pierce'a. Nie powiedział nic, patrzył tylko na Sama, który nie potrafił lub nie chciał zatrzymać Bobby i rzucał dowcipami, z których nikt się nie śmiał, prowadząc auto na czarną zimową górę do Hogback, gdzie mieszkali Shaftoe'owie, by oddać Bobby Floydowi.

Tam, gdzie rozklekotany most przekraczał pędzący potok, a na pozbawionej trawy powierzchni pod żukowatym wzgórzem stała chata, Sam zatrzymał samochód i sięgnął za siebie, by otworzyć Bobby drzwi. Nie ufał temu mostowi, wołał nań nie wjeżdżać, więc musiała stąd iść piechotą.

Floyd Shaftoe wyszedł na werandę i stał bez ruchu. Przywiązany do słupa pies czekał monotonnie. Bobby wyciągnęła z auta torbę i ruszyła przez most, nie oglądając się na Pierce'a, lecz nosząc w duszy niezatarty ślad wewnętrznej niewidzialnej łaski, którą ją

obdarował.

Joe Boyd wytłumaczył mu, o co chodzi w „jebiom sie”, w piwnicy głównego domu, napełniając automatyczny podajnik węglem. Pierce nalegał, żeby dyskusja odbywała się na poziomie bezosobowym lub naukowym, przy użyciu właściwych słów, które przypadkiem znał: „penis” u chłopców i „pochwa” u dziewcząt. W półmroku piwnicy było ciepło; pył węglowy czepiał się wilgotnych włosów na ramionach i brwiach Joe Boyda, który wyjaśnił mu mechanizm. Wyjaśnił także prostytutki, ponieważ temat ten go interesował; prostytutki, jak powiedział, to kobiety, które chcą robić to z tym, kto zapłaci, a ponieważ dostają za to pieniądze, nie ma tu żadnego przymusu, wszystko jest uczciwe i sprawiedliwe. Powiedział też, że w Bondieu nie ma prostytutek, że są tylko w dużych miastach, takich jak Huntington; kiedy będzie gotowy i będzie miał pieniądze, pojedzie tam. Powiedział także Pierce’owi o studilacu, czyli studebakerze z silnikiem cadillaca, chyba najszybszym samochodem na drogach.

Co się z nim stało? Nadszedł kwiecień, a jemu było ciężko, jak gdyby ciągle nosił brązowy zimowy płaszcz wełniany, tyle tylko, że nie na sobie, a w sobie, pod skórą. Marzył, by wywrócić się na nice, wykluczyć niczym z jajka. Zdawał się milczący i oderwany, patrzył długo w pusty pokój i snuł się po korytarzach, aż wreszcie Winnie stwierdziła, że wciąż jest chory. Powiedziała o tym Samowi, a ten nie wykluczył takiej możliwości. Postanowiono więc, że każdego popołudnia będzie spędzać godzinę albo dwie w swoim pokoju, z zasłoniętym oknem wychodzącym na rozkwitającą wiosnę, aby odpocząć, a jeszcze lepiej zdrzemnąć się, choć protestował, że nie będzie w stanie zasnąć; mimo to musiał leżeć w półmroku, nie mógł nawet czytać.

Przeważnie stosował się do zaleceń. Leżał z dłońmi za głową i patrzył, jak słońce przesącza się przez zasłonę, studiował dziwaczne frędzle dyndające na sznurze. Śpiewał. Czasami nawet zasypiał z kataleptyczną nagłością, budząc się po godzinie z otwartymi, suchymi ustami i wilgotnym czołem. Miewał też sny: często o tym samym pokoju, w którym leżał, co po przebudzeniu uważał za marnotrawstwo. Raz jednak śnił o Bobby: Bobby i Ptasia leżały razem w łóżku podobnym do łóżka jego rodziców w Brooklynie. Obie były prostytutkami: Pierce leżał nagi między nimi; wszyscy przykryci po same szyje, one patrzyły nań z uśmiechem i ochotą, zapewne także nagie, „jebanie” miało się zacząć. A Pierce’a wypełniała niezmierna radość oczekiwania, uczucie, jakiego wcześniej nie doznał, połączenie wdzięczności i szalonej radości, zarazem całkowicie intymnej i całkowicie

szczerzej: tej samej niewyrażalnej wdzięczności i radości, którą miał później odczuwać (w nieco słabszej formie, jaka jest udziałem osób dorosłych), kiedy znajdował się, co za szczęście, w podobnych okolicznościach.

Nigdy nie spowiadał się ojcu Midnightowi ze spotkania z Bobby. Nie spowiadał się ani z chrztu, który - jak sądził - nie mógł być grzechem bez względu na to, jak trudno było go wytłumaczyć, ani z niedzielnego przedpołudnia, gdy Oliphantowie byli w kościele, a on w domu z Bobby. Nie posiadał klarownej wiedzy, że to mógłby być grzech; jego znajomość dekalogu przez ten czas pomijała te przykazania; zdecydował się nie wspominać o tym w żadnej sytuacji, umieścił to gdzieś indziej w księgach swojej moralności, jako zapis, który raz otwarty nie może nigdy być zamknięty i nie powinien nikogo obchodzić.

- Oczywiście, że ją pamiętam - powiedziała Winnie. - Mała dziewczynka, którą przyprowadziła tu ta kobieta o zwierzęcym imieniu.

- Myszka.

- A ta dziewczynka miała takie dziwne imię, jakby z wyliczanki albo bajki⁹. - Spojrzała na Pierce'a; lekcja była skończona. - Więc?

Więc. On sam dopiero ostatniego dnia i nocy w samolocie i w autokarze jadącym do domu mamy zaczął sobie przypominać o wiele więcej, albo wyobrażać, że sobie przypomina. Jak ją ukrył, tam, w domu wujka, w sypialni wujka, ku nieświadomości Sama. Jak otworzyły mu się na nią oczy i po raz pierwszy zetknął się z tym stanem, opowieścią albo sytuacją, którą napotykać miał wiele razy później, nigdy tak naprawdę się z nią nie żegnając, jak gdyby gawędziarz snujący dawną opowieść zapomniał o (szczęśliwym) zakończeniu i tylko wciąż powtarzał idiotycznie początkowe zawiązanie akcji, by odświeżyć pamięć.

Dawna opowieść, stara opowieść, stara baśń.

Dopiero dzisiaj Pierce połączył pożar lasu, który sam wywołał, z ogniem, który wywołała salamandra, żeby pokazać Floydowi Shaftoe swoją siłę. Przeszłość Bobby Shaftoe wydawała mu się wtedy całkowicie nie do pogodzenia z jego własną - jej przeszłość rozciągała się za nią ku niewypowiedzianym przestrzeniom, tak jak jego przeszłość, ale w zupełnie innym wymiarze, bez punktów wspólnych; to, co przydarzało się jej, nie mogło przydarzyć się jemu. A kiedy później podczas badań znów trafił na związek między salamandrami i ogniem, całkowicie zapomniał o Floydzie Shaftoe. Dopiero teraz, kiedy Floyd

⁹ Bobby (Bobbie) Shaftoe - postać z popularnego dziecięcego wierszyka, prawdopodobnie wzorowana na XVIII-wiecznym brytyjskim polityku.

ponownie stanął mu przed oczyma, powstając z tego, co przeminęło, dodał dwa do dwóch. A teraz było za późno, by stwierdzić na pewno, czy ogień, który wywołał Pierce, był tym samym pożarem, który udowodnił dziadkowi Bobby potęgę Salamandry.

Ale nawet gdyby pożary te były tożsame - gdyby obydwa były tym jednym, który zaczął się w koszach na śmieci Oliphantów, obok starego garażu, latem 1952 roku - to i tak mogła go równie dobrze zacząć Salamandra: to Salamandra mogła porwać płonąca płachtę spod grabi Pierce'a i rzucić ją pomiędzy trojeść i dziewannę. Doświadczył, i to nie po raz pierwszy w tym tygodniu i tej zimy, poczucia, że zwyczajnie tworzy od tego momentu historię wstecz, ze wszystkimi przyczynami i tak dalej. Ale czy nie tym właśnie cały czas zajmuje się pamięć? Lepienie cegieł bez słomy, układanie ich jedna po drugiej w tak zwanej przeszłości, a tak naprawdę labiryncie, gdzie ukryć można potwora, a może potworność.

- Możesz mi coś powiedzieć? - spytała Winnie z nieśmiałym uśmiechem. - Jeśli już jesteśmy w tym temacie.

- Co?

- Dlaczego tak naprawdę wzięłeś wtedy obrączkę Opal?

- Nie wzięłem obrączki, tylko sam kamień.

- Wszystko jedno.

- Nie mogę - powiedział Pierce, czując ze straszliwą ostrością okrucieństwo tego, co zrobił, choć wynikało to na pewno z solipsystycznej dziecięcej konieczności. - To znaczy pamiętam, że to zrobiłem, ale nie jestem pewien, czy wiem dlaczego.

- Sama to zabolalo. Że zrobiłeś coś takiego.

- O Boże. To żenujące.

Miękko rozświetlone niebo, na które patrzyli, poczęło ciemnieć, wiatr unosił liście bezwolnych palm, jeden po drugim, a potem puszczał je wolno.

- No cóż - powiedziała delikatnie Winnie. - Dziś na pewno nie ma to już żadnego znaczenia.

Pierce wziął z paczki mamy papierosa i zapalił. Małe aksamitne pudełko na biżuterię, wyłożone różanym atłasem, otwarło się w jego umyśle niczym rana. Nagle miał pewność - a jego serce skurczyło się na myśl o tym, że wziął ten kamień z obrączki Opal, aby dać go Floydowi Shaftoe; i wiedział też, że gdyby potrafił zatrzymać tę chwilę jeszcze trochę, przypomniałby sobie dlaczego.

DZIESIĘĆ

Floyd Shaftoe był siódmym z siedmiu synów, a ich imiona były też nazwami hrabstw Kentucky. Fakt ten dawał mu moce, których nie znałby, gdyby ci, z którymi się wychowywał, nie powiedzieli mu o nich i nie nakazali mu ich używać: potrafił wysączyć płomień z ogniska, wyrwać go palcami i strząsnąć. (Jego matka, jako matka siedmiu synów, także potrafiła niemało. Umiała przedmuchać gardło dziecka z katarem, dzięki czemu dziecko wydalało flegmę i mogło żyć).

Te dary nie były za nic; wiedział to od małego. Nawet teraz, jako dorosły człowiek, chrześcijanin i dziadek nie miał pewności, czy dotarł do kresu znaczenia swoich darów, czy też obowiązków, które za sobą pociągały.

Urodził się w czepku. Akuszerka, obecna przy jego narodzinach, zachowała ten fragment łożyska i dała mu je do noszenia w woreczku. I chociaż nigdy nie wykonał tego polecenia, zagrzebał go pieczołowicie w sobie tylko znanym miejscu. Lecz jeśli myślał, że w ten sposób uniknie losu związanego z czepkiem, to się zawiódł. Były noce - mogła to być Noc Trzech Króli, ostatnia noc października lub też pełnia księżyca w środku lata; ale zdarzało się to coraz rzadziej, w miarę jak się starzał, a świat się pogarszał - kiedy Floyd Shaftoe słyszał swoje imię szeptane nie nagłaco, lecz z determinacją; a on wtedy spał i odpowiadał. Albowiem należał do grupy ludzi urodzonych (jak podejrzewał) z tymi samymi co on znakami; i tyłuż było tych, z którymi jego gatunek musiał walczyć o zdrowie i dobrobyt ziemi. Nie odpowiedzieć na wezwanie do stawienia im czoła nie mógł tak samo, jak nie mógł nie zgodzić się na sen czy śmierć.

Kiedy miał dwanaście lat, ujrzał ciało matki zmarłej po porodzie ostatniego dziecka, a pierwszej córki (również zmarłej). Nie było dla nich księdza. Nikt nie odczytywał ani nie odśpiewywał. Jego ojciec sam zrobił trumnę, a bracia wykopali grób.

Tego lata Floyd po raz pierwszy usłyszał swoje imię rozlegające się za oknem, kiedy spał.

Przebudził się i nasłuchiwał, czy zew się nie powtórzy, ciągle pamiętając ten dźwięk i to, skąd nadszedł. Zew nie ozwał się znowu, ale zdawał się czekać za oknem. Floyd wstał i zostawił braci na łóżku (jakoś zdołał ich nie obudzić) a potem wyszedł przez okno. Była to najkrótsza noc w roku, księżyc świecił w pełni. Floyd widział wszystko jak za dnia, ale nie

mógł dostrzec tego, kto go zawołał. Tak czy owak, ów ktoś go prowadził, a Floyd wierzył, że zna drogę i przyczynę.

Szedł za tym kimś wąwozem, ale czuł, że jest sam, zostawiony samemu sobie z zadaniem, tak jak kiedy jego ojciec pokazał mu, jak skopać grządkę, a potem zostawił go z robotą. Stapał bezgłośnie na smukłych bosych stopach, aż wreszcie zaczął dostrzegać innych, stąpających razem z nim po ścieżce. Jedna, druga sylwetka, mężczyzna, kobieta. Minął ich i spojrzał im w twarze, chociaż nie zwrócili nań uwagi. Wyprzedził wysokiego mężczyznę w obwisłym czarnym kapeluszu, a kiedy zajął mu w twarz, poznał go: oblicze mężczyzny wykrywał grymas, a jego pierś zeszej zimy rozszarpała makabrycznie kula z rewolweru szeryfa.

Niech Bóg cię błogosławi, powiedział Floyd, ale towarzysz nie odpowiedział. Więcej ludzi pojawiło się na ścieżce wiodącej wąwozem, a sama ścieżka rozdzieliła się, choć Floyd nie pamiętał rozstaju, i powiodła w dół pod grań. Floyd zauważył, że wchodzi w szczelinę w górze. Armia ich nadchodziła teraz każdą ścieżką. Niektórzy byli odziani, inni nagi, niektórzy jęczeli bezgłośnie, inni się śmiali. Kiedy Floyd znalazł się bliżej szczeliny, zbuntował się - wcale nie chciał tam wejść; a ktoś, kto wchodził właśnie wtedy, obrócił się, jak gdyby go zawołano, i wbił wzrok we Floyda. Była to kobieta, w ramionach trzymała dziecko, które umarło razem z nią, owinięte całunem. Inni schodzący do wnętrza góry popychali ją, pędząc naprzód, jak gdyby spieszyło im się do łóżek, a w końcu wciągnęli ją do środka, chociaż jej twarz wciąż zwrócona była ku Floydowi, aż wreszcie zniknęła. Kiedy powrócił pod okno domu, słońce sięgało szczytów gór. Położył stopę na parapecie i ujrzał własne ciało w łóżku razem z braćmi, leżące tak samo jak wtedy, gdy przyciągnął go zew.

Czy wabiła go, by szedł razem z nią? Co by się z nim stało, gdyby to zrobił? A może zaskoczyła ją tylko jego tam obecność, pośród trupów, nie wiedziała bowiem, czy jest jednym z nich, czy też wciąż żyje.

Mówiono mu, że po śmierci człowiek opuszcza ziemię i idzie do nieba, albo pod ziemię do piekła. Mama mu wyjaśniła, że tak mówi wielka Biblia leżąca na komodzie. Ale on wiedział, że jego matka nigdy jej nie czytała, podobnie jak ojciec. Nie potrafili czytać.

Dlaczego zmarli mieliby iść wąwozem, a nie znajdować się w ziemi, nad nią lub pod nią? Położył dłoń na brązowej książce, obdartej i ciężkiej jak polano, myśląc, że odpowiedź powinna znajdować się gdzieś w niej.

Był to rok, w którym Good Luck otworzył Numer 2 i sprowadził kolejną cegły do budowy kantyny, szkoły i szpitala, a na wzgórzach wyrosły szeregi nowych żółtych domków, pachnących kreozotem i papą. Starsi bracia Floyda zeszli z góry po swoje, a on poszedł z nimi

i odtąd mieszkał z jednym albo drugim w ich identycznych chatach. Tam poszedł do szkoły, gdzie firmowa nauczycielka nauczyła go czytać, śpiewać piosenki o Ameryce, pisać piórem o stalowej stalówce. Pracował ciężko, słuchając, jak nauczycielka ćwierka po obcemu (czasem przyłapywała go na wpatrywaniu się w nią z irytującą intensywnością, a jego duże uszy sterczały niemal jak u lisa), i w ten sposób nauczył się czytać. Zaczął od Biblii, ciekaw, czego może się dowiedzieć. Otwierał ją na pierwszej lepszej stronie i przebiegał oczyma po zwartych wersach maleńkiego druku, dopóki nie rzuciło mu się w oczy jakieś słowo. Wtedy zaczynał czytać, czasami dostrzegając prawdę za słowami lub w nich; prawdę, której wtedy nie umiał wypowiedzieć, tę samą prawdę, którą widział, a której nie rozumiał w twarzy swojej matki i w twarzach innych, którzy szli wąwozem.

Good Luck Coal and Coke wykupili górę Hogback dwadzieścia lat przed otwarciem Numeru 2: kupili nie to, co było widać, lecz tylko prawa do minerałów w niej zgromadzonych. Dziadek Floyda sprzedał prawa pod jego pięćdziesięcioma akrami nieurodzajnego zbocza po pięćdziesiąt centów za akr i myślał, że dobrze na tym wyszedł; nie potrafił czytać (długi formularz podpisał krzyżykiem przy świadkach i z poświadczeniem notariusza), więc nie wiedział, że oddał Good Luck nie tylko węgiel pod ziemią, ale także prawo do jego wydobycia w każdy sposób, jaki uznają za stosowny. Wtedy wydawało się to bez znaczenia, ponieważ nie było możliwości wywiezienia węgla z Cumberlanda. Dopóki nie ruszyła kolej.

Pokłady leżały ledwo sto stóp pod powierzchnią, a czasem i mniej. Czasami tak blisko, że dynamit stosowany przy kładzeniu torów wyrzucał go na powierzchnię - tony strzaskanej nocy, rozerwany skarbiec. Zanim jeszcze tory sięgnęły Bondieu, agenci Good Luck zakładali wywrotnice, otwierali sztolnie i stawiali obozy. Zanim sprowadzili się tu bracia Floyda, obok wywrotnicy powstała prawdziwa góra łupka i pociągi o stu wagonach pędziły całymi dniami przez teren wypełniony węglem: orzech, kęsy, kostka. Każdy pięćdziesięciocentowy akr powierzchni Hogback przynosił tysiące ton.

Shaftobwie zarobili więcej, wykopując węgiel, niż mogli to sobie wyobrazić, i wydawali te pieniądze równie szybko, jak zarabiali, na rzeczy, bez których kiedyś się obywali - wzorzyste zasłony, linoleum, kapelusze typu Stetson, sztuczne zęby, złote zegarki, pachnące flanelowe koszule i jedwabne pończochy. Firma płaciła górnikom od godziny pracy, kiedykolwiek chcieli, lśniącymi cynowymi żetonami oznaczonymi jak prawdziwe pieniądze: dziesięciocentówka, ćwierćdolarówka, dolar, pięć dolarów, do wydania w kantynie, a wkrótce także w sklepie w Bondieu, na biały chleb, pudełka herbatników, syrop kukurydziany, aspirynę, coca-colę; a z grubych katalogów dostępnych w kantynie zamawiali zastawy

stołowe, elektryczne żelazka, pralki, karabinki o błękitnych lufach, ogromne radia z maleńkimi, celuloidowymi podziałkami. Od niedzielnych kaznodziejów radiowych Floyd poznał imię tego, który przyzywał go w letnie noce: Duch „Świenty”.

Zaczął od pracy wybieracza. Jeszcze przed świtaniem zaczynał przy wywrotnicy pośród tłumów innych chłopaków o czarnych twarzach, wybierając kość z niekończącej się drżącej rzeki węgla, która pędziła po pasach transmisyjnych na załadunek. Chłopcom nie wolno było nosić rękawiczek nawet w najzimniejszy dzień, ponieważ palce musieli mieć chwytny; paznokcie ścierały im się szybko do żywego, ale Floyd nauczył się od innych, jak przemycać metalowe ochrony wycięte z puszek po kawie i przymocowywać do palców, kiedy majster nie patrzył.

Kość: czy nazywali łupek i kamień w ten sposób, ponieważ były połamanymi kośćmi góry, które chłopaki wyrywały z węgla - jej ciała? Kość zmieszana ze zmielonym węglem szła na oddalone o setki stóp wysypisko łupka, które leżało wzdłuż koryta potoku; kiedy popołudniami chłopcy zwolnieni od wywrotnicy szli wzdłuż niego ku szkole, czuli dym dobywający się z żarzącej się głębi. Zimą wysypisko parowało delikatnie niczym świeży nawóz.

Ich ciotki rozwieszały koszule i prześcieradła w ostrym powietrzu i po pewnym czasie, długo zanim tkanina się zestarzała, szarzała beznadziejnie i zaczynała się pruć, można było przebić ją palcem. Niemal nie warto było ich mieć, nie warto było prać ich w cuchnących kwasem baliach. Tłusty pył unosił się cały dzień z wywrotnicy i miejsca załadunku, mieszając się z dymem wysypiska i tysięcy pieców w obozie; kiedy pokrywa chmur zawróciła dym z nieba, mieszanka osiadała z powrotem na Hogback, zluszczając barwę nadziei z domków Good Luck, skrapiając śnieg wysoko w górach. Na swej farmie ojciec Floyda Shaftoe zdrapywał go z rączki siekiery i czuł na języku, jedząc warzywa.

Kiedy Floyd miał osiemnaście lat, wszedł w głąb wzgórza jako pomocnik górnika, z cynowym wiaderkiem i płóciennym kapeluszem oraz karbidówką. Jeździł wagonikami przez wąskie gardło góry w niezmiennie parny chłód jej wnętrza i cały dzień pomagał świdrować i odstrzeliwać węgiel. Tam też pył wypełniał powietrze, gładząc wagoniki, szyny i narzędzia, aż lśniły.

Rano górnik podcinał atlasowe złoża węgla kilofem, a Floyd odciągał bryłę. Górnik wiercił dziury w ścianie węglowej świdrem, a Floyd wypełniał otwory zwitkami papieru wypełnionymi prochem, żeby się nie zamknęły. Potem przychodził ktoś z firmy i zakładał ładunki, podczas gdy oni wszyscy wracali korytarzem, ciągnąc za sobą lont (kiedyś, powiedział mężczyzna z firmy, zamiast drutu elektrycznego używało się strużki prochu

wprost na kamiennej podłodze), i wysadzał węgiel, a całe dwadzieścia ton waliło się ze sklepienia jak porcelana z półki i padało roztrzaskane i połyskujące, a czarne drobinki błyszczały w świetle lamp.

Potem ładowali to wszystko na wagoniki przez całe popołudnie, wdychając cuchnące węglem powietrze, i wysyłali na powierzchnię, uszczupliwszy górę nieco w stosunku do tego, czym była jeszcze rankiem; wreszcie sami wychodzili na powietrze i pod niebo, gdzie słońce zachodziło; można było zapomnieć, jaka to pora roku.

Cały ten czas Floyd nie słyszał nocami zewu.

Razem z dwiema ciotkami przyjął Jezusa Chrystusa jako swego zbawcę w nowym Kościele Bożym w Chrystusie. Baptyści chrzcili przez pełne zanurzenie, któremu Floyd poddał się nieomal profilaktycznie, zanurzony do tyłu przez zrędliwego kaznodzieję, który ścisnął mu nos kciukiem i palcem wskazującym.

Przyjmij Jezusa do swego serca, powiedział kaznodzieja, i tak też uczynił Floyd: od tamtej pory czuł go w węzłach swego serca, mniejszego niż wróbelek, który ogrzewał go niczym maleńki piecyk. Nigdy nie wrócił do tego wyłożonego sośniną kościoła w Bondieu.

Dobre czasy, bogate czasy, skończyły się szybko - Hoover spiskował z milionerami i szefami firm, by posłać kraj do piekła. Płace spadały na łeb, na szyję, firma przestała dbać o ludzi od niej zależnych; bracia Floyda zarabiali tylko tyle, żeby wyżywić rodziny, harując jak woły: schodzili pod ziemię już przed świtem, a wychodzili długo po zmierzchu, nigdy nie widząc słońca. Floyd jako najmłodszy wrócił na farmę, gdzie przynajmniej była kukurydza i rzepa, a nie było sklepu firmowego, który zapisywał długi.

Ojciec Floyda ciężko pracował w polu, co roku siejąc kukurydzę, każąc ziemi rodzić bez chwili odpoczynku (podobnie jak swojej żonie, pomyślał raz Floyd - tylko raz); daleko jej jeszcze jednak było do wyjałowienia. Wiosną 1927 roku orał i siał, jak to zwykle czynił, przejrząwszy wcześniej kalendarz z datami i fazami księżyca; dwukrotnie ją spulchnił i obsiał. I właśnie wtedy nadeszła wielka powódź i zalała akry ziemi - wszystko przez jedną noc, przez całe góry, zmywając najżyźniejszą glebę i wyrzycując ją wezbranymi potokami, zostawiając nagą, żółtą glinę, na której rósł tylko żarnowiec. Nawet dwa sezony później, chociaż ojciec Floyda nawoził i bronował ziemię, nie mogła obrodzić kukurydzą sięgającą wyżej niż do ramienia mężczyzny.

W to właśnie miejsce, na nagie podwórze, do muła i półdzikich świń, czteroizbowej chaty i czarnego psa pod werandą, Floyd przywiózł młodą żonę i jej córkę: bękartą. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia - jego dar, jak sądził, zabraniał mu posiadania kobiety, jak to

czynili inni mężczyźni, i córka jego żony pozostała jedynym dzieckiem, jakie kiedykolwiek miał mieć.

Ponad Hogback, na pochylonych polach Shaftoeo, stał stary, wysoki kasztanowiec, którego słodkie kasztany karmiły świnię Shaftoeów jesienią i zimą; czasem Floyd z braćmi piekli je i także jedli; wiosną białe kwiatostany wypełniały się pszczołami. Pewnego listopadowego dnia Floyd przyszedł wieczorem po świnię i ujrzał pośród żółtych liści kobietę wypełniającą kasztanami worek.

Spojrzała nań zaskoczona, z otwartymi ustami i oczami pełnymi poczucia winy. Lalkokształtna, sucha staruszka w brązowym płaszczu wojskowym i butach bez języków. Skądś ją znał; pewnie była jego krewną, jak wszyscy mieszkający w tej okolicy. Oczyma wyobraźni widział ścieżkę do jej chaty.

Kiedy zorientowała się, że jej nie skarci, zarzuciła worek na ramię i bez słowa odeszła w pośpiechu. Smacznego, zawołał za nią Floyd, ale nie odpowiedziała, rzuciła mu tylko jedno spojrzenie, znikając z widoku. I wtedy rozpoznał jej wodniste oczy: już kiedyś nań patrzyły, nie tutaj jednak, nie w świetle dnia.

Tej nocy, podczas gdy jego długie ciało spało obok żony, Floyd wstał tak cicho, że ani jedna słomka nie zaszeleściła, i ruszył do Hogback. Minęło tyle lat, powódź zmyła tyle punktów orientacyjnych, tylu ludzi opuściło zapuszczone farmy i zeszło z góry do obozów, że mógł nie rozpoznać drogi: ale lśniła nieco pod jego bosymi stopami jak srebrzysty śluz ślimaka i potrafił nią podążać wcale sprawnie.

Drzwi do jej chaty stały otworem; tak czy owak nie stanowiłyby dla niego bariery; żółty kot zamiauczał, widząc go, i wspiał się po werandzie na dach. Kiedy tylko Floyd stanął na podłodze z bali, rozpoznał to miejsce, przypomniał sobie, jak pewnego razu przyniesiono go tu jako dziecko dotknięte poważną drżączką: jak kobieta (wtedy też stara) wyciągnęła słój z jelenim bezoarem - brzydki kawałek materii, który, jak twierdziła, znalazła w brzuchu sarny - i nacierała go nim, aby ostudzić krew; jak srebrna moneta przeszła z dłoni do dłoni.

Tak, znam cię, Floydzie Shaftoe, powiedziała (trzymając się z dala po drugiej stronie izby). Już wtedy wiedziałam, kim jesteś.

Wzięłaś coś, co należy do mnie, odrzekł Floyd, przybyłem po zwrot.

Worek pełen kasztanów leżał na środku podłogi. Zaczęli go okręzać, trzymając się od siebie w stałej odległości, jak gdyby przygotowując do walki na noże.

Widziałam cię w wąwozie. Ja też tam byłam.

Nigdy cię nie widziałem, odparł Floyd.

Powiedziała mu - krążąc wciąż po izbie, przykuwając jego wzrok podniesioną chudą ręką - powiedziała mu, kim byli ludzie idący tamtej nocy wąwozem, pośród których Floyd ujrzał swoją matkę. Byli to zmarli, co odeszli przedwcześnie, ofiary morderstw i samobójstw, a także zmarli przy porodzie i przypadkiem. Dopiero kiedy upłynie przynależny im czas, będą mogli spocząć spokojnie w grobie, dołączyć do ciała, by zasnąć aż do dnia sądu.

Floyd zrozumiał wtedy, co widział w twarzach tych, którzy stąpali przez wąwóz, i w twarzy swojej matki, ponieważ lśniło to także w oczach wiedźmy i trzymało go niczym dłoń za gardło, napęlniając jego serce strachem i żalem: to był głód.

Zdradzę ci sztuczkę, powiedziała, która uratuje ci życie: jeśli ciało, które śpi teraz w twoim łóżku, zostanie odwrócone twarzą w dół, nie zdołasz doń wrócić; a jeśli nie wrócisz wraz z dniem, już nigdy nie będziesz mógł wrócić. Wtedy twój duch także będzie biegł z nimi wąwozem, aż do dnia twej śmierci.

Dzięki za to, powiedział Floyd.

Nie ma za co, odparła. A teraz idź.

Kiedy zostanie zwrócona mi moja własność? - spytał Floyd, podchodząc do worka.

Twoja własność jest moją własnością, odparła. Zbliżyła się do hikorowego krzesła stojącego na podłodze. Złapała je i szybko, jakby mieszała w garnku, poczęła okręcać je na jednej nodze wokół własnej osi. Kot parsknął, ogień plunął, Floyd skoczył, by ją pochwycić.

Ale z diabłą pomocą (wezwaną przez hikorowe krzesło) zmieniła się w bladą ćmę i uleciała z jego uchwytu. Floyd nagiął swego ducha ku przestrzeniom serca, gdzie osiadł Jezus, i z jego pomocą przyjął postać lelka kozodoja, by pochwycić ćmę.

Ale wiedźma odmieniła się w sowę i rzuciła na lelka.

Ale Floyd przyjął postać ziarna na podłodze i sowa nie mogła go znaleźć. Powróciła do własnej postaci, złapała wór kasztanów i z przeraźliwą, iście pajęczą zręcznością wydostała się przez okno.

Ale Floyd przybrał postać chyżego wilka i zanim zniknęła, pędząc po oblanym światłem księżycy szlaku, popędził za nią.

Zmykała przed nim wąwozem; jej obute stopy brały nienaturalnie długie kroki, ciągnął się za nią kosmyk siwych włosów: ale on również był szybki, czteronogi, o szerokiej piersi. Wokół, w miarę jak podążał za nią, pojawiali się inni, cały tłum innych, przepychających się, zagradzających drogę, niezważających na nic. Teraz ich zna. Przedwcześnie zmarli, zabici, pechowi; nie wiedział, że jest ich aż tylu. Nożownicy, awanturnicy, niechciane dzieci uduszone po urodzeniu, czarni robotnicy torowi i dróżnicy, zabici przez pracę, narkotyki lub własnych szefów, niezdolni spocząć na murzyńskich cmentarzach ciągnących się anonimowo

wzdłuż torów, które wytyczyli. Wisielcy, żołnierze, górnicy, górnicy zmiażdżeni tąpnięciami albo rozerwani wybuchami w chodnikach, zmiażdżeni pomiędzy wagonikami, zatruci gazem albo powietrzem kopalnianym: niepokodzeni ze śmiercią, wciąż spragnieni tego, co mają żyjący. Długa ich procesja wiła się nocnymi wąwozami, wstrząsana niekiedy falami bolesnej tęsknoty, kiedy rzucała się biegiem niczym spanikowane owce. Zdawało mu się, że podróżyje pomiędzy nimi dni całe, szukając twarzy starej kobiety, która uciekła przed nim, z oczyma tak głodnymi, jak głodne były oczy tłumu, z workiem na ramieniu.

Ale nie były to dni, jeno czas tej najdłuższej nocy. Nad ranem tłumy popędziły pod grań, gdzie nocowały, szumiącą stękającą rzeką; na końcu szła wiedźma. Wyparowali wraz z nadejściem dnia, ale ona była coraz wyraźniejsza i prawie ją złapał, kiedy ruszyła pod górę. Zbyt późno: kiedy doszedł do drzwi, były zamknięte, a ona uciekła z łupem do piekła. Leżał (jego duch leżał) na zimnej skale, łkając pośród opadłych liści ze zmęczenia i poczucia straty.

Zatem byli tacy jak on, wzywani przez Ducha Świętego, i inni, wzywani przez Diabła. Ich spór sięgał głęboko - jak później dowiedział się Floyd - był zapiekły i zaciekły jak walki, o których opowiadał dziadek, walki, które rozgorzały w Cumberlandach po przejściu Wojny (tylko jedna wojna w opowieściach dziadka była Wojną), dzieląc hrabstwa i klany, nigdy nie wygasając, tłąc się jak wysypisko po dziś dzień.

Twoja własność jest moją własnością, powiedziała: i w najgorszym roku kryzysu Hoovera kasztanowce uschły - nie tylko w Hogback, ale w całym lesie; nie ostał się ani jeden, wymarły w tym samym czasie, za jednym zamachem. Floyd ściął z ojcem martwe drzewo nad swoim poletkiem, po czym spalili jego ogromne zwłoki na jałowej glinie wraz z chwastami i zaroślami, które jako jedyne tam rosły. Popioły nakarmiły ziemię i przynajmniej w tym roku mieli dobre zbiory; potem ojciec Floyda przestał interesować się rolnictwem, spędzał czas pijąc whisky i gapiąc się w zaśmiecony strumyk, czarny od ścieków z Numeru 2. Kiedy uruchomiono program pomocy, Floyd z żoną i dzieckiem poszli do Bondieu po swój przydział.

Po co tamci mieliby chcieć szkodzić światu, nie miał pojęcia. Tak samo jak nie miał pojęcia, dlaczego akurat on miał zostać wybrany do walki z nimi; dlaczego wyrządzali szkodę, która im samym nie mogła przynieść niczego dobrego, dlaczego brali ziarno posiane w ziemi, wybierali prosięta z brzucha lochy i zanosili pod ziemię, chociaż oznaczało to, że nikt nie będzie miał z tego pożytku.

Jak wielki diabeł Hoover, który przyniósł krajowi tylko ruinę, by odejść w hańbie: po co.

Doszedł do wniosku, że ich odwieczna wrogość jest po prostu częścią natury, jak wrogość między sowami i wronami, albo rudą i szarą wiewiórką; może nawet być to część tego, co sprawia, że świat jest taki, jaki jest - jak opozycja ognia i wody, mężczyzny i kobiety: jeśli oba rodzaje nie walczyły o to, co ma rosnąć, a co nie, to nie rosło nic w ogóle.

A zatem byłoby to w porządku, rzecz naturalna, niczyja wina.

Ale jeśli to nie oni wysysali życie świata, pozbawiając go dóbr jak wąż mleczny ssący koźle wymię o północy, to kto? Kto? Stał z żoną i dzieckiem w kolejce po szary smalec i posiłek, szare, darmowe, bawełniane swetry, szarą nadwyżkę upadającego świata: i w nerwowych twarzach ludzi w kolejkach, w beznadziejnej nadziei, z którą przepychali się ku ciężarówkom, wbijając wzrok w puszki mięsa i bezbarwnego syropu, widział ten sam głód, który widział w nocnych twarzach w wąwozie.

Świat zmarniał, starzał się, jego filary kruszały jak filary z węgla pozostawione w kopalniach, by podtrzymywać wydrażone wzgórza. Pieniądze wróciły do Cumberlandów wraz z wojną i po niej, i znów ludzie rzucili się na wyniszczone góry, lecz tym razem dobywali węgiel nie kilofem i łopatą, ale kombajnami górniczymi, które wgryzały się w złoża, przelatywały węgiel całymi tonami i wypluwając go prosto na wózki, które wynosiły go pod słońce. I to nie wystarczało, by zrealizować zamówienia, i tysiące szybów podziurawiło plecy góry, a węgiel trafiał na ciężarówki, które wysypywały go prosto na wagony kolejowe na setkach poczerniałych ramp. Floyd pracował w wąskim gardle takiego szybu, dopóki jego pylica się nie zaostrzyła. Zarobił dość pieniędzy, kupił telewizor i lodówkę.

Ale tymi pieniędzmi tylko przyspieszyli nadejście końca świata. Floyda nie zaskoczyło, kiedy Good Luck zamknął Numer 2 na dobre, nie mogąc dalej go eksploatować. Taki sam kres miał przyjść na resztę, nawet na Big Black Mountain. Wyrwali wzgórzom łona; zabrali aż tyle, zabrali to, co dojrzałe, i to, co niedojrzałe, nie zostawili matki, z której mogłoby się narodzić więcej; odeszli, zostawiając góry jałowe.

Nie tylko piękno i wartość stracone zostały dla świata. Ojciec Floyda rozumiał kiedyś ciało roku, w jakiej jego części siać, w jakiej plewić: głowę, ręce, nogi. Ciało czasu. Wiedział, w jakiej fazie księżycy wyrzynać deski na dach, żeby się nie paczyły; potrafił zrobić dulcymer i wygrywać na nim melodie starego kraju: *Scotland* i *Barbrie Allen*. On, który zabił się, pijąc chałupniczą whisky, znał sekret wyrabiania ziołowego miodu pitnego. Nauczył się tego od ojca i dziadka, a potem zapomniał. Dziś nikt nie potrafił niczego pożytecznego, niczego poza załapaniem się na zasilek i trwaniem na nim: Floyd Shaftoe również.

Nie wstydził się tego. Człowiek może wyglądać dobrze z zewnątrz, a w środku nie mieć ani krzty zdrowia. Floyd nie miał renty związkowej - nigdy nie popierał związków, nie

mając pozwolenia od Ducha Świętego, żeby wziąć na siebie takie zobowiązanie. Kiedy adoptował wnuczkę (po raz pierwszy w życiu pojechał do siedziby hrabstwa, aby podpisać papiery), dostawał troszkę więcej jedzenia i pieniędzy: dość. Kiedy jego poletko zostało dwukrotnie na wiosnę spulchnione i obsiane, spędzał większość czasu w fotelu z Biblią na kolanach i przy włączonym telewizorze, z którego sączyła się ta sama dziwaczna, szara miniaturka życia, co z telewizora Oliphantów.

Świat się starzał, to wszystko; jego siła napędowa wyczerpywała się, jak w lodówce, która już nie chłodzi, działa coraz gorzej, dziadostwo do kitu, lepiej wyrzucić do strumienia, niech rdzewieje. Przecież i tak nie było to rozwiązanie na stałe: jak skóra, którą wąż okresowo zrzuca, jak nowy samochód zbudowany po to, by się rozpaść.

Floyd chadzał po świecie, który prosił się o śmierć: skrzył się smrodliwymi pożarami, obmywały go brudne deszcze. A zarazem wewnątrz tego świata do narodzin na pewno szykował się nowy świat; czuł go pod stopami, dostrzegał go niczym nowy księżyc, który widać w objęciach starego. Dotarł do końca Biblii, do ostatniej strony, i wiedział.

Ile jeszcze czasu? Floyd wypracował sobie własną arytmetykę przepowiadania czasu, obliczania przy użyciu maleńkich czerwonych liczb, które poprzedzały znaczące wersety Biblii. Wyznaczył datę na jakieś trzydzieści lat od teraz.

Świat wszedł w okres przejściowy, czas omenów i cudów. Na księżycu była krew, potwory wyradzały się z umierającego świata jak larwy z brzucha zdechłego psa, raki z wiosennego błota. Na Hogback, w wąwozie, spotkał istoty z przyobiecane go ognia i rozmawiał z nimi. Czy dożyje chwili, w której będzie mógł to zobaczyć? Gdyby wiedziały, nie powiedziałyby mu; albo kiedy mówiły, nie mógł ich zrozumieć. To nie miało znaczenia. Zrobił wszystko, o co go proszono, i zrobi jeszcze wszystko, co zostało mu do zrobienia; był kontent, mogąc czekać w ciszy.

JEDENAŚCIE

Maj jest miesiącem Maryi; w Kentucky róże kwitną właśnie wtedy, a róże są jej kwiatami (wysypała je z fartuszka na indiańskich świętych w Meksyku, na klęczące dziecię w Pirenejach; zapach róż towarzyszył przy łózkach umierającym zakonnicom w Chinach i Hiszpanii; róże różowe niczym guma do żucia okalały jej postać na każdym złożonym na brzegach błękitno-białym świętym obrazku, ukoronowaną gwiazdami, stojącą na księżycu). Ojciec Pierce'a, Axel, twierdził, że jest szczególnie oddany Dziewicy; Pierce tego nie podzielał, nie potrafił także wydobyć jej z kielkującej trawy i ociążałych wrzosów, ani też z własnych dusznych uczuć. Siedem Radosnych Tajemnic...

Bujne krzewy róż herbacianych (odmiana *floribunda*), które rosły koło domu, były zaniedbane - więcej liścia i ciernia niż kwiecica - ale wciąż napełniały powietrze wonią i przyciągały ekstazyjne trzmielce. Przypominały Opal ogrody stron rodzinnych, prawdziwe ogrody z rabatkami kwiatów jednorocznych, wypielegnowane klomby; harowała nad tymi smukłymi kaskadami, by je znów ucywilizować; także Winnie, choć żadna z niej ogrodniczka, przypomniła sobie o życiu gdzie indziej, o angielskich ogrodach i Westchester. A ojciec Midnight (który, choć Oliphantom zdawał się niezmienną częścią okolicy, pochodził w istocie skądinąd) widział w szerokich trawnikach i różach krzepiące ceremoniały i gale pod gołym niebem, w których uczestniczył w umiarkowanym klimacie Cincinnati, gdzie uczęszczał do seminarium duchownego: dzieci w bieli i koronkach, bractwo ze swoimi proporcami. Jak cudnie by było (mruknął do Winnie i Sama pewnego wiosennego niedzielного popołudnia), gdyby miesiąc Maryi mógł być i tutaj obchodzony z procesją, błogosławieństwem i różańcem.

(Długo, długo później Pierce znalazł pośród pamiątek fotografię autorstwa Ptasi, na której widniał on sam podczas tej ceremonii: z dużymi oczami, długą szyją, włosami przyciętymi á la Joe Boyd, w komży i sutance, uginający się pod ciężarem wielkiego krzyża z umęczoną postacią ze złota; dzień jest bezbarwny, ale trawa zdaje się płonąć, biała od słońca, pod którego promieniami Pierce musi mrużyć oczy. Ładny ołtarz oraz jego kuzyni w ubraniach komunijnych, oblani białym światłem niemal zlewają się bez śladu z otoczeniem: ich białe różańce to krople rozproszonego ognia. Jest też łokieć i but ojca Midnighta. Zrobili to tylko ten jeden raz).

Pewnej majowej nocy, być może tej samej nocy, Pierce miał sen: że on i jego kuzyni, matka oraz Sam umarli i trafili do czyścica. Nie śniła mu się śmierć ani sąd - po prostu wszyscy razem znaleźli się tam. Czyściec był wypalonym zboczem górskim pod nocnym niebem pośród smolistej czerni i pokutnych drzew; popiół pod stopami wciąż był ciepły. Znajdowali się tam sami; było to ich prywatne miejsce, a może inni grzesznicy po prostu chowali się w niedalekich jarach. Pierce szedł obok Ptasi; reszta szła z przodu, rozglądając się na boki, czekając, aż rozpoczną się przyręczone kary. Czyściec składał się z tego strachu zarazem bezradnego i trwożliwego, który Pierce poznał w szkole i na sprawdzianach oraz obozach Małej Ligi Bejsbolowej. Ale trzymał mocno dłoń Ptasi, zdeterminowany, by wykazać się odwagą. Zdawali sobie sprawę z monotonnego, ciągłego dźwięku, grzmotu ognioburzy, która nadeszła z jakiegoś niewyobrażalnego gdzieś, które znajdowało się tuż-tuż: i chociaż Pierce wiedział, że to jest to, że kara nadciąga, skłamał Ptasi, mówiąc, że to nic ważnego, ot, pewnie wielki wentylator pobliskiej jadalni. Wtedy się obudził.

Musimy dotrzeć do Bobby, pomyślał, musimy, musimy i to szybko, już może być za późno.

Więc letniego poranka, jakiś czas później, Niewidzialni zebrali się w kuchni wielkiego domu. Z pomocą Winnie zrobili kanapki, smarując kromki chleba masłem orzechowym, pastą z prawoślazem; napełnili mlekiem puste butelki po napojach gazowanych i zatkali je papierem woskowanym i gumkami recepturkami. Zapakowali pokrojoną marchewkę, do której wzięli sól w jeszcze jednym zwitku papieru woskowego. Napełnili plecaki ciasteczkami figowymi, pulchnymi słodkimi waflami, krakersami Saltines i rodzynekami w maleńkich pudełkach (Joe Boyd potrafił trąbić na takim pustym pudełku, ale tym razem nie szedł z nimi).

Potem wszyscy (ponownie) przysięgli sobie wierność i gdy Pierce i Hildy wybrali kije, którymi mogli by się podpierać, a Warrena śmiechem zniechęcili do zabrania pistoletów, ruszyli zjazdem w kierunku autostrady; na moście przekroczyli strumień i poczęli iść pod górę niszczącą asfaltową drogą w skwar lata.

Pieszna podróż trwała o niebo dłużej niż samochodem Sama. Często przystawali, by odpocząć, nazbierać poziomek i sprzeczać się, czy nadszedł już właściwy moment na zjedzenie lunchu, który nieśli ze sobą; zerwanymi gałęziami olchowymi odganiaли od siebie natrętne muchy.

- Warren! Te jagody nie są jeszcze dojrzałe.

- Przecież są czerwone - odparł Warren.

- Właśnie. A to są c z a r n e jagody. Kiedy są czerwone, to znaczy, że jeszcze są

niedojrzałe.

Warren spojrzał na garść owoców.

- Kiedy czarne jagody są czerwone, to są jeszcze zielone - dodał Pierce, a oni śmiali się, zastanawiając się nad tym i powtarzając to jeszcze wielokrotnie.

Kiedys już mijali to skrzyżowanie: wszyscy pamiętali ten mały sklepik stojący w kroczu dróg, ale nie mogli dojść do porozumienia, która z nich prowadzi do Hogback. Już byli dalej od domu niż kiedykolwiek przedtem.

- Idź tam i zapytaj - polecił Hildy Pierce.

- Ty idź.

- Warren! - powiedział Pierce. - Idź się tam zapytaj, w którą stronę do Hogback.

Warren bez cienia strachu podszedł do werandy, której daszek zdawał się kurczyć pod nacierającym słońcem. To musiał być sklep: przymocowana do ściany reklama Pepsi w kształcie ogromnego kapsla, rdza sącząca się spod bolców, mnóstwo przedmiotów na ganku i na wydeptanym trawniku przed nim nie mogło znaleźć się tu przypadkowo, zapewne były na sprzedaż. Ale spod werandy wyszedł żółty pies i ostrzegawczo wyszczerzył na Warrena zęby, a takich rzeczy nie robią psy sklepowe.

Warren zignorował bestię i ominąwszy ją, wszedł po schodach werandy. Zajrzał przez obszarpaną siatkę w drzwiach. Przez ten czas reszta czekała, obserwując, jak rozmawia z kimś w środku i odsuwa się od obwąchującego go psa. Wreszcie wrócił.

- Co powiedzieli?

- Nie mogłem ich zrozumieć - odparł Warren. Wyglądało jednak na to, że wskazano mu drogę w lewo, a że ustalili, iż zgadza się to z tym, co pamiętali z poprzedniej wyprawy, ruszyli właśnie tamtędy.

- Chodź, Warren.

- A psy wiedzą, że są gołe? - zapytał w zamyśleniu Warren, zamykając pochód. - Czy myślą, że są ubrane?

Zaczęli się o to spierać, kontynuując marsz, i przez jakiś czas nie musieli się zastanawiać, co robią i jak bardzo oddalają się od domu.

A w ogóle, jak Bobby może być katoliczką, sama w tych górach? Jak ma przyjmować sakramenty, które powinny nastąpić po tym, który skradli i perswazją skłonili ją do jego przyjęcia? Pierce wyobraził sobie ojca Midnighta w jego starym czarnym studebakerze, zdążającego tą drogą, z hostią ukrytą pod płaszczem, jak w opowieściach siostry Mary Filomeli o księżkach zza Żelaznej Kurtyny. Fioletowa stuła pospiesznie zarzucona na ramiona, Bobby kłęcząca za silosem na kukurydzę, gotowa, by przyjąć w tajemnicy sakrament. Gorąca

fala wstydu oblała kark Pierce'a - ten cały zakonnicy melo-dramat, jego własny w nim udział, którego nie można już cofnąć.

- Może ona znowu ucieknie - zastanawiała się Ptasia. - Może zamieszka z nami.

To opowieść z innej książki. Była jeszcze jedna, która przychodziła na myśl Pierce'owi, kiedy patrzył w zieloną ciemność sosnowego jaru: on ucieka razem z Bobby, podąża za nią; jej znajomość lasu i śmiałość plus jego inteligencja i rozsądek. Niemal widział ich uciekające sylwetki, trzymające się za ręce w pędzie przez leśną przecinkę skąpaną w słońcu.

Zaczął ich dobiegać ciągły dźwięk dochodzący z nieokreślonego źródła, niski i nie tak urozmaicony jak wszechobecne odgłosy południa. Tam, gdzie droga poszerzała się na chwilę i biegła przez rzadki las, zatrzymali się - Pierce pierwszy, bo pierwszy to zobaczył, potem Hildy, na końcu Ptasia - by zbadać coś niewyjaśnialnego.

- Patrzcie. Co się stało?

Na prawo pośród drzew stał głaz wyższy od Pierce'a. Umazany był gliną, jakby przeciągnięto go z ogrodu; gliną, którą na czubku dzień zdążył wysuszyć na kolor płowożółty, lecz skryta w cieniu reszta pozostała wilgotna. Za nim, prowadząc aż na górę nikonącą w oddaleniu, biegł szlak znaczący jego drogę: powalone osiki i jodły, rozbite kamienie i wyżłobiona ziemia, wielka rana przez las albo wielki rozpięty suwak.

Co u licha. Cała czwórka stała zaskoczona, a potem każdy z osobna wyciągnął ten sam wniosek - że jeżeli trzęsienie ziemi lub jakiś inny czynnik wykorzenił i zepchnął z góry ten głaz, być może zaledwie kilka godzin temu, to w każdej chwili następny może pójść w jego ślady i zatrzymać się dopiero na drodze, którą szli. No i co to był ten dziwaczny dźwięk.

Nieufnie podjęli marsz. Zdawało im się, że znaleźli się na dziwnym, nieprzewidywalnym terenie; w powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi. Droga znów skręciła pod górę, przekraczając gulgoczący strumień mostem ze spękanego betonu, a potem wspinając się wzdłuż jego koryta. Strumień był brązowy jak kawa z mlekiem i krztusił się kamieniami.

Niewielka grupka domków i zabudowań gospodarczych pod szczytem weszła w ich pole widzenia; zaprowadziła ich tam droga kurczowo trzymająca się pasma. Hogback. Dźwięk, który słyszeli, był teraz wyraźniejszy, musiały wydawać go silniki, i to wielkie, wycofywanie się i nacieranie maszyny do robót ziemnych, prawdopodobnie więcej niż jednej; dochodził z góry.

- Pewnie coś budują - stwierdził Warren. - Szkołę czy coś.

Zeszli z głównej drogi na zakręcie pod górę; dobrze pamiętali ostatni moment, kiedy

Sam mógł jeszcze zawrócić do Bondieu z Bobby, lecz nie zrobił tego; po ostrym zakręcie, a potem jeszcze jednym, wiedząc już, że są bardzo blisko, wzięli się w kupę i dość zniechęca znalezli na miejscu.

- To ten most.

Ale za mostem wszystko wyglądało inaczej. Zwał ciemnej góry, która stała niegdyś nad domkiem Shaftoeów, zniknął albo został zniszczony. Kawałki skały leżały rozrzucone po zboczu. Zieloną kukurydzą stratowały staczające się głazy.

- Dom jej roztegowano - wyszeptał przejęty Warren. Poszarpana skalna kość, wielka jak nash Sama, zeszła z góry na fali gliny i kamieni, przebijając się przez młode drzewa na zboczu i zaczesując je niczym włosy; teraz osiadła w łazience Floyda Shaftoe, którą dobudował był do domku, i tkwiła głęboko we włączce do piwnicy. Dach uniósł się z boku jak przekrzywiony kapelusz, wanna, sedes i umywalka wyszły rozprutym szwem domu na zaśmiecony dziedziniec. Rolka papieru toaletowego odtoczyła się ku strumieniowi, zostawiając za sobą biały zygzak - wszyscy to zauważyli.

Postawszy tak dobra minutę, Ptasia zawołała wreszcie:

- Bobby!

Ale kiedy tylko wydała z siebie dźwięk, niezdolna go powstrzymać (zbyt późno uderzyła się dłonią po ustach), Floyd Shaftoe otworzył poluzowane drzwi z siatką i wyszedł na przekrzywioną werandę. Był bez koszuli i dzieci zobaczyły jego kamienne muskuły na piersi i ślady po dawnych wypadkach pod ziemią. Przez chwilę przyglądał im się beznamiętnie, a potem wrócił do środka.

Niewidzialni patrzyli na siebie z ukosa; każde z nich chciało, by ktoś inny powiedział „dajmy spokój, spadajmy stąd”; ale nikt tego nie zrobił. Wtem Bobby wypadła z domu, rzucając za siebie strumień inwektyw, których dzieci nie mogły rozszyfrować.

Biegła ku mostowi przez obejście, kiedy Floyd zawołał na nią z domu; zatrzymała się, jak gdyby oburzona tym co powiedział i odkrzyknęła coś. Potem wyprostowała się i niespiesznym krokiem podeszła do mostu.

- Choćcie tu.

Niewidzialne Kolegium zbiło się teraz w ciasną grupkę na poboczu: Hildy trzymała Pierce'a i Ptasie za rękę, Warren chował się za Ptasia.

- Ty tu chodź - powiedziała Hildy. - My postoiimy.

Bobby patrzyła na nich zdumiona. Wyglądała podobnie, lecz inaczej niż wtedy, gdy ukrywali ją w swoim domu: była wyższa, bardziej żyłasta i oczy miała mroczniejsze, i jeszcze coś: była u siebie, była zwykła, a nie wyjątkowa.

- No to po co żeście tu przyszli?

Nie mieli na to prostej odpowiedzi, więc zmilczeli.

- Twój dziadek chyba nie chciał, żebyśmy tu przychodzili - rzekła Hildy.

- Powiedział, że idzie po szczelbę - odparła sarkastycznie Bobby. - Niech se gada.

- No cóż - powiedziała Hildy; w jej głosie brzmiało pożegnanie.

- Nie no, dajcie spokój - zaproponował Pierce. - Powiedzieliśmy, że przyjdziemy.

Pewnie nawet nie ma strzelby, pomyślał, a straszenie nią dzieci było wariactwem, było irracjonalne, kto by robił coś takiego.

- Możemy zostać tylko na chwilkę - powiedziała Hildy, choć tak naprawdę jeszcze nigdzie nie doszła. Jej trampki nawet nie dotykały desek mostu. Dużo później Hildy czasami śniła, że przekracza taki mostek, myśląc, że po drugiej stronie jest ktoś, kto jej potrzebuje, a jednocześnie podejrzewając, że jeśli w końcu przejdzie na drugą stronę, sprawy będą się mieć inaczej, niż to sobie wyobrażała - uprzytamniając sobie z nagłą zgrozą, że sprawy będą się mieć z u p e ł n i e inaczej - a potem się budziła i przez chwilę wiedziała, że całe życie śni wciąż ten sam sen, za każdym razem szybko o nim zapominając: lecz nawet wtedy nie wiedziała, skąd się wziął.

- Spalił wszystko coście mi dali - powiedziała Bobby, kiedy przeszła na ich stronę. - Wszystkie te obrazki.

- Nie były jego! - zawołała Hildy, oburzona na taką niesprawiedliwość.

- Powiedział że śmierdziały diabłem - odparła spokojnie Bobby. - Paczcie.

Wskazała na ruiny domu, jak gdyby dotąd ich nie zauważyli.

- Wiecie kto to zrobił? Diabeł.

Światło zdawało się mrocznieć wokół Pierce'a; dziwna, kapturzasta, mglista niejasność opadła na słońce.

- Zostawił znak - powiedziała Bobby. - Chcecie zobaczyć?

- Ja chcę! - zawołał Warren.

- Warren - powiedziała Hildy - ty zostajesz.

Bobby pociągnęła Pierce'a za rękę, a reszta poszła za nim do miejsca, skąd mogli spojrzeć na gład spoczywający w łożu ze strzaskanych płyt podłogowych.

- Widzicie? - spytała.

Ktoś - pewnie Floyd - zakreślił nadpalonym kijem fałdę na skale, by wydobyć jej podobieństwo do kłykciowatej, trójszpniastej gadziej łapy. Widok był uderzający, choć ani przez sekundę nieprzekonujący.

- Wow - szepnął Warren. - Szpon.

- Przecież to fantazja - powiedział Pierce. Dreszcz wstępu, który go przeszedł, wziął się z faktu, że ktoś to zrobił, ktoś to udał, ktoś chciał, żeby wydawało się nienaturalne: co za fantazja - to jest tylko gruzłowata skała.

- Diabeł rzucił niom w dziadka, bo on dużo wie. - Wzruszyła jednym ramieniem. - Bo dużo mówi. Ale nie trafił.

- Nikt niczego nie rzucał - zaprzeczył Pierce. - Głaz stoczył się z góry, z terenu budowy.

- Żadnej tam budowy - rzekła Bobby. - Rozwalajom górę.

A potem zapiszczała: Floyd Shaftoe zerwał nagle szmatę zasłaniającą dziurę w ścianie i patrzył teraz na nich; białka jego oczu były nienaturalnie wielkie, a źrenice czarne.

- Uciekajmy! - krzyknęła Bobby i puściła się biegiem do lasu. Pierce rzucił się, by ją zatrzymać, ujrzał bowiem w jej twarzy coś, co - nie wątpił - było tylko grą, udawaniem, wszczynaniem paniki dla samej zabawy; Ptasia pobiegła za nimi, autentycznie przestraszona, podobnie jak Warren; na końcu biegła Hildy, przelekła i zawstydzona.

Bobby przebierała chudymi nogami z szybkością nożyczek wprawnej szwaczki; raz zgubiła but, stary, zbyt duży mokasyn, i zatrzymała się, by go podnieść, tracąc najwyżej jeden krok. Wiodła ich ścieżką przez las (Hildy krzyczała z tyłu, że powinni wracać do domu, zatrzymać się na chwilę) i przez garb wzgórza na wystające zbocze z łupku.

Zdyszana, zadowolona z siebie, obróciła się do nadbiegających.

- Wolno biegacie - powiedziała.

- A ty nie musiałaś uciekać - odparował Pierce; oczy miał czerwone od potu albo łez. - Po co uciekałaś?

- Paczcie - powiedziała ze skalnej wychodni. - Choćcie.

Wspiął się bliżej niej. Warren przewrócił się i zdarł sobie kolano; siostry go teraz pocieszały. Warren, on nie ma broni, to nielegalne, nie płacz, bo cię usłyszy. Pierce patrzył w miejsce, które wskazywała mu Bobby.

Jego wzrok pobiegł nad wąwozem ku szczytowi góry, przez powalone drzewa i ich stojących wciąż towarzyszy. To tam znajdowało się źródło hałasu, kamieni i pyłu: wielkie, żółte koparki wycinały ziemię ze zbocza góry. Widział, jak koparka się cofa, potrafił rozróżnić jej szary dym od pomarańczowego pyłu, który wzbijała: wywożono górską tkankę; wgryzali się w zbocze, powalając drzewa i zarośla, a to, co zostało, przykrywała gruba warstwa gliny, jak karmelowa polewa ściekająca po brzegach tortu. Powyżej wznosiła się prosta ściana obnażonej skały.

- Obdzierka - rzuciła Bobby.

Jak jedzenie rożka lodowego: obwieść językiem wokół obrzeża, zlizać nadmiar, podczas gdy po drugiej stronie stopiony lód wycieka na wafel i palce. Język okręca się i wszystko oczyszcza. Pierce widział wywrotki, które jechały za koparkami, by dać się obarczyć wydobytym węglem: krzepkie ciężarówki jak zabawki, którymi Warren kiedyś bawił się całymi dniami. Z czasem cała góra zostanie wywieziona.

- Idzie koniec świata - powiedziała Bobby nieswoim głosem.

- Co? - zdziwił się Pierce.

- No. Mój dziadek wie. Duch Święty mu pedział. - Usiadła na skale i objęła kościste kolana ramionami. - Dlatego diabeł rzucił w nas głazem. Żebyśmy nie pedzieli ludziom.

- To głupota! - zawołał desperacko Pierce. - Dajże spokój.

- Wszystkie trupy wyjdą z grobów. Nie szkielety - wyjaśniła. - Bedom miały ciało.

- Pierce. - Hildy miała dość; autorytarny chłód hysterii w jej głosie sprawił, że Pierce aż podskoczył.

- Mama mojej mamy - ciągnęła Bobby. - Mama mojego dziadka. Jej mama też.

- Musimy iść - powiedziała z naciskiem Hildy. - Warren się skaleczył.

- Diabeł rozwalił też dom wiedźmie z Hogback. - Bobby wspięła się po kamieniach. -

Ale nas nie dostanie, bo się wyprowadzamy.

- Jak to? Gdzie? - rzucił Pierce, czując, jak w sercu otwiera mu się nagle obmierzła dziura.

- Do Detroit. Tam nas nie dostanie.

- Nie - zaprotestował Pierce.

- Znajdę tam mamę i tatę.

- Nie.

Stała na palcach na skalnym występie i patrzyła ku domowi.

- Oj. Idzie! - zawołała w udawanym przestraszu. - Lepiej uciekajcie.

Hildy pomogła Warrenowi wstać i objęła go; oczy miała rozszerzone, a usta zaciśnięte w dziwnej determinacji.

- Jeszcze chwilę - szepnął Pierce, ani do Hildy, ani do Bobby.

- Nie jedź do Detroit - poprosiła Ptasia. - Chcemy, żebyś została.

- Nie mogę tu mieszkać - opowiedziała Bobby z rozbijającą prostotą. Z góry dobiegły urywane trzaski, rozbrzmiało potężne wycie. Pierce uświadomił sobie, że od pewnego czasu nie słyhać odgłosów pracy koparek i ciężarówek. Bobby tańczącym krokiem zeszła ze skały na ścieżkę i wzięła Ptasie za rękę.

- Choćcie - powiedziała i pociągnęła ją do lasu.

- Jeszcze chwilę. - Pierce zszedł za nią. - Jeszcze chwilę.

- Nie słyszysz syreny? - zawołała Bobby. - Macie pięć minut.

Wycie towarzyszyło im przy schodzeniu. Tam, gdzie sterty śmieci i stara lodówka leżały na zboczu (rzucano je tutaj dawno temu, biel lodówki pstrzyły plamy rdzy), zatrzymała się i wskazała dalszą część drogi.

- Ićcie tendy - poinstruowała ich. - Tam jest droga.

Teraz już i Ptasia płakała, nie ze strachu, lecz z pośpiechu, załamując ręce w sposób, o którym Pierce czytał, a którego dotąd nie umiał sobie zwizualizować.

- Nie jedź, nie jedź - łkała.

Syrena zamarła, przez chwilę zamarł i świat.

- No ićcie. - Bobby skrzyżowała ramiona na bezbarwnej koszuli.

- Chodź z nami! - zawołał Pierce, uświadomiwszy sobie znienacka jedyne możliwe rozwiązanie. - Ucieknij! Chodź z nami!

Bobby skręciła i usiadła pod starą lodówką. Hildy i Warren zdążyli się już oddalić; spiesząc się, nieomal zniknęli z pola widzenia.

- Zostaw go - namawiał ją Pierce. - Zostań z nami. Obronimy cię. Ich tata cię obroni.

- Nie mogę - odpowiedziała, nie patrząc na Pierce'a, jak gdyby już odszedł.

- To nieprawda! - zawołał do jej chowającego się ducha. - To nieprawda!

Ptasia ciągnęła go za koszulę, zapłakana. Bobby zamknęła oczy i wetknęła palce w uszy.

- Pierce!!

Musiał się odwrócić i popędzić z Ptasią za innymi; Niewidzialne Kolegium uciekało ile sił w nogach po drodze, która prowadziła wyłącznie jeszcze głębiej w las. Wycie syren rozbrzmiewające w jego uszach było łomotem serca.

- Poradzi sobie? - płakała Ptasia.

Wybuch dynamitu w kopalni odkrywkowej wyglądał inaczej niż eksplozje w filmach. Stłumiony grzmot mniej przypominał dźwięk, a bardziej coś wielkiego, co pędziło z niesamowitą prędkością przez las, by walnąć ich w plecy. A potem przez korony drzew przebił się suchy deszcz stukoczących kawałków i szeleszczącego pyłu, pokrywając liście, drogę i Niewidzialne Kolegium.

Przez zarośla i odpady ujrzeli drogę.

- Nie powiemy - zapewniła gorliwie Hildy, wbijając wzrok w ziemię. - Niech nikt z nas nigdy nikomu nie mówi.

- Nie powiemy - potwierdziła Ptasia.

- Nie powiemy.

- Po prostu nie mówcie - powtórzyła Hildy. - Nigdy i nikomu.

DWANAŚCIE

Słońce znajduje się dziewięćdziesiąt milionów mil od Ziemi; płonie nieugaszalnym nuklearnym żarem, spalając własne atomy, każdy niczym ognisko; będzie tak płonąć przez æony, przeistoczy się w supernową, czerwonego giganta albo białego karła za miliard, dwa albo dziesięć miliardów lat: ale nie zgaśnie jak świeca, nie przestanie płonąć. Nie musiała wierzyć w to, w co wierzyła; mógł pokazać jej, jak się tego pozbyć, jak zapomnieć o tym, wrócić stamtąd do świata. Dinozaury. Wiedziała przecież, że kiedyś istniały dinozaury, ich kości są w muzeach, przez milion, dziesięć milionów lat żyły na ziemi, setki razy dłużej niż ludzie. Kiedy Biblia mówi „sześć dni”, nie ma na myśli dni, ale epoki Ziemi, plejstocen, pliocen, eocen. Po co w ogóle miałyby istnieć te lata, niezliczone lata przed człowiekiem, gdyby świat miał właśnie się skończyć? Po co? Czemu Bóg miałby być taki głupi?

Siedział na stopniach przejścia między budynkami, rozmyślając całymi godzinami, z rękoma i ustami w nieświadomym ruchu, przekonując Bobby, że opowieść, w którą wierzyła, zwyczajnie nie mogła być prawdziwa. Letnie niebo spowijał pył, powietrze nie było rześkie, lecz popieliste, czerwone słońce, straszne, zachodziło po raz ostatni.

- Gdzieś się pali - powiedział Sam zza siatkowych drzwi. - To przestępstwo.

Co mógł zrobić? Równie dobrze mogłaby wyjechać nie do Detroit, lecz w mrok zakończenia opowieści, którą snuła, w noc końca świata, kiedy umarli powstają z grobów, w noc, której gęstniejącą atmosferę wokół siebie poczuł, gdy snuł desperackie plany ratowania Bobby. Czy Niewidzialni mogli ją uratować, ocalić, tak jak ratowali Ptasie z tworzonych w zabawie kajdan i więzień każdego dnia zeszłego lata? Pierce wiedział, że wtedy to była tylko zabawa, niebezpieczne i budzące dreszcz przebudzenie w coś na granicy rzeczywistości, lecz wciąż będące zabawą; byli przecież tylko dziećmi, a nie rycerzami: a zarazem było tak, jak gdyby to nie była zabawa, lecz prawdziwa historia, w której się znalazł, historia, w której nie potrafił postąpić jak bohater, utracił miecz i mapę, nie miał żadnych prawdziwych możliwości, nie wiedział, co bohater powinien wiedzieć, jak rozświetlić niebo, jak zdjąć zły czar.

Ile nocy i dni żył pod urokiem? Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, jak poprosić Sama albo Winnie o pomoc: prosząc o pomoc matkę, przyznałby się do swego strachu i w ten sposób ryzykowałby złamanie ich wzajemnej więzi - ryzykowałby postawienie jej przed

nierozwiązywalnym problemem, który zburzyłby jej spokój ducha, zmusił do bezowocnego działania i kosztowałby go jej bezwarunkową miłość.

A więc koniec końców zwrócił się do jedynej osoby z zewnątrz, a jednocześnie nieświadomie tkwiącej wewnątrz tej historii: ze wstydem i beznadziejną nadzieją postanowił poradzić się prezesa, co ma zrobić.

- A co tam - odpowiedział Joe Boyd. - Powinna jechać. Detroit a tutaj to niebo a ziemia.

- Ale ważne, żeby nie jechała. Naprawdę ważne.

Joe Boyd odwrócił wzrok od telewizora, gdzie dostojny Pan Czarodziej transformował jeden przedmiot w inny na oczach podopiecznego.

- Dlaczego? - spytał.

Pierce nie odpowiedział; nie potrafił odpowiedzieć, kiedy sam się o to pytał. W słoiku Pana Czarodzieja, w jego płynnej zawartości, pojawił się kryształ, wielościenny, połyskliwy.

- Załóżmy, że ważne. Bardzo.

Joe Boyd zamyślił się.

- Wiesz... Tak naprawdę to nie ona jedzie. To on jedzie. Ona jest po prostu małym dzieckiem, nie ma nic do powiedzenia. Więc musisz tak zrobić, żeby on nie jechał.

- Czyli co?

To wymagało głębszego namysłu. Zdawało się, że Joe Boyd na dobre odpłynął do garażu Pana Czarodzieja, który właśnie dobywał z kieszeni klejnoty.

- Zapłać mu - odezwał się wreszcie.

- Co?

- Zapłać, żeby został. Zrób tak, żeby opłacało mu się zostać.

- Ale jak mam mu zapłacić? Nie mam czym.

- To nie musi być dużo. Wystarczy tyle, żeby pomyślał, że jest więcej. Że tutaj jest więcej. Wtedy zostanie.

Pierce długo siedział skonfundowany, czekając na dalsze wskazówki. Jego czekanie coraz bardziej denerwowało kuzyna, który odwrócił się wreszcie doń i zapytał, czego tu jeszcze siedzi.

Wystarczy tyle, żeby pomyślał, że jest więcej. Cenne klejnoty wyciągane z kieszeni: patrz. Będzie więcej. Stał w piwnicy obok cicho szumiącego kotła i poczeriałym prętem otworzył drzwiczki. Szum wzmógł się. Pierce spojrzął z obawą, ale i pewnością siebie do środka, gdzie niebieskie płomienie skakały po skrzęcej się lawie: wciągnął w płuca gorzki oddech pieca. W

rozżarzonym do białości sercu zatopił szczypce (wyciągnięte spośród nigdy nieużywanego zestawu narzędzi kominkowych) i za ich pomocą wyjął węgielek.

Szybko, korzystając z narzędzi Sama i imadła oraz dzięki sile, która brała się z konieczności i wiedzy, począł zamęczać węgielek, aż ten oddał mu diament, który zawierał: tam, na osmalonym stole warsztatowym, maleńki żywy kamień wyklął się z wycieńczonego i wypalonego węgielka, odbijając swój pierwszy promień światła.

Nie. Była pełnia lata i piec, rzecz jasna, był zimny; zamiast tego, Pierce poszedł na górę do pokoju Sama, kiedy ten wyszedł (odebrać poród, a może przywracać umierającemu życie, jak to kiedyś uczynił, uderzając raz prosto w serce z całej siły), i wyciągnął z jego szuflady pudełeczko z brylantowym pierścieniem Opal. Za pomocą ostrych szczypczyków Sama odgiął maleńkie złote szponki, które trzymały kamień w miejscu, i poluzowawszy oprawę wytrząsnął brylant na dłoń: osobno wydawał się mniejszy niż w pierścionku i zdawało się, że w każdej chwili może odtoczyć się w nicość, zgubić się, umknąć przeznaczeniu.

Włożył kamień do aksamitnego woreczka, nie, do plastikowego pudełka, z którego Sam wyciągnął ampułkę penicyliny, którą wstrzyknął Pierce'owi. Samotnie poszedł do Hogback, gdzie stanął w obejściu i zawołał Floyda Shaftoe, nie, Bobby.

Pokaż to ojcu. Powiedz, że znalazłem w starej kopalni Good Luck. Powiedz, że głęboko w szybie, ja powiem mu dokładnie, gdzie znajduje się pokład węglowy, który przestoczył się w diamenty. Powiedz mu, że nikomu nie powiem. Wtedy nie pojedzie do Detroit.

Wzięła brylant, nie, on poszedł z nią do domku, gdzie na łóżku leżał bosy i nagi od pasa w górę Floyd; przez tors przebiegały mu długie, białe blizny. Spojrzał do pudełka, które Bobby uroczyście mu wręczyła, i ujrzał nieśmiało jaśniejący kamień: kuszący, oszałamiający, ogłupiający.

Albo nie, poszedł nie do Hogback, ale w drugą stronę, w kierunku Numeru 2. Podążał wzdłuż szyn kolejowych i Rzeki Bezimiennej przez miasteczko Good Luck, gdzie nikt nie mieszkał i gdzie patrzyły nań szeregi szarych domków, i obok szkoły Good Luck, której wnętrza nie znał, i szpitala Good Luck, o którym Mysza opowiadała, że kiedyś wyrzucano z niego odcięte ręce i nogi i tak dalej, i wrzucano do strumienia, gdzie można było zobaczyć, jak unoszą się na wodzie.

W górę, po zalesionym zboczach, po ścianie z łupka ilastego, na której widać było wywrotnicę (kiedyś, raz, widział ją z nasha Sama), i dalej ku wejściu do samej kopalni, Numeru 2 - ku łukowi wyrżniętemu w skale, w którym znikwały tory. Miał latarkę, papier i ołówek, a w plecaku plastikowe pudełko z brylantem. Zaczął od wejścia, zaznaczając na

kartce łuk; potem nakreślił przerywaną linię odzwierciedlającą jego drogę ku wnętrzu i głębi.

Latarka, zasilana bateriami Evereadies, wbijała niezawodny snop światła w ciemność, ujawniając sylwetki wagoników, krępe jak łagodne, śpiące niedźwiadki; słupy i belki niskiego sklepienia; nagie druty elektryczne, których obecności nad głową Sam nie mógł znieść, lecz teraz bezsilne może, prawdopodobnie. W każdej sali na przecięciu korytarzy Pierce, wybrawszy jeden, oznaczał zakręt na mapie. A kiedy skręcił w dół i jeszcze raz w dół w ciemność tak głęboką, że można ją było wyczuć nieomal na języku, gdzie kończyły się szyny, gdzie górnicy skończyli na zawsze prace i porzucili swoje kilofy, wyjął plastikowe pudełko, a z niego klejnot, i położył go na bryle węgla. Miejsce to na mapie zaznaczył literką X.

Czas wracać, kierować się mapą z powrotem, wysłać mapę pocztą do Floyda Shaftoe, nie, przynieść mu ją, nie, zgubić ją na jego farmie. Nie.

Nie. Pierce pewnego słonecznego popołudnia ruszył ku Numerowi 2, czując, że jego plan szybko się ulatnia, ale i tak zmuszając się do wiary weń, z pełnym wyrzutów kamieniem w kieszeni. Głos, który, odkąd opuścił dom Bobby na Hogback, przemawiał doń nieustannie i tak głośno, że ledwo mógł usłyszeć cokolwiek innego, choć nie przestał gadać, stał się jakby odleglejszy i przerywany.

Powinien był to wiedzieć. Wiedział to, tylko nie był w stanie zdecydować, co zrobić z tą wiedzą, i dlatego nie przyjął tego do wiadomości: kopalnia, prawdziwa kopalnia, nie była otworem wyrżniętym w górskim zboczu, lecz wielką i oszałamiającą instalacją przemysłową, tym bardziej że chylącą się ku ruinie. Strzegł jej znak „Wstęp surowo wzbroniony”, a naruszającym zakaz groziła wysoka kara.

No to pięknie, powiedział Pierce głosem Winnie, pięknie. Płot, przecinający drogę, zatrzymał go daleko od wejścia do kopalni, które mieściło się w budynku z blachy falistej z brudnymi oknami. Trudno o lepsze miejsce, by ulec wypadkowi, przewrócić się, nabić się na zardzewiały gwóźdź, dostać szczękoscisku. Wysokie konstrukcje - kruszarki, oczyszczarki, przesiewacze - stały na chudych, zardzewiałych nogach nad niekończącą się hałdą łupku. Na najwyższej z nich wymalowano napis „Good Luck” i (wypłowiłe niemal całkowicie w gryzącym powietrzu) logo firmy: cztery karty samych asów. Good Luck. Powodzenia.

Chociaż myślał wtedy, że to możliwe - jeśli porwie się na wejście na płot, jeśli ośmieli się wejść do kopalni rozbijając okno, jeśli zjeździe na dół (teraz przypomniał sobie, jak w telewizji górnicy zjeżdżali otwartą windą w czeluść), jeśli zrobi to wszystko siłą konieczności - jego plan wciąż może się udać; mógł tym wysiłkiem uczynić z tego zatwardziałego miejsca ogniwo swych pragnień. Ale wiedział, że tak się nie stanie.

Na drodze było upiornie gorąco, lato straciło już słodycz swojej świeżości, okolica

była obcą planetą, zbyt gorącą, by mogło istnieć na niej życie. W sumie dlaczego nie miałyby jechać do Detroit.

Dlaczego nie, jeśli chce. To tylko miasto jak wiele innych.

Obudź się, pomyślał, ty palancie.

Poczuł, że przebudził się na własne polecenie albo równocześnie z nim; poczuł się obnażony, zawstydzony; samotnie grał w grę, a teraz przyłapał go na niej dorosły szyderca - on sam. Ale nawet po tym, wbijając ręce w kieszenie i rozglądając się, nadal w istocie lunatykował i nie zdawał sobie z tego sprawy. Było tak, jak gdyby stojąc pod płótem Good Luck i patrząc ku kopalni, Pierce Moffett, który do tej pory był jednością, niedostrzegalnie, niewykrywalnie podzielił się na dwoje: częścią siebie ruszył podziemną rzeką niczym snem, gdzie przez lata miał pozostać, a częścią żył, dorosły, suchooki, nad ziemią, gdzie życzenia się nie spełniają, gdzie nie wiedział, jak tworzy się plany ani jak dokonuje się czynów. Dopiero kiedy Ziemia wreszcie się poruszyła w swym pędzie, a mroczna rzeka wyrwała się z koryta, zagubiony chłopiec wystąpił, stanął przed Pierce'em i upomniał się o swoje miejsce: to, co ukryte, wreszcie widoczne, a wewnątrz na zewnątrz.

Sam szybko odkrył brak brylantu i połączywszy pracę detektywistyczną ze sprytnym przesłuchaniem, doszedł do wniosku, że zabrał go Pierce. Ale Pierce wyparł się wszystkiego.

- W porządku - powiedział Sam nie do końca dobrodusznie. - Wszystko w porządku. Chcę tylko wiedzieć dlaczego. Dlaczego to zrobiłeś?

- Nie zrobiłem.

- Daj spokój.

- Nie zrobiłem!

Ale potem najzwyczajniej w świecie złapano go, kiedy starał się przeszmugłować brylant z powrotem do pierścionka w pudełku w szufladzie komody. Wtedy musiał przyznać się do winy, ale wciąż nie mówił dlaczego. Wściekły, zdumiony i bezradny Sam kazał mu napisać wypracowanie na temat „Dlaczego nie wolno kłamać” i odczytać je przed całą rodziną. Pierce zastosował się do tego polecenia z policzkami płonącymi ze wstydu, nie za siebie, lecz za Winnie, która siedziała wstrząśnięta i bezsilna na czerwonym plastikowym krześle. Powody, jakie podał w wypracowaniu, były wyłącznie praktyczne i sprowadzały się do negatywnych konsekwencji, jakie miało przyłapanie na kłamstwie, przede wszystkim dla niego samego; dobrym przykładem było jego aktualne upokorzenie. Nigdy jednak niczego nie wyjaśnił.

Tamtego lata 1953 roku u siostry Mary Filomeli zdiagnozowano raka żołądka. Sam

skonsultował się z chirurgiem, który uważał, że można jeszcze operować (choć długo ignorowała ból, składając go w ofierze Bogu), ale siostra poprosiła o permisję, by sprawdzić, czy modlitwa może coś poradzić, i siostra Mary Eglantine zgodziła się, choć niechętnie.

Siostra Mary Filomela wierzyła później, że skuteczne okazało się codzienne przyjmowanie komunii. Zapytała ojca Midnighta, jak długo dokładnie maleńki opłatek pozostaje w brzuchu Samym Bogiem, a on odpowiedział, że na to pytanie nie ma tak naprawdę odpowiedzi, chociaż czytał spekulacje, że po około dwudziestu minutach hostia rozpuszcza się w sokach żołądkowych, a więc Bóg może być w środku (w ten szczególny sposób) przez co najmniej tyle czasu; zatem co rano siostra Mary Filomela - chociaż wiedziała od Sama, że pobożni ludzie także na to umierali - traktowała grudę zimnego, ciemnego bólu w jej wnętrzu kataplazmem z boskiego ciepła i jasności, a ponieważ (o czym była przekonana) jedno nie może współistnieć z drugim, jedno stopniowo przemogło drugie, podczas gdy ona cierpliwie patrzyła na zegar. Po kilku miesiącach rak zniknął.

- Takie rzeczy się zdarzają - powiedział Sam. - Każdy lekarz powie, jeśli jest szczerzy, że widział cud albo dwa. Sęk w tym, że wydarzają się one losowo, bez względu na to, czy ktoś się modli, czy nie, czy wierzy w boską pomoc, czy też nie wierzy w Boga zupełnie. Niczego nie da się stwierdzić na pewno.

Jakoś tamtego lata Warrena zaczęły nocą budzić koszmary (albo coś w tym stylu), po których nie mógł już zasnąć; w końcu nie chciał kłaść się w ciemnym pokoju bez obecności Hildy albo Winnie nieopodal. Trwało długo, zanim z tego powściągliwego, skrytego chłopca wyciągnięto, czego się boi; ale wreszcie po kawałku prawda wyszła na jaw i okazało się, że boi się Jezusa: siostra Mary Filomela opowiedziała mu kiedyś, że w każdej chwili dnia czy nocy może przyjść po niego Jezus, wziąć go za rękę i zabrać z sobą, aby Warren był z Nim na zawsze w Niebie: dlatego (jak musiała uznać siostra Mary Filomela) Warren powinien co wieczór odmawiać modlitwę, tak na wszelki wypadek.

W efekcie Warren w ogóle nie chciał spać, na wypadek gdyby Jezus wpadł na pomysł przyjścia po niego, bo wcale nie miał ochoty nigdzie iść.

Stał na łóżku, krzycząc w środku nocy w snopie wodnistej poświaty księżyca albo na tle poruszającej się zasłony: nie jest gotowy do drogi.

Sam rozmawiał z nim. Zabrał go do pokoju i położył się z nim na łóżku, gdzie odbywały się najważniejsze rozmowy, gdzie Ptasia dowiedziała się, że Święty Mikołaj nie istnieje. Nie, Jezus nie przyjdzie i nie zabierze cię z sobą. Siostra mówiła o śmierci, a ty, synku, nie umrzesz tak po prostu. Jeśli Jezus zdecyduje zabrać cię do Nieba, to najpierw bardzo ciężko zachorujesz, a ja się o tym dowiem i zbadam, na co jesteś chory...

Jak Bobby.

Jak Bobby, a my zrobimy, co tylko się da, żebyś wyzdrowiał. I postaramy się, żebyś tu został. Okej?

Okej.

Ale strach nie przeminął od razu. Reszta dzieciaków nigdy nie zdradziła się, że nie wszystko musiało być winą siostry, że nocne rozważania o Rzeczach Ostatecznych z Bobby Shaftoe w blasku pieca mogły też odegrać rolę; zamiast tego pozostali dali do zrozumienia, że sami mogli być pod wpływem innych twierdzeń siostry, które trzymali na taką właśnie okazję, a teraz przekazali rodzicom, szukając w twarzach Sama i Winnie grymasów niepokoju, niedowierzania i złości. Siostra powiedziała, że w Wigilię Dzieciątka Jezus chodzi po górach, dzwoniąc w dzwoneczek. I że widać w śniegu ślady Jego stópek. Siostra powiedziała, że Murzyni mają znanie Kaina; skąd ona to wie?

- O Boże - westchnął Sam.

Wreszcie zszedł ze wzgórza, by porozmawiać z siostrą, I wrócił do domu, potrząsając głową, rozbawiony, a zarazem oburzony w sposób, który przywiódł Hildy na pamięć czasy, kiedy Opal żyła, a on częściej się odzywał; ale nie chciał powiedzieć, o czym rozmawiali.

- Ta kobieta - mówił o niej, a dzieci starały się ukryć dreszcz. - Ta kobieta.

Trzeba było czegoś nowego; przecież dzieci już dorastały i lekcje w domu nie były w stanie przygotować ich odpowiednio do rozpoczęcia prawdziwego życia w świecie za górami, ku któremu w niejasny sposób Sam zwracał wciąż swą uwagę. Dlatego Joe Boyd po długim i niełatwym wazeniu racji dostał pozwolenie na zapisanie się do Akademii Wojskowej w Louisville, gdzie spędził dwa ciężkie lata, zanim w końcu przyznał się do błędu; Hildy, zamiast sięgnąć dalej, sięgnęła głębiej i zamieszkała w internacie szkoły Królowej Anielskiej pod patronatem zakonu w Pikeville. Właśnie wtedy siostra ojca Midnighta wróciła skądś tam i powierzono jej młodsze dzieci na jeszcze jeden rok, a potem się pomyśli.

Minęło dwadzieścia parę lat, zanim Pierce znalazł się pod wpływem osób wierzących w moce siostry Mary Filomeli. Nie poczuł wtedy nudy, obojętności ani pozostałości pełnej wyrzutów sumienia ochoty do ucieczki, lecz niesamowity i nieomal nieznośny strach, strach bardziej przekonujący niż jakiegokolwiek nalegania siostry, równie sugestywny co pałka kata. Jego krótka znajomość z siostrą zdawała się być niczym ukłucie pszczoły, które, choć samo w sobie nieszkodliwe, w sekretnych zawłościach systemu immunologicznego wyzwała siły zdolne sprowadzić późniejszą śmiertelną - przynajmniej niemal śmiertelną, jak sądził - reakcję alergiczną.

Oliphantowie nigdy więcej nie zobaczyli Bobby Shaftoe, chociaż nie zabrano jej do

Detroit. Przynajmniej nie w tym roku.

Po długim namyśle Floyd postanowił iść do biura firmy, która wynajmowała teren od Good Luck, by domagać się odszkodowania za utratę pola i łazienki. Tam trafił na szybę, który odbywał właśnie inspekcję; mężczyzna wysłuchał Floyda, kiwając głową, i powiedział, że nie da mu żadnego odszkodowania, ponieważ oznaczałoby to przyznanie się firmy do zrobienia czegoś nielegalnego: a tego firma zrobić nie mogła. Zamiast tego zaoferował Floydowi pracę na czarno: nocnego stróża.

Floyd uważał, że Bóg nie chce, by górę wyzyskiwano w ten sposób, nie chce, by węgiel w ten sposób wydobywano; uważał, że ci, którzy tak postępują, nie będą mieć profitów. Odparł, że zastanowi się nad propozycją.

Od jakiegoś czasu Floyd nie słyszał nocnego zewu, chociaż nie sądził, by ten miał już się nie pojawić; uważał, że wciąż ma jakąś rolę do odegrania w Końcu Świata, chociaż jaki miałyby mieć charakter, nie potrafił sobie wyobrazić. Kiedy był młody, sądził, że gdy nadejdzie pora ostatniego starcia, jego gatunek oraz ci, z którymi walczył o zdrowie świata, zaciągną się pod wraże sztandary - sztandar Bestii i Baranka. Dzisiaj częściej myślał, że będzie inaczej: uważał, że wszyscy nocni wędrowcy są częścią świata, który przeminie; więc kiedy zbrukane i stargane niebiosa zostaną zwinięte niczym zwój (odsłaniając nowe niebiosa, świeże jak farba), nie będzie już tu żadnego z nich. Stanowili jeden z czynników, który wprowadził ten świat w ruch, być może Diabeł też spełniał tę rolę; pod rządami Baranka nie będą już potrzebni, Baranek położy kres ich odwiecznemu sporowi i razem udadzą się na zawsze w przeszłość. Na spoczynek.

Przyjął zaoferowaną pracę. Spał w dzień, kiedy żywi pracowali; noce spędzał na jawie, doglądając wielkich koparek, śpiących pod wyniosłą ścianą wyciętej w górze rany. Siedział w maleńkiej portierni pod żółtą żarówką z Biblią na kolanach. Cisza była zupełna; stworzenia, które nocami hałasują, wypędzono. Nawet nocna woń gór zmieniła się, stała się gliniasta, sucha, pylista, albo wilgotna i kwaśna.

Kiedy spał w dzień, Bobby wychodziła; kiedy szedł do pracy, wracała. W weekendy oboje pracowali na poletku, niespokojni i przygotowani na starcie. Nie mówiła mu nic o tym, co robiła, gdy była sama; czasami twierdziła, że chodzi do szkoły, kiedy indziej śmiała się z niego, że w to uwierzył. Kiedy mówił o Końcu Świata, słuchała w milczeniu.

Co robiła, jak spędzała czas, czego się uczyła, czego chciała? Co robił Floyd, kiedy kopalnia zaczęła działać całą dobę na zmiany, rozbierając górę warstwa po warstwie w potokach błękitnego światła reflektorów? Co się z nim stało? Co stało się z nią? Nawet Ptasia nie wiedziała, choć mogła widywać Bobby w sklepie albo na drodze; dziewczynka zniknęła,

to wszystko. Z czasem Oliphantowie i Pierce przestali dobrze pamiętać, co z nią i z niej zrobili (poza Ptasia); czasami przypominali sobie, jak kiedyś przyjęli do domu dziewczynkę z gór, kiedy rodziców nie było, ale jak wszystko inne, jak rozmiary domu, i budynków Bondieu, jak długość drogi, niuanse religii, jej skrupuły i tajemnice, historia skurczyła się w oddali, szczegóły stały się zbyt małe, topografia wygładziła.

Zapomnieli jeszcze o czymś; zapomnieli o swoich sojuszach i o Kolegium; o Ægipcie. Zapomnieli, tak jak emigrant bezwzględnie zapomina Stary Świat, skąd przybył, wyrzucając go z siebie wysiłkiem, do którego nie chce się nawet przyznać, aby Nowy Świat, który przecież zawiera całe jego potencjalne szczęście, mógł osiąść całą jego duszę.

TRZYNAŚCIE

W tamte urodziny Pierce dostał ciepłe skarpety i flanelowe koszule na zimę, podobnie jak poprzedniego roku; urodziwszy się tak blisko Świąt Bożego Narodzenia, nie miał z urodzin wielkiej pociechy, zwłaszcza że Hildy obchodziła swoje tygodzień wcześniej, a Warren tygodzień później, co zapychało kalendarz ponad siły Winnie.

Ale, także jak rok wcześniej, dostał *Małego Enosha* - zbiór wydawanych codziennie komiksów z całego roku w jednym tomie o smolistym zapachu.

Gdzieś indziej na Brooklynie, w cywilizacji, szczęśliwcy czytali Enosha każdego dnia, w metrze albo przy kolacji, w dwóch albo trzech różnych gazetach. Tam, dokąd trafił Pierce, Enosha można było dostać tylko kupując całoroczny zbiór w formie książki. Jak i poprzedniego roku, tom był prezentem od ojca - przynajmniej tak powiedziała Winnie, wręczając mu paczkę podejrzanie ładnie owiniętą kolorowym papierem. Kiedyś ojciec co wieczór czytał Enosha Pierce'owi na głos z gazety, albo próbował czytać, ponieważ często śmiał się tak bardzo, że nie był w stanie, że aż płakał ze śmiechu.

Mały Enosh: Zagubiony w światach. Na okładce maleńki rybokształtny kosmolot Enosha oblatywał litery tytułu, emitując kłębki dymu. Od samego początku był zagubiony pomiędzy światami, zanim jeszcze Pierce po raz pierwszy zapytał ojca, z czego się śmieje. Zawsze, kiedy uciekał z jakiejś planety w niekończącej się podróży do domu, trafiał na inną, jak zwykle piękną na odległość, jak zwykle taką samą po wylądowaniu: maleńki świat, zakrzywiony horyzont, pustynny krajobraz, wieczne, mroczne niebo w tle, usiane gwiazdami i planetami otoczonymi pierścieniami asteroid; jak zwykle księżyc w kształcie banana, którego zmienny wyraz twarzy stanowił komentarz dla tego, co działo się poniżej. Mały Enosh wędrował w goglach i skafandrze, który okrywał go od szyi do stóp w obwarzankowych segmentach, jak Tweedledum w zbroi albo człowieczek z logo Michelina: niewinny, samotny, zadziwiony.

Czy był małym chłopcem, czy też wydawał się mały jedynie w porównaniu do ogromnych, złych istot - Utrasów, które zamyślały tylko, jak go złapać i zaciągnąć przed oblicze swojej królowej? Utrasy różniły się od siebie wyłącznie szczegółami ubioru i toporną zbroją, ale wszystkie nosiły czarne maski, nieróżniące się od ich twarzy, z otworami na oczy, które wyglądały tak samo jak ich oczy; a kiedy wszystkie razem wylatywały z kryjówek w

gładkich małżowatych gwiazdolat, wzajemnie dokańczyły swoje groźne wypowiedzi, w zgrabnym szyku przemieszczając się z planszy na planszę.

Co było w nich tak zabawnego, czy tylko to, że zasadzały się na Enosha i choć on o tym nie wiedział, to jednak nigdy nie udawało im się wyrządzić mu krzywdy, ponieważ on zwykle nie rozumiał, co knują - zawsze odwracał się w ostatniej chwili, by zerwać kwiatek, i w ten sposób unikał siatki, którą nań zarzucały? Ach! mówiła jedna i Ech! mówiła druga, ale zawsze chybiały. Jeszcze śmieszniejszy był skondensowany, kosmiczny język Enosha, pozbawiony interpunkcji i o dziwacznej ortografii; Pierce'a zawsze uderzało, jak niesamowicie błyskotliwe i wielopoziomowe były gry słów i rebusy: „Q-piiii” - powiedział Enosh, kiedy ujrzał, czym niedobre Utrasy wysypały drogę jego pojazdu na nadmuchiwanym kołach. „N'est-ce qui”.

Smutny los Enosha był najśmieszniejszy: zagubiony, stracony, głęboko w lochach Ruthy, królowej Utras, z kulą na łańcuchu u nogi i jedną jedyną gwiazdą na niebie widoczną z zakratowanego okna: może to rodzinna gwiazda Enosha. Dom, mówił Enosh, patrząc w niebo.

Rutha w istocie chciała czegoś, co koniec końców nie było tak bardzo złe; dążyła jednak do tego, używając metod, które nawet Pierce jako chłopiec rozpoznawał jako nieodpowiednie, wypaczone przez jej naturę i potrzebę. Chciała tylko, by Enosh przyznał, albo zaakceptował, albo uwierzył, albo udał, że tak naprawdę jest jej synkiem. Oczywiście nie mógł tego uczynić, bo nie był zdolny do kłamstwa; nawet kiedy kusila go lub schlebiała mu darami - karesami, klejnotami, bankietami, podczas których siedział na wysokim tronie, a Utrasy powstawały, by wypić jego zdrowie - wciąż tak naprawdę nie rozumiał, czego od niego chce.

Tak czy owak miał już matkę. *Gdzieś w Krainie Światła*: tak głosił pognieciony zwój nad planszą, od czasu do czasu wprowadzając od nowa poszukiwaczkę i zbawczynię Enosha Amandę D'Haye. „Gdzież on znowu zniknął?” - pytała zawsze w pierwszym obrazku, pakując torbę i zbierając się do drogi. W tle, niewyraźna i ogromna, niewyraźna, ponieważ brakowało jej grubej czarnej obwódki, która urzeczywistnia przedmioty, widniała przestrzeń, która była także pałacem oraz gigantyczną, niepewną, beznamiętą twarzą, patrzącą, jak Amanda wyjeżdża (jedna pasiasta skarpetka zawsze wymykała się jej z nabitej walizki). Kim on był?

Amanda była jak jej synek, łagodna i dobra, i równie łatwo mogła wpaść w łapy Utras jak Enosh. To był tak naprawdę niezmienny wzorzec; autor z radością podejmował się odgrywania go i rysowania wciąż na nowo z niewielkimi subtelnymi zmianami: Amanda D'Haye wyrusza na poszukiwanie Enosha, pada ofiarą intryg Ruthy, lecz jest zbyt niewinna

lub prostoduszna, by je dostrzec, i kończy w takich opałach, że to Enosh musi ją ratować. Potem podąża za nią grzecznie do domu; a kiedy radosna Amanda już-już wyobraża sobie, jak wracają razem do Krainy Światła, Enosh spostrzega kolejną planetę usianą kraterami, otoczoną pierścieniami, księżycami: jego kosmolot skręca i ładny pytajnik pojawia się nad jego twarzą.

Pierce odgadł, nie przyznając się do tego przed samym sobą, że to Winnie, a nie Axel, kupowała mu przygody Enosha. Axel nawet na początku rzadko wysyłał cokolwiek do syna i tak naprawdę nigdy nie napisał doń listu, będąc zwyczajnie niezdolny do przelania myśli na prostokąt białego papieru: ale w tamtym okresie przestał także dzwonić. Pierce doszedł do wniosku, że ojciec gdzieś się przed nim ukrywa i z tego miejsca nie może dzwonić ani pisać, być może komunikacja jest zabroniona, a może też amnezja sprawiła, że nie pamięta, jak to zrobić.

I miał rację, jak się później dowiedział, kiedy po college'u przeprowadził się do Nowego Jorku i odnalazłszy Axela zaczął spędzać z nim czas. Wtedy usłyszał od Axela o jego długotrwałym pijaństwie w tamtych latach, o upokorzeniach, których doznał w dzielnicy włóczęgów (gdzie otrzymał przydomek „doktor”, a może „profesor”), opowieści ponure i obrazowe jak czarno-biały film i komicznie smutne jak perypetie Enosha pomiędzy światami. Axel powiedział mu też, że w tamtych czasach marzył, a może wyobrażał sobie w delirium, że pewnego dnia pojawi się Pierce, by go ocalić; by podać mu dłoń (tutaj Axel wyciągał własną dłoń, gest ludzkiego miłosierdzia, dłoń zbawcy) i podnieść go.

- Bez ojca - powiedział Pierce do Winnie na Florydzie, przez chwilę owładnięty żalem nad samym sobą i świadomością ciężkiego losu.

- No nie wiem - odparła Winnie. - Powiedziałabym, że wprost przeciwnie. - Ale potem spuściła wzrok. - Wiem.

Był bez ojca i Bobby też. Axel Moffett bez dzieci. Dzieci Sama bez matki; Sam bez żony. Pamiętał tę rzekę łez całkowicie niespodziewaną, która zalała go, kiedy Winnie zadzwoniła z wiadomością, że Sam nie żyje, ponieważ uprzytomnił sobie, że Sam poniósł stratę, której nie można było absolutnie w żaden sposób wynagrodzić: powódź okropnego współczucia, pierwsza w jego życiu, współczucia dla tych, którzy umierają.

Kilka dni po tamtych jedenastych urodzinach, kiedy wyszedł z pokoju lekcyjnego na lunch, Winnie (lekko rumieniąc się ze wstydu, a trochę rozbawiona) powiedziała:

- Zgadnij, co przyszło. - I podała Pierce'owi paczkę przysланą z Brooklynu.

Prostokątny blok o łatwo rozpoznawalnym ciężarze, owinięty w brązowy papier odzyskany z torby po zakupach, obwiązany brudnym szpagatem, zaadresowany po belfersku

poprawnym, lecz niepewnym pismem metodą Palmera¹⁰, które Pierce od razu rozpoznał (wyglądało bardzo podobnie do jego własnego).

- Otwórz - zachęciła go Winnie.

Sam spojrział znad kanapki.

- Śmiało.

Książka, oczywiście książka, w twardej okładce z obwolutą, jedna z tej szczególnej klasy książek, które mają papierowe obwoluty, ale pozbawione są bibliotekarskich plastikowych opravek. Powieść, naturalnie, przecież ma obwolutę, a na obwolucie obrazek, przedstawiający wymyśloną scenę, wybraną z powieści.

- Aa - mruknął Pierce, obracając książkę w dłoniach do góry nogami i tyłem naprzód, jak gdyby nigdy wcześniej nie miał w dłoniach czegoś podobnego. - Wow!

Otworzył ją ostrożnie. Na białej wyklejce znajdował się przekreślony długopisem napis ołówkiem „Dla Reksa, który nigdy tej książki nie przeczyta. Całuję, Sandy”. Tym samym długopisem napisano w drugim rogu: „Najdroższy synu” a poniżej „Całuję, Axel”, jak gdyby brakowało długiej wiadomości, która powinna zmieścić się między nagłówkiem a pozdrowieniem.

- No cóż - powiedział.

Na następnej stronie powtarzał się tytuł, a pod nim drobnym drukiem jeden z tych cytatów, w które, jak zauważył Pierce, obfitowały stare książki - niczym odwracający uwagę wstęp iluzjonisty przed rozpoczęciem czarów, zwykle bardziej tajemniczy niż książka, która po nich następuje.

Parę dni temu, o samej północy,
Spotkano księcia obok bram cmentarza
Świętego Marka. Niósł nogę zmarłego
Na swych ramionach, wyjąc przeraźliwie.
Mówił, że wilkiem jest, tylko że skóra
Ma sierść do wewnątrz. Kazał straży
Rozciąć ciało i sprawdzić¹¹.

¹⁰ Rozpropagowane w USA przez Austina Palmera w początkach XX wieku pismo pochyle.

¹¹ John Webster, *Księżna d'Amalfi*, tłum. Jerzy Strzetelski, Wrocław 1968

Przeczytał znowu, uświadamiając sobie, że czas płynie wolniej, a światło się wzmogło, oraz że jego matka i Sam patrzą nań w tym jego osobistym momencie; czuł, że ktoś coś mówi łagodnie i na osobności, lecz jeszcze niezrozumiale - to mówił cały wielki świat.

- O rany - powiedział. Zamknął książkę i znów spojrzął na obrazek na okładce. Mroczne miasto. Wysokie mury, wąskie ulice; Stary Świat; czarna wieża i żółty księżyc; jedyne inne źródło światła to okienko na wieży i pochodnie tłumu daleko na krętej ulicy: i oczy ściganego jak żółte kreseczki, lampiony jego oczu.

Pokazał obraz Winnie.

- O tak - powiedziała.

- Czytałaś to? - spytał zdumiony.

- Nie - pokręciła głową - ale on lubił tę książkę. Jest ich więcej. Jeśli ci się spodoba, możemy posłać po więcej.

- Aha - mruknął Pierce, trzymając książkę oburącz, nie ruszając się z miejsca, jak gdyby przyrósł do podłogi transmisją jakiejś energii, promieniem przyzywającym go z daleka, z przyszłości, przechodzącym przez transformator książki w jego jestestwo i przez jego stopy przygważdżając go jak nieszczęśliwca, który złapie drut pod napięciem.

Jeszcze długo po tym nie czytał jej. Trzymał ją na szczycie regału, wraz z innymi wybranymi książkami, które rozdzielały półkule ziemskie. Patrzył na jej grzbiet pośród innych (u podstawy wydrukowany był mały wilk) i wyobrażał sobie, że jest w niej - nie tyle w opisywanych wydarzeniach, ile w akapitach pełnych liter, pełnych znaczenia. Patrzył na tę książkę jak na dzieło, które musi przeczytać jego dojrzałe ja, ja, które z trudem dopiero wydobywało się z duszącej łupiny dzieciństwa. Kiedy wreszcie ją otworzył pewnej deszczowej i wietrznej nocy, zrobił to z rewerencją i nadzieją, która zaskoczyłaby i speszyła samego autora.

Wilkołak z Pragi pióra Fellowesa Krafta.

Jak większość swoich larów i penatów (muszelki z Rockaway, nóż w pochwie z Bear Mountain, książki o Enoshu), zabierał książkę z sobą na późniejsze wojaże - do szkoły, do college'u do miasta - i gdzieś po drodze ją zgubił. Chyba żał mu jej było, ale stracił dużo więcej, zdeptał i zostawił za sobą w tamtych czasach. Tak czy owak nie myślał o niej, dopóki w stęchłej bibliotece domu z okiennicami w innym stanie nie wyjął jej z rządka podobnych, własnych egzemplarzy autora, i nie otworzył ponownie.

- Tak - powiedziała mu Winnie na Florydzie. - Co za historia.

- Tak.

Historia ta cały ten czas czekała, aby w nią wpadł; historia, ku której (jak z czasem

pojął) prowadziło go każde wydarzenie życia; począwszy od przyjścia tej książki pocztą z Brooklynu, a może i jeszcze wcześniej, kiedy wszystko się zaczęło.

- Skończyć w tym samym mieście, w którym mieszkał... - zdumiała się Winnie i to nie po raz pierwszy. - Trafić na nią ot tak, kiedy przeczytałeś wszystkie jego książki.

- Tak. Pamiętasz?

- No, tak naprawdę to nie pamiętam, żebyś je czytał. Tyle czytasz. Ale przecież czytałeś, powiedziałeś mi, że tak.

- Czytałem.

Przeczytał je wszystkie, a przynajmniej te wszystkie, które mógł dostać w stanowej bibliotece, czytał je jedna po drugiej, mieszkał w każdej z nich przez tydzień albo dwa i zapominał, kiedy przychodziła następna: każda z małym wilkiem wydrukowanym u podstawy grzbietu, każda z akwarelowym obrazkiem na okładce, przyjemna i trudna do zapamiętania niczym sen.

- Podejrzewam, że to była zawsze bardzo miła okolica - powiedziała Winnie - tam, gdzie mieszkał.

- Tak. Miła.

Serce i gardło Pierce'a przepelniała tęsknota za tym miejscem, jak gdyby nie widział go całe lata, podczas gdy w istocie opuścił je dopiero wczoraj: tęsknota za letnią krainą, dokąd przybył i gdzie zamieszkał, a która teraz zdawała się obca, być może na zawsze, spustoszona nie tylko przez zimę.

Co on sobie zrobił, jak skrzywdził własne serce, że mógł tak pomyśleć.

- Chodzi o tę kobietę? - spytała Winnie, jak gdyby on mówił na głos; być może tak było.

- Tak.

Dotknęła dłonią jego dłoni; równocześnie pokręciła głową i zrobiła minę cierpką i ironiczną, którą dobrze znał.

Półtora dnia wcześniej Pierce obudził się w ciemności po kilku godzinach czyścowego snu; obudził się ze snu, który chociaż był wyjątkowo straszny, od razu dał się rozpoznać jako pokrewny tuzinowi innych, które jego pamięć zdołała przechować.

Głośno wymówił czar zabezpieczający: *Hypnerotomachia*. Ale tym razem nie pomogło; wątpił, czy kiedykolwiek pomagało, czy w ogóle mogło pomóc, ponieważ był to czar wiedzy, a nie pociechy, a wiedza nie była mu już przydatna, wiedza go zraniła. Cóż na Boga, nieważne co, nie będzie leżał w ciemności z otwartymi oczyma jak zeszłej nocy i jeszcze poprzedniej, słuchając bicia własnego serca i marząc. Nie!

A więc wstał, ubrał się po ciemku i wyszedł na ścieżkę, która prowadziła do drogi przez górę, a jego nowe demony zgromadziły się, by mu towarzyszyć, przyklejone doń jak Piotruś Ból. Człowiecze, pójdę z tobą.

Wyżej na zboczu, jak mu powiedziano, znajdowało się miejsce, skąd można ujrzeć trzy stany: na północy, na południu i na wschodzie. Postanowił się tam wspiąć. Podobno stał tam też pomnik wzniesiony ku czci człowieka, który w poprzednim stuleciu miał w tym miejscu wizję - nikt nie był w stanie mu powiedzieć dokładnie czego: pokoju, pomysłał; jedności wszystkich religii; nadziei.

Słona ciecz zapiekła go w oczach. Oczyma wyobraźni widział pomnik jak żywy, obelisk, sześcian, kulę, płytę, której czepia się bluszcz, zaniedbaną w zimowym listowiu. I sarnę szukającą pożywienia, która szeroko otwartymi oczyma patrzy, jak on się zbliża.

Wspinając się, studiował glebę, jakby szukał pomocy w ukochanej twarzy: zamarznięta dzika róża, brązowa trojeść gubiąca nasiona; rozświetlone lampą okna farmy, omszały kamień ogrodzenia. Na podjeździe furgonetka czekająca na kierowcę, oddychająca białym dymem, warkocząca cierpliwie. Wszystko tam było, wszystko tam było takie samo, prawda? Przyznał, że tak jest, i wciąż piękne, i wciąż takie samo. Tyle tylko, że nie mógł tego dotknąć, to już nie było dla niego.

Długą, niekończącą się godzinę później nie zbliżył się wcale do ścieżki wiodącej ku pomnikowi, jeśli w ogóle istniała i jeśli pomnik istniał; przeważnie stał bez ruchu, wydychając biel, wysłuchując zarzutów ciężkich zbrodni zaniechania i czynu, których ani nie pamiętał, ani też którym nie mógł z pełnym przekonaniem zaprzeczyć.

Zrobił coś, czego nie powinien był robić. A nie zrobił tego, co powinien; nie zrobił - i oto był znów tu, gdzie wcześniej.

Jak gdyby obszedł stożkową górę po spiralnie wznoszącej się drodze i dotarł do miejsca, gdzie już był wcześniej, tyle tylko, że jeden obrót wyżej; a patrząc w dół widział młodszego siebie poniżej, także gramolącego się pod górę, także w bezruchu.

Wtedy, jak i teraz, nie udało mu się uratować kogoś, do kogo uratowania go przeznaczono (och, jakżeż ona się nazywała, rymowanka, bajka, nie myślał o niej lata całe, gdzie ona teraz była, co się z nią stało?).

I kiedy dotarł znów do tego miejsca na drodze, w nowej epoce, nie miał wątpliwości, że znów mu się nie uda, nigdy, aż do śmierci, skoro nie udało mu się wcześniej.

Ale potem wstało słońce, w nowym znaku. Jak ząb wielkiego trybiska zegarowego góra przeskoczyła o jedno miejsce i tam się usadowiła.

O ty palancie, pomysłał Pierce. Co ci przychodzi do głowy?

Gorące światło zalało go w środku i na zewnątrz. Spojrzał pod nogi i zobaczył, że ma dwa różne buty; wsunął je przecież po ciemku i po omacku. Chwycił się za czoło: jeśli jeszcze nie był szalony, sąsiedzi wkrótce go za takiego wezmą; na pewno, skoro szedł przed świtem, klóćąc się z niewidzialnymi przeciwnikami, w lewym brązowym, a prawym czarnym bucie.

Roześmiał się na cały głos.

Zawracaj, powiedział sobie, idź do domu, spakuj się, wynieś się stąd. Nie potrafił zrobić tego, do czego go wezwano, podobnie jak zesłłym razem; ale mógł uciec.

Mógł zobaczyć się z matką.

Zawrócił. Jego demony, które w międzyczasie się oddaliły, momentalnie niczym wrony oderwały się od padliny leżącej na poboczu i znowu go obsiadły.

- Naprawdę nie musisz opowiadać mi wszystkiego - szepnęła Winnie i dotknęła jego dłoni. - Naprawdę nie musisz.

Ale on przybył tu tylko po to, by opowiedzieć całą tę historię i dzięki temu przestać ją opowiadać; by wydostać z niej jej początek, który będzie powodem końca.

Czy wszystko byłoby inaczej, zawołał Pierce w głębi serca, gdyby nigdy nie wywieziono go z Brooklynu, gdyby dorastał u boku Axela; czy zrozumiałby wtedy wszystko inaczej i nie zastawił na siebie pułapki, gdyby nie dorastał u boku kuzynów - gdyby nie dorastał jako jeden z nich, Oliphant, opryskliwy, arogancki, nieśmiały, lecz jako inna osoba, syn swojego ojca, jako on sam? Czy to wystarczyło, ta rozłąka dawno temu, czy wystarczyła, by wyjaśnić jego samego, wyjaśnić to, kim był: grzechy unikania i zaprzeczania, które popełniał przez dwadzieścia lat, grzechy, które dopiero teraz uznał za takowe; by wyjaśnić nieodwracalne poczucie, że jego prawdziwe miejsce jest gdzieś indziej, by wyjaśnić życie pełne winy i nieustannych marzeń? Czy to wystarczyło?

Brązowy pelikan, unoszący się nad zatoczką, opadał niczym ustrzelony w kierunku wody; zanurzył się w niej, by zaraz podnieść się z rybą w dziobie i oddalić, ociekając wodą.

- Ha! - zawołała Winnie. - Czułeś to?

- Co? - Wyostrzył zmysły, przestraszony.

- To!

- Kiedy?

- Teraz!

Winnie strzeliła palcami, przypomniawszy sobie nagle to, co chciała powiedzieć synowi, coś co powinien wiedzieć, o drodze, której nie wybrał, jak to zawsze wybieramy tę drogę, której najbardziej pragniemy. Niemal równie nagle znów zapomniała, jak gdyby jej

własne trzaśnięcie palców było sztuczką hipnotyzera, która ma ją obudzić; w tej samej chwili Pierce odkrył w imieniu dzikiej dziewczyny z Kentucky imię własnego straconego syna.

Zmarszczki na wodzie rozpląnęły się, podobnie jak to się działo od dłuższego czasu, świat nadal się kręcił (z szybkością jednej sekundy na sekundę) i przemieniał z tego, czym był, w to, czym miał być.

- Staruszek nie żyje - powiedziała Winnie. - Prawda?

- Boney Rasmussen - odpowiedział. - Zeszłego lata.

- I oczywiście ten pisarz. Fellowes Kraft. Co za nazwisko.

- Tak. Kilka lat przed moim przybyciem.

- No cóż, synku. - Spojrzała na zegarek i wieczór. - Zgodzisz się chyba, że najwyższa pora przynajmniej się czegoś napić.

CZTERNAŚCIE

W poprzedniej epoce, kiedy świat nie był taki, jakim stał się od tamtej pory, cuda i niepodobieństwa zdarzały się częściej; Koincydencja, nieustająca, ciągła Koincydencja była podówczas większą siłą napędową, choć niewiele umysłów czy serc dostrzeżało wszystko, co z sobą przyniosła, podobnie jak obecny wiek nie dostrzega własnych prawdziwych źródeł. Śpiąc i śniąc nie można poznać, że się śpi; tylko gdy się nie śpi, można się zorientować.

Zatem leżały Faraway Hills na wyżynie jakieś sto mil od hrabstw Cumberland i mniej więcej tyle samo na zachód od Nowego Jorku. Między wzgórzami snuła się dość szeroka rzeka (Blackbury), a wzdłuż niej i nad jej doliną rozsypały się wioski i miasteczka. Jedno z nich, położone nad brzegiem, nazywało się Fair Prospect; droga wiała się przez wzgórza i wiodła do miasta Blackbury Jams, a w drugą stronę do mniejszego Stonykill. Zanim dotarła do tego rozstaju, mijała odgradzony zardzewiałym łańcuchem podjazd, który prowadził do stojącej samotnie na pagórku, niczym zabawkowy zamek, dziwnie podmiejskiej małej willi z czerwonej cegły w stylu Tudorów. Swego czasu zamieszkiwał ją Fellowes Kraft, autor *Nadgryzionych jabłek*, *Przejścia z bronią* i *Wilkołaka z Pragi* oraz innych książek, które Pierce czytał jako chłopiec; za domem zaś rozciągał się ogród. Pewnego czerwcowego dnia, pod koniec tej epoki świata, młoda kobieta siedziała ze skrzyżowanymi nogami na ciepłej murawie ogrodu; w kołysce jej nóg leżała otwarta książka, a jej palec spoczywał na następującym fragmencie:

Boska miłość, według Giordana Bruna, wyraża się w nieskończonym i bezgranicznym stwarzaniu rzeczy; miłość ludzka wyraża się w nieskończonym, niezaspokojonym pragnieniu wytworów nieskończoności.

Książkę napisał Fellowes Kraft - była to jego pierwsza publikacja, chociaż kobieta zostawiła ją sobie na koniec; dotąd przeczytała już wszystkie. Nazywała się Rosalind Rasmussen.

Giordano Bruno był pierwszym człowiekiem w historii Zachodu, który uważał wszechświat fizyczny za dosłownie nieskończony i bezgraniczny, wypełniony gwiazdami - słońcami, wokół których planety podobne do naszej krążą aż po

nieskończoność; w przeciwieństwie do Pascala z wieku następnego, nieskończoność nigdy nie przerażała, nie brzydziła Giordana Bruna ani też nie sprawiała, że czuł się mały. W *Wypędzeniu triumfującej bestii* napisał: „bogowie radują się wielorakim przedstawianiem wielorakich rzeczy i wielorakimi owocami wszelkich talentów, ponieważ znajdują taką samą przyjemność we wszystkich istniejących rzeczach i wszystkich ich przedstawieniach, jak i w staraniu się o ich zaistnienie i wydawaniu poleceń i pozwoleń na ich wykonanie”. Szczęśliwy, jak gdyby sam był jednym z nich, Bruno radował się płodnością Boga i uważał siebie za dość wielkiego, by zawierać, a przynajmniej przedstawiać sobą to, co bogowie tak hojnie wytwarzają.

Speszona i zmartwiona Rosie podniosła wzrok znad książki. Speszona, ponieważ nie była pewna, czy rozumiała ani czy to, co rozumiała, zgadzało się z tym, co miał na myśli Kraft; zmartwiona, ponieważ rzecz zdawała się tak beztrosko i radośnie nienasycona i sprawiała, że Rosie poczuła się bezwolna i niechętna wszystkiemu: taki ktoś może radzić sobie z rzeczami tego świata tylko pojedynczo, albo po kilka naraz, zanim poczuje przesyt i będzie musiał się wycofać.

- Mamusiu! - zawołała jej córka Sam, płowowłosa czterolatka, która po swojemu borykała się z niekończącym się wytwórstwem rzeczy tu, w ogrodzie. - Chodź zrywać kwiatuski.

Czy mogła je zrywać? Nie zrywał ich nikt inny; Fellowes Kraft nie żył i nie miał żadnych spadkobierców poza fundacją Rasmussena, której była pracownikiem.

- Chooodź!

- Poczekaj, kochanie, najpierw pójde po nożyczki.

Byłby z tego wspaniały obraz, pomyślała (Rosie była malarką, przynajmniej kiedyś, albo próbowała być, i mogła być nią znów, w jakimś innym czasie): przedstawiałby mnóstwo wysokich kwiatów oblanych czerwcowym słońcem, realistycznych, bezradnych i przerażonych wobec silnego dziecka o płowych włosach, usiłującego złamać lub wyrwać jeden z nich, twardszy, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka. Zaciśnięta szczęka i bosa stopy mocno wbite w ziemię, ale złociste włosy delikatniejsze niż kwiatowe płatki.

W sercu, albo w miejscu, gdzie powinno się ono znajdować, Rosie poczuła, jak z drżeniem budzi się do życia ta bolesna skamielina, która w tajemniczy sposób zastąpiła jej serce: zastąpiła nie zwykły mięsień, ale serce serca.

Podniosła wzrok. Ze swojego miejsca widziała okna pokoiku, gdzie Kraft pisał książki; lecz z powodu słońca odbijającego się w szybie i pustki czerni nie mogła dostrzec wnętrza, gdzie Pierce Moffett czytał książkę Krafta, ostatnią, tak jak Rosie czytała pierwszą.

Powieściopisarz Fellowes Kraft, choć obecnie znany jest przede wszystkim ze swojej serii fantastyki historycznej, którą Pierce pochłaniał błyskawicznie i równie błyskawicznie zapominał, czuł dumę z faktu, że był dobry w kilku różnych rodzajach literatury. Pod literą K w kilkudziesięciu bibliotekach znajdowały się, dziś już od wielu lat nieczytane, lecz wciąż noszące nieusuwalne cyfry Klasyfikacji Dziesiątej Deweya biografie (*Podróż Bruna* z 1931 roku, którą właśnie czytała Rosie Rasmussen; *Zimowy król* z 1930 roku). Była też popularyzatorska książka historyczna (*Spółczesność epoki elżbietańskiej* z 1953 roku) i bajka dla dzieci (*Manowce* z 1959 roku), tom opowieści o duchach, kilka dzieł podróżniczych, czarny kryminał (*Zabić ćwieka* z 1939 roku), a nawet opowiadanie pornograficzne (*Kusa pokusa*, b.d., wydawnictwo Erem Press).

Ale choć uważał siebie za cwane lisa żyjącego z inteligencji w „górzystym kraju na rubieżach literatury” (gdzie jeden z recenzentów umieścił jego dzieła), w istocie był pisarzem powolnym i pedantycznym, który spędzał więcej czasu na stronicach swoich książek i martwił się o ich los bardziej, niż skłonny był do tego się przyznać. Jego powieści historyczne były w rezultacie zbyt krótkie, by wciągnąć fanów tego gatunku, a jego całe *oeuvre* zbyt małe, by zapewnić mu utrzymanie. Wraz z upływem czasu stwierdził, że coraz trudniej jest mu stworzyć prawdopodobne (albo - jak je nazywał - podobne) postacie historyczne lub nadać ich czynom imaginatywną moc; pisał coraz mniej i wolniej, jak gdyby wrzucał wciąż niższy bieg. Kiedy niewielka fundacja rodzinna przyznała mu stypendium na dalszą działalność, przestał pisać zupełnie, a przynajmniej tak się wydawało.

„Sęć w tym” - pisał do nowego mecenasa Bonifacego Rasmussena, z wielu powodów zwanego Boney’em - „że obecnie zdolny jestem wyłącznie do opisów, czyli czegoś, czym gardzono podczas omawiania książek, kiedy byłem w szkole średniej - »Podobała mi się fabuła, ale zbyt dużo było opisów«. A powieść, Boney, jest jak rodzinny album ze zdjęciami: nikt nie interesuje się fotografiami przyrody, zachodami słońca i górami na horyzoncie (które i tak nigdy nie są zadowalające ani wiele lepsze od zdjęć pierwszego lepszego amatora), czy ujęciami słynnych zabytków i pomników. Wszyscy chcą tylko przyjrzeć się ludziom, rozpoznać znajome twarze”.

Poza krótkim pamiętnikiem, drukowanym na własny rachunek (*Smutku, rozgość się* z 1960 roku), w ostatnich latach życia nie napisał nic; przynajmniej tak dano Pierce’owi Moffettowi do zrozumienia, gdy trafił do domu Fellowesa Krafta, by zbadać jego literacką spuściznę w imieniu Fundacji Rasmussena. Tam, w gabinecie lub pracowni Krafta, otworzył szare, kartonowe pudło leżące na biurku pisarza i wyjął stertę żółtego papieru maszynowego, dziwnie lekkiego - był to obszerny manuskrypt, niedokończona powieść, której istnienia

wcześniej nie podejrzewano; i usiadł w martwocie domu, by się jej przyjrzeć.

Pierce był w pół drogi przez trzydziesty piąty rok życia. Pokój budowniczym i sprzedawcy domu nazwaliby enklawą, nie mając oczywiście zamiaru przywoływać politycznych skojarzeń z osamotnioną wysepką w morzu wrażeń mocarstw. Łańcuch okoliczności, który przyciągnął go tutaj, na dębowy fotel obrotowy Krafra, był tak długi i splątany, że musiał przywozić na myśl działanie Przeznaczenia, chociaż Pierce w przeznaczenie nie wierzył. Jego przybycie tutaj, do tej odosobnionej enklawy, było równie uzasadnione co nieprawdopodobne, jak gdyby oto kończyła się jakaś misja, a koniec ten dałoby się osiągnąć jedynie niezachwianą dążnością do celu i nieomylną Koincydencją.

Pierce na początku zaproponował Boney'emu Rasmussenowi, żeby maszynopis skopiować, umożliwiając mu w ten sposób samodzielną lekturę, jeśli nie będzie czuł się na siłach tu przyjść (był stary i słaby); ale Boney nie chciał, by oryginał opuszczał dom Krafra, jak gdyby wyniesiony na słońce miał zmienić się w zeschnięte liście lub rozsypać w proch. Dlatego codziennie Rosie woziła Pierce'a z jego mieszkania w Blackbury Jams do domu Krafra w Stonykill, by poczytał sobie przy okiennym świetle w gabinecie Krafra (prąd był wyłączony w całym domu). A ponieważ Boney Rasmussen tu nie przychodził, Pierce musiał opowiadać mu całą historię niczym średniowieczny bard, dawno, dawno temu.

Podniósł wzrok ku oknu; Rosie i Sam zbierały pąki róż.

Dawno, dawno temu - powiedzmy mniej więcej w czasach chrystianizacji Cesarstwa Rzymskiego, albo na początku ery Ryb - mędrcy z Aleksandrii, a może skądś dawniej i głębiej w Starym Świecie, czystą myślą dokonali zdumiewającego odkrycia. Dostrzegli, że czas i świat nie płyną razem do przodu, lecz podlegają dość nagłym, całkowitym i nieodwracalnym zmianom. Niekiedy widzialny wszechświat przechodzi przez coś w rodzaju kołowrotu lub przegrody, a po drugiej stronie pojawia się już w innej postaci - nie tylko co do wymiaru fizycznego i rządzących nim praw, lecz także pod względem swojej przeszłości i przyszłości: kiedyś świat był taki; potem to się zmieniło; teraz jest taki i zawsze taki był.

Dostrzegłszy, że ich wszechświat znajduje się w trakcie przemiany (rozumieli, że odkrycie periodycznych transformacji, wywracających świat na nice, było możliwe tylko dlatego, że właśnie dokonywała się taka przemiana), mędrcy postanowili spróbować ocalić coś z tego, co odkryli lub stworzyli: coś, co zachowałyby w sobie, niczym arka, nie tylko moce i sztuki, które miały zostać znów utracone, ale także pamięć upadków, takich jak ten, którego właśnie doświadczali. Wiedzieli, że szansa jest niewielka, by jakikolwiek element ich świata dotrwał niezmienny do następnego, dlatego stworzyli kilka takich ark - klejnot, eliksir, szkatułkę, istotę zatopioną w niezmiennym śnie - a kiedy tkanka wszechświata, jaki

znali, zadrżała i zachwiała się, ruszyli na cztery krańce ziemi (która wtedy istotnie miała cztery krańce), by ocalić i ukryć te skarby, a swoim potomkom przekazać wiedzę i obowiązek ich strzeżenia.

Ale, co było nieuniknione, skarby te, jeden po drugim, uległy niszczącej sile przemiany przestrzeni i czasu i przeistoczyły się w bezużyteczny śmieć; strażnicy zapomnieli, czego strzegą i po co; nowa epoka się starzeje i jeśli opowieści zostają zapamiętane, to tylko jako opowieści.

I obecna epoka także dobiega kresu (teraz jesteśmy gdzieś pod koniec Renesansu), szaleją dziwaczne plotki i dzikie spekulacje; a nowi mędrcy dostrzegają, że zniweczenie ich czasów jest tylko najnowszym w całym cyklu, o którym mowa w dawnych opowieściach i który trwa zakodowany w niejasnych starożytnych naukach i recepturach ksiąg magicznych. Wrak czasu, dochodzą do wniosku, wkrótce odkryje skarby złożone w przeszłości, tak jak trzęsienie ziemi otwiera groby; a oni będą spadkobiercami klejnotu, pucharu, istoty zatopionej w podobnym do śmierci śnie, trzymającej w zbieleńszych palcach tablicę szmaragdową; spadkobiercom przypadnie także obowiązek zachowania i przekazania przynajmniej jednego z tych przedmiotów w nieznaną nową epokę, której świt już jaśnieje, et cetera, a wraz z nią wiedzę, et cetera jak wcześniej.

Wszystko to opowiedziane jest w mniej więcej odwróconym porządku, nie bez umiejętności, lecz z nierzeczywistą lekkością filmu puszczanego wstecz, z tą samą niesamowitą zamianą miejsc - przyczyny i skutku. Co więcej, brakowało zakończenia; końce wstęgi Möbiusa wciąż należało skleić, by mogła stać się naprawdę nieskończona.

I wszystko to było prawdą: Pierce znał historię, z której czerpał Kraft, na tyle dobrze, że potrafił to dostrzec. Dziwna, ale prawdziwa. Tyle tylko, że była odwrócona; Pierce sam już kiedyś na to wpadł; naprawdę dobre postacie to nie zwycięzcy z podręczników, lecz ci, o których nikt nie pamięta, którzy zachowali między sobą tajemną historię, odmienną od tej, której wszyscy się uczą; wygnańcy, cierpiący niezasłużenie przez całe epoki z okrutnych rąk, chociaż ich mądrość na końcu zatriumfuje. Wielki zbieg okoliczności - suma wszystkich mniejszych i pozornie nieistotnych, które prowadziły, przyciągały i popychały go krok po kroku ku temu domowi - sprawił, że znał historię Krafta już zanim ją przeczytał.

Ægipt.

Kiedy raz kuzyni spytali go „Czy jak dorośniemy, to będziemy w tej opowieści?“, odpowiedział im, że owszem, że to opowieść dla dorosłych; nie żadna fantazja, nie wymyślili jej sobie, odkryli w niej siebie samych. Powiedział im wtedy, że opowieść ta wciąż będzie się snuła, kiedy dorosną, i że wciąż będą w niej. I tak się stało. I oto znów był sobą.

Podniósł wzrok ze zwietrzalej skały - sterty papierów, zadrukowanych stron po prawej, niezadrukowanych po lewej.

Tego dnia otrzymał z Fundacji Rasmussena pierwszy czek, wypisany pochyłym w tył leworęcznym pismem Rosalind Rasmussen, gdzie kropeczki nad „i” miały postać szkolnych kółeczek, podpisany zaś pismem Boney'ego. Teraz spoczywał u niego w kieszeni.

Za co mu tak naprawdę płacili?

Był oto ten olbrzymi maszynopis, który długo krył się na widoku na biurku Krafta, a o którego losie Pierce miał teraz zdecydować.

Kraft zostawił też inne papiery, zakurzony stos kartonów po trunkach na strychu, gdzie Pierce zajrzał z zamierającym sercem, jak gdyby zaglądał w czyjeś brudne pranie. W całym domu, od podłogi po sufit, w luźnych stosach i na obrotowych regałach leżały książki, a on miał się przez nie przekopać, by sprawdzić, co cennego się w nich znajduje (jego rada, by zwrócić się do profesjonalnego księgarza o dokonanie oceny, została uprzejmie odrzucona, co go zdziwiło, ale dość przyjemnie).

Oprócz tych wszystkich zadań było jeszcze jedno, którym Boney Rasmussen obarczył Pierce'a, tak naprawdę nigdy nie mówiąc tego wprost: poszukać czegoś gdzieś tutaj - w książkach, w maszynopisie, w pudłach - co Kraft zgubił, albo też znalazł, a czego staruszek (zdziecinniały, być może, prawdopodobnie) bardzo pragnął, lecz opisywał to tak oględnie, ostrożnie i wstydliwie, że Pierce wołał go nie rozumieć.

Do tego dochodziła też kwestia jego własnej książki. Kolejny i większy czek na nią także już przyszedł, podpisany przez agentkę Julie Rosengarten - pierwsza połowa zaliczki na poczet honorarium z książki, której połowy jeszcze nie ukończył, a nawet nie zaczął: prawie uwierzył, że książki tej nie musi już pisać (zaśmiał się szaleńczym śmiechem w pustym domu), ponieważ znalazł ją tutaj gotową jak szewczyk z bajki braci Grimm; prawie gotową, łatwą do skończenia, gdyby tylko mógł zadać właściwe pytanie temu miejscu i nieukojonemu duchowi Krafta, który je zamieszkiwał.

Kiedy Pierce po raz pierwszy wyjechał z Nowego Jorku i przeprowadził się do Faraway Hills, które wcale nie były tak daleko, lecz i tak stanowiły inny świat, myślał, że będzie regularnie odwiedzał miasto, nie wierząc, że miasteczko, gdzie przyszło mu zamieszkać, i przytulne mieszkanie wynalezione dla niego przez Brenta Spofforda mogą mu zapewnić wszystkie te emocje i możliwości, do których przywykł. W rzeczywistości prawie w ogóle nie odwiedzał Nowego Jorku, ale nazajutrz po skończeniu lektury manuskryptu ostatniej powieści Krafta spakował torbę, zadzwonił do agentki w mieście, zapoznał się z rozkładem jazdy autokarów i

przygotował psychicznie na wyjazd, a teraz stał pośrodku swojego małego salonu (czuł się mniej gotów na podróż, niż sądził, nie miał dość gotówki, zapomniał spakować szczoteczkę do zębów, zbyt był przejęty) i patrząc za okno na obskurne zaplecze budynku, na którego drugim piętrze znajdowało się jego mieszkanie, uprzytomnił sobie, że właśnie kwitnie bardzo stary różany krzew, płożący się na płocie rozdzielającym dwa budynki.

Kiedy przyjechał tu w marcu, była to tylko ciernista kępa. A teraz spójrzcie. Sam z siebie, niepielegnowany, niekochany. Przypominał wielkie krzewy porastające trawnik na zboczu w Kentucky.

Nadchodzi coś zupełnie innego.

Ta myśl - nie tyle myśl, co zrozumienie, nagłe przekonanie, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył, jasnovidzenie wydestylowane z czerwcowego dnia róży i tykania upływającego czasu - nie zaskoczyła go ani nie poruszyła, nie przestraszyła też. Po prostu doszedł do pewnego wniosku, prostego i pewnego jak dwa i dwa cztery; nie miał tylko pojęcia, jaki dowód, jaki mnożnik i mnożna skumulowały się w nim, żeby dokładnie w tej chwili wykonać działanie. Nie miał pojęcia.

Nadchodzi coś zupełnie innego, czego nie potrafisz sobie wyobrazić; a w tobie zamieszka nowy duch, który wyjdzie innemu na spotkanie.

Czekał na więcej, bez ruchu, bez oddechu, jak gdyby oczekiwał, że na jego drodze pojawi się rzadkie, płochliwe zwierzę, które ucieknie, jeśli on się poruszy; ale przekaz się zakończył.

Po jakimś czasie odwrócił się od okna i przerzucił przez ramię torbę, gotów do wyjścia.

Autobus (Pierce zdecydował się jechać autobusem, bo nie miał samochodu, nigdy nie nauczył się prowadzić ani nie zrobił prawa jazdy) odjeżdżał sprzed małego sklepiku przy River Street, głównej ulicy Blackbury Jambs, przy której stała biblioteka, trzypiętrowy Ball Building, bar i kawiarnia (Pączkowa Dziurka), wychodzące na rzekę.

- Zaraz będzie - powiedziała kobieta, która sprzedała mu bilet, i istotnie w tym momencie sklepowi pociemniało w oknach od zwalistej sylwetki nadjeżdżającego autobusu.

Pierce kupił lokalną gazetę („Kurier Faraway”) i jedną z gazet nowojorskich; autobus zahamował i sapnął; drzwi otworzyły się, radosny kierowca wyskoczył zgrabnie na ulicę, a Pierce, chociaż przez chwilę poczuł dziwne wahanie, wsiadł.

Jego książka, jak to sobie zrazu wyobrażał, traktowała o opowieściach: o tym, jak dawny świat, kiedyś jedna całość, rozpadł się i zapomniał sam siebie, a jednak przetrwał w bajkach, maksymach, w przysłowiach, umysłowych przyzwyczajeniach, dziecięcych

rymowankach, których znaczenie zaginęło. Istnieje więcej niż jedna historia świata: jedna z nich, oczywista i rozsądna, druga ukryta, nierozpoznawalna, a jednak widoczna w naszych słowach i czynach, nieusuwalna. W jednej świat jest okrągły: w innej ma cztery strony, i ciągle tak się mówi. A gdzie te strony się znajdują? Dlaczego jest siedem dni w tygodniu? „Skąd muzyka ma moc kojenia dzikiej piersi?”¹² Pierce wiedział to wszystko i jeszcze więcej. Wiedział, dlaczego „kosmiczny” i „kosmetyczny” mają ten sam rdzeń; dlaczego angina liże stawy i kąsa serce, a nie odwrotnie. Wiedział, dlaczego ludzie wierzą, że Cyganki potrafią przepowiadać przyszłość: dlatego, że pochodzą z Egiptu, chociaż to nieprawda, i każdy wie, że Egipt to przede wszystkim kraina magii i wiedzy tajemnej, choć to też nieprawda. I to też Pierce wiedział, o tym chciał opowiedzieć: jak będąc dzieckiem odkrył wymyśloną krainę, która okazała się wcale nie wymyślona, a przynajmniej nie przez jego samego.

Zaproponował tę książkę - książkę o przeszłości - Julie Rosengarten, swojej dawnej kochance i współlokatorce, a obecnie agentce literackiej, a Julie zmieniła ją (strona po stronie, lunch po lunchu) w książkę o przyszłości. Chciała, żeby Pierce nie tylko odtworzył pozostałości dawnych nauk, ale także wyraził nowe; chciała, żeby z głębi własnej, silnej subiektywności, przebudzonej jego studiami nad okultyzmem, wydał zew ku utajonym mocom w duszach czytelników. Chciała - nie od razu to pojął - książki o magii, nowej czarnej księgi, *clavis Salomonis, ars magna*. Coś takiego mogłaby sprzedać.

- To nowa epoka - powiedziała Pierce'owi. - Wszystkie te rzeczy wracają.

Pierce obiecał, że się postara. Kto jak kto, ale on miał kwalifikacje, by coś takiego napisać; miał też coś, co go dyskwalifikowało - wadę, a może coś w rodzaju zalety nie wprost: osobiście nie wierzył w magię. Nawet gdyby potrafił wydobyć z książek o historii i swoich źródeł jakiś dokładny opis postępowania, starą-nową praktykę, nie mógłby się zebrać w sobie na tyle, by kogoś jej nauczyć; żeby uprawdopodobnić receptury i procedury, które były prawdziwym produktem końcowym tamtej ogromnej, dawnej pracy intelektualnej, konieczne byłoby zarzucenie ich dużą ilością retorycznego błysku, pominięcie lub błędnego przetłumaczenia niezrozumiałej fizjologii i niewykonalnej fizyki, aby nie ujawnić wielkiej cezury (przynajmniej tego Pierce był pewien) między tym, co robi się dzisiaj, a co przynajmniej działa, a tym, co robiło się kiedyś i co nie działało. Udała mu się kiedyś ta sztuczka w miniaturze, na kilku stronach konspektu, dzięki czemu sprzedał książkę wielkiemu wydawcy paperbacków, jak to obiecała Julie; a potem utknął w miejscu, niezdolny wymyślić, jak przełożyć to na dużą, prawdziwą książkę. Nie posunął się ani o krok, a potem przeniósł się

¹² Kwestia ze sztuki Williama Congreve'a *The Mourning Bride* z 1697 r.

do Blackbury Jambs i znalazł na biurku Krafta pudło pełne kartek.

Autobus jechał krętą drogą pod wzgórzami, przejeżdżał mosty, a wreszcie wjechał na szeroką arterię wiodącą do miasta. Przecinające zubożałe równiny pasy jezdni zapychały się stopniowo ruchem sunącym ku odległym, brązowym wieżom Disa, które przez długi czas pozornie się nie zbliżały, aż wreszcie samochody wjechały razem w aortalny tunel, porzućcie wszelką nadzieję, i wyjechały w samo poranione serce miasta, zawsze cię to zdumiewało, heraklitejczyku, gdy znów cię otaczało, takie samo, lecz nigdy to samo. Zdumiony brudem i tłumami szokująco odmiennych ludzi - oba te zjawiska były bardziej skrajne, niż to pamiętał (czy stracił swój pancerz, zdolność do niezauważania?), Pierce zjechał po schodach z przeklętym tłumem, szukając po kieszeniach adresu, który dała mu Julie Rosengarten, adresu restauracji, gdzie mieli się spotkać i (na co liczył) kupić lunch na jej rachunek, w zamożnej dzielnicy kilka przystanków dalej.

- Nigdy nie słyszałam o tym pisarzu - powiedziała Julie. Patrzyła nań po drugiej stronie stolika w spokojnej, wspaniałej restauracji, miejscu przyjemniejszym niż to, do którego zabierała go wcześniej, może dobrze jej się powodziło.

- Kim on jest?

- Powieściopisarz. Kiedyś był dość popularny. Został pustelnikiem, czy kimś w tym rodzaju. Mieszkał sam, pracując nad tą wielką...

- Ktoś ją chce publikować?

- Niemożliwe - odparł Pierce. - To tylko pomysł. Długi pomysł. Ten pomysł.

Julia wsparła podbródek na dłoni, a liczne bransoletki ześlizgnęły jej się po przedramieniu z metaliczno-drewnianym szeptem.

- Więc? - spytała.

- Więc gdyby tak było. Pomyśl o konsekwencjach.

- No cóż. Chyba nie potrafię sobie tego wyobrazić. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czy potrafię sobie wyobrazić, co tak naprawdę chcesz powiedzieć.

- To mogło by znaczyć - wytłumaczył - że kiedyś prawa fizyki rządzące naszym wszechświatem pozwalały, by pewne praktyki, które znamy tylko z książek, naprawdę działały w opisany sposób, nawet jeśli dziś już nie działają. Choćby alchemia. Astrologia sądowa albo medycyna astrologiczna. Automaty. Przepowiednie.

- A tak nie było? Wiesz, myślę, że tak było, naprawdę. Chyba. Przynajmniej częściowo.

Podejrzewał, że od czasu do czasu Julie mogła bawić się w niewinne czarowanie,

kryształy, karty, *magia naturalis*.

- Nie - odparł. - A raczej ujmijmy to tak: albo tamte techniki i nauki przeszłości działały, a nasze nie działają, albo nasze działają, a ich nie. Jeśli potrafili zmienić ołów w złoto, to ani ołów, ani złoto nie były tym, co my znamy pod tymi nazwami. - Upił ze szklaneczki bursztynową whisky, którą przed nim postawiono. - Być może w rzeczywistości nie były zawsze tym, czym są teraz. Być może dopiero stały się takie.

- No i co z tego? Chybabyśmy wiedzieli, gdyby tak było w przeszłości. Gdyby historia знаła takie przemiany.

- Nie. Gdyby nastąpiła taka zmiana, to po jej zakończeniu nie byłoby prawie żadnej możliwości udowodnienia, że rzeczywiście miała miejsce. Obowiązują nowe prawa, a nie stare. Teraz złota nie da się wytworzyć z ołowiu, i teraz nigdy się nie dało: prawa wszechświata, prawa natury to uniemożliwiają.

Dotarł już raz do tej konkluzji i roztrząsał ją bardzo długo, zanim zrozumiał, co naprawdę oznacza - wyjaśnienie historii magii, które zaspokaja każdą potrzebę, rozwiązuje każdą historyczną zagadkę, satysfakcjonuje sceptyka i fanatyka i ma tylko jedną wadę - jest całkowicie absurdalne.

- To jak ten stary paradoks: gdyby wszystko nagle stało się dwa razy większe, atomy i tak dalej, czy można by się zorientować? Na ile pozwalają nam to stwierdzić nasze badania, te same prawa fizyki działały od zawsze; po prostu nie zawsze je znaliśmy.

- A więc jak dojść, że tak było? Że te zmiany zaszły?

- Nie da się. O z a j ś c i u z m i a n y m o ż n a d o w i e d z i e ć s i ę t y l k o w t e d y, k i e d y s i ę j e j z a z n a i r o z p o z n a j ą. Jak inaczej wpaść na coś tak zwariowanego?

Skrzyżowała ręce, za jej ciemnymi rzęsami oczy rozświeciły się w zdumieniu; policzki oblał ładny rumieniec, wypełniając przestrzeń między kilkoma brązowymi piegami. Chodziła na plażę, pomyślał.

- Sama widzisz, co by to oznaczało, prawda?

- Co?

- Ano to - odparł, nachylając się w jej kierunku - że skoro ja i ty, czy ktokolwiek inny, wpadł na możliwość takich zmian, jeśli odkryliśmy, że możliwe jest ich zachodzenie, i podejrzewamy, w jakich epokach przeszłości mogły zajść, to dlatego, że wyczuwamy, iż właśnie zachodzi.

- Co zachodzi? - spytała.

- Zmiana. Zmiana praw rządzących wszechświatem.

Spojrzała nań z ukosa, jednym okiem, jak ptak.

- Teraz? Właśnie teraz?

- Teraz, kiedy ci to mówię. Teraz, kiedy piszę tę książkę. Teraz, w tej dekadzie, w tym roku.

Patrzył, jak dociera to do niej, jak pojmuje, co oznacza to dla projektu, który w jego imieniu reprezentowała; czuł się, jak gdyby widział oczy jej wyobraźni, zmieniające kąt widzenia.

- Nie tylko to - ciągnął. - Wygląda na to, że dusze, czy też umysły ludzi, którzy postrzegają, co się dzieje, którzy rozumieją, że zmiana jest w trakcie, że stare prawa tracą moc, a nowe jeszcze jej nie nabrały, mogą wpłynąć na kształt nadchodzącego świata. Skonstruować jego prawa i znaczenie. Tego dokonali Giordano Bruno, Galileusz i Newton.

- Naprawdę?

- Wstrzymali Słońce - odpowiedział, rozkładając ręce, *quod erat demonstrandum*. - Ruszyli Ziemię.

Wreszcie się roześmiała, sądził - miał nadzieję - że z radości.

- Ale dlaczego? - spytała. - Dlaczego właśnie teraz zmiana musi się dokonywać? Jeśli w ogóle się dokonuje. Czy to przez gwiazdy, czy...

- Gwiazdy nie mają tu nic do rzeczy. Dużo się o nich mówiło pod koniec XVI wieku. Przewidywano, że stanie się coś wielkiego astrologicznie, w roku 1588 i 1600. Ale nie był to przełom nowej ery, nawet ich astrologii. Dziś też nie jest.

- Wodnik.

- Dwieście lat różnicy. To nie to.

- W takim razie co?

- Nie wiem, to się po prostu dzieje co jakiś czas. - Czuł w sobie rosnące diabelskie podniecenie. - Co jakiś czas.

Julie patrzyła nań, bawiąc się kulką z chleba, czekając, aż Pierce wszystko jej wyjaśni. Ale to była część idei Kraftha, która nie dziwiła Pierce'a. Nie sądził, że materia rzeczywistości musi być pozbawiona szwów, ani że prawdziwe źródła nie mogą być ukryte, niedostępne rozumowi. Uważał, że to całkiem możliwe.

- Nie wiem - powiedziała. - Brzmi to trochę jak jakiś trik.

- To nie trik - odpowiedział. - To opowieść. Wyłuszczył jej sedno dzieła Kraftha: jak dwa razy w ciągu ostatniego dwutysiąclecia błąd albo widoczny szew, zmarszczka na powierzchni istnienia, pozwoliły obserwatorom na całym świecie dostrzec, że sieć czasoprzestrzeni nie jest stabilna, lecz jak płyty tektoniczne i płynne jądro Matki Ziemi może

poruszać się pod stopami codzienności; może się poruszać, poruszyło się, poruszało się w przeszłości i znów się poruszy.

Opowiedział jej, jak tylko najwięksi znawcy mechanizmu świata dostrzegają subtelne zmiany i jak nawet oni wątpią samym sobie i odrzucają dowody, obwiniają własne narzędzia i gasnące umiejętności; jeśli zaś próbują wyrazić to, co wiedzą, współcześni nie rozumieją ich, a kolejna epoka błędnie odczytuje ich słowa, bierze ich pisma za alegorie lub nieudane przepowiednie.

Istotnie - po dokonaniu się zmiany tym właśnie są.

Opowiedział, jak w systemie Kraftha między starym światem minionych rzeczy i nowym światem rzeczy przyszłych zawsze przypada okres przejściowy, chaos nieuformowanych możliwości, w których mogą nastąpić wszelkiego rodzaju zjawiska. Dawniej bezpieczne teurgie i zaklęcia nagle zaczynają śmiertelnie zagrażać tym, którzy je praktykują; olbrzymie niebiańskie ciała powstają z mniejszych, które stają się ich częściami; wtedy wielki Egipt znowu się ukazuje, a jego dzieci mogą się wzajemnie rozpoznać dzięki znakom, których wcześniej nikt nie rozumiał.

Wtedy mędrcy gromadzą się i sposobią.

- Egipt - mruknęła Julie. - Ha.

Ostatni taki okres przejściowy wystąpił również na przełomie dwóch stuleci, XVI i XVII naszej ery, podczas których osadzona była akcja powieści Kraftha; i czy Jean Bodin, encyklopedysta, nie powiedział wtedy (Pierce wiedział to, chociaż nie pamiętał skąd, strzępek owczego runa złapany w ciernie umysłowego krzewu dzikiej róży), że przyszła wówczas okropna plaga złych duchów, wyrządzających wszelkiego rodzaju szkody? Bodin obwinił o to aroganckich magików, którzy wywoływali demony powietrza, ognia i wody, a te z kolei przejmowały kontrolę nad nieostrożnymi i opętywały ich. Kraft powiedział: okres przejściowy rodzi duchy, tak jak słońce rodzi czerwie we wnętrznościach martwych lwów. Elementale, *daemonii*, inkuby i sukuby, salamandry. Spójrz w kryształ, albo w naczynie czystej wody: ktoś ci się przygląda.

- Wiedzmy - rzuciła Julie.

- Wilkołaki.

Pierce ujrzał oczyma wyobraźni sznur szarych postaci sunących przez wypaloną ziemię, rozglądających się za zdobyczą, którą ścigały.

- A potem znikają - powiedział. Znikają, bo minął okres przejściowy, kiedy ich istnienie jest możliwe: i wszystkie albo prawie wszystkie wracają do ziemi, powietrza, wody i ognia, nie tylko już nie istniejąc, ale także w oczywisty sposób nie istniejąc nigdy; nowe

prawa, nowe moce równie wielkie, ale inne, weszły w życie; niebo nie miało końca i było puste.

- I oto jesteśmy.

- Oto jesteśmy - powtórzyła, ale jej głos brzmiał, jakby była gdzieś indziej; nieco uniesiona, może poruszona.

- Ale jeśli teraz kolej na nas - powiedział cicho - jeśli kolej na nas...

- Wtedy wszystko to może wrócić - dopowiedziała, jak gdyby dopiero teraz w to uwierzyła. - Magia znów może działać.

- Tego nie wiadomo - odparł. - Wiemy tylko tyle, że nadejdzie coś, co będzie inne, co będzie inaczej działało niż to, co jest teraz. Może mieć w sobie więcej magii, a może mniej. Giordano Bruno nie miał wątpliwości, że w jego epoce magia dawniejszych czasów powróci. Ale kiedy okres przejściowy minął, tak się nie stało. Nowa era przyniosła z sobą nowe moce, których nikt nie mógł sobie wcześniej wyobrazić. Tak będzie i z następną.

- Jakie moce masz na myśli?

- Miej oczy szeroko otwarte. Być może nie ujawnią się w laboratoriach za milion dolarów, być może nie będą przedłużeniem tego, co już wiemy. Mogą być zupełnie inne, takie, jakich nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Być może właśnie ty będziesz mogła z nich korzystać.

Uśmiechnął się do niej przekornie, ale ze ściśniętym gardłem; nie sądził wcześniej, że będzie mu to tak ciężko powiedzieć - jakby przesuwiał na środek stołu stos żetonów, mając ledwie nędzną parę dwójek. Jednym z przejawów działania magii - złej magii - była zdolność przekonania ludzi, że prawa fizyki można nagiąć, a nawet złamać, oraz że potrafi się to zrobić, nawet jeśli to nieprawda.

A jednak była to prawda: jego mit (bo to właśnie jej oferował, mit, mit Kraftha) naprawdę opisywał, co wydarzyło się w XVI i XVII wieku, kiedy państwa i systemy polityczne wojowały ze sobą, rozgrywały się bitwy, wykonywano nagle odwroty, dopuszczano się zdrad, a przez pewien czas nic nie było pewne. I można by twierdzić - Pierce mógłby - że to samo przejście dokonuje się teraz: dawna fizyka i mechanika traciły siłę, nie były w stanie wyjaśnić obserwowanej rzeczywistości, pragnienia nowych praw, o c z e k i w a n i a nowych prawd, oznak odnowy, oznak innego paradygmatu (kolejne słowo, bez którego myśliciel nie mógł sobie poradzić, rzucone za siebie przez pędzący czas, by rosło i mnożyło się jak kamienie Deukaliona), nowych praw, które też można będzie łamać.

Nadchodzi coś zupełnie nowego.

- Czy ludzie w to uwierzą? - niemal szeptem spytała Julie.

- Nie wiem, nie wiem nawet, czy sam w to wierzę.

- Jak chcesz ich przekonać? Będziesz musiał.

- No cóż - westchnął. - Mógłbym zaoferować dowód, jakiś namacalny dowód. Mógłbym znaleźć coś, gdzieś, co przetrwało niezmienione z poprzedniego stanu; coś.

- Co? - Nachyliła się ku niemu i on także; rozmawiali jak konspiratorzy, nieomal stykając się złożonymi rękoma na środku stołu.

- Przypuśćmy, że taka jest fabuła tej książki. Przypuśćmy, że fabuła tej książki to prawdziwa historia o tym, jak takiego przedmiotu poszukiwano...

- I znaleziono - dodała.

- No cóż.

- Pierce, czy ty naprawdę, naprawdę wiesz, że coś takiego istnieje?

Nie odpowiedział. Ale patrzył w jej oczy z uśmiechem.

Mogła odpowiedzieć na to tylko jedną sylabą; kiedy ją wypowiedziała - cichy, krągły dźwięk zdumienia i radości - niemal roześmiał się czule: wróciło doń bowiem w jednej chwili mieszkanie przy torach, czterdzieści przecznic stąd, gdzie dziesięć lat wcześniej kochał się z Julie: w czasach wielkiej parady, kiedy wrota świtu się otworzyły i nic już nie było takie samo.

PIĘTNAŚCIE

Po lunchu Pierce poszedł na miasto piechotą i spacerował tam całe popołudnie, nie zważając, dokąd zmierza, śledząc rozwój filmu w swojej głowie, który powstawał na bieżąco.

Czy naprawdę chciał powiedzieć w swojej książce, że dawno, dawno temu bezużyteczne praktyki magiczne działały, ołów zmieniał się w złoto, martwi powstawali z grobów; a potem świat („świat") przekroczył jakiś kosmiczny kołowrót i wyszedł po drugiej stronie już inny, a dziś nie tylko dawna magia jest nieskuteczna, ale także zawsze taka była? Czy naprawdę chciał to powiedzieć?

Chyba tak. Na pewno zamierzał napomknąć o tym, wygłosić to, zebrać wieloznaczne dowody, trzymać czytelników w napięciu poszukiwaniami dowodu toczącymi się w historii jednej rzeczy - wydarzenia, przedmiotu, miejsca, słowa - która była wciąż bez dwóch zdań tym samym, czym była w minionej epoce, podczas gdy nic poza nią nie było już takie samo. To mogło być wszystko. I nic.

Zamierzał pobawić się tym pomysłem; och, więcej, zamierzał go celebrować na całego; zamierzał zabawić się po swojemu pośród przewróconych kieliszków i zmiądzonych owoców hałaśliwego bankietu. I zamierzał zrodzić zeń pojęcie jeszcze potężniejsze, pojęcie, które przyjdzie na świat dopiero na ostatnich stronach: *tylko jeśli potraktujemy przeszłość w ten sposób, jak gdyby z natury była inna niż terażniejszość, możemy wyobrazić sobie, jak odmienna od terażniejszości będzie przyszłość.*

Przyszłość, nadciągająca szybko, okres przejściowy się kończył; wszystkie te swary i spory dobiegną kresu, kiedy nowa nauka (*nuova scienza, novum organum, ars magna*), którą można już wyczuć tuż za horyzontem, zostanie sformułowana, jeśli tylko objawi się ona „formułowaniem"; kiedy niewyobrażalne dziś stanie się wyobrażalnym, a terażniejszości, naszej terażniejszości, nie będzie dało się już zrozumiale odtworzyć ani zastosować jej techniki; zaginiony świat.

Pomyślał, że jest w stanie to zrobić. Po raz pierwszy widział, że to się da zrobić, widział stertę papieru, ukończoną książkę, nieśmiało sprytną, sprytnie nieśmiałą w obwolucie, otwórz i przekonaj się.

Podniósł wzrok z chodnika. Dotarł do biblioteki publicznej, której strzegły wielkie kamienne lwy; trafił tu także wcześniej, po poprzednim lunchu z Julie, kiedy po raz pierwszy

zleciła mu napisanie książki o przyszłości.

Jego ojciec, Axel, uwielbiał te bestie. Uwielbiał biblioteki i książki z ścią rycerskim zapachem. Często, gdy Axel zabierał go na Manhattan z jakiejś okazji, przechodzili tędy i przyglądali się lwom, czytając inskrypcje na nich; Axel znał nazwisko rzeźbiarza. Czemu tu stoją, pytał Pierce. Żeby odstraszać ludzi, odpowiedział Axel; dowcip w stylu Enosha. Żeby odstraszać ludzi. Powtarzali ten dowcip za każdym razem, kiedy tędy przechodzili.

Wspiął się po szerokich stopniach, gdzie jak zwykle siedziały zakochane pary, włóczędzy i amatorzy posiłków na świeżym powietrzu. Wszedł do środka. Chłodno, obszernie, poważnie. Było kilka książek, za którymi mógłby się rozejrzeć, zawsze miał w głowie listę pytań wymagających odpowiedzi; nie wiedział, co z sobą zrobić; mógł zawrócić, przejść przez miasto i wsiąść do autobusu do domu.

Dom. Oczyma duszy ujrzał zielone wzgórze.

Wchodząc po schodach - choć wciąż nie powziął jeszcze postanowienia - bez większego zaskoczenia wpadł na ojca.

Axel stał pod wielkim malowidłem na półpiętrze, przedstawiającym ślepego Milтона dyktującego swoim (znudzonym albo porażonym) córkom. Przyglądał się obrazowi lub sprawiał takie wrażenie, ale Pierce - stojący na schodach poniżej półpiętra, wciąż niezauważony - wiedział lepiej. Oczy Axela skanowały olbrzymi mroczny obraz, ale on też oglądał film w swojej głowie; poruszał ustami w niekończącym się monologu; dłonie przeszukiwały kieszenie bluzy, wyciągnęły kartki papieru, które studiował z tym samym sennym zainteresowaniem co Milтона, a potem schował na powrót. Axel mógł przejść całe muzeum w tym stanie połowicznego transu, rejestrując wielkie momenty Sztuki albo Historii, a zarazem niesiony własnymi wewnętrznymi prądami. Pierce często bywał przy nim taki sam.

Czy powinien odwrócić się teraz i uciec, nim ojciec go spostrzeże?

Nie ośmielił się tego zrobić. Serce pękłoby Axelowi, gdyby ujrzał plecy Pierce'a i pomyślał, że syn stara się go unikać.

Nic z tego. Podeszedł kilka stopni i niemal wpadł na Axela, nim ten go zobaczył.

- Dobry Boże, Pierce!

- Cześć.

- Właśnie się. Milton. Przychodzę tu, wiesz. Pamiętasz ten moment. Córki ślepeca.

Wyjaśnianie człowiekowi wyroków boskich.¹³

¹³ Słynne słowa brytyjskiego poety A. E. Housmana o Johnie Miltonie, pochodzące z wiersza *A Shropshire Lad* (1896)

- Tak.

- A co tam u ciebie? Nie dzwoniłeś.

- Dopiero dziś przyjechałem. Miałem coś do załatwienia.

- Proszę, proszę.

Axel Moffett przyjrzał się wysokiemu synowi, co najmniej o głowę wyższemu od siebie, ze zdumieniem i radością.

- Załatwiłeś wszystko?

- Prawie.

- No to mamy wolny wieczór.

- W sumie myślałem, żeby wracać.

- O nie. Nie. To głupota. Dwie długie jazdy autobusem w jeden dzień. A nie było cię tu tyle miesięcy. Nie, nie. Daj spokój, Pierce. Spędzimy razem dzień jak kiedyś. - Niemal tańczył wokół Pierce'a, pełen zapału. - Daj się namówić.

Kiedyś dużo chodzili po mieście, kiedy jeszcze Pierce tu mieszkał; pomysłodawcą był Axel, a wykorzystywali dni wolne Pierce'a, chyba że ten zdołał się wybronić. Ale Pierce'a Axel także fascynował; pojawił się, kiedy Pierce wrócił do miasta jako dorosły; stwierdził, że ojciec jest zupełnie inny, niż go zapamiętał: nie dlatego jednak, że Axel się zmienił, bo był istotą niezmienną, ale ponieważ tyle z jego natury było ukryte przed Pierce'em przed laty.

- No dobrze - zgodził się wreszcie, zły na siebie, że nie potrafił odmówić; odmawianie nigdy jakoś mu nie szło. Kiedy nie mógł czegoś uniknąć, zwykle się zgadzał.

- O, to dobrze - Axel ucieszył się bardzo, biorąc syna za rękę. - Och, Pierce. Dobry cię przywiódł księżyc.

- Powinno być zły - odpowiedział Pierce. - Kwestia brzmi „Zły cię przywiódł księżyc”.

- Pójdziemy do miasta - ciągnął niezrażony Axel. - Rozprostujemy kości. Słyszałeś o Kościółku za Rogiem? To bardzo ciekawa historia.

- Tak. Opowiadałeś mi.

Spacer z Axelem był szczególnym doświadczeniem, a przy tym zwracającym uwagę. Axel miał w zwyczaju wyszukiwać na ulicy drobiazgi, kawałki papieru albo inne śmieci, zatrzymywać się i podnosić je. Czasami zanosił to, co znalazł, do kosza na śmieci, jako dobry obywatel; częściej po prostu oglądał to i znów odrzucał, tylko po to, by kilka jardów dalej podnieść następny drobiazg. Kiedyś mówił do zirytowanego syna, że szuka pieniędzy albo innego skarbu; ale wreszcie przyznał się, że wcale nie o to chodziło, że po prostu nie mógł się powstrzymać. Podnosząc, oglądając i wyrzucając, nie przestawał gadać, więc idący przodem

Pierce często musiał przystawać i cofać się kilka kroków. Czasem myślał, że wyglądają jak dwóch komików z epoki filmu niemego - jeden wysoki i posepny, drugi niski i pulchny - pochłoniętych jakimś tańcem albo zatrzymujących się w połowie ulicy, by wyciągnąć szyje ku niepozornemu budynkowi, gdzie Axelowi zdawało się, iż dostrzegł kariatydę albo gargulca. Albo też palladiańskie okno.

- Patrz tutaj, Pierce. Rustyka, widzisz? - Przeciągnął dłonią po kamiennych blokach budynku, wyciętych tak, aby przypominały dopiero co wyciosane głązy z kamieniołomu. - Imitują naturalne bloki kamienne, widzisz? Równie dobrze moglibyśmy być w Rzymie.

- Aha. W wydaniu rzymskich architektów oznaczało to antyczną cnotę. Potem przyszedł Renesans.

- Tak, tak. Widzisz? Rzym nie upadł. Widzisz?

Pierce nie wyjął rąk z kieszeni, nie zamierzając przyłączać się do Axela w obmacywaniu muru jak ślepiec.

- Daj spokój.

Czy Axelowi ostatnio się pogorszyło? Pierce pamiętał z dzieciństwa, że ojciec miał pracę, prawdziwą pracę, był księgowym. Teraz trudno było sobie go wyobrazić w jakiegokolwiek pracy poza nieomal nieodpłatnymi zadaniami, jakie wykonywał dla kościelnych organizacji dobroczynnych, albo drobnymi zleceniami biurowymi. Utrzymywał się z wynajmu pomieszczeń w budyneczku na Brooklynie, którego był właścicielem i w którym mieszkał. W innym przypadku cóż by się z nim stało? Pierce niekiedy rozmyślał ze zgrozą i wyrzutami sumienia, jak to będzie opiekować się ojcem w okropnej przyszłości - albo odmówi podjęcia się opieki.

- Twoja książka o tym właśnie traktuje - powiedział Axel, usłyszawszy relację syna i zafrapowawszy się jego wizją. - Rzym, Grecja, Egipt. Z tą małą ligaturą.

- No cóż.

- *Novus ordo seclorum*. Piramida na banknocie dolarowym.

- Zgadza się.

Skąd na wielkiej pieczęci Stanów Zjednoczonych wzięła się rustyczna piramida z mistycznym okiem? Ponieważ Ojcowie Założyciele także wierzyli w Egipt.

Pierce'a naszło, że być może jego książka jest w istocie przeznaczonym dla niego wyjaśnieniem Axela: wyjaśnieniem opowieści, które Axel nieustannie powtarzał synowi - Historii Cywilizacji. Gdyby każde pytanie, każda opowieść, nad którymi rozwodził się Axel, zostały zmiecione, wtedy zostałyby tylko jedno jedyne pytanie, nagie jak prawda: czemu dałeś mi odejść? Pytanie, jakie mały Pierce ciągle zadawał, choć duży Pierce wciąż na nie

odpowiadał.

Axel wpadł na pomysł spaceru na Brooklyn, co było poza zasięgiem nawet długich nóg Pierce'a. Gdzieś po drodze, gdy nadszedł wieczór, wstąpili do jakiegoś baru w rodzaju tych, które Axel lubił. Pierce zajrzał do portfela i stwierdził, że nie stać go na dłuższe posiedzenie.

- Witaj z powrotem na Brooklynie. Coś się skombinuje. Chleb, butelkę wina.

Pomysł ten tak się Pierce'owi nie spodobał, że wreszcie wyjął kartę kredytową (ponieważ nie mógł w żaden sposób po prostu wysłać Axela samego do domu) i ku olbrzymiej radości Axela poszedł z nim do przytulnej, wyłożonej boazerią restauracji, gdzie na białym obrusie przed nimi postawiono drinki. Pierce zauważył już wcześniej, że zawsze, kiedy korzystał z karty, musiał jeść drogo - tanie lokale nie obsługiwały kart.

Przez resztę wieczoru Axel powtarzał (jąkając się i nadstawiając kieliszek po wino), że w tej okolicy są świetne nowe kluby, otwarte w ciągu ostatnich miesięcy. Czy Pierce o nich słyszał? Axel śmiał się, jak gdyby z niewytłumaczalnych przejawów ludzkiego szaleństwa. Kowboje i skórzane ciuchy, powiedział, skrajności komedianckiej słabości, nic się nie ukryje, nic. Wspomniał o wyspie Capri Tyberiusza i dworze Heliogabala. Wspaniali młodzieńcy, Axel musiał to przyznać. Niedaleko znajdował się pewien lokal, Siódmy Krąg; Pierce na pewno pojął aluzję.

- Axel, naprawdę znasz te lokale?

Na twarzy Axela pojawił się wyraz cwanego oburzenia. To tylko coś, czym chciał zainteresować Pierce'a, któremu nic, co ludzkie nie było obce, prawda? Oczywiście nie wezmą udziału, jak wielu innych.

- Po prostu trzymaj się mnie - powiedział Axel. - Jak Wergiliusz i Dante. Może czegoś się nauczysz.

Pierce odmówił. Nie ciągnęło go, by przyglądać się przejawom niezrozumiałych żądz innych mężczyzn. Chociaż cieszył się, że Axel odnalazł się we współczesnych rozrywkach, nie był pewien, czy nie wołał, kiedy ojciec był bardziej zamknięty w sobie i nieśmiały, jak wtedy, gdy po raz pierwszy przybył z Noate: ówczesne przypadki Axela (opowiedziane późną nocą Pierce'owi i prawdopodobnie także własnej duszy) były dziwacznymi dramatami, pełnymi tragicznej konieczności, a nie tylko towarami, które znalazł wyłożone na ogólnodostępnej ladzie.

- Szczerze mówiąc, muszę do kogoś wpaść - powiedział Pierce.

- Do kogo? - zapytał Axel, rozsierdzony i jakby spostonowany (jak ująłby to on sam), posyłając synowi spojrzenie, którego, pomyślał Pierce, żaden wielki aktor dramatyczny nie

potrafiłby lepiej zagrać.

- Do kobiety.

- Tej, którą kiedyś odwiedzałeś. Cyganki.

- Częściowo. Tak.

- „Coś to *nie rdzewieje*”? Och, Pierce.

- Chyba tak - odpowiedział Pierce, szukając w kieszeni monety. - To w moim stylu.

- Zawsze cię kochałem, Cynaro ma! Na swój sposób - zaintonował Axel, błyskawicznie przyjmując tęskny ton godny *fin de siècle'u*. - Na tłumnych ucztach ciskałem w krąg róże jak opętaniec...

- Byłem ci zawsze wierny, Cynaro ma, tak to szło. Zaraz wrócę.

- *Non sum qualis eram*. Już nie jestem ten sam, co w złotym wieku Cynary - ciągnął Axel, nie dając się powstrzymać.

Oddalając się w poszukiwaniu telefonu, Pierce słyszał jego głos.

- Wielem zapomniał, Cynaro! Tylko szum wiatru wie, ile...

Odnalazł numer, napisany jej ręką we wnętrzu kartonika zapalek; jej siódemka miała poziomą kreseczkę, gdzie ona się tego nauczyła? Przywiózł kartonik z sobą z Faraways, chociaż obiecywał sobie, że zeń nie skorzysta, i pewnie tak by było, gdyby nie druga butelka wina.

- Przez całą noc na sercu czułem serca jej ciepłe bicie, do rana trzymałem w objęciach jej ciała miłosną senność. O Boże...

Tamtego marcowego dnia, kiedy Pierce na dobre wyjechał z miasta, padł na kolana w opustoszałym mieszkaniu i z absurdalną powagą poprzysiął, że w swoim nowym życiu nie będzie tracić już sercowej energii (nie wspominając o pieniądzach i czasie) na beznadziejne i bolesne poszukiwanie miłości. Dość.

Niektórzy mężczyźni rodzą się eunuchami, inni dopiero muszą się nimi stać; Pierce wybrał celibat, aby przeżyć. Miłość prawie go zabiła, a kiedy obudził się i ujrzał szary świt, postanowił zachować odrobinę siły, która mu została, by ułożyć sobie życie sam. Był *hors de combat* i zamierzał odtąd sam decydować o sobie.

Ona (była to jedyna kobieta, która wymusiła na nim beznadziejną przysięgę, nigdy nie był kobieciarzem, chociaż starał się ciskać w krąg róże jak opętaniec) miała małe mieszkanko w droższej dzielnicy, do którego przeprowadziła się ze szklano-stalowej wieży Pierce'a; z tego, co wiedział, znajdowało się w ostatnim nieodnowionym budynku z XIX wieku w tym szarym kwartale i nie kosztowało prawie nic. Nigdy tam nie był, ale wyobrażał sobie wnętrze szczegółowo; spędził tam część swojego wyobrazonego życia.

- I w smętku czuję, że nęka mnie tłący się żar dawnych stosów - deklamował Axel, bliski leż. - Tak, głód tych ust, ust, którymi nie mogłem się nigdy nasycić...¹⁴

Mieszkanie oświetlają świece w dziwnych lichtarzach (nie ma prądu, bo nie ma pieniędzy na depozyt ani ochoty gdziekolwiek się rejestrować oficjalnie). Za łóżko służy gąbka na siennikach odratowanych z ulicy, przykryta wyblakłą pościelą i atłasowymi poduszkami, na których różowe słońca zachodzą nad niebieskimi jeziorami i zielonymi sosnami. Na ścianach także pewnie wiszą szmaty. A wszędzie walają się rzeczy, które znajduje, przeszukując wyprzedaje i pchle targi, i odsprzedaje z zyskiem: reklamowe laleczki, sztuczna biżuteria, szale, zabawki, figurki postaci z komiksów, pikantne podarki, plastikowa skorupa żółwia, pocztówki, bielizna; we wciąż zmieniających się subtelnych kombinacjach, żywych obrazach, miniaturowych dioramach, gdzie wszystko wydaje się przypadkowe, ale tak naprawdę jest świadomie autoreferencyjne, niczym współczesna powieść. Jest tam (pamiętał ten układ z jej komody w mieszkaniu, w którym razem mieszkali, choć od tamtego czasu pewnie został zaburzony) Cyganka, pałaca papierosa na malowanej paterze koktajlowej, oferująca paczkę albo siebie, i wykładana klejnotami papierośnica, obok pierścień z trucizną, żeliwna wieża Eiffla i Empire State Building; i Sfinks z gipsu, któremu domalowała różowe policzki i kocie oczy, różowe pazury i także usta ladacznicy; a wokół szyi małeńki złoty zegarek na pasku. Czas leci.

Pozwolił telefonowi dzwonić długo w miejscu, które sobie wyobraził, aż stało się jasne, że nikogo tam nie ma; nawet kiedy odłożył słuchawkę, telefon wciąż jeszcze przez jakiś czas dzwonił wewnątrz niego.

Długo po północy i długo przed świtem obudził się nagle w swojej starej sypialni na Brooklynie. Pewnie wino; ale pierwsza jego myśl uleciała ku Julie Rosengarten i temu, co jej zaproponował. Czuł wyrzuty sumienia uwodziciela, obiecawszy zbyt wiele, aby ją przekonać, i uzyskawszy jej wiarę; albo gorzej, wcale nie uzyskawszy, dopóki nie spełni obietnic.

Przewrócił się na łóżku, do którego już nie pasował, i zamknął oczy; wkrótce jednak je otworzył i przetoczył się z powrotem.

Po co miałby narzucać czasowi ten kształt? Bo przecież to właśnie robił. Prawda?

W pokoju obok jego ojciec chrapał i świszcział długo, wydając dźwięki typowe dla komedii. Stara klima dyszała za oknem, ale powietrze było stęchłe; zapach starego domu.

¹⁴ Wszystkie cytaty z wiersza *Non sum qualis eram bonae sub regno Cynarae* Ernesta Dowsona w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Pierce wreszcie wstał i otworzył okno.

Ciepłe powietrze i woń ulicy; nowy, wysoki apartamentowiec i biurowce po drugiej stronie, tonące w świetle, na służbie przez całą noc. Nowe, połyskujące, futurystyczne światła uliczne. Brooklyn bardzo się zmienił, odkąd Pierce mieszkał tu jako dzieciak: odnowił się, ale wyglądał na stary i zużyty; kiedy był dzieckiem, Brooklyn wyglądał świeżej.

Frank Walker Barr, jego dawny nauczyciel i mentor, napisał niegdyś całą książkę (*Ciało czasu*) poświęconą wykazaniu, że od zawsze postrzegano czas jako mający kształt. Może obecnie (pisał) jedynym kształtem, z jakim większość z nas kojarzy czas, jest prosta geometria, wielka muszka, na której nieskończenie małym węzłku - w chwili obecnej - stoimy, a przeszłość i przyszłość otwierają się w obie strony w nieskończoność. Ale w innych epokach przewagę miały inne koncepcje, określające nie tylko to, jak ludzie wyobrażają sobie historię, ale determinujące też to, kim są: Cortez przybywa do Meksyku dokładnie wtedy, gdy stara Epoka (Meksykanie są tego pewni) dobiega kresu i słabnie, a nowa, młoda Epoka czeka na swoją kolej.

Dlaczego zawsze zakładaliśmy, że czas ma kształt? - rzucił Pierce w noc. Czy nie jest tak, że wierzymy w kształt czasu, ponieważ czas rzeczywiście ma kształt?

Czytał kiedyś o pacjencie jakiegoś sławnego psychoanalityka, którego męczyło złudzenie, że czas doświadcza własnego przemijania i że doznanie to jest niezwykle bolesne - nie dla niego, ale dla czasu. Że czas cierpi podczas narodzin i śmierci każdej sekundy, każdego świtu i zmierzchu.

To nie było takie głupie, to nie była pułapka na naiwniaków, chociaż zapewne i nie historia: raczej coś mniej i więcej zarazem, krytyczna rozprawa, esej, może nawet nie prawdziwa książka, tylko złożony potwór, ssak, nawet osoba, on sam albo ktoś taki jak on. Obojętne; sedno (pomyślał) tkwiło zakorzenione głęboko w ludzkim sercu, jednym z tych nieusuwalnych: *Stary Świat umiera, Nowy się rodzi; przez jedną jedyną chwilę oba można ujrzeć naraz, niczym nowy księżyc w ramionach starego.*

Ta narracja także była stara i zawsze przykuwała uwagę czytelników; kiedyś byli to czytelnicy wielotomowych romansów: *poszukiwanie czegoś cennego, zgubionego lub schowanego, czekającego na odkrycie.* Jeśli koniec końców mu się nie udało, nie był gorszy od niektórych starych romansów, które przecież wciąż cieszyły się estymą.

A więc wszystko miał już gotowe, zapas dziwnej wiedzy na podorędziu, stos notatek, ołówki metaforycznie naostrzone.

Więc dlaczego tak bolało go tego ranka serce i tak niegotów się czuł?

Bał się - to było to.

Gdyż teraz widział jasno - jaśniej w suchym świetle kaca - że w rzeczywistości okres przejściowy minął; przyszedł i odszedł, i nie zmienił świata. Mniej więcej tak samo.

Tak, niedawno świat obrócił się we śnie, mruczając, i wyglądało na to, że wnet się ocknie; tak, widział, jak drży, oślepiiony uderzeniami gorąca jakiegoś klimakterium. Widział to, jak przenika przez otwarte okna mieszkania po drugiej stronie rzeki, gdzie mieszkał z Julie Rosengarten. Ale potem - czy nie stawało się to coraz bardziej oczywiste z każdym mijającym tygodniem, z każdą codzienną gazetą? - czas po prostu nadal otwierał swoje prezenty; w żadnym z nich nie znalazł tego, czego oczekiwał, ani tego, co za pieniądze przepowiadał. Nowe w rzeczywistości wyglądało bardzo jak stare; a nawet obskurniej, i tak jak nowy horyzont nad jego dawną rodzinną ulicą, było zwykłe do bólu. A kiedy nowy okres przejściowy przeminał, poprzedni zaczynał wyglądać mniej przekonująco; im więcej Pierce się o nim dowiadywał, tym mniej zdawał mu się jakąkolwiek epoką, tym trudniej było go podciągnąć pod jakikolwiek mit, w tym jego nowy. Prawdopodobnie była to po prostu historia.

Może gdyby potrafił napisać książkę równie szybko, jak ją wymyślić... Ale potrwa miesiące, lata, zanim postawi ostatnią kropkę, a przecież już zaczynała się wydawać nieznośnie spóźniona.

Kiedys Kraft powiedział o losie książek: ich ogień może wygasnąć, wieczne prawdy, których chwila przeminie, obrócą się w proch, przeminą z wiatrem. Właśnie to działo się z książką Pierce'a, zanim jeszcze trafiła do druku, a on zebrał plon, wyszedł na swoje.

Nie, nie, nie.

Julie wciąż myślała, że żyje w epoce ujawnień, i powiedziała mu kiedyś, że wielu innych także tak uważa: następna epoka staje się widoczna, ludzkość wychodzi z mroków lasu, znajduje przed sobą jasną ścieżkę, ścieżkę przez wzgórza, gdzie wstaje słońce: zaproponowała taką ilustrację na okładkę książki. Ale ona zawsze tam stała - stała tam, odkąd ją znał, oczekując świtu. Pierce czasem jej zazdrościł. Mówiła mu o innych książkach, które także przewidywały cuda: ale on zrozumiał, że i one już się myliły. Czas, kiedy wszystko jest możliwe, przeminał. Od paru chwil Pierce czuł, że pomimo szczęścia i pozytywnych zmian, jakie wprowadził w swoim życiu, w jakiś sposób stał się częścią jakiegoś nudnego planu, pozbawionego znaków szczególnych niezmiennego pustkowia, gdzie postępów nie da się mierzyć. Nie pustkowia t a m; tam wciąż było tak samo owocnie i pełno; pustkowia t u t a j, w jego własnej wewnętrznej krainie.

Frank Barr powiedział kiedyś na zajęciach z historii historii o szczególnej cesze pustkowi w mitach i literaturze: pustkowie składa się w mniejszym stopniu z jałowości, a w

większym z wtórności, bezsensownej, nieskończonej mechanicznej wtórności. Pustkowie pozostaje pustkowie nawet jeśli, który to motyw często się powtarza, zostaje wypełnione i zakwita.

Pierce wiedział, że na pewno nie jest bohaterem. Nie czuł nawet, że jest w centrum świata; często nie czuł nawet, że jest w centrum własnego istnienia. Tak czy owak chwila, kiedy można było wierzyć, że świat składa się z opowieści, przeminęła.

Ale jeśli ta chwila możliwości przeminęła (była teraz tylko iluzją, a zatem zawsze była tylko iluzją), to co go naszło w salonie, kiedy patrzył na róże. Co otarło się o niego, o jego policzek?

Tylko kilwater.

Moce tej epoki patrzyły nań z góry. Powoli potrzęsały wielkimi głowami i cmokały wielkimi językami o zęby. Bez wątpienia wiele trzeba było, by przekuć człowieka w coś; musiałyby najpierw przejść przez ogień wyrabiający hart, by przenieść jakikolwiek cenny przedmiot w przyszłość. Tym, którym się to udało, wiele zostanie dane, bardzo wiele; ale tym, którym się nie uda, zabrana zostanie nawet ta odrobina, którą posiadają. Mógł stracić wszystko, całą wiedzę, całą pewność, nawet przyjazny szacunek do samego siebie, nawet radość, jaką sprawiał mu smak własnej natury.

Patrz przed siebie, chciały zawołać doń owe prastare moce, same potrzebujące odkupienia. *Obudź się*, chciały krzyknąć, ale nawet gdyby przemówiły, Pierce nie byłby w stanie ich usłyszeć; ponieważ na razie były niesłyszalne.

II
NATI

JEDEN

Książki, jak pewne klejnoty, mogą być delikatne pomimo swojej wartości i ciężaru. Podobnie do pereł ciemniejących na skórze niektórych osób, z czasem żółkną; czas rozpuszcza książki, jak ocet rozpuszcza diament, którego nazwa pobrzmiwa niezniszczalnością.

Książki się rozpadają; ich ogień gaśnie, choć wcześniej rozpałał zmysły czytelników, i zostaje po nich zimny popiół: trudno zrozumieć, jak można je było kiedykolwiek czytać z zapalem i respektem. Może się wydawać, że nigdy ich nie czytano, że nawet nigdy nie napisano, że pisarze tylko je zgromadzili, pokrywając strony czymś przypominającym prozę, numerując rozdziały, zaznaczając akapity, wysyłając do druku, gdzie poruszały umysły ludzi, którzy tylko trzymali je w dłoniach i marzyli o ich treści. *Amphitheatrum sapientiae aeternae. Basil Valentinus his Triumphant Chariot of Antimony. Utriusque cosmi historiae.*

Niemożliwe, by ludzie byli niegdyś tak odmienni od tego, jacy są dziś, by uwielbiali i potrzebowali tyle martwego zadrukowanego papieru. A zatem kiedyś książki musiały być inne. Jakże na przykład?

Miłośnik książek, który odwiedził katedrę św. Pawła w Londynie wiosną roku 1583, rozglądając się za czymś naprawdę nowym, mijając traktaty religijne i opowieści o okropnych zbrodniach, stoiska z almanachami i księgami przeterminowanych wróżb albo z ponurymi historiami wojen baronów, mógł położyć ręce na tomie *in folio* po łacinie bez daty i miejsca publikacji, choć wyglądającym na książkę angielską. *Ars reminiscendi et in phantastico campo exarandi* i wiele więcej na zatłoczonej stronie tytułowej.

Sztuka zapamiętywania i rozmieszczania tego, co zapamiętane w wyobrażonej przestrzeni. W pergaminowej osłonie, zszyta, lecz nieoprawna, z nierozciętymi stronami, a więc trudna w lekturze, *caveat emptor*. Nasz miłośnik książek (ten tutaj to młody Szkot z dobrej rodziny, Alexander Dicson, na służbie u sir Philipa Sidneya) widział już książki tego typu, księgi, które zdają się oferować naukę jakiejś użytecznej sztuki: jak pamiętać, jak pisać sekretne kody, jak znajdować w ziemi rudę i klejnoty - ale które wytrwałemu czytelnikowi zaczynają oferować więcej, jak gdyby budząc się ze snu.

Nasz Szkot nawet znał sztukę zapamiętywania, choć nigdy jej nie praktykował: znał miejsca i kojarzone z nimi rzeczy, dzięki którym można zapamiętać przebieg, powiedzmy, kazania albo wykładu. W tej księdze miejsce nazywa się *subjectus*, a rzecz *adjectus*.

Znajdowała się tu też księga „pieczęci”, czymkolwiek były, *ad omnium scientiarum et artium inventionem dispositionem et memoriam*, do odkrywania i porządkowania oraz zapamiętywania wszelkiej nauki i sztuki. Jak pamięć może odkrywać wiedzę? Czyż pieczęć nie jest zamknięciem miast otwarciem?

Następnie Wyjaśnienie Trzydziestu Pieczęci, a potem Pieczęć Pieczęci.

Per cabalam, naturalem magiam, artes magnes atque breves, szeptała strona tytułowa małym drukiem. Kabałą, magią naturalną, sztukami wielkimi i małymi. Przeszując z nogi na nogę, Panicz Dicson przewracał kartki, patrząc na diagramy, litery hebrajskie, Adama wpisanego w kwadrat, Adama wpisanego w koło. Wyjął sakiewkę (pieniądze, którymi miał zapłacić za kwaterę za cały miesiąc) i pytająco uniósł brwi, spoglądając na księgarza.

Och, łowcy stoisk i sklepów, tropiciele bibliotek; wy, którzy wyobrażacie sobie, że można wejść w jakąś stronę tytułową i już nie wrócić - w jedną z tych stron tytułowych, gdzie mądrzy *putti* zamieszczają kości niebios, Boskie Imię po hebrajsku rozsiewa blask nad Ziemią, Hermes przykładą palec do ust, Siedem Sztuk leży na podłodze (wiola, kompas, dłuto i młot), a Badacz w długich szatach rysuje trójkąt, patrząc w gwiazdy - nieważne, jak często przychodzi zawód i wracasz z konieczności na własne krzesło w starym zimnym mieście, zawsze istnieją kolejne książki, zawsze istnieją inne drzwi, chwycić za kołatkę, zastukać. Czyja to w ogóle jest książka? Panicz Dicson wrócił do strony tytułowej. Dedykacja dla francuskiego ambasadora w Anglii. Potem odezwa do wicekanclerza Oksfordu i szanownych wykładowców:

Philotheus Jordanus Brunus Nolanus, doktor (lecz od bardziej abstrakcyjnej teologii), profesor (lecz czystej i bardziej niewinnej mądrości), znany w najlepszych uczelniach Europy, filozof doceniany i przyjmowany z honorami wszędzie, obcy tylko podłym barbarzyńcom, budziciel dusz uśpionych, bicz na bezczelną i zatwardziałą ignorancję, herold powszechnej dobroci; który nie przedkłada Italczyka nad Angielczyka, mężczyzny nad kobietę, mitry nad koronę, senatorskiej togi nad zbroję generała, mnicha nad świeckiego, ale tego tylko, kto jest bardziej pokojowy, uprzejmy, wierny, pożyteczny; który nie dba nic o namaszczone głowę, znak krzyża na czole, dłonie obmyte wodą święconą, obrzezanego członka, ale - co ukazuje jego twarz - o wyrafinowany umysł i duszę. Którego nienawidzą plwacze głupoty i hipokryci, lecz wielbią uczciwi, skorzy do nauki...

Co to jest, u diabła, albo raczej kto. Zamknął księgę, tak czy owak należąca już doń, i ruszył do domu przez tłum podłych barbarzyńców, czując się dziwnie oszukany. Kim był ten Bruno Nolano, którego zabrał, albo któremu dał się nabrać?

Akurat wtedy (bo bywało różnie) był sługą Michela de Castelnau, seigneura de Mauvissière, francuskiego ambasadora króla Henryka III na dworze królowej Elżbiety. Ambasadorowi rekomendował go sam król, który mianował Bruna swoim lektorem *extraordinaire*, podówczas oczarowany Włochem, jego umiejętnościami i możliwościami, które sobą przedstawiał.

A zatem Giordano Bruno Nolano, urodzony pod bardziej przychylnym niebem, przebył kanał i przybył do tego kraju bardziej barbarzyńskiego i brudnego niż inne, bliżej Thule niż kiedykolwiek dotarł, bliżej, niżli chciałby dotrzeć. Dostał pokój we francuskiej ambasadzie w Salisbury Court, nieopodal rzeki, wysoko pod dachem, skąd mógł obserwować cudzoziemskie statki i kupców oraz pogodę, na przemian mżawkę i blade słońce.

Jego obowiązki, o ile miał takie, które dawały się jakoś nazwać, sprowadzały się do obecności przy obiedzie, zabawianiu swoją wiedzą, pobytu w pokojach ambasadora, gdy ten udawał się na dwór. Tyle można było powiedzieć głośno. W ciągu kilku tygodni nauczył się czytać po angielsku i rozumieć mowę, przynajmniej w formie, jaką posługiwano się na dworze. Nikt poza ambasadorem i Johnem Florio, włoskim guwernerem jego dzieci, nie wiedział o tej umiejętności *gentiluomo servante*. Nauczył się na pamięć większości słownika angielsko-włoskiego autorstwa Floria, w umyśle przetwarzając słowa w tancerzy - włoskie były mężczyznami, angielskie kobietami, więc kiedykolwiek przywoływał jakieś włoskie słowo (*tradutto*, na czarno, z pierścieniem z trucizną na palcu), razem z nim pojawiała się partnerka (*treachery*, zdrada, z oczami i językami naszytymi na szatę). Nigdy nie nauczył się dobrze mówić; znał słowa tylko z widoku, znał ich twarze.

Kiedy ambasador ze swą żoną wracał późną porą do Salisbury Court z kolacji u jakiegoś magnata na Strandzie albo z inwestytury czy zabawy na dworze, oddalał pozostałe sługi, zamawiał wino do prywatnej komnaty i razem z Johnem Florio siedział, słuchając, jak Nolano opowiada, co się działo.

„Układ przy stole” - mówił - „signor Leicester po prawej ręce królowej. Signor Burleigh po lewej. Milord Howard. Signor, signor, Raleigh”.

Wszystkich ich dobrze widział, uporządkował sobie ich według typów fizjonomicznych wokół stołu - menażeria sprytnej i wygadanej arystokracji; tylko dziwaczne imiona nie zawsze potrafił wymówić. Florio podpowiadał, w równym stopniu przeszkadzając, co pomagając.

„O godzinie trzeciej” - ciągnął - „signor Leicester i signor Walsingham wychodzą na kwadrans. Wychodzą przez arras przy drzwiach królowej”.

„Czy królowa mówiła o misji ambasadorskiej sir Philipa Sidneya do Francji?”.

„Wtedy nie, wtedy nie. Po ich powrocie. Signor Leicester tańczył. Walsingham też. Nie tak dobrze. Galiardę. Wziął królową za rękę. Potem wybiła godzina. Czwarta”.

„Zatem” - powiedział ambasador - „rozmawiał z Leicesterem. A potem miał szansę porozmawiać z królową. Tak myślę”.

Nolańczyk siedział tylko, nie myśląc, obserwując dworskie rozrywki w miniaturowych galeryjkach i salach, które zbudował w pałacach pamięci, najnowsze, a przez to i wciąż najmniejsze z czternastu rozmaitych królewskich, magnackich i kościelnych dworów - niektórych w stanie ruiny, innych zamkniętych na cztery spusty - które miał okazję wznieść w pamięci, podróżując z kraju do kraju.

Poza szczegółowością relacji ambasadora zdumiewało, że chociaż podczas przyjęć i spotkań Nolano stał tylko w jednym lub kilku miejscach, potrafił opowiedzieć wszystko, jak gdyby był wszędzie naraz: kiedy relacjonował wydarzenia, nie tyle przypominał je sobie, co odgrywał je znów w umyśle, siłą woli przemieszczając się po nich. Czasami słuchanie go było nużące, ponieważ nie miał pojęcia, co ma znaczenie, a co go nie ma (choć się uczył). Częściej jednak było to pouczające. Król mówił o tym kiedyś.

W jaki sposób nolańczyk wykonywał to dla swego pana (jak i inne sprawy, o których z jakichś powodów nie mówił), ów nie wiedział. Król opisał był umiejętności Bruna dojść niejasno, a kiedy sam Bruno tłumaczył swoje techniki z uśmiechem, jak gdyby przyjazna powierzchowność mogła cokolwiek ułatwić, ambasador próbował słuchać. Jego guwerner z czasów dziecięcych przybierał ten sam wyraz twarzy, gdy próbował nauczyć chłopca astronomii, i Bruno nie osiągnął więcej niż tamten. Ambasador zapamiętywał różne sprawy, robiąc notatki lub każąc sporządzać je sekretarzowi. Słyszał o ludziach, czasem nawet dzieciach, które potrafiły dodawać w pamięci wielkie liczby prawie bez zastanowienia albo podać datę Środy Popielcowej w jakimkolwiek minionym lub przyszłym roku. Podejrzewał, że Włoch jest właśnie kimś takim; nie rozumiał, w jaki sposób praktyka w jakiejś sztuce może pomóc osiągnąć to, co osiągnął Bruno.

Tej majowej nocy seigneur de Mauvissière kazał swemu dziwnemu słudze pracować dłużej niż zwykle. Martwił się. Na coś się zanosilo; na coś, w co nie był wtajemniczony, a zarazem w czego centrum się znajdował: nie mógł pozbyć się tego uczucia. Ktoś go wykorzystywał i nie podobało mu się to. Ale kto?

„Kolejność wyjścia” - powiedział Bruno.

Odliczył na palcach do tyłu, zaczynając od najmniejszego palca lewej ręki. Signor Leicester, signor Henry Sidney, signor Raleigh. Milord Henry Howard. Signor Walsingham, który pochylił się, by podnieść pańską rękawiczkę.

„Nie” - odparł ambasador. - „To był mój sługa”.

„Nie” - zaprzeczył Bruno.

Nolańczyk odchylił głowę na krześle i zamknął oczy, choć dłonie, które trzymał przed sobą, wciąż wyrażały gotowość (dwa palce uniesione były jak wieże). Czyja to była rękawiczka?

„Jasna rękawiczka. Z kozłej skóry, barwy cielistej”

„Nie” - powiedział ambasador.

Widział wszystko wyraźnie z miejsca, w którym stał na pokojach ambasadora. Lis Walsingham, cap Leicester, feniks królowa. Wyłupiastooka ryba Earl Howard. To Walsingham o lisiej twarzy podniósł. Nie.

„Podsłoczyła, kiedy podniósł ją z podłogi. To była odcięta ręka. Prawa ręka, odcięta za zdradę. Zostałeś zdradzony przed Walsinghamem”.

„Zdradzony? Jak? Przez kogo?”.

„Intryga wyszła na jaw” - powiedział Bruno. - „Nie: Wkrótce wyjdzie na jaw. Ci, którym ufałeś, zostali zdradzeni przed Anglikami i zdradzają cię”.

„Ależ nie ma żadnej intrygi” - odrzekł ambasador.

Michel de Castelnau splótł ręce jak do modlitwy i uniósł je do ust; jego zmartwione oczy zwróciły się do wnętrza, badając własne czyny i otoczenie. Było po północy. W komnacie powyżej leżała jego żona; miał nadzieję że śpi, nabiera sił po poronieniu, już drugim.

„Nie ma żadnej intrygi” - powtórzył.

Jednak była. Zawsze jakaś jest. Ta sama, tyle tylko, że od czasu do czasu gęstnieje i przekuwa się w czyn, kiedy ludzkie plany i odwaga krzepną. Intryga zakładała wprowadzenie do kraju katolickiej armii, usunięcie heretyckiej królowej angielskiej z tronu i osadzenie na nim jej kuzynki Marii, wcześniej królowej francuskiej, a teraz szkockiej - katoliczki, bo kogóż by innego, a od pewnego czasu więźnia Elżbiety.

Bernardino de Mendoza, ambasador arcykatolickiego króla Hiszpanii; kardynał William Allen, wygnany Anglik na papieskim dworze w Rzymie; papież Sykstus V, który zakazał katolikom posłuszeństwa wobec heretyckiej królowej; księżę Guise i żarliwe serca Ligi Katolickiej we Francji - obecny wariant intrygi obejmował ich wszystkich. Układano dokładne plany z liczbą żołnierzy, ich rozmieszczeniem i miejscem zaokręgowania,

nazwiskami osób przeznaczonych do uwięzienia i zgładzenia.

Francuski ambasador nic o tym nie wiedział. Był zagorzałym katolikiem, a protestancki entuzjizm przerażał go i brzydził; ale był świadkiem nocy św. Bartłomieja w Paryżu, widział, jak katolicycy fanatycy mordują protestantów na jego progu, widział krew płynącą rynsztokami i to na dobre posiało mrok w jego duszy. Nie był godny zaufania; zbyt miękki, zbyt *politique*, by powierzyć mu szczegóły spisku na życie Elżbiety i intrygi mającej na celu nawrócenie jej kraju siłą na prawdziwą wiarę. Nie wiedział, że jego dom jest miejscem spotkań i że pewni angielscy dżentelmeni, którzy schronili się w jego ogrodzie i słuchali z nim mszy w jego kaplicy (Anglicy nie mogli zabronić tam jej odprawiania), są uwikłani w intrygę.

Często pisał szyfrem do Marii uwięzionej w Sheffield, pocieszając ją wiadomościami o negocjacjach w sprawie jej uwolnienia i umożliwienia powrotu do Szkocji, przekazywał wieści od jej szwagra, króla Francji, wysyłał pieniądze i klejnoty od oddanych wasali w Anglii i Francji. Nie wiedział, że jego listy przechwytywano i czytano przed oddaniem ich adresatce, nie zawsze bez ingerencji w treść.

Nie wiedział, że jego osobisty sekretarz (Francuz, z problemami finansowymi, o nazwisku Courcelles) siedział w sakiewce u Walsinghama i Anglików i przekazywał im wszystko, co ujrzał, usłyszał i przeczytał w domu i dokumentach ambasadora; ani że jego kapelan, odprawiający msze, kładący mu na języku hostię, także był agentem Anglików i donosił o wszystkim, co widział i słyszał - także w mroku konfesjonału.

Dwudziestego dziewiątego ów ksiądz napisał do zwierzchnika szpiegów Elżbiety, sir Francisu Walsinghama: „Monsieur Throckmorton był dziś na kolacji u ambasadora. Katolik. Niedawno przekazał w imieniu ambasadora tysiąc pięćset *écus sol* królowej Szkotów [...] O północy ambasadora odwiedził milord Henry Howard, rzymski katolik i papista" - który wszedł skrycie przez ogród i obudził ambasadora garścią piasku rzuconą w okno, by porozmawiać z nim o uratowaniu szkockiego katolika, przebywającego w ambasadzie, by uniknąć więzienia; takie zadania powierzano ambasadorowi.

Włoski *gentiluomo servante* nie pojawiał się w niczyich raportach; nikt nie próbował go zwerbować. Mówił zbyt dużo i zbyt głośno. Zwłaszcza kapelan go unikał: kiedy czuł, że Bruno zwraca nań uwagę, pod byle pretekstem chował się w zakrystii, pocąc się i przebiegając w myślach wszystkie swoje poczynania tego dnia, szukając błędu, który Bruno mógłby zauważyć. Ale w spojrzeniu Bruna był tylko pełen fascynacji wstręt, szczerze docenienie osobnika pewnego gatunku. Wszakże Giordano Bruno sam niegdyś był mnichem; wciąż miał na sobie święcenia, jego palce wciąż były namaszczone, nic nie mogło zmyć z

nich krzyżma; i potrafił odróżnić dobrego księdza od złego.

„Z godnością znosisz, panie, głupców” - powiedział Bruno do ambasadora późną nocą w prywatnych komnatach. - „Ja nie mógłbym”.

Wąska, ascetyczna twarz ambasadora rozszerzyła się w lekkim uśmiechu.

„Ty jesteś filozofem” - odpowiedział - „sięgasz wzrokiem dalej. Być może. Te kłopoty są niczym *sub specie aeternitatis*. A pomimo to uczynieni jesteśmy z krwi i kości, jesteśmy tutaj. Mamy do wykonania zadanie. Porozmawiajmy teraz o przyjęciu na dworze księcia Łaskiego...”

I tak John Florio podniósł pióro, a Bruno splótł palce z sarkastycznym uśmiechem na twarzy, zagramy w to, skoro musimy. Niewielu ludzi nolańczyk kochał tak bardzo, jak na to pozwalało jego ogromne serce: seigneur de Mauvissière był jednym z nich. Podał mu zatem teraz kolejność gości przybyłych na przyjęcie, charakter złożonych komplementów, poczynione na boku uwagi i wyrazy twarzy ich autorów, zwycięzców w grach i przyznane im nagrody, niewypowiedziane nurty strachu, złości, nieświadomości i podejrzliwości, które trzymały je wszystkie razem jak sieć.

Francuski ambasador nie rozumiał, w jaki sposób Bruno potrafi robić to, co robi; ale Alexander Dicson wiedział. Czytał bowiem (w przeciwieństwie do ambasadora, któremu była dedykowana) książkę Bruna na temat pamięci.

Zapamiętać coś można, tworząc na stałe w umyśle serię miejsc, części dużego budynku, takich jak przejścia, okna, korytarze, schody, filary, krużganki, a nawet ogrody i stodoły. Można przyswoić pamięciowo prawdziwy budynek lub wymyślić sobie obszerniejszy i bardziej złożony. W miejsca lub części (*subjecti*) wstawia się obrazy (*adjecti*) tego, co chce się zapamiętać, i w kolejności, w której chce się je zapamiętać. Obrazy powinny pobudzać emocje, ponieważ to, co uderzające, piękne albo obrzydliwe łatwiej zapamiętać niż to, co nijakie i nieciekawe.

Bardzo dobrze; Dicson ćwiczył tę umiejętność, wykorzystując niewielką przestrzeń pokoju w Ox and Pearl, i metoda zdawała się sprawdzać. Potem robiło się trudniej.

Kiedy miejsce w pamięci wypełni się interesującymi i ważnymi kwestiami, których nie chcesz się pozbyć, można je rozbudować; podczas podróży dodawaj nowe miejsca, dołączaj do nich proste mosty albo bramy do wcześniejszych miejsc; albo zawieraj stare miejsca w nowych placach czy ulicach. Pamięć rośnie i nic się nie traci.

Czy jest możliwe, zastanawiał się Dicson, wykorzystanie sztuki zapamiętywania do zachowania i przywoływania zasad jej samej? Budować domy i tworzyć obrazy, by pamiętać

o zasadach budowania domów i tworzenia obrazów? Nawet nie dotarł jeszcze do Pieczęci. Wyjął papier i inkaust, żeby zrobić notatki, i znowu je odłożył.

Pierwsza Pieczęć to Pole: Pole to sama pamięć, która nie różni się od *vis imaginativa*, fantazji. Spójrz na Pole, na jego bruzdy; chociaż bowiem Pole wydaje się płaskie i oczywiste, wiemy, ile zawiera kryjówek. W miejscach tych znajduje się praktycznie nieskończona liczba rzeczy, które oczy, uszy i inne zmysły umieszczały tam, odkąd byłem chłopcem, każda scena z dzieciństwa, każda szlachetna czy głupia osoba, każdy pies, gwiazda, kamień, róża. To chaos Anaksymandera. Wiem, co się tam znajduje, ale nie mogę tego osiągnąć, a nawet jeśli dosięgnę, nie wiem, z czym wyjdę, z klejnotem, psim gównem, czymś pożytecznym, czymś niepotrzebnym. Jak narzucić porządek nieskończonej pamięci?

Druga pieczęć to Łańcuch. Dicson zaczynał rozumieć. Wszystko, bez względu na to, czy postrzegamy to natychmiast, czy nie, jest połączone, to co niżej z tym, co wyżej, to co poprzedza z tym, co następuje, to co jest pierwsze z tym, co kolejne i tak dalej. Baran oddziałuje na Byka, Byk na Bliźnięta, Bliźnięta na Raka: zodiak jest łańcuchem; każde z jego ogniw składa się z mniejszych łańcuchów, *ad infinitum*. Wszystko ma swoje miejsce. Tak też uporządkowana jest pamięć.

Dicson rozciął strony nożem, pochłaniając chleb, ser i tekst. Kroił chleb, ciął papier. Pieczęcie robiły się coraz trudniejsze.

Wędrowiec, który kroczy przez różne komnaty pałacu pamięci, zbierając to, czego potrzebuje, z tego, co zgromadzono dla innych powodów. Stół, gdzie siedzi dwudziestu trzech ludzi, których imiona zaczynają się od liter alfabetu. Dicson powoli zaczynał rozumieć, że należy zapamiętać poszczególne słowa za pomocą tych ludzi, którzy zamieniają się miejscami z wielką szybkością, literując słowa w umyśle, kiedy język je wypowiada; niemożliwe. Ale pieczęć nazwana Stuleciem wykorzystywała nie dwudziestu trzech ludzi, ale setkę chłopców i dziewcząt (powinni być młodzi, ładni, twoi przyjaciele, powiedział Bruno, dobrze znane twarze; Dicson wątpił, czy zna twarze stu ludzi), którzy mieli stać w różnych miejscach pamięci, gotowi do obnoszenia emblematów, odgrywania ról; roześmiana, pomocna świta, zawsze do twoich usług. Zawsze. Z jakiegoś powodu w oczach Dicsona pojawiły się łzy.

Był też ogród Kirke, gdzie cztery żywioły przekształciły się w siedmiu domach przynależnych planetom, generując nie tylko wszelkie gatunki zwierząt i roślin, ale także wszelkie ludzkie typy, które przypominały je wyglądem lub naturą, gorąco-suchy, uwielbiający słońce Lew, jego żółty Dmuchawiec, jego planeta Sol, Król, którego natura i twarz jest jak jego własna. Strumień żywiołów Anaksymandera nabierał kształtów i porządku w umyśle artysty pamięci.

Wszystko następuje od tego, co niżej, do tego, co wyżej, i począwszy od tego, co najniżej, można dotrzeć do tego, co najwyżej. Dicson w połowie schodów na szczyt nie śmiał spojrzeć w dół; próbował wymacać stopą następny stopień, wyciągając ręce jak ślepiec. Dwudziestą drugą Pieczęcią była Fontanna i Lustro. Lustro odbija fontannę: dar wieczności tryska bez przerwy, nieprzeliczone kłębowisko tego i tamtego, ale lustro, Umysł, zawiera każdą kroplę dokładnie w takiej formie, w jakiej powstała. Dlaczego się martwimy, dlaczego ogarnia nas konfuzja? Jest tylko jedna Wiedza, zawarta w jednym Temacie.

Nie potrafił przeczytać naraz więcej niż kilku stron, nim wstawał osłabły i z zawrotami głowy; później nie mógł przyswajać więcej niż jedną stronę, jeden akapit, nim musiał podnieść przepelnione oczy. Na ostatku dotarł do Pieczęci Pieczęci.

Od kilku dni nie służył swemu mecenasowi, sir Philipowi, nie prowadził interesów swej rodziny na dworze. Myślał czasami, że wpadł w łapy jednego z tych dumnych nauczycieli, którzy rozprawiają o tym, czego potrafią dokonać, nie po to jednak, by pozwolić uczniowi także tego dokonać, ale by wzbudzić jego zadziwienie i utwierdzić go w pewności, że sam nigdy tego nie dokona. Bruno na stronach książki zawarł aluzję do innych traktatów, które napisał, innych form Sztuki Zapamiętywania, które znał, systemów innych niż ten z pieczęcią i polem: i jeśli Dicson poprawnie odczytywał jego nieprzyjemną dla oka, pisaną maczkiem łacinę, autor twierdził, że z owych systemów stworzył inne sztuczne konstrukcje pamięciowe, zawierające setki tysięcy pozycji, i że używał ich wszystkich wymiennie i jednocześnie albo w kombinacjach.

Zmęczony lekturą, której nie mógł w całości objąć umysłem, Dicson zdjął okrągłe okulary, które i tak niewiele mu pomagały, i odłożył je. Kiedy zgasił łojówkę, mroczne okienko rozjaśniło się troszkę i Dicson podszedł doń. Ujrzał, jak w innych oknach, tu i tam, też gasną świece: inni ludzie pogrążeni w nocnej lekturze albo miłości.

Bezksiężycowa północ: większość gwiazd zakrywały chmury; światła Londynu były przyćmione, sznury pochodni jaśniały przy nadbrzeżnych schodach, świece w oknach, chłopcy z pochodniami śpieszący przed spóźnionymi dżentelmenami; mroczna rzeka rozcina noc, biegnie pod oknem Dicsona, wzdłuż Salisbury Court i budynków wzniesionych przy Strandzie, ku Westminster.

O tej samej porze, nieco dalej w górę rzeki, w domu we wsi Mortlake, dwóch mężczyzn klęczało przed przezroczystą kulą ustawioną pośrodku malowanego stolika; i chociaż pokój oświetlały świece, kula podświetlona była także z wewnątrz i oświetlała twarze wpatrujących się w nią mężczyzn. Cóż widzieli? John Dee tylko nieskończone głębie przejrystości kamienia; Edward Kelley anioła Uriela.

Zapytali anioła: co znaczyła wizja, która nawiedziła przy kolacji Kelleya, niespodziewanie i nagle, wizja morza i statków na jego powierzchni; i dekapitacji kobiety przez wysokiego mężczyznę w czerni?

Uriel odpowiedział. Głos, jakim się posługiwał, należał do Kelleya, chwilami był tak cichy, że ledwie słyszalny, jak głos człowieka budzącego się ze snu lub zapadającego weń; John Dee zapisał wszystko:

Pierwsza oznacza wraz z zamiary cudzoziemskich sił przeciwko tej krainie, które wnet zostaną zrealizowane. Druga zgon królowej Szkotów.

„Królowej Szkotów” - powiedział Dee, patrząc na to, co napisał.

„*To nastąpi rychło*” - szepnął Uriel albo Kelley. A John Dee napisał: *To nastąpi rychło.*

DWA

W dzień świętego Jana John Dee cały ranek chodził po polach Mortlake. Walijczycy, z których się wywodził, zwali ten czas *Beltaine* - druga, lepsza połowa roku. Zeszłego wieczora na Richmond Hill wraz z sąsiadami rozpałił ognisko wedle starego, dobrego zwyczaju, którego purytanie tak bardzo nienawidzili; tyle było w tym roku problemów, a królowa przebywająca właśnie w Richmond przesłała mu barylkę wina z Wysp Kanaryjskich dla uciechy. Po niebie sunęły jajowate obłoki niczym owieczki, letnie chmury i słońce, też młode i gorące.

Podciągnąwszy długi płaszcz, z pończochami mokrymi do kolan, doktor Dee wziął kosz i poszedł wzdłuż strumienia zbierać zioła z zarośniętych brzegów. Tu i tam krowy piły wodę albo podnosiły ku niemu wzrok i wielkie spokojne łby. Była tu mięta dwóch rodzajów, do herbaty i cukierków; mirt do bukietów, róża - kwiat Wenus - dla żony. Był też żywokost lekarski, z którego dało się wykorzystać korzeń, łodygę, liść i blady kwiat uwielbiany przez pszczoły. Dee roztarł liść mięty między palcami i wciągnął w nozdrza woń lata.

Nie musiał tu przychodzić, wszystko to można było kupić, pewna kobieta dałaby mu to, czego potrzebował, za dar wizyty u niej, a znała się na nich lepiej od niego. Ale lubił zbierać zioła. Pomyślał, że sam Galen musiał oddawać się kiedyś temu zajęciu: ujrzeć te zioła, które z daru Boga i w promieniach Jego słońca rosły dla wygody i zdrowia człowieka, widzieć je nie w słojach i koszach, albo wydestylowane w aptekarskich nalewkach, lecz rozwijające się we własnym tempie z ziemi, poznawać je po liściach i kolorach - to przynosiło mądrość i sprawiało, że lekarz był dobrym człowiekiem: doktor Dee tak sądził, chociaż mogło być mu trudno tego dowieść. Zatem - z głową pełną słońca i oczyma przemierzającymi ziemię - chodził po polach Mortlake, mrużąc cicho i bez melodii niczym pszczoły.

Była też werbena, delikatne liliowe kwiatki na cienkich łodygach. Kiedy się ją zerwie, tak mówiła staruszka, i jeśli podziałają, trzeba się pomodlić w ten sposób: *Święć się, święte zioło, rosnące na ziemi; dobreś jest na bóle wszelakie, uleczyłoś Chrystusa i ukoiloś Jego rany; w imieniu słodkiego Jezusa zrywam cię z ziemi.*

Zmówił modlitwę, przypomniawszy sobie jej słowa, choć wiedział, że zdrowotne właściwości zieleń są całkiem naturalne i niezależne od czarów. Były też pierwiosnki, kwiaty słońca: trzymaj je przy sobie, noś złoto, weź błękitne powietrze i wpisz słońce w smutny

saturniczny horoskop. Doktor Dee wykopał je dla Kelleya. Owinął korzenie wilgotnym papierem i włożył do koszyka. Melancholia Kelleya wymagała silniejszych medykamentów, lecz wpływu obecności tego ładnego kwiecica w jego oknie nie można było zlekceważyć.

Dee spojrział w przejrzyste niebo, gdzie widniały dziwne ognie, takie jak te, które widzi oko, kiedy z ciemności spogląda nagle w światło.

Myślał czasem - nieczęsto - że być może zanim Kelley zastukał do jego drzwi, był szczęśliwszy: a kiedy tak myślał, jego serce kurczyło się ze zgrozy, jak gdyby myśl ta miała moc wypędzenia młodzieńca spod drzwi tamtej dawno minionej nocy: a teraz Dee nie mógłby sobie bez niego poradzić.

Kiedy Kelley przybył do domu Dee w Mortlake rok i kwartał temu, pewnej wietrznej marcowej nocy, przyniósł mu księgę do zbadania, księgę zapisaną kodem, którego Dee nie mógł złamać, w języku, którego nie potrafił przetłumaczyć. (Wciąż leżała w domu, w pokoju Kelleya pod poduszką, skąd szeptała doń w snach). Doktor Dee, jak zawsze wyczulony na rzadkie wrażliwe dusze, zdolne spojrzeć w pustą kryształową kulę albo lustro z czarnego obsydianu (albo w naczynie pełne wody, lub też szklany paciorek) i ujrzyć oraz usłyszeć w niej twarze i głosy, poprosił Kelleya, by ten zasiadł przed taką kulą - Dee miał powody sądzić, że łączy ona z duchami - a młodzieniec ujrzał je oraz usłyszał. Od tamtej nocy Dee zapisywał w księgach odbyte rozmowy Kelleya z aniołami. Doktor Dee miał wielki dar, podobnie jak Edward Kelley; różnica polegała na tym, że Dee wiedział o tym i co dzień dziękował zań Bogu, a Kelley zdawał się być go nieświadom.

Wtedy nie nazywał się Kelley, tylko Talbot. Przez kilka miesięcy pozostał przy tym nazwisku, aż pewnego zimowego dnia u drzwi pojawił się jego brat, noszący nazwisko Kelley: zepsuty chłopiec, którego oczy przeszkakiwały ciągle z kąta w kąt, patrząc (jak mówiła żona doktora Dee), co by tu ukraść. Ów brat stwierdził, że Edward Talbot znalazł sobie dobre miejsce i ma tam trochę władzy, którą zapewne chciałby się z nim podzielić, ale Dee go odesłał: wcześniej jednak (pomimo krzyków protestu Edwarda) brat wszystko powiedział.

Tak więc okazało się, że Edward Talbot, Kelley, nie był wcale uczony ani nie miał dyplomu z Oksfordu, jak utrzymywał; nie podróżował po Walii, lecz ukrywał się w domu brata przed poszukującym go konstablem. Opowiadał wtedy ohydne kłamstwa i nie czuł wcale wyrzutów sumienia; być może odczuwał wstyd i smutek z powodu tego, że zasmucił innych, ale nie wyrzuty sumienia czy nawet zakłopotanie. Jak gdyby dlań przeszłość była tylko wyborem ze wszystkich możliwych opowieści, które mogły się zmienić, kiedy przyjrzy się im kolejny raz.

Poznanie prawdy (fałszerstwa, uszy przycięte przez kata za czary, których wciąż się

wypierał), tylko utwierdziło Jane Dee w jej strachu przed Kelleyem i wstręcie do niego. Następną kłótnia odbyła się między nimi dwojgiem; padło wiele słów, które trudno było cofnąć, dużo łomotano w drzwi i pakowano się. Nie zostanę w domu, gdzie mnie nie chcą. Gdzie mnie nienawidzą. Wyjadę jeszcze tej nocy. Zabierz rękę z mego płaszcza. Zajmij się żoną.

Na górę, by bezskutecznie otworzyć drzwi pokoju Jane, zza których dochodził jej szloch, i znów na dół, by zobaczyć, że Kelley nie wyrusza z takim pośpiechem, jak się wydawało: wciąż się pakuje, podarki od Dee, książki od Dee. Był zawadą, powiedział, żył tu jak więzień, lepiej by mu było daleko stąd, gdzie mógłby udać się za granicę i nie przejmować się obmową. Koniec z pokojem na tyłach, koniec ze wszystkim, nic z tego tutaj nie ma, musi się nauczyć czegoś, z czego mógłby żyć.

Ale czy nie obiecaliśmy sobie paru rzeczy, powiedział spokojnie Dee, a Kelley go przedrzeźnił: obiecaliśmy, obiecaliśmy, tyle się obiecuje, a nic z tego nie wychodzi.

Nie dostaną kamienia, jeśli poproszą o chleb. Dee był tego pewien. Jeśli chodzi o pieniądze, on sam ma trzysta funtów i nie jest mu wiadome, skąd można wziąć więcej, ale przeszedłby kraj wzdłuż i wszerz, żebrząc, gdyby mógł się nauczyć czegoś pożytecznego, jakiejś mądrości, dzięki której mógłby czynić służbę bożą na Jego chwałę. Ze łzami w oczach. Pomyślał, że Kelleya i jego w głębi duszy coś łączy, przynajmniej to. Kelley wreszcie odstawił torbę, spojrział w mrok okna i umilkł; ale cicho łkał.

Wszystkie te boleści spowodował duch o imieniu Belmagel, *podżegacz, który śledził cię był z dawien dawna*: poinformował ich o tym dobry anioł Uriel następnego wieczora, kiedy klęczeli znów razem w pokoju na tyłach, przed stołem, na którym spoczywała szklana kula, gdzie Kelley (choć nie jego pracodawca i opiekun) widział obroty innego świata.

Stara kobieta od ziół nazywała się Mateczką Godefroy, choć nie miała już dzieci i mieszkała sama. Jej synowie stracili niewielkie dochody uzyskiwane z ziemi, kiedy podzielił ją na działki miejscowy pan i przekształcił w pastwisko dla owiec. W końcu chłopcy opuścili dom rodzinny i Mateczka Godefroy nie wiedziała, gdzie się podziewają: czy są żebrakami, rozbójnikami, a może dzikusami szukającymi korzonków na odludziu.

Z czasem jej domek stał się częścią ogrodzenia, do którego przylegał. W lecie gałęzie akacji i głogu zaglądały do środka przez okno, a wiciokrzew i przestęp biały spletały się z jej strzechą. Żółte ściany z kamienia i gliny miały w sobie coś z jaskini; ale podwórze było zamiecione i czyste, a w donicach u drzwi w pełnym słońcu kąpały się bazylia i rozmaryn; ku słońcu twarz wyciągała także Mateczka Godefroy, siedząca na ławce.

„Dzień dobry Mateczko” - powiedział doktor Dee, stojąc u wrót. - „Jak się powodzi?”.

„Miło, że dobrodziej pyta” - powiedziała Mateczka Godefroy. - „Powodzi się jak zawsze”.

„Czy wolno mi wejść?”.

„Proszę, ale ja zostanę na zewnątrz” - odpowiedziała. - „Błogosławione słońce”.

Pchnął plecioną furtkę i wszedł. Zaskoczony tym kot skoczył z podwórza na ścianę i dach w dwóch zgrabnych susach.

„Cichaj, Filemonku kochany”.

Doktor przysiadł się do niej na ławce. Jej twarz, szeroką i płaską niczym księżyc albo biały pudding, pstrzyły krosty; usta, z których dobywał się zmęczony oddech, świeciły szeregiem małych jak u dziecka ząbków.

„Przybyłem po radę” - powiedział doktor Dee - „i po zioła, jeśli można”.

„Służę”.

Bez Mateczki Godefroy Mortlake nie dałoby sobie rady. Tylko ona знаła medykamenty, na które było stać większość ludzi. Akuszerki udawały się do niej po leki uspokajające i otępiające. Młode dziewczęta przychodziły dowiedzieć się, czy są kochane - Mateczka Godefroy zawieszała wtedy nożyczki na nitce albo upuszczała bierki - a jeśli nie były, prosiły o eliksir miłości. Potrafiła sprawiać, że krowy miały cielaki, albo też - jak twierdzili niektórzy - wyjaławiać je. Jedno oko miała sine i mętne jak u noworodka: ślepotą. Ale niektórzy mówili, że tak naprawdę nie jest wcale taka ślepa.

„Młodzieniec, który u mnie mieszka” - powiedział doktor Dee.

„Tak” - powiedziała sprytna staruszka. - „Ten, co widzi coś w kuli”.

„Tak”.

Nie podobało mu się, że Mateczka Godefroy wie tyle o Kelleyu, tym bardziej że nie miał pojęcia skąd. Postanowił nie pytać, wiedząc, że na tym rzecz się skończy. Miała swoje powody, żeby trzymać takie informacje dla siebie.

„Miał się ożenić” - powiedziała.

„I tak się stało. Ona nazywa się Joanna Cooper, pochodzi z Chipping Norton. Jakiś czas po ślubie pozostawała w domu. Słała mu listy, a on ją odwiedzał. Teraz jest tutaj. Młodziutka, zaledwie osiemnaście lat”.

Była też dobrym dzieckiem i otwartym, w sposób, który rozczulał, a zarazem w jej wielkich lisich oczach widać było coś przywodzącego na myśl krzywdę. Jane Dee po nocy besztania ukochanego męża za sprowadzenie Joanny do domu (z furią rozrzucała pościel, odsuwając się odeń, a potem wracając, by znów dmuchać mu do ucha) nie była w stanie okazać dziewczynie chłodu; zaprzyjaźniły się i lepiej im było z sobą niż którejkolwiek z

nich z Kelleyem. Żona Kelleya okazała się pracowita i radosna: wieczorami z nim siadywała, chociaż on od czasu do czasu wstawał i kręcił się, jak gdyby chciał się pozbyć czegoś uprzykrzonego.

„Myśle” - powiedział doktor do Mateczki Godefroy - „że jeszcze z nią nie był jak mąż z żoną”.

Staruszka pokiwała głową i przyłożyła kciuk o czarnym paznokciu do podbródka.

„A to on jest niechętny czy ona?”

„Nie jestem pewien, ale chyba on”.

„Ach tak” - powiedziała i znów złożyła dłonie na obszernym podołku.

„Znam twoją mądrość, Mateczko. Wierzę, że możesz znać napar lub zioło, które rozgrzewa zimną krew”.

„Być może”.

Przez pewien czas zastanawiała się, a doktor Dee czekał cierpliwie.

„A podasz mu to w sekrecie czy otwarcie?”

„Nie w sekrecie. Żadnych czarów, Mateczko”.

Uśmiechnęła się i spojrzała nań dobrym okiem.

„Sekrety sprawdzają się najlepiej”.

Ale nie narzucała się mu, temu wspaniałemu i dobremu człękowi. Wstała i zniknęła w mrocznym wnętrzu domku.

Sekret. Włóż bukiet pod poduszkę. Albo połóż gałązkę tego czy tamtego na jego konterfekcie, albo zwiąż ją kosmykiem włosów. Wieśniaczka tak by postąpiła, albo chciałaby tak postąpić, by zadbać o afekt wybranka. Czar zawierał się tylko w rumieńcu, jaki wywoływał na jej policzku, w nadziei widocznej w oczach, gdy znów go widziała.

Rumieniec wstydu rozpałił policzek doktora. Do czego to doszło: prosił doświadczoną kobietę o lek, by mężczyzna stanął na wysokości zadania. Rajfur. Kto by pomyślał, że praca zmusi go do tego, i to w tym wieku.

A wszystko dlatego, że one, anioły w szklanej kuli, w jednym z najwcześniejszych przekazów nakazały Kelleyowi się ożenić: chociaż protestował, że nie ma ku temu żadnej ochoty ani nie pożąda żadnej żony. I w istocie było w nim coś nieufornowanego, coś dziecinnego, jak gdyby pomimo uczonej bródki był wciąż chłopcem, któremu kobieta na nic.

Nie. Tym, co ów mężczyzna kochał (jedynym, o czym doktor Dee wiedział), co rozpałalo go i na co brały go ciągoty, było złoto. Nie bogactwo, a złoto: sam złoty metal, dziecię słońca, ciepły (powiedział) w dotyku.

W tamtym okresie był poszukiwany za fałszerstwa; tymczasem dążył (jak twierdził)

nie do tak podłych zajęć, lecz do wielkiego Dzieła. Nie miał powodzenia. Jeśli człowiek chce sprawić, by złoto się rozmnażało, sam musi przekazać mu moc; żaden impotent nie może tego uczynić (jak powiedział) i dlatego właśnie (jak powiedział) anioł Michał kazał mu się ożenić i przysiąc na świetlnym mieczu, który doń wyciągnął: aby mógł wydać owoce. Dlatego właśnie John Dee ruszył poszukać mu żony. I znalazł.

Żona. Od jej boku Kelley zrywał się o północy, a rano znajdowano go śpiącego w koszuli, zwiniętego pod kuchennym paleniskiem jak pies.

„Proszę” - powiedziała Mateczka Godefroy, wyszedłszy z pomroki domku.

Podawała doktorowi buteleczkę pszczelego wosku.

„Tu jest więcej niż jeden składnik. Roztop zawartość w possecie¹⁵ i każ mu wypić. Trzeba też wypowiedzieć zaklęcie”.

Schowwał buteleczkę i (wiedząc, że nie weźmie odeń pieniędzy) dał jej flakon alkoholu, którego sama nie potrafiła przyrządzać, do wyrabiania kordiałów. Posiedziawszy z nią i porozmawiawszy jeszcze czas jakiś, ruszył do siebie, czując się zarazem pełen winy i radości; niebo pokryła teraz warstwa chmur i zrywał się silny wiatr.

Nie był bezpłodny, wcale nie: Kelley spłodził dziecko zrodzone w przejrzystym zimnym kamieniu, niewidoczne dla innych. Doktor Dee asystował przy narodzinach dziewczynki i pomagał ją wychowywać, aż nauczyła się mówić i odpowiadać.

Było to pewnego majowego poranka - pojawiła się jak gdyby po raz pierwszy, kiedy siedzieli, rozmawiając o polskim księciu Adelbercie à Lasco i o zaszczycie, jaki ich spotkał: jak mecenat takiego człowieka może uchronić ich przed wrogami na dworze, przed którymi ostrzegały ich duchy. Nagle pojawiła się obok nich, niezapowiedziana i nieprzewidziana, „urodziwa dziewczeczka siedmiu czy dziesięciu lat, odziana w zielono-czerwoną szatę” - pisał doktor Dee o wizji Kelleya - „a długie włosy spływają jej nisko na plecy” - łańcuch splecionego złota.

Szybko wyszła ze szklanej kuli i zaczęła poruszać się po gabinecie doktora i stosach ksiąg w wielu językach, wznoszących się wszędzie niczym wieża Babel, książek otwartych i zamkniętych. Zdawały się ustępować jej miejsca i pozwalać jej przechodzić.

„Czyjaś ty jest?” - spytał doktor Dee.

„*Czyjś ty jest?*” - odpowiedziała jak bystry żak znający reguły.

„Jam sługa boży, z własnego obowiązku i wierzę, że i za jego zgodą”

Wydawała się zadowolona z odpowiedzi i już miała się odezwać, kiedy pojawił się

inny głos, dochodzący z rogu, gdzie stała wielka luneta.

„Jeśli powiesz, będziesz bita”.

Kelley nagle podniósł wzrok, jak gdyby wyrwany z zadumy, i rozejrzał się za mównicą, lecz nie ujrawszy nikogo, znów się rozluźnił i przybrał swoją dziwną posturę, którą doktor Dee tak dobrze znał - z rękoma luźno założonymi na piersiach, ale co chwilę opadającymi, jak gdyby zapadał w sen i się przebudzał, jak senny mnich przy modlitwie; dziecko znów przemówiło.

„Czyż nie jestem urodziwa?”.

„Czy wiesz, że cię nie widzę?” - zapytał doktor Dee łagodnie. - „Myślę, że jesteś urodziwa, ale cię nie widzę”.

„Pozwól mi się tu pobawić. Moja matka powiedziała, że przybędzie tu zamieszkać”.

„No cóż” - odparł doktor Dee, zdumiony i rozbawiony, jak przy zabawach własnych córek. - „Cóż...”.

Ale straciła zainteresowanie, a Kelley opowiadał, jak chodzi po pokoju, zapominając o kryształomancie i jego panu, bo pochłonęło ją to, co widzi, i jej własne reakcje; zachowanie typowe dla dziewczynki; czasem podśpiewywała.

„Błagam, pozwólcie mi zostać jeszcze chwilę” - mówiła do kogoś niewidocznego jak do troskliwej, ukochanej niani: i śmiała się cicho, być może otrzymawszy pozwolenie, a doktor Dee, choć mówił, że jej nie widzi, wyobraził sobie, jak wygląda; widział jej blond włosy i rumieniec na pulchnych policzkach, i wielkie oczy w kolorze miodu - to była jedyna jej cecha, która peszyła, jedyna jej cecha niedziecięca - niewinne i czyste jak u dziecka, ale nienależące do dziecka. „Powiedz, kim jesteś”.

„Proszę, pozwólcie mi się z wami pobawić, a powiem wam, kim jestem”.

„Na Jezusa, powiedz zatem!”

Głosem wytrawnego mówcy rzekła:

„Na Jezusa, jestem biednym dziewczęciem o imieniu Madimi. Jestem przedostatnim dzieckiem mojej matki”. A innym głosem, głosem małej dziewczynki: *„A w domu mam maleńkie dzieciątka”.*

„Gdzie jest twój dom?” - zapytał doktor Dee.

„Nie śmiem zdradzić, gdzie mieszkam, bo będę bita”.

„Nie będziesz bita, mówiąc prawdę tym, którzy miłują prawdę” - powiedział natychmiast doktor Dee, jak do każdego błądzącego dziecka, nie zastanawiając się, skąd ona

¹⁵ gorący napój ze słodzonego mleka z korzeniami, piwem albo winem.

pochodzi ani co grozi jej za ujawnienie tego faktu.

„Wiecznej prawdzie (powiedział pobożnie, unosząc palec wskazujący, jak gdyby przed jedną ze swoich córek) wszelkie stworzenie winne jest posłuszeństwo”.

„*Będę. I przybędę mieszkać z tobą*”. A potem wesoło: „*Wszystkie moje siostry mówią, że muszą przybyć mieszkać tu z wami*”.

I doktor Dee usłyszał, choć nie w uszach, jej perlisty śmiech.

A zatem stary opat Trithemius mylił się, choć tyle wiedział o aniołach, kiedy mówił, że nigdy nie przybierają kobiecej postaci. Być może z szacunku dla mnisich skrupułów postanowiły nie pojawiać się w niej przed Trithemiusem.

Ale mogły, mogły być kobietami albo wyglądać jak one, a przynajmniej jak dzieci płci żeńskiej, dzieci zmienne, pełne kaprysów i niezmordowanej pomysłowości, zbyt młode, by rozróżniać prawdę od fałszu i przejmować się tym rozróżnianiem; bystre, próżne i kochające.

Mogły być dziećmi: ale czy mogły także się rodzić i rosnąć? Choć wyglądało na to, że Madimi nie objawiła im się przed tamtym białym majowym porankiem, Edward Kelley pomyślał wtedy o pewnej marcowej nocy rok wcześniej, w 1582 roku, kiedy po raz pierwszy uprawiał krystalomancję u doktora Dee; a przecież wydawało się, że to jeszcze dawniejsza przeszłość; pomyślał, jak po raz pierwszy ukląkł i po uroczystej modlitwie spojrział w kryształową kulę barwy moleskinu. Pośród uśmiechających się potężnych postaci, które zaczęły ją wypełniać, kiedy tylko spojrział, zobaczył jedną ze zwierciadłem w rękę, w którym otwarło się okno. Siedziała tam naga dziewczynka z kryształową kulą w dłoni: oczy miała (jak teraz pomyślał) duże, w kolorze miodu, przenikliwe i łagodne - takie same jak Madimi.

A potem, pewnego wieczoru tej samej wiosny, kiedy już wykonali stolik według zaleceń aniołów i brakowało im tylko nowego kamienia do ustawienia pośrodku, w zachodnim oknie komnaty, pośród sztabek zakurzonego światła słonecznego rzucanego przez okienne słupki, pojawiła się kolejna naga dziewczynka, o kilka lat starsza od tamtej, z kulą w dłoni, która (doktor Dee pisał gorliwie, żeby nie zapomnieć) „była najjaśniejsza, najprzejrzystsza i najwspanialsza, wielkości jajka”. Archanioł Michał wskazał na nią mieczem (także będącym sztabą światła) i nakazał doktorowi Dee „podnieść ją i nie pozwolić jej dotknąć żadnemu innemu śmiertelnikowi”. Dziecko położyło kulę pośrodku stołu w srebrnym uchwycie, który wykonano tylko po to, by ją trzymał, chociaż o tym nie wiedział, i z tej właśnie kuli teraz wyskoczyła siedmioletnia dziewczynka w zielono-czerwonej szacie, wciąż bosa.

Skoro anioły mogą przejść od niemowlęctwa do dziewczęctwa, czy mogą się urodzić?

A skoro mogą się urodzić, czy mogą umrzeć? Doktor Dee pośród tysięcy swoich ksiąg miał i dzieło Porfiriusza, gdzie jest mowa o tym, że złe duchy żyjące opodal ziemi mają duchowe ciała, śmiertelne jak nasze i potrzebujące strawy.

Nie: nie była dzieckiem i nie miała żadnego ciała; nie miała płci, męskiej ani żeńskiej. Wydawało się, że jest dziewczynką, z powodu zaburzonego widzenia i mrocznych dusz Dee i Kelleya: oni muszą postrzegać coś rozumnego w grze mocy skoncentrowanej w kamieniu, w bezcielesnych inteligencjach przepływających przezeń jak przez lunetę - tak samo jak będąc śmiertelnikami, nie mogą powstrzymać się przed dostrzeganiem twarzy w chmurach i gestykulujących postaci w targanych wiatrem gałęziach drzew. Była to dobra wola nieśmiertelnych, pokazać się nędznikom, którzy nie mogli ich znać w ich prawdziwej postaci, i których ludzkie zmysły owionąłby ogień, jak usta Izajasza, gdyby kiedyś anioł ukazał im się we własnej postaci.

Przed Madimi były inne postacie, inne osoby w kuli, przechodzące jak przez bramę targowiska: uzbrojony Michał, Uriel odziany w światło i inni, o których doktor nigdy wcześniej nie słyszał, Galvah, Nalvage, Bobogel i Il. Bobogel jest mądry i ponury; ma długą brodę i czarną aksamitną czapkę; nosi pantofle uczonego. Il to wesoły chłopak ubrany jak Przywara¹⁶ ze staroświeckiej sztuki, nieobwiązujący pasem brzucha, który podryguje mu, kiedy się śmieje, a pończochy telepią mu się na kolanach. Kelley mówił, że od czasu do czasu, gdy klęczał samotnie przed kryształem, ów Il ukazywał mu lubieżność, kopulacje, niewidziane nigdy wybryki powietrznych demonów, i śmiał się.

Och, wątpił w to, nie wierzył Kelleyowi; mógł znać te sztuczki od londyńskich znajomych, z których kręgu wyratował go doktor Dee - furfantów i innych szarlatanów, którzy potrafili oszukiwać za pomocą brzuchomówstwa i tysiąca innych sztuczek. Nie wierzył także duchom, podobnie jak Kelley, groteskowym i prostackim jak londyński tłum, chępiącym się, zaprawiającym treść bełkotem i żartem. Ale nauczył się od nich już zbyt wiele i potrzebował nauczyć się więcej, żeby wierzyć, że są złe. Dopiero dużo później, kiedy upokorzyły go i wysały jak kraba, zostawiając pustą skorupę, przypomniał sobie, co powiedziała mu kiedyś Madimi (którą jedyną kochał), kiedy zapytał ją, jak może być pewien, że nie łudzą go upadłe anioły, przyciągane przez kamień i jego własne potrzeby. Wszystkie anioły, powiedziała wtedy, to upadłe anioły.

Wszystkie anioły to upadłe anioły: jej jasne oczy nie zachmurzyły się, nie martwiło jej to ani nie cieszyło. A on myślał wtedy, że to dziecięca zabawa bez znaczenia.

¹⁶ ang. Vice - postać z angielskich sztuk teatralnych uosabiająca ludzkie wady.

TRZY

Ludzie nie zawsze wiedzą, że żyją w okresie kryzysu, kiedy Czas unosi się nad rozstajem, szykując się do dokonania wyboru: ale ludzie zamieszkujący Wielką Brytanią i Europę pod koniec XVI stulecia o tym wiedzieli.

Trwała podówczas, właśnie w tych ostatnich latach epoki świata, przerwa czy też pauza - nie można było nazwać jej pokojem - w stuletniej wojnie wyniszczenia świata chrześcijańskiego. Choć broń złożono, wojna nie ucichła; jeszcze zokropniała w stanie spoczynku, niczym smok leżący na swym skarbie, stronnictwa coraz bardziej skłaniały się ku radykalnemu rozwiązaniu podziałów, które widzieli wokół, ludzie coraz mniej zdolni byli żyć, jeśli oznaczało to pozwolić żyć innym. Nawet ci, którzy pragnęli pokoju i dobra, nie wyobrażali sobie pokoju, lecz Pokój Doskonały, nie wyobrażali sobie reformacji, ale Uniwersalną Reformację Całego Świata.

Blisko cztery stulecia później, w wieku XX innego świata, miał przyjść czas, kiedy żyjący w nim ludzie czuli to samo co ich poprzednicy w wieku XVI. Czas, gdy jedna wojna się kończyła, pozostawiając (poza milionami ofiar) głębokie rozgoryczenie, pamięć niewybaczalnych krzywd i tęsknotę za rozwiązaniami absolutnymi. Nienawiści i nadzieje chrześcijańskiego sekciarstwa były już wtedy zimne i nieszkodliwe, ale miały się pojawić nadzieje gorsze, za to lepiej uzbrojone. Wtedy, jak i teraz (teraz, w czerwcu 1583 roku, słonecznego i błogosławionego poranka), ludzie albo nie chcieli myśleć o kolejnej wojnie, albo nie byli w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Wtedy, jak i teraz, istnieli ludzie pełni ironicznej wrażliwości, ludzie dobroduszni, którym nic, co ludzkie nie było obce, ani nawet zaskakujące, ludzie, którzy ufali, że pokorny sceptycyzm jest bardziej korzystny dla prawdy niż gniewna pewność siebie; a nadchodzące lata oraz wydarzenia pozbawiły każdego z tych ludzi wolności myślenia i zmusiły do opowiedzenia się po jednej ze stron.

Sir Philip Sidney był kimś właśnie takim - protestant, arystokrata, poeta, dworzanin. Urodził się jako katolik pod rządami Marii I Tudor; jej mąż, król Hiszpanii, najbardziej katolicki z możliwych tego świata, był mu ojcem chrzestnym i w imieniu małego Philipa wyrzekł się Szatana wraz z jego blichтром i postępowaniem - Sidney opowiadał o tym z uśmiechem, który radował serca wszystkich, nie ujawniając nigdy do końca sekretów własnego serca, ani nawet tego, czy miał tam jakiegokolwiek sekrety.

Historia odnotowuje, że tamtego ranka był już naznaczony śmiercią na niderlandzkiej łące, w jednej z tych wojenek, które nie pozwalały zabić się starym wrzodom i upuszczaly krew, póki nie nastąpił wielki krwotok; ale on o tym nie wiedział. Jechał wzdłuż Tamizy do Oksfordu, towarzysząc przybywającemu z wizytą polskiemu magnatowi - katolikowi, którym zajmowała się ambasada francuska. Obok jechał młody Szkot w jego służbie, który dygotał z ekscytacji wizytą, choć nie mówił dlaczego. Sir Philip był nominalnie odpowiedzialny za pobyt Polaka w Oksfordzie, a sir Francis Walsingham nałożył nań jeszcze jedno zadanie: w miarę możliwości dowiedzieć się, jaką właściwie władzę posiada książę i jaki ma wpływ na króla: nikt nie był pewien do końca, kim jest. Jadąc, nie myślał jednak o tych sprawach - myślał o katolikach, Atlantydzie i swoim małżeństwie.

Dwóch dżentelmenów, sir George Peckham i Thomas Gerard (skazany rekuzant i papista), zaproponowało plan, który mógł przynieść pokój Anglii, przynajmniej od wrogów wewnętrznych, i sprawiedliwość skrzywdzonym starowiernym. Francis Walsingham, sekretarz stanu Jej Wysokości (i przyszły teść Philipa Sidneya), wyraził zainteresowanie; angielscy katolicy byli jego ciągłym zmartwieniem. Peckham i Gerard chcieli im nadać ogromną połąć Nowego Świata oraz całkowitą wolność życia i kultu tam pod warunkiem, że nigdy nie wrócą. Im więcej Sidney o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że to godziwe, pewne i proste rozwiązanie. Wciąż był dosyć młody.

Sir Humphrey Gilbert wyruszył na zachód ze swą flotą niecałe dwa miesiące wcześniej. Myśli Sidneya były z nimi: także chciał wyruszyć. Ale latem miał się ożenić, wyruszyć w podróż innego rodzaju. Gilbert, wielkie serce, przyznał swemu przyjacielowi Sidneyowi milion akrów terytorium Nowego Świata, do których prawa sobie rościł; z kolei Sidney połowę tego oddał Peckhamowi na katolicką kolonię Atlantydę.

Atlantydą: drugi, lustrzany brzeg Atlantyku. John Dee (który zawsze tak ją zwał) pożyczył Gilbertowi mapy i udzielił rady; za długie wsparcie i bezgraniczny entuzjazm Gilbert przyznał Dee prawo do wszystkich ziem, jakie ekspedycja zdobędzie na północ od pięćdziesiątego równoleżnika.

Sir Philip Sidney zaśmiał się na myśl o tym: jego dawny nauczyciel miał być lordem *in absentia* w księstwie większym niż cała Anglia. Alexander Dicson u jego boku uśmiechnął się pytająco.

„Dobry dzień, by być gdzie indziej” - rzekł rycerz.

„W istocie”.

„Myślałem o Gilbercie” - powiedział Sidney.

„Tak”.

Doktor sam powinien był jechać z Gilbertem, pomyślał Sidney. Wyobrażał sobie białą brodę starca rozwianą wiatrem nowo odkrytych lądów: powinien był móc postawić stopę na tamtym wybrzeżu, tak jak niegdyś to uczynił walijski gigant Madoc, przodek Dee, o którym ten mu opowiedział. Przez owego lorda Madoca walijscy przodkowie królowej Elżbiety rościli sobie prawa do Atlantydy, powiedział Dee, a w ich ślady szła Jej Wysokość; Sidney wyobraził sobie Elżbietę koronowaną przez dzikusów, osadzona na tronie Zachodu.

„Wyprzedziliśmy gości” - rzekł do Dicsona. - „Zwolnijmy”.

Dicson ściągnął wodze pożyczonego konia, ognistego roczniaka.

Zawsze gdy książe Alasco obracał się, by spojrzeć na przebytą drogę, figurka człowieka w grubej szacie zdawała się przesuwać bliżej czoła pochodu. Nie wyróżniało go nic poza tym nieustannym progresem; ale raz mężczyzna spojrział mu w oczy szczerym wzrokiem i z dziwnie otwartym uśmiechem.

„Po przybyciu do wrót uniwersytetu” - ciągnął jego sekretarz. - „*Oratio* dziekana kolegium Christchurch. Koncert, fajerwerki. Podarunek”.

„Tak” - powiedział książe.

„Nazajutrz kazanie po łacinie i nabożeństwo ku czci Waszej Łaskawości. *Exercitationes*. Biesiada”.

„Aha”.

„Po południu dyskursa w kościele pw. Świętej Marii. O boskości, prawie, fizyce. Filozofii, moralnej i naturalnej”.

„Dobrze”. Książe obejrzał się znów za siebie na pochód jeźdźców, rycerzy, zbrojnych, sług, stewardów i pieszej czeladzi. Mężczyzna w grubej szacie znów był bliżej jego powozu.

„Następnego dnia...”

„Wystarczy” - uciał książe. - „Są nazbyt uprzejmi”.

Książe à Lasco, wojewoda sieradzki, świadom był spotykających go zaszczytów i wdzięczen był tym bardziej, iż poleciała to sama królowa. Jego położenie nie było najłatwiejsze. Jeśli gwiazdy i moce nie będą mu sprzyjać, Albertus Alascus nie wróci prędko do Polski; tego, co dobra królowa niewątpliwie zamierzyła jako hołd, który uczyni zeń lojalnego sojusznika, Olbracht Łaski potrzebował jako narzędzia w sprawach własnego kraju. Ale to miało niewielkie znaczenie; książe Łaski (nikt nie był do końca pewien, jak go tytułować ani nazywać) zdobył przychyłność wszystkich swoją zyczliwością, ekstrawaganckimi polskimi manierami, edukacją i szczodrością serca. Miał wspaniałą, wielką, białą brodę, która wyrastała mu jakby tuż spod oczu, a kiedy udawał się na

spoczynek, w zabawny sposób układał ją na pościeli.

„Kimże jest ów dżentelmen na białym mule?” - zapytał sekretarza. - „Czy zostaliśmy sobie przedstawieni?”.

„To Włoch” - odparł sekretarz, (który sam był Włochem).

- „Sługa ambasadora Francji. Przywiózł Waszej Wysokości wyrazy uznania od ambasadora. Wasza Wysokość pamięta?”

„Hm”.

„Przybył tu na dysputę”.

„Hm” - powiedział hrabia wojewoda. - „Jedzie jak mnich”.

Uwagę księcia przyciągnął wtedy gospodarz i przewodnik, sir Philip Sidney, który czekał, aż powóz zrówna się z jego przybranym w błękitny czaprak koniem.

„Wspaniałe!” - powiedział Polak, otwartymi ramionami witając dzień i rzekę. - „Jestem do głębi poruszony”.

Był to jeden z tych cudownych letnich dni (po jednym na każdy rok, i to tylko przy sporej dozie szczęścia, w tym kraju), w jakie dawni poeci zaczęli snuć swe opowieści, wysoka trawa, kwitnące róże pochylające się przed podziwającymi je ludźmi, miły podmuch na twarzy i *spiritus* przemieszczający się wyczuwalnie przez to wszystko, nieomal słyszalny, jak wietrzny koncert. I kraj wokół, wcale nie wspaniały, lecz mały - mały mu się zdawał, jak sceny w brewiarzu: ludzie przy pracy, kręta droga, wieża zamku pomiędzy wzgórzami albo wielkie domostwo w angielskim stylu, wzniesione z gliny i drewna. Pomyślał o swoim kraju.

„Za zakrętem rzeki” (powiedział rycerz, nachylając się do powozu Alasco) „ujrzemy pałac królowej w Richmond. Jej ulubiony”.

„A te pola za rzeką, ten dom?”.

„To Barn Elms. Dom buduje sir Francis Walsingham. Zapalił się do budownictwa”.

Patrzył na odległy brzeg, nie sądząc, że ujrzy córkę sekretarza, którą miał poślubić jeszcze tego lata.

„To miasteczko” - powiedział książę - „które się tam wznosi, to Mortlake”.

„W rzeczy samej. Mortlake. Pomiędzy królową a jej sekretarzem”.

„Byłem tam. Wiedziałem, że to jedyny człowiek w waszym królestwie, którego trzeba mi odwiedzić. Królowa dobrze go zna i łaskawie przysłała mnie doń”.

„Wiem, o jakim człowieku mowa” - powiedział sir Philip.

„Doktor Dee. Jego sława sięga nawet mojego kraju”.

„Wiele podróżował”.

„Bardzo dobrze mnie tam przyjęto” - powiedział książę (z czymś w rodzaju

zdumionego respektu, jak gdyby zaskoczony, że go przyjęto). - „Żyje bardzo skromnie. Zastanawiam się, czy z własnego wyboru”.

Rycerz nie odpowiedział.

„Skromnie nie znaczy niegodnie. To miałem na myśli”.

„Traktuję go najgodniej, jak umiem. Był moim gubernierem”.

Polak spojrział na sir Philipa z nowym szacunkiem; na jego twarzy pojawił się ten wspaniałomyślny wyraz mówiący: im więcej się o tobie dowiaduję, tym wyżej cię cenię. Potem znów zwrócił wzrok na przeciwległy brzeg, jak gdyby tam właśnie wolał się znajdować, i wzdrygnął się lekko, gdy sekretarz pociągnął go za rękaw. Kiedy Łaski się odwrócił, ten gestem nieomal przeproszającym wskazał mu mężczyznę na białym mule, który w tym czasie nadjechał.

„Niech będzie mi wolno przedstawić Waszej Wysokości: oto signor doktor Giordano Bruno Nolano, filozof, mój rodak”.

„Filozof” - powiedział Łaski i uniósł kapelusz na cal.

„Z dumą” - odpowiedział mężczyzna po łacinie - „używam miana, które tak wielu zbrukało”.

„Filozofia to tarcza, której czas nie złamie” - odparł książe po łacinie. A potem dodał po włosku: „Gdybyśmy teraz zrzucili szaty i dopłynęli do drugiego brzegu, znaleźlibyśmy więcej filozofii w tamtym domku niż na uniwersytecie, do którego tak wolno zdążamy”.

Spojrział na sir Philipa, obawiając się, czy go nie uraził (oczywiście rycerz znał włoski, nikt szlacheckiego pochodzenia nie mógł się w tych czasach obyć bez włoskiego), i zobaczył jego uśmiech i twarz pełną radości, a nawet zdumienia. Sir Philip nie patrzył na księcia Łaskiego, lecz na nowego filozofa. Alexander Dicson u jego boku w tej chwili niechętny dał ostrogę swemu narowistemu ogierowi i prawie upadł na drogę.

Piętnastego dnia tego miesiąca doktor Dee zanotował w swoim diariuszu:

Okolo piątej przybył polski książe, lord Albert Łaski, z Bissham, gdzie przepędził poprzednią noc, powróciwszy z Oksfordu, dokąd udał się był obejrzeć uniwersytet, a gdzie przyjęto go z wszelkimi honorami. Towarzyszyli mu lord Russell, sir Philip Sidney i inni: otaczali go ludzie królowej, jego barkę przybrano barwami królowej, byli też heroldzi od królowej etc. Przybył, aby uczynić mi zaszczyt, za co Bogu niech będą dzięki.

Stał przy schodach nadbrzeżnych, kiedy dwie obszerne barki spłynęły Tamizą, a przy nich jedna czy dwie mniejsze łodzie, z wiatami od słońca i deszczu. Barki zmierzały do Londynu, ale przybiły do brzegu w Mortlake przy akompaniamencie trąb i jedwabnych flag podniesionych na chłodnym rzeczonym wietrze.

„Przysyła nas królowa!” - zakrzyknął sir Philip, uśmiechając się. - „Byle dalej od tych Aten”.

Witajcie, panowie, zawołał doktor Dee. Wasza Łaskawość jest mile widziany w tych skromnych progach.

Zbiegł po schodach, by złożyć hołd księciu, ale ten zdążył już zeskoczyć zwinnie z barki i zerwać kapelusz z głowy. Żywiołowo uściśnął dłoń doktora i pokłonił się tak, że ich brody prawie się splątały.

„Proszę mi wierzyć, że nie mogłem przepłynąć obok i się nie zatrzymać” - powiedział, a odwracając się do barki, którą właśnie cumowano, dodał: „Znacie tych panów”.

„Niektórych tak, bardzo dobrze” - odparł doktor i pokłonił się sir Philipowi Sidneyowi. Lorda Russella często widywał na dworze, ponieważ był on jednym z młodych ulubieńców królowej, którymi posługiwała się jak figurkami na rycerskiej szachownicy.

Zeszli z barki; doktor Dee z ukłonem wskazał im schody na górę, ostrzegając przed zdradliwymi kamieniami, a potem kazał synowi Arturowi i jego siostrze (którzy wyglądali zza jego boków), by biegli naprzód i uprzedzili matkę.

„Przekażcie jej: ostatnia beczka świątecznego klareta” - rzekł Arturowi. - „Pasztet z dziczyzny. I węgorki”.

Odesłał chłopca trąceniem w ramię. Takie towarzystwo oczekiwało podobnej gościnności, choćby mieli niczego nie tknąć. Wszedł z nimi na schody.

„Tuszę, że Waszą Łaskawość godnie przyjęto w Oksfordzie”.

„Nadzwyczaj godnie. Cóż za gościnność. Podarunek. Rękawiczki” - dodał książę i uniósł brwi, jak gdyby oczekując, że Dee podzieli jego zdziwienie, element garderoby miast książki, rarytetu albo antyku. Dziwactw było więcej: w kolegium All Souls wykładowcy wystąpili w sztuce o Dydonie, podczas której odbyła się uczta; zasiedli do niej wszyscy wraz z Eneaszem i Dydoną, słuchając opowieści Eneasza o Troi, a potem nadeszła burza jak u Wergiliusza, tyle tylko, że padał deszcz z wody różanej, grad z kandyzowanych owoców i śnieg z cukru. Oczywiście kosztowało ich to wiele zachodu, a książę podziękował im w *militare Latinum* (jak rzekł, w żołnierskiej łacinie; nigdy nie słyszał tak zgrabnych cycerońskich fraz jak z ust oksfordczyków).

„Doktorze (powiedział sir Philip Sidney po angielsku), czy nie czyniłeś raz sztuk w

Cambridge?".

„W istocie” - odrzekł Dee, uradowany, że mu przypomniano. - „Arystofanesa i jego *Pax*, Skarabeusz lecący do pałacu Jowisza z człowiekiem i koszem wiktuałów na grzbiecie. Na darmo plotkowano, jakim sposobem zostało to uczynione”.

„Były także dysputy i wykłady” - powiedział książę.

Czekał na nie, ale okazały się marne, formalistyczne i sztuczne jak sztuka o Dydonie - Alasco inaczej pojmował głęboką naukę.

„Nie lubię debat o Arystotelesie”.

„Tutaj się go prawdziwie wielbi” - rzekł Dee. - „Nie może zakończyć nauki ten, kto nie pił z tej fontanny, i to do dna”.

„Zatem musi być to fontanna piwa. Piwa, nie nauki, bo mało tam dbają o naukę”.

Słowa te, wypowiedziane po łacinie, padły z ust człowieka, który jako ostatni opuścił łódź. Dee odwrócił się i ujrzał, jak wchodzi on po schodach, unosząc tożę uczonego.

„Tęgo dżentelmena” - powiedział książę do Dee - „nie przyjęto godnie”.

Dee nie mógł się zorientować, czy Łaskiego rozbawiło, czy oburzyło potraktowanie mężczyzny. Podszedł do nich młody Szkot, o którym doktor Dee wiedział, że jest sługą sir Philipa Sidneya.

„Niech będzie mi wolno przedstawić”.

Uśmiechnięci - jak gdyby wiedzieli coś, o czym Dee jeszcze nie wiedział - sir Philip i książę palatyn cofnęli się, by pozwolić doktorowi skłonić się przed Włochem i podać mu rękę.

„Oferowano mi ongiś katedrę na Oksfordzie” - rzekł Dee. - „Za młodu”.

„Nie pojmują ani Arystotelesa, ani niczego, co Arystotelesem nie jest. Wzywam tych tu dżentelmenów na świadki. Wszak niegdyś Oksford słynął z nauki”.

Grubokarki, sztywnoplecy, niski mężczyzna, wysuwający podbródek do przodu, być może po to, by zamaskować jego miękkość. Kogucik rwący się do boju - to przyszło Dee na myśl.

Można było powiedzieć jeszcze więcej. To oksfordzcy purytanie nie tak dawno pozbyli się starych dyscyplin, przeredzili biblioteki, wyrzucając każdą książkę o geometrii czy niebiosach, bądź z czerwoną literą, jako papistyczne albo diaboliczne. Sam doktor Dee osobiście uratował bezcenne przedmioty z tego pożaru. Ale w tym towarzystwie nie zamierzał się tym chwalić. Wiadomym wszak było, że sir Philip skłania się ku purytanom; książę Łaski dokonał niedawno konwersji na katolicyzm; o Włochu nie wiedział nic. Powiedział więc tylko:

„Chodźcie, panowie. Ochłońcie po trudach podróży. Opowiedzcie o swych przygodach”.

W Oksfordzie Dicson znalazł pokój do spania, który mógł dzielić ze znajomym Matthew Gwynnem; a przynajmniej pokój do pomieszkiwania, bo spali niewiele, siedząc długo w bałaganie pośród książek, map, naczyń i odwróconych filiżanek, gdzie topiły się świece; wychodzili na miasto późno niczym kocury, wpadali na straże i musieli uciekać.

Z nastaniem świtu stworzenia nocy poświęcone Plutonowi czmychają z powrotem do swoich leży: ropucha, bazyliszek, sowa i wiedźma; a stworzenia światła wychodzą powitać brzask: kogut, baran, feniks, ryś, orzeł, lew; lubin i heliotrop otwierają swe kielichy i zwracają ku niemu oblicza.

Późnym rankiem Dicson zerwał się jak ukłuty szpilką, czując pragnienie i niepokój. Dziś debatował Włoch.

Tematem był Arystoteles i jego koncepcja materii, a naprzeciw Bruna stawał rektor kolegium Lincoln. Tłum wypełnił salę, Łaski usiadł z przodu, pośrodku, obok Sidneya; Dicson zakradł się i stanął pod ścianą, w duchu przygotowany (miał nadzieję) na wszystko, co zostanie powiedziane, na prawdę, która odcisnie się w nim.

Rychło coś poszło nie tak. Rektor był człowiekiem ostrożnym, o łagodnym głosie; między zdaniem dużo milczał, podczas gdy Włoch kręcił się i wzdychał na krześle, raz nawet jęknął w głos, co nie ponagliło rektora: a kiedy ten skończył, Włoch wyskoczył z krzesła niczym bokser na ring, podwinął rękawy i zaczął mówić, zanim jeszcze stanął przed zgromadzonymi. To, o czym mówił, zrazu wydawało się nie mieć nic wspólnego z materia ani z Arystotelesem. Mówił o tym, jak urządzone jest niebo. W centrum wszechświata, w punkcie równo odległym od każdego najdalej oddalonego punktu sfer (za którymi znajduje się Bóg), znajduje się Ziemia. Wielka kula łąjna, gdzie mieści się wszelki brud, sprośność, nieczystość, ciężkość, kamienie i inne cielesności całego wszechświata; bo to, co ciężkie, zgodnie z naturą cięży ku środkowi, a co nie jest ciężkie, zostaje w górze i dąży do zewnątrz.

Rozległ się śmiech i szelest tog. O co temu człowiekowi szło? Na twarzy miał dziwny uśmiech, a mówiąc, wymachiwał rękoma.

Wokół Ziemi, tej pozbawionej znaczenia fekalnej drobinki, tej kropeczki, znajduje się siedem, osiem albo dziewięć prawdziwie gigantycznych sfer z kryształu, którego ludzie nie znają, sfer, których ściany masywne są jak góry, gdzie Słońce, Księżyc i planety są wmontowane, odcisnięte, zagipsowane, wyszyte, przyklejone, wyrzeźbione lub namalowane. Jeszcze dalej leży sfera gwiazd, obejmująca całą resztę wraz z Ziemią, wokół której, w

naturalnym, sferycznym, doskonale regularnym i nieskończonym ruchu obraca się z niepojętą prędkością miliona mil albo i więcej na minutę. Nie mniej.

Pomruki były coraz głośniejsze, słyhać było śmiech. Czy on sobie żartował? Tu i ówdzie krzyczano: „*Ad rem!*”. Mężczyzna nie ustosunkował się dotąd do ani jednej z tez rektora.

„A zatem” - rzekł Bruno, widocznie nieświadom zamieszania - „do jakiej konkluzji można dojść względem tego obrazu, wizerunku czy też deskrypcji uniwersum, które jest z wieloma późniejszymi zmianami i zastrzeżeniami tym, co przedstawił nam Arystoteles, i od którego zależy cała fizyka?”.

Zignorował niezrozumiałe a prześmiewcze odpowiedzi słuchaczy.

„Proszę posłuchać. Pierwsza i najbardziej oczywista konkluzja. Czy nie jest tak, że ten obraz wszechświata jest całkowicie przeciwstawny zdrowemu rozsądkowi i nie może być tym wszechświatem, który Bóg w swej nieskończonej dobroci i wielkości stworzył? Czy nie jest tak?”.

Zamachał dłonią, jak gdyby pokazując *mappa-mundi* nakreśloną w powietrzu:

„Skoro uniwersum ma środek, to ma i obwód. Skoro świat ma obwód, to jest skończony, nie, jest nieskończenie mały, nie, w istocie jest niczym, niczym zupełnie w porównaniu z nieobliczalną, niewyobrażalną nieskończonością i nieskończoną kreatywnością Boga. Święty Tomasz z Akwinu wiedział o tym, choć tę wiedzę ukrywał. Żadne uniwersum nie wystarczy dla nieskończonej kreatywności Boga, jeśli samo nie jest nieskończone”.

Skrzyżował ręce na piersi i podniósł głos.

„A zatem nie ma obwodu, a skoro tak, to nie ma środka. Czy ta ciężka, śmierdząca, nieruchoma, drętwa, brudna kupa gnoju, Ziemia, nie jest środkiem? Nie. Ani z natury nie jest stabilna, ani w logice nie jest immobilna, jak to stwierdził Copernicus, który doskonale to zademonstrował, ale nie jako pierwszy to wykoncypował. A zatem. Nie ma obwodu, nie ma środka, albo skoro środek nie różni się od obwodu, można rzec, że całe uniwersum jest środkiem, albo że centrum uniwersum jest wszędzie, a obwód nigdzie...”.

Ale zgromadzeni w auli wiedzieli już, o co idzie. Nieograniczeni regułami kulturalnego dyskursu, tak jak Ziemia w dyskursie Bruna nic już nie ograniczało, uczeni poczęli podnosić się z krzeseł, bucząc, rzucając wyzwiska. Epikurejczyk! Poplecznik Demokryta! Scholastyk! *Cheerculo! Cheercumferenchia!* Co to za łacina?! Same makaronizmy!

Dicson ledwo cokolwiek widział i słyszał. Łaski podniósł się z honorowego krzesła i przyłożył dłoń do ucha. Uczeni podchodzili do podium, zadając pytania.

„Skoro Ziemia porusza się pośród gwiazd i sama jest gwiazdą, to albo Ziemia nie jest podatna na zepsucie, albo gwiazdy są sferami zmiany i zepsucia. Czy w twoim uniwersum nie ma żadnej doskonałości?”

„Uniwersum jest doskonale, jest jednolitą, niepodzielną, nieskończoną monadą; a w jego wnętrzu zachodzi nieskończona liczba doskonale zakończonych procesów przemiany”

„Ale, ale, ale - skoro planety nie unoszą się na kryształowych sferach, to co powoduje, że poruszają się kołowo?”

„Poruszają się kołowo, bo tak chcą. Teraz zajmę się tezami szacownego *doctissimus magister...*”

Ale krzesło było puste. Rektor Lincolnu (być może w obawie przed burdą) opuścił był aulę.

„Dobry doktor John Underhill”. Doktor Dee pociągnął się za brodę, by powstrzymać uśmiech. „Trochę go znam”.

„Świnia” - powiedział Bruno.

„A pan, doktorze” - zapytał ksiązę Alasco, odwracając swą wielką głowę z pełnym szacunku wdziękiem ku Johnowi Dee na drugim krańcu pomieszczenia - „co sądzi o opiniach mego rodaka, kanonika Kopernika?”

„Przestudiowałem jego książkę” - odparł powoli Dee. - „Ta teoria wyjaśnia obserwacje lepiej niż ptolemeuszowska, która brała się od Arystotelesa”.

„A więc zgadzasz się” - powiedział Bruno; uśmiechał się tym niepokojącym grymasem, tym samym (jak uważał Dicson), którym obdarzał uczonych uniwersyteckich.

Doktor Dee nie odpowiedział od razu. Atmosfera zgęstniała. To właśnie w tym momencie tłum w Oksfordzie zerwał się z krzesel, nie mogąc znieść już więcej. Mężczyźni w domu doktora Dee nie ruszali się, czekając.

„Zgadzam się co do obrotów”.

„W takim razie musisz zgodzić się ze mną przeciwko Arystotelesowi w kwestii materii. Jeśli Copernicus ma rację, Ziemia jest gwiazdą, jak Wenus, Mars, Jowisz i Saturn, które wraz z nią obracają się wokół Słońca. A zatem są zbudowane z podobnej substancji. Arystoteles, jak się go powszechnie rozumie, mówi „nie”. Copernicus obala Arystotelesa w tej mierze”.

„Sam Copernicus tego nie mówi”.

„Copernicus nie rozumiał tego, co pisał. Nakreślił nowe niebiosa. A przecież musi też być nowa ziemia”.

Sir Philip Sidney skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechnął się.

„Wszyscy poeci się zbuntują. Gwiazdy muszą się obracać, słońce musi wschodzić i zachodzić, aby nadać poezji rytm. Rymy nie nagną się do tych nowinek”.

„Zatem niech przyłączą się do tych oksfordzkich pedantów. W prawdzie jest więcej strawy dla poezji niż w iluzji”.

Głos zabrał Łaski.

„Przysłuchiwałem się twojej dyspacie. Trzeba mi się przyznać, że nie zrozumiałem argumentacji ani jej odniesienia do materii, ani też, dlaczego cię zakrzyczano”.

„O Koperniku” - nonszalancko powiedział Bruno - „niewiele wiadomo w tym kraju; tutejsi ludzie nie przywykli objaśniać jego ukrytych prawd. A doktorzy, co niegdyś wiedzieli nawet więcej niż on, których umysły kwitły dawno tu, w Oksfordzie, są dziś wraz ze swoimi dziełami w pogardzie, a kości ich wykopują i rozrzucają ci szlifierze kamieni, ci...”.

W mężczyznę jakby wstąpił potężny duch: doktor Dee czuł, jak wydziera się z jego ciała, rozwibrowując powietrze w izbie, pesząc i konfundując towarzystwo. Z ogromną uprzejmością powiedział:

„Z wielkim zdumieniem stwierdzisz, że o systemie Kopernika rozprawia się tu na ulicach”.

Włoch spojrział nań: przez chwilę wydawało się, że zamiast niego stoi słup oburzenia.

Dee, zaskoczony, lecz spokojny, nie cofnął się.

„Tak”.

Wolnym krokiem, jakim człowiek podchodzi do nieufnego rumaka, zbliżył się do Włocha i dotknął jego ramienia.

„Rozprawia się na ulicach. W kalendarzu mojego przyjaciela Leonarda Diggesa. Zachęcam do lektury, bo jest bardzo interesująca. Mam tę książkę tutaj, w każdej chwili mogę ją odszukać. Czytasz po angielsku?”.

Oczy Bruna na chwilę skierowały się na angielskich lordów.

„Słabo. Wcale. Ale ten dżentelmen mógłby mi pomóc”.

Miał na myśli Dicsona, który ochoczo postąpił naprzód. Bruno pozwolił Dee zaprowadzić się do rogu izby, gdzie na półkach i stoliku leżały stosy książek oraz *libelli*, poprawne lub nie.

„Pisaniu wielu książek nie ma końca” - zacytował doktor. Z szelestem przeszukał tomy; uniósł wieko kufra i Bruno dojrzał zapisane czarną, grubą czcionką rękopisy; zdjął książkę z półki, przytrzymując drugą dłonią inny wolumin, który próbował się zaczepić. Książka była niewielka i nosiła ślady używania.

„*Wieczna przepowiednia*. Razem z opisem niebios autorstwa jego syna, Thomasa, którego znał i uczył”.

Położył księgę na stoliku i cofnął się o krok, nie odwracając się jednak od razu plecami do Włocha; jak gdyby (pomyślał Dicson) położył kość przed mastiffem, by go uspokoić.

Bruno otworzył księgę. Emblemat sfer. Słońce w centrum.

Pomyślał: Któż to jest? W chwili kiedy rozjarzony duch Bruna pojawił się w pomieszczeniu, angielski doktor przedzierzgnął się w fontannę krystalicznej wody; fałdy jego odzienia w strugi, twarz i broda w pianę i rozbryzgi. Przez jedną chwilę. Nikt inny nie zauważył.

Przeczytał:

Owa kula we dwadzieścia i cztery godziny cudownym ruchem okręca się, tworząc tak nasz naturalny dzień, a pozornie olbrzymi, nieskończony, nieruchomy glob porusza się.

Dicson z trudem przetłumaczył to na włoski, który znał słabiej niż łacinę, poruszając dłonią wokół ust, jak gdyby starał się pomóc słowom wydostać się na zewnątrz. Bruno już przyswoił sobie treść strony.

Kula ziemską, gdzie żywot toczymy, człekowi wielką się zdawa, lubo w komparacji z *Orbis magnum*, gdzie się znajduje, ledwie ma rozsądną proporcję, tak niesłychanie większy jest obrót owej Orbity Anualnej od tej maleńkiej, ciemnej gwiazdki, gdzie żyjemy. Ale owo *Orbis magnum*, będąc ledwie punktem względem ogromu nieruchomych niebios, sprawia, że łącznie możemy rozeznaczyć, jak niewielką część boskiego dzieła nasz elementarny, zepsuty świat stanowi...

„Kto to jest?” spytał Bruno i Dicson przestał się jąkać, by podążyć za jego wzrokiem. Doktor Dee odwrócił się, by porozmawiać na osobności z Polakiem. Dicson chciał odpowiedzieć, ale spieszył się, wiedząc, że żadna z odpowiedzi, których mógłby udzielić, nie była tą, na którą czekał Bruno. Ten znów spojrział na maleńkie uniwersum, które narysował Digges.

Każdy z kręgów wokół centralnie położonego Słońca był opisany: ORBITA MARSA, ORBITA SATURNA. Był to schemat Kopernika. Jediną różnicę stanowiło to, że ostatnia sfera nie była granicą, jak to przedstawił Kopernik, lecz składała się z gwiazd rozsypanych po całej stronie. Ona też była opisana słowami biegnącymi za sferą Saturna i pod gwiazdami:

ORBITA GWIAZD NIESKOŃCZONYCH ROZCIĄGA SIĘ SFERYCZNIE I DLATEGO NIERUCHOMY JEST PAŁAC SZCZĘŚLIWOŚCI, PRZYBRANY NIEUSTAJĄCO JAŚNIEJĄCYMI, CUDOWNYMI I NIEZLICZONYMI ŚWIATŁAMI, DALEKO PRZENOSZĄCYMI NASZE SŁOŃCE W ILOŚCI I JAKOŚCI, PRAWDZIWY DWÓR NIEBIAŃSKICH ANIOŁÓW, ZBYTY CIERPIENIA I PRZEPEŁNIONY NIESKOŃCZONĄ RADOŚCIĄ, DOM WYBRANYCH.

Zamknął książkę.

„On się myli”.

Dicson, który nie skończył jeszcze tłumaczyć, zamknął usta.

Bruno podjął:

„Myli się, mówiąc, że Słońce jest w centrum tej nieskończonej sfery. Sfera nie może być nieskończona, musi mieć granicę. Nieskończona sfera nie może też mieć centrum”.

Łagodnym ruchem odłożył kalendarz, w oczach miał teraz powagę i mówił ciszej; łowca w zasadzce lub ofiara łowcy.

„Cóż to za książka?”.

Leżała na stole wraz z innymi, na pewno, a jednak nie zauważył jej aż do tej chwili, jak gdyby w międzyczasie wydostała się na powierzchnię. Dicson wzruszył ramionami. Niepokaźny tomik. Okładka zagranicznej roboty. Chciał ją wziąć, ale Bruno wcześniej położył na niej rękę.

Na stronie tytułowej widniał portyk świątyni.

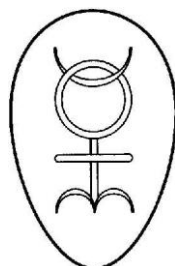
MONAS HIEROGLYPHICA
IOANNIS DEE, LONDINENSIS

AD
MAXIMILANVM, DEI GRATIÆ
ROMANORVM, BOHEMIÆ ET HVNGARICÆ
REGEM SAPIENTISSIMVM

Nad tym wszystkim napisano, jakby kładziono palec na wargach:

QVI NON INTELLIGIT, AVT TACEAT, AVT DISCAT

Pośrodku strony w otoczeniu wstęp ze słowami, symboli płaczących Słońca i Księżyca oraz filarów z nazwami czterech żywiołów widniał jajokształtny wizerunek; a w jajku, niczym kości pisklęcia jeszcze nie wyklutego, narysowano następujący symbol:



Przez siedem lat Giordano Bruno z Noli podróżował po świecie, stukając do bram miast, wyrzucany z państw i królestw, zarazem uciekając i ścigając, niepewny, czego poza spokojem i szansą głoszenia swoich przekonań szuka: i bywało, że w pewnych chwilach podróży, zwykle gdy dokonywał wyboru drogi albo zastanawiał się, czy nie zawrócić, ktoś zjawiał się, wskazywał mu drogę, otwierał drzwi lub zapraszał do środka: i pokazywał mu ów symbol albo był w jego posiadaniu, albo miał jakiś inny związek z tym symbolem wyrzeźbionym na pierścieniu, nakreślonym w pyłe drogi, w Wenecji, w Genui.

Skąd on się tu wziął? Czy ten angielski zmiennokształtny (który prawdopodobnie nawet o tym nie wiedział) sam go nakreślił, czy też ktoś go tego nauczył?

„Hieroglif” - powiedział Dicson. - „Hieroglif monady”.

Kapłani Egiptu wiedzieli, jak przyciągnąć moce powietrza z ich krain, kreśląc w mule Nilu lub wycinając w kamieniu znak rozkazu, słowo „przybądź” w języku, który istniał przed ludzkimi.

Czy to ten znak kazał mu opuścić południe i przybyć na tę zimną wyspę, gdzie spotka go obraza i pogarda?

Spytał symbol: Dlaczego mię tu przywiodłeś?

Ale usłyszał w odpowiedzi tylko: skoro nie pojmujesz, milcz i ucz się.

„*Doctissime*” - szepnął Adelbert Łaski w ucho doktora Dee. - „Czy to możliwe, czy uda się, czy możemy jeszcze spotkać się z... Myślę o tych... Tych, których ja, pan i... i...”

„Kelley”.

„Kelley. Z tymi, z którymi miałem przywilej porozmawiać, gdym bawił tu poprzednio. Czy...”

„Zbyt wielka to liczba” - odmruknął Dee. - „Nie stanie nam spokoju i prywatności, by pracować”.

„Wszystkich każę odesłać”.

Kiedy polski książę po raz pierwszy zjawiał się w Mortlake w towarzystwie jednego

sługi i zbrojnego, John Dee zaprowadził go do odległej izby, a Kelley poprosił błogosławione duchy o słowo dla podróżnika i Łaski, ku swemu zdumieniu i zakłopotaniu oraz radości, usłyszał takowe. Skryci wrogowie. Powrót do ojczyzny. Wielkie wiktorie. Krew. Korona. Przez całą monotonną podróż oksfordzką nie myślał o niczym innym.

„A gdzie Kelley?”

Doktor Dee pociągnął się za brodę i wyjrzał za okno. Zmierzchało.

„Na rybach”.

Przez jakiś czas obserwował żabę, siedzącą na pniu unoszącym się na wodzie, która również cierpliwie oddawała się łowieniu. Jej wielkie, na pozór ślepe oczy były otwarte, choć co jakiś czas opadała na nie zasłona, by zaraz znów się podnieść. Łowiła językiem tak szybkim, jak powolna była reszta zimnego ciała. Coś jakby spazm przesywało ciało i choć Kelley nie widział samego momentu schwywania ofiary, żaba już połykała długonogą muchę. Często trwało to okropnie długo; żaba łykała beznamiętnie, a trzepoczące skrzydło lub podrygujące odnoże wciąż zwisało z oślizgłego pyska.

Kelley poczuł szarpnięcie wędki, ale kiedy pociągnął, opór osłabł. Ryba cicho przebiła powierzchnię, pokazując Kelleyowi tylną płetwę. Zabrała też robaka.

To doktor Dee zainteresował Kelleya wędkowaniem jako dystrakcją; melancholia potrzebuje dystrakcji, dąży do niej niestrudzenie, nigdy nie może na długo zaspokoić się żadnym zajęciem; melancholia chce być zarazem zajęta i beczynna. Łowienie ryb zapewnia jedno i drugie. Ale na tę melancholię był tylko jeden lek.

Kelley miał z sobą - zawsze, nawet w nocy pod poduszką - zapieczętowany woskiem kamienny dzbanek z drobiną czerwonego proszku, którą duch dał mu w zamian za duszę. Powiedział doktorowi Dee, że znalazł proszek i książkę z instrukcją jego użycia, napisaną niezrozumiałym pismem, w grobie mnicha w Glastonbury, i z czasem sam w to uwierzył: nawet pomimo tego, że niemy, psopyski demon, który jako pierwszy skusił go na proszek i wynalazł mu książkę, towarzyszył mu od lat. Teraz też siedział obok Kelleya na brzegu, znudzony i niespokojny. Kelley wiedział nawet, jak ma na imię.

Skończył łowić. Oczy miał otwarte, ale nic nie widział. Był żabim łowcą; był także schwytaną muchą. Często zdarzało się, że siedział w ten sposób godzinami z wędką i koszem na ryby przy starorzeczu, z dziwną zasłoną na przemian opadającą i podnoszącą się z jego oczu; kiedy przychodził wieczór, zaskoczony chłodnym mrokiem wracał na brzeg rzeki.

Młodzi rycerze (z całą należną rewerencją) zaproponowali powrót do Londynu. Łaski pożegnał ich: miał sobie z przyjacielem dużo do powiedzenia, nie powinni myśleć, że muszą z nim zostać, niech wracają, on sam sobie poradzi; nie zgubi się, królowa nie będzie miała im za złe; w drogę.

I tak Sidney pokłonił się nisko, oświadczył, iż zostawi Alexandra Dicsona i innych, by służyli księciu; potem wciągając rękawiczki uniósł brwi w niemym zapytaniu do dziwnego Włocha, ale ten wpadł w jakiś dziwny stan i wyjrzał tylko zza stosu ksiąg, jak zaskoczony jeleń, i potrząsnął głową.

„A zatem *buona sera, Signor*” - powiedział Sidney: a wtedy dziwny mężczyzna wrócił do siebie i pospieszył podać rycerzowi rękę i spojrzeć mu w oczy.

W drodze do Londynu, śmiejąc się jak uczniowie po lekcji, opowiadali sobie o przygodach w Oksfordzie i Mortlake. Zostawili jedną barkę, tę największą; flagi zwieszały się w nieruchomym powietrzu.

O dziewiątej rzeka wciąż była jasna, płynąc przez pociemniały kraj, płynąc na spotkanie zachodniemu niebu; wieczorne gwiazdy płonęły jasno na wyciągnięcie ręki. W izbie na górze Dicson otworzył małe okienko i wystawił głowę na zewnątrz.

„Czy Ziemia też się świeci jak one, jak Merkury, Wenus, Mars?”.

„Niewątpliwie” - odparł Bruno. - „Nie jest ciemną gwiazdą. Ziemskie oceany są niczym lustra, podobnie jak oceany innych światów. Powiększają i odbijają promienie Słońca”.

„Gdybyśmy stali na Merkurym...”.

„Zobaczylibyśmy, jak Ziemia jaśnieje na wschodzie. Tak, jak oni teraz widzą Ziemię”.

„Oni?”

„Mieszkańcy tamtego świata”.

Dicson odwrócił się od okna i spojrzął na Włocha, chcąc się przekonać, czy aby ten się nie śmieje. Bruno stał pośrodku pokoju z rękami za plecami, a na twarzy miał ten sam wyraz wojowniczego zamyślenia.

Widząc zdumienie Dicsona, wyjaśnił:

„Jeśli my jesteśmy tacy jak oni, można powiedzieć, że oni są jak my. Być może w tym układzie słonecznym są rangi i hierarchie; być może najlepsze miejsce jest najbliższe, a może nie. Tak czy owak, nie ma powodu sądzić, że te gwiazdy, żywe jak nasze, nie mogą być pełne wszystkiego. Jak my”.

„Także ludzi?”

„Istot odpowiednich dla owych gwiazd, tak jak my jesteśmy odpowiedni dla naszej”.

Poszedł do łóżka, które zajmowało większość ich pokoju, i wbił w nie palec.

Dicson potrząsnął głową.

„Ale, ale. Influcje, promienie tych planet, jak to, jak one...”

Zamilkł i znieruchomiał. Zapragnął nagle chwycić się czegoś stałego, ale jak gdyby izba była kabiną na statku, albo wnętrzem kolebiącego się powozu, nic nie było tu stałe. Jego pierś zawierała teraz dwa całe wszechświaty, które zastępowały się wzajemnie, kiedy wymawiał zdania stosujące się na przemian do jednego albo drugiego. Stare uniwersum, wielka Ziemia leżąca pod kołującymi niebiosami i planety w swoich domach (łagodnych, zajadłych, gorących, zimnych), kołyszące lampami nad nią. Potem hopla, ten drugi: mała pędząca Ziemia, unosząca wszystkie swoje oceany, góry, rzeki, miasta, państwa i ludzi, zajmująca miejsce w tańcu pośród innych wielkich, okrągłych ciał, uśmiechających się do niej.

„Poruszamy się pośród gwiazd” - rzekł Bruno - „i podlegamy influencji każdej z nich po kolei. Więc jesteśmy z zasady ziemscy, ale te pozaziemskie wpływy powodują, że stajemy się niczym istoty z tamtych planet. Poczytaj Ficina w kwestii przyciągania dobrych influencji przez nasze natury”.

„*De vita coelitus comparanda*”.

„A mieszkańcy tamtych gwiazd podlegają naszym wpływom. Muszą. Być może wilgotna ziemiska influencja łagodzi suchy, choleryczny gniew Marsjan. Być może nasze błękitne niebiosy koją czarną melancholię Saturna”.

Usiadł na łóżku i ściągnął buty. Dicson zdjął z szyi kryzę, roześmiany, rozkojarzony. Bruno ciągnął:

„To nic nowego, jak ów dżentelmen raczył wspomnieć. Pitagoras też o tym wiedział. I Palingeniusz. *Ægipt to znał*”.

Ægipt. Dicson westchnął.

Bruno splótł palce.

„Sieć. Wszystko jest jednością. *E pluribus unum*. *Ægipt to znał*”.

Mężczyźni rozebrali się do koszul i pończoch. Z wprawą oględnością, wyrobioną w przestawaniu z obcymi w gospodach od Wenecji po Paryż, Bruno sięgnął pod koszulę, rozwiązał wstążkę, odwrócił się do Dicsona tyłem i opróżnił pęcherz do nocnika.

„Co będzie, już było. Nic nowego pod słońcem”.

Zdjął pończochy, wchodząc na łóżko. Dicson słuchał trzeszczenia materaca. Słoma. Z przesadną powagą, powstrzymując uśmiech zakłopotania, dziwnego zakłopotania, którego nie mógł się pozbyć, Dicson położył się na łóżku z drugiej strony.

„Jest jeszcze coś, o czym nie pomyślałeś” - rzekł Włoch.

„Tak?”.

„Skoro (przekręcił się trochę, szukając miejsca, bo łóżko nie było duże) gwiazdy, to znaczy stałe gwiazdy, nie są przytwierdzone do sfery, ale naprawdę znajdują się w różnych odległościach od nas aż po nieskończoność, jak to słusznie twierdzi książka tego Anglika, to co wtedy?”

„Co wtedy?”.

„Co z ich influencja?”

Dicson zastanowił się. Wreszcie odezwał się Bruno.

„Znaki. Dwanaście”.

Oddalały się, nawet gdy Bruno to mówił. Oczywiście: nie dwanaście segmentów sfery, nie tuzin guzów na pasie niczym ćwieki w tarczy herbowej: znaki tworzyły gwiazdy, które mogły znajdować się w każdej odległości od Ziemi, niektóre blisko, inne nieskończenie daleko.

„Zmysły nas zwodzą”. Bruno złożył głowę na splecionych dłoniach. „To, co bierzemy za obrazy na niebie, sami tam wstawiliśmy, tak jak jednooki człowiek nie rozróżnia odległości i czasem bierze dalekie wielkie przedmioty za bliskie i małe”.

„Nie ma obrazów. Nie ma znaków. Nie ma Barana, Byka, Bliźniąt. Ale w twoim dziele *Sigilla sigillorum*, pieczęć łańcucha...”.

„Znaki, o których piszę, są prawdziwe. Są prawdziwymi powodami, dla których rzeczy istnieją. Znamy je. Właśnie dlatego, że mamy je za prawdziwe, narzucamy je niebu”.

Nie skomentował; być może nie wydało mu się to dziwne, że dzielący z nim łożę mężczyzna czytał jego dzieła. Ziewnął.

„Równie dobrze moglibyśmy mieć inne znaki. Inne obrazy na niebie. Sam skomponowałem wiersz na dziesięć tysięcy wersów, w którym spotkanie bogów reformuje niebiosą, wypędza wszystkie stare bestie i śmieszne meble, znaki ich własnych przywar, i przywołuje cnoty, by zajęły ich miejsce”.

„Chciałbym przeczytać ten wiersz”.

„Nie napisałem go jeszcze”.

Podniósł głowę i bez pytania zdmuchnął świecę.

W mroku jaśniało tylko niebo. Okno było wciąż otwarte. Pachniało dymem i latem.

„Dobrej nocy” - powiedział Dicson. Nie sądził, że zaśnie. Dom był cichy, umilkły już niewiadome dźwięki z pokojów i korytarzy. Wsłuchiwał się w chłopot wody o schody i burzę barki. Zasnął.

Giordano Bruno leżał nieruchomo z rękami za głową, świadomy ruchu w całym domu, a kiedy ten ucichł, ruchu powietrza nad domem. Duchy Semhamaphores, krążące między sferami i miejscami. Przyciągane.

Przyciągane nie w jego stronę. Przyciągane do tego domu, ale tym razem nie doń. Czuł, jak opadają obok piętra, gdzie leżał (Szkot chrapał cicho u jego boku), tam, gdzie (czuł, jak ciągnie jego naturę niczym magnetyt) znajdował się ujawniony znak. Nie miał szans na sen.

W tym samym czasie w małej izdebce na drugim końcu domostwa doktor Dee, Edward Kelley i Albrecht Łaski klęczeli niczym w adoracji przed stolikiem, na którym znajdowała się kula z przejrzystego kryształu, a jej powierzchnia (i rdzeń) odbijała płomień stojących wokół świec.

Każda noga stolika stała na pieczęci z wosku, a większa pieczęć, *sigilla Æmeth* w języku aniołów, spoczywała na wierzchu: widniał na niej krzyż wieloramienny oraz litery AGAL, wyrzeźbione na spodniej stronie, a wyżej siedem imion Boga, których nie wolno wymówić ani odczytać, a które miały moc przywoływania siedmiu panów siedmiu niebios nad ziemią: każda litera siedmiu imion przywoływała siedem córek, każda córka jeszcze jedną córkę, a córka każdej córki syna, który przywoływał kolejnego syna.

Nie różniły się od imion, które razem tworzyły, a z ich kombinacji i rekombinacji tworzyła się nazwa wszechświata i on sam; dzięki nim ciągle trwa.

Czy była jednym z nich? Najmłodsza córka mocy nie pilnowała swojego miejsca w alfabecie, bawiła się gdzie bądź.

„*Kto tu jest?*” - spytała szybko, bez żadnych wstępów.

„*To szlachetny pan Łaski, o którym mówiłaś, że...*”.

„*Nie on. Ten drugi. Ten wielki daemon. Ten, przed którym was ostrzegałam. Czy nie ma go tu dzisiaj?*”

„*To byłaś ty?*” - spytał Kelley, przypominając sobie noc wiosenną, okręt w kuli i mężczyznę na okręcie: ognie świętego Elma płonące na masztach i rejach. Madimi.

„*To byłem ja. Słyszałeś mój głos, czułeś mój dotyk, a nie widziałeś mnie*”.

„*O czym ona mówi?*” - zapytał po łacinie Łaski.

„*Ciii*” - odszepnął doktor Dee.

„*To zdraźca, który zmienia fizjognomię. To paż królewicza o imieniu Feniks. To najpierwszy syn oszukańczego Boga i on was oszuka*”.

„*Ci bogowie są fałszywi*” - powiedział Kelley.

„Nie bluźnij. Zali nie znasz owych wielkich duchów, co zamieszkują gwiazdy, których miarą tworzone są wszechrzeczy? Podam ci ich miana w grece: Hermes, Afrodyta, Ares...”.

„Merkury, Wenus, Mars. Znamy je. Uczysz nas gwiazd?”.

„Może znacie, a może i nie znacie”.

Głos zabrał doktor Dee:

„Czemuż to powinniśmy się go bać?”.

„Strzeżcie domu, strzeżcie ksiąg. On zdolny jest wykraść wam kamień, powiadam wam”.

Doktor Dee odłożył pióro, wziął nowe i zanurzył w inkauscie.

„Cóż to za kamień?”

„Wasz obraz, wasza litera. Starcze, poniechaj pisania. Pióro, nie zostawiaj śladu. Inkauscie, przemień się w wodę. Będę wieszczył: zapiszcie me słowa w sercach”.

Dee niechętnie odłożył pióro. Książę Łaski nachylił się do kuli.

„Słuchajcie. Dwa wichry przybędą. Najpierw pierwszy, potem drugi. Pierwszy wichor przywieje czas, a drugi go zabierze na powrót. Noe ujrzał wodę, Egipt ujrzał ziemię. Wichor jest równie wielki”.

„Ogień” - powiedział doktor Dee.

„Jeszcze nie ogień. Zapamiętajcie moje słowa. Pierwszy wichor. Zburzy on wieże, zburzy pałace. Strąci korony z głów. I głowy z karków”.

„Co czynić?”.

„Najlepiej uciekajcie z tym człowiekiem. On się wami zaopiekuje. On was obroni”.

Przez chwilę doktor Dee nie posiadał się ze zdumienia. Czyżby mieli uciekać z Włochem? A potem zrozumiał, że chodzi o Łaskiego. Łaski zaprosił ich był, by wrócili z nim do jego ojczyzny, gdzie czekały ich zaszczyty, na które nie mogli liczyć tutaj.

„Czyż można umknąć przed wichrem?” - spytał spokojnie. - „Pani, jeśli czas nadejdzie...”.

„Jesteś mądrym starcem. Jego pałac nie będzie odporny. Jeśli runie pod pierwszym wichrem, odbuduję go. Jeśli runie pod drugim wichrem, niech sam sobie radzi. Mnie tam nie stanie”.

Teraz w starym domu słyszeli stukoty i jęki duchów, przeciągi pędzące z piętra na piętro, gaszące świece i łopoczące dywanami; służka płakała w mansardzie, z głową pod poduszką, kot skrył się w kominie.

„Wiatr wieje tam, gdzie chce” - wyszeptał Łaski; przeżegnał się i ucałował paznokiec kciuka.

CZTERY

Wrzesień: wyobraź sobie Pomonę, jej owoce; ale zarumień jej policzki chłodnym wiatrem i zmierzw jej włosy. Wiatr był przenikliwy nad Tamizą.

„Merkuriusz, Teutates, który wynalazł litery, sztukę zapamiętywania; Sokrates. U mnie to śmieszek i pedant. To moi mówcy”.

Giordano Bruno roześmiał się, słuchając Alexandra Dicsona. Lubił umieszczać pedanta we własnych dialogach: kogoś, kto wygłasza absurdalne twierdzenia, którym można się przeciwstawić.

Dialog o Pamięci, który Alexander Dicson tworzył, w dużej mierze czerpał z jednego z dzieł Bruna, opublikowanego w Paryżu - tytanicznego dzieła zamierzonej i nieustępliwej złożoności, której nikt poza autorem nie mógł w całości pojąć. Podarował Dicsonowi egzemplarz i napisał dlań dedykację.

„Merkuriusz, tak. Czyli Hermes. A jak zaczniesz?”.

„W *ægipskich* ciemnościach” - odparł Dicson i wzdrygnął się.

Miał zamiar opowiedzieć, w jaki sposób, nim sprytny bóg Teutates wymyślił litery, które zniszczyły ludzką pamięć i doprowadziły do ciągłych kłótni, mądrzy kapłani i żyjący bogowie *Ægiptu* zapisywali myśli wewnątrznie, w języku dziś już zapomnianym. Nasze języki - greka, łacina, angielszczyzna - to tylko zwierzęce porykiwania, ledwo co wygładzone, wpieryw używane tylko po to, by wrzeszczeć „Dawaj, dawaj”, albo „Uważaj, uważaj”, a potem naciągnięte i rozciągnięte, by imitować myśl, tak jak małpa imituje człowieka. Ale słowa świętego języka *Ægiptu* nie były tylko dźwiękami ani pozbawionymi znaczenia znakami, ale żywym odbiciem w duszy tego, co reprezentowały.

„*Hieroglyphica*” - rzekł Bruno. - „To tu”.

Drzwi w ogrodzie francuskiej ambasady wychodziły na Water Lane, prowadzącą wzdłuż muru pałacu do rzeki. Tam przedarli się przez stosy cegieł i drewnianych bali (nadbrzeże wciąż zmieniało kształt, tu coś dobudowywano, tam rozbierano, Bruno obserwował zmienną sytuację z godziny na godzinę z okna, a równocześnie taka sama praca odbywała się w jego własnym wewnętrznym mieście) do śliskich schodów Backhurst, gdzie czasem zatrzymywały się łodzie płynące w górę rzeki.

„Jak dialog spodoba się twym mecenasom? Może nie przypaść im do gustu”.

„Jeśli coś w nim jest, przyjmą go przychylnie” - odpowiedział z powątpiewaniem Dicson. - „Zadedykuję go sir Philipowi”.

„Sir Sed-Ne” - zaśmiał się Bruno. - „Sir Ależ-Nie”.

Byli to także mecenasowie Bruna - sir Ależ-Nie i jego otoczenie, sir Fulke Greville, hrabia Leicester. Poniekąd i sama królowa, która знаła go z widzenia. Lordowie postarali się dlań o dalsze wykłady na Oksfordzie pomimo tego, co się stało, i początkowo sala była pełna - być może właśnie z powodu niedawnego wydarzenia; ale słuchacze nie mieli pojęcia, jak rozumieć jego szybką, mniśią łacinę; jego wymowa wzbudzała chichot, męczył się z Arystotelesem jak Jakub z aniołem; a potem - nie słysząc lub nie chcąc słyszeć ostrzegawczych pomruków słuchaczy, wkraczał na niebezpieczne tematy, jakby schodził z krawędzi doku: jak niebiańskie moce przyciągane są ku duszom, metensomatoza, nawiązywanie komunikacji z istotami powietrza. To było dużo gorsze od Kopernika.

Przychodzili doń poufnie, oskarżając o plagiat, o branie wykładów z Ficina, co nie było do końca prawdą, ale stanowiło pomniejszy, niezagrożony karą zarzut; John Florio i inni jego nowi przyjaciele (indolentny sonecista Sam Daniel, dobry Matthew Gwynne) wzięli Bruna na stronę i błagali, by pomyślał o ambasadorze, który był dlań tak miły: więc uprzejmie zgodził się porzucić wykłady.

Niech wiedzą, że jest nolańczykiem urodzonym pod bardziej przychylnym niebem.

Świnie.

„Trwa przypływ. Strzeż się. Kiedyś już wpadłem do tej rzeki” - powiedział Dicson.

„Nie. Nie do tej rzeki. Do innej. Nie można dwa razy wpaść do tej samej rzeki”.

Śmiejąc się, Dicson wziął swego nauczyciela pod ramię i pomógł mu przejść przez błoto do miejsca, gdzie czekała bardzo stara łódź.

„Zbudowali tę łódź” - rzekł Bruno - „dwaj starcy w środku. Na początku czasu. Co to za rzeka? Styks?”.

Łódź, przeciekająca i zaśmiecona, wypłynęła na wezbrane wody i ruszyła w górę rzeki. Po niebie ściagały się dwa rodzaje chmur: jedne gęste i zdobne, drugie niczym długie, blade przesłony. Dicson targował się ze starym szyprem o zapłatę za rejs do Mortlake; wedle prawa przewoźnicy nie mogli pobierać więcej niż sześć pensów, ale mądry podróżnik wiedział, że potrafią uprzykrzyć podróż nadto skrupulatnym pasażerom.

Potem usiadł koło Bruna.

„Moja Sztuka Pamięci nie będzie dziełem tak wielkim jak twoje”.

„Zanim się pofrunie, trzeba nauczyć się chodzić pieszo”.

„Boję się, jak rzecz zostanie odebrana”.

„Przez kogo?”

„W tym kraju, a zwłaszcza na uniwersytetach, jest wielu takich, którzy nie lubią obrazów. Obdarli z nich kościoły i wydarli je z modlitewników”.

„Ja też obawiam się tych ludzi. Wybranych, którzy nie zrobili nic, by te wybory wygrać. Boję się ich bardziej niż śmierci”.

Dicson zawahał się. Nigdy nie słyszał, by nolańczyk mówił o swoich lękach.

„Powiedzą, że tworzenie obrazów w umyśle i duszy to bałwochwalstwo”.

Bruno zaśmiał się serdecznie.

„Uważają, że mogą myśleć bez używania myśli. I to ludzie, którzy udają umiłowanie dla Arystotelesa. Myśleć to rozważać za pomocą wyobrażeń. Arystoteles, Arystoteles, Arystoteles”.

„Hieroglify Egiptu”.

„Były obrazami”.

Hieroglify stanowiły dla umysłu niewysłowione słowa języka egipskiego. Nie zostały wycięte w kamieniu jako pomoc dla pamięci; Egipcjanie nie potrzebowali takiej pomocy, ponieważ znaki wyrzeźbione w kamieniu były doskonalsze, trwalsze, a przede wszystkim żywe i zdolne do zmiany: permutacji, peregrynacji, kombinacji i generacji. Zapisy w kamieniu pochwalnie wycięto na obeliskach mierzących ku niebu, by krzepiły serca.

„A może, by nauczyć przyszłe wieki” - powiedział Dicson. - „Kiedy prawdziwa egipska religia została zapomniana”.

Hermes to przewidział; Dicson czytał dzieła spisane przed narodzinami Mojżesza. Noc zapadała nad krajem, kapłani tracili moc, barbarzyńcy przejmowali władzę, bogowie porzucali Egipt, a lud zapominał, jak ich czcić, zapominał, że bogowie niegdyś żyli pośród niego, zapominał wszystkiego: wreszcie uwierzył, że prawdy zachowane we fragmentach z tamtych czasów są tylko legendami, a moce kłamstwem.

Nie, nie kłamstwem. Posiadał je Philotheus Brunus Nolanus, siedzący obok na łodzi. W postaci, które stworzył w sobie - pieczęci natury rzeczy, statuy gwiazdnych bogów, symbole rzeczywistości - potrafił zaprosić ożywcze duchy, które zamieszkują materię, które wypełniają ziemię, powietrze, wodę i niebo; i wiązał te moce do statui i talizmanów serca, a one przemawiały.

Bruno:

„Skoro w jasny dzień Egiptu posiadały takie moce, to z biegiem rzeczy musiały je stracić; a teraz my, którzy nie mamy tych mocy, z biegiem rzeczy możemy je odzyskać”.

Dicson zastanowił się.

A zatem tamta epoka wróci w odpowiednim czasie. Nie przegapi tego. Wróci w osobie tego drobnego Włocha o zabawnym kroku i zawadiackim podbródku. Dicson roześmiał się, a łzy wdzięczności wezbrały mu w oczach.

Ægipt, skąd pochodzi wszelka wiedza, krynica, z której pił Platon i Pitagoras. Hermes był królem Ægiptu. Hermes nauczał, jak Ægipscy kapłani przyciągali z niebiańskich krain duchy gwiazd, niematerialne byty, strażników czasu, by zamieszkali w tytanicznych statuach ludzi i zwierząt oraz zwierzolidzi, które kapłani tworzyli; statuach wyrażających naturę zaproszonych do nich duchów - kiedy kapłani związali ducha z właściwą mu statuą, mogła ona mówić, wieszczyć, poznawać prawdę o istocie rzeczy.

Tak często widział oczyma wyobraźni tamte świątynie poranku świata, w których stały olbrzymie wizerunki bóstw i zwierząt; niektóre wciąż, jak słyszał, były tam, zakopane w piaskach Ægiptu - ale statuy uległy zniszczeniu, a obrzędy zapomnieniu.

Teraz w największym mroku ignorancji i konfliktu - czy dobry Bóg nie powinien otworzyć ludzkich serc na nowe objawienie? Czy mogło tak być? Wichry świtu wzmagają się, gdy noc blednie; okrutne i głupie starcia lunatykujących sekciarzy dobiegają końca, ignoranci uciekają przed wschodzącym słońcem nowej wiedzy, niespodziewanymi mocami, żywymi obrazami. Mądrość otwiera ludzkie serca i umysły, mądrość zdolna pogodzić królów i papieży, uleczyć ciało Chrystusa, fałszywie i głupio podzielone.

Mądrość zdolna pogodzić (oby nie było zbyt późno) Królowe Północy i Południa, których posągi w czerwieni i zieleni stoją w świątyni serca Alexandra Dicsona: królowa szkocka, której był poddanym, za którą ludzie umierali, i królowa angielska, królowa dziewica, której tu służył, dla której ludzie żyli.

Przewoźnik wysadził ich przy schodach w wiosce Mortlake, choć nie przy tych, przy których chcieli wysiąść, obok domu, który był celem ich podróży; trafili na śmierdzące błoto (przyływ się kończył, łodzie szarpały cumy, gotowe do drogi w dół rzeki) i słyszeli przekleństwa, kiedy szli z trudem ku schodom.

„*Tanchi, maester*”¹⁷, rzucił Bruno jeden z nielicznych angielskich zwrotów, które wypowiadał na głos, i uklonił się przesadnie. Pociągnął Dicsona na schody i wiejską ulicę obok kościoła i krzyża, gdzie plotkarki przyglądały im się w zdumieniu, słysząc nieznaną język, i przeżegnały się, gdy przeszli. W mrocznej tawernie spytali o drogę, ale grupa pijaków spojrzała na nich z buńczucznością i nie raczyła odpowiedzieć.

Z powrotem ku złocistym, bujnym polom, szukając drogi. Ostrzegawcze krakanie

wron. Dwaj mężczyźni zachowywali milczenie, pełni nieokreślonych obaw.

Dom doktora Dee. Mimo słonecznego światła i ciepła okiennice na piętrze były zatrzaśnięte; brama jednak stała otworem. Weszli. Ogród ziołowy, buczenie pszczół. Płatanina kwiatów zostawionych samym sobie. Zastukali kołatką w kształcie lwiej głowy: na próżno.

Nikt nie wyszedł.

Obeszli cały dom, czując się nieswojo. Czemu przy domu nie było nawet sług?

„Biblioteka” - rzucił Bruno.

Tu okiennice nie były zamknięte. Dicson pochylił się, złączył dłonie i podniósł Bruna do okna.

Półmroczny, cichy zastój. Osłonił twarz dłońmi, by lepiej widzieć przez szybę. Niektóre półki opróżniono; część instrumentów przykryto. Bruno wysłał na zwiad swojego ducha, a wnętrze się rozświetliło.

Jest. Leży ciągle na stoliku, gdzie ją czytał, wciąż otwarta na stronie tytułowej. *Monas hieroglyphica*. Tytuł płonął czernią na szarym pergaminie.

Lecz nie mógł się do niej dostać. Nie mógł zadać jej pytań.

Dicson rzekł: Patrz.

Ściągnął Bruna na ziemię. Spojrzeli w kierunku Richmond. Na polach widać było grupkę ludzi, być może żniwiarzy, z grabiami. Z pochodnią. Zbliżali się. To nie byli żniwiarze.

Obaj mężczyźni stali w bladym świetle słońca pod murami porzuconego domostwa. Bruno słyszał wokół rozhovor wielu elementali, które pozostawiono jak koty, ponieważ nie można było ich zabrać z ziemi i domu.

Dicson powiedział: Uchodźmy.

Bruno, na próżno sprowadzony do tego domu, również opuszczony, podniósł puste ręce.

„Nie ma go”.

Wyruszyli pod osłoną nocy, z nagłą; John Dee uporządkował sprawy w poniedziałek, przepisał dom i własność na szwagra w środę, a w sobotę ruszył spotkać się nad rzeką z księciem Łaskim, który sam wyjeżdżał w pośpiechu i podejrzeniu, trochę tak jak człowiek, który spuszcza się z okna gospody na linie z prześcieradła, nie uściwszy rachunku.

Schodzili ku rzece w ciemnościach: Kelley, Jane, Joanna Kelley oraz brat Kelleya,

¹⁷ Zniekształcone *Thank you, master*.

który zdołał przekonać towarzyszy, że lepiej zabrać go z sobą niżli pozostawić w Anglii, gdzie groziło mu przesłuchanie. Kufry i pudła ściągano ze stukotem po omszałych stopniach, małe dzieci niesiono śpiące na pokład.

A upchnięta w bagażu, owinięta w pakuły, wciśnięta w aksamitną czapkę, lecz rozświetlona w wewnętrznym oku Kelleya tkwiła kryształowa kula z niespokojną Madimi w środku.

W Barn Elms, w dole rzeki, tamtej nocy Philip Sidney spał po raz pierwszy z Frances, córką sir Francisa Walsinghama. Wystawny ślub, który sir Philip sfinansował, sprzedając udział w ekspedycji Humphreya Gilberta do Atlantydy, odbył się tamże tego samego dnia; światła wciąż świeciły się w ogrodach i domu, muzyka wciąż grała, a promy, które wynajął książę Łaski, przemknęły się w ciemności. Sidney śmiał się cicho razem z żoną, odkrywając, że jest mądrzejsza, niż mu się dotąd wydawało, a i bardziej dowcipna - nie wiedząc wszakże, że tysiąc mil na zachód Gilbert właśnie idzie na dno podczas burzy u wybrzeży Nowej Fundlandii, sterując swoją flotą przez ciemność w maleńkiej fregacie „Squirrel”, „aż nagle zagasły jej światła”.

Następnego ranka Dee z najbliższymi wyruszył na duńskim statku przez morze wraz z księciem Alasco, jego końmi i służbą; ale wiatr zepchnął ich z powrotem do Anglii i byłby zatopił szalupę, w której wracali na brzeg, gdyby nie Kelley, gorliwie wybierający wodę rękawicą (należącą do Madoca?), znajdującą się w bagażu. Marynarze wyciągnęli ich na brzeg razem z dziećmi Dee, Rowlandem, Arturem i Katherine, śmiejącymi się na widok ojca zrzuconego w błoto z pleców kapitana.

Znów ruszyli w drogę; wystarczyły modlitwy i trochę magii, a wszystko poszło błyskawicznie. Nadchodziła jesień, czuć ją było w morskiej bryzie, zdawała się zarazem nowa i pożegnalna. Dotarli do Brielle, gdzie przesiedli się na amsterdamską barkę, potem znów przesiedli się na skutny, by płynąć zimnymi kanałami. Znajdowali się w Haarlem, kiedy Bruno stukał do ich drzwi w Mortlake: Dee usłyszał znieścacka swoje imię znad szarej powierzchni wody, podniósł wzrok, ale nie ujrzał nikogo.

W listopadzie sieć podejrzeń i dowodów (z których wiele pochodziło od kapelana Mauvissière'a i jego sekretarza) zacisnęła się wokół Francisa Throckmorta i Henry'ego Howarda. Walsingham kazał ich aresztować, przeszukać papiery Throckmorta; znaleziono listy od katolickich arystokratów, plany najazdu, szlaki, listy od księcia Parmy w Niderlandach. Torturowany, przyznał się do wszystkiego. Przechwycone listy między Marią, królową Szkotów i Mauvissière'em inkryminowały hrabiego Northumberland i hiszpańskiego ambasadora. Elżbieta nie pozwalała tknąć Marii, przynajmniej nie teraz, ale zgodziła się

wydalić Bernardina de Mendozę, bowiem jego knowania „wprowadzały niepokój w Anglii”. Odstawiono go na statek na deszczowej przystani w Greenwich i pożegnano. *Powiedzcie swej pani, krzychał z pokładu statku, że Bernardino de Mendoza urodził się nie po to, by wprowadzać niepokój w królestwach, ale aby je podbijać.*

Już wtedy szykował się dużo ważniejszy spisek.

Northumberland popełnił samobójstwo w Tower, strzelając sobie w pierś z pistoletu, jako jeden z pierwszych ludzi w historii, którzy w ten sposób uniknęli tortur i hańby. Throckmorton siedział w więzieniu do lata, kiedy to wyprowadzono go z celi w koszuli z różańcem z drzewa oliwnego pobłogosławionym przez papieża w dłoniach; wymiotował ostatni posiłek, rzecz zwykła i nieprzynosząca wstydu. Głowę zdjęto mu z karku jednym ciosem; ale z przyczyny fałszywej przysięgi, którą niegdyś złożył był w towarzystwie licznych lojalnych panów, przysięgi obrony królowej, odcięto mu także prawą dłoń, a sam Walsingham schylił się, by ją podnieść.

PIĘĆ

Pierce Moffett nie mógł się nadziwić, zwłaszcza kiedy czytał rzecz po raz drugi, ile prawd Kraft napisał i jak niewiele wymyślił. Brakowało wprawdzie zapachu, smaku czy dotyku przeszłości, jakakolwiek byłaby ona dla zmysłów; ale znalazło się tu wiele prawdziwych myśli i wypowiedzi i bardzo niewiele zmyślenia, chociaż zarazem wszystko było dość niemożliwe i fantazyjne niczym baśń. Sztuczka ta na pewno nie należała do prostych i sukces musiał sprawić przyjemność, a nawet wzbudzać dreszczyk, gdyby ktoś, kto nie był obeznany z historią, śledził powstawanie dzieła.

Bruno w istocie przebywał w ambasadzie Francji i rzeczywiście działali tam szpiedzy; naprawdę udał się do Oksfordu, by odbyć debatę przed polskim magnatem Łaskim, postacią historyczną, i został zakrzyczany, chociaż nigdzie nie zapisano dokładnie, co mówił. Alexander Dicson także istniał w rzeczywistości i był sługą Sidneya; Sidney naprawdę planował przewieźć angielskich katolików do Ameryki i rzeczywiście zajmował się Łaskim w Oksfordzie. Pierce to wiedział.

Łaski w drodze powrotnej z Oksfordu odwiedził Dee, ale Pierce nie słyszał, by to samo uczynił Bruno. Czy mogło tak być?

Czy Kraft rzeczywiście wiedział, że John Dee i Giordano Bruno faktycznie spotkali się w Anglii? Z jakiego źródła?

Dlaczego ta ewentualność po przedstawieniu nabierała znamion prawdopodobieństwa? W swojej krótkiej biografii Bruna (*Podróż Bruna z 1931 roku*) Kraft nie wspominał o Dee, ale to przecież nie była książka naukowa, a do tego została napisana dawno temu. Dlaczego Dee tak nagle wyjechał na kontynent pod koniec lata? To było tego lata, prawda? A może nie, trzeba wziąć poprawkę, że może daty naszły na siebie; o ile Pierce pamiętał, Dee wyjechał z Anglii przed przyjazdem Bruna.

Wstał z krzesła, krzesła Krafta, i opuścił gabinet, w którym Kraft strawił tyle godzin; przemierzył labirynt domostwa (labirynt dla kogoś takiego jak Pierce, kto nigdy nie mógł odwrócić w umyśle drogi, którą przyszedł, ani szybko odróżnić lewej strony od prawej). Zatrzymał się pośrodku splewiałego dywanu w pokoju, gdzie Kraft spędził większość życia.

Gdzieś tutaj, był tego niemal pewien.

Kiedy Pierce znajdował w swoich źródłach przypis lub odsyłacz mówiący, że taką a

taką informację lub fakt można znaleźć w takiej a takiej starej książce, źródło zapadało mu w umysł, wrażliwy niczym psi nos na ślady podróży Krafra przez bory przeszłości. Pierce znalazł tylko kilka źródeł na temat Dee i one musiały się tu znajdować, razem z tymi, o których nie wiedział, a które mogły opowiedzieć dłuższą, acz niekoniecznie prawdziwszą historię.

John Dee, dziwny, niestrudzony człowiek, naprawdę zapisał wszystkie rozmowy, jakie wraz z Edwardem Kelleyem toczył z aniołami pojawiającymi się w kuli. Zapisywał także wszystkie inne wydarzenia w domu w Mortlake. Obie publikacje wydano drukiem, choć Pierce nigdy ich nie widział. Tajemna relacja została opublikowana po raz pierwszy w XVII wieku i w niektórych kręgach wciąż cieszyła się uznaniem: *Prawdziwa i wierna relacja wieloletnich wydarzeń między doktorem Johnem Dee, przesławnym matematykiem królowej Elżbiety i króla Jakuba, a duchami; dążąca (w razie powodzenia) do przemiany państw i królestw świata.*

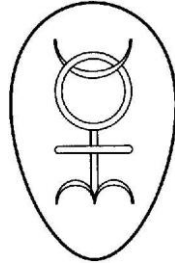
Księgę tę opublikował w 1659 roku Meric Casaubon, uchodźca hugenocki i polemista protestancki. Casaubon był przekonany, że Dee i Kelley rozmawiali z duchami, i to złymi; że kontakty z takimi duchami skazały ich na potępienie; że „przemiana” byłaby straszliwą katastrofą, demonicznym imperium, od którego świat cudem się uratował; autor więc *pokazał sposoby, z których może skorzystać trzeźwy chrześcijanin*, którymi to słowami kończył się przydługi tytuł, kiedy wielki terror dobiegał końca, a sto tysięcy kobiet, mężczyzn, włóczęgów, księży i dzieci zostało spalonych, zamęczonych, połamanych, utopionych i powieszonych za takie czyny.

Purytanie prześladowali tę publikację, nie rozumiejąc zamiarów Casaubona, ale sporo egzemplarzy zdążyło się rozejść. Prawdopodobnie można było ją dostać u specjalistów, a nawet w księgarniach. Kraft miał niejedną siedemnastowieczną książkę na półkach, niektóre jeszcze bardziej abstrakcyjne.

Od czego zacząć? System klasyfikowania książek Krafra nie był znany Deweyowi ani innym pedantom; a przecież musiał istnieć.

Nic nie daje większego ukojenia i nadziei niż słoneczne światło dochodzące przez otwarte okna i opromieniające grzbiety szeregów książek. Pierce nie sądził, żeby wielu ludzi czuło coś podobnego. Sam będąc dziwakiem, pamiętał, że kiedy miał dziesięć czy dwanaście lat, siadywał do śniadania w rozświetlonym powietrzu i myślał, że to dobry dzień na przeczytanie książki czy zapisanie czegoś.

Spójrzmy tutaj. Pierwsza szafka, do której podszedł, pierwsza półka, której dotknął. *John Dee (1527-1608)pióra*. Charlotte Feli Smith, Constable and Company, 1909. Stare, solidne wydanie w płóciennej okładce z wytłoczonym symbolem:



Kula, powiedziała Madimi (u Krafca), wasz obraz, wasza litera. Pierce musnął palcami linie symbolu. Były pozbawione mocy. Teraz.

Pierce otworzył na indeksie i wyszukał Bruna. Jedna krótka wzmianka. „Paracelsus zmarł czterdzieści lat wcześniej. Bruno wciąż rozwijał swe teorie Boga jako wielkiej jedności za światem i ludzkością. Kopernik nie żył od pewnego czasu, a jego nowe teorie układu słonecznego stopniowo zyskiwały akceptację. Galileusz był studentem w Pizie, swoje przyszłe odkrycia wciąż nosił tylko w umyśle”.

Nic więcej.

Żadnego więc spotkania, a przynajmniej żadnej o nim wzmianki w źródłach dostępnych w 1909 roku, bo inaczej autorka nie omieszczałaby rozwinąć tematu; taki charakter zdawała się mieć ta publikacja.

Przekartkował książkę. Dlaczego chciał, by to wszystko się potwierdziło?

No, no. Kraft na pewno ją czytał i to niejednym razem; na stronach widniały podkreślenia i nawiasy wykonane kilkukolorowym atramentem, wykrzykniki obok wybranych fragmentów; całość przeznaczona do wykorzystania na nowo. Był to prosty sposób napisania książki, czy też wręcz przeciwnie, kolaż faktów i fraz połączonych własnymi sympatiami i pomalowanych jaskrawą farbą w kolorze życia? Czy to właśnie miał zrobić?

Włożył panią Smith do torby, by przestudiować później w spokoju.

Przeszło mu przez myśl, że biblioteka Krafca jest w istocie nieskondensowaną wersją jego już i tak okazałych rozmiarów książki; albo że książka jest ucieleśnieniem biblioteczki, jak gdyby regały wyrzuciły z siebie książkę wedle swojego układu: każda obecna na nich książka stanowiła rozdział albo zdanie.

A to co?

Zauważył oprawny w skórę tom na przedostatnim regale od góry. Musiał przyciągnąć krzesło i wspiąć się (pomyślał, że Kraft czynił podobnie); ale książka okazała się zdumiewająco lekka; zdjął ją i zeskoczył niezbyt zgrabnie na podłogę.

Na grzbiecie nieczytelne nazwisko złożonymi literami. Podszedł do okna i otworzył książkę na stoliku (gdzie zwiędło pół tuzina fiołków afrykańskich), myśląc, że wie, co ujrzy.

Na miłość boską.

Nie była to *Prawdziwa i wierna relacja*; ani też pamiętnik Dee. Ale była to książka, którą znał: kilkunastokrotne wydanie włoskiej niby-powieści, to samo, z którym męczył się pewnego lata w college'u, pisząc pracę.

Hypnerotomachia Poliphili pióra Francisca Colony, wydana w 1594 roku, mimo iż powstała niemal sto lat wcześniej w dominikańskim klasztorze. Po włosku z francuskim i angielskim tłumaczeniem, w trzech kolumnach; wielkie drzeworyty, dobry lekki papier szeleszczący znajomo, kiedy Pierce przewracał kartki. *Le Songe du Polifil. Poliphil's Strife of Love in a Dreame*.

Och, chłodne, nieruchome powietrze działu zbiorów specjalnych w Noate, podczas gdy na zewnątrz lato się sroży... Lato przed jego ostatnim rokiem, kiedy pisał pracę, za którą dostał pieniądze, choć zbyt mało, by wyżyć; zmywał także naczynia w hotelu, dobry Boże, młodość jest w stanie znieść coś, czego nie potrafi wiek.

Część pierwsza, rozdział pierwszy, Poliphilo ma złą noc, wierci się na łóżku: *żalność i niewczas, z niewczesnej i próżnej miłości, wpadłem w bezdeń gorzkich żalów*. Następnie, spędziwszy przebudzenie w sposób typowy dla sfrustrowanych kochanków, co Pierce dobrze znał - *moje błędzące zmysły, zmęczony się próżną i fałszywą rozkoszą nie wprost i bez oszustwa rzadkiego boskiego obiektu* - nad ranem zapada w sen i śni.

Boże, jak dobrze to pamiętał: jego pierwsze lato w roli akademika; ta wredna zmywarka. Możliwość: jak życie, czas tak ograniczony, mogło wydawać się Pierce'owi tak pełne, bankiet, nie jego jeszcze, ale dla niego tak jak dla każdego. Pomimo tego wszystkiego z trudem stosował pogardliwą ironię przeciwko bezmyślnym wymysłom tej książki, jak również przeciw swemu własnemu wnętrzu: przynajmniej miał tę ironię, swoją najnowszą broń, miecz i tarczę w jednym.

Śpiący Polifil śni, że się budzi i znajduje się na zwykłej kwietnej łące; wpada w swoim śnie w zwykły czarny las, *wszedłszy grzecznie, nie mogłem się rozeznąć, jak wyjść*. Długie zmagania, po których ucieka, słyszy głos serafinów, znów zasypia, śni, że znów się budzi, kolejna kwietna łąka, tym razem z tytanicznej wielkości świątynią, ku której zmierza.

Była też ilustracja, półstronicowy drzeworyt. Pierce, pole bitwy sprzecznych emocji, położył dłoń na stronie. Obelisk z Egiptu, schody, sześcian, piramida, kula.

Książkę tę podsunął mu promotor, Frank Walker Barr, z błyskiem w oku, jak gdyby świadom, jakiego psikusa płata. Pierce nigdy się nie dowiedział, co Barr naprawdę sądził o tej książce; sam lubił w niej wtedy jej upartą „nielubialność”, samą powierzchnię bez głębi, klaustrofobiczną niczym dziwny grobowiec: w tamtych bowiem czasach pociągało go to,

co zamknięte, pokrętnie, pogmatwane, być może dlatego, iż sądził, że wie lepiej, że jego nie da się złapać. Ha.

Poliphilus przestępuje progi świątyni, próbuje wejść po schodach, pada, cofa się; wchodzi do sześcianu, czyta inskrypcje, interpretuje murale, wszystkie o miłości, wszystkie trafne, choć żaden go nie oświeca. Ciągłe dzieje się coś nowego, dając wrażenie doskonałego bezruchu. Znajduje posąg słonia, na jego grzbiecie stoi kolejny obelisk, na którym artysta wyrzeźbił swoją wersję hieroglifów; wchodzi do cielska bestii, spostrzega grobowce i posągi nagich mężczyzn i kobiet, czyta inskrypcje (Pierce trudzi się z eliptyczną łaciną, nigdy nie będąc pewny, czy rozumie). Wszystko to było jak sceny ze snów w czarno-białych filmach, na które wtedy chadzał, zbiory groźnych wizerunków, nigdy się nie powtarzających lub powtarzających się bez końca.

Następne drzeworyty. Maleńki Eros w rydwanie ciągniętym przez nagie dziewczęta, które chłoszczą wiązką różg, ciekawe. Miłość. Nie ma na świecie większej potęgi. Łatwo było się pogubić - czy obraz prezentował scenę, którą Poliphil widział we śnie, czy też taką, którą we śnie widział na muralu albo przeczytał o niej na kamiennej tablicy. Na końcu książki znajduje ukochaną Polię, ale potem budzi się, a jej nie ma. Tamtego lata Pierce miał tylko jedną krytyczną uwagę do tego hermetyczno-archeologicznego kryptoromansu: że chociaż bohater po dwakroć zapada w sen, budzi się tylko raz. A zatem na końcu wciąż śpi, nietypowe zakończenie w książkach o snach, o którym Pierce napisał w swojej pracy z ironią, że musiało być zamierzone; w tamtych czasach lubił też niedokończoność, zawieszenie, uwięzienie, bezwyjściowość. Wreszcie zgubił notatki oraz wersję roboczą w kinie i nigdy nie ukończył pracy.

„Polia” mogło oznaczać „wiele”. Poliphilos: kochanek wielu albo kochanek Wieli.

Była na to ilustracja. Pan, syn Hermesa, ojca wielości, Omniforma albo Pantomorfa, ukazany, jak wchodzi na stelę. Wyraźna kreska, wyraźny też wzwód, „ityfaliczny”, czy nie tak brzmi to słowo; ponieważ książka ta była także swoiście pornograficzna. Nimfy wokół przynoszą mu owoce, kwiaty, płody ziemi, byka w wieńcu; muzyka, rozlewane wino, dym ofiarny. Kraina Golasów.

I oto była uskrzydłona Miłość, już starsza, uśmiechnięty chłopiec wiodący matkę, także uskrzydłą; wcześniej tego nie widział, uskrzydłona Wenus, niezwykle.

Ker - słowo samo spłynęło mu na usta, słowo z wykładów Franka Walkera Barra na temat Greków, a może z jakiejś starej książki, ale jakiej. KER, niebezpieczna i straszliwa skrzydlata istota, uśmiechnięta, bezlitosna.

Pierce nagle stał się czujny, jak gdyby jego zmysły coś wykryły, czyjaś obecność w

tym jasno-ciemnym pomieszczeniu.

Co to?

On albo pokój, w którym się znajdował, zaczął wypełniać się czymś tajemniczym. A może było to już w środku? Serce otwarło mu się, by wchłonąć przepływ lub wypływ czegoś, co zdało mu się zarazem powracające i nadchodzące.

- Co - powiedział na głos, napięty i baczny; a potem: - Tak - odpowiedział albo wykrzyknął, jak gdyby zeskakując z góry, nic go nie obchodziło, wiedział tylko, że coś jest obok, pod ręką, coś mu się oferuje, a on ma niewiele czasu, by się zgodzić.

- Tak, wróć - powiedział. Tak, proszę, wróć, proszę. Posłuchaj, jestem już starszy, tym razem tego nie zmarnuję, wykorzystam w kontekście swojego życia, naprawdę; tym razem będę mądry, tylko nie umieraj, nie odchodź na zawsze.

Ale to już zniknęło. Czymkolwiek było. Uprzytomnił sobie, że od dłuższego czasu stoi w bezruchu, drząc jak cięciwa.

Co mu oferowano? Czy miał coś? W jego sercu lub umyśle pojawił się jakiś obraz: na nim kobieta, być może, i, i. Jakaś możliwość. Ukazano mu transformującą siłę w jego sercu; coś, co rozpoznał w tej samej chwili, kiedy zrozumiał, jak długo był tego pozbawiony.

- Miłość.

Zamknął milczącą jak głaz księgę snów i wspiał się na krzesło, by ją odłożyć. Potem zszedł. Światło w cuchnącym starym pokoju zmieniło się. Jego myśli przygasły, żywymi kolorami malował się jedynie lunch.

Była w jego torbie, poplamionej i podniszczonej, w której od lat trzymał książki, niczym drwał podpałkę. W papierowym worku (jak nazywano je w Kentucky) pod pożyczoną książką o Dee oraz zwiniętymi i poplamionymi zawartością szklanek kartkami jego konspektu, którego Julie Rosengarten użyła, by sprzedać go Wydawnictwu Kogucik. Wyjął książkę i lunch. Wyszedł z biblioteki (chwila wahania w holu, nikt nie uwierzyłby, że mógłby się tu zgubić, w prawo? w lewo?) przez kuchenne drzwi do ogrodu. Usiadł na kamiennej ławce, by poczytać i zjeść.

Usiadłszy, poczuł, jak to wraca, siła, która przed chwilą go nawiedziła, zrodzona w bryzie, która przeleciała po jego przepoconej koszuli i włosach: nie tak mocna jak przedtem, ale na tyle mocna, że mógł bez wątpliwości rozpoznać, iż przybyła i nie odchodzi.

Siedział nieruchomo z kanapką w ręce, próbując zmusić ją do pokazania twarzy, zmusić się do usłyszenia jej imienia.

Tylko proszę, nie skrzywdź mnie - błagał to coś, nie wiedząc, czy jest ono w ogóle w stanie to zrobić; a jednak bał się.

SZEŚĆ

Tamtego letniego popołudnia Boney Rasmussen także siedział, wyglądając przez okno, w gabinecie własnego domu, Arkadii, brązowej stercie fantazji w stylu Shingle¹⁸ - nie był to jedyny dom w Faraway Hills, który nosił własną nazwę. Na biurku za nim (obrócił był krzesło tak, by móc patrzeć na trawnik i dęby, pod którymi dostrzegł stadko owiec) piętrzył się stos papierów, między innymi należących do Fellowesa Krafta: listy, które wysyłał do Boney'ego - niektóre miały postać formalnych, wystukanych na maszynie odpowiedzi, ostrożnych i nieufnych w stosunku do wstępnego zainteresowania Boney'ego utworami Krafta - oraz oferty pomocy ze strony Fundacji. Listy z kolejnych lat były dłuższe i szersze; Boney i Sandy Kraft (każdy, kto dobrze go znał, nazywał go Sandy; prawdziwe imię stawało zbyt wielki opór) stali się, według Boney'ego, w końcu przyjaciółmi.

Boney po kolei przeglądał listy; podnosił, patrzył na datę, czytał i po zastanowieniu albo rzucał na ziemię, albo układał na grubiejszej stercie na kolanach. Ostatnie przeglądał z największą uwagą, wpatrując się przez błękitne okulary w każdą kartkę wątego papieru lotniczego, drżącą w jego dłoni.

List z 1967 roku, z Nowego Jorku, o ostatniej wyprawie Krafta do Europy, za którą zapłaciła Fundacja Rasmussena.

„*Mon Empereur*” - brzmiała pierwsza linijka, żarcik Krafta. „Wyruszam o świcie. Statek podnosi żagle o brzasku. Poprzednią noc spędzamy, kiwając się na wodach przystani - jakiś mały problem, o którym nas nie powiadomili. Boney, wiem, jaki straszliwy jest to wydatek w porównaniu z tanią i popularną podróżą powietrzną. Wiem o tym i wynagrodzę Ci to. Co Ci przywieźć z powrotem? Ach tak, rozumiem. Ale czy to jest coś, po co wyruszamy za granicę do baśniowych krain? Najbardziej pragniemy, a przynajmniej powinniśmy pragnąć czegoś, co jest na widoku, nieprawdaż? Można to znaleźć nie w egzotycznych miejscach czy w gablocie jubilera, ale na naszym własnym podwórku. Oczywiście, że tak. A jednak... będzie świetnie, nieprawdaż, znaleźć w końcu jedyny skarb, który nie znajduje się w sercu, ale na świecie; coś, co można wziąć w obie nędzne dłonie, splendor tylko dla jednej osoby”.

Obie kartki Boney ułożył na stercie na kolanach według daty i wziął następne. Nie

¹⁸ Shingle Style (ang.) w architekturze angielskiej i amerykańskiej styl domów mieszkalnych wznoszonych w latach 70. i 80. XIX wieku, posiadających okładzinę zewnętrzną z płytek ceramicznych lub gontów.

pierwszy raz próbował czytać wszystkie listy naraz; nie po raz pierwszy c z y t a ł wszystkie listy naraz; porządkowanie według daty nie było też jedynym, które wypróbował. Robiąc to, czuł się czasami tak jak podczas stawiania pasjansa, gdy karty zaczynają się odkrywać, jedna po drugiej ładnie układać, i rodzi się nadzieja, że tym razem wyjdzie, kiedy nagle wszystko trafia szlag, ostatni as kryje się za ostatnią czerwoną królową i ostatnim czarnym królem, kryje się, kryje.

Kolejny był z Wiednia z następnego tygodnia.

„Ładne rzeczy mieli ci Habsburgowie. W Hofburgu znajdowała się bezszwowa peleryna rozdarta, a raczej nierozdarta przez żołnierzy, którzy grali w kości pod krzyżem, i włócznia, którą Longinus przebił bok Chrystusa, a która, jak sławniejszy kielich, nawiedza od tamtej pory niemieckie legendy. I jedyna materialna relikwia Jezusa Chrystusa, co do której możemy być pewni, że została na ziemi, kiedy dostąpił wniebowstąpienia. Jak sądzisz, co to jest? Tak! Jego maleńki napletek ucięty przez *moyela* Symeona, który wkrótce umarł, przeżywszy niezwykle długie lata tylko po to, by dokonać tego czynu. A gdzie potem trafił ów napletek? No cóż, jak sam Graal, pojawia się i znika; jest obiektem poszukiwań, pojawia się w wizjach, wymieniany jest jako zawartość tego czy tamtego cudnie inkrustowanego klejnotami relikwiarza. Wokół pojawia się nieco literatury, niewiele w porównaniu z pisarstwem poświęconym świętemu Graalowi. Zakonnica mistyczka Hildegarda z Bingen nie tylko widziała w wizjach ów napletek, ale i czuła jego smak; włożono jej go do ust jak hostię (w końcu to Jego Ciało), a ona opisała smak jako słodki niczym smak miodu. Niczego nie zmyślam. Notabene antykwariusze twierdzą, że na aukcjach pojawiał się od czasu do czasu penis Napoleona, szerniały ochłap określany jako „ścięgno” albo coś w tym guście, ale oczywiście wszyscy wiedzieli. A na co Ty wolałbyś trafić, *mon Empereur*? Nie ma wątpliwości, prawda?”.

Po długim namyśle (myśli Boney’ego ostatnimi czasy docierały do jego świadomości długo po tym, jak się narodziły, niczym podstarzali kierowcy, prowadzący samochody z coraz większą ostrożnością; trzeba poczekać), rzucił list na stertę na podłodze.

Następny również był z Wiednia, prawdopodobnie z tej samej podróży w '67 roku, chociaż pierwsza kartka z datą gdzieś się zapodziała:

„...albo agatowa misa, niegdyś należąca do Ferdynanda I, także była niegdyś uważana za świętego Graala. Jesteś zainteresowany? Wyrażam się nieco pogardliwie, ale oczywiście łatwo to sprawdzić. Ferdynand był fenomenalnym kolekcjonerem; jeden z jego wysłanników

przywiózł z Konstantynopola pierwsze tulipany i bzy w Europie. Tak twierdzi mój przewodnik. A zatem idziemy dziś do Hofburga zobaczyć to i owo. Niech tylko narzucę płaszcz, jesień w dolinie Dunaju jest sroga, i pokrępię się kawą *mit schlag*. Łowy czas zacząć".

Łowy były jego grą, oczywiście grą, która wtedy nie wydawała się tak okrutna jak teraz: Fundacja Rasmussena wysyłała go do europejskich stolic, by odkrywał albo poznawał dla nich to, co bezcenne i ponadczasowe, i w pewien sposób brał to w posiadanie. Śmiali się kiedyś razem, on i Sandy, z tego, co można było znaleźć na strychach dawnych imperiów, zakurzone, źle opisane przez tępych kustoszów, a jednak wciąż żywe, wciąż potężne. Gra. Boney pamiętał (właśnie sobie przypomniał, zmagazynowane wspomnienia wylewały się, jak to często zdarzało się ostatnimi czasy), jak kiedyś w obskurnej sali jego dawnej szkoły średniej wisiała ślimacza skorupa, przyklejona do karteczki z łacińską nazwą: pewnego wiosennego dnia, po roku martwoty albo dłużej, uniosła się, a ślimak uwolnił się i przepęłzył po szkle gablotki, zostawiając śluzowaty ślad. Boney widział to na własne oczy.

„Był tutaj" - pisał Kraft następnego dnia, pierwszego kwietnia. - „Duży, *luxe*, i brzydki. Cytuję: »Gablotka V - czara z orientalnego agatu z uchwytemi, wytworzona z prawdopodobnie największego jednolitego kawałka tego półszlachetnego kamienia; siedemdziesiąt pięć centymetrów średnicy; według niektórych na powierzchni kamienia widać słowo *Chrystus*«. No, ja nie widzę. Habsburgowie weszli w jej posiadanie razem z posagiem Marii Burgundzkiej (która poślubiła Maksymiliana I w 1470 roku), wraz ze srebrnymi naczyniami chrzcielnymi w gablotce VI i rogiem jednorożca w gablotce VII; według mojego psującego wszelką zabawę przewodnika to tylko cios narwala. Oczywiście przez wieki mógł stracić na swojej tajemniczości (mam na myśli kielich w gablotce V). Dwieście albo osiemset lat temu mógł wyglądać inaczej. Zastanawiam się, czy po prostu nie straciliśmy całej tej przeszłości i czy kiedyś świat nie działał inaczej niż teraz, a coś, co kiedyś było potęgą, dziś jest wrakiem - jak Model T wystawiony na deszcz przez pół wieku. Lecz być może to po prostu nie jest to. Prawdopodobnie oni nigdy nie byli w jego posiadaniu; albo znalazł się w łupie Gustawa Adolfa zabranym przezeń do Szwecji i stracił swój czar pośród śniegów i luteran. A może posiadali go i wciąż go posiadają, lecz nikt nie wie gdzie; może zapomnieli o tym dawno temu, a potem mieli już tylko pewność, że kiedyś należał do nich. Widzę oczyma duszy księcia i cesarza szperających po zakamarkach wśród kielichów, bezoarów, inkrustowanych klejnotami jaszczurczych czaszek, rtęciowych barometrów, automatów, magicznych mieczy, relikwiarzy, spetryfikowanego drewna, smoczyc zębów, kości świętych, *perpetuum mobile*, flakoników z wodą z Jordanu, czterdziestokaratowych

wydrążonych szmaragdów, stanowiących element pierścieni z trucizną, zmumifikowanych syren, *lac lunæ*, dziesięciu tysięcy zegarów bijących w różnym rytmie. Jak szafa Fibbera McGee¹⁹. Musi tu gdzieś być".

Następny list, ze znaczkiem z Pragi, z marca 1968 roku. Czy wcześniej wrócił z Wiednia do Ameryki i znów wyjechał do Europy? Czy też może przeczekał tam aż do wiosny? „Wiza, którą takim nakładem energii zdobyłeś dla mnie, przydała się. Piszę to z pociągu z Wiednia do Pragi. Kiedy ostatnio tu byłem, poddawała się nazistom. Teraz zdławić ją mogą Rosjanie. Jak kiedyś armie imperium. Wymyśliłem powieść o wilkołaku, szalejącym po mieście". Z koperty, w której znajdował się list, wyleciała pocztówka, nieopisana, wydrukowana długo przed napisaniem listu: Praska Cytadela, Hradczany, Katedra świętego Wacława, wieże w kolorze sepii na tle nadciągających chmur.

„Wiesz, że dzieło zostało ukończone w Pradze około roku 1588? Bez wątplenia w mieście huczało od ekscytacji, powiązanej na pewno z pojawieniem się czegoś niezwykle cennego. To nieuniknione. Czy było to coś z n a l e z i o n e g o, czy też w y k o n a n e g o, albo coś, co zaistniało, ponieważ jego pora nadeszła; czy był to proces, czy skarb, czy o s o b a, czy też może coś zupełnie innego - nie powiem, wiesz tyle co ja, inaczej po co byś tak się turbował, żeby mnie tu wysłać; powiem jednak, że tracę nadzieję na odkrycie tego pod niezliczonymi warstwami czasu i przemian, nie wspominając o postanowieniu głównych graczy, by milczeć bez względu na wszystko. O, nadchodzą ci w szynelach, żeby sprawdzić dokumenty".

Kolejna pocztówka w kolorze sepii: „Intourist znalazł mi pokój w dawnym konwencie Zakonu Najświętszego Dzieciątka, cudownym barokowym budynku wzniesionym przez wielkiego bohemiańskiego magnata Piotra z Rožmberka. Mam własną celę. Wyobrażam sobie siebie odzianego na czarno i pogrążonego w modlitwie".

Praga pobudzała go do gadatliwości. Przysyłał stamtąd wielostronicowe listy.

„Dziwnym cudem Pragi jest to, że jest n i e t k n i ę t a. Przeszła przez wojnę nieomal bez zadszańnięcia (mam na myśli budynki i kamienie): nigdy jej nie ostrzelano ani nie zbombardowano. Od tamtej pory zamknęło się nad nią wieko socjalizmu, czyli poza zwykłymi, obrzydliwymi blokami z betonu i kilkoma pomnikami wujka Joe niewiele się zmieniło także po wojnie; nie przebudowano jej w stylu międzynarodowym (szklane pudełka), nie upstrzono nowymi dzielnicami handlowymi, nie zduszono samochodami.

¹⁹ Powtarzający się motyw komediowy z amerykańskiego cyklicznego programu radiowego *Fibber McGee and Molly* - szafa była źródłem niewiadomych przedmiotów i dźwięków, wydobywających się przy jej otwieraniu.

(Samochody są teraz plagą Europy nie mniejszą niż bomby, wypełniają każdą ulicę i plac, wprawiają w drżenie pomniki. Jest tu kilka służbowych ziłó z przyciemnionymi szybami. Reszta ludności chodzi lub pedałuje). Spójrz: tu, w starej części miasta, nietknięta pozostała ulica średniowiecznych domków znana jako Złota Uliczka, ponieważ to tutaj mieszkali i pracowali alchemicy, próbując stworzyć eliksir dla cesarza Rudolfa II, zanim skończą się ich cesarskie pensje. Jednym z nich był doktor Dee ze swoimi dziećmi, mediami, sługami i anielskimi doradcami. Czy jego dom wciąż stoi? Czy można doń wejść? Obiecuję, że się dowiem".

Tu też gdzieś była pocztówka, Boney pamiętał, z wizerunkiem tej ulicy; sepia, kartonowy brąz. Czy oni w tym mieście mieli na sprzedaż jedynie stare pocztówki? A może Kraft nigdy nie wyjechał ze Stanów i tylko poprzez jakiegoś współnika z zagranicy przysyłał mu pamiątki zebrane kiedy indziej? Czy listy, opowieści i absurdalnie wszechwiedzący przewodnik były tylko grą służącą jego nauce albo rozrywce Krafta?

„Giordano Bruno był tu w 1588 roku i cesarz Rudolf II z niewiadomych powodów dał mu trzysta talarów. *Talari* to słowo Bruna, bliższe jest »dolary«; słowo dolar według przewodnika pochodzi od *Tal*, dolina, ponieważ wytwórnice srebra hrabiego Stefana Slika, które zaopatrywały cesarskie mennice, leżały w Joachimstal, niedaleko Karlsbadu - Karlovyh Varów. Dolina Dolarów. Bohemianie byli najlepszymi górnkami Europy. Czy wiesz, że czeskie góry były niegdyś pełne klejnotów? Czy myślisz, że klejnoty znaleźć można tylko gdzie indziej, na przykład w Birmie czy Peru? Ja tak myślałem. Ale kiedyś było ich tu pełno. Ponoć Rudolf przepadał za klejnotami i posiadał największą kolekcję w dziejach. Miał łowcę klejnotów *extraordinaire*, niejakiego Simona Tadeusa, który pracował w Górach Olbrzymich - byłem tam w latach trzydziestych w czasie tego krótkiego, potwornie krótkiego okresu, kiedy ten cierpiący naród był wolny. Góry Olbrzymie! Widzisz Siedmiu Krasnoludków maszerujących do domu o zmierzchu z kilofami przerzuconymi przez ramię, z workami rozświetlonymi klejnotami? Myślę, że w Karlovyh Varach znajdę jeszcze nocleg. Porozmawiam z przewodnikiem i opiekunem, brzydkim, ale sympatycznym młodzieńcem".

Ten list był chyba dalszym ciągiem po przerwie, albo kolejna kartka pochodziła z innego dnia, lecz z tej samej ryzy błękitnego papieru:

„Rudolf II coraz bardziej mnie zajmuje; jest to jedna z tych postaci historycznych, z których niedolą człowiek instynktownie się utożsamia. Był dokładnie w tym samym wieku (jak wyliczyłem ku swemu zdumieniu) co sir Philip Sidney! Sidney spotkał go raz, będąc z misją w Europie na koszt państwa, i ku swemu obrzydzeniu uznał za „niezwykle zhiszpańszczałego". Brało się to z faktu, że Rudolf wychowywał się na hiszpańskim dworze

swego wuja Filipa II. Nosił się zawsze po hiszpańsku na biało i czarno i cechował go ten charakterystyczny ambiwalentny stosunek do własnego dzieciństwa, który widać w ludziach wychowanych ściśle po katolicku, melanz głębokiego wstrętu i nieuśmierzonej nostalgii. Pod pewnym ważnym względem u kresu żywota nie był katolikiem, rzecz niezwykła w tamtych czasach, ponieważ zarazem nie został protestantem; porzucił tylko ze zgrozą, odrazą i pełnym poczucia winy niezadowoleniem dawną religię. Ponoć odmówił ostatniego namaszczenia. Oczywiście istnieje tysiąc jego portretów w mieście, które kochał, a do którego, jak sądzę, przybył, by uciec od Wiednia i jezuitów. Są posrebrzane popiersia i portrety konno, etc., etc. Mojego ulubionego eksponatu tutaj nie ma, jest w londyńskim Victoria and Albert Museum, w rozkosznie okropnej galerii figur woskowych: maleńka, rzeźbiona plakietka wielkości pocztówki, cesarz w jaskrawych, realistycznych kolorach, wiśniowe policzki, złoty naszyjnik jak plastikowa pamiątka, z ręką na łbie ulubionego psa. Wygląda jak bardziej przygaszony Orson Welles, ale z dziwną nutą (dziwną u cesarza) supliki w oczach. Wiesz, Boney, że kiedy jego lekarz - paracelsowski jatrochemik Oswald Croll - zapytał Rudolfa, dlaczego tak pragnie zdobyć eliksir, cesarz miał powiedzieć, że mógłby nigdy nie umrzeć i dzięki temu nigdy nie być sądzony. Czy Tobą kieruje podobna pobudka?"

Gra Krafta, zrozumiał w końcu Boney, polegała na wyrafinowanym schlebaniu swojemu staremu mecenasowi, odpłacaniu za wsparcie Fundacji poprzez dogadzanie mu, czasami wręcz uwodzenie, sprytne i nieodparte przekonywanie Boney'ego w intymności ich wspólnej fantazji, by doświadczył jego własnych, nieszkodliwych, lecz wielkich pragnień, jego lęków, jego samolubnych nadziei. Oczywiście pobudki Boney'ego były zupełnie inne. Nie bał się osądzenia, nie bał się niczego, co znał; nie poczuwał się po prostu do obowiązku poddania się śmierci: jak gdyby nauczył się na pamięć kwestii, które miał wygłosić, które powinien wygłosić, kiedy przyjdzie czas na odegranie sceny, ale teraz, kiedy wreszcie była tuż-tuż, stwierdził, że nie może tego zrobić.

„Ten sam Croll czy Troll, autor *Basilica Chymica*, miał słynną skrzynię, czy też kufer zawierający nie jestem pewien co, którego po jego nagłej śmierci (nagłej jak na jatrochemika) chciwie poszukiwał cesarz, pokonując wielkiego Piotra z Rožmberka, który także jej pragnął. Później nie pojawiają się już żadne wzmianki o tej skrzyni. Gdzie znajduje się teraz? Gdzie, jeśli już przy tym jesteśmy, znajduje się lutnia perspektywiczna wynaleziona przez Korneliusza Drebbela; gdzie jest *perpetuum mobile* wykonane przezeń dla cesarza w 1610 roku? Gdzie jest automat profetyczny zbudowany w Pradze przez przyjaciela Keplera Jösta Burgiego, zegarmistrza, który wymyślił sekundę, i cóż on przepowiadał?"

Boney stracił kartkę z kolan - była bez znaczenia, ot, jedna z tych, których nie warto

zachować. Podniósł wzrok. Za oknem rozpętało się lato. Lato: obietnica i jej spełnienie, pragnienie i słodycz wymieszane, a tak wyraźne, że zamiast w piersi Boney'ego, wydają się nabrzmiewać w piersi dnia i tylko nieustannie wpływać w Boney'ego wszystkimi zmysłami.

Właśnie - czy te odczucia nie powinny tracić na intensywności, by mógł w końcu zacząć z nich rezygnować? Lekarz mówił mu nieraz, że ludziom starym i chorym świat wydaje się mniejszy i nie tak cenny, kurczy się do obszaru pokoju, w którym leżą, a populacja do zaledwie kilku osób (potomek, pielęgniarka), wszystko inne ulega zapomnieniu. Dzięki temu łatwiej było opuścić ten świat. On jednak tego nie doświadczał, ten letni dzień nie tracił na cenności, lecz był droższy niż jakikolwiek dzień jakiegokolwiek lata, które przeżył - czyż to nie był znak, że miał się jeszcze nie poddawać?

Nie podda się, dopóki nie zostanie mu to odebrane.

Tak, to był tylko żart Sandy'ego, żart mający zarazem boleć i rozpalać wyobraźnię: udawał, że wierzy, iż Fundacja wysłała go na tę szaleńczą wyprawę po to, by przywiózł ze starego świata eliksir życia.

A przecież był tu jego ostatni telegram, w zbrązowiałej, drżącej dłoni Boney'ego, z Czechosłowacji, datowany na 1968 rok, o jeden żart za dużo, o który Boney nie miał śmiałości go wypytywać, gdy już wrócił, bojąc się, że usłyszy drwinę tak okrutną, do jakiej zdolny był tylko Sandy; a teraz nie żył i nie mógł wyjaśnić:

MON EMPEREUR STOP MAM CO OBIECAŁEM STOP ZAPAKOWANE BEZ
KŁOPOTU W STARĄ TORBĘ STOP RADOSNE POZDROWIENIA STOP SANDY

Z domu Fellowesa Krafta do Boney'ego Rasmussena jest sześć mil przez wzgórze i las, wzdłuż równej drogi i w dół doliną. Pierce nie miał samochodu i nie mógł powiedzieć Rosie Rasmussen, że skończył już na dzisiaj i że chce iść do domu (czas pracy miał bardzo elastyczny), więc powiedział jej wcześniej, że tego dnia pójdzie do Arkadii piechotą, kiedy skończy. Na pewno? To spora wędrówka. Tak, lubił chodzić, zresztą musiał się poruszać.

Nalegał, więc narysowała mu mapę (poznał, że należy do tych ludzi, którzy zawsze wiedzą, gdzie się znajdują w stosunku do innych miejsc, w których byli, lub w których mogli być, ponieważ sam do nich nie należał; że jest jedną z tych osób, które mówiąc „południe”, potrafią je wskazać). Rozwinął teraz mapę na żółtym papierze liniowym: okazała się bardzo prosta.

Zabrał torbę z domu Krafta, zamknął dokładnie drzwi i włożył brązowy klucz do kieszeni. Jeśli go zgubisz, powiedziała Rosie - i skończyła, niezdolna wymyślić konsekwencji

dość strasznych, by mu nimi zagrozić. Ruszył w dół zakurzonego podjazdu. Klucz, dom, podjazd. Kiedyś jego kuzynka Hildy wróciła z internatu z grą, a właściwie testem, jak powiedziała, testem psychologicznym, który zaaplikowała każdemu pojedynczo i na osobności (tak, by odpowiedzi jednego nie wpłynęły na odpowiedzi drugiego), z pełną powagą.

Teraz musisz powiedzieć pierwszą rzecz, która przyjdzie ci na myśl, wyjaśniła. Wyobraź sobie, że podchodzisz ścieżką do domu. Nie tego domu, ani domu kogoś, kogo znasz, czy w ogóle jakiegoś konkretnego. Powiedz mi najpierw, jaka to ścieżka.

Słyszac odpowiedź, pokiwała tylko mądrze głową. Teraz wchodzisz do domu. Znajdujesz klucz. Jaki to klucz? Gdzie jest? Co otwiera? Znajdujesz naczynie. Jakie to naczynie? Gdzie jest?

Naczynie. Drzwi. Woda. Nie pamiętał wszystkich przedmiotów, wiedział tylko, że były proste i pojedyncze; a kiedy dom został już przemierzony wzdłuż i wszerz, każde z nich usłyszało interpretację. Ścieżka do domu to twoja przeszłość. Czy była kręta, czy prosta, błotnista czy sucha? Klucz to wiedza, jakie masz zdanie na jej temat, jak byś jej użył. Pierce oczyma wyobraźni widział stary brązowy klucz Yale, taki sam jak ten, który właśnie włożył do kieszeni. Skądś wiedział, że to klucz do piwnicy. Klucz Hildy (jak przyznała) był maleńki i otwierał szklaną szafkę. Naczynie to miłość: Hildy widziała przejrzystą, porcelanową filiżankę, delikatną jak cukier, schowaną w szafce na klucz. Pierce'owi przyszedł na myśl gruby i praktyczny kubek z paskudnym pęknięciem, nie żartuję, od razu taki zobaczyłem. Joe Boyd ujrzał zniszczony kubek cynowy, przymocowany łańcuchem do kranu.

Pierce spojrział na mapę, przekreślił ją tak, by odpowiadała drodze, którą miał przed sobą. Namacał w kieszeni klucz Krafta i ruszył w prawo; droga prowadziła między dwoma szeregami starych drzew, roniących korę i gałęzie, olbrzymich. Czy zasadzono je tu wieki temu, czy też może były resztką lasu pozostawioną tu, by ocieniać podróżnych? Spod chłodnego sklepienia, które tworzyły, pola i łąki jawiły się jaskrawo niczym w teatrze albo dioramie. Pierce zatrzymał się w miejscu, gdzie droga przecinała potok, i przez jakiś czas patrzył na nurt pośród błękitnych irysów i kamieni o barwie miedzi.

Znaczenie. Usłyszałeś znaczenie naczynia, drzwi, wody, i odkryłeś, że bezbłędnie przypisałeś każdemu właściwe odniesienie, jeśli w ogóle przypisałeś (dom dla Sama był jego własnym domem, klucz kluczem do jego domu, a naczynie jego filiżanką do kawy). Mogło się wydawać, że znaczenie było pierwsze, zanim pojawiły się naczynia i klucze, które miały je mieć. Pierwszy język, którego naczynia i klucze, drogi i domy zaistniały tylko po to, by zilustrować, język nie oznaczania, ale znaczenia.

Czy o tym właśnie mówił Bruno? On i wszyscy ci, co plądrowali swoje słowniki (łacińskie, włoskie, francuskie, angielskie) w poszukiwaniu słów, które oznaczały to, co w grece znaczyło *logos* - „słowo”, „idea”, „powód”. Żadne właściwe ani dość pojemne. Być może dlatego, że nie mieli wtedy słowa, którym od tamtej pory stało się Znaczenie.

Znaczenie. Ukryte wewnętrzne światło, które sprawia, że coś jest czymś; światło, które rzuca odpowiedni cień w umyśle, obraz, hieroglif: nie wizerunek jego kształtu, rozmiaru albo koloru, nie oznaka jego odmienności ode mnie, ale podobieństwa do mnie. Hieroglif, kombinowany z innymi w języku dość rozżarzonego i dość potężnym, by rozpuścić dystans między Wnętrzem a Zewnętrzem, fontanną i lustrem, dość silny, by zastąpić rzecz jej znaczeniem, by spełniać życzenia.

Drzwi Arkadii stały otworem, przesłaniała ją tylko siateczka przeciw moskitom, a i ona nie była domknięta. Pomimo tego Pierce pociągnął mosiężną gałkę dzwonka i czekał. Cieszył się jak głupi, że dotarł tu bez kłopotu.

Kiedy uznał, że nikt nie odpowie, pchnął siatkę i wszedł; stojąc w obszernym holu, nabrał pewności, że w domu nie ma nikogo.

- Jest tu kto?

Nie byłoby mu przykro, gdyby rozminął się z Boney'em Rasmussenem, przy którym czuł się nieswój, tym bardziej nieswój, im bardziej tamten był taktowny i pełen szacunku. Ale ktoś musiał go odwieźć do domu.

- Jest tu kto? - spytał znowu i usłyszał tylko, jak jego słowa toną w potwierdzającej próżni, w braku czyjejkolwiek obecności. Cały dom miał dla siebie.

Postąpił kilka kroków przez hol na próg dużego salonu, w którym dotąd nigdy nikogo nie widział. Czarne kotary i koronkowe firanki, stojąc na przeszkodzie słońcu, nie pozwalały spłowieć dywanowi. Chłód grotty perlił jego kark lepkiem potem. Rosie Rasmussen powiedziała mu kiedyś, że gdzieś w domu Boney trzyma prawdziwą kryształową kulę z epoki Renesansu, używaną kiedyś do krystalomancji, której pierwszym właścicielem wedle Boney'ego był sam John Dee - żeby uwierzyć w ten rodowód, Pierce musiałby najpierw zobaczyć sporo dowodów. Przechowywał ją, jak twierdziła Rosie, w drewnianej skrzyneczce lub szufladzie zamykanej na klucz. W tej tutaj?

Komodopodobny mebel z intarsjowanego drewna miał górną przegródkę; ze swojego miejsca Pierce widział klucz w filigranowym zamku. Kiedy podszedł w jej kierunku, obok telefon rozdzwonił się niczym alarm antywłamaniowy; odskoczył.

Czarne urządzenie było stare i stało na patykowatym stoliku pod lampą - musiało się datować z początków istnienia domu. Pierce spodziewał się wręcz, że kiedy znowu zadzwoni,

słuchawka zacznie podskakiwać w uchwycie niczym telefony w komiksach.

Gdyby ktoś był w domu, dzwonienie ucichłoby, bo gdzieś podniesiono by słuchawkę. Ale nie milkło. Dłoń Pierce'a wyciągnęła się i cofnęła. To nie do ciebie, kretynie. Kiedy jednak znów odezwał się dzwonek, podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Pierce? O, jak dobrze. Myślałam, że już nie odbierzesz. - To była Rosie Rasmussen.

Pierce uprzytomnił sobie w tej chwili, że kombi Rosie nie parkuje przed domem.

- Coś się stało - powiedziała z oddali. - Nie mogę po ciebie przyjechać.

- O co chodzi? - spytał.

- Boney miał atak. Znalazłam go na podłodze, teraz jest już trochę lepiej, ale jednak.

Czarna słuchawka ziębiła go w ucho i ciążyła jak marmur.

- Serce? - spytał.

- Nie wiedzą. Jest na intensywnej terapii. Pierce, poradzisz sobie jakoś?

- Pewnie, pewnie. Nie przejmuj się. Coś wymyślę.

- Gospodyni ma dziś wolne...

- Coś wymyślę. Zawsze mogę złapać stopa.

- O! - zawołała nagle. - Spofford przyjedzie nakarmić owce.

Pierce widział, jak stały w cieniu dębów Arkadii, kiedy podchodził do drzwi.

- O! Okej. Świetnie.

- Słucham? - spytała, ale nie jego, lecz kogoś w szpitalu; kogoś, kto miał być może jakieś wieści. - Pierce, muszę iść - rzuciła. Telefon ucichł, zanim Pierce zdążył się pożegnać.

SIEDEM

- Miłość - rzekła Val, astrolożka z Faraways, do Rosie Rasmussen i podała pieczone skrzydełko kurczaka córce Rosie, Sam, która potrząsnęła głową. - Gdyby teraz tworzyli domy zodiaku, musieliby też dodać Dom Miłości.

- A nie ma? - spytała Rosie.

- Nie. To niesamowite. - Val ku zdumieniu Sam jednym wyćwiczonym ruchem palców i zębów obrała skrzydełko z mięsa. - Jest *Nati*, piąty dom, w zasadzie to Dom Dzieci: obejmuje seks, no, przynajmniej prokreację, ale też testamenty i dziedziczenie. Potem masz *Uxor*, siódmy dom, Żona, Małżeństwo, partnerstwo i podobne związki. No ale tobie nie muszę mówić, że to niezupełnie to samo co miłość.

- Hm. - Rosie była samotną matką w trakcie rozvodu z ojcem Sam.

- A wszyscy pytają o miłość. Zaraz po pieniądzach i zdrowiu. Na pewno nie przed pieniędzmi, przynajmniej ci młodzi. O rany, miłość stanowi połowę mojego interesu. A nie ma Domu Miłości. Dziwne, co?

Rosie przyglądała się chwilę Półmiskowi Pu Pu, który zamówiły na lunch, i wybrała smażony pierożek.

- Owszem - odparła. Lecz sama akurat w tym momencie nie czuła potrzeby zadawania pytań dotyczących miłości czy perspektyw miłości, które wymagałyby odpowiedzi. Val miała rację, mówiąc, że dla większości ludzi to ważne pytanie, ale Rosie już do nich nie należała. Czuła, że ta kwestia jej nie dotyczy (choć nie zawsze tak było), tak samo jak i inne, które zajmowały wiele osób, jak sport czy polityka. Choć to nie to samo.

- Czyli są domy zdrowia i pieniędzy? - zapytała.

- Pewnie - odpowiedziała Val. - *Lucrum* dotyczy pieniędzy, nieruchomości i takich tam. A *Valetudo*, szósty dom, jest domem choroby. Tak samo jak *Mors*, czyli śmierć.

- A polityka? Sport?

Val podniosła głowę, urażona, nie puszczając skrzydełka spomiędzy kciuka i środkowego palca.

- Próbujesz robić z tego szopkę?

- My mamy sport w m o i m drugim domu - powiedziała Sam, potakując.

- Tak? - zapytała Val.

- W moim starym domu.

- Ach. Hej, okej.

- Jej stary dom - zaczęła Rosie. - Niektóre dzieci mają niewidzialnych przyjaciół, a ona ma niewidzialny stary dom. To dom, w którym kiedyś mieszkała. Tak twierdzi. Zawsze go miała. Odkąd nauczyła się mówić.

- No pewnie - wtrąciła Val. - Ty też byś mogła, gdybyś tylko go sobie przypomniała.

Rosie próbowała wytłumaczyć to, co powiedziała na temat miłości.

- Jakby to wszystko działo się gdzie indziej, gdzieś, gdzie mnie nie ma, jakbym obserwowała to przez szybę, i dlatego też nie słyszę wyraźnie. Ale to, co słyszę, napawa mnie lękiem. To tak jak z futbolem: nie bardzo wiem, o co chodzi, wszyscy ryczą z podekscytowania, a ja czuję się tak, jakbym była jedyną osobą, która uważa, że to niebezpieczny sport i ktoś może się zabić.

- Cóż, czy to rzeczywiście takie zaskakujące? - powiedziała Val delikatnie. - Po tym, co właśnie przesłaś? Wiesz. O rany.

Oczywiście to miało sens. Nawet trochę za dużo; świetnie oddawało to, co przytrafiło się Rosie, bez wchodzenia w szczegóły. Zanurzyła pierożek w zimnym, ciemnym sosie.

- Mamusiu, powiedziałam „chodźmy”! - Sam rzeczywiście powtórzyła to kilkakrotnie i choć obie kobiety ją słyszały, to przez chwilę ignorowały.

- O Boże, jeszcze ci nie mówiłam - zaczęła Rosie - co się stało kilka dni temu. Sam. Sam lunatykowała. Tak, już spałam, kiedy coś mnie obudziło. Wiesz, jak to jest, człowiek się budzi, bo ktoś stoi obok? I Sam stała koło mojego łóżka.

Rosie przeszedł dreszcz po plecach, gdy dotarło do niej, że Sam ciągle jeszcze śpi i nic nie widzi, mimo że jej oczy były szeroko otwarte. Że patrzy na kogoś, kto przecież stoi nad nią, a jednak jest gdzie indziej, w krainie snu.

- Nie uwierzysz. Podeszła do łóżka i wyciągnęła coś przed sobą. Dla mnie. Wiesz, co to było? Jajko.

- Jajko?

- Najwyraźniej musiała zejść do kuchni. Po ciemku, sama. I wróciła z tym jajkiem. Położyła mi je na dłoni.

- No i co zrobiłaś?

- Wzięłam je. Powiedziałam „dziękuję” - Rosie zadumała się.

- A ona? Obudziła się?

- Nie. Odwróciła się i wyszła. A ja wstałam i poszłam za nią. Wróciła do swojego pokoju, do łóżka, i nakryła się kołdrą. Nie budząc się.

Sam, której tylko głowa wystawała ponad stół, spoglądała na zdziwione jej przypadkiem kobiety; ani szczególnie uradowana czy dumna, ani też zażenowana, raczej zadowolona, że się o niej mówi.

- Naprawdę nie chcesz z nami iść? - spytała Val Rosie. - Boney na pewno by się ucieszył. A jeśli czuje się zbyt kiepsko, żeby przyjmować gości, to i ja nie będę mogła długo zostać.

- Nie mogę. Nie mogę go zostawić.

- Jemu nic nie będzie. Odwiozę cię jutro. - Mówiły o starym garbusie Val, który właśnie przechodził rutynowy przegląd w warsztacie nieopodal Wulkanu, gdzie siedziały.

- Nie - odpowiedziała Val. - Nie mam nic przeciwko czekaniu. - Pomachała Rosie szklaneczką z drinkiem. - I czytaniu. Patrz, co pożyczyłam z biblioteki.

Z ogromnej, workowatej haftowanej torby, z którą się nigdy nie rozstawała, wyciągnęła dużą, starą książkę; nie tyle tchnącą wiekowością, co po prostu starą.

- Sama przeprowadzam małe badanie na temat miłości. Wypełniam luki. Trafiam na pokręcone rzeczy, ale w sumie bardzo mi to pomogło.

Rosie zauważyła na grzbiecie książki charakterystyczną białą farbę, którą dawno temu jakiś bibliotekarz czy bibliotekarka starannie wymalowali numer katalogowy; wzruszyła się. Niewiele osób wypożyczało książki z takimi numerami.

- Zwróć uwagę na nazwisko autora - powiedziała Val. - Niesamowite, nie? Jak postać z książki o sadomaso. Nie żebyś akurat ty coś o tym wiedziała.

Val otworzyła książkę, a Sam usiadła na kolanach na siedzeniu obok niej, żeby lepiej widzieć.

- Spójrz - powiedziała Val. - To coś w rodzaju słownika albo encyklopedii. Wyszukujesz hasła. Pod hasłem Miłość był odsyłacz do Erosa, wiesz, Kupidyna, tego od strzał. Eros po grecku. I oto, co znalazłam: „Według Diotymy” - ktokolwiek to był - „Podstęp, syn Inwencji, opił się nektarem na urodzinach Afrodyty, co wykorzystała Bieda, uwodząc go i dając mu syna, Erosa”. - Położyła książkę na stole. - Ale jaja, nie? Wszystkie te nazwy pisane są z dużych liter, więc są jak żywi ludzie. Syn Biedy i Podstępu: ależ mi się to podoba.

Rosie też się zaśmiała, lecz już zaczęła odczuwać jakiś znajomy ucisk w klatce piersiowej, tuż pod mostkiem, tylko dlaczego.

- „Platon twierdzi” - hej, w końcu ktoś znajomy - „Platon twierdzi, że Erosa nie należy mylić z pięknym ukochanym, choć wielu mężczyzn to czyni”, założę się, że kobiet też. „Raczej jego pojawienie się zapowiada przybycie ukochanej osoby; on jest duchem, który inspiruje miłość, który sprawia, że nie można się jej oprzeć, który obdarza kochankę boskim

szaleństwem".

- Boskie szaleństwo - wtrąciła Rosie. - Aha.

- „Daleko mu do bycia wrażliwym i pięknym, powiada Platon, jest raczej twardy, ogorzały, zawsze ubogi żebrak, bez butów i bez domu, śpiący pod gołym niebem, z braku łóżka na ziemi, na schodach, na ulicy... Będąc wszelako nieodrodnym synem swego ojca, Hermesa, wciąż knuje, by dostać to, co piękne i dobre; jest śmiały, bezczelny i niestrudzony, wciąż obmyśla sztuczki, niczym przebiegły myśliwy; pragnie wiedzy, miłuje mądrość, jest zaradny; to również zręczny magik i alchemik". - Podniosła wzrok znad książki. - Założę się, że nie miałaś o tym pojęcia, co?

- Ciężkie życie jak na dzieciaka.

- Hej, miłość jest ciężka. - Zaniósła się głębokim, chrapliwym śmiechem. - Ale to wiemy nie od dziś. - Wróciła do czytania. - „Dla najstarszych poetów był niebezpiecznym, skrzydlatym duchem, niczym skrzydlate uosobienie Starości lub Zarazy: *Ker*, który zburzył porządek w społeczeństwie i skrzywdził żyjących ludzi. Później poeci wynaleźli mu tuzin genealogii oprócz tych wymienionych wyżej, a niektórzy twierdzili, że był pierwszym z bogów i bez rodzica, jako że bez niego żaden z innych nie mógłby się narodzić", a to dlaczego? Aha, już rozumiem.

- Wprawia świat w ruch. - Rosie wypila swój Mai Tai szybciej i zachłannie, niż zamierzała. - Mówiąc o dziedziczeniu...

- Co?

- No, mówiłaś o dziedziczeniu i spadkach. W tym Domu Miłości.

- A, to. No i?

- Boney. Próbuję go jakoś skłonić, żeby zaczął o tym myśleć. Nie sądzę, żeby już sporządził prawdziwy testament.

Val zamknęła słownik i odłożyła go na bok.

- Nie chcę go naciskać. Wiesz, to tak naprawdę nie moja sprawa, ale jestem jakby jego sekretarką. A poza tym Allan Butterman chce wiedzieć. - Allan Butterman był prawnikiem Boney'ego Rasmussena i Fundacji.

- Aha. - Val zacisnęła usta i ściągnęła brwi, co robiła zawsze, gdy chciała okazać zainteresowanie, a może, by zmusić się do słuchania, gdy jej myśli miały ochotę powędrować w inną stronę. - Hmm.

- Kiedy go w końcu zapytałam, co zamierza z tym zrobić - wiesz, całymi dniami układałam sobie w głowie, jak go o to zapytać - powiedział, że och, zamierza zostawić wszystko starej przyjaciółce, niejakiej Unie Knox.

Teraz Val naprawdę zaczęła słuchać.

- Komu?

- Powiedział: Mojej starej przyjaciółce Unie Knox. Ale się uśmiechał przy tym, więc może żartował. Nie chciał powiedzieć nic więcej. - Rosie zauważyła rozczarowanie Val. - No co? Nie zamierzałam go maglować.

Val w zamyśleniu sięgnęła do torby po papierosy. Trudno było się zorientować po wyrazie jej twarzy, czy to, co przed chwilą usłyszała, miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie; ale Rosie pomyślała, że Val próbuje umiejscowić ten fakt (jeśli to był fakt) w magazynie sekretów, wstydliwych bądź głupich, monotonnych czy drastycznych, który miała w głowie.

- Una Knox - powtórzyła na głos.

- Jedziemy teraz do Boney'ego?

- Tak. - Rosie pochyliła się nad Sam i sięgnęła do drzwi starego bizona kombi, którym jeździła. Czuła jakiś irracjonalny strach przed drzwiami samochodowymi, strach, że przytrzasną paluszki; być może tak się kiedyś stało komuś kogo znała, lecz nie mogła sobie przypomnieć komu.

- Czemu Val nie jedzie z nami?

- Nie wiem. - Rosie sama się nad tym zastanawiała. Val zazwyczaj lubiła podpatrywać dramaty innych ludzi.

- To nie jest straszne.

- Nie, nie jest.

Rosie Rasmussen była wnuczką brata Boney'ego Rasmussena. Sprowadziła się do Arkadii, gdy odeszła od męża, Mike'a Mucho, i wniosła o rozwód, który zresztą niedawno otrzymała. Właściwie to dostała „orzeczenie warunkowe *nisi*”, ale prawnik zapewnił ją, że to prawie to samo, co ją nieco zaniepokoiło. „Nisi” oznaczało „chyba że”, a nikt nie potrafił jej powiedzieć, chyba że co, jeśli cokolwiek; ale prawdziwy rozwód miała dostać dopiero za pół roku. Tymczasem nie była ani mężatką, ani rozwódką: tak czuła. Sąd przyznał jej też opiekę nad Samanthą. Chyba że.

- Mamusiu, co to?

- Co, skarbie?

- Naokoło tego sklepu.

Salon samochodowy, udekorowany z okazji czwartego lipca.

- To chorągiewki - odpowiedziała Rosie.

Sam odwróciła się na siedzeniu, by się przyjrzeć, gdy przejeżdżały obok salonu. Wiatr

uniósł kosmyki włosów z delikatnej główki.

- Wcale że nie - powiedziała.

- Słucham?

- Giewki wcale nie są chore.

Rosie zaśmiała się. Boże, gdyby tylko potrafiła zapamiętać wszystko, co mówi Sam. Ale nie potrafiła.

Ta ponura choroba (tak o niej myślała), która zaatakowała jej uczucia, a którą bezskutecznie usiłowała opisać Val, nie dotyczyła jej uczuć w stosunku do Sam, przynajmniej jeszcze nie, choć wciąż mogła, jak postępujące odmrożenie; mogła zaatakować wszystko. Niemal co dzień dziwiła się, że ciągle jest z tą cudną, wesołą, pełną energii i delikatną istotką. I choć z każdym dniem rosło jej zniecierpliwienie (mimo wszystko nie tak okropnym) obowiązkiem mycia, ubierania, karmienia, zabawiania, oraz obawa przed wczesnym przebudzeniem, chociaż Rosie często już sama wtedy nie spała - mimo to coraz bardziej uzależniała się od Sam, musiała ją mieć przy sobie, tak jak potrzebowała jedzenia czy picia, potrzebowała odbierać zmysłami istnienie Sam, gdy przy niej siedziała, patrzyła, jak się kąpie, droczyła się z nią, wymieniała nedorzeczności w łóżku rankiem.

Starala się wytłumaczyć Val, że nie jest już po stronie miłości. Tak właśnie powinna była to ująć: nie po stronie miłości. Przez całe życie była po stronie miłości, nawet się nad tym nie zastanawiając - bo któż nie jest? Jak można rozumieć bajki czy samo życie, jeśli się nie jest? Sam już wiedziała, dlaczego Kopciuszek został dłużej na balu, dlaczego Księżę kazał go szukać w całym królestwie; telenowełe, które oglądała pani Pisky, gospodyni Boney'ego, zwiędłyby zupełnie, gdyby nie miłość, gdyby ludzie je oglądający nie byli jej stronnikami, w pewien sposób, automatycznie.

Rosie nie była. Kiedyś owszem, ale teraz nie i nie wiedziała dlaczego. Od czasu do czasu chodziła do kina i oglądała filmy o tym, jak Ona i On spotykają się, nie odczuwała jednak zainteresowania czy nawet zwykłej niecierpliwości, lecz raczej posępne znużenie, niechęć zgody, która sprawiała, że to, co następowało potem, było w jej oczach kompletnie pozbawione sensu. Jeszcze gorzej, kiedy przychodziło niebezpieczeństwo albo ból; gdy On i Ona nie mogli nic na to poradzić, jedno szło za drugim w ciemność, zdradzając swoich bezpłodnych, zmartwionych, gorzkich, zajętych współmałżonków, popychani w swoje ramiona przez coś, co wydawało się Rosie jakąś nagłą chorobą. Co jest z wami? Idźcie do domu i pogódźcie się. Kochankowie zaczęli się jej jawić jako ludzie zamienieni w lalki, których ścięgnami poruszała jakaś nieczuła moc, sztuczny ogień palący się w sercach.

Depresja, stwierdził Mike, psychoterapeuta, któremu nigdy nie brakowało słowa na

określenie czarnych uczuć. Ale równie dobrze mogła to być mądrość; jej przyjaciel, Beau Brachman, tak właśnie powiedział, mądrość zaglądająca w duszę, mądrość, która uświadamia, że to, czego tak pragnęliśmy, pęta nas i obciąża, że ból pragnienia nigdy nie zostaje uśmierzony posiadaniem; to ulga, powiedział, jak warkot silnika pod twoim oknem, który nagle ustaje, i nastaje cisza, a świat miękko się rozkręca. Jednak dla niej to nie była ulga ani ucieczka od trudności; raczej przebudzenie ze snu lub iluzji możliwości i znalezienie się w więzieniu bez żadnych możliwości; tkwiła unieruchomiona na spokojnym morzu albo pozostawiona na pustyni niepragnienia niczego.

Nie, to nie mądrość. Ale może też nie upór czy złośliwość. To może nawet nie być sprawa psychologiczna, jakaś blokada czy zahamowanie. Może ciążyła na niej klątwa.

Zaśmiała się lekko i uderzyła w kierownicę kombi. Sam spojrzała na nią i też się roześmiała, zawsze skora do zabawy.

Kłątwa, a może zaklęcie; na pewno, może to nie chodziło o nią, może to cały świat był pod wpływem czarów. Tak to właśnie odczuwała, nie ciężar czy ucisk w sercu, ale coś, co o świecie wiedziała tylko ona, nikt inny, przynajmniej nie większość, jeszcze nie. Oni wciąż odczuwali, i chcieli czuć więcej, ich uczucia podkreślane były sportem i sztuką, i polityką. I miłością. Aż jedno po drugim to wszystko też wysychało.

Ale jeśli to ze światem było coś nie tak, a nie tylko z sercem Rosie, wtedy jej nadzieje na naprawienie go były próżne. Więc lepiej niech w to nie wierzy.

- Czy to szpital?
- Tak. Szpital. Skąd wiedziałaś?
- Widziałam karotkę.
- Karetkę.
- Tak.

Był to rozległy, niski budynek z cegły, ani nowy, ani stary, I jakoś nie zniechęcający; Rosie nie wydawało się, że to miejsce, w którym ludzie mogą umierać. Pasowało bardziej na narodziny, operacje i kosze z owocami oraz życzeniami powrotu do zdrowia. Pielęgniarki nie wyglądały poważnie w koszulkach i tenisówkach; z interkomu rozbrzmiewał słodko niepewny głos.

Jednak siedząc całą noc w poczekalni oddziału intensywnej opieki kardiologicznej, była mimowolnym świadkiem rozgrywających się prawdziwych tragedii; patrzyła na lekarzy w zielonych kitlach operacyjnych, niekiedy wciąż w papierowym obuwiu ochronnym, wychodzących z sali, by wyjaśnić zmęczonym, ściszonemu głosem, co się stało z mężem czy z ojcem (zdawało się, że wszyscy pacjenci to mężczyźni, a większość czekających to kobiety).

Widziała rodziny zbierające się, rozszepcane. „A już było dobrze. Powiedzieli, że miał dobrą noc. A teraz”.

W ciągu kilku godzin zdobyła podstawy nowego języka. „Nie poddaje się”, mówił lekarz. „Mówią, że się nie poddaje”, mówiła żona do swojej siostry, jego siostry, swojego syna. Najwyraźniej „nie poddaje się” oznaczało stan beznadziejny, ale aktualnie stabilny.

„Jeszcze nie wyszedł na prostą”, mówił lekarz do kogoś, a Rosie wyobrażała sobie skrajnie wyczerpanego pacjenta, podłączonego do migoczących urządzeń, podczas gdy jego duch krąży gdzieś w mrokach pobocza.

Nic tak nie zbliża jak nadchodząca śmierć. I choć ich żal był prywatny, ci zebrani w poczekalni, niemający gdzie pójść, podróżnicy sami, lecz razem, dzielili się chusteczkami i gazetami, zadawali oględne pytania, siedzieli tyłek przy tyłku na plastikowych krzesłach. Rosie wydawało się, że każdy typ osoby, jaki mieszkał w Faraways, pojawił się w poczekalni w tę noc; wysoki arystokratyczny dżentelmen o delikatnych rysach w lnianej marynarce i z fajką; mnóstwo zwykłych pracujących ludzi w bezkształtnych swetrach. Rosie zaskoczyło, że większość - zdążyła ich policzyć - miała sporą nadwagę. Może właśnie na kardiologii był największy ich odsetek.

Tak naprawdę nie było konieczności, by Rosie zostawała w szpitalu do późna, daleko od miejsca, w którym robili coś Boney’emu, lecz została, po części ze strachu, że mogłoby mu się nagle pogorszyć, jako że był słabowity i musiałby się pożegnać ze światem, nie mając przy sobie nikogo, kogo znał (nie była pewna, czy to ona właśnie jest osobą, na którą chciałby podnieść wzrok po raz ostatni, ale prawie wszyscy, których znał, już nie żyli; więcej było tych, którzy mieli go witać po drugiej stronie, niż tych, którzy go żegnali). Do tego zawładnęła nią bitewna atmosfera pomieszczenia, gdzie ludzie doświadczają najpoważniejszych sytuacji, na jakie natknąć się mogą w pokojowym świecie, i stawiają im czoło - lub nie. Raz, wyszedłszy z pokoju pielęgniarek, zastała w korytarzu i poczekalni grupę motocyklistów; ich kolega był najwyraźniej w stanie krytycznym; siedzieli na podłodze, ze łzami w oczach trzymając się za ręce albo ściskając mocno i klepiąc po plecach dłońmi w skórzanych rękawiczkach. Wspierali się na duchu. Inni patrzyli na nich krzywo, ich reakcje były bardziej intymne, trzeba być dzielnym; ale przyćmiła je ta rytualna rozpacz motocyklistów.

Wciąż byli tu dziś, przynajmniej niektórzy z nich, zapewne ich kumpel nie wyszedł jeszcze na prostą. Sam usiadła pośród śmieci po przekąskach i puszkach po napojach gazowanych, przyglądając się im z zaciekawieniem. Nagle Rosie pożałowała, że zabrała córkę ze sobą; nie musiałyby, gdyby mogła ją gdzieś zostawić lub gdyby Sam nie chciała tak

bardzo zobaczyć Boney'ego, którym się żywo interesowała, swoim bajkowym potworem.

- W zasadzie to prosimy, by nie przyprawiać tu dzieci - powiedziała pielęgniarka, która przyszła, by zabrać ją do sali Boney'ego.

- Chciałyśmy tylko na niego zerknąć - odparła Rosie.

- Pani jest jego córką?

- Poniekąd. - Rosie spojrzała przed siebie. - Adoptowaną.

- No dobrze - powiedziała pielęgniarka. - Jeśli nie śpi. Zobaczmy.

Za ciężkimi drzwiami „półprywatnej” salki (co by to oznaczało gdzie indziej na świecie?) stało jedno puste łóżko, obciążone prześcieradłem niczym paczka, oraz parawan, za którym znajdowało się łóżko Boney'ego. Pielęgniarka pozdrowiła go serdecznie. Goście do pana. Podnieść łóżko?

Sam (nie powiedziawszy jeszcze słowa, ściskając mocno bukiet, który dlań zerwała, i własnoręcznie zrobioną kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia) patrzyła, jak głowa Boney'ego podnosi się wolno, gdy łóżko zgięło się w połowie.

- Sprytne, co? - powiedziała Rosie. - Witaj, Boney.

Był błądy i skurczony, ale niekoniecznie bliski śmierci; nie wyglądał tak źle jak wtedy, gdy Rosie przyszła tu zajrzeć o świcie. Nie bez trudności włożył okulary i mrugnął na Rosie i Sam.

- No, no, co za niespodzianka.

- Jak się czujesz?

Boney wznosił nieco ręce, jak gdyby chciał się pokazać. W zwiotczalej, poplamionej skórze lewej dłoni, pod plastrami, tkwił wenflon prowadzący do zbiornika kroplówki wiszącej na stojaku.

- Trzymamy się, co - powiedziała Rosie. - Co mówią lekarze?

- Zamierzają mnie odesłać do domu - odrzekł Boney. - Nie sądzę, że to dobry znak.

- Dlaczego?

- Po prostu. Myślę, że to znaczy, iż się poddają. Nawet nie będą próbować mnie naprawić. To znaczy właśnie to. Że nawet nie warto próbować.

- Och, na pewno nie - powiedziała Rosie, wystraszona.

- Puszczaj mnie do domu, bym tam mógł umrzeć. Tak myślą. Cześć, kochanie.

- Pokaż Boney'emu, co mu przyniosłaś. - Rosie pchnęła Sam delikatnie w jego stronę, ale Sam odwróciła się i nie chciała podejść. Rosie pogładziła ją po włosach i spojrzała jej w twarz. Sam była wściekła.

- O co chodzi, skarbie?

Sam tupnęła nóżką.

- Czemu on taki jest?

- Jaki?

- Co ma w ręce?

- To mu pomaga wyzdrowieć. Kochanie...

Sam skrzyżowała ramiona i wyszła z pokoju, tupiąc nogami.

- O co chodzi? - dopytywał się Boney.

- O rany, przepraszam, Boney.

Wyszła na korytarz i dogoniła córkę, która zatrzymała się nagle w obliczu ponurego długiego korytarza, gdzie jakiś mężczyzna pełnym bólu krokiem pchał swój balkonik; w nosie miał rurkę z tlenem, siwe włosy zmierzwiłone.

- Sam? - Rosie kucnęła przy niej, żeby porozmawiać. - Wystraszyłaś się?

- Nie podoba mi się, co oni mu zrobili.

- Nie chcesz tam wrócić?

- Nie - Sam stała, wzięwszy się pod boki, nieugięta w obliczu bólu i choroby, niepokodzona. Wystraszona jednak, w zasadzie, może, prawdopodobnie; zaniepokojona na pewno.

- Nie powinien być taki - powiedziała.

- Ale poprawia mu się. Słyszałaś? Wraca do domu. Jak mu dasz tę kartkę, on na nią popatrzy i może od razu się ucieszy tak bardzo, że szybciej wyzdrowieje.

Objęła córkę, sama ogarnięta nagle strasznym żalem, ale za kim? Wydawało się jej, że na mały szpital padł na chwilę cień, jakby ciemnego skrzydła, cień, który był jej nieobcy.

- Chyba jest mu tu trochę smutno - powiedziała.

Jednak Sam nie ruszyła się, gdy Rosie delikatnie pociągnęła ją za rękę, łzy złości pojawiły się w jej oczach i stanowczym ruchem skrzyżowała przed nią ramiona. Minął ich kolejny pacjent, powłóczący nogami i z trudem łapiący powietrze bezzębnymi ustami (widocznie wkładanie na powrót zębów było zbyt kłopotliwe).

- Okej? - zapytała Rosie, bojąc się, że sama zaraz się rozpłacze.

- Oł-kej - odpowiedziała Sam ze złością. Ruszyły z powrotem w stronę pokoju Boney'ego.

- Witam ponownie - powiedział cicho.

Sam podeszła. Jego drżąca dłoń spoczywała na pościeli; wokół miejsca, gdzie wbito igłę, pojawiło się zasinienie.

- Dlaczego cię do tego przyczepili?

- Żebym się im nie wymknął - odrzekł Boney. - Nie mam takiego zamiaru.

Dała mu kartkę, którą wzięła od Rosie jak dygnitarz przyjmujący od współpracownika medal przeznaczony dla bohatera; a potem bukiet. Boney dał jej w zamian miniaturowy czekoladowy pudding, który przyniesiono mu do obiadu.

- Rosie - powiedział i opadł na poduszki. Wyglądał jak zmumifikowany. Podeszła bliżej. - Ten młody człowiek, czemu nigdy nie pamiętam, jak się nazywa.

- Pierce?

- Właśnie. Mówił ci coś, jak mu idzie...

- Boney, nie musisz teraz o tym myśleć.

- O niczym innym nie myślę.

- Cóż, tylko nie jestem przekonana, że on całkowicie rozumie, co...

- Rozumie, rozumie. Tylko ci o tym nie mówi.

- Okej - powiedziała miękko. - Okej. - Czy zawsze tak jest? Nadchodząca śmierć odbiera z uprzejmości? Pomyślałaby, że to część charakteru Boney'ego; dziwnie było teraz słuchać go mówiącego jakby do siebie. Czy śmierć tak robi z człowiekiem, odbiera mu wszystko, kawałek po kawałku, i nie zostawia mu nic prócz jakiegoś szalonego życzenia czy potrzeby?

Podniósł się na łokciu, z trudem łapiąc oddech.

- Flegma - powiedział. - Mam odkrztuszać. - Próbował bezskutecznie oczyścić płuca.

- Poklep go po plecach - doradziła Sam, zajęta puddingiem.

- Chcesz? - zapytała Rosie. Podeszła ostrożnie. Otwarty tył luźno związanej szpitalnej koszuli odsłonił dziwny, zniszczony krajobraz skóry i mięśni. Klepała Boney'ego, a on kasłał słabo.

- W ten sposób?

- Tak. Dziękuję. - Pochylił się, rękami objął kolana. - Tak się zastanawiałem - powiedział. - Dawno temu fundacja przyznawała stypendia. Jednostkom. Badawcze lub naukowe. Trochę trudno było powiązać je z naszą, naszą... - Machnął odruchowo, próbując znaleźć odpowiednie słowo, jak *misja* czy *deklaracja celów*, jednak bez skutku. - Tak czy owak, przyznaliśmy kilka, nic wielkiego. Chciałbym je przywrócić. Mały program stypendiów naukowych. Studia zagraniczne.

- Dobrze - powiedziała Rosie z wahaniem, nie mając ochoty na ustalanie szczegółów tu i teraz. To, co powiedział, opróżniło go niczym filiżankę i teraz oddychał ciężko, czekając na dolewkę.

- Jak najszybciej.

- Oczywiście.

- Powiedz mu - powiedział i Rosie musiała się zastanowić komu. - Że muszę wiedzieć, że to nic nie znaczyło. Że to była tylko gra. Muszę to wiedzieć, inaczej nie będę mógł, nie... Och, Rosie. - Znów się położył, ale nie po to, by odpocząć.

- Muszę być pewien.

Położyła mu dłoń na czole; było gorące, pokryte warstewką zimnego potu. Znów próbował się podnieść i najwyraźniej nie mógł oddychać, więc Rosie przycisnęła guzik przywołujący pielęgniarkę.

- Wytrzymaj chwilkę, okej? - wyszeptała. - Tylko chwilkę. - Podniosła głowę, a on wydał z siebie upiorny jęk.

Pielęgniarka wyprosiła gości z pokoju, patrząc na nie obie z niezadowoleniem, po czym rozwinęła parawan wokół łóżka Boney'ego Zaterkotały kółka, zasłonka podniosła się strumieniem wzbitego powietrza niczym skrzydło białej, spowijającej ciszy: Rosie patrzyła na to, patrzyła, jak go zasłaniają, i przypomniała sobie znowu coś, czego nie potrafiła nazwać.

- Pielęgniarka była okropna.

- Nie, kochanie, nie była. Nie chciała tylko, żeby Boney się przemęczał - Rosie wycofała bizona z miejsca na parkingu.

- Podeptała moją kartkę. - Łzy zakręciły się w jej oczach; niesamowite, jak szybko potrafiły się pojawić. **Z a k r ę c i ł y.**

- Czekaj. Naprawdę bardzo się ucieszył na twój widok. Podobała mu się twoja kartka. I kwiaty.

- Czy jak wróci do domu, to umrze?

- Nie.

- Powiedział, że tak.

- No cóż. - Dzień zrobił się oślepiająco gorący, zakurzony niczym srebrnym proszkiem, miraż wody drżały w zagłębieniach na drodze przed nimi. - On jest naprawdę stary, Sam. A w końcu, kiedy człowiek jest już naprawdę stary...

- Wiem, mamusiu. Wiem przecież. - Zrezygnowana, zrezygnowana i smutna; oferująca matce pociechę w postaci mądrości i akceptacji. Rosie zdziwiła się. Czyżby cała wiedza o życiu była niczym więcej jak tylko imitacją wiedzy? To by znaczyło, że Sam wie tyle co ona sama.

- Hej, słuchaj - powiedziała Rosie, zmieniając temat zarówno dla swojego dobra, jak i dla dobra Sam. - Jedziemy umyć samochód?

- Umyć?

- Tak. Tu niedaleko jest myjnia. Powinnyśmy.

- Co? - zapytała Sam podejrzliwie, myśląc, że matka robi sobie z niej żarty.

- Umyć samochód. Dużymi szczotkami i wodą. Zobaczysz.

Czy Sam była już kiedyś w myjni? Rosie usiłowała sobie przypomnieć. Może raz, za mała, by pamiętać. Rosie nie myła dużego bizona kombi zbyt często, wydawało się jej trochę pretensjonalne poddawać taką kupę złomu tym wszystkim zabiegom, staruszek w salonie piękności. Mike kręcił głową z dezaprobatą, samochód lśnił, kiedy on był właścicielem.

- To tutaj. Widzisz?

Sam powstrzymała się od komentarza.

- Zasuń porządnie szybę, dobrze? Tylko tak superporządnie.

- Czemu?

- Żeby woda nie dostała się do środka. - Zapłaciła dolara, wjechała na szyny i puściła kierownicę. Sam przenosiła wzrok z żyjącej własnym życiem kierownicy na ciemny tunel i twarz matki: nie uspokajało jej to.

- Ja nie chcę - powiedziała.

- Będzie fajnie. Zaraz zobaczysz.

- Ale ja nie chcę!

- No, teraz już nie możesz wysiąść, kochanie. Musimy przejechać na drugą stronę. Chodź, usiądź ze mną.

Zdumiewająco nagle dysze wodne otworzyły się, bijąc w dach i maskę, a Sam w mgnieniu oka znalazła się przy Rosie.

- Nie chcę, nie chcę!

- Patrz, patrz - Rosie sama uwielbiała myjnię, to puszczenie kierownicy, gwałtowną ulewę. Brak kontroli.

Czy on umrze? Czy ona będzie przy nim? Ciekawa była zdania Boney'ego na temat tego, co dzieje się po śmierci. Nigdy nie pytała i na pewno nie zapyta, ale pomyślała, że byłoby łatwiej, gdyby wiedziała, czego oczekiwał. Lub czego się obawiał. Jeśli w ogóle czegoś się obawiał, czegoś oprócz samych zamkniętych drzwi.

Tak się bał.

Sam trzymała kurczowo jej rękę, podczas gdy wokół odprawiały się kolejne misteria, jedno po drugim, każde bardziej zadziwiające i niepokojące od poprzedniego - jeśli widziało się to pierwszy raz. Po wodnym *bardo* przyszedł czas na *bardo* szczotek: opadły je jak duże futrzaste zwierzęta, wirując niczym derwisze, z jakiegoś powodu jasnoniebieskie, a Sam

wpatrywała się w nie z niedowierzaniem. To nie był powód, dla którego ktoś chciałby mieć dziecko, ale trudno o większą radość z rodzicielstwa, choć nikt się nad nią nie rozwodzi: patrzeć, jak dzieci doświadczają niesamowitego świata, a poprzez nie samemu znów doświadczyć go po raz pierwszy.

Potem przyszły Kłopotwory, sturamienne czarne Krętowory, uderzające w drzwi i w dach, ryk i stukot maszyn i wody nie ustawały ani na chwilę, tak jak i powolne, oczyszczające, czyścicowe posuwanie się samochodu naprzód. Sam wzdrygała się na ich widok, ale wreszcie zaśmiała się, zrozumiała. Na ostatku pojawiły się najzabawniejsze ze wszystkich Siorbotwory, szczeliny-usta na końcu elastycznych żółtych szyj, spijające nadmiar wody z samochodu, buchnęło gorące powietrze, kropelki rozścigały się po szybie. I koniec gehenny, wrota jaskini, dzień, i oto wyjechały z wesołego miasteczka w spokój, słoneczne światło, z mokrymi łatami, czyściuteńkie.

- Jeszcze raz! - zawołała Sam, całkiem nawrócona.

- Nie możemy tam teraz wrócić. Samochód jest czysty. Musimy poczekać, aż znów się ubrudzi.

- A ubrudzi się znów?

- O tak. Na pewno.

OSIEM

Ruszyły z powrotem ku Blackbury Jams, włączając się w strumień samochodów pędzących do domu na kolację. Czy słyszała jakiś nowy dźwięk pod maską bizona, gdzieś w przekładni? Czegoś takiego prawie nie ma sensu naprawiać; ale co potem?

- Patrz, Pierce! - zawołała Sam.

Rosie nie dostrzegła nikogo.

- Nie, skarbie, to nie on.

- To on!

Sam wskazała palcem; Rosie rzeczywiście dojrzała teraz plecy wysokiego mężczyzny - biała koszula łopotała w wieczornym wietrze - który snuł się wzdłuż drogi; pobocze nie nadawało się za bardzo do chodzenia. Niósł dwie torby pełne zakupów, pewnie z supermarketu, koło którego dopiero co przejeżdżała.

- Widzisz? - powiedziała Sam, wciąż klując paluszką w szybę.

- Bystra dziewczynka - powiedziała Rosie. Wyprzedziła mężczyznę i zjechała na pobocze z maksymalną precyzją, na jaką pozwalał jej brak lusterka wstecznego. Pomachała Pierce'owi, a ten nieprędko ją zauważył, jakby zahipnotyzowany hałasem ruchu ulicznego.

- Dzięki serdeczne - powiedział, gramoląc się do środka z szeleszczącymi torbami. - Droga zaczynała mi się dłużyć.

- No myślę.

- Co kupiłeś? - dopytywała się Sam.

- Nader ciężkie jedzenie - odpowiedział. Roześmiała się; Pierce nauczył się już rozśmieszać ją dziwnymi słowami i poważnym tonem. - W metalowych puszkach i szklanych słoikach. Powinienem był kupić coś lekkiego. Biskopki. Pianki. Chrupki.

- Balony.

- Gumę balonową. Ale ona jest ciężka, dopóki się jej nie nadmucha.

- Ty - powiedziała Sam, robiąc dziwnie dorosły gest kokieteryjnej dezaprobaty. - Ty jesteś gupi.

- Wiesz co, Pierce - zaczęła Rosie - powinienes sprawić sobie samochód. Nie ma jakiegoś autobusu ze sklepu do miasta?

- Jest. Zajeżdża tam na przystanek. Ale wszyscy, którzy na niego czekali, mieli dobry

powód, żeby nim jechać. Zaawansowany wiek. Upośledzenie umysłowe. Kiepski wzrok. Prawdziwa bieda. Sama wiesz. Wydawało mi się, że nie będę tam mile widziany. Facet, który na pierwszy rzut oka powinien prowadzić własny samochód.

- Słyszysz, Sam? Teraz to rzeczywiście mówi głupio.

Pierce zamierzał, choć niezbyt to sobie wyobrażał, nauczyć się w końcu jeździć, a potem kupić samochód. Dożył swojego wieku bez prawa jazdy częściowo dlatego, że niezbyt często i niezbyt mocno odczuwał potrzebę jeżdżenia - chodził do prywatnego liceum, którego w trakcie semestrów nie można było opuszczać, a na Noate, jego uniwersytecie, tylko studenci z wyższych roczników mogli posiadać samochody. Zanim sam tam dotarł, niechęć do samochodów i jeżdżenia stała się elementem ekscentrycznej natury, którą sobie układał jak zbroję domowej roboty; zaś w mieście, do którego się przeprowadził, nikt nie jeździł samochodem - przynajmniej nikt, kogo Pierce znał.

Ale był też nieprzemijający pierwotny strach, który nie pozwolił mu dać się skusić; gdy samochody dla Joe Boyda i chłopaków z Cumberlandś stanowią dodające otuchy personifikacje (często posiadające własne imię) wolności, siły i energii, dla Pierce'a były jak psy uwiązane przed domkami w Cumberlandś albo napotkane na drogach: wielkie bestie zajmujące się własnymi sprawami, z którymi trzeba obchodzić się ostrożnie albo wcale. Czasem marzył o takich psach, ale pełnych bezmyślnej wrogości, z łańcuchami rwącymi się jak szpagat; śnił też czasem o sobie, jak w niewyjaśniony sposób siedzi za kółkiem w samochodzie pędzącym bez żadnej kontroli z własnej woli ku zagładzie.

Tak czy owak tyle ciał zostało okaleczonych i tyle samochodów zniszczonych w tamtych latach przez chłopaków z Kentucky, tylu chłopaków zginęło (zmiądzonych niczym klopsy w swoich wielkich, starych hornetach albo nowych hawkach czy impalach, z nogą wciąż na gazie i papierosem za uchem), że stawka ubezpieczenia dla nich była przerażająca; Sam postanowił, że Pierce i Joe Boyd będą musieli sami zarobić, żeby wyrównać różnicę i zdobyć prawko, co Joemu Boydowi udało się jakoś szybko i łatwo, gdy Pierce nigdy tak naprawdę się o to nie starał. Jego kuzynki nie miały takich przeszkód i dość wcześnie dostały prawo jazdy (Hildy uczyła się nawet pod okiem Sama - udręka, która jednak się opłaciła). Więc Pierce korzystał z ich umiejętności.

- Nie mam nic przeciwko samochodom - wyjaśnił Rosie. - Niektóre nawet mi się podobają. Straciłem dziewictwo w samochodzie. Jej.

- Doprawdy?

- To był lark. Dziś już zapomniany samochód, produkowano go krótko. Niewielu jest chyba takich jak ja.

- Zrobisz sobie kiedyś prawo jazdy?

- Zamierzam. Mam nawet tymczasowe zezwolenie²⁰. Już trzecie. Inne przeterminowały się, zanim się nauczyłem.

- O, proszę. Pewnie zawoziła cię Val. Po zezwolenie.

- To było niesamowite. Tuzin nastolatków, jedna świeża wdowa i ja.

- Zdałeś?

- To było jeszcze bardziej niesamowite. Dostawało się dziesięć pytań, ale wystarczyło odpowiedzieć poprawnie na osiem. Tylko osiem. Inaczej mówiąc, można było sądzić na przykład, że czerwony ośmiokąt oznacza „Uwaga”, a nie „Stop”, a mimo to sięść za kółko.

- Każdy to wie.

Rosie skręciła na rondzie w zjazd do Blackbury Jambs. Znak kazał jej włączyć się do ruchu. Jak (zastanawiał się Pierce) się właściwie włącza do ruchu? Są jakieś zasady? Nie w jego podręczniku. Pewnie się po prostu wjeżdża w pierwsze wolne miejsce. Każdy to wie.

- Widziałam dziś Boney’ego.

- Co z nim?

- Dobrze. Wraca do domu.

- Już nie jest chory - włączyła się Sam.

- To dobrze - powiedział Pierce.

- No wiesz - mruknęła Rosie. Pierce nie pytał o więcej.

Przejechali most na sennej rzece; belki zadudniły pod kołami bizona.

- Kiedy znów go zobaczysz - powiedział Pierce - powiedz mu, że odkryłem coś interesującego. Nie zdumiewającego ani nic - dodał. - Ale jednak. Kraft był w posiadaniu pewnych ciekawych książek.

- Nie wątpię.

Opowiedział jej o *Hypnerotomachii Poliphili*.

- Że co? - sapnęła zdziwiona Rosie. - Boże kochany.

- Jeszcze raz - zaśmiała się Sam.

Pierce podzielił słowa:

- Hypn. Eroto. Machia. Poliphili. To znaczy: Sen. Miłość. Walka. Poliphilusa. Można by to przetłumaczyć: walka Poliphilusa o miłość we śnie. *Hypnerotomachia Poliphili*.

Obejrzał się na Sam i razem roześmiali się w głos.

²⁰ Pozwolenie na prowadzenie samochodu pod nadzorem osoby towarzyszącej, posiadającej prawo jazdy.

- Zdecydowanie jedno z największych dzieł wszech czasów w kategorii dziwnych książek nie do czytania.

- Ale ty ją przeczytałeś.

- No, podczytywałem, ale niekoniecznie przeczytałem... Istnieje bezcenne pierwsze wydanie z ilustracjami Botticellego. To nie to.

- No cóż.

- Ale i tak jest to bardzo ładne szesnastowieczne wydanie z drzeworytami, niektórymi bardzo dziwnymi. To był złoty wiek dziwnego ilustrowania książek.

Zatrzymali się na River Street, przy sklepie wielobranżowym, nieopodal biblioteki, na rogu Hill Street, wiodącej do ulicy, przy której mieszkał Pierce.

- Jest cenna? - spytała Rosie.

- Tak.

- Ale nie...

- Nie, nie.

Mały, czerwony, sportowy asp zajął miejsce parkingowe po drugiej stronie biblioteki. Karoseria tu i ówdzie była nieco obtłuczona, jak gdyby kierowca przywykł do wdawania się w konflikty z innymi samochodami. Po dłuższej chwili skończył manewry; kształtny tył wystawał nieco ku ulicy.

- Jeszcze raz - poprosiła Sam.

- Hypnerotomachia Poliphili.

Z samochodu wysiadła długonoga kobieta, jej ciemne, splecione włosy kołysały się. Pierce'owi wydało się, że przemknęła wzrokiem po ich kombi, ale nie zwróciła na nich uwagi.

- Wiesz - powiedział do Rosie - kiedyś myślałem, że to ty.

- Wiem.

- To znaczy myślałem, że ona jest matką Sam. Bo wiesz...

- Tak.

Przez długi czas myślał, że ta kobieta - Rose Ryder, wyciągająca teraz wielką torbę z bagażnika i przerzucająca ją przez opalone ramię - była Rosie, matką Sam, wkrótce była żoną Mike'a Mucho i miłością jego starego znajomego Spofforda: ona, a nie ten tutaj rudzielec Rosie. Rose Ryder paradnym krokiem przeszła na drugą stronę do biblioteki; Pierce przyglądał jej się z przyjemnością.

- O! To Rose. - Sam wskazała ją palcem. - Gdzie tatuś?

- Nie wiem, skarbie. Chyba w pracy.

- Czy oni wciąż? - zapytał Pierce. Ojciec Sam był również kochankiem Rose, co jeszcze pogłębiło zamęt w jego głowie.

- Nic mi o tym nie wiadomo - rzuciła Rosie szorstko. - To się chyba już skończyło.

- Aha - powiedział Pierce w zadumie.

- Wsiadasz? - spytała Rosie. - Czy czekasz, aż cię podwiozą pod same drzwi?

Pierce pchnął ciężkie drzwiczki, które okropnie zaszurały o chodnik.

- Ona była bardzo, kiedy ostatnio z nią rozmawiałem - powiedział, wysiadając z torbami. - Wyglądała na, i zastanawiałem się, co by zrobiła, gdybym.

- Myślę - odparła Rosie - że zrobiłaby wszystko, czego zażądałby odpowiedni mężczyzna.

- Wszystko? - rzucił Pierce w udanym osłupieniu. - Wszystko?

Rosie znamienne wrzuciła bieg i gestem kazała Pierce'owi zamknąć drzwi. Zaskrzypiały na zawiasach, a potem zatrzasnęły się ze standardowym hukiem, którego celem było podkreślenie solidności i ceny.

- Rose się nie przywitała - powiedziała nadąsana Sam.

- Pewnie nas nie widziała.

To się nazywa takt, pomyślała Rosie: pytać ją, czy inna kobieta jest wolna, akurat ta kobieta. A jednak wstydziła się, że powiedziała to, co powiedziała Pierce'owi o Rose, że ujawniła to, co ujawniła, jeśli ujawniła cokolwiek: czuła się w jakiś sposób nielojalna, mówiąc coś, czego żadna kobieta nie powinna mówić mężczyźnie o innej kobiecie, coś, o czym Rosie nie powinna wiedzieć, chociaż wiedziała.

Nielojalna! Rosie ruszyła gwałtowniej, niż zamierzała, a siedząca obok Sam roześmiała się, kiedy samochodem zatrzęsło.

Tymczasem Pierce nie miał interesu w zadawaniu takich pytań. Kiedy zamyślony wykladał sprawunki na kuchenny stół w swoim mieszkaniu na drugim piętrze przy Maple Street, czuł dziwne znużenie; znużenie, jakie czuć może alpinista, który wycisnąwszy z siebie co do kropli ochotę i radość, zdobył tuzin podrzędnych szczytów, a teraz znajduje się w śniegu, mając przed sobą już tylko jeden szczyt i jego rozkosze. *The bear went over the mountain*²¹.

Przez długi czas porażki sercowe składał na karb złowrogiego losu; przecież sam zawsze był otwarty, zdecydowany, wierny swym słowom i potrzebom: to inni ciągle odchodzili, ranili go, straszliwie i niewybaczalnie, a jednak zawsze wybaczał. W końcu zrozumiał, że to on sam wybierał spośród dostępnych kobiet właśnie te; nie sprowadzał mu

ich dzin; dobierał je według swojego pociągu do ich czaru - nieprzewidywalności, niespokojnego powabu, dostępności; nieświadome łowczyni. Wybierał je (a przynajmniej godził się, gdy one wybierały jego) na postawie tego, co sprawiało, że przetrwanie związku było mało prawdopodobne. Był w tym pewien sens: jego komediancka przysięga prawdopodobnie odzwierciedlała tylko rzeczywistość, z którą jego dusza pogodziła się już w milczeniu: że nie był z tych, co się żenią, że był skrzywiony i niezdolny do zostania żonatym i dzieciatym.

Zapomniał kupić kapary, którymi chciał ugarniować tatarą, przysmak kawalera, a może coś z ostryg, ty palancie. I pół butelki szczyn. Stare dynama w jego wnętrzu nie odłączyły się; nawet gdyby chciał, nie wiedziałby, jak to zrobić; jeśli nie był ciągle w stanie wrzenia, jak to się działo, kiedy mieszkał w mieście, wynikało to prawdopodobnie tylko z tego, że nie było tu tej ciągłej parady przed jego oczyma, iluzji niewyczerpanej podaży. W Smallville niebezpieczeństwo miało inny charakter: skupienia na tej jednej czy dwóch, które z grubsza pasowały do wewnętrznego szablonu - niedobór pomyłony ze specjalnym wyborem Losu.

Ten panterzy krok. Raz ją przytulił. Nawet pocałował w opuszczonym domku letniskowym nieopodal Blackbury River. Nie opierała mu się. Jej brak oporu był tak całkowity, że aż wytrącający z równowagi, przynajmniej Pierce'a; wytrącający z równowagi niczym natarczywe uwodzenie.

To było zeszłego lata, kiedy po raz pierwszy się tu pojawił. W zamęcie nocy przyjął, że Rose to Rosie Mucho, a więc ukochana jego przyjaciela Spofforda. Dlatego właśnie nie posunął się dalej; dlatego właśnie i z powodu nagłego alarmu w jego głowie, odmiany świętego strachu, takiego jak ten, jakiego doświadcza wynędzniały podróżnik, który nieoczekiwanie wchodzi do porzuconej świątyni i staje przed bóstwem, ponad którego obmierzłym ołtarzem płonie lampa.

Dokończył wino.

Być może, pomyślał, skaza ta bierze się z gwiazd, które towarzyszyły jego narodzinom. Pierce ostatnio poprosił Val o horoskop, jak to czynił prawie każdy, kogo znał w Faraways, I pomimo nieschodzącego z twarzy uśmiešku wysłuchał ciekawie jej analizy. Zawsze z uwagą słuchamy wieszczych twierdzeń o ludzkiej naturze, choćby były bezpodstawne. W jego przypadku o decyzje było jeszcze trudniej, ponieważ nie był pewien godziny urodzenia; znał rok i dzień, szczęśliwa niedziela, ha ha, ale kiedy zapytał Winnie o

²¹ Niedźwiedź wspiął się na górę - popularna piosenka dziecięca.

godzinę, powiedziała, że wydaje jej się, iż była to piąta, ale nie była pewna, czy rano, czy po południu, a oczywiście całe niebiosa wywracają się do góry nogami z godziny na godzinę. Pólsen, powiedziała; nie pamiętała zbyt wiele.

A zatem Val zrobiła dwa różne wykresy (być może nie były tak dokładne jak zwykle, przecież nie płacono jej podwójnie) i odkryła wiele drobnych różnic oraz kilka ważnych podobieństw bez względu na godzinę. W obu radosna i roztropna natura Strzelca przygnieciona była ciężarem Saturna i mazgajowatością Neptuna, planety nieznannej nauce, kiedy astrologia była nauką. W wariacie wieczornym Saturn i Księżyc łączyły się bez radości w Domu Śmierci w opozycji do biednej Wenus, markotnej w niewłaściwym domu: czy Pierce miał może kłopoty ze związkami? Różnice między wariantami, porannym i wieczornym, stanowiły według Val ich prawdopodobne konsekwencje, lepsze i gorsze. Śmierć czy życie?

Może nie aż tak. Przeciwiężstwa łatwe albo trudne. Val zaproponowała (być może było to zbyt proste wyjście, co nie znaczy jednak, że niemądre), żeby Pierce stosował się do wykresu porannego i w ten sposób sprawił, żeby właśnie on stał się obowiązujący.

To oznaczało, że Saturn znajdował się w pierwszym domu, przekazując tworzącemu się ciału i naturze własne zimne, smutne i suche cechy, predysponując dziecko do melancholii, która bez wątpienia cechowała Pierce'a. Każdy lekarz z XVI wieku określiłby Pierce'a z miejsca jako typ saturniczny; wystarczyłoby po prostu zauważyć znaki. Pierce podszedł do swoich książek (cóż innego robić wieczorem) i przejrzał jedną z nich. Proszę: doktor Johannes z Hasfurtu, autorytet średniowieczny, wylicza: „szeroka, brzydka twarz”, zgadza się; „małe, spuszczone oczy, jedno większe, i plamka lub deformacja”, zgadza się, jeśli się dobrze przyjrzeć. „Łączące się brwi, szczeciniaste, czarne włosy w nieładzie, lekko falujące”, zgadza się. „Broda, jeśli jest, rzadka, ale ciało - zwłaszcza tors - włochaty”. Zgadza się, aż za dużo tego. Długie nogi, dłonie i stopy zdeformowane - popękane pięty, co to, to nie. Ciało „niezbyt duże” (pasuje, pomyślał) i „w kolorze miodu” (byłoby to lepsze niż aktualna odporna na słońce bledność) oraz „cuchnące jak cap”, wypraszam sobie.

Zamknąć tę książkę, otworzyć kolejną. Zawsze można było sprawdzić w innej. Podsuwał niektóre z nich Val, która powiedziała, że woli słuchać, bo lepiej zapamiętuje. Oto i Burton: lepiej nie mówić „melancholia”, nie mówiąc zaraz potem „Burton”. Wziął *Anatomię* z sobą do łóżka.

Trzeci dział, sekcja druga, rozdział pierwszy, podsekcja pierwsza. Miłość heroiczna powoduje melancholię. Rodowód, władza i zasięg. Żadna siła na ziemi nie przewyższa miłości. U mężczyzn jej wpływowi ulega wątroba; nazywa się ją heroiczną, ponieważ zwykle

szlachta, arystokracja i najbardziej wykwintne dusze są nią owładnięte.

Ładnie, pomyślał Pierce, ale cienko z tą etymologią. Miłość heroiczna, *Amor hereos*, choroba umysłu i członków, którą melancholijne saturniczne natury biorą za samą miłość, niezdolne zrodzić żadnej innej w swoich zimnych, suchych sercach. Lekarze XVI stulecia i średniowieczni mnisi przekonani byli, że na heroiczną miłość można umrzeć.

Rozdział drugi, podsekcja pierwsza. Przyczyny miłości heroicznej: temperatura, bogata dieta, beczynność, miejsce, klimat, etc. Ze wszystkich przyczyn najodleglejszą są gwiazdy. Kiedy Wenus i Merkury są w koniunkcji, Merkury jest w ascendencie, miłosne myśli tak mię trapią, że nie mogą spocząć - tyle Cardan o sobie²²; przyznaje się, jak wykorzystał czas na naukę. Niektórzy jednak popierają Brunusa, iż Saturn przy narodzinach, usposabiając melancholijnie, w największym stopniu skłania ku pożądanym myślom; charaktery takie przejawiają naddatek imaginacji i mogą łatwo wymyślać wszelakie rozkosze, którymi nigdy się nie strudzą; lecz dążą do rozkoszy cielesnych dla samych siebie i nie myślą o rozmnażaniu się.

To się nazywa trafić w sedno.

Niektórzy popierają Brunusa: prawdopodobnie chodziło o Giordana Bruna, który chełpił się, kto wie na ile zgodnie z prawdą, że spółkował z setką kobiet.

Narażona część ciała (jesteśmy znów przy Burtonie) to tylna część głowy, z braku wilgoci. Gordonius uznaje genitalia za bezpośredni podmiot lub przyczynę, wątroba jest antecedentem. Fracastorius zgadza się z nim: stąd pierwotnie pochodzą obrazy żądz, erekcji, etc. Trzeba spotęgowania podniecenia, a zatem dopóki nasienie nie zostanie wylane, nie ma końca rozwiązłemu baraszkowaniu i ciągłemu celebrowaniu Wenery.

Pierce podkreślił to ołówkiem: ciągle celebrowanie Wenery.

Oczywiście (jako rzecz Austin) gwiazdy tylko nas nakłaniają. Saturn w ascendencie może także przynieść mroczny samotny geniusz, zwłaszcza w połączeniu z jasnością i celnością Strzelca; Bruno o tym wiedział. Miłość heroiczna nie dla fantazmatów ciała, ale dla trwałej rzeczywistości postrzeganej przez dociekliwy intelekt. To był poranny wariant. Antyspołeczna nędza, introspekcja, dziadostwo, *eremita masturbans*: wieczór.

Zrzucił Burtona z kolan.

Powiedzmy, że teraz dzwoni telefon. Nieodebrany telefon, który wykonał w zeszłym miesiącu w mieście, oddzwania teraz. Okej.

²² Gerolamo Cardano - włoski uczyony renesansowy, którego prace (jedne z bardzo wielu) inspirowały Anglika Roberta Burtona (1577 - 1640), autora *Anatomii melancholii*, która została tylko w niewielkiej części przełożona na polski.

Dzyń, dzyń.

Telefon nie stał daleko od łóżka, Pierce był w stanie pozbić się i podnieść słuchawkę, nim rozmówca ją odłożył.

- Halo?

Cześć. Z lekkim zawstyżeniem, a kuku!

- O, no cześć - powiedział.

Jesteś zajęty?

- Jezu, nie. Właśnie - powiedział - myślałem o tobie.

Mały ten świat, powiedziała. Usłyszał brzęk bransoletek. Pewnie przełożyła słuchawkę do drugiego ucha. I jak się tam masz? Jak nowe życie?

- W porządku.

Wieśniacki burak.

- Traktorzyści i dojarki.

Ty.

- A co u ciebie?

No wiesz, powiedziała po namyśle, jest lato, jest wariacko.

- Gorąco.

Gorąco jak diabli. Siedzę n-a-g-a przy otwartym oknie.

Rzeczywiście słyszy odgłosy miasta na ulicy pod jej mieszkaniem, mieszkaniem, którego nigdy nie widział, ale znał, krzyżówką pomiędzy skrzynką Josepha Cornella a Watts Towers. Ona na łóżku.

- Więc - powiedział - byłaś grzeczna?

Byłam niegrzeczna, powiedziała, poddając się swojej naturze, inaczej niż on. Bardzo niegrzeczna.

- Opowiedz mi.

Wariat, powiedziała cicho, jak gdyby zastanawiając się, na ile może mu pozwolić. Edgardo. Mówiłam ci o Edgardo?

- Nie.

Ostatnio widuję się z nim. Edgardo, obniżyła głos, dzieląc się rozkosznym sekretem, to pierwszy mężczyzna, którego wzięłam z ulicy. Po prostu, wiesz, spojrzałam na niego, zatrzymałam się, żeby porozmawiać, och.

- Brawo.

Ale, och, nie mogę, nie mogę tego wyrazić.

- Spróbuj. - Wymyślił haniebny plan, który, jeśli głos mu nie zadrży a frasobliwość nie

umknie, może się powieść. - Potrafisz.

No więc. On ma piętnaście lat. Jej dłoń przemieściła się na słuchawce. I, o Boże, jest taki słodki. Na początku nie wiedziałam, ale, Pierce, myślę, że trafił mi się prawiczek. To się po prostu w głowie nie mieści.

Ale on nie potrzebował sobie wyobrazać. Za pomocą delikatnych zachęt mógł pchnąć ją ku wyznaniom, które i tak chciała poczynić, przejęta, nie miał wątpliwości, równie jak on; a długa linia telefoniczna miała rozgrzać się przepływem jej słów ku niemu i jego zachęt ku niej, jak drut sprzętu pod napięciem.

Ciągle celebrowanie Wenery. Dawno, dawno temu, za ich nowojorskiego życia, razem leżeli w łóżku, właśnie zaczynając, kiedy dzwonił telefon; był zły, że odebrała, ale postanowił nie przerywać. To była jej przyjaciółka Lou, kowbojka z Denver. Lou, to nie jest odpowiednia chwila. Naprawdę, Lou. A co? Chcesz, żebym ci powiedziała, co się dzieje? Roześmiała się swoim głębokim śmieszkiem satysfakcji i ułożyła wygodnie, patrząc na Pierce'a przy robocie, a zarazem mówiąc spokojnie do Lou, bez przerwy, non stop, a Lou słychać było z drugiego końca słuchawki; nawet sam do niej zagadał, cześć, Lou, chciałabyś tu być?

Chciałabyś tu być. Zastanawiał się, czy ona i Lou kiedyś. Czasem dawała to do zrozumienia. Chciałby tam być. Chciałby. Chciałby. Chciałby. W jednej chwili zapadł w sen, dopóki nie obudziło go jego własne, dzikie chrapanie.

Co za syf.

Telefon leżał drętwy i zimny w odległym rogu; nie dzwonił od wielu dni.

Hypnerotomachia Poliphili. Rozrzutność ducha w trwonieniu bezwstydną.

Że wraziła się mu tak głęboko w duszę, stając się jedynym celem jego jednookiej uwagi Strzelca, jedynym obiektem jego melancholijnej, ekstrawaganckiej żądy przodomózgowia - to nie dziwiło; jaka to jednak gwiazda, jakie zapętlenie melancholijnego stanu spowodowało tę skłonność - dopiero niedawno zauważył, jak głęboko się zakorzeniła - do wymazania samego siebie z własnych fantazji? Ponieważ nie chciała być z nim, wyobrażał ją sobie z innymi; i przez okamgnienie, kiedy wierzył, że może poczuć to, co ona czuje z innym, jasny cień tego, co ona czuje lub czuła, wtedy szczytował.

Na jaką równię pochyłą wstąpił, kiedy? Dlaczego nie mógł zmusić się do strachu przed tym, czym się stał?

Letni rozkwit nie zszedł jeszcze z nieba, chociaż było już po dziewiątej według księżycowej tarczy jego zegara. Z łóżka widział żółty prostokąt okna swojego przyjaciela Beau Brachmana po drugiej stronie ulicy, jedyną plamę światła w czarnej sylwetce budynku. Beau, pełen wyrzeczeń mistagog, który, czymkolwiek się zajmował, nie poświęcał się tak jak

Pierce.

Pierce nie włączył światła, więc nie potrzebował teraz go wyłączać; przeciągnął się tylko w koszuli, naciągnął na siebie kołdrę, odwrócił się plecami do kuchni, skąd kusiło go jedzenie, i zasnął.

DZIEWIĘĆ

Tak naprawdę to Beau Brachman wyobrażał sobie spółkowanie: na ślepo, wilgotno i gorąco, do tego stopnia, że hermafrodyta wywróciłby się na nice i zmienił w mężczyznę. Pod lampą, świecąca się w jego mnisim mieszkaniu, leżały dwie książki, jedna na drugiej, obie oprawne w brązowe płótno, które zaatakował jakiś maleńki tropikalny insekt pożerający klej i pstrzący je odropodobnym wzorkiem; proces powstrzymał dopiero zimny klimat, w którym książki znalazły się za sprawą Beau. Opublikowało je Wydawnictwo Teozoficzne w Benares, i tam też znalazł je Beau: dwa tomy *Thrice-greatest Hermes* pióra G. R. S. Meada.

Czytał już długo tej wonnej nocy, nie otwarłszy ich wcześniej przez wiele lat; widok znajomej czcionki i znajomego układu akapitów, maleńkie czarne glosy na marginesie, niczym przydrożne kapliczki wzdłuż kamienistej ścieżki, przywracały jego pamięci gorące noce i dnie pierwszej lektury. Ale teraz nie czytał. Gdyby Pierce mógł zajrzeć przez okno do środka, zobaczyłby Beau siedzącego bez ruchu i bez koszuli w fotelu, z parą słuchawek na uszach, łączącą go z wielgachnym starym wzmacniaczem lampowym (Fisher) i gramofonem. Słuchał oceanicznej symfonii Mahlera, a raczej pozwalał się unosić jej falom, nie słysząc nic, dając się porywać w swój film raz za razem jej pseudonieskończonym *coitus prolongatus* i wrywać z niego, wciąż, na przemian; ścieżki dźwiękowej dostarczał Mahler. Scenariusz stanowił *Poimandres* Hermesa po trzykroć wielkiego, według dawnej interpretacji doktora Meada.

POJAWIA SIĘ: jaskrawy chaos światła, nieskończona łagodność i dobro wylewające się z nielokalizowalnego centrum niczym chmury, które prowadzą do filmowych niebios albo je tworzą.

WERBEL MROCZNYCH BĘBNÓW i z tego samego nieumiejscowionego centrum dobywa się cień, widoczna ciemność, gęsta i oleista, dym filmowych piekieł. Biel cofa się odeń. Cień rośnie. SFX: nieopisane, niepojęte krzyki, wrzaski, jęki, szalony śmiech, rżenie zgrozy.

WIELKI GŁOS mówi, nie głośno, lecz wielce; składają się nań oboje i puzony:

JAM JEST ŚWIATŁOŚĆ POIMANDRES PASTERZ LUDZI KTÓRY BYŁ PRZED MROCZNYMI WODAMI.

POTEM ze wzburzonej białej chmuropiersi wystrzela protuberancja, bielsza niż biel

sama. ZNACZENIE. Z gwizdohukiem filmowej błyskawicy ZNACZENIE wraża się w serce mrocznego ukropu.

WIELKI GŁOS:

ZNACZENIE, KTÓRE DOBYWA SIĘ ZE ŚWIATŁA, TO MÓJ SYN JAM JEST JEGO OJCIEC JESTEŚMY TYM SAMYM.

ZNACZENIA wpływ na Chaos polega na jego uporządkowaniu: wielkie pasma barwnego światła wyodrębniają się z popielistych płomieni, pozostawiając gęstą, czarną materię; w wielkim wybuchu smyczków i cymbałów światło zaczyna krążyć; tęczyowy wyścig.

HERMAFRODYTA NIE POTRZEBUJE PARTNERA DAŁEM ŻYCIE STWÓRCY.

Wielki muskularny nieczłowiek, Jove albo Jehowa, ściągnięte brwi potęgi, wielkie dłonie zdolne nadawać kształt. Pochyliła się nad wyścigiem światła z narzędziami: kompasem, ryłcem, pobijakiem.

STWÓRCA I ZNACZENIE DZIAŁAJĄ RAZEM USTAWIAJĄ KRĘGI ARCHONTÓW

Światła zwalniają, łączą się, przybierają formę kulistą; każde wybiera jeden kolor (czerni, czerwieni, błękit, biel). Siedem. Daleko poniżej ich gigantycznych szlaków osiadają żywioły Chaosu. Zimne, mroczne, pragnące, falujące.

ZIEMIA PRZYRODA ONA NIE MA PRZY SOBIE JUŻ ZNACZENIA WYDAŁA NIEZLICZONE MŁODE BEZ ZNACZENIA.

MONTAŻ: Ptaki powietrza, ryby mórz; wulkany, burzowe chmury, targane wichrem drzewa; ślepy kret kopie, tygrysiątka tarzają się w pyłe, karibu pędzi przed siebie; miliony flamingów wzbijają się z błękitnego jeziora, przesłaniając słońce. Sarny na szczycie, gryzące opadłe jabłka; unoszą głowy, węższą. Mijają milenia.

Cisza.

ŚCIEMNIENIE.

Igła podskakuje między rowkami.

PRZEJŚCIE:

Daleko, nieskończenie daleko, w sferze Umysłu poza materialnością. Istota zostaje odkryta w łonie Boga: Adam Michała Anioła, olbrzymi i silny, różowy jak niemowlę, bierny.

WIELKI GŁOS jest łagodniejszy:

OJCIEC WSZECHRZECZY WYDAŁ NA ŚWIAT CZŁOWIEKA ISTOTĘ TAKĄ JAK ON I ZAKOCHAŁ SIĘ W CZŁOWIEKU JAKO WŁASNYM DZIECKU.

Wzbija się, wypróbowała skrzydła, zajmuje swoje miejsce w sferze Ojca (powalająca,

sycąca harmonia basowych skrzypiec). Patrzy w dół przez rozbrzmiewające kręgi planet. Znużony STWÓRCA odpoczywa po pracy, otrzepuje dłonie z kurzu.

CZŁOWIEK POPROSIŁ O PERMISJĘ NA STWORZENIE CZEGOŚ DLA SIEBIE
OJCIEC JEJ UDZIELIŁ.

UPADEK CZŁOWIEKA spada wesoło, w dół, przez sfery, przyjmując od hołubiących archontów podarki, śmiejąc się, choć dary obciążają go absurdalnie, ma dość siły. Przelamuje bez szkody orbity Przeznaczenia, które nie stosują się doń. Osiąga sferę zaskoczonego Księżyca i przyjmuje jej dar labilnej wilgoci.

TERAZ ZIEMIA SPÓJRZ W GÓRĘ.

Ziemia spogląda w górę. Widzi urodę i postać CZŁOWIEKA. Zakochuje się w nim w jednej chwili w całości, chciwie. Unosi wezbrane tęskne morza ku sferze Księżyca. CZŁOWIEK widzi w zwierciadle wody swą boską piękność; widzi cień swej nadobnej postaci na ziemi; i zakochuje się sam w tej Postaci, którą widzi chciwie, w całości i na zawsze. Musi mieszkać tu z tą pięknnością.

W dół, przez wielkie czepliwe sieci materii spada, piekielny gorąc, najpierw ogień, potem powietrze, woda, i ziemia; ityfaliczny, ramiona rozpostarte beztrósko w brązowo-zielono-błękitne łono, kończyny Ziemi. A kiedy ona już go ma, owija się wokół niego, kończyna wokół kończyny, pierś w pierś. Sfery cofają się w zdumieniu i kryją swe lampy. Orkiestra gra, niekończące się akordy, brak jednak dość potężnego punktu kulminacyjnego, nadchodzi rozczarowanie, modulacja, powrót, rozniecenie na nowo, brak końca.

WYCOFANIE skromne z gigantycznego stosunku. WIELKI GŁOS:

I TAK CZŁOWIEK KTÓRY BYŁ ZARAZEM ŚMIERTELNY I NIEŚMIERTELNY
POPRZEDZAJĄCY NIEBIOSA LECZ IM PODLEGŁY STAŁ SIĘ DWOISTY.

TEN KTÓRY BYŁ BEZPŁCIOWY JAK JEGO OJCIEC NIE JEST JUŻ CAŁOŚCIĄ
LEcz MĘŻCZYZNĄ LUB KOBIETĄ.

TEN KTÓRY BYŁ BEZSENNY JAK JEGO OJCIEC WCIAŻ JEST BEZSENNY
PRZYBYWA ZWIĄZAĆ SIĘ MIŁOŚCIĄ I SNEM.

Teraz WYCOFANIE, WYCOFANIE nad morzami, przez górskie doliny, wzdłuż srebrnych rzek, przez skąpane w nocy lasy, z powrotem okna komnaty - komnaty takiej jak ta, gdzie Beau ogląda i słucha, ale nie tej samej - komnaty o oknach z czterech stron pełnych gwiazd. Jest tam śpiący, albo ktoś, czyje ciało jest nieruchome, w fotelu; głowa odchylona w tył, oczy zamknięte, usta rozwarte.

WIELKI GŁOS stał się mały, niemal szepczący, lecz tak duży jak wcześniej; to Posłaniec, ostatni i jedyny Posłaniec, wydany z łona Boga przed początkiem historii, a

przybyły w ostatku, teraz, dopiero co.

Śluchaj, Człowieku obdarzony Umysłem: wiedz, żeś nieśmiertelny i że przyczyną śmierci jest miłość.

NAJAZD NA twarz śpiącego, dalej, ku błyskowi jasnego, widzącego oka, ledwie widocznego między powiekami. Formuje się łza, wisi kuliście na powiece, odbijając gwiazdy; toczy się po policzku.

A teraz czemu zwlekasz? Ty, któryś otrzymał wszystko? jak może to być, że pozwalasz im cierpieć, mogąc wziąć tę wiedzę w swoje ręce? Nie będziesz im przewodnikiem?

Fotel unosi się jak helikopter, kierując się ku otwartemu portalowi i nocy, przyczyną śmierci jest miłość. O Duchu, Duszo, Pierwszy Człowieku, nie tkwój na zawsze w naturze; przebudzony pamiętaj, kim jesteś, skąd przybyłeś tu, by cierpieć. Zawróć, wyrusz w swą podróż ponownie, przemierz ku górze ponownie zazdrosne sfery, oddaj im wątpliwe i ciężkie dary, mówiąc każdej: Pozwól mi przejść.

Beau unosił się nad śpiącymi wzgórzami Faraways na pojedynczej nici sopranu, śpiewając melodyjnie i smutno bez słów; unosił się lekko między niebem obsypanym gwiazdami a zielonymi ustami wzgórz.

O świecie, planeto dziwna i piękna. Ukochał sobie to miejsce, naprawdę. Zawsze będzie pamiętał, tak jak turysta wspomina niekiedy urywkowe doznania dziwnych, obco pachnących krain, które kiedyś na krótko odwiedził; zostanie z nim, kiedy dokonawszy już wszystkiego, zwróci się wreszcie ku domowi.

Dalej, na wzgórzach, w lasach wzdłuż Shadow River, świeciło się okno: w podwójnym snopie światła lampy przy łóżku Val unosiła się spirala papierosowego dymu.

Nie mogła zasnąć; chociaż w zimie potrafiła przespać dnie i noce, rzadko przesypiała całą letnią noc. Zapaliła światło, żeby poczytać; książką, ku której zwróciła swą jawę, był wielki słownik; czytała go kiedyś Rosie w Wulkanie. Nie miała powodu, by zaniechać badań. U jej stóp spał pekińczyk Dennis, chrapiąc po pekińsku.

Ojcem małego Erosa był przeważnie, albo zwykle, Hermes. Oto Hermes: „należy do najstarszych z achajskich bogów i jak wszystkie *divi* z Dzieciństwa Ludzkości, łączy w sobie przeciwstawne funkcje, jak gdyby dawno temu był bogiem niejednej rzeczy, ale nowo odkrytego przez Człowieka rozróżnienia między jedną rzeczą a inną. Przeto Hermes to bóg, który sprowadza dusze w zaświaty i nie pozwala im wrócić pod słońce i niebo; ale jest także bogiem, który przewodniczy Antesteriom, uczcie zmarłych, kiedy przez kilka godzin duszom tym wolno wyjść na ziemię i jeść w towarzystwie żywych”.

No, proszę, powiedziała Val do siebie, odnotowując kolejne zastrzeżenie, jakie miała do tej książki: żadnego rozróżnienia między tym, w co ludzie wierzyli, a co się naprawdę działo. Jaki naprawdę był posiłek ze zmarłymi? Jak wyglądał? Kto zmywał potem naczynia? Dajcie spokój.

„Słynie najbardziej jako posłaniec bogów, a przez to i bóg mowy oraz języka; ale jest także bogiem ciszy i milczenia, który zachowuje dla siebie arkana alchemików. Jest bogiem kupców i handlu, a zarazem bogiem złodziei, wspierając zarazem sklepikarza, który zamyka swoje towary na klucz, i złodzieja, który ten zamek wyłamuje”.

Na srebrzystym prostokątnym obrazku Hermes wygląda jak wszyscy inni - typowy barczysty facet z marmuru. Na ramieniu trzyma niemowlę, kto to może być. Val ziewnęła przeciągle, próbując przywołać z pamięci kilka reprezentatywnych osób, które znała, a które były pod wpływem Merkurego, ale nikogo nie potrafiła ustalić na pewno. Nie znała żadnych złodziei ani grabarzy.

„Hermes był bardzo długo męskim bogiem seksualnego powabu - jego żeńską odpowiedniczką była AFRODYTA (q.v.); stąd niewielka falliczna *stela* wznoszona ku jego czci na rozstajach i targach starożytnego świata, po angielsku zwanych *herms*, dotykana z namaszczeniem przez pogańskich podróżnych, niepoważana lubo wręcz niszczone przez przybyłych później chrześcijan i muzułmanów. Niezrównane umiejętności kwiecistej retoryki, złodziejstwo i seksualność Hermesa spowodowały, że był patronem uwodzicieli; kiedy bogowie połączyli siły, by stworzyć pozbawioną życia kukłę PANDORĘ (q.v.), Hermes obdarował ją własną mocą beztróskiego uwodzenia. Za swe umiejętności otrzymał przydomek Mownego, który dzieli z Afrodytą i Erosem. To właśnie w tej postaci często go widzimy”.

Często go widzimy! No proszę, pomyślała Val; a podniósłszy wzrok znad książki, przez chwilę naprawdę widziała go jak żywego, miękki kapelusz, słodkie, senne oczy, palec uniesiony do uśmiechniętych ust niczym u Sandmana. Ani słowa.

Jak by to było mieć bogów? Spotykać się z nimi? Wiedzieć, że któryś właśnie tu przebywał? Może to trochę tak jak ze Świętym Mikołajem. Z książki wynikało, że Jezus nie był pierwszym dzieckiem spłodzonym rzekomo przez boga; w całym antycznym świecie kobiety, które wpadły, używały tej wymówki. Nie kłamię, tatusiu, to był bóg. Jaśniał jakoś tak dziwnie.

Skrzypnęły drzwi od pokoju matki i Val usłyszała odgłos bosych stóp na linoleum, idących w kierunku łazienki. Od wielu lat mama nie mogła obejść się w nocy bez przynajmniej jednej wycieczki. Val czekała na dźwięk spuszczonej wody.

Dźwięk spuszczonej wody. W porządku.

Mama wróciła do pokoju, u drzwi wzdychając albo mrucząc modlitwę czy przekleństwo. Odwiedzał ją Bóg, nawet dość często. Ale nigdy nie obwiniała Go za swoje przewiny.

Val rzuciła pytanie w ciemność: kim jest Una Knox?

Pierce przebudził się nagle w tej samej ciemności ze snu, którego nie pamiętał; wiedział tylko, że zabrano mu coś cennego, coś, co zdobył, ale czy to doń należało? Tak czy owak, zabrano mu to (podniósł się nieco na łóżku, łowił głęboko umykające obrazy), stracił to i ograbiony wydał z siebie niemowlęcy krzyk straty, gniewu i żalu, nie do ukojenia, jęk tak głośny, że go obudził: tak okropny, że włosy mu się jeżyły na same echa odzywające się w jego wnętrzu.

Usiadł na łóżku z nogami na podłodze. Która to, u diabła, godzina? Złapał zegarek i przyglądał mu się przez długą chwilę, nie mogąc rozróżnić wskazówki godzinowej od minutowej, żadna z możliwości nie wydała mu się prawdopodobna.

Za kwadrans pierwsza? O Boże, noc się ledwo zaczęła.

Telefon zadzwonił - szok był niczym nagłe wbicie na pal, nie do wiary. Pierce obciągnął na siebie koszulę i podniósł słuchawkę.

- Pierce? - spytał nieśmiały głos, którego jakoś się spodziewał. - Spałeś, prawda?

- Właściwie to nie - odpowiedział. - Coś mnie obudziło.

- Co u ciebie?

- Co u ciebie.

Ile czasu trzeba, zastanawiał się, by jego serce przestało unosić się na tej okropnej fali w ciemności za każdym razem, kiedy usłyszy jej głos, jej prawdziwy głos; albo kiedy wyda mu się, że ją zauważył, albo obudzi się ze snu o niej? Ile czasu trzeba.

- Jestem chora. Boli mnie w, boli mnie pod brzuchem. To chyba jakieś zakażenie czy coś.

- Cholera - powiedział. Zawsze była podatna na problemy z pęcherzem, drożdżaki: Skorpion, taki jest efekt. Wiedział to doktor Johannes. - Głupio.

- Wypadłam trochę z obiegu. Ale słuchaj: bardzo mi przykro, że tak późno dzwonię...

- Nie szkodzi.

- Po prostu nie miałam nikogo innego.

Usiadł na łóżku z telefonem w dłoni.

- Spokojna głowa.

- Jestem w kłopotach. Nie mogłam ostatnio przyjmować klientów, wiesz? Kiepsko się czułam. I wpadłam w długi. A właściciel domu się niecierpliwi. - Kiedyś sprzedawała co innego, zarabiała więcej. To już się skończyło. Zdecydowała się na wyrzeczenia i z lepszym skutkiem (jak sądził) niż on.

- Masz prąd? - spytał.

- Jeszcze nie. Tylko świece. Więc słuchaj. Jutro. Ma mi zamknąć drzwi.

- Nie.

- Nie mam do kogo się zwrócić. Wiesz, że tu jest kontrola czynszów. Trzeba mi tylko sto pięćdziesiąt.

- To wszystko?

- Razy dwa. - Umilkła na chwilę. - Wiem, że nie masz dużo.

- Mam dużo. Stosunkowo. Po prostu musi mi starczyć na długo.

- O Boże.

- W porządku. - Ścisnął palcami czoło. - Okej, przecież jestem ci winien.

- Pierce, nie jesteś mi nic winien.

- Wiem. - Zakrył teraz ręką oczy.

- Jesteś po prostu w porządku gość.

- To też wiem. - Żeby tylko nie mówiła doń czule, nie mógłby tego znieść. - No to co?

Mam ci przesłać czek czy...

Zapadła cisza, zrezygnowane westchnienie.

- Wiesz, że nawet nie mam konta w banku.

Pamiętał o tym, nigdy nie miała. Pliki dolarów przechowywała po całym mieszkaniu, w kuchennych szufladach, pod poduszką. A teraz, kiedy wszystko było legalne, nie było jej stać.

- Western Union - powiedział. - Skrzydlaty posłaniec. Jutro, co? Ostatniego dnia.

- Zwrócę ci. Wiesz.

- Zawsze zwracasz.

- Powiedz, co u ciebie, jak się masz.

- Ech.

Ciemność i odległość pomiędzy nimi, jego noc tutaj, jej tam; czuli to oboje.

- Jest późno. Nie mogłam spać, myślałam. Dopiero teraz przypomniałam sobie o tobie.

- Tak. No cóż, ważne, że jednak. Myśl o mnie.

- Nie będę ci już przeszkadzać.

Jeszcze jakiś czas siedział z telefonem na kolanach.

Nazywał ją Sfinksem, nie tylko dlatego, że stanowiła dlań trudne pytanie, ale ponieważ, kiedy dla odmiany to on ją pytał, nie odpowiadała. Nie potrafił nie czekać na jej telefon; dźwięk jej głosu...

Jak nieszczęśni zmarli, wychodzący podczas swojego święta i otrzymujący od żywych jedzenie, choć to na pewno tylko nieznacznie zwiększa ich głód i przypomina, że nigdy nie tkną już pożywienia. Lepiej by im było pozostawać w swej nocnej dziedzinie i pić wodę zapomnienia.

Czy on powinien się napić? To był zawsze wielki błąd, z jakichś powodów nie miał mocnej głowy, płacił szybko i podwójnie za krótkotrwałą konsolację.

Wstał, włączył światło i podszedł znów do biblioteczki, gdzie zaczęły się wszystkie kłopoty; przebiegł oczyma i rękoma po półkach (wciąż nie ułożył książek w logicznym porządku). Było prościej, pomyślał, kiedy było ich mniej, wtedy jego ręka tylko, o, tu jesteś. Rok 1952. Papierowy grzbiet wystrzepił się, ale wszystkie kartki wciąż trzymały się w miejscu.

Mały Enosh: zagubiony pomiędzy światami.

Był to słynny rok (słynny pośród miłośników, których, jak Pierce się dowiedział, nie był jedynym przedstawicielem) Konkursu Myślenia, Gospody Światów i Kopalni Luster, a także rok, w którym pojawiły się takie postacie jak Robot, sługa Ruthy, kotłopodobny człowieczek, na pierwszy rzut oka pusty w środku, który lubił rozmawiać z Enoshem o Sprawach Wyższych. Mówił po niby matematycznemu, używając maleńkich ikonek.

Pierce zabrał książkę do łóżka i wczołgał się na pogniecioną pościel. Z ciemności na zewnątrz skrzydlate istoty zaczęły już lgnąć do siateczki w oknie. *Pozytywny Fototropizm*, usłyszał głos Joe Boyda.

Spójrzcie na to: po drugiej stronie mrocznej ulicy w mieszkaniu Beau Brachmana nie jest jeszcze ciemno. Kawaler, jak Pierce, miał powód, żeby wstać i rozmyślać. Pierce obserwował tajemnice światła i słuchał liści; potem otworzył książkę, z góry wiedząc, co znajdzie.

Oto Amanda D'Haye spogląda z Krainy Światła, krzyżuje ramiona na piersi i postukuje stopą ze zniecierpliwienia; potem wyjmuje pióro, które roni błyszczące kropelki atramentu. Adresuje wielki list, kwadratową jaskrawobiałą kopertę:

Mały Enosh

Gospoda Światów

U Ruthy

I oto jest Mały Enosh w Gospodzie Światów (wielkim, rozpadającym się miejscu, złożonym głównie z listew). Siedzi w pozycji, która w starych księgach medycznych przedstawiała człowieka pogrążonego w Melancholii: łokieć na stole, dłoń na policzku. *Snwy*, brzmi jego chrapanie. *Snsnwy. Smnglf.* Utrasy śpią wokół, łapiąc muchy. *Jeśli ten list dotrze, wiemy, co w nim będzie!* Pierce wiedział. Ale kogo poprosi o dostarczenie?

„Hermes”, przeczytała Val, zaznaczając miejsce w gęstej szpalcie palcem, „jest identyczny z rzymskim Merkurym, a przez to z planetą i metalem; fakt, że Merkury to *prima materia* Sztuki wyłożonej przez Hermesa, nie może być koincydencją. W umysłowości greckiej Hermes był tym samym co egipski THOTH (q.v.). W słynnym ustępie u Platona temu bogu przypisuje się wynalazek pisma, za który inni bogowie mieli go zganić - stworzył sztukę pamięci, która oznaczała koniec zapamiętywania, sposób przechowywania sekretów, który ujawni wszystkie sekrety; zakazuje mu się przekazania go ludziom, ale oczywiście on nie stosuje się do zakazów”.

Zmęczona nocą, zmęczona nauką, zmęczona niekończącym się szmerem rzeki i hałasem żab. Czy powinna zaciągnąć zasłony?

„Bez wątplenia połączenie tych bogów dało początek greckim opowieściom o *Hermesie Ægyptiacusie*, który pisze książki o tajemnicach; Grecy nadali mu zwykły egipski przydomek Thotha: *trismegistus*, czyli potrójnie wielki. Tej postaci, bez względu na to, czy uważana jest za boską, czy ludzką, przypisywano później wiele dzieł zawierających tajniki kosmogonii, magii i odkupienia, o niezwykle głębokim i gnomicznym charakterze, które od tamtej pory otaczano wielkim szacunkiem. Ale - o dziwo - ani ci, którzy pierwsi twierdzili, że za tymi dziełami stoi Hermes, ani ci, którzy później czytali je i rozważali, nie wydawali się kłopotać faktem, że autor to epigon tamtego Mownego Psoтника i Złodzieja, którego pierwszym odnotowanym czynem była kradzież bydła własnemu wujkowi Apollinowi, a następnie wyłganie się od konsekwencji”.

Ale Val zamknęła książkę, zanim dotarła do tej części, pewna, że zanudziła się już na tyle, by spokojnie zasnąć; książka leżała obok w nogach łóżka (Val nie miała nic przeciwko spaniu z przyjaciółmi z Księgołandii, jak je nazywała), światło było włączone; ale ona leżała wciąż z otwartymi oczyma i dłońmi splecionymi za głową, patrząc na błądzący okna. Kim jest Una Knox?

Żart, powiedziała kiedyś Rosie: moja stara przyjaciółka Una Knox. Ale kim ona jest? Kim jest dla niego?

DZIESIĘĆ

Ale mistyczna noc już minęła; kogut zapał, krowy muczą na dojenie. Czarne istoty nocy - nietoperz, ćma - odleciały; kwiaty otwarły kielichy, by złapać słońce.

Ma być piknik. Rosie wstaje wcześniej, ubiera Sam i przygotowuje ją na przekazanie ojcu, Mike'owi Mucho. Siedzi razem z nią na schodach Arkadii niczym na tronie, czekając, aż samochód Mike'a pojawi się u bramy.

- Masz Brązie? - dopytuje Rosie (Sam nie zaśnie, jeśli nie ma przy niej ukochanej szmacianej lalki). - Masz kocię, masz chuście? - aż Sam wybucha perlistym śmiechem. Tak, ma. Rosie może złagodzić swój wstyd i niepokój, kiedy Sam wyjeżdża z ojcem, tylko sprawdzając w kółko listę. Patrzy na pulchne paluszki Sam, wystające spod pasków sandałów, i uderza ją poczucie miłości i winy. - Tata jedzie.

Przekazanie odbywa się gładko i bez subtelnej urazy, która towarzyszyła im w zimie, kiedy separacja była jeszcze świeża, a ból ostrzejszy; do tego Mike z jakiegoś powodu zrobił się miłszy, konkretnie od zeszłego miesiąca, co sprawiło, że Rosie nabrała podejrzeń, chociaż trudno uzyskać odeń jakieś wyjaśnienie.

- Dlaczego jestem miły? A co, zwykle nie jestem? - Na pełen rezerwy uśmiech Rosie odpowiada szerokim uśmiechem. - Gdybym miał powód - mówi - chciałabyś usłyszeć?

- Cóż.

- Aha - mówi Mike, rozumiejąc wszystko (rozumienie jest, bądź powinno być, jego grą, pracuje przecież w instytucji psychoterapeutycznej w Mount Whirligig). - No cóż. - Sam uwieszona mu u biodra kopie go z nudów. - Jeśli chcesz wiedzieć.

- Zapytam - odpowiada Rosie. - Zapytam. Naprawdę. Nie teraz.

I wyjeżdżają, z liczbą pa, machań i całusów wystarczającą na długą podróż; a Rosie znów siada na niskich, szerokich, wypaczonych stopniach tego wonnego poranka, opiera podbródek na dłoniach, czeka, aż rozklekotana ciężarówka jej kochanka zajedzie przed bramę. Biały, półprzejrzysty księżyc zachodzi po niebieskim niebie za góry na zachodzie.

Najpierw musiał sprawdzić, co z owcami: stadko, które pasło się pod dębami Arkadii, należało do przyjaciela i kochanka Rosie, Spofforda, który wypasał je tu latem, bo na własnych kilku akrach górskiego zbocza nie miał pastwiska.

- Jak wyglądają? Dobrze? - spytała Rosie.

- Dobrze - odpowiedział Spofford i otworzył Rosie drzwi. - Nie zmieniły się. Tylko trochę wełny im przybyło. Chyba tu dziczejają, spodziewałem się tego.

- Dzikie i wełniste.

Psy Rosie strzegły stada pod nadzorem jej i Spofforda - dwa australijskie owczarki, kupione pod wpływem impulsu, którego do końca nie rozumiała; potem Spofford nadał tej decyzji sens, oświadczając, że grunty Boney'ego potrzebują owiec, bo inaczej trawa zbyt się rozrośnie, oraz że owce potrzebują psów Rosie, by zanadto się nie rozbrykały. Rosie wydawało się całkiem prawdopodobne, że Spofford potrafiłby nadać sens i zebrać profity z każdego jej głupiego impulsu, gdyby mu na to pozwoliła; dlatego właśnie zwykle trzymała go na dystans.

- Jagnięta obrastają w tłuszcz - powiedział Spofford i pomacał się po brzuchu. Był szczupłym, wysokim mężczyzną, opalonym, z ciemną brodą.

- No, to brzydkie na pewno - zauważyła Rosie, zatraskując drzwi ciężarówki. - Wyjadło mi całą sałatę, pomimo tego twojego płotka.

- Brzydkie? - Spofford udał zdziwienie. - Które jest brzydkie?

Zebrały się już wszystkie przy bramie, za pojedynczym drutem elektrycznego pastucha, becząc błagalnie w kierunku pasterza, dawcy ziarna, uzdrowiciela racic, który przejeżdżał obok, robiąc w głowie wyliczenia.

- Dziewięć jagniąt - powiedział. - Mam zamówienie na sześć, a razem z dwoma dla Val to osiem...

- Val będzie gotować jagnięcinę? - zdumiała się Rosie. Faraway Lodge słynęło z drobiowej *cacciatore*, jedyne specjału mamy.

- Tak mi powiedziała.

- Namówiłeś ją do tego.

- Najważniejsze, czy weźmiecie dziewiąte?

- Nie mów nic Sam.

- Dzieciaki mniej się tym przejmują, niż myślisz. Bez wyrzutów sumienia pozerają w tym wieku własnych przyjaciół. Może później, ale teraz: jeść, dać się zjeść, żyć, umierać, to wszystko zabawa.

Spojrzała nań, myśląc, że może mieć rację, i zastanawiając się, skąd to wie.

Długo po tym, jak odjechali, owce przestały beczeć i znowu się oddaliły, pojawiając się w polu widzenia Boney'ego, który siedział w bibliotece na szeszlunku zaścielonym jak łóżko. Przeniósł się tutaj po powrocie wraz z wózkiem, lekami, kapciami i szlafrokiem; dopiero gdy wróca mu siły, powiedziała pani Pisky (jego gospodyni, a teraz pielęgniarzka),

będzie mógł z powrotem zamieszkać na piętrze. Wpatrywał się łączywie w dzień, zadowolone owce, szczęśliwe, a przynajmniej nienarzekające drzewa, poranek przemijający niepostrzeżenie.

Rano z ulic Blackbury Jams nie widać księżycy, ponieważ przesłania go wielki masyw gór, których grań płonąła teraz rozpalona wschodzącym słońcem. Na Maple Street, gdzie mieszkał Pierce Moffett, strzyżyk i rudzik nie spały już od dawna i wciąż hałasowały, chociaż w tej chwili zagłuszał je ruch uliczny i ćwiczący niedaleko zespół muzyczny. Pierce stał dziwnie radośnie z Beau na podjeździe do jego domu, opierając się o bagażnik samochodu; czekali, aż zbierze się reszta domowników, którzy wybierali się na wycieczkę. (W domu zawsze mieszkało kilka kobiet, zawsze też kilka z nich miało dzieci, może nie zawsze własnych; Pierce wyczuwał, że świat skrzywdził je w jakiś sposób i dlatego się tu znalazły; miejsce było ośrodkiem opieki dziennej, wytwórnią rękodzieła, a do tego było schludne niczym konwent).

- Tak jak to - powiedział Beau do Pierce'a. Nakreślił kółeczko na ziemi gałązką klonową. - Bóg.

- Aha - powiedział Pierce, krzyżując ramiona na piersi. Beau otoczył kółeczko kolejnym kręgiem.

- Dusza.

- Aha.

Kolejny krąg.

- Duch.

Kolejny krąg.

- Ciało.

Beau spojrział rozbawiony na swój rysunek; być może zresztą rozbawienie zasugerowane było naturalną krzywizną jego ust i subtelną koncentracją w jego ciemnych oczach; Pierce często się nad tym zastanawiał.

- Teraz tyle nie zmieszczę - powiedział Beau - ale powinno być dziewięć kręgów, a raczej sfer, między duchem a zewnątrz ciała...

- I kolejnych dziewięć - powiedział Pierce, bo zaczynał już rozumieć - od skóry na zewnątrz.

- Właściwie to jeszcze więcej. Ale powiedzmy tylko: świat. - Znów otoczył kręgiem kółka. - A na końcu - ponownie zaskrzyphiał patykiem, kreśląc wielkie, zamaszyste koło, które zahaczało o krawędź podjazdu, tylny zderzak samochodu i stojący obok kosz piknikowy - Bóg, na zewnątrz wszystkiego, położony najdalej.

Pierce zadumał się. Kiedy wykładał Zachodnią Cywilizację, zdarzało się, że kreślił dokładnie taki sam zestaw kręgów studentom, by zilustrować, jak Dante wyobrażał sobie piekło, świat i niebiosa. *Ale tak nie jest*, mówił im wtedy, potrząsał nimi, zwracał ich uwagę. *Tak naprawdę nie jest.*

- Więc kiedy dusza rusza w drogę - powiedział do Beau, podnosząc wzrok ku czystemu, błękitnemu niebu - to którądy...

- To nie jest mapa - Beau skończył drapać kółko. - To nie obraz. To plan. To... Uczyłeś się kiedyś rysunku?

- To rzut pionowy - Pierce roześmiał się w głos.

Piknik miał odbyć się wysoko na zboczach góry Merrow, w miejscu, które Beau pamiętał, ale które musiał odnaleźć za pomocą węchu. Trzeba będzie trochę się powspinać - to dlatego wyruszyli tak wcześnie. Kiedy kobiety i dzieci z domu Beau wsiadały do upstrzonego plamami rdzy sedana pythona, Rosie Rasmussen i Spofford skręcali z ulicy Shadow River furgonetką Spofforda w krętą drogę ku rzece i Faraway Lodge, gdzie czekała na nich Val, gotowa, inaczej niż to miała w zwyczaju. Nawet zasłony i zatyczki do uszu nie przywróciły jej snu, a wreszcie wstała i hałaśliwie przyrządziła jajka, dopóki mama nie obudziła się i nie weszła do kuchni, cmokając z niezadowolenia i prosząc o herbatę.

Pastwisko, do którego wreszcie dotarli, rozpościerało się wysoko i spływało łagodnym zboczem do kamiennego muru wśród krzaczków jagód i olch, potrząsających w palcach srebrnymi monetami; był też wielki buk, któremu udało się samotnie tutaj zakorzenieć i „roztaczać swój baldachim”, jak Pierce uparł się mówić: ale Beau nie pamiętał, czy było to to samo drzewo co w zeszłym roku. Wyciągnęli kraciasty koc i położyli na nim dziecko (którego matką była jedna z kobiet z domu Beau) oraz lunch, i pytlowali, póki słońce nie wspięło się wysoko.

- Ten rok jest dziwny - stwierdziła Val. - Dziwniejszy nawet niż zwykła letnia dziwność. Zauważyliście, że ludzie zbierają się grupkami po dwóch lub trzech w Pączkowej Dziurce albo u Kaspara? A jak się zbliżyć, to słysząc, że mówią o Bogu. Zauważyliście to? Czy to coś nowego?

- W mieście są uzdrowiciele od równoważenia aury - wtrąciła matka dziecka, dyskretnie obnażając jedną pierś, by je nakarmić. - Gdybym miała pieniądze...

- Był taki jeden w barze, myślę, że jest w „Lesie”, chyba terapeuta - ciągnęła Val.

- Niektórzy ludzie naprawdę otrzymali pomoc.

- Zaczyna od Boga. Potrzebuję tego, mama zawsze jest gotowa mówić o swoich

doświadczeniach życiowych. I musiałam mu powiedzieć: nie rozumiem tego całego cierpienia.

- Czego?

- No co? Jeśli Bóg jest i może zrobić wszystko, to skąd się bierze to ciągle nieznośne cierpienie. Weź poczytaj gazetę.

- Nie sądzę - włączył się Pierce - żebyś była pierwszą osobą w historii monoteizmu, którą to zdumiewa.

- To? - spytała Val, rozglądając się jak gdyby w poszukiwaniu czegoś, co zauważył Pierce. - To?

- Problem zła - powiedział Pierce, krzyżując ręce za głową. - Skoro Bóg istnieje i skoro jest zarazem wszechmocny i dobry, jak może zgadzać się na cierpienie, nawet jeśli sam go nie tworzy?

- No - podjudała Val. - Czy to proste pytanie, mądralo?

- O nie. - Spojrzał w niebo, kontemplując falangę krągłych obłoków, przesuwających się niczym inwazja kosmitów.

- Być może - powiedział Beau - Bóg, o którym mowa, nie jest dobry.

- A może nie jest wszechmocny - zauważyła Val. - Stara się, jak może, ale jednak.

- A może - powiedział Pierce - On wcale nie wie, że cierpimy. Ponieważ On sam nie jest zdolny do cierpienia, być może nie rozumie, że niektóre nasze doświadczenia są bolesne.

- No więc, może jest wszechwładny, ale nie jest, jak się to mówi, wszytkowiedzący.

- Wszechwiedzący.

- Wszechwiedzący - powtórzyła Val. - Bo gdyby był, to wiedziałby, że cierpimy, nie?

- A może jest jeszcze bardziej wszechwiedzący - dorzucił Beau. - Może tak naprawdę nie ma żadnego cierpienia, a my tylko oszukujemy się, że jest; ponieważ jesteśmy wolni, wolno nam popełnić błąd; Bóg może tylko litować się nad nami i tylko próbować pomóc nam wyjść z błędu.

- Wyjść z błędu - powiedziała Val z obawą.

- To jest odpowiedź w stylu Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki - powiedział Pierce.

- To jest odpowiedź chrześcijańska - sprostował Beau. - Tyle tylko, że większość chrześcijan jej nie zna.

Val zaśmiała się.

- Pomódlmy się - rzuciła. - Dobry chleb, dobry śledź, dobry Bóg, chodźmy żreć.

Na pokrytych mchem głazach, pośród brzóz, zasłonięta przed wzrokiem w cętkowanej plamie cienia, lkała Rosie.

- Jak ten zimny, twardy kamień - rzekła do Spofforda, który siedział poniżej na ziemi - głaz zawsze gdzieś we wnętrzu, zawsze - i uderzyła się w pierś pięścią, raz, dwa, trzy razy, tym samym gestem, jakim Pierce posługiwał się kiedyś w konfesjonale. - Zawsze. Jestem już tym cholernie zmęczona.

Spofford trącał butem widłaki.

- Ja nigdy tam tego nie miałem.

- A mnie się czasem wydaje, że ja mam tylko to.

- Miałem coś takiego w brzuchu. Chyba coś podobnego. Długo myślałem, że to rak. Czulem, jak ta zimna gruda rośnie, a ja słabnę. Nic z tym nie zrobiłem, czekałem tylko, aż dojrzeje i mnie zabije.

- Co to było?

- Nic. - Spojrzał na nią. - Opowiadałem ci kiedyś o Cliffie?

- Nie. Tak. Trochę.

Nie wierzyła do końca w istnienie Cliffa, weterana, znajomego Spofforda, który mieszkał gdzieś w tych lasach. Spofford czasem przytaczał jego słowa albo przywoływał go jako autora mądrości, które, jak sądziła, sam wymyślał.

- No więc? - Zniecierpliwiła się, jak gdyby głupio zachowywał dla siebie coś, co według niego było jej potrzebne, chociaż ona sama tego nie chciała.

- Chciałem powiedzieć, że mogłabyś z nim porozmawiać.

- Uśmiechnął się znów. - On wyleczył mnie z raka.

- Jezu, nie wiem. - Spojrzała tam, gdzie inni siedzieli albo leżeli na kocu. - Jak uważasz.

- On nie robi tego za darmo.

- Serio?

- Pewnie. Tym się zajmuje, pomaganiem.

Roześmiała się, czując gorzki smak łez.

- Chcesz mnie zabrać do jakiegoś domorosłego guru, który bierze pieniądze za leczenie?

Spofford spuścił wzrok ku widłakom, które skubał.

- To dlatego, że nie wiem, co zrobić.

Pokręciła głową, na chwilę przestając płakać.

- No więc co konkretnie zrobił? Z tobą?

- No, on pracuje z człowiekiem. Pomaga czuć. Praca z ciałem. Trudno to opisać. -
Roześmiał się na to wspomnienie.

- Raz kazał mi zrobić listę rzeczy, których naprawdę pragnę w każdej kategorii. Praca, pieniądze, miłość, seks, sukcesy, takie tam.

- A jak ktoś nie pragnie niczego?

- Ja nie pragnąłem.

- Więc?

- Zrobiłem listę i tak. Podzieliłem na kategorie, pieniądze, seks. Okej, tak, chciałbym uprawiać jeszcze kiedyś seks, z kimś innym niż Pani Rączkowska i jej pięć córek - Rosie roześmiała się, skąd on brał te dowcipy. - Okej, wypełniłem też kategorię Różne, napisałem pod nią: Kiedyś chcę czegoś pragnąć.

Rosie zasłoniła oczy i zacisnęła powieki; serce miała zbyt skamieniałe, by łkać, jej własne łzy wyschły i paliły jej oczy i nos jak piasek albo sól.

- Najpierw trzeba czegoś pragnąć - powiedział cicho Spofford. - Nawet jeśli pragniesz, żeby życie było inne, niż jest, żeby cały świat był inny, niż jest; nawet jeśli chcesz, żeby - uderzył się w pierś jak wcześniej Rosie - było inaczej.

- Ach - jęknęła, pogrążona w bólu. - Ach.

- Wszystko można mieć, tak powiedział Cliff. Trzeba zacząć od pragnień.

- Jak te trzy życzenia, co się spełniają? Jasne.

- Pragnienie to życie, Rosie. Marzenia to życie. Cliff powiedział: życie to marzenia na smyczy fizyki.

Rosie roześmiała się, czując dziwną ulgę; ta idea od razu trafiła do niej. *Życie to marzenia na smyczy fizyki.*

- W takim razie na pewno nie można mieć wszystkiego - powiedziała.

- O tym trzeba się przekonać na własne oczy - odparł, wstając i uśmiechając się do niej, bo przynajmniej już nie płakała. Oderwał od brzozy płachtę białej kory, z kieszeni wyjął ołówek. - Patrz tu, Cliff tak narysował życie albo świat. - Rozłożył korę na kamieniu obok Rosie i tęym ołówkiem stolarskim nakreślił kółeczko - To jest Bóg, tak powiedział Cliff. - Narysował wokół większy krąg - To ty. - Następny. - To świat. - I ostatni. - Narysował ostatnie kółko. - Znowu Bóg. - Podniósł wzrok. - Widzisz? Może potrafisz więcej, niż myślisz.

Spojrzała nań zdumiona i spytała.

- Wierzysz w Boga?

- Zawsze mi się wydawało, że potrafię wyobrazić sobie Boga, przynajmniej częściowo - powiedział Pierce i łyknął piwa.

- Mam za to problem z wyobrażeniem sobie, że Bóg może wyobrazić sobie mnie.

Beau wycofał się już z konwersacji, pewnie jak dla niego zbyt prymitywnej, a Val traciła zainteresowanie.

- Musisz to sobie gdzieś zapisać - powiedziała i ziewnęła.

Pierce potrafił założyć, że Bóg jest nieświadomy ludzkiego cierpienia, Bóg przebywający gdzieś poza niepojętymi granicami rzeczywistości, ukryty na dobre w paradoksach bezczasu i bezprzestrzeni; nie potrafił za to założyć, że coś, co jest nieskończone - coś tak olbrzymiego, że obejmuje praktycznie nieskończone lub de facto nieskończone fizyczne uniwersum - może posiadać koncepcję istnienia czegoś tak drobnego jak on sam.

Istniały inne konstrukty Boga, które omijały tę trudność, Bóg immanentny, Bóg syntaktyczny, Bóg sumaryczny wyłoniony z sieci ludzkiej świadomości niczym czaszka wyłaniająca się nagle z lustra zamiast kobiecych postaci na wiktoriańskim magicznym obrazie. Ale Bóg, o którym mówił Beau, nie był tego typu artefaktem, był osobą. Jaka osobą?

Jeśli ktoś naprawdę czuł potrzebę Boga, Pierce sądził, że istnieją postacie inne niż te doskonale znane (broda, toga, stare oko władzy), które mogą być przyjemniejsze i bardziej przekonujące, przynajmniej dla niego. Skoro Bóg nie miał żadnego weryfikowalnego wyglądu, to czemu nie przydzielić mu innego, lepiej pasującego do jego rzeczywistego zachowania? Gdyby wyobrazić sobie Boga nie jako starca, ale na przykład jako dziewięcioletnią dziewczynkę...

Kiedy tylko wpadł na tę koncepcję, a naprawdę prawie tuż przedtem, poczuł nieoczekiwaną satysfakcję, ulgę, jak gdyby ustąpił długotrwały skurcz. Jasne. Gdyby Autor Wszechświata miał dziewięć lat i był dziewczynką, kochającą, władczą i zazdrosną - zazdrosną! Nie będziesz miał c u d z y c h b o g ó w przede mną, nie, nie, nie! Bo ja tak mówię.

Roześmiał się. Bóg Córka. Nieskończony Bóg z nieskończeniem poobijanymi kolanami i spódniczką w nieskończoną kratę, zapiętą na nieskończoną agrafkę.

Nieskończoność.

Bez wewnętrznych fanfar Pierce'a nawiedziło właśnie, albo nagrodziło, jedno z tych wielkich a prostych oświeceń, logicznych rozwiązań, czy też rozpuszczeń mentalnych barier, których nawet się nie uznaje za takowe; doznań, jakich dostarcza odkrycie, że zatrzaśnięte drzwi należało pociągnąć, a nie popchnąć. Nieskończoność oczywiście nie ma nic wspólnego z rozmiarami! Zupełnie nic. W każdym innym kontekście tak było: po dużym następowało

bardzo duże, a następnie bardzo bardzo duże, ale na końcu nie było nieskończoności. Po prostu dotąd nie zastosował tej wiedzy do nieskończonego Boga.

W jaki sposób Bóg może dostrzec maleńką duszę ludzką w olbrzymim kosmicznym amfiteatrze? Ponieważ nieskończoność nie jest względna. Dla Boga Pierce nie był znacząco mniejszy niż cały wszechświat. Żadnej różnicy.

I na odwrót: Bóg nie potrzebował nieskończonego wszechświata, żeby się w nim przegłębiać; Bruno mylił się, chociaż sam wiedział to o nieskończoności, wiedział, że dla istoty nieskończonej olbrzymi wszechświat nie jest większy niż wszechświat mały; czelusia kosmosu, tytaniczne twory bezmiaru, mgławice, galaktyki i tak dalej dla istoty nieskończonej nie są większe niż atomy. Bruno wciąż chciał wspaniałego, wielkiego, nieskończonego wszechświata dla wspaniałego, wielkiego, nieskończonego Boga, który mógłby przecież poczuć się urażony czymś mniejszym. A jednak nieskończony Bóg nie jest wcale wielki.

Oczywiście.

Nie można zbliżyć się do Boga, wyobrażając sobie coś wielkiego, potem większego, a następnie największego. Nie. Żeby wyobrazić sobie istotę nieskończoną, wystarczy wyobrazić sobie coś niewielkiego; nie ma to znaczenia.

Coś niewielkiego. Coś maleńkiego. Bo przecież coś nieskończenie małego także jest nieskończone; nieskończona znikoma iskierka w sercu rzeczywistości. Pewnie. Beau narysował pierwszy krąg - Jego, Ją - zbyt duży na nieskończoność; to powinna być kropka, bezwymiarowy punkt.

Czy Pierce słyszał już o tym dawno temu i tylko nie potrafił słuchać? Czy siostra Mary Filomela wyjaśniła mu to, lecz nie potrafiła dotrzeć do zatwardziałego serca? Bóg jest Wszędzie. Pewnie. Policzył włosy na twojej głowie. Pewnie. Cały wielki Bóg Ojciec skondensowany bez utraty pełni w ludzkim ciele Syna, a następnie dalej i bez straty w krążku hostii, jasne. *Veni Creator Spiritus: O Stworzycielu Duchu przyjdź Nawiedź dusz wiernych Tobie krąg. Może tu właśnie znajdował się prawdziwy, praktyczny powód Trójcy: podejście do paradoksalnej i na nowo zrozumianej nieskończoności Boga za pomocą przedstawienia trzech istot: wielkiej, średniej i małej.*

Ustawił brązową butelkę na kępie trawy, promień słońca wpadł do środka, bursztynowy błysk. Czy to właśnie tamci mieli na myśli, czy też nie, czuł, że został (nareszcie i bez szczególnego powodu w tej właśnie chwili) przyjęty do towarzystwa gromadzącego tych, którzy zrozumieli, tych, którzy wiedzieli, że idea Boga bez względu na inne zalety nie podlegała kosmologii. Być może Hildy wiedziała to od zawsze.

- Niektórzy moi znajomi to chrześcijanie - powiedziała Val. - Myślę, że mają fioła na

punkcie Jezusa. Dużo miłości, oj tak, trzeba dużo miłości.

Pozostawały inne trudne problemy do rozwiązania w kwestii Nieruchomego Poruszyciela, oczywiście. Nieważne. Pierce sądził, że jego *vis imaginativa* już dość się dziś napracowała. Zaciągnął kapelusz na oczy i splótł dłonie na piersi.

Musi to szybko zapisać. Uczucia tak delikatne i myśli tak paradoksalne były właśnie tym, co, wiedział z doświadczenia, trudno zachować w pamięci; czymś, co potrafi wyparować między otwarciem nowej strony a ukończeniem wstępnego akapitu. *Nowa myśl o Bogu na dziś*. A co to właściwie miało być, pióro wisi w deprecymacji nad kartką niczym pszczoła, której sprzątnięto kwiat sprzed żuwaczek.

Dziewięcioletnia dziewczynka. Nieskończenie drobna iskierka dziewięcioletniej dziewczęcości w sercu wszechrzeczy, a z tego powodu dostępna także przez własne jego serce.

Jak Dzwoneczek. Hm.

Popołudnie kapało mu złotem na powieki, potem ciemnością, a jego uszy stopniowo przestawały słyszeć.

Doświadczył czegoś w rodzaju nawiedzenia, wspomnienia, które zdarzało mu się tylko tuż przed zaśnięciem; nie tyle przypomnienia czegoś, ile powrotu zajmującego całą jego jaźń, przechowywanego w pamięci przeszłego momentu, chwili, którą potrafił wyczuć i rozpoznać jako przeszłość, ale nie mógł zidentyfikować. Przed dojrzwaniem; dom; nie lato; wstydlive zajęcie... Koniec.

Duch jego samego, nawiedzający go przez mgnienie, przestrzegający (?) albo przypominający, przemijający. *Animula vagula blandula*.

Małeńka fiołka czasu została napełniona zimą 1953 roku na piętrze domu w Bondieu u boku Bobby Shaftoe; ale to doń nie wróciło, tylko kropla melancholijnej słodyczy na języku. A potem Ziemia znów zaczęła kręcić się wokół własnej osi; powieki Pierce'a się rozświetliły i nastąpił krótki *ritornele*, lato i łąka, śpiew ptaków i ludzkie głosy. A potem i to zniknęło. Pierce zasnął.

JEDENAŚCIE

Znała tajemne imiona siedmiu władców planet, ale nie potrafiła rozpoznać na obrazie króla Edwarda VI. Potrafiła być okrutna jak dziecko i równie obojętna, skazywała ludzi i całe narody na potępienie, aż włosy stawały Johnowi Dee dęba. Niestrudzenie dokuczała Kelleyowi, przemawiając w grece, której nie rozumiał; lubiła podjudzać starego przeciw młodemu, aż Kelley zrywał się w gniewie i przerywał rozmowę pomimo łagodnych napominań Johna Dee.

Wzięła czarną książkę Kelleya i powiedziała, że dla niej nie stanowi ona zagadki; napisano ją w języku Enocha, którym ludzie rozmawiali z Bogiem przed Potopem. Siądźcie, powiedziała im; ucźcie się i pracujcie; przygotujcie się, z niczego nie będzie nic; nauczę was języka, którym stworzono ten świat, oraz imion, które Adam nadał zwierzętom.

Wyjawiła im też nazwiska ich wrogów na dworze, w tym nie tylko Burleigha, którego Dee zawsze podejrzewał, ale także przyjaciela i mecenasa sir Francisa Walsinghama. Tak powiedziała. A zarazem tak trudno było jej uwierzyć, jak dziecku, bo była dzieckiem, dzieckiem Jezusa, jednym z tych, którymi mieli się stać, kiedy wejdą do Królestwa Niebieskiego.

Nagięli umysły i wolę, by zrozumieć i uwierzyć, dwóch wysokich brodaczy klęczących w oczekiwaniu na karę i nagane; unosiła palec (nawet doktor Dee widział to oczyma wyobraźni) i marszczyła brew. Kiedy zapytali o radę w kwestii nagłej, długiej podróży, którą mieli przedsięwziąć z polskim księciem, gdzie będą mieszkać, co się z nimi stanie, tupnęła i wzięła się pod boki: *Brak wam wiary. To wasz wielki przyjaciel i zamierza wiele dla was uczynić. Gotów jest czynić wam dobro, a wy służyć mu. Ci, co nie wierzą, umrą nikczemną śmiercią i wypiją wieczny sen.*

Kiedy zapadła decyzja o wyjeździe z lordem Łaskim, Kelley nieoczekiwanie wydał pięć funtów na konia, siodło i ochraniacze. Oporządzał zwierzę z dziką determinacją, kiedy Dee (który szukał go wszędzie, potrzebując jego pomocy w przygotowaniach, podejrzewał kłopoty) wpadł nań w mroku stajni.

„Dokąd się wybierasz?”

„Do Brentford. Usłyszałem, że mam stąd uchodzić”.

„Kto ci to powiedział?”

„Ten tu, za mną. Nie widzisz go? Tak myślałem”.

Gwałtownym ruchem dźgnął palcami powietrze przed oczyma, jakby chciał je sobie wyłupić.

„Twe oczy nie dostrzegą nikczemności. Nawet gdyby była prawdziwa”.

„Kiedy zamysłasz wrócić? Czasu mało”.

„Jeśli zostanę, powieszają mnie. Jeśli pojedę z księciem, zetną.

Wymierzył w Dee zgrzebło.

„Nie chcesz dotrzymać obietnicy. Zwalniam cię z obiecanych pięćdziesięciu funtów rocznie. A gdybym miał tysiąc funtów, nie ociągałbym się”.

Dee wyciągnął rękę, by go powstrzymać, lecz gest ten sprawił tylko, że twarz Kelleya ściągnęła się jeszcze bardziej złością.

„O, ty nie musisz wątpić, że Bóg cię obroni i będzie ci szczęściem. On potrafi przenieść dzieci na łono Abrahama. Nie musisz się trapić”.

Znowu zajął się koniem i zaczął szcztokować go brutalnie, jak gdyby chciał go obłupić ze skóry.

„Nie mogę znieść żony. Nie kocham jej. Nie cierpię jej. Nikt mnie tu nie lubi, bo ja jej nie lubię. To wiedźma i odarła mnie z mocy. Pomogłeś jej, co do tego nie mam wątpliwości. Nie dotykaj mnie”.

Zawsze podczas tych napadów nie chciał, by ktoś go dotykał, choćby był to przyjaciel, który klęczał u jego boku całymi godzinami. Dee pochylił głowę i ukrył ją w dłoniach, a Kelley przecisnął się obok, nie patrząc nań, i wpadł do domu. Żona próbowała zamknąć przed nim drzwi pokoju, ale odepchnął ją, pozbierał ubrania, książki, kapelusz i kilka srebrnych łyżeczek, odgrywając parodię pakowania. Joanna wymknęła się do kuchni, gdzie razem z Jane i pomywaczką usiadły i słuchały łomotu oraz mruczenia piętro wyżej.

Kiedy zbiegł na dół i odjechał, Jane weszła do gabinetu męża.

„Jane”.

„Mężu, przykro mi”.

„Już go nie ma”.

Było prawie ciemno. Dee trzymał głowę w dłoniach, białe włosy miał w nieładzie. Podeszła, ujęła go za ramiona, poznała, że płacze. Powiedział do swoich rąk:

„Błagam Boga Wszzechmogącego, by wskazał mi drogę i ochronił przed niebezpieczeństwem i hańbą. Oby nic mu się nie stało”.

„Mężu” - zaczęła, ale nie wiedziała, jak go pocieszyć, nie śmiała mu powiedzieć, że dobrze się stało, nie myślała tak: dziwny był ten gniewny mężczyzna, którego chciała czasem

objąć, potrząsnąć nim i utulić, aż ucichnie, tak jak to robiła z synkami, kiedy byli niespokojni.
- „Już, już. Już dobrze”.

Rozumiała też, że Kelley nie wyjechał na zawsze. I miała rację.

Jeszcze tej samej nocy John Dee (który nie opuścił gabinetu, zapisując ostatnie kontakty z duchowymi gośćmi) usłyszał, jak ktoś wchodzi po schodach. To był on.

W piersiach Johna Dee otwarło się gorące źródło ulgi. Nie mówił nic, pisał dalej; podniósł wzrok dopiero, gdy Kelley stanął w drzwiach.

„Wypożyczyłem klacz. Oto jestem z powrotem”.

„Dobrze”.

„Z Brentford przybyłem łodzią. To byli fałszywi przyjaciele”.

Usiadł w fotelu obok stolika Dee, tam gdzie jakieś szesnaście miesięcy wcześniej usiadł po raz pierwszy, chwytając się dłońmi oparcia (jak teraz), jak gdyby myślał: w ostatku jestem w domu.

Odezwał się Dee:

„Lord Łaski przysłał książki. Dla ciebie. Napisał tam też coś.

Kelley położył rękę na książkach. Nieomal w tej samej chwili pojawiła się też Madimi (po raz pierwszy zobaczyli ją właśnie pośród książek; czytała im je; była książkowym aniołem). Poklepała pergaminową okładkę; Dee usłyszał odgłos jej palców.

„Witamy cię, pani, z imieniem Boga na ustach. Co cię sprowadza?”.

„*Chęć sprawdzenia, jak sobie radzicie*”.

Powiedziała to cicho, ale bez wahania, wypełniając rozziw pomiędzy oboma przyjaciółmi. Wraz z nią przybyła słodycz.

„Wiem, że często mnie widzisz. Ale ja widzę cię tylko dzięki wierze i imaginacji” - rzekł Dee.

„*Ten wzrok jest doskonalszy niżli jego wzrok*”.

Doktor nie potrafił dłużej utrzymać wystudiowanego opanowania. Kelley wrócił, Madimi nie odejdzie. Splótł palce i zapytał przez łzy:

„Och, Madimi, czy znów doświadczę tych bólów?”.

„*Przekłete kobiety i złe diabły to bolesne towarzystwo*” - powiedziała, jak gdyby to było stare przysłowie; jak dziecko, które wygłasza maksymę lub anegdotę, znając formę i rytm, ale nie znaczenie. Dee zaśmiał się, potrząsnął głową, przetarł oczy rękawem i znów się roześmiał.

Kelley nie roześmiał się, za to coraz bardziej się denerwował; kurczowo trzymał poręcze, śledząc osłoniętymi oczyma Madimi (jak sądził Dee), przemieszczając się po

pokoju. Wreszcie odezwał się:

„Madimi, pożyczysz mi sto funtów na dwie niedziele?”.

„*Wymiotłam wszelkie pieniądze za drzwi*”.

Dee, wyczuwając nadciągające kłopoty, odrzekł ze spokojem, że jeśli chodzi o pieniądze, otrzymają to, czego potrzebują, kiedy Bóg uzna to za stosowne; ale Madimi zwróciła się do krystalomanty:

„*Czego pragniesz? Mów, czego pragniesz*”.

Kelley nie odpowiedział, odsuwając się, jak gdyby nachyliło się doń niewidoczne dziecko.

Nie kochał Boga, powiedziała mu, nie, skoro łamał Jego przykazania; widzisz, chępliwe słowa tracą znaczenie. Wiara, Nadzieja, Miłość to największe wartości. Jeśli ich nie masz, masz tylko nienawiść. Czy kocha srebro? Czy kocha złoto? Jedno jest złodziejem, drugie mordercą. Och, ale on ma sprawiedliwego Boga, który go kocha.

Powiedziała doń:

„*Chodź tu, chodź*”.

Kelley zerwał się z fotela niczym pociągnięty za ucho, niegrzeczny chłopiec. Ukląkł przed kulą w kolorze moleskinu, pierwszą kryształową kulą, w którą kiedykolwiek spojrzął, kulą, która wezwała Madimi (choć wtedy jeszcze jej nie znał), wciąż w uchwycie w formie grubego dziecka z kulą w rękach.

„*Spójrz i powiedz, czy ich znasz*”.

Ujrzał tego o obliczu psa i czternastu innych, zebranych razem w kuli jak rabusie i swawolnicy zgromadzeni przez konstabli królowej w Cheapside. Znali go. On znał ich. Ich imiona zaczynały się od litery B. Ten o psiej twarzy wyglądał jak wyciągnięty z ich środka.

„*To ten, który towarzyszył ci od miesiący*”.

Powiedziała im wszystkim.

„*Odejdźcie. Venite Tenebræ fugite spiritu meo. Odejdźcie*”.

Nikczemna zgraja spojrzała po sobie, w panice i pułapce: wiatr zdawał się rozwiewać ich brązowe stroje; chwyтали się wzajemnie, wywalali języki, wybałuszali oczy, skręcali się, ale pozbawieni ciężaru dali się wciągnąć i rozproszyć wirowi. Żaden się nie odezwał: i dobrze.

Długo klęczał, patrząc w pustą kulę i czując straszną ulgę, jakby po pozbyciu się z jelit ohydy. Podniósł wzrok, zamrugał, stwierdził, że znajduje się tam gdzie wcześniej, choć miejsce zdawało się inne. Gdzie był wcześniej, kędy podróżowała jego dusza? Oczyma wyobraźni ujrzał mroczną, powolną rzekę, księżę, końskie oko.

„Co ci jest?” - szepnął doktor Dee.

Przełknął ślinę. Nie od razu odpowiedział.

„Zdaje mi się, że jestem lżejszy. Pusty. Jakbym skądś wrócił. Z czegoś niesamowitego”.

Drżał. Wyciągnął rękę w kierunku doktora Dee i roześmiał się, widząc, że się trzęsie.

„*Zbyłeś się wielkiego brzemienia. Teraz miłuj Boga. Miłuj przyjaciół. Miłuj żonę*” - powiedziała ukontentowana anieliczka.

John Dee ukląkł obok niego i zaczął odmawiać modlitwę dziękczynną. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć, nie brak mi niczego, tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia. Wziął Kelleya za zimną rękę. Modlili się razem. Nie rozdzielił się już.

Wygnała ich z Anglii jak gęsiareczka ptactwo; poganiała ich przez świat chrześcijański z Amsterdamu przez Bremę do Lubeki, choć nie zdradzała im ostatecznego celu. W Niemczech z nastaniem zimy zostawiła ich bez pożegnania, na dobre czy złe, nie wiedzieli.

Wciąż spotykali się z innymi, Gabrielem, Galvalem i Nalvage'em, odzianymi po królewsku, Murifrim w czerwieni niczym ziemianin, Ilem wesołym graczem (*Jezu, nie myślałem, że was tu ujrzę*, powiedział im z kuli w Lubece, jakby to on podróżował, a nie oni). Wszyscy podążyli za kulą za granicę, jak pszczoły za kandyzowanymi owocami, niesionymi przez gospodynię; ale w Niemczech Kelley coraz mniej potrzebował spoglądać w nią, by mówić z nimi, spotykał je na schodach, słyszał, kiedy się modlił; widział je z okien szynków, w tłumie.

Przynosiły wieści z radością godną plotkarek.

„*Wasz brat jest w więzieniu. Co powiecie? Brat waszej gospodyni*”.

Nicholas Fromond, brat Jane Dee, to pewnie o nim mowa. Co się stało?

„*Przesłuchują go. Powiadają, że skrywacie sekrety. Co do ksiąg, potrzeba im się przyjrzeć w wolnej chwili*”.

Dee ze zgrozą wyobraził sobie swoje rzeczy walające się po podłodze, książki zabrane, nie potrzebował do tego kuli. Dlaczego?

„*Może stać się też tak, że domostwo spłonie na pamiątkę. Jeśli tak postanowią, tak będzie. Ofiarowałem swą radę, pragnąc wam się przysłużyć. Wybór należy do was*”.

Co za wybór? Jaki wybór teraz mieli? Czuł, że pędzi bez nadziei prosto do grobu, paląc za sobą życie.

Szybciej, szybciej. Nie pozostało im wiele czasu, żeby się dowiedzieć, do jakich sekretnych celów zostali wybrani, by zaczerpnąć wiedzy, którą mieli przekazać wszystkim

państwom i narodom. A zarazem ta kluczowa wiedza, całość nowej prawdy, której przekąźnikami mieli być, mogła trafić do nich tylko za pośrednictwem języka enochiańskiego i dlatego musieli się go nauczyć.

Ale było to boleśnie, potwornie trudne. Trzeba było stworzyć tabelę, kwadraty o czterdziestu dziewięciu literach; anioły podały im liczby, na których podstawie lokalizowano odpowiednie litery; z nich powstały słowa mogące rzekomo przyzywać anioły; dopiero po pewnym czasie stało się jasne (przynajmniej dla doktora Dee), że anioły przywoływane tymi zewami same były słowami tego języka - zatoczyli pełne koło.

Mówiły, że czas nagli, ale zdawały się nie postrzegać go tak jak śmiertelnicy; robiły sobie przerwy w pracy, by długo chwalić Boga lub wieszczyc albo opowiadać dziwne historie, nad którymi Kelley i Dee głowili się i alegoryzowali je, nigdy nie mając pewności, czy sens, do którego doszli, był właściwym. W Bremie, w Lubece, w Emden, w ciasnych sypialniach szynków, Kelley i Dee ustawiali kule i stolik (skonstruowany tak, by dało się go składać) i słuchali bełkotu; późną nocą czekali na anioły, podczas gdy Rowland, Katherine i Artur spali u boku matki; Joanna Kelley w fotelu lisimi oczyma obserwowała dziwnego męża i rozmyślała o swym niezrozumiałym losie.

Łaski przewiózł ich przez Niemcy, wprowadzając niekiedy na dwory potentatów, księcia Meklemburgii, biskupa Szczecina, by wzmocnić swoją pozycję. Jego gwiazda zachodziła - anioły przestały już go chwalić - ale on o tym nie wiedział. Zaczął mówić o złocie: że teraz, z pomocą duchów, łatwo je można zrobić; dlaczego nie zadać im tego pytania, dlaczego. Magnat pokroju Łaskiego mógł przez lata żyć na kredyt: przez lata, nie wiecznie.

Zima nadeszła wcześniej i była ostra, ale parli dalej, w powozach, karetach i kolaskach. Szybciej, szybciej. Ze Szczecina do Poznania jest dwieście mil i na każdej z nich leżał głęboki, skrzypiący i równy śnieg; księżę wynajął dwudziestu ludzi do cięcia lodu przez dwie mile, aby ich powozy mogły przejechać. Rozległe podmokłe łąki skute teraz lodem (maleńkie figurki na horyzoncie łowiły ryby na lodzie) zawiodły ich wreszcie do Łaska w Polsce. Księcia długo nie było. Jego ludzie nie cieszyli się z jego powrotu.

Przy emaliowanym piecu Kelley rozłożył stolik. Wtedy pojawiła się Madimi, bez powitania ani przeprosin, *mała dziewczoja w bieli*, powiedział Kelley, nie od razu ją rozpoznał; urosła.

„Byłam w Anglii. Królowa ubolewa nad stratą swego filozofa, ale skarbnik powiedział jej, że wkrótce wrócisz do ojczyzny na kolanach. Nikt nie może odwrócić od ciebie serca królowej”.

Okropna fala tęsknoty zwała z nóg starca. Królowa. Ujrzał tę ukochaną dziobatą twarz. O Boże.

„*Byłam też w twym domu. Wszystko dobrze. Nie mogłam wejść do gabinetu, bowiem królowa kazała go zapieczętować*”.

Ale czy Madimi nie mówiła kiedyś, że ludzkie zamki nie stanowią dla niej przeszkody? Doktor Dee zajrzał do gabinetu w swoim umyśle, nie wiedząc, co się tam stało. Cisza i kurz.

Jaki dom miał się stać teraz ich domem? Jak mieli żyć? Doradzono im podróż do Krakowa. Jak im tam będzie?

„*Mimo swej mądrości, nie jestem w stanie rzec*”.

Ogarniało ją otępienie w tym cudzoziemskim chłodzie (to niewątpliwie ich własne mózgi, przemarnięte pod czepcami i futrami, własne kurczące się serca). Oddech Kelleya przyćmiewał mgiełką zimny kryształ, w który mężczyzna patrzył.

„*Sir Harry Sidney nie żyje. Był waszym skrytym wrogiem*”.

Prawie spała. Cała trójka przybliżyła się do pieca. John Dee poczuł napływające do oczu łzy. Zapisał słowa Madimi, *skryty wróg*. Zawsze kochał Harry’ego Sidneya, ojca Philipa. Z jego życia nie miało zostać nic, do czego warto by wrócić. Miał umrzeć jako stary człowiek na obcej ziemi.

(W Pradze, w sierpniu, kiedy dotarły doń wiadomości z Anglii, dopisał na marginesie: sir H. Sidney nie umarł w lutym ani marcu, dopiero w maju, trzeba to rozważyć).

Kraków, stolica Rzeczypospolitej, wznosił się pośrodku wielkiej równiny, podmokłej i błotnistej, gdy pokonywali ją w marcu. Kelley i kobiety milczeli, widząc miasto z daleka, myśląc: Boże, jaki świat jest wielki; kto mógłby pomyśleć, że wielkie równiny i miasta rozciągały się jedno za drugim tak daleko na wschód. A jeszcze cała Rosja. Dee, który dużo podróżował, mruczał tylko, dręczony febrą, i nie podnosił wzroku.

Kiedy rozgościli się już w wysokiej kamienicy opodal katedry, John Dee udał się do swego dawnego korespondenta, doktora Hannibala, kapucyna kończącego właśnie w tamtym okresie komentarze do *Pimandera* Hermesa Trismegistusa, książki o wiele dłuższej niż ta *ægipska*.

O czym rozmawiali tyle godzin? - zastanawiała się Jane Dee, męcząc się z cudzoziemskimi monetami i potrawami.

Rozmawiali o aniołach: o dziewięciu chórach anielskich, nieróżniących się od Władców, którzy, mówi Hermes, utrzymują postać niebios oraz dystynkcje i hierarchie

sprawiające, że wszystko jest tym, czym jest, zamiast chaosem. Rozmawiali o podziałach religijnych, kiedy pochopni nieuczeni, bezbożni ludzie przemocą i mieczem narzucają na wzór Prokrustowego łoża swoje obrządki cierpiącym. Jak to się skończy? Doktor Hannibal otworzył swój egzemplarz *Pimandera* i przeczytał:

Tego dnia ludzie nie tylko porzucą kult bogów, ale co gorsza, wprowadzone zostaną tak zwane prawa, które ukarzą tych, co będą ich czcić [...] tego dnia ludzie z nudy przestaną uważać świat za wart rewerencji i adoracji, największe ze wszystkich dóbr [...] potem ziemia straci równowagę, morza nie utrzymają już statków, a nieba gwiazd.

Czy nie taki był stan obecnego świata? Czy nie można było rzec, że ich własny świat również kończył się katastrofą? Skoro tak, rezultat zależał od Boga, co również przewidział Hermes:

[...] powrót tego, co dobre, święta i wspaniała Restauracja Całego Świata, narzucona Wolą Boga na przestrzeni czasu.

Doktor Hannibal zastanawiał się - nachylając swą okrągłą głowę z tonsurą do białej głowy doktora Dee i ścisząc głos - czy boży Kościół rozpada się teraz, ponieważ jego czas przeminął, a po okresie niepokojów przyjdzie nowa epoka, Epoka Ducha Świętego, kiedy nie trzeba będzie kościołów, zakonników, biskupów, a każdy człowiek będzie księdzem dla sąsiada.

„Jak o tym kazał opat Joachim z Flory tak dawno temu” - rzekł Dee.

„Który został przeklęty. Nie, nie mówmy już o tym”.

Doktor Dee przyjął komunię z rąk odważnego, pulchnego człowieczka w kościele bernardynów, biorąc na język żyjącego Boga, a potem ujrzał, jak mnich ściąga okulary, by otrzeć łzy (radości? wdzięczności?). Kelley nie przyjął komunii, choć Dee go do tego namawiał, choć nawet anioły mówiły mu o hostii z zachwytem i uwielbieniem: *ciało Chrystusa to całe nasze jadło, Jego krew, cały nasz napitek; nie może nam odmówić. Myślałeś, że tylko do ciebie należy? Jedliśmy i piliśmy przed stworzeniem świata. Gdyby bogacz dał ci jeść, czy nie chwaliłbyś go? Gdyby dał ci jeść na talerzu, nie chwaliłbyś go? Ciesz się, raduj się. Dał ci swoje Ciało.*

Czemu odmówił? Doktor Dee chciał wiedzieć. Czy istniała bardziej święta preparacja do dzieła, które ich czekało?

On by nie odmówił. Wywiązała się kłótnia, jak wiele innych, co do których Dee miał nadzieję, że zostawili je za sobą w Anglii - ale nie. Duchy kłamały, mówił Kelley, przez te całe dwa lata tylko kłamały, Dee wierzył im jak głupiec, jeśli wiedziały cokolwiek wartościowego, nie ujawniły tego dotąd i nie ujawnią tego śmiertelnikom, choćby ich błagali; oni, dwaj śmiertelnicy, byli obiektem pogardy i drwin duchów, co do tego nie miał wątpliwości, słyszał śmiech w sferach. Spójrz: tu w książce Agryppy *De occulta philosophia* znajdują się wszystkie imiona aniołów rządzących narodami świata, imiona, o które Kelley błagał na kolanach całymi dniami! Nie da im więcej z sobą igrać. Zatrzasnął doktorowi Dee drzwi przed nosem.

Tego wieczora przyszedł doń Gabriel i dokonał w nim poprawy.

Kelley nigdy nie powiedział mistrzowi, jakie słowa padły i co się z nim stało tamtej nocy, a Dee nie nalegał. Klęczał tylko znów z Kelleyem przed kulą, jego stare kości trzeszczały jak chrust; a Gabriel, najłagodniejszy i najśłodszy z duchów, które z nimi rozmawiały, ponownie połączył się z nimi we łzach pokuty i dziękczynienia: znowu, znowu i jeszcze raz. Następnego dnia Kelley przyjął Ciało Chrystusa w kościele bernardynów.

Wielka równina obrodziła. W maju, leżąc rankiem w łóżku, Kelley poczuł, że głowa i piersi otwierają mu się jak pod toporem rzeźnika albo nożem otwieracza ostryg, a głos (nie-głos, albo głos bez słów) wlewa wiedzę w rozdarcie: dlaczego ich wybrano, o czym mówiły przepowiednie, co znaczą opowieści.

W niebiosach toczyła się wojna.

Cztery strażnice albo zamki stoją na czterech krańcach ziemi, północ, południe, wschód, zachód. Kelley zerwał się z łóżka, gdy w każdej strażnicy rozbrzmiały trąby, a cztery sztandary załopotwały na iglicach. Czerwony jak świeżo utoczona krew ze wschodu, liliowobiały z południa, zielony, pokryty łuską niczym smocza skóra na zachodzie, czarny jak krucze pióro albo borówkowy sok na północy. Następnie z wieżyc wypadły zastępy w tych samych kolorach, niczym słowa z ust, pozorny zamęt, każdy żołnierz ze zwierchnikiem, każda armia z generałem, wielcy przywódcy, ruszają ku centrum, ustawiają się wokół sztandarów, gotowi do bitwy.

To się działo teraz, wiedział o tym, ale nie wiedział dlaczego i po co, poza tym, że pomimo pozornej radości wojowników i wspaniałości sztandarów wojna była straceńcza, a powód niejasny. Czy była to wojna Baranka przeciw Bestii, przeciw Wiatrowi, co wieje tam, gdzie chce? Kelley nie potrafił rozpoznać, czy anielskie zastępy, zmierzające ku sobie zewsząd, miały połączyć się w jedną potężną armię, czy też walczyć między sobą, w wojnie wszystkich ze wszystkimi. Wiedział tylko, że niedługo się spotkają.

Ciągle ubrany tylko w koszulę, obudził brata i wysłał go do domu Dee na ulicy świętego Stefana, a sługę Johna do franciszkańskiego konwentu, gdzie przebywał Łaski. I stał przy oknie pokoju, trzęsąc się i drżąc tak, że leżąca wciąż w łóżku żona podciągnęła ze strachu kołdrę.

Po północy John Dee wstał od stolika. Z jego kolan na podłogę spadła sterta zapisanych kartek, imiona aniołów, kolejność ich marszu, kula była wreszcie pusta; Kelley spał w fotelu z otwartymi ustami, świszcząc jak chore dziecko z każdym oddechem. Cały dom spał.

Wszedł po schodach, mijając pokój, gdzie Jane zostawiła świecę obok łoża z baldachimem. Dzieci i ich opiekunka w kolejnym pokoju tworzyły ciemne kłębki niczym śpiące niedźwiedzie, książki i zamazane po dziecięcemu kartki leżały na podłodze. Po ojcu odziedziczyły przywarę nieporządku, drobną, lecz trudną do pokonania. Cicho podszedł do drabiny na końcu korytarza i wspiął się na dach budynku (gołębie gruchały i trzepotały skrzydłami). Zbudowano tam barierkę, przy której można było stanąć.

Nie było księżycy, za to chmury miały białe brzegi. Gwiazdy.

Cztery strony świata. Kelley nazwał je zgodnie z nazwami z kompasu, ale tak naprawdę miał na myśli równonocę i przesilenia, cztery strony roku, wrota czasu.

Skoro bitwa toczyła się pomiędzy aniołami rządzącymi niebem, a powód był niejasny, to by tłumaczyło wszystkie przepowiednie, że Turcy zostaną obaleni, że Tatarzy upadną, że państwa się odmieniają: przepowiednie, które zmieniały się z tygodnia na tydzień, nie spełniając się. Zrozumiał teraz, że nie były błędne: były tylko raportami z pola bitwy. Konkluzja była niejasna.

Dlaczego Bóg miałby pozwolić aniołom walczyć o świat?

Spojrzał w mętlik gwiazd: tyle ich na widoku, tak wielki horyzont, że nie od razu rozpoznał konstelacje. Obracające się niebiosy, związane kolorami, przymocowane na czterech rogach. Niezmiennie. Ale takie nie były: John Dee i każdy astronom w świecie chrześcijańskim (jak i bez wątplenia w Arabii i Chinach) widział narodziny nowej gwiazdy w gwiazdozbiornie Kasjopei dziesięć lat wcześniej. Nowa gwiazda, stworzona z niczego przez Boga, pierwsza od czasu Betlejem.

A może nie była nowa, może nagle zbliżyła się do Ziemi na tyle, że dało się ją ujrzeć: wypadłszy z toru wyścigowego jak koń pędzący w tłum dla własnego widzimisię.

Dla własnego widzimisię. Ujrzał, jakby na własne oczy, twarz małego Włocha, który stał w jego gabinecie w Mortlake i rzucał mu wyzwanie. Nowe niebiosy: a skoro istnieje nowe niebo, musi być też nowa ziemia.

Czy w niebie toczyła się też wojna o szlaki gwiazd? Czy całe miliardy aniołów, które obracają sferami (jeśli istnieją sfery) zajęły się teraz wyrzucaniem gwiazd z orbit? Jak gdyby nie tylko trzeba było po nowemu zrozumieć, że Ziemia i Słońce zajmują wzajemnie swoje dawne miejsca, ale także, że przemieszczają się właśnie na nowe, jedno ku centrum, drugie (Ziemia, nasza planeta, a my na niej) ku jednemu ze środkowych rzędów planet.

Ohydny śmiech narodził się w piersi Johna Dee, który mocno pochwycił barierkę. To by wzbudziło wicher, to by obaliło państwa. Ziemia straciłaby równowagę, morza nie utrzymałyby statków: tak.

Jeśli Bóg chciał zwinąć niebiosy jak zwój, jeśli teraz nad tym pracował, a za starym niebem miało objawić się nowe; jeśli nie miało już być tego, co niżej i wyżej, góry i dołu, nie miało być już żadnego sposobu ustalenia punktu we wszechświecie - żadnych więcej czterech stron świata - to i ludzie będą musieli być nowi.

Czy Bóg miał wkrótce przyznać człowiekowi nowe moce? Czy cała praca Dee i biednego Kelleya miała przynieść teraz *fructa*, a nużące liczby, które kazano im zapisywać, miały się wyjaśnić, okazać się nagle klarowną nauką nowego świata? Był tego pewien: nie pewien, że dożyje zrozumienia lub użytku tej wiedzy, ale pewien, że został wybrany, by przekazać ją ludziom nadchodzącego świata, którzy pewnego dnia po nią sięgną, być może po tym, jak długo leżeć będzie w kurzu zapomnienia; zapoznają się z nią i powiedzą *Tak, oczywiście, tak, właśnie tak musi być*.

Pomyślał o - poczuł to w piersi jak bliznę starego cechowania - o swojej *Monas Hieroglyphica*, dziecięciu jego serca, którego nigdy naprawdę nie rozumiał.

Jak z niej skorzystają? Proszę, Boże, nie zrobili nic złego. Nie mogli, Bóg nie pozwoliłby przekazać jej w ich ręce, gdyby ich dusze nie były przygotowane. Dlatego serce mu się skurczyło, kiedy Bruno Nolano chełpił się nowymi mocami. Madimi ostrzegła Dee: on wykradł ogień z niebios. Jak Faeton spaliłby świat.

To więc miał zrobić John Dee, to było ostrzeżenie, które miał dać, dlatego on, a nie kto inny otrzymał to zadanie. Pomyślał o słowach z księgi Hioba: *ja sam uszedłem, by ci o tym donieść*.

Ukląkł na oświetlonym gwiazdami dachu i modlił się. O Boże, niech ostre miecze nie trafią do rąk moich dzieci; niech ich serca staną się mądre, nim ich ręce staną się silne; nie wódz nas na pokuszenie, ale zbaw ode złego. A przecież przyjdzie królestwo Twoje, stanie się wola Twoja. Świat bez końca. Amen.

W maju Adalbert z Łasku ruszył do swoich posiadłości w Transylwanii. Przed wyjazdem ukląkł przed Johnem Dee, wprawiając go w zakłopotanie, i poprosił doktora o błogosławieństwo, które otrzymał; poprosił także, chyląc czoło, by anielskie moce, znane Dee i Kelleyowi, pomogły mu w staraniach u króla Stefana o umorzenie długów.

Możliwe, powiedział, że nie zobaczą go znowu. Wracać będzie przez Pragę i jeśli tam trafią, mogą się zobaczyć, jeśli taka będzie wola Boga i jego aniołów. A jeśli anioły wspomną o nim albo podsuną rozwiązanie jego problemów, niech postępują wedle ich instrukcji.

Wyruszył wiosną, na rosłym koniu, z jedną ręką na pasie i łokciem dumnie wystającym. Tego miesiąca król umarł, kłopoty Łaskiego się nie rozwiązały; anioły nie wyraziły zaskoczenia, chociaż mówiły wcześniej, że spodziewają się po królu wielkich rzeczy: jak gdyby prawica Boga nie wiedziała, co czyni lewica.

Wtedy już Dee, Kelley, ich żony i dzieci, krewni, słudzy, powozy, meble, książki i papiery były w drodze do Bohemii.

Do cesarza.

DWANAŚCIE

Co jest jedynym dziedzictwem przeszłości, które wciąż zachowuje dawne moce?

Pierce obiecał być ujawnić to w swojej książce i Julie napisała, że wydawcy naprawdę podoba się ten pomysł, *lagniappe*, bonus dla nabywców lepszy niż darmowa płyta czy psychotest, och, dużo lepszy. Teraz Pierce musiał coś wymyślić, wyciągnąć z pustej garści jak sznur magicznych szarf.

Gdyby miał być to Kamień Alchemików, leżałby na widoku nierozpoznany przez nikogo poza głupcem i mędrcom, tym, który nigdy nie zapomniał, i tym, który wreszcie musi się dowiedzieć.

To wcale jednak nie musi być rzecz, pomyślał Pierce, to może być słowo, to może być myśl, na którą umysł wpada przypadkowo, nagle *conjunctio oppositorum* zapoczątkowujące intelektualny pożar.

Co, co przetrwało do terażniejszości z tamtej bliskiej, albo dalekiej przeszłości, kiedy prawa wszechświata nie były takie jak teraz, lecz inne; kiedy klejnoty i ogień posiadały właściwości dziś już nieznanne; kiedy ludzie przeżywali i zapisywali cuda, o których wiemy dziś (i wierzymy, że zawsze tak było), że są niemożliwe?

Pierce myślał o tym. Podczas pracy w domu Krafra, w Pączkowej Dziurce, pijąc w samotności albo u Val w Faraway Lodge rozmyślał, co u diabła mógłby odkryć albo sprawić wrażenie, że odkrył, a co warte byłoby zapłaty. Rozmyślał na kiblu, w wannie z bitwą morską między Monitorem i Merrimackiem²³ (w tych rolach mydło i gąbka) pod zanurzonym podbródkiem; w kolejce w supermarkecie.

Mogło to być coś rzeczywistego, fizycznego - istniało tysiąc możliwości. Amulet, rzekomo roboty Johna Dee, za pomocą którego wywołał on wichur, a ten z kolei zniszczył hiszpańską armadę. Niesamowity arcykrym i awanturnik, Aleister Crowley (skąd Pierce dowiedział się o tym fakcie albo nietakcie?) widział ten przedmiot w British Museum. Nie, nie, nie. To byłaby po prostu kolejna z tych martwych rzeczy tak lubianych przez Krafra, gra Graali, będących tylko złotymi kielichami, *objets de vertu*, z których *vertu* wyparowało. A co z ich poszukiwaniami? Wyruszyć, odszukać źródło pogłoski, odkryć jej bezwartościowość, a w trakcie podróży znaleźć prawdziwą magię, zrozumienie, mądrość i tak dalej. Czy oburzeni

wierni rozerwaliby go na strzępy, gdyby odstawił taki numer?

Nie, coś prawdziwego, coś prostego i nie do podważenia, nawet nie rzadkiego; niespodziankę, ale taką, o której człowiek zawsze wiedział. Jak gdyby w następnej epoce świata, chłodniejszej i mętniejszej niż obecna, ktoś wpadł na kawałek radu jarzącego się dziwnie w ciemności, tracącego cząsteczki, rozkładającego się, posiadającego właśnie te właściwości, które dawno temu, w czasach Einsteina albo Fermiego, ludzie uważali za normalne.

Jak mógł postawić przed sobą tak nierozwiązywalny problem?

Łamał sobie nad tym głowę w pewien burzowy i duszny dzień, aż wreszcie pod wieczór problem został całkowicie wyparty z jego umysłu: wydarzenie, na które czekał niemal całe swoje świadome życie, nastąpiło, gdy siedział na stopniach domu Fellowesa Krafta, czekając na Rosie Rasmussen. Moc, która przechowywała trzy życzenia Pierce'a, objawiła się gotowa przyznać mu je, jeśli tylko poprosi, i Pierce nie potrafił już myśleć o czymkolwiek innym.

Jeśli wierzymy, bądź udajemy, że świat może być inny, niż jest, że mogą go zmienić nasze pragnienia (prawdopodobnie więcej ludzi wierzyło w to kiedyś niż dziś), to możliwe, że spędzimy pewną ilość naszej bezproduktywnej aktywności umysłowej, wyobrażając sobie, jak można by go zmienić. Pierce Moffett nigdy nie budował modeli kolejek, nie wydatkował energii na wyobrażanie sobie, że jest w tym pomniejszonym świecie, wsiada do maleńkich wagoników na maleńkich stacyjkach, oliwi silnik i sunie przez wzgórza i mosty. Nigdy nie miał pluszowego misia, który wyruszałby z nim na fantazyjne wyprawy, ani wymyślonego przyjaciela, ani nawet psa, z którym udawałby rozmowę, nie dlatego, że mu go odmówiono, ale dlatego, że psy go nie ruszały.

Ale on zawsze, zawsze wyobrażał sobie, że życzenia mogą się spełnić: a skoro mogą się spełnić, życzący powinien być na nie przygotowany, mieć je pod ręką, te właściwe, te, których spełnienia najbardziej pragnie, gotowe na każdą okazję, kiedy pojawi się szansa. Siedząc na schodach domu w Kentucky, patrząc na kędzierzawe wzgórza i kręcąc na palcu kosmyk włosów, właśnie tym się często zajmował: badaniem własnego serca, wystawianiem danego życzenia na kontakt z niepojętymi głębiami potrzeby i oceną reakcji.

Nigdy do końca nie pozbył się tego zwyczaju. Chociaż przygotował sobie kilka praktycznych życzeń Pieniądzy i Zdrowia, dopiero teraz, na stopniach domu Krafta, jak

²³ Bitwa w zatoce Hampton Roads, często zwana bitwą Monitora i Merrimacka, rozegrała się w czasie amerykańskiej wojny secesyjnej w 1862 roku; była pierwszym w dziejach starciem okrętów pancernych.

kiedyś w Kentucky, i tak samo jak wtedy kręcąc kosmyk włosów, odkrył swoją najgłębszą potrzebę i połączył ją z pragnieniem; w samą porę. A poczyniwszy życzenie, prawdziwe ostatnie życzenie, musiał już tylko czekać cierpliwie i ze łzami (całe popołudnie był o włos od płaczu ze szczęścia) na Robbie'ego.

- Robbie - wyjaśnił Pierce następnego ranka szaremu zeszytowi, zakupionemu wiosną po przyjeździe do Faraways, by zapisywać najrozmaitsze rzeczy - to mój syn.

Spojrzał na to krótkie zdanie i poczuł, jak słodycz (już znajoma) podchodzi mu do gardła.

- Spłodziłem go pewnej bezmyślnej, nieodpowiedzialnej nocy w 1965 roku, nocy wczesnego lata, z której pamiętam niewiele. Widziałem dziewczynę jeszcze jeden raz i dostrzegłem tajemniczy uśmiech, ale ona była dziwna i jeśli wiedziała, nie powiedziała mi; być może myślała, że to ktoś inny - ktoś może to teraz stwierdzić?

Widział, nawet czuł, nocne ulice tamtej dzielnicy, tamtego roku, pierwszego roku po opuszczeniu college'u.

- Tak czy owak rezultatem był Robbie. Nie miałem o tym pojęcia. Wychowali go dziadkowie (jego matka była włóczęgą, wyjechała już dużo wcześniej, może na wybrzeże, kto wie, zniknęła bez śladu, mało zaskakujące). Ale powiedziała mu o mnie, a teraz on zdołał mnie odnaleźć.

Stoi na wycieracze z napisem DZIEN DOBRY, leżącej pod drzwiami głównymi budynku, gdzie mieszka Pierce, wysiadłszy z autobusu nie w tym mieście, co trzeba, i przeszedłszy resztę drogi na piechotę, zmęczony i dumny z siebie, z jedną walizką i fletem w etui.

- Oczywiście byłem zdumiony, zdziwiony - pisał Pierce; ołówek szurał po błękitnych liniach radośnie i automatycznie. - Ale on rzeczywiście jest do mnie podobny, tylko dużo piękniejszy, niż ja byłem, albo mógłbym być, a jeśli nie piękny, to tak ujmujący, że nie ma to znaczenia. Założył sobie chyba, że kiedy mnie znajdzie, po prostu go przyjmę. I tak zrobiłem.

Na werandzie Pierce'a stał szeszlony, z którego syn mógł korzystać. Teraz na werandzie siedział Pierce i pisał pośród złożonej i kojącej geometrii ram okiennych, cieni słupków na parapecie i parkiecie, złotych sztabek słońca. Wąskie łóżko, przewiewny pokój, w sam raz. Wnijdź, cudne słońce, zglądź zazdrosną lunę.

Istota życzenia objawiła się Pierce'owi jako kompletne zaskoczenie, niewydestylowane z jakichkolwiek wcześniejszych inklinacji czy potrzeb, o których wiedział; po prostu pojawiło się w nim nagle, już gotowe. Nie było jednak wątpliwości, że to było jego życzenie; od razu rozpoznał je jako takie, jako życzenie, na które od dawna czekał, tę jedyną

dobrą rzecz, której naprawdę pragnął. Rozpoznanie nie było tylko koniecznym warunkiem wstępnym do jego spełnienia: rozpoznanie b y ł o spełnieniem. Wiedział to. Siedział w rozświetlonej mgie szczęścia, smakując ciągle dziwną słodycz na podniebieniu, przyznając po raz pierwszy, tak, po raz pierwszy, jak bardzo chciał kochać i być kochanym bez żadnych dodatkowych warunków; o władnął nim demoniczny śmiech świadomości, że nawet jeśli Robbie w jakimś trywialnym sensie nie jest prawdziwy, Pierce może go urzeczywistnić ot, tak łatwo (wymagałoby to zaledwie popadnięcia w obłęd): a śmiech podobny był to łkania, które rozdzierało go we śnie.

I stało się tak: wrócił do domu, wieczorem zadzwonił dzwonek do drzwi; Pierce usłyszał go w sercu swego serca.

- To owoce wyrzeczenia - zapisał w dzienniku w promieniach porannego słońca. Bo na to wyglądało: w zamian za złożone przyrzeczenie, to głupie przyrzeczenie, coś mu się należało. Kiedy tylko przestał lustrować horyzont, kiedy tylko pojawił się znowu u swych własnych wrót i zamknął je za sobą, pojawił się Robbie, który cały ten czas czekał w środku.

Coś, co nada jego życiu sens; coś, co je wyekstrahuje; przyczyna, dla której wiódł wciąż życie, jakie kiedyś wybrał, powód zaniedbań, jakie poczynił. Wcześniej nie było powodu, nie było dobrego powodu - a teraz był.

Robbie, skąd to imię? Jako dziecko nie miał wymyślonego przyjaciela, ale uczucie musiało być podobne; czuł się opętany, jak ludzie, których nawiedzały niegdyś bóstwa, nieoczekiwani wielcy dobrzy przyjaciele znikąd, może też niebezpieczni, którzy szli z człowiekiem krok w krok, a potem znikali: on sam wkrótce, przeczuwał to, miał usłyszeć łopot oddalających się skrzydeł. Ale nie teraz, nie teraz.

Pozostał z nim cały wieczór i nie przejawiał ochoty do przemijania; wręcz przeciwnie: stał się jeśli nawet nie bardziej rzeczywisty, to bardziej wyrazisty. Teraz, następnego poranka, kiedy można było oczekiwać, że już go nie będzie, wciąż tu był, maleńki piecyk buzujący wesoło pod mostkiem Pierce'a - uczucie takie samo (zauważył Pierce) jak to, które daje odkrycie nazajutrz po urodzinach, że nowy rower stoi w garażu, kolory ma jaskrawe i wciąż jest mój.

Zamknął zeszyt. Owładnięty dziwnym szczęściem, nie mógł zabrać się do pracy. Boney Rasmussen wysłał mu poprzez Rosie kilka pytań i Pierce dotąd nie odpowiedział; nie był wcale pewien, czy odpowiedzi, które ma, są tymi, których oczekiwał starzec. Pierce czuł, że z Rasmussenami i ich Fundacją udało mu się niesamowicie i nie śmiał zbyt ich obciążać; nie chciał znowu zostać pozostawiony sam sobie: jeszcze nie.

Odpowiedzi, które zebrał, a przynajmniej ich namiastki, były już wkręczone w maszynę

do pisania, okazała, jasnoniebieską, elektryczną. Maszyna ta została dawno temu przyjęta przez Sfinks w zamian za narkotyki; Pierce otrzymał ją właściwie za darmo. Przejrzał, co napisał:

1. Nie.

2. O ile wiem, nie.

3. Po angielsku o Rudolfie II napisano niewiele. Niemiecki znam trochę, ale jedynie biblioteka uniwersytecka miałaby coś na ten temat. Nie sądzę, żeby Kraft wykorzystał jakieś egzotyczne źródła; w jego biblioteczce nie ma wielu książek w językach innych niż angielski i włoski (plus kilka po łacinie), zakładam więc, że to wymyślił.

4. To mógł być proszek. Mógł to także być płyn, kamień, klejnot lub cokolwiek innego. Nikt nie jest oczywiście w tej mierze nadto konkretny.

Okej. Zatarł ręce i wziął się za kolejne pytania Boney'ego. Pisał dwoma palcami, wskazującym i środkowym, jak zawsze, tylko dłaczego.

5. Tak. Wczesnym latem 1588 roku Dee powiadomił Walsingham w Londynie, że udało mu się zmienić zwykłe żelazo w złoto przy użyciu „proszku projekcji”, który od dawna posiadał Kelley. Posłali Walsinghamowi wyszczerbioną żelazną pokrywkę i brakujący kawałek ze złota. Oba te przedmioty znajdują się podobno w British Museum.

6. Ów płyn „do użytku wewnętrznego”, jak się teraz mówi, nie był złotem, ale „złotem pitnym” (*aurum potabile*), czyli tak naprawdę nie wiem czym; tak jak „filozoficzna rtęć”, nie było zapewne tym, czym się wydawało.

Kiedy Pierce zajmował się odpowiedziami, Robbie ćwiczył grę na flecie, wciąż powtarzając ten sam motyw z *Muzyki na wodzie*, który odtąd zawsze przypominał Pierce'owi o nim, a także o lecie, wielkim klonie za oknem, nareszcie do końca wybujałym, milionrękim. Dzieciak miał w sobie coś z geniusza muzycznego, przynajmniej tak to brzmiało w nieobeznanych uszach Pierce'a - muzyka stanowiła dlań arkana tak wielkie jak żadne inne. Flet, na miłość Pana. Czy w tych kędziorkach kryły się różki fauna? Co to w ogóle za kolor. Złoto, także na rękach i nogach. Pierce pogwizdywał *Muzykę na wodzie*, sprzątając dom, a potem rzucił mopa i kubeł, koniec dziadostwa, zły to przykład dla chłopca, a poza tym niezdrowo; następnie przyrządzić lunch, nakryć do stołu w kuchni, kanapki, wysoka szklanka mleka.

Ostatnie pytanie od Boney'ego. Cytat ze złej, starej księgi magicznej, który Pierce kiedyś powtórzył w obecności Boney'ego, a ten zwrócił się doń z zainteresowaniem, zbyt wielkim zainteresowaniem, czy Pierce może powtórzyć, zapisać i odnaleźć źródło. Pierce nie pamiętał, gdzie przeczytał to zdanie. Być może w książce o Brunie. Całe popołudnie spędził na poszukiwaniach.

7. Chyba chodzi o to: „O, arktyczne grzywy! O, Antarktydo natężona boskością! Dlaczego natury tak wielkie i szlachetne zamknięte są w minerałach?”. Podobno powiedział to lub napisał król Salomon w księdze zatytułowanej *O cieniach idei*, księdze magicznej, która zaginęła.

Największa księga o pamięci Bruna także nazywała się *De umbris idearum*, o cieniach idei. Zastanawiał się, czy nie wspomnieć o tym Boney'emu, chociaż dzieło Bruna na pewno nie było tłumaczone z łaciny, a to mogło oznaczać przyznanie przed Boney'em, że łacina Pierce'a nie jest dość dobra, by mógł porywać się na robienie streszczeń.

Dlaczego bał się Boney'ego? Nie miał powodu nie chcieć się z nim zobaczyć i usiąść w przyjemnym gabinecie pięknego domu, zagłębiając się razem z nim w badania, pijąc jego alkohol. Przecież wiedział, po której stronie chleb masłem smarowany. Starzec był słaby i powolny - czy o to chodziło? Pierce sądził, że nie; starość nigdy go nie odrzucała, cechowała go dziwna chęć do obcowania z gadatliwymi staruszkami i toczenia z nimi sztucznych rozmów; zawsze lubił słuchać opowieści, których wcześniej nie znał, a Boney był tego typu człowiekiem.

Pierce nazwał go raz *valetudinarian* - hipochondrykiem - w rozmowie z Rosie, która myślała, że chodzi o drugą połówkę *salutatorian* - studenta ostatniego roku, który otwiera uroczystość wręczania dyplomów - tego, który wygłasza mowę pożegnalną. Nie, to byłby *valedictorian*, jest tu pewien związek językowy, ale niezbyt mocny. Valetudinarianie to starzy ludzie, którzy nie wyzdrowieją. *Valetudo* znaczy zdrowie; po łacinie mogło być złe lub dobre, tak jak w angielszczyźnie szczęście - *luck*. Valetudinarianie nie cieszą się dobrym zdrowiem. To nazwa szóstego domu zodiaku, który jest domem Zdrowia i Choroby, a także z jakiegoś powodu Służby, do której w przypadku Boney'ego zaliczał się Pierce.

Czy było tak dlatego, że naprawdę bał się, iż Boney chce, by znalazł mu sposób na przedłużenie życia? *Skóra za skórę! Człowiek gotów jest oddać za swoje życie wszystko, co posiada*. O to chodziło. Boney jednak nigdy nie powiedziałby tego głośno. Chyba że Pierce przyznałby się do podobnego pragnienia, ale nie miał takiego zamiaru, nie uświadomiwszy sobie dotąd strachu przed śmiercią: przed umieraniem być może, ale nie przed byciem

martwym, przynajmniej na razie.

Może było tak dlatego, że nie czuł się dotąd zmuszony myśleć o tym długo ani na poważnie. W tym domu ani w żadnym z możliwych wykresów narodzin nie miał żadnych szkodliwych gwiazd. Melancholia była jego jedyną chorobą; mogła być śmiertelna, ale nie w takim znaczeniu, w jakim Pierce był śmiertelnikiem. Był typem ognistym, który pragnął i pozostawał niezaspokojony. Nie pociągało go samobójstwo. Nie miał także umrzeć z nudów.

Nie teraz, już nie.

Znalazł własny lek na melancholię, swoje *aurum potabile*, wytworzył je z materii swego serca, z podstawowej materii swych potrzeb, ale na nic to było jego mecenasowi. Niech Boney prześpi się z dziewczicą; każdemu jego lek.

Później nadciągnęła burza, stał przy oknie i patrzył na szarżę deszczu o szyby i metalowy dach werandy; Robbie położył mu głowę na ramieniu, a Pierce obejmował ręką syna, kciukiem zahaczając o jego pasek. Odnaleziony przez zagubionego.

Noc po tym dniu. Pierce obudził się po kilku godzinach niespokojnego snu, rozpalony i z erekcją. O czym śnił?

O spacerze, przypomniał sobie; o spacerze nocnymi ulicami (dlaczego w snach tyle chodzimy, przemy bez celu naprzód, a mury i ulice zmieniają się wokół? Dlaczego tak często jest to noc, jak gdybyśmy produkowali nasze senne filmy na ograniczonym budżecie, oszczędzając na scenografii? A może to w prawdziwą noc przelewamy nasze sny?); o spotkaniu ojca, który także spacerował, bo w istocie chodził kompulsywnie po mieście, bezustannie badając wzrokiem chodnik, szukając, a raczej zdając się szukać czegoś, i od czasu do czasu pochylając się, by podnieść kawałek papieru lub inny śmieć i zaraz wyrzucić z powrotem. W tym śnie ojciec był dziwnie młody, miał lśniąco kasztanowe włosy, nosił mundur (choć nigdy nie był żołnierzem), pas Sama Browne'a i wypastowane buty. Szedł, jak powiedział Pierce'owi, albo Pierce sam zgadł, spotkać się z Winnie, i oboje mieli popłynąć promem ze Staten Island. Najtańszy na świecie rejs morski. Pierce widział przystań promową, wielkie przestarzałe urządzenia, mewy, maszynię pochylni i doki; światło księżyca, wiatr. Chciał poklepać Axela po plecach, delikatnie wysyłając go na rendez-vous. Wiedział, że Axel zamierza się oświadczyć, z nadzieją, ze śmiałością, a bez przygotowania, i w ten sposób dać początek życiu Pierce'a. Pierce był wdzięczny, wiedząc też, że jest dla Axela powodem. Axel nieśmiało przyznał to, kiedy szli razem do metra.

Dlaczego budzimy się ze wzrodem, śniąc o pogrążonych w nocy miastach, naszych ojcach, nadziejach.

Było ciepło jak w dzień. Pierce zerwał z siebie kołdrę i spojrzął w lustro, które powiesił nad łóżkiem, a w którym przyzwyczaił się już widzieć od czasu do czasu obrazy dawnego życia tego łóżka w miejskiej dżungli, obrazy, które jak stare ręcznie barwione fotografie, stawały się bardziej odległe i nierzeczywiste w miarę dodawania własnych kolorów. Zdejmę je, pomyślał.

Muślinowe zasłony w oknie werandy poruszyły się. Zwrócił na to uwagę; podmuch wiatru. A potem Robbie stanął koło łóżka, szczupły, wysoki jak trzcina, w białych majtkach.

Co się dzieje?

Nie chcę tam spać.

Dlaczego?

Nie chcę tam spać. Wolę tutaj.

No dobrze, powiedział Pierce. Robbie pozwolił mu patrzeć i mrużyć, śmiejąc się tylko, opanowany, ramionami obejmując swój długi tors; a potem położył sobie palec na ustach i odkrył kołdrę.

Błysnął udem w świetle księżycy i lamp ulicznych, wchodząc do łóżka, wciąż się uśmiechając, prawie się śmiejąc. Kiedy przycisnął się do Pierce'a po raz pierwszy (bo dotąd tak naprawdę się nie objęli, nie do końca, może nieśmiało w świetle dnia), Pierce poczuł emanujące odeń ciepło, słońce, w którym szedł cały dzień w poszukiwaniu ojca.

Kolejny ranek, brzęczenie cykad i światło o niezziemskiej przejrzystości (tak wydawało się Pierce'owi, Dzień Pierwszy w nowo wyklutym świecie) wypełniły jego mieszkanie. Siedział na szezlongu, trzymając szary zeszyt, gdzie istniał Robbie (na razie, na razie).

Jak lekki, choć nie kruchy był. Skórę miał satynową, lecz nie miękką. Było w tym coś z dzierżenia ptaszęcia, a nie bestii. Korona jego głowy, którą Pierce mógł objąć dłonią; silne, delikatne ścięgna karku.

- Zapomnę wiele, ale tego nie zapomnę nigdy. Płakałem potem trochę; a on chciał wiedzieć dlaczego: czy nie było fajnie? Odpowiedziałem, że było i że nie wiem dlaczego. Ale płakałem - pisał Pierce z sercem w gardle. Odłożył ołówek, nagle klarownie świadom tego, co zrobił, jakie czyny popełnił; zaskoczony i zawstydzony ujrzał siebie wtedy.

Tak. On sam nie wyszedł cało z seksualnych zawilosci swego ojca, tyle tylko, że dotąd nie miał na nie dowodu. Robbie był bez wątpienia tajnym przejściem, którym przybył ten spadek. Być może w ten sposób takie skłonności powszechnie pojawiają się pierwszy raz - jako nieszkodliwa fantazja, Młodziutki Przyjaciel, Kolega, którego miłość przychodzi z magiczną łatwością i grzecznością. Dopiero potem pojawiają się obsesje i ohydne zbrodnie.

Chociaż właściwie (pomyślał Pierce) Axel nie miał takich skłonności; często wyrażał zgrozę wobec molestowania dzieci i brzydził się tymi, którzy przyznawali się do takich upodobań, dziwił im się też, gdzie tu zabawa.

A zatem prawdopodobnie nie były winne geny Axela. Choć nawet Axel zrozumiałby tę miłość.

Ale jak mógł, jak. Przecież w żadnym razie nie chciałby skrzywdzić syna. Pierce zgryzł ołówek. Czy fantazmat można skrzywdzić? Będzie musiał się skonsultować. Gdyby tak było, to oczywiście tylko stwórca, czy też właściciel fantazmatu zostałby skrzywdzony (i cierpiałby tym bardziej, im bardziej fantazmat byłby rzeczywisty). Było to oczywiste, a także bez znaczenia; nie mógł uniknąć powagi tego, co zrobił, po prostu odrzucając realność swojej ofiary.

Ale skrzywdzony, skrzywdzony, jak skrzywdzony, zmarszczył brwi i roześmiał się, znów bliski łez: jak skrzywdzony, skoro to Robbie zrobił pierwszy krok, łagodnie żartował z zahamowań Pierce'a, a rano z łokciem na poduszce obok Pierce'a patrzył nań z uśmiechem takiej bezinteresownej, boskiej, słodkiej radości, do jakiej niezdolne byłoby chyba żadne trzynastoletnie dziecko. Pierce tylko przyjął zaproszenie: chociaż, trzeba przyznać, drażył bezustannie konsekwencje tego faktu o białobłękitnym poranku, zdumiony własną uporczywością, jak gdyby sam miał znów trzynaście lat.

Bowiem wszystko to od samego początku obecne było w jego życzeniu; i od początku o tym wiedział, ale trzymał to przed samym sobą w tajemnicy.

Zastanawiał się, czy Robbie także to wiedział, czy stanowiło to część jego planu, wymyślonego, kiedy drzemał w autobusie albo pokonywał pieszo przełęcz. Czym to było dla Robbie'ego, naturalną skłonnością, naddatkiem hojności, czym? W St. Guinefort, dawnej szkole Pierce'a, był pewien chłopiec, czaruś, dla którego kopulacja stanowiła pierwszy, podstawowy dar przyjaźni, jak mocny uścisk dłoni, przytulenie, wymiana ulubionych przedmiotów.

No cóż: Pierce z czasem się nauczył.

- Teraz zostanie u mnie - napisał butnie. - Niedawno zmarł mu dziadek; a babcia jest trochę zdiecinniała; więc dzięki mojemu bajkowemu bogactwu nie powinno być trudno wszystko zalegalizować. Będzie mu się tu podobać, z dała od miasta, a wychowanie go pochłonie wszystkie moje środki, być może także takie, o których dotąd nie wiem, w porządku, w porządku. I tak nie miałem nic innego do roboty.

Odłożył ołówek. Jego uwagę pochłonęła w całości rodząca się w nim samym wiosna, rozgwar możliwości, niektóre z nich sprzeczne, następujące po sobie szybko i bez jego

świadomego udziału. Robbie dorośnie, zmieni się. Oczywiście, że się zmieni. Na pewno pokocha innych; także dziewczyny, Pierce uważał, że to prawdopodobne. Randki. Bardzo możliwe, że oni odtąd rzadko, może nawet nigdy.

A zarazem nigdy nie przestaną być kochankami, nigdy, przenigdy, bez względu na to, kim Robbie się stanie, ani jak często albo na jak długo życie ich rozdzieli, nigdy, przenigdy.

Wziął prysznic i ogolił się; cały przepracowany poranek gdzieś się ulotnił. Ubrał się. Stał na stopniach domu, zwijając papierosa i wspominając drobne szczegóły nocy i poranka, które przeminęły: teraz chyba wiedział, co czuły zakonnice, kiedy nocą lub podczas mszy przyjmował je uśmiechnięty Chrystus albo anioł, gdy wznosiły krzyki, przeszywane strzałami albo biorąc ogniste miecze na język: rozumiał jak trudno byłoby im rozróżnić między takimi doświadczeniami a tymi, które inni ludzie z krwi i kości z nimi dzielili.

On idzie ze mną, On mówi ze mną, On mówi mi, że jestem Jego. Pierce nie potrafił sobie wyobrazić takiego rozwiązania swoich trudności, ale jakimś rozwiązaniem to było. Nieważne, nieważne. Poszedł Maple Street w kierunku Hill Street, chociaż nie miał celu i nie potrzebował go.

W skrytce pocztowej znalazł tylko małą przesyłkę z Nowego Jorku; nie od razu rozpoznał pismo i adres. Owinięto ją w brązowy papier, który wcześniej był już wykorzystany do owinięcia czegoś innego. Obrócił ją w palcach, przez chwilę bawiąc się jej dziwnością.

Kiedy ją otworzył, problem nadawcy także odpakował się w jego umyśle, adres, jej zmienna dłoń. No pewnie.

Sfinks z Nowego Jorku wysłała mu w brązowym papierze pudełko od zapalek z restauracji; w środku upchnęła niesamowicie ciasno zwinięte trzy studolarowe banknoty. I jeszcze coś. Plakietka do przypięcia na koszulę, pewnie wyszperana na targu staroci. Przedstawiała wieniec małych różyczek, a słowa głosiły kościelną czcionką: „Radujcie się”.

Wziął plakietkę, czując w duszy zastrzyk szczęścia i miłości. Może nie miał racji co do trzech życzeń. A może wymyślając Robbie'ego i urzeczywistniając go, nie ukończył triady, lecz odkrył niespodziewaną plastyczność całego świata? Być może całe życie, marząc o tym czy tamtym, pieczołowicie tworząc życzenia albo wyjękując je w nocnej desperacji, wpadł na sposób; po tygodniach i miesiącach bezowocnego dmuchania przez zaciśnięte wargi nagle, choć nie zrobił nic odmiennego, odkrył, że gwizdże.

Czy zatem było coś jeszcze, o co dbał? Czuł obok siebie uśmiechającego się kosmicznego kelnera, długie menu, którego nie potrafił jeszcze odczytać, ale był tego coraz bliższy.

Na River Street spoglądał kątem oka na chłopców na rowerach, złociste czupryny, miodową opaleniznę i gibkość. Być może zgrabny nadgarstek, szczery uśmiech, pożyczony od tych dzieciaków, pomógł odziać w ciało Robbie'ego, który pozostawał nieprzyjemnie w pewnym stopniu bezcielesny. Ale ci prawdziwi chłopcy, namacalni, gdyby, gdyby. Nie. Takie podejście było nie do pomyślenia, wyobrażone doznanie odrzucające, a przynajmniej dziwnie nieprawdopodobne, jak jedzenie szarańczy albo kąpiel w mleku.

- Cześć.

- Cześć - odpowiedział Pierce. - Jak się grało?

- Nieźle.

- Dobrze.

Odwraca się od nich, widzi, że próbują ustalić, co to za wysoki, snujący się facet (nauczyciel? rodzic?); śmieje się wewnątrz i rumieni się. Nie, nie zaraził się przez noc nową perwersją. Nie chciał nowego typu ciał ani nowego typu podniecenia dla swojego znudzonego serca: chciał osoby, jednej, osoby żywej w jego oczach i towarzyszącej mu nawet teraz.

Mogę wyjść z miasta, pomyślał. Na końcu River Street można iść w dwie strony: na lewo wzdłuż lepszych rezydencji ku schludnym gospodarstwom i w górę wokół szczytu Randa; albo w prawo, przez most na Shadow River, przez biedniejszą część miasta, bardziej stromo w górę. Pomyślał, że zdecyduje, kiedy dojdzie do rozstaju. Którędy, synu? Ty wybierasz.

Ale kiedy dotarł do stopni biblioteki, która górowała nad River Street, ujrzał Rose Ryder - właśnie schodziła z torbą na książki przerzuconą przez ramię i papierami pod pachą. Oboje zatrzymali się naraz u stóp schodów. Księżyc, nieomal zbyt blady, by ujrzeć go na niebie ponad biblioteką, niepostrzeżenie wszedł w nowy znak.

- Mówiłam, że cię tu spotkam. Kiedyś.

- Tak - odpowiedział.

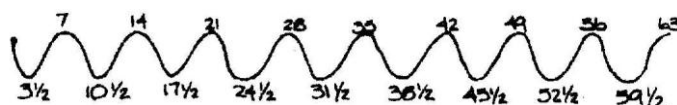
Naprawdę tak powiedziała i to niedawno, wznosząc się ponad Pierce'a i ponad ziemię w koszu balonu na gorące powietrze. Było to na festynie w Podniebnej Farmie, zorganizowanym dla uczczenia początku lata. Poza nią w koszu stał także Mike Mucho i jego córeczka. Balon nazywał się „Kruk”, był wielki i czarny. Pierce nieomal słyszał szum jego palnika na River Street.

TRZYNAŚCIE

Budowę darmowej biblioteki w Blackbury Jambs ukończono w 1898 roku; mieściła się w gmachu w stylu shingle z centralną kopułą i skrzydłami; założyła ją Fundacja Carnegie, a podwoje otworzyła czytelnikom czwartego lipca w huraganie chorągiewek. W holu znajduje się tablica gliniana z odciskiem łapy dinozaura; w sali dziecięcej fryz przedstawia północnoamerykańskie ssaki, które dziś już są tylko duchami i zaskakują podnoszące wzrok, niczego się niespodziewające dzieci. Znajdują się tu wszystkie powieści Fellowesa Krafta, a także kilka jego innych książek; czasem do nich zaglądał, sprawdzając ukradkiem, czy ktoś je wypożycza. Często korzystał z tej biblioteki, chociaż sam miał pełno książek, i Pierce trafił w końcu w jego biblioteczkę na kilka wypożyczonych przed laty pozycji.

Rose Ryder pracowała tu dwa lub trzy poranki w miesiącu, w dużym skrzydle na lewo od wejścia. Przyjeżdżała wcześniej i zajmowała miejsce przy długim stole pod zieloną lampą; wyciągała z torby plik papieru milimetrowego, stalową linijkę, naostrzone ołówki kreślarskie i kieszonkowy kalkulator, bez którego w starciu z matematyką zawsze ponosiła sromotną klęskę. Potem wstawała, podchodziła do niskich regałów na północnej ścianie (pod portretem George'a Washingtona), wyciągała któryś z tomów amerykańskiego słownika biograficznego i wracała na miejsce. Tam go otwierała i jak gdyby wróżąc sobie, kartkowała książkę, pozwalając stronom otwierać się losowo i z zamkniętymi oczami na chybił trafił wybierała palcem nazwisko. Jeśli biogram albo życie było zbyt krótkie, wybierała poprzednie lub następne.

Wtedy brała linijkę i kreśliła linię na całą szerokość papieru milimetrowego zielononiebieskim tuszem (który lubiła). Następnie, skrupulatnie licząc kwadraciki, kreśliła ostre parabole nad i pod linią - sinusoidalną falę. Zwykle robiła to poprzedniego wieczoru, ale nie tym razem, bo przepełniły go zwariowane wypadki. Na wierzchołku pierwszej paraboli napisała cyfrę siedem; na kolejnych wierzchołkach wielokrotności siódemki: czternaście, dwadzieścia jeden, dwadzieścia osiem, aż po ostatni rok życia, którego wykres kreśliła. Wyglądało to tak:



Według Mike'a Mucho, który wymyślił ten system, nie były to podziały arbitralne, lecz rzeczywiste jednostki składowe życia; Mike odkrył bowiem, że życie, ludzkie życie, składa się z siedmioletnich cykli wzrostu, szczytu, spadku i ponownego wzrostu. Rose rozpisywała wybrane życie na wykresie, dzieląc je na siedmioletnie części. Początkowe sukcesy, załamania, przełomy, porażki; małżeństwo, zwycięstwo na polu bitwy lub posiedzenie zarządu, choroba, powrót do zdrowia; nagłe olśnienia, przyptyw władzy albo rozpacz: wszystko odnotowane jej drobnym pismem na górach i dolinach podróży, jaką jest życie.

Kiedy to zrobiła, mogła rozpocząć bardziej subiektywną część pracy, którą uważała za kreatywną i w której była dobra: sprawdzanie, jak życie wypełniało - lub nie - przewidywania systemu (raczej jego wynalazcy) na temat swej natury i przebiegu, kształtującej siły jego siedmioletnich cykli. Kiedy skończyła i dane życie ukazało swój kształt, jego przypadki i wypadki pomagały doskonalić generalizację systemu. Przez jeden poranek miała czas rozmontować i złożyć w ten sposób cztery albo pięć zyciorysów. Ale nie tego poranka.

- Zamknięte. Na cały dzień - powiedziała do Pierce'a na stopniach biblioteki.

- Tak?

- Czwarty lipca - powiedziała, a gdzieś niedaleko strzeliły petardy. - Całkiem zapomniałam.

- No trudno. Chodźmy w takim razie na kawę. Obejrzała się na budynek i łopoczące flagi, jak gdyby mógł ustąpić i otworzyć przed nią drzwi; potem znów spojrzała na Pierce'a.

- Dobrze.

- To projekt długoterminowy, przy którym komuś pomagam - powiedziała do Pierce'a w Pączkowej Dziurce, nie do końca dobrze czując się w tej formule. - Komuś - dodała od razu - kto ostatnio stracił zainteresowanie.

- O?

Wzięła w palce i rozdzieliła na dwoje ciastko, wyglądając przez frontowe okno małego lokalu ku rzece. Zastanawiała się nad czymś, co - sądząc po jej twarzy - było żalem, a on czekał, czy zdecyduje się podzielić uczuciami.

- To nie fair - powiedziała.

- Mm.

- Kiedy projekt jest już na pewnym etapie, a ludzie bardzo się przyłożyli, żeby pomóc.

- Tak.

- W takiej chwili stracić zainteresowanie. - Spojrzała Pierce'owi prosto w oczy. -

Wiem, jak i co trzeba zrobić. Ale potrzebuję wskazówek.

- Oczywiście. A ta osoba...

- Psychoterapeuta. Klinika „Las”. - Zachłannie łyknęła kawy i odgarnęła gęste włosy, które opadły jej na twarz, gdy piła.

- Na czym dokładnie - zapytał Pierce; sądził, że wie, czyjego imienia ona nie chce wymienić - polega twoje zadanie?

- Praca badawcza. Zbieranie danych do modelu statystycznego.

- W dziedzinie...

Spojrzała w kierunku okna, dziwnie wykrzywiając usta.

- Możesz nie mówić, jeśli nie chcesz - Pierce dobrze wiedział, jak stresujące mogą być badania; laicy byliby zaskoczeni.

Zastanawiała się przez chwilę, potem wyjęła z torby stertę kopii i papieru zapisanego turkusowym tuszem.

- W dziedzinie życia - powiedziała i pokazała mu.

Życie, zaczynając się od zera, wspina się po stałej krzywej nauki i doświadczenia, napotyka wyzwania i przeszkody. W wieku siedmiu lat dzieci osiągają pewnego rodzaju mistrzostwo; stoją na płaskowyżu; wiedzą, czym jest świat, i wiedzą, że chcąc nie chcąc znajdują się w nim.

- Potem przychodzi zwrot - powiedziała Rose. Jej wyjaśniający ołówek dotknął wierzchołka krzywej.

Potem przychodzi zwrot nie tyle w dół, ile na zewnątrz (czego nie da się narysować), i nowe doświadczenie zaczyna zagrażać wczesnej syntezie. Dezorientacja i trudności.

- Rok Opadania, tutaj, gdzie przekracza się linię środkową i zmierza w dół. Niebezpieczny okres.

Fala przytłacza łódeczkę; młode życie musi brnąć. Osiąga nadir. Ołówek Rose stuknął w dno krzywej.

- Potem znów zaczyna się wznosić - powiedziała. - Najpierw powoli. Odkrywasz, że byłeś na dnie.

- A teraz już tylko w górę.

- W górę - powtórzyła, a jej ołówek wspinał się na następne wzgórze czy falę. - W tym miejscu przechodzisz linię środkową i przez następny rok układasz sobie wszystkie nowe trudne sprawy, dążąc do nowej syntezy. To jest Rok Przejściowy Wznoszenia się. To dość ekscytujące. Potem jest Okres Stabilizacji i wtedy się znowu wie, co jest czym, wie się, kim się jest, jakie są zasady istnienia w świecie.

- A potem?

Jej palec ruszył w dół.

- Rok Przejściowy Opadania. - Potem z powrotem w górę do dwadzieścia jeden. - Okres Stabilizacji. - Spojrzała na niego z satysfakcją.

- To naprawdę niesamowite.

- To dopiero początek, ale jednak.

Doskonale to rozumiał.

- Jest pewne, wiesz... To wszystko ma być bardzo...

- Milczę jak grób. To i tak nie jest moja działka - Pierce spojrzął na wykresy, które nie zdziwiłyby żadnego siedemnastowiecznego lekarza; mógłby im tego pozazdrościć. - A ta metoda nazywa się...

- Klimakteria.

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. Zawsze, gdy budził się szarą nocą i rozmyślał, że świat nie jest już przydatny dla praktyk, których sprzedaż tuzinami obiecywał Julie Rosengarten, zawsze, gdy czuł się zakłopotany lub zawstydzony swoim zainteresowaniem magią, ktoś wyjawiał mu system znajdowania ukrytych skarbów albo zapraszał go do równoważenia aury czy definiowania życia mistycznymi liczbami. Klimakteria!

- Wielkie Klimakterium... - powiedziała.

- To sześćdziesiąt trzy. Siedem lat później...

- Można iść jeszcze dalej.

- Można - powiedział, śmiejąc się.

Nie obraził jej ten śmiech, nawet sama się uśmiechnęła, po czym zajęła się piciem kawy. Spoglądali na siebie; odłożyła papiery i potrząsnęła głową, uwalniając włosy z jakiegoś zaczepienia.

- A ty co tu robisz?

- Też badanie naukowe.

- Och.

- Czy nie powinienem być ostrożniejszy? Nie, trzeba spłacać dług. Ty mi powiedziałaś. Moją pracę trudno opisać. Jest też troszkę szokująca.

- Och, daj spokój.

- Intymna. Oczywiście, jesteś profesjonalistką. Na pokrewnym polu, więc.

- Więc?

- Zajmuję się magią.

Położyła filiżankę na spodku.

- Magia. Nie masz na myśli sztuczek z kartami. Houdini i te sprawy.

- Nic z tych rzeczy - powiedział i umilkł, uśmiechając się z otwartością, ale bez wychodzenia naprzeciw, pozwalając, by patrzyła nań w zdumieniu. Czuł w sobie cudowny spokój i panowanie nad mową, których rzadko dostępował; wiedział, że to dlatego, iż Robbie był blisko, zaledwie jedną duchową przecznicę stąd.

- Wiem - powiedział - że słowo „magia” trudno wypowiedzieć głośno.

- Tak?

- Tak, jeżeli o to chodzi. To słowo nieco hańbiące. Jak seks.

- Jak seks? - Zaśmiała się.

- Chodzi mi o to, że to coś, co trzymamy na dystans. Choćby nawet wiele to dla nas znaczyło, albo właśnie dlatego. Takie są po prostu reguły grzeczności. Nie mówi się o tym serio. Nie dyskutuje się o tym na serio.

- Brzmi to wszystko trochę tak, jakbyś sądził, że magia działa.

Nachylił się ku niej i zaczął mówić bardziej natarczywie.

- Magia nie jest jedna. Jest iluzja, jak sama powiedziałaś: Houdini. I cuda, machnięcie różdżką, masz, co sobie życzysz, ten rodzaj magii jest tylko w opowieściach. Ale istnieją inne rodzaje, które stosowano naprawdę. Przez wieki. Trudno uwierzyć, że ludzie zadawali sobie tyle trudu przez tak długi czas, gdyby to, co robili, w ogóle nie działało.

- Jak cyrografy z diabłem? Czarownice?

- Nie. Ten rodzaj magii działałby tylko wtedy, gdyby istniał diabeł, który mógłby pomóc. Wierzysz w to?

- Za wcześniej na to - zaśmiała się. - Zaklęcia?

- Ach. - Wyciągnął tytoń i bibułki i zaczął skręcać papierosa. Magia to trudne słowo, zawsze tak uważał, hańbiące przez swoją moc, moc sprawiania między innymi, że jesteśmy śmieszni, kiedy bierzemy je na serio. Jak seks. - Zaklęcia wymagają przynajmniej ludzi. Jedna osoba rzuca zaklęcie, druga jest jego obiektem. Nazywa się to magią intersubiektywną.

- Można się jej oprzeć.

- Zgadza się. Są skuteczniejsze sposoby sprawienia, by ktoś zrobił coś, czego nie chce. Można zabronić jej wstępu; można jej się oprzeć, można zaprzeczyć roszczeniom maga do władzy. Jeśli ktoś się oprze, wszyscy się zgodzą, że on niczego nie potrafi. Może on jednak, znając tajemne źródła ludzkiej natury i dzięki swoim mocom, sprawić, żeby bardzo trudno było się oprzeć.

- Tak?

- Mag musiałby wiedzieć najpierw, jakiego typu masz duszę i czy podlega ona wpływowi magii. Nie każda podlega.

- Skąd by to wiedział?

- Wiedziałby. Widziałby. - Pierce zaczął teraz improwizować, wcześniej nie myślał o tym. - Niebezpieczeństwem dla wielkiego maga byłaby wrażliwość na wpływ innych osób. W ten sposób jego kontrola jest jeszcze bardziej heroiczna.

- Hm. - Słuchała bacznie, chociaż niekoniecznie jego.

- Oczywiście niemożliwe jest posiadanie pełnej wiedzy o duszy innego człowieka, więc trzeba przekonać osobę, której duszę chce się związać, że posiada się taką wiedzę.

- Iluzja? Myślałam, że mówiłeś...

- Każda magia czerpie z iluzji: dzielonej iluzji. - Przesunął rachunek na kraj stolika. - Trzeba mieć wiarę. Tak powiedziałem.

Zdawała się rozważać to w milczeniu, a może coś zupełnie innego, związana własnym zaklęciem; jej dłoń bez celu dotykała karku i kołnierza, aż trafiła na rozpięty guzik, druga dłoń pospieszyła na pomoc.

- Nie - powiedział Pierce. - Zostaw.

Jej dłonie zatrzymały się w połowie czynności, a oczy, ku którym Pierce wygłosił polecenie, choć nie straciły na przejrzystości, zrobiły się niewidzące.

Potem położyła ręce na stole, odwracając wzrok, z podniesioną głową; przez chwilę oboje milczeli.

- Powiedz mi - zaczął Pierce, ale tylko odchrząknął, nie mając tak naprawdę nic do powiedzenia, mówiąc tylko po to, by zamaskować swoje zdumienie własną śmiałością i jej efektem. Mój Boże, to prawda.

Trzask i huk petard wstrząsnął nimi. Roześmiali się. Chwila przeminęła, a jednak werniksowany stolik z sosnowego drewna, przy którym siedzieli, nadal lewitował, nie dużo, ale troszeczkę, a do tego obracał się jak startujący helikopter w podmuchach wiatru ku czemuś; ruchem zbyt słabym, by przyprawić o zawrót głowy, ale wyczuwalnym.

Wyszli na River Street. Biblioteka była na lewo; na prawo było ulica, wiodąca prosto ku jego mieszkaniu.

- A więc on... ty planujesz książkę?

- Co?

- O okresach klimakteriów.

- A. No cóż. Nie było o tym mowy. W ogóle to mowy o tym, co ja robię, nie było od

t y g o d n i.

- To wydaje się naturalne - powiedział, dostrzegając żal w jej głosie. - Naprawdę.

Naprawdę. Już widział jej krzykliwą okładkę na stoisku z książkami w sklepie wielobranżowym. *Klimakteria: twój nowy antyczny przewodnik po cyklach życia.*

Spojrzała na niego, usta miała rozchylone, ale niepewne, czy się uśmiechnąć, czy może zaśmiać w oczekiwaniu na więcej.

- Tak się składa, że reprezentuje mnie agentka, która dokładnie takimi książkami się zajmuje. Bardziej niż czymkolwiek, co ja...

- Ale to nie jest książka - powiedziała Rose, idąc z nim na prawo. - To jest, hm, technika. On to tak nazywa.

- To jeszcze nie jest książka. Książki łatwo się robi. Słuchaj, gdybyś potrzebowała pomocy w części historycznej, porady. Jakichś źródeł do przejrzania. Mówię serio.

- No cóż - odpowiedziała, śmiejąc się z jego natarczywości.

- Hej - powiedział, dotykając w łokieć kierując ją ku swojej ulicy. - Badania naukowe mają wielką przyszłość.

Wkrótce stanęli u drzwi jego dziwnego mieszkania, ciągu trzech pomieszczeń: kuchni, saloniku i (największego) pokoju, który był zarazem sypialnią i gabinetem, gdzie Pierce pracował: zavalone biurko, elektryczna maszyna do pisania i pełno książek.

- Pracujesz w łóżku? - spytała z rękoma w kieszeniach, stojąc na progu. Pierce zaśmiał się, szukając odpowiedzi. Łóżko było wielgachne, zasypane poduszkami w ciemnych poszewkach z tureckim wzornictwem.

- Masz też werandę - zwróciła uwagę. Wskazała palcem na drzwi, za którymi stał wciąż nieposłany szezlong Robbie'ego, gdzie Pierce spędził poranek. - Ładnie.

- Tak. Wszystko, czego potrzebuję. - Czy Robbie był na niego zły? Sprawdził. Nie, nie był. Właściwie to był zaciekawiony; nawet chętny. Pierce czuł ciepło jego zainteresowania, wielkie oczy i krzywiznę ust, i prawie się roześmiał z radością i zapalem pewnej mocy.

Ty, mały.

- Książki - powiedziała.

- Książki.

Patrzył, jak wchodzi do sypialni, dotykając ich dłonią, muskając grzbiety koniuszkami palców; skojarzyła mu się z nurkiem, badającym rafę koralową albo zatopiony wrak.

- Wiesz, nie zapomniałem nigdy tamtej imprezy nad rzeką. Zeszłego lata.

- Aha - mruknęła.

- To zabawna historia. Co ja sobie wtedy myślałem. Opowiem ci kiedyś.

Spojrzała na niego z wyrazem całkowitego niezrozumienia i sennego braku zainteresowania, jak gdyby nie miało to z nią nic wspólnego.

- Myślę o tym często. O małym domku. O włamaniu.

- Mały domek?

Patrzył na nią na tyle chłodno, na ile potrafił pośród przepływających już między nimi prądów, i poczuł dziwną pewność:

- Nie pamiętasz, prawda? - spytał, uśmiechając się.

- Czego?

CZTERNAŚCIE

Tego ranka Rosie Rasmussen obudziła się z uśmiechem i zadowoleniem, nie od razu wiedząc dlaczego. Kiedy Sam (która ją być może obudziła, kręcąc się w pokoju obok) ujrzała, że matka już nie śpi, stanęła przy łóżku, szczerząc ząbki, i Rosie przypomniała sobie swój sen, absurdalnie pornograficzny, niemożliwy, a satysfakcjonujący.

- Czemu nie śpisz, mamó?

- Czemu nie śpię! Właśnie mnie obudziłaś. Czemu ty nie śpisz?

- O to mi chodzi.

- O .

Śniło jej się, że mieszka na jakiejś rajskiej wyspie albo planecie w ciepłych, słonecznych lasach zaludnionych przez ludzi, a raczej olbrzymie istoty o wyglądzie ludzi; w jej pamięci wydawały się raczej owocami, nagrzanymi słońcem, o gładkiej skórcie, różowej jak u niemowlęcia. Ona sama należała do innego gatunku, żeńskiego, drobnego, szybkiego i cwaneego, który żył z mężczyznami i z mężczyzn; jej podobne spędzały czas, próbując wzbudzić podniecenie u wielkich, dziecinnych samców i wywołać u nich wzwód, a potem im obciążać - nie tylko dla seksu i prokreacji, ale i odżywiania. Powolność i nijakość mężczyzn sprawiała, że trzeba było wszelkich pieszczot i karesów, aby raczyli choć dostrzec maleńkie samice przy robocie.

Jej się jednak udało. Pamiętała jego słodki, senny uśmiech, kiedy patrzył, jak wdrapuje się nań, nie miał nic przeciwko, ale nie zwracał też większej uwagi, jak dojna krowa (jak było możliwe, że zmieściła go w dłoni i ustach pomimo różnicy rozmiarów, tego sen nie wyjaśniał, to po prostu było możliwe, nawet łatwe). I pamiętała, jak nareszcie dryblas spuścił na nią swą powódź, jak trysnęło z otwartych śluz zapory: a potem rozkosz, która wypełniła ją we śnie, wypełniła ją znowu, zdumienie, sukces, spełnienie, odżywienie, wszystko razem, co za wariactwo.

- Słoneczko mnie obudziło - powiedziała Sam. - Wbiło mi się w oko.

- Jedno oko na Maroko.

Co za wariactwo. Przecież na jawie rzadko to robiła, była w tym dobra, ale to on, nie ona, miał z tego największą radość. I ta kleista breja, bądź dzielna, to jak połykanie lekarstwa.

Ale nie Mike: kiedy przychodziła jego kolej, on nurkował bez oporów.

- Będzie dzisiaj tata?
- No.
- Co będziesz robiła?
- A pójdę gdzieś.
- Z kim?
- Może sama?
- Ze Spoffordem?
- Może.

Dlaczego mężczyźni lubią zadowalać kobiety oralnie? Dlaczego ją to dziwiło? Nagle ukazał jej się ciemny głaz - głowa Mike'a uwięziona między jej nogami, czasem unosząca się na chwilę, by szukać wzrokiem jej aprobaty, i zezująca z rozkoszy: dlaczego? Ona wiedziała, co jej się w tym podoba, ale jemu?

- Tak czy siak obie się już obudziłyśmy, to wskakuj.

- To wskakuję - powtórzyła Sam z piskiem radości. Wspięła się ze śmiechem na łóżko i weszła pod kołdrę.

Jej ciepłe od snu nóżki łaskotały Rosie, jej rączki ochoczo obejmowały szyję matki. Rosie wiedziała, obejmując córeczkę, że to, o czym śniła, to nie był wcale Seks Oralny, ani nawet w ogóle jakikolwiek seks, ale karmienie piersią. Nie obciąganie, lecz odciąganie.

Matka przedzierzgnięta w powolnego, łagodnego, dziecinnego mężczyznę, a on sam w dziecko. Wiedziała to, ponieważ wiedziała, dotykając Sam, że tak naprawdę śniła właśnie o tym. A może także o własnej matce: czy ktoś może sięgać pamięcią tak daleko?

- To twoje piersi? - spytała Sam, dotykając paluszką obszernego t-shirtu Rosie.

- Tak.

- Ja też mam. Widzisz?

Uniosła koszulkę i pokazała nieotwarte pączki piersi.

- Tak. Widzę.

- Żeby mój dzidzius miał mleko.

- Aha.

Mike zawsze twierdził, że pamięta dotyk matczynej piersi w ustach, nacisk sutka na podniebienie; mówił o tym ze szczególnym zadowoleniem, niezłe osiągnięcie (Rosie zawsze tak uważała), jak na psychoterapeutę.

A może w takich sytuacjach tym uśmiechniętym mężczyznom wcale nie chodziło o seks; może chodziło o mleko matki i po prostu coś im się pokręciło.

Zaśmiała się, zatrzęsła, co rozbawiło Sam.

- Mamo, czy Rose przyjdzie z tatą?

- Jej, nie wiem, słoneczko. Rose już chyba nie ma w tej bajce.

- Ona umie robić francuski warkoczyk.

- Tak? No proszę.

- Chodźmy na dół, mamusiu.

- Nie podoba ci się tu? Mnie się podoba - powiedziała Rosie, nie mając ochoty wychodzić z pościeli, ogrzana tak dogłębnie, jak na to pozwalała tylko wiedza otrzymana we śnie.

Kiedy Sam była niemowlęciem, Rosie doszła do wniosku, że karmienie jest poniekąd jak seks; dopiero teraz jednak pomyślała, że seks jest jak karmienie. Nie „jak”: w tym tkwi cały sekret, o tym przekonał ją sen: seks w istocie był karmieniem, nie różnił się niczym. To, co zawsze uważała za dwie różne rzeczy, w istocie było tym samym: seks, opieka, ssanie, sukurs²⁴, pociecha: wszystko to samo. Tak!

- To chodźmy.

- Okej, okej.

To, co wszyscy czuli, nawet ci najpowabniejsi, zwłaszcza ci najpowabniejsi, i nazywali seksem, było tylko rozkoszą pociechy i sukursu, zapamiętałością opieki, satysfakcją nawilżonego korzenia. Tym jest seksowność. Seks wykorzystuje tylko tę rozkosz na własny użytek, do robienia dzieci.

Robienie dzieci, które pragną opieki i sukursu. Ponieważ gdybyśmy nie chcieli oferować i otrzymywać opieki i sukursu, gdyby to nie było to, czego przede wszystkim pragniemy, ssać i dawać ssać, dawać życie i brać życie, to nie byłoby nas tu wcale. Prawda? Gdybyśmy nie chcieli tego mniej więcej stale. Prawda?

Sukurs przyszedł jej na myśl nieproszony, nie była pewna, co miał wspólnego ze ssaniem, ale pomyślała, że o to właśnie chodziło: o tym właśnie marzyła we śnie. Boże, to było tak oczywiste, tak oczywiste, że kiedy tylko sobie to uświadomiła, zdało jej się, że wie to od zawsze; tak proste, że albo wszyscy o tym wiedzą, albo nikt. Prawdopodobnie wszyscy; prawdopodobnie wszyscy dowiadywali się tego automatycznie w miarę upływu lat, nie uważając nigdy, że trzeba o tym mówić, prawdopodobnie nikt nie odczuwał potrzeby powiedzenia jej tego.

- Ene, due, rabe, Chińczyk goni babę.

²⁴ Wykorzystane tu zostało pozorne podobieństwo angielskiego *succor* do słowa *sucking* - ssanie, obciąganie.

- Żabę, skarbie, żabę.

Sam zapiszczała z radością z własnego wynalazku i ześlizgnęła się z łóżka. Rosie wygrzebała się za nią i złapała ją, śmiejąc się i próbując uciszyć.

- Ene, due, rabe - krzyczała Sam - Chińczyk goni babę!

Przenosi Sam na barana przez mrok salonu, zatrzymuje się przy trójnogim stoliku, na którym leży wielki słownik.

Sukurs. Czy to chmura przesłoniła słońce? Nie, to jej własny cień wchodzący między nią a dzień. Stary znajomy cień, cześć.

- Co to za książka?

- Słownik. Tu są wszystkie słowa.

Nie: nic o ssaniu, tylko pomoc, wsparcie, ulga w potrzebie lub w kłopotcie. Od *succurrere*, śpieszyć na pomoc. Śpieszyć, śpieszyć.

Kto pośpieszy jej w sukurs? Sama chętnie z nim przychodziła, zawsze to potrafiła, nie było w tym nic nadzwyczajnego, miała go w bród, wystarczył gest. Chodziło tylko o to, kto to będzie?

Nagle pomyślała w konwulsji mrocznego, sprzecznego doznania: *Nikt, tylko ty sama.*

Nie wiedziała jednak, jak to zrobić. Może Cliff wie. Gdyby Cliff polecił jej zrobić listę, jak wcześniej Spoffordowi, to właśnie by się na niej znalazło.

Jeżeli Rose Ryder nie było już w tej bajce, to Mike na pewno zmienił swoje przyzwyczajenia. Samochód, który zajechał przed Arkadię po Sam, nie był małym aspem Rose, jak zwykle w ostatnich miesiącach, ale vanem należącym do „Lasu”, przysadzistym i lśniącym o poranku rozbrzmiewającym brzęczeniem pszczoł. Dojechał tylko do zakrętu, zatrąbił radośnie i Sam podskoczyła, zawsze skora przejechać się nowym środkiem lokomocji.

- Buziaka? - powiedziała Rosie i Sam odwróciła się, przepelniona radością, nadzieją, miłością, i pożegnała ją wesoło; czy ten sposób życia mógł okazać się naprawdę w porządku? Kiedy otwarły się przesuwne drzwi i Mike wyszedł po Sam, Rosie ujrzała, że w samochodzie są jeszcze inne osoby: trzy, cztery? Barwione szyby i jasny poranek utrudniały zajrzenie do środka pojazdu. Mike uniósł Sam w powietrze, wysoko, aż zapiszczała; potem wsadził ją do środka. Rosie patrzyła, jak znika i zatrząskują się za nią drzwi.

Cześć, Mike; nawet nie pomachał na powitanie.

Kim byli ci ludzie? Mieli na sobie białe koszule z krótkimi rękawami i krawatami, ale bez marynarek, schludne włosy. Schludne uśmiechy. Kogo jej przypominały, gdzie, kiedy? Sportowcy, akwizytorzy, albo. Nie mogła ich rozpoznać.

- Pa, pa! - zawołała i pomachała, nie mając pewności czy Sam patrzy w jej stronę. - Pa, pa!

Van odjechał.

W tym problem, pomyślała: że czasem chce się uciec od miłości, spróbować zerwać więź, a przynajmniej naciągnąć ją, by się rozluźniła. Tylko po to, by się przekonać. To było najtrudniejsze dla serca takiego jak jej, nie to, że można nie kochać ani nie dawać miłości, ale że nie można tego uniknąć, nie można wyzwolić się ze stałego wiatru miłości wokół, znaleźć schronienia. Kiedy Mike wziął Sam w ramiona, Rosie to wiedziała: pustkę w jej piersi powodowała miłość, czy raczej coś, co szwankowało u niej z miłością. Próbowwała zaleczyć ranę, kryjąc się przed miłością, ale to tylko zaogniało ją, ponieważ nie dało się uciec, nikt nie potrafił uciec. Nawet jeśli ktoś zostanie mnichem albo samotnikiem, zawsze będzie wiedział, że zrobił to z powodu seksu, dzieciaków i unikania takich spraw; a poza tym za człowiekiem zawsze stoją rodzice, którzy go poczęli, ojciec biorący dziecko w ramiona.

Z jakiegoś powodu przyszedł jej na myśl Pierce Moffett, w tak oczywisty sposób spragniony drugiej osoby, rozprawiający z głupkowaną dumą o pogodzeniu się z brakiem potomstwa i w tym samym czasie usychający w zawiści, której nawet nie dostrzegał; nie był złym człowiekiem, był tylko nieświadomy tego, o czym nie mógł się dowiedzieć. Tego, co rodzice wiedzą o miłości, a czego nie mogą powiedzieć innym, którzy myślą, że to projekt albo przedsięwzięcie, pasja, konkurs, gdzie wygrywa się albo przegrywa. A to nieprawda. To był raczej wiatr, nieustanny wiatr, wiatr, od którego nie można trzymać się z dala.

Miłość. Chciała stworzyć obraz, obraz miłości, ludzi, rodziny, żyjącej i pracującej, ale stojącej w tym niezmiennym i niewidocznym wietrze. Oczywiście tego się jednak nie da zrobić. No bo jak namalować niewidoczny wiatr?

Pomyślała nagle, że coś takiego już istnieje, w obrazie Giorgione *Burza*: troje ludzi, mężczyzna, kobieta i dziecko, pod ciemnym i rozświetlonym błyskawicami niebem. On ze swoim orężem z boku, pozostała dwójka razem, dziecko ssie pierś, nieświadome niczego. Rodzina, bez wątpienia, samotna razem w wietrze miłości. Serce Rosie przepełniła żalność; zaszlochała.

W mrocznym domu za jej plecami rozbrzmiał budzik i zaraz ucichł. To u Boney'ego, przypomina, żeby wziąć poranną tabletkę. Rosie przetarła oczy rąbkiem koszulki. Trzeba go odwiedzić, sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje; i powiedzieć (czuła się winna, chociaż on nigdy nie miał nic przeciwko, nawet tego nie sugerował), że nie będzie jej cały dzień. Że będzie ze swoim kochankiem.

Podniosła się, weszła do chłodnego i pełnego zapachów domu i przeszła korytarzem

do gabinetu Boney'ego, który od dwóch tygodni służył mu także jako sypialnia. Kiedy zastukała i otworzyła drzwi, podniósł wzrok zaskoczony, drżący w sposób, który ją przerażał; wciąż bała się, że nagle mu się pogorszy i że będzie musiała przyjść mu na ratunek, czego nie potrafiła sobie wyobrazić.

- Witaj - powiedziała. - Jak się masz?

Sprawiał wrażenie, że zastanawia się nad tym pytaniem, a może go nie dosłyszał; ciągle badał ją wzrokiem. Usiadł na szeszlengu, w swoim ładnym i ekstrawaganckim zielonym kimono ze szczerzącym zęby smokiem na plecach, z białym ręcznikiem wokół szyi.

- Chciałam ci powiedzieć, że umówiłam się na dzisiaj. Poradzisz sobie? Pani Pisky przyjdzie w południe.

- Oczywiście, w porządku, tak.

- Potrzeba ci czegoś? Mogłabym...

- Nie, niczego, Rosie. Chciałem ci powiedzieć. - Czekala, a on zbierał siły; ale potem tylko wskazał książkę, którą trzymał na kolanach. - Przeczytałaś to?

Rozpoznała tytuł: *Smutku, rozgość się*, wspomnienia Krafta wydrukowane własnym sumptem, które Boney podsunął jej, gdy zaczęła pracę dla Fundacji.

- Podczytywałam - powiedziała oględnie, pożyczając wyrażenie Pierce'a.

Podał jej książkę; ręce drżały mu bardziej niż zwykle, tom wyglądał w nich jak schwytyany ptak. Rosie zaczęła czytać pierwszy pełny akapit.

Zawsze sądziłem, że wielu ludzi z przeszłości - XVI wieku, ludzi władzy i odpowiedzialności - nosiło w sercach niezbywalny smutek. Wystarczy spojrzeć w oczy portretów - nawet oficjalni malarze, którzy mieli im schlebiać, często to wylapywali, jakąś tęsknotę, niespełnienie. Psychiatrzy powiedzieliby dziś, że to nic zaskakującego, biorąc pod uwagę okropne dzieciństwo, które przetrzymać musiała większość dziedzicznych arystokratów, przekazywanych opiekunkom i guwernerom, wysyłanych na rezydencję do innych nie zawsze im przyjaznych magnatów, poddawanych niekończącym się rytualnym zobowiązaniom, mających świadomość, że rodzice są ofiarami kłosań, że są mordowani, a czasem i sami knują przeciw własnym dzieciom.

- Tu chyba nie dotarłam. Nie pamiętam tego.

Być może to właśnie ten nieusuwalny smutek wewnętrzny, bez względu na przyczynę, wzbudził w tak wielu z nich upodobanie do klejnotów. Stanowiły dla nich coś, do czego można tęsknić, stanowiły, jak sądzę, spełnienie samo w sobie.

Wiersze i opowieści pełne są nużących wyliczeń i opisów klejnotów. A zarazem ani jeden klejnot nie uleczył ich ani nie ukoił niepokoju, więc wciąż szukali kolejnych, wydawali na nie fortuny - na te małe, zimne obietnice spełnienia.

Wierzono, że rosną, podobnie jak istoty żywe (i rzeczywiście niektóre kryształy żyją) głęboko w trzewiach gór, związane w matrycy albo w łonie zwykłej ziemi i kamienia; klejnoty takie dorosły (będąc wcześniej, jak sądzę, zwykłymi otoczakami lub grudami), by stać się wreszcie doskonałymi bądź prawie doskonałymi: niezmiennymi, jak nic innego pod księżycem. W pewnym sensie osiągnęły życie wieczne. I być może owi łakomi kolekcjonerzy uważali, że pewnego dnia jeden z nich znajdzie w górach albo zmusi do zaistnienia w alchemicznych piecach, albo odkryje w splądrowanych zbiorach wrogów coś bajecznego, co przekaże swoją nieśmiertelność prosto w serce tego, który będzie to coś nosił.

- No cóż - powiedziała, opuszczając książkę, wciąż nie rozumiejąc jego natarczywości.

- Tam jest dopisek.

Spojrzała na stronę, myśląc, że chodzi o dopisek Krafra. Nie. Chodziło o przypis małą czcionką u dołu prawej strony.

Oczywiście, jeśli ktoś zna lokalizację albo proveniencję takiego klejnotu, powinien być na tyle mądry, by samemu nim pogardzać, a zarazem nie oferować go ani nie ujawniać innym. Wszyscy znamy te historie. Teraz jesteśmy mądrzejsi, a przynajmniej powinniśmy być, a także i ukontentowani naszymi siedemdziesięciu laty - wydłużonymi tylko przez *lapis lapidarium* naukowej medycyny. Ja w każdym razie pozwolę leżeć spokojnie mojej śpiącej ropusze i nie wezmę jak głupiec jej klejnotu.

Rosie opuściła książkę. Boney był w oczywisty sposób oszołomiony, ale Rosie nie wydawało się możliwe, by sprawił to ów przypis.

- No więc? - spytała łagodnie.

- No więc wiedział. Nawet wtedy.

- O czym?

Spojrzał gdzieś w bok, nie chcąc odpowiadać. Otwartymi ustami wciągał powietrze. Rosie przemknęło przez głowę: może wariuje. Demencja. Trzeba zapytać Mike'a. Poczula ukłucie żalu, to było nie fair: otrzymać życie tak długie, że w końcu się psuje.

- Dobrze spałeś? - spytała niemądrze, próbując skłonić go do zmiany tematu, jak to czasem udawało się z Sam.

- W ogóle nie śpię. Boję się, że się nie obudzę. - Próbował wstać z szezlonga, ale nie mógł się podnieść; Rosie podała mu dłoń. Chwycił ją. Stracił przez ostatnie dwa tygodnie na wadze, ale to nie miało znaczenia: wciąż był ciężki, jeśli trzeba go było postawić na nogi.

- Patrz - powiedział. - Patrz tutaj.

Podszedł do biurka. Leżały tam trzy sterty papierzysk, Rosie rozpoznała pismo Krafta: małe, schludne litery i długie ogonki. Boney położył dłoń na jednej z nich, jak gdyby zamierzał złożyć przysięgę.

- Miało być gdzieś tu, to znaczy tam, coś: Kraft mówił, że wie, co to jest, a przynajmniej, gdzie to jest. Coś zrobionego, znalezionego czy coś. I to było to.

- To?

- Klejnot. Albo coś takiego. Tak mówił.

Rosie patrzyła, jak Boney spogląda na stery niebieskiego peluru i rozdarte koperty.

- Zostawię to tu - powiedział. - Przyjrzyj się. Zobaczysz. Mówił, że przywiózł to do domu.

- To tylko historia - powiedziała łagodnie.

- Próbowałem i próbowałem, Rosie, ale już nie mogę. Nie mogę znieść, że cię tym obarczam, naprawdę. Ale po prostu. - Trzymał się na nogach, podpierając się dłońmi o biurko, ramiona drżały mu z wysiłku. Zdawał się bliski łez. - Dlaczego czekałem. Dlaczego. Dlaczego.

- Słuchaj, Boney. Nawet jeśli myślał, że coś znalazł, to był w błędzie.

Boney podniósł na nią wzrok z dziką nadzieją albo strachem w oczach, Boże, co z nim zrobić.

- Przecież nie żyje. - To wydawało jej się oczywiste. - Zachorował i umarł.

Roześmiał się, Rosie zawtórowała mu z radością. Odwrócił się od listów na biurku, pomogła mu wrócić na kanapę.

- Oczywiście, och, oczywiście. - Położył się na poduszkach. - Dlaczego jeden staruch, jeden niczym się nie wyróżniający staruch miałby, dlaczego. Przecież wszyscy inni odeszli, wiemy to, prawda? Tylko głupiec myśli, że może istnieć jakieś... - Znów podniósł książkę Krafta; zaczęła stukotać na jego kolanach. - Och, mogę to powiedzieć, mogę. Ale.

- Ale to...

- Ale muszę wiedzieć, co miał na myśli. Muszę wiedzieć. Żebym mógł...

Umrzeć, pomyślała Rosie. Usiadła na krześle obok kanapy, wzięła książkę i zamknęła.

Klejnot zdolny wypełnić pustkę w sercu. Jak to możliwe, że Boney tak bardzo pragnął życia, po prostu życia, podczas gdy ona pragnęła go tak mało? Opowiadano historię kobiety, która zgodziła się pójść w zaświaty zamiast męża, tylko dlatego, że on nie chciał. Dawno, dawno temu decyzja kobiety zadziwiła Rosie, ale może ta opowieść skrywała inną, nieopowiedzianą, być może nie miało to dla niej większego znaczenia: zostać, iść, bez różnicy, przynajmniej takiej, która sprawiłaby, że nie można być miłym dla kogoś, komu zależy bardziej.

Odezwał się, nie do niej, zbyt cicho, by mogła usłyszeć. Nachyliła się.

- Słucham? - szepnęła. - Boney?

- Po prostu nie chcę umrzeć - powiedział i Rosie zobaczyła, że łzy znowu wezbrały w zaczerwienionych kieszonkach jego oczu. - Nie chcę. Nie rozumiem, dlaczego muszę.

Ścisnął ją mocno za nadgarstek, jak gdyby chciał zakotwiczyć się na tej planecie. Sukurs.

- Boisz się? - spytała, nie wiedząc, o co innego może zapytać, jak brzmi właściwe pytanie, które mogłoby go ukoić, jeśli takowe w ogóle istniało; wstrząśnięta i zafascynowana, że mógłby chcieć tego od niej, że sam tego nie wiedział, że można było znaleźć się tak blisko kresu opowieści i wciąż nie wiedzieć.

- Po prostu nie chcę - powiedział. - Nie chcę. - I dreszcz przebiegł po barkach Rosie. Jego głos był straszliwie, niesamowicie podobny do głosu Sam, gdy mówiła, że nie chce iść do Beau, nie chce iść spać. Pełen cierpienia i samotności i to bez powodu, bez żadnego powodu.

Nie puścił jej nadgarstka. Czy mogła powiedzieć mu, żeby był odważny; czy sama będzie odważna? Jej ojciec wymknął się z życia, jak gdyby uciekał od czegoś nieprzyjemnego, zmywania na przykład, przepraszam, mam spotkanie, nie mogę się spóźnić.

Okrucieństwo sytuacji tkwiło w tym, że zdaniem postronnych Boney zdobył już to, co zapewnia wieczne życie; jak gdyby już dawno temu umówił się z życiem, że uniknie wszystkiego, co zużywa innych ludzi: dzieci, małżeństwa, pracy i wszystkiego, co mogłoby go zająć, pochłonać, a w zamian jego czas miał rozciągać się w nieskończoność; być może tak właśnie się stało i jak król Midas otrzymał, co chciał, a teraz nie mógł cofnąć życzenia.

Nie odezwał się już. Rosie siedziała z nim długo w starzejącym się poranku, trzymając go za rękę, kiedy znowu zaczął rozpaczać, aż wreszcie na podjeździe pojawiła się furgonetka Spofforda.

PIĘTNAŚCIE

Trzy szczyty wznoszą się nad niskimi, zielonymi wzgórzami Faraways, strzegąc ich i stanowiąc punkt odniesienia, Merrow na północny wschód, po drugiej stronie Blackbury, Whirligig na zachód, odcięta Doliną Cienia od Randy, największego i najstarszego z trzech szczytów, przyjemnie położonego w środku niczym zamek pośród wież.

Rosie Rasmussen urodziła się w Faraways, jednak kiedy miała dziesięć lat, jej rodzina przeniosła się na Środkowy Zachód, do miejsca, gdzie nie było żadnych gór, a wzgórze - *hill* - było terminem grzecznościowym (galeria handlowa Hill Crest, osiedle Zielone Wzgórze). Często nie uświadamiała sobie, że znajduje się na górskim zboczu albo że wjeżdża na którąś z gór i czasem dziwiło ją, gdy wyjeżdżając zza zakrętu odkrywała, jak wysoko wjechała. Spofford zawsze wiedział: gdzie stoi, gdzie jest następna dolina, jaka droga przez nią prowadzi.

- No, jak się mieszka tutaj całe życie - powiedział, obracając kołem kierownicy obiema rękami na ostrym zakręcie w górę.

- Ale ciebie tu nie było - powiedziała Rosie - tyle lat. Sporo czasu spędził gdzie indziej: dwa lata w wojsku, dwa w Azji Południowo-Wschodniej (inne wzgórze, inne doliny), dwa w Nowym Jorku. Rok czy coś koło tego (Rosie nigdy nie potrafiła dopasować tego do jego życiorysu) w jakiegoś rodzaju klinice, pewnie nieco bardziej rygorystycznej niż „Las”, niebędącej jednak domem wariatów: on sam rzadko do tego nawiązywał i nie zachęcał do zadawania pytań.

- Odkryłem, że to coś, co pozwala mi zabijać czas - powiedział i Rosie odgadła, o jakim to czasie mógł mówić. - Stojąc na krańcu sadu, mogłem powiedzieć, co jest za mną, gdzie jest północ, wschód, dokąd prowadzi droga, gdzie spotyka się z inną drogą. Takie tam. Ma się mapę w głowie. Ale ciągle nie brakuje niespodzianek. Są miejsca, w których nigdy nie byłem.

Zjechali z asfaltowej drogi i wjechali na gruntową.

- To gdzie on mieszka? - spytała Rosie. - W jaskini?

- Nie.

- Denerwuję się trochę. Nawet bardzo.

- Czemu?

- No co, jakiś facet będzie badał moje wnętrze. Ty byś się nie denerwował?

Spofford roześmiał się.

- Coś mi się zdaje, że źle to sobie wyobrażasz. Patrz.

Za zakrętem las otwierał się na zachód, a w przecince niczym na pocztówce widać było Randę: świeżą zieleń drzew, cętkowaną i ciemniejszą jodeł, łysinę skały na szczycie. Żadne turnie, tylko zgrabna sterta porosłej lasem ziemi. Pomiędzy tu i tam, tym zboczem a tamtym ciągnęła się dolina Blackbury, gdzie mieszkali ludzie, gdzie mieszkała ona sama z Boney'em i Sam. Gardło wypełniło jej się nagle słodyczą, oczy łzami. Co z tobą, zapytała samą siebie.

- Nie widzę sadu - powiedział z uśmiechem Spofford, ponieważ na zboczach Randy znajdował się jego stary sad, gdzie jabłonie dawno już zdziczały i gdzie teraz budował nowy dom na starych fundamentach. Prawie minął zjazd do Cliffa.

- Zbudował dom praktycznie sam - powiedział.

Rosie znowu poczuła się samotna. Spofford opowiadał jej kiedyś historię o weteranach, którzy wycofali się ze społeczeństwa, przeprowadzili do lasu, chodzili w łachmanach po dawnym mundurze i polowali za pomocą M16, przeschmuglowanego z Wietnamu. Położyła Spoffordowi rękę na ramieniu, kiedy zjeżdżał w dół.

Sama nigdy nie zdecydowałaby się mieszkać w lesie, tyle drzew wokoło, gromadzących się, by patrzeć na człowieka jak gapie na wypadek, złych z powodu zrąbanych przyjaciół z ogródków.

Drzewa stukające palcami gałęzi w okna. Nieunikniona wilgoć i próchno, zapach klaustrofobii. Dzień jednak był jasny, słoneczny i zachęcający. A dom okazał się naprawdę ładny, rozchodził się w nieoczekiwanych kierunkach po zboczu, niemalowane deski i listwy wysrebrzyły się, blaszany dach lśnił, powykrzywiany na wszystkie strony, a wielka ściana okienna zrobiona była z - ha, z szeregu schludnie umocowanych starych szklanych drzwi.

- Ładnie tu - powiedziała Rosie z taką niepewnością, że Spofford się roześmiał.

Bez wątpienia jednak teraz nie było tu nikogo. Jak to możliwe, że domy można tak szybko przejrzeć. A przynajmniej niektóre. Oboje to poczuli, ale ponieważ żadne z nich nie miało dobrych powodów, żeby wysnuć taki wniosek, nie wymienili uwag; Spofford wyszedł z furgonetki i zawołał:

- Hej, Cliff!

Potwierdzająca cisza. Rosie (z ramionami wciąż skrzyżowanymi w obronnym geście na piersiach) podeszła do budynku i zajrzała na tyły. Ujrzała garaż pod przestrzenią mieszkalną, pusty poza narzędziami żmudnej egzystencji, które przechowywano schludnie:

wielkozębe piły ręczne, piły łańcuchowe, kosiarka, siekiery i szpadle. Motocykl pod niebieską plastikową plandeką. Guru z motocyklem!

- No - usłyszała za plecami.

- To dlatego, że dziś czwartki?

- O rany. Trudno to sobie wyobrazić.

Przez pewien czas czekali na omszałym podwórzu (Spofford powiedział, że mogą bez problemu wejść i zrobić sobie herbaty, ale Rosie potrząsnęła głową) i rzucali kamyczkami w metalową beczkę, słuchając brzęczenia. Potem zebrali się do odejścia.

- No, nie powiem. Teraz dopiero jestem rozczarowana - powiedziała wesoło Rosie. Weszła do dusznej furgonetki i zatrzasnęła drzwi. - Nie dowiem się, co by zrobił.

- Wróci - powiedział Spofford przygaszonym głosem.

- Przykro mi. Naprawdę.

- O, daj spokój. I tak było ciekawie. Wjechał znowu na drogę.

- To co on robi?

- Różne rzeczy. Zależy.

- Ale co?

- Przeważnie z ciałem. Trudno opisać, bo większość polega na tym, że Cliff patrzy albo czuje, i tak dalej. Mówi na przykład: wejdź w swoje stopy. No i człowiek próbuje to zrobić, a Cliff patrzy i czuje z tobą, chociaż na początku wydaje się, że nic się nie dzieje.

- Wejdź w swoje stopy?

- Spróbuj. - Spofford sam spróbował, skupił się na sobie, odetchnął cicho i na moment puścił kierownicę.

- Hej!

Znów chwycił kierownicę koniuszkami palców.

- Możemy się zatrzymać - powiedziała.

Spofford wzruszył ramionami i skręcił w drogę leśną, która właśnie się pojawiła. Miękki mech wypełniał stare koleiny, środek drogi porastała trawa i dzikie kwiaty łaskoczące podwozie. Zatrzymał się.

- Okej.

- Okej.

Spofford rozcapierzył dłonie na kolanach. Na jednej wytatuowano rybę. W jego zachowaniu pojawił się jakiś niepewny wgląd w siebie, jak gdyby podchodził do nieśmiałego zwierzęcia - jego samego - które może uciec albo znieruchomieć, jeśli tylko zachowywać się spokojnie.

- Okej, wejdziemy w stopy. Cisza i las.

- Widzisz? Nie potrafię tego co Cliff - odezwał się po pewnym czasie. - On będzie ci przewodził. Powie ci, czy robisz tak, jak trzeba.

- Ty mi powiedz.

- Spróbuję.

Skupił uwagę na niej oraz na otaczającej rzeczywistości, tak jak to robił Cliff. Stosując się do jego wskazówek, Rosie nie zamknęła oczu ani nie przyjęła pozy medytacyjnej; starała się tylko wczuć w swoje stopy.

- Tak, dobrze - mruknął Spofford i w tej samej chwili Rosie poczuła, jak jej kończyny się budzą; odległe, po drugiej stronie pustyni albo ciszy, którą stanowiła reszta jej ciała.

- Aha - szepnęła.

- Czy możesz wejść w jedną, a potem w drugą?

- Nie wiem.

Najpierw Lewa, potem Prawa - stwierdziła, że potrafi sprawić, żeby na przemian mrowiły i pulsowały. Dziwne.

- Postaw je na ziemi.

- Nie jesteśmy na ziemi.

- Nieważne. Na podłodze.

Jej stopy, wielkie teraz niczym stopy klauna albo niedźwiedzie łapy, ukorzeniły się. Zaśmiała się. Spofford spojrzał na nią:

- Rozumiesz?

- Chyba tak. - Uniosła pięty i znów je postawiła. Witajcie, stopy. - Co teraz?

- Możesz tak zrobić, kiedy będziesz się czuła zbyt lekka - wyjaśnił. - Kiedy poczujesz, że wychodzisz z ciała albo że zbierasz się cała w głowie i rozłączasz. Rozumiesz?

- Aha.

- Potem jest serce - powiedział i dotknął mostka.

- O!

- Albo plecy. Szczególnie krzyż. Niektórym ludziom jest bardzo trudno.

Spróbowała, nie zauważyła niczego.

- Krzyż?

- No wiesz. - Zaśmiał się. - Nisko, przy kości ogonowej. Gdzieś tam w dole. - Rozszerzył lekko kolana, jak gdyby chciał pozwolić przepłynąć swojemu duchowi. - W dół - powtórzył albo polecił cicho.

Jak to możliwe, że potrafimy wyobrazić sobie przestrzeń wewnątrz nas, zastanawiała

się Rosie. Kiedy nasze ciała wypełniają po brzegi narządy, tkanki, płyny, kto zresztą wie co? Ciało zdawało się, kiedy wysyłała sygnały, systemem jaskiń, tuneli, słabo oświetlonych albo mrocznych i nie do przejścia.

- Hm.

- To nie takie łatwe - przyznała. Wycofała się ze swoich wewnętrznych przestrzeni, swoich własnych jaskiń Carlsbad. A potem wróciła do słonecznego dnia i cykad. Odetchnęła tym wszystkim, wciągnęła w płuca także obecność Spofforda tuż obok. I wtedy poczuła (nie tyle w sobie, co w lesie i świetle wokół) zmianę, ożywienie, drgnięcie smoka. O co biega?

- No więc - powiedział Spofford. Jego pierś rozszerzyła się pod koszulką i znów opadła. Podrapał się w koralową ranę po ugryzieniu owada na brązowym ramieniu. Rosie przypomniała sobie swój sen. - Skończyliśmy?

Odwrócił się do niej uśmiechnięty, nie tyle zakłopotany (widywała go speszonego lub zawstydzonego, ale nie sądziła, że zobaczy go kiedykolwiek zakłopotanego), ile kończący zabawę.

- Nie wiem - odparła. - Chyba dotarłam za nisko.

- Oho. To jest ryzyko.

- Twoja wina.

Poprawiła się na gładkiej skórze fotela i wysunęła stopy (wciąż ciężkie i ciepłe) z sandałów. On uśmiechał się ciągle do niej, zadowolony i z niej, i z siebie; a Rosie przepoiła nagle pełnią, którą czuła we śnie, pełnią radości i triumfu; roześmiała się w głos.

- Co?

- Chodź tu - powiedziała. Odpięła guzik jego dżinsów i dokończyli razem; gruby materiał osłaniał miękkie obszary pod spodem.

Duży. Ale nie tak duży jak owoc ze snu, którym się karmiła.

- Hej - powiedział łagodnie po pewnym czasie. Jego ciepłe dłonie na jej policzkach, we włosach. - Ostrożnie. Chyba że.

- O, przepraszam - szepnęła. - Ponosi mnie...

Lato, pomyślała; chwilowa słodycz, dzięki Bogu, zapomnieć o wszystkim. Pozwoliła mu podnieść się, podnieść koszulę. Sukurs. Płynęła wolna i pełna, pierwszy raz od wieków.

- Nie chciałam, żeby to się stało - powiedziała Rose Ryder do Pierce'a. - Naprawdę.

To mogło być oskarżenie, ale gdyby tak było, nie wiedziałaby, jak odpowiedzieć; ale to nie było oskarżenie, raczej przeprosiny, i to nie do niego skierowane.

- No cóż - powiedział, próbując popisać się galanterią.

- Cieszę się, że do tego doszło.

Nie było po niej widać wielkich wyrzutów sumienia. Uśmiechnęła się, szukając ubrań między poduszkami i pościelą.

- Tutaj - powiedział. Znalazł jej skąpą bieliznę, to, tamto. Bez pytania podniósł jej nogę i przełożył przez stopę figi, potem podniósł drugą i podciągnął. Nie protestowała; jej pobudzone ręce przestały jednak szukać i znieruchomiały. Potem stanik. Zapiął go jej na plecach. Jego dłonie tylko trochę zboczyły z drogi.

- Gdzie masz? A, tutaj.

Wyciągnął pomiętą koszulę, a ona ręce, by ją ubrał. Guziki: patrzyła, jak jego duże palce zapinają je niezgrabnie, on także, i po każdym guziku patrzyli sobie w oczy.

Kiedy średniowieczni fizjologowie (w większości mnisi) rozważali dziwną chorobę *amor hereos*, szaloną miłość, stawiali pytanie: *jak kobieta, która jest tak duża, wchodzi przez oko, które jest tak małe?* Bo tylko jeśli potrafiła wejść do świątyni duszy, mogło mieć miejsce zarażenie. Oczywiście wiedzieli jak; pytali tylko po to, aby uzmysłowić cud tego zjawiska, zdumienie transformacji: cielesna kobieta przemieniona na granicy, którą jest oko, w fantazmat, bezcielesny, stworzony wyłącznie ze Znaczenia, które jest pokarmem duszy, jedynym, jaki może spożywać.

Włożył jej białe tenisówki i już miał zawiązywać sznurówki, ale przerwała grę i zrobiła to sama, przywracając dniowi i sytuacji zwykłą prędkość. Zaczęła mówić szybko i chaotycznie: spotkanie, praca.

- Nie wiem nawet, gdzie mieszkasz.

- W Shadowland. Znasz?

- Dobry Boże, nie.

- To nawet nie jest miasteczko. Leży w górze rzeki, niedaleko „Lasu”.

- Telefon?

- Jeszcze nie teraz. Wkrótce.

- Och.

Pozwoliła pocałować się w policzek na pożegnanie, po przyjacielsku; ale nie towarzyszyć sobie do drzwi. Na progu jednak odwróciła się:

- Lubisz fajerwerki?

- Myślisz o najdziwniejszych rzeczach - powiedziała Rosie do Spofforda i już miała się roześmiać, gdy prawie zapłakała, tak była przepelniona. W oknie przy wielkim, wyleżanym

łóżku Spofforda niebo przybrało barwę wieczornej zieleni, ale wciąż było jasne, wciąż był dzień.

- Pewnie - odpowiedział.

Kiedy spółkowali, jej głowa zdawała się całkowicie odłączona od reszty ciała, zabawiała się po swojemu, pogrążona w myślach o starej dzwonnicy w college'u, na której karylionowych dzwonach grał jej pierwszy prawdziwy kochanek. Rozbrzmiewające echem kamienne pomieszczenie dzwonnicy, polerowane drewno dźwigarów; wiosenne wzgórza i pola, które z okien można było zobaczyć i posiąść. Stękał i śpiewał, bijąc w dzwony, a one w zamian nieomal unosiły go w powietrze; śpiewał pieśni w niepewnym *largo*, tak szybko, jak tylko potrafił. *Przybywam - w ogrody - sam. Gdy rosa lśni - świeża - na różach*. Pchać, pchać, a każdemu pchnięciu towarzyszyło potężne bicie dzwonu, którego echo ginęło w biciu następnego dzwonu i następnego, a harmonika wprawiała w rozkoszne drżenie klatkę piersiową i pośladki.

- Muszę iść, muszę iść - mruknęła.

- E tam.

Spytała przemienionego dnia: Cóż to jest? W jaki sposób bicie w dzwony, z każdym ruchem łatwiejsze, wprawia w to materię, czyni ją przejrzystą i otwartą; a wtedy ona ofiaruje mi się, może się zmienić, jeśli tego zechcę, albo pozostać taka sama?

Pragnienie to życie. Marzenia to życie. Tyle tylko, że ty nie masz pragnąć, by wszystko pozostało takie samo, albo marzyć o tym, że może.

Pomyślała: Jeśli na świecie naprawdę ciąży mroczna klątwa, czy to wystarczy, by go przebudzić? A jeśli mogła go przebudzić - z wnętrza samej siebie - to czy mogła pchnąć choć trochę w drugą stronę i kazać mu znów zasnąć?

- Chryste. - Spofford zaśmiał się cicho, patrząc na jej zamyślenie. - Nie wyglądasz najlepiej.

- To ten Cliff. Niezły uzdrowiciel, co? To jest gość.

Niżej na zboczu, z domu, którego nie widzieli, w jaśniejsze niebo świsnęła rakieta, zostawiając za sobą chwiejną linię dymu. Potem zatrzymała się i wystrzeliła z dumnym trzaskiem.

- Odwieź mnie.

- Nie chcę, ale okej.

Kolejna rakietka wystrzelona z innego podwórka nad ciemnymi dębami Arkadii - Spofford zajechał przed bramę - wspięła się zuchwale, zawahała, runęła, wybuchła; garść pomarańczowych iskier opadła ku ziemi.

- Zjrę jeszcze do nich - powiedział Spofford.

- Stąd już pójdę na piechotę - powiedziała Rosie. - Na razie.

- Hej. Może zastukam do tylnych drzwi. Upomnieć się o całusa na dobranoc.

- O nie. Jest tu pani Pisky.

Wysiadła i ruszyła drogą dojazdową. W przedniej części domu nie było widać żadnych świateł, choć o tej porze powinny już się świecić, a jaśniejące wciąż niebo sprawiało, że dom był plamą czerni.

A to co. Na podjeździe parkował garbus, bez wątpienia należący do Val: na antenie miał plastikowy kwiatek, po którym Val rozpoznawała go na zatłoczonych parkingach. A do tego Rosie właśnie zauważyła, że drzwi stoją otworem.

Weszła, za nią siatkowe drzwi zamknęły się z własnej woli lub woli wiatru. Korytarz prowadził prosto przez salon i jadalnię, oba pogrążone w ciemności, do biblioteki na tyłach. Tam się świeciło.

Umarł, pomyślała i poczuła, że chce oprzeć się własnemu pędowi, chociaż nogi nie przestawały się poruszać. Pchnęła drzwi do biblioteki.

Jeszcze nie. Patrzył na nią, kiedy weszła, tym samym zdumionym i nic nierozumiejącym wzrokiem, którym patrzył rano. Ale jednak był inny: bardziej, znacznie bardziej chory.

Val siedziała na krześle obok; ona także podniosła wzrok w pełnym poczucia winy zaniepokojeniu.

- Co się dzieje? - spytała Rosie. - Czy miał...

- Nie wiem - odparła Val. - Był tu chyba lekarz. Wcześniej. Ciebie nie było. Chciał, żeby od razu poszedł do szpitala, ale Boney chyba się nie zgodził.

- Naprawdę? - Serce Rosie zaczęło bić szybciej. - Boney, jesteś pewien?

Nie odpowiedział. Rosie zastanawiała się, czy wie, że nie jest sam.

- Ma przyjść pielęgniarka. Powinna już tu być. Ta gospodyni...

- Pani Pisky.

- Poszła po nią znowu zadzwonić.

Rosie podeszła do kanapy.

- Boney.

Podniósł dłoń; wiedział, że ona jest obok.

- Mówi, że chce skorzystać z toalety - powiedziała Val. - Pójdziemy do łazienki? Jeśli każda z nas chwyci go za ramię...

- Może z panią Pisky.

- Okej. Robił się już niespokojny.

Oparła łokieć na dłoni, a podbródek na palcach; patrzyła na Boney'ego niczym lekarz ze starych fotografii, patrzący na umierające dziecko w prowizorycznym łóżku. Gaśnie.

Rosie spojrzała na nią.

- Val, skąd się tu wzięłaś?

Mało brakowało, a nie przyjechałaby. Nie śmiała opuścić Faraway Lodge, dopóki nie stwierdziła, że księżyc opuścił jej znak i wszedł w kolejny; bała się, że w jej znaku może ją zaniepokoić albo przywieść do łez; kiedy już wyruszyła i przejechała milę czy dwie, zatrzymała się, czując, jak wycieka z niej determinacja; musiała wrócić, zrobić sobie herbatę i czekać, aż znów ją wypełni.

Nie powiedziała mamie, dokąd się wybiera, i gdy ta spojrzała na nią siedzącą przy kuchennym stole z kubkiem z napisem „Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia”, Val odezwała się dość ostro, by odebrać jej ochotę do rozmowy. Gdyby mama wyciągnęła to z niej (a było to jak drżąca kropla, gotowa, by się oderwać i spaść), wtedy mogłaby zabronić jej jechać i chociaż Val zwykle traktowała zakazy i nakazy matki lekceważąco, czuła, że tego jednego nie zignoruje tak łatwo; wątpiła, czy znalazłaby w sobie dość siły, by jeszcze raz się w sobie zebrać.

A teraz, każdego dnia (równie dobrze mógłby to być jakikolwiek dzień w ciągu ostatnich pięciu lat, Boney był już bardzo spóźniony) on mógł umrzeć, a ona zostanie z poczuciem straconej szansy.

Nie raz wyobrażała sobie tę sytuację na różne sposoby w zależności od zmiennego stanu uczuć; wyobrażała sobie, odkąd była nastolatką, długo żyjąc z jedną wersją, potem zmieniła ją na inną z duchowych powodów, których często nie rozumiała. Czasem całymi latami nie myślała o tym wcale, a czasem całymi miesiącami, zimami, nie myślała o niczym innym.

Złość, słuszność, triumf. Pogarda. Smutek, wyrzuty. Potrzebująca i wymagająca choć raz w życiu. Poważna i osądzająca. Okrutna. Nie wiedziała tylko tego, co było konieczne, by zagrać każdą z tych scen - co on czuł, co wiedział, co myślał przez te lata; mogła sobie to tylko wyobrażać, a kiedy jej uczucia ulegały zmianie, jego reakcje chyba też.

Mama powiedziała, że nigdy się nie wypierał, nigdy jej nie odtrącał, ani nie twierdził,

że ona nie potrafi tego udowodnić albo że on sam potrafi udowodnić, iż to cholernie nieprawdopodobne i było wielu innych kandydatów; zresztą mama zawsze mówiła, że wysoko ją cenili, traktowali uprzejmie, i to nie byle kto, przynajmniej nie całkiem byle kto, ludzie, których poznała, w tym miejscowe szczy i kilku gwiazdorów rozrywki tak drugorzędnych, że same ich nazwiska wzbudzały chichot.

Oraz Boney Rasmussen.

Jako nastolatka Val czuła, że oplata ją elastyczna sieć uników i kiepskich wyjaśnień, sieć, która w pewnym wieku trzyma ją z dala od pewnych spraw. Kiedy była bardzo mała (mama ciągle udawała, że wierzy, iż Val wymyśliła to sobie) pozwalano jej chodzić do domów ukrytych między drzewami, by mogła pomóc mamie sprzątać; kobiety, które tam mieszkaly, zawsze były senne i cieszyła je jej obecność. Później już nie wpuszczano jej tam, a wreszcie wszystkie domki zamknięto. Kiedy dorastała i słowa mamy niewiele dla niej znaczyły, znów tam poszła i pośród wilgotnego zapachu sfatygowanych łóżek zajrzała do szuflad pełnych gazet z czasów wojny i szpilek do włosów. W tamtym czasie mama wkładała jeszcze trochę wysiłku w mówienie o ojcu, niewiele więcej niż w opis Wróżki Zębuszki czy Sandmana: dawno wyjechał, nieobecny, zniknął, daleko stąd; a Val nigdy nie naciskała, obawiając się, że to wszystko okaże się wymysłem. Ale potem sieć rozszerzyła się: pewnego wieczoru, gdy na randce w ciemno chłopak Val żartował okrutnie, wykorzystując stare plotki o ich przeszłości, mama zrozumiała wreszcie, że trzeba ją oświecić. Nie oznaczało to jednak, że niczego nie zataiła.

Ile opowieści czytała, ile filmów widziała, na które mama zaczęła ją zabierać, gdy miała pięć czy sześć lat - takich, w których dziewczyna odkrywa, że jej prawdziwym ojcem jest lord, książę, milioner, grzeczny i wpływowy, w aksamitnej bonżurce, w świetle lampki w ciemnym gabinecie? Jej własny ojciec nie był wymyślony, był prawdziwy, mieszkał w okolicy, wpadała na niego na targach rzemieślniczych, na letnich zabawach, a odkąd Rosie Rasmussen wróciła do Faraways i zaprzyjaźniła się z nią, na miłość boską, chodziła do jego domu i grała w krokieta, i kiwała mu z drugiej strony trawnika.

Nie chcę od ciebie niczego, powiedziałyby. Wiem, że zrobiłeś dla nas co nieco przez te lata, to wystarczy, to nie wystarczy, ale nieważne. Nie chcę nic poza.

Czym? Byciem uznaną. W końcu. Usłyszeniem, że jest mu przykro, że nie zrobił wszystkiego, co powinien był, że bał się, może nawet stchórzył, że dużo o niej myślał przez te lata i że było mu przykro.

Żeby wreszcie mogła mu wybaczyć, temu draniowi, zanim umrze. Przynajmniej tyle.

Dlatego Val przybyła do Arkadii; zajechała przed drzwi i zapukała; nikt nie

odpowiedział, ale drzwi były otwarte, więc weszła z przestachem do korytarza (podobnie jak Rosie trochę później) i do gabinetu na jego końcu. Skąd miała na to siłę? Po tej stronie Jambs, prawej stronie, nie było żadnego innego domu, do którego ośmieliłaby się wejść nieproszona; ale do tego nigdy by jej nie zaproszono, więc... Pchnęła drzwi gabinetu, czując jakoś, że to jest właściwy pokój, ujrzała wysokie regały z książkami, werniksowane drewno. Tam, gdzie widywała je zawsze we śnie.

Teraz był to pokój chorego. Pościel na wielkim szezlongu, butla z tlenem, respirator. Słoiczki z tabletkami pod ręką na składanym stoliku. Zrazu nie poznała nawet, że gdzieś tu leży człowiek. Podniósł dłoń lekko na łóżku; opadła z powrotem.

- Panie Rasmussen. - Twarz mu nie drgnęła. Val próbowała odgadnąć, czy ją widzi. Było z nim dużo gorzej, niż mówiła Rosie. - Wie pan, kim jestem, prawda?

Podeszła bliżej. Wciąż ani drgnął, obserwował ją z beznamiętnym, baczynym zainteresowaniem jaszczurki wygrzewającej się na skale. Był wysokim mężczyzną, zawsze taki jej się wydawał, ale teraz zmałał, zmniejszył się; pomyślała o człowieku, o którym czytała w słowniku, kimś, kto otrzymał wieczne życie, ale zapomniał poprosić o wieczną młodość i w ostatku usechł i skurczył się do rozmiaru świerszcza. Wciąż jednak żył.

- Val - powiedział wreszcie, jak gdyby to imię zdziwiło go; chwilę obracał je na języku. - Valerie.

O Boże, żeby tylko się nie rozplakać.

- Chciałam cię odwiedzić, chciałam cię odwiedzić już dawno temu.

Spróbował podnieść się na łokciu, stwierdził, że nie jest w stanie, i znowu opadł.

- Obawiam się - szepnął - że nie najlepiej ze mną.

- Wiem. Wiem.

Och, czemu nie przyszła wcześniej, czemu nie była odważniejsza, czemu nie słuchała samej siebie?

- Okropnie tak ciągle coś odkładać, odsuwać, aż. Ale ty.

Nie odpowiedział. Skąd wziął ten jedwabny szlafrok, wyglądał jak legendarny cesarz, ubiór zdawał się pusty jak odzienie marionetki. A jeśli. Nie, jego pierś uniosła się i opadła.

- Chciałam zapytać cię o coś, o coś, co powiedziała mi Rosie, Rosie Mucho.

Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Ona nie wiedziała, ale ty na pewno potrafisz mi powiedzieć. Kim jest Una Knox?

Uśmiechnęła się, mówiąc to; zdradź mi swój sekret. Boney nie dał po sobie poznać, że słyszy.

- To nie jest takie ważne - powiedziała. - Zastanawiałam się tylko. Przysięgam na

Boga, nie chciałam tego zgłębiać. - O głupie, głupie łzy, jak można tak rozmijać się z tematem, nie chciała wcale zacząć, nie zaczęła, nie miała zacząć. - Nie chcę nic od ciebie. To tylko.

- Przepraszam - powiedział.

Serce podeszło Val do gardła, przebaczenie i miłość gotowe były, zanim jeszcze o nie poproszono. Zbliżyła się jeszcze. W jego oczach gromadziły się łzy.

- Przepraszam - powtórzył i uniósł dłoń do ucha - możesz powtórzyć?

Przepraszam, proszę powtórzyć: tylko o to mu chodziło. Oczywiście. Val przełknęła, próbując ukoić swoje serce, które utknęło jej boleśnie w gardle.

- Nie - powiedziała. - Nic.

- Niestety - odezwał się znowu - nie mogę nic zaoferować. Pani Pisky.

- Dobrze. Proszę posłuchać.

Posłuchać. Ale nie powiedziała nic. Spróbował znów podnieść się na łokciu, jak gdyby już zapomniał, że nie może, i opadł; istota krucha i zbyt ciężka, by ją podnieść, więc ostrożnie kładziona z powrotem.

- Zły dzień - powiedział. - Tak.

Usiadła na krześle obok. Zwrócił ku niej głowę, dziwny przedmiot, pokryty plamami wątrobowymi, wilgotny i absurdalnie mały, jak lalka porzucona przez całe lata. Ona sama czuła się straszliwie wielka, ciężka, pełna tego, czego nie powie.

Nie powie: ponieważ zrozumiała niemal w tej samej chwili, gdy weszła, że nie oskarży go o to, co zrobił, ani nie zmusi go do uznania jej, ani nie zada żadnego z pytań, którymi zasypywała go w tylu wyobrażonych rozmowach, w tylu wyobrażonych wersjach filmowych tego pokoju. Było po prostu za późno. On nie zrobił tego, co powinien był, a ona nie potrafiła zmusić go do tego; teraz było za późno. Był tylko chorym, starym człowiekiem, który nie myślał o niczym poza samym sobą i swoją śmiercią; ona też nie będzie w stanie myśleć o niczym innym, kiedy przyjdzie jej kolej.

- Słucham? - powiedział znów.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała. Nawet gdyby zażądała, by jej słuchał, wciąż musiałaby udźwignąć opowieść.

- Nic, nic, proszę odpoczywać.

Długo siedziała obok. Raz wstała i rąbkiem prześcieradła otarła łzę, która spływała żłobieniami jego policzka, łzę uronioną nie z jej powodu, ani z powodu żadnych grzechów; po prostu szwankował kolejny gruczoł. On sam tego nie zauważył. Pani Pisky stanęła jak wryta, widząc, jak nachyla się nad nim intruz, złodziej, anioł śmierci w sukience.

- Pomagam tutaj - powiedziała Val do Rosie. - Poprawiam mu humor.

Od pewnego czasu czuła dziwną radość, postanowienie braku postanowienia, pozostania taką samą, jak kiedy tu przysłała, ale, na Boga, nigdy już nie będzie wyobrażać sobie tego pokoju, tej chwili ani tego mężczyzny.

- Och, Val. O rany, jakie to dziwne.

Jeśli słyszał, jak Val opowiada swoją historię Rosie, nie dał po sobie poznać. Rosie patrzyła nań ze zdumieniem. W jej oczach zmienił się w coś nie do końca człowieczego.

Wstała. Pani Pisky wróciła od telefonu i widząc, że Rosie już przysłała, zawołała do niej z ulgą. Boney patrzył z pościeli na trzy stojące nad nim kobiety.

- Obawiam się - powiedział - że muszę iść.

- W porządku - powiedziała pani Pisky. - Kiedy trzeba, to trzeba.

Jej radość znikła, stała się cała przezroczysta, okazała się sztuczna, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Z natury nie była wesołą kobietą. Przysadzista, silna, hałaśliwa, zawsze przestraszała Rosie, która uważała, że Boney też się jej boi.

Postawiły go na nogi, na które spojrzął, jak gdyby nie był pewien, gdzie się znajdują.

- Nie udało się wymknąć, co? - powiedziała Val. - Mam rację? Tak bez słowa.

Boney dotarł do drzwi, postępując drobnymi, niepewnymi krokami. Otwór nie był na tyle szeroki by wszyscy się w nim zmieścili, a było pewne, że upadnie, jeśli ktoś go puści.

- Weź go za lewą rękę - poleciła Val Rosie. - Ja przejdę i...

Manewrując ostrożnie, jak tragarze z antykiem, wyprowadziły go na korytarz; gardło miał pełne, krótki oddech chrobotał od flegmy.

- Przepraszam - mówił - przepraszam.

- Oczywiście - rzuciła Val.

Drzwi do łazienki nie były już daleko. Każda z nich myślała o tym samym, o tym, co zrobią, kiedy postawią go przed klozetem (który widać już było przez otwarte drzwi, wyniosły i cierpliwy), kiedy Boney nagle puścił je. Natężone napięcie, które trzymało go prosto, puściło, jakby przecięto druty. Opadł do tyłu, w ich ramiona, z pełnym wdzięczności krótkim westchnieniem.

Pani Pisky, która jako jedyna miała doświadczenie w podobnych wielkich chwilach, chwilach przejścia, doświadczywszy dotąd kilku, jęknęła zdziwiona, ale Boney Rasmussen tego nie usłyszał. Nie słyszał większości z tego, co mówiono do niego albo w jego obecności w ciągu nieskończonego dzisiejszego dnia, nie zawsze był też pewien, czy osoba, o której mówi się z taką powagą, to właśnie on. W każdym razie dawno już zapomniał, co udało mu się usłyszeć.

Przepraszam. Przepraszam. To dlatego, że miał tak mało czasu: dlatego, że jego czas był tak krótki. Okamgnienie między niepamiętnym początkiem a zapomnieniem. Jak można było zrobić cokolwiek innego niż tylko zacząć? Jak?

Łagodnie uwolnił się z objęć kobiet i stanął o własnych siłach. Pójście do toalety było chyba błędem. Wcale tego nie potrzebował. Myślał, że bardzo potrzebuje, ale się mylił.

Nie potrzebował.

Obejrzał się na trzy kobiety stojące w drzwiach gabinetu, zdumione i nieruchome, jak gdyby upuściły coś i jeszcze sobie tego nie uświadamiały. No cóż, on musiał iść dalej. Było oczywiste, że jest zdany na siebie. Nikt nie mógł zrobić tego za niego, będzie musiał zrobić to sam, to był błąd i niesprawiedliwość prosić i zamęczać innych tak długo i tak bezowocnie. Nawet Sandy Kraft nie mógł tego dlań zdobyć, ponieważ należało to tylko do niego samego i dlatego właśnie on musiał to znaleźć. Zrozumiał teraz (dlaczego zabrało mu to tyle czasu?), że właściwy sposób postępowania to po prostu prześledzenie drogi wstecz, krok po kroku, tak jak to się robi, kiedy się coś zgubi; trzeba się cofać, aż się to znajdzie. Miał zacząć na końcu i dążyć do początku, a w punkcie zwrotnym wpadnie na to tam, gdzie powinno być, gdzie tylko on może to rozpoznać.

Najpierw pójdzie do domu Krafta; złapie trop w książce, którą Kraft dlań zostawił (tak, to było jasne, chociaż nie chciał powiedzieć tego na głos, nawet we własnym sercu); podąży śladem wstecz, pewnie, prawdopodobnie do Europy, Londynu, Rzymu, Wenecji. Potem także do Pragi. Ale najpierw Kraft. Dobrze znał drogę, nieraz szedł nią podczas letnich nocy takich jak ta, szedł drogą oświetloną księżycem. Oczywiście wyobraźni widział światła w oknach na końcu podjazdu, obok ciemnych sosen; widział tam nawet Sandy'ego siedzącego w fotelu w świetle lampy ze słodkimi oczami psotnika i uśmiechem. Och, przyjacielu.

Wziął z wieszaka kapelusz i laskę. Korytarz był długi i dziwnie wielki, a na jego końcu ogromne drzwi na zewnątrz. Będzie potrzebował sił. A potem noc i droga. Ale czy czegoś nie zapomniał? Czy czegoś nie zostawił? Wydawało mu się, że naprawdę coś zostawił, zapomniał czegoś - czegoś, co ciągnęło go w tył, powstrzymując krok, niczym ignorowane dziecko uwieszone spodni ojca. Co to mogło być? Coś, co uczynił lub czego nie uczynił, coś, co trzeba sobie przypomnieć, bo inaczej unieważni całą wędrówkę, cel, portfel, kluczyki do samochodu, bilet, coś takiego.

Chociaż przestał kroczyć naprzód, drzwi się powiększyły. Naprawdę zapomniał czegoś, o tak, Boże, o tak: postanowił wrócić, musiał wrócić natychmiast. Kiedy jednak spróbował to zrobić, stwierdził, że nie może się odwrócić. Nie mógł nawet odwrócić głowy, nie dlatego, że brakowało mu sił, ale ponieważ nie było niczego, zupełnie niczego za nim, do

czego mógłby się odwrócić.

- Kiedy byłem dzieckiem - powiedział Pierce do Rose Ryder - wywołałem pożar lasu.

Poniżej miejsca, gdzie zaparkowali, toń Jeziora Niklowego skrzyła się od gwiazd; wzdłuż brzegu stało wiele samochodów, po dwa, po trzy; całe rodziny schodziły stromymi brzegami przez kępy jodeł ku wodzie, mijając mały samochód, w którym siedzieli Pierce i Rose.

- Nie był duży, ale prawdziwy. Nie bawiłem się zapalkami ani nic takiego; wypełniałem swoje obowiązki. Palilem śmieci. I od tego zaczął się pożar zarośli.

- Tak.

- Patrzyłem na ogień długo, potem, gdy już się ściemniło, patrzyłem z dachu domu wujka i widziałem, jak zmienia się w prawdziwy pożar.

- Tak.

- Chyba nie mieli środków, żeby go zagasić, więc wymknął się spod kontroli.

- Tak - powtórzyła. - Wiem.

Od czasu do czasu rozlegał się trzask kiepskich fajerwerków i odległy śmiech. Pośrodku jeziora kręciła się młodzież, widać było jaśniejące punkty podpałki, którą nieśli. Szeryf, Klub Sportowca. Gwizdanie na maruderów.

Wreszcie pierwsza rakietka wzbijała się z barki na jeziorze i wybuchła: jaskrawy dmuchawiec - księżyc ognia w pełnym rozkwicie, zdmuchnięty, po chwili łomot.

- Ooo - powiedziała.

Następna - nie mieli wiele i na początku wystrzelili pojedynczo - i wszyscy odchyliłi głowy, by widzieć, jak pędzi ku górze. O! to była jedna z tych, które tylko hałasują, dźwięk powrócił echem ze wzgórz, wprawiając serca w drżenie.

- O! - powiedziała, śmiejąc się z radością i wierząc się w fotelu. - Uwielbiam te. - Uniosła nogę i wsparła ją na desce. - Więc?

- To wszystko - odpowiedział Pierce. - Tak mi się przypomniało. Uczucie potęgi na dachu domu moich kuzynów.

Odkrycie, ile na świecie jest niszczycielskich mocy, czysta potęga, ani zła, ani dobra, tylko potężna, i jak łatwo można ją wyzwolić Kolejny wybuch, tym razem ciekawszy: najpierw płomienny kwiat, potem ostre huki, z których wyskoczyły syczące demony, i wielki grzmot na koniec. Błysk ukazał ludzi na leżakach, dzieci pod kocami, dziewczyny i chłopaków obejmujących się na maskach samochodów.

- Co to za kuzyni? - spytała.

- Dzieci mojego wujka. Wychował mnie wujek.

- O! - Czekala, co sie stanie z nastepnym fajerwerkkiem: wydal z siebie wielokolorowe rozkwity. Syk resztek wpadajacych do wody. - Ojej - powiedziala czule. - Nie miales rodzicow?

- Mialem. Matka zostawila kiedyś ojca i pojechała zamieszkać z bratem.

- A rodzeństwo?

- Nie mam. Tylko kuzynów. W pewnej mierze zastępowali mi siostry i braci.

Łyknęła piwa, które wzięli ze sobą, ale nie stąd brała się jej radość.

- A ty? - spytała. - Nie masz żony. A dzieci?

Łup. Dwie kule, jedna w drugiej, jak to się robi, zniknęły, nim można było się zastanowić. *Magia naturalis.*

- Mam syna - powiedział.

Spojrzała na niego.

- Dwanaście lat, nie, trzynaście. - Trudno ustalić dokładnie, chłopcy bardzo się różnią; on wiedział, jak jest dojrzały, ale nie wiedział, w jakim jest wieku. - Robbie - dodał. W jego piersi wybuchły minibomby, gdy wypowiedział to imię. A wypowiedział je właśnie w tym celu. Tylko po to, żeby to poczuć: teraz, gdy tak siedzieli, by zdumieć się i ucieszyć pokazem energii.

- Jak? - spytała, ale kolejny grzmot nadleciał od strony barki; ku niebu wzbił się pocisk, roniąc skry, rozkwitł wielki i jaskrawy, i zgasł. Ręka Rose - Pierce zauważył to, kiedy spojrzał na nią, by podzielić się radością - wciśnięta była między nogi. Hałas, pomyślał, niektórym chce się wtedy siku.

Dym z fajerwerków spowodował, że nad jeziorem pojawiły się obłoczki, ujawnione dopiero, kiedy kolejne ładunki wystrzeliły i zabarwiły je swoimi kolorami. Znad wody doleciał śmiech i jęk zachwytu; widać było tylko punkciki papierosów, płomienie grillów, zimne ognie. Dalej na horyzoncie prawdziwe, zimne chmury wciąż były białe.

- Kończą im się - powiedziała Rose, ale wtedy szeryf i jego wesola załoga pokazali, co mieli najlepszego, i pół tuzina rakiet wzbiło się naraz w powietrze, potem kolejny tryplet, *coup de theatre*, nie można było nie krzyknąć na to głupie piękno. A potem koniec. Cisza i smrodliwy dym unosiły się nad jeziorem. Furgonetki już zaczynały warczeć, a rodziny, które minęły ich samochód, schodząc ku wodzie, mijały ich znowu w drodze powrotnej, niosąc leżaki i zaspane dzieci.

- Koniec - usłyszał kobietę w pobliżu, mówiącą do dziecka. - Już koniec.

Już koniec. Idealne zakończenie, pomyślał Pierce: a jeśli mieszkańców i letników

zgromadzono w tę pogodną, pełną fajerwerków noc nie dla splendoru, egzaltacji czy amerykańskiej chwały, lecz przeciwnie, dla czegośkolwiek innego? Może dla przemijalności; słodkiej ulotności życia, żalu za tym, co przemija. Triumfu Czasu.

- Muszę ci coś powiedzieć - powiedziała Rose. - Mam dziś wieczór randkę.

- Przecież właśnie jest dziś wieczór.

- Później. Późna randka.

- Oho.

Włączyła silnik.

- Przykro mi - powiedziała.

- Niepotrzebnie. To raczej powód do radości. - Rzeczywiście ta wiadomość wprawiła go, nie wiedzieć czemu, w dobry nastrój. Wyobraził ją sobie, później, przy barze, na parkiecie, z wyobraźnym, lecz niewyraźnym innym mężczyzną; wyobraził sobie, jak zaskakuje go swym niespożytym erotyzmem. A on w tym czasie będzie sam w domu, bezpieczny w chłodnej pościeli.

III
VALETUDO

JEDEN

Boney Rasmussen nie chciał w ogóle być pochowany, ale skoro już musiał być, to nie chciał spocząć na zwykłym cmentarzu, pośród innych nieboszczyków.

Jak wybredny turysta, pomyślała Rosie, przyłapany na taniej wycieczce, udający, że on nie ma nic wspólnego z tymi ludźmi. Znalazła i otwarła kopertę, na której Boney napisał *W razie mojej śmierci*, i usiadłszy przy jego biurku, wyjęła z niej ręcznie zapisaną kartkę peluru. Nie życzył sobie kremacji, balsamowania, żadnych specjalnych przygotowań do pogrzebu; żadnego nabożeństwa, księdza, pastora. Najwyraźniej chciał odejść sam. I chciał, aby pochowano go na terenie Arkadii, dokładnie wskazał miejsce: polanka między skupiskiem wysokich świerków, pośród rododendronów. Chciał, aby wzniesiono nad nim obelisk z miękkiego kamienia, który zacząłby się kruszyć niewiele lat później; i aby u podstawy wyryto słowa: *Et in Arcadia ego*. Bez nazwiska, bez daty.

No to dlaczego tego nie powiedziałaś, Rosie łamiącym się szeptem rzuciła pytanie kartce. Dlaczego nie p o w i e d z i a ł e ś. Zdażyła już, z pomocą Val i pani Pisky, puścić w ruch całą maszynę, zaczęła zwyczajowe przygotowania, nie wiedząc, jak to się robi, ale odkrywając, że tylu innych to robiło, że stopnie są wydeptane: dom pogrzebowy, prawnik, lekarz, kościół. W końcu to nie miał być pierwszy pogrzeb na świecie.

Zadzwoiła do Allana Buttermana, prawnika Boney'ego i jej.

- To naprawdę nie ma znaczenia - powiedział Allan. - Stanowe przepisy sanitarne mówią, że pochówku można dokonać tylko i wyłącznie na cmentarzu. Nie można tego zrobić we własnym ogródku.

- Sanitarne? Nic mu się już chyba nie stanie?

- Nie chodzi o niego, tylko o nas. O żywych. Nie za dobrze trzymać zwłoki, gdzie popadnie.

Czy Boney o tym nie wiedział? W swoim długim życiu na pewno grzebał lub widział pogrzeby wielu ludzi. Może nie do końca o to mu chodziło; może to była jakaś gra, udawanie, że może mieć śmierć, jaką chce. Skoro już musiał. Poczwała pełną winy ulgę, że i tak nie może zrobić wiele, by spełnić jego życzenie.

- Mam pomysł - rzekł Allan. - Kontynuuj przygotowania. Przestrzegaj przepisów. Zrób to, o co prosił, na tyle, na ile to możliwe. Później Fundacja może postawić pomnik. Tam,

gdzie chciał.

- Ale przecież nie chciał pogrzebu - odparła. - Żadnego nabożeństwa. - Już leżał na zimnym stole domu pogrzebowego; nie mogła temu zapobiec: ani temu, co już się stało, ani temu, co dopiero miało się tam stać.

- Zrobimy minimum. Obrządki braci duńskich nie są zbyt skomplikowane. I stypa pod gołym niebem.

- O rany - powiedziała cicho. - Allan.

- Damy radę. Ludzie często zostawiają takie życzenia. Mówią, w jaki sposób zająć się tymi sprawami. Tylko że nie zawsze można spełnić te życzenia. Bardzo często jest odwrotnie.

Rosie pomyślała o tym, a przynajmniej usiadła z tą wiedzą, wyobrażając sobie miejsce pośród świerków, o którym mówił Boney. Ładne miejsce, wybrali się tam we trójkę, ona, Sam i on, zeszłego lata na piknik, dawno temu, kiedy jeszcze wydawał się tak dziwnie nieśmiertelny, jak gdyby już umarł i został zmumifikowany.

- Dobrze - powiedziała.

Następnie zadzwoniła do Pierce'a Moffetta.

- Chciał to mieć na płycie. *Et in Arcadia ego*. Raczej tego nie zrobimy, skoro go tu nie będzie. Co myślisz?

- To łacińska maksyma - odrzekł Pierce. - „Et” znaczy „i”, ale równie dobrze może znaczyć „też”, „również”. Więc całość można różnie tłumaczyć, na przykład *Ja też jestem w Arkadii*, czyli razem z całym pięknem i spokojem. Można też przetłumaczyć to jako *Jestem nawet w Arkadii*, tak samo jak gdziekolwiek indziej.

- A kim jest ten „ja”?

- „Ja” mówiące to Śmierć.

Rosie poczuła w piersi i gardle wzbierający szloch; nie chciała płakać, ale nie mogła powstrzymać łez, tak samo jak nie można powstrzymać drgawek czy kichania, więc poddała im się. Jak dotąd nie oplakiwała go jeszcze, ani w noc śmierci, ani w ciągu dwóch niekończących się dni, które nastąpiły potem; a teraz cały żal z powodu przekłętej śmierci i ludzkiej niemocy podszedł jej do gardła.

Przynajmniej wiedział, pomyślała, naprawdę wiedział, nie był szaleńcem; przyznawał to. Nie mogła przestać płakać i nie mogła się rozłączyć, więc absurdalnie płakała do słuchawki, podczas gdy Pierce słuchał i czekał. Och, Boney: przeciwnik, z którym tak rozpaczliwie się siłował, w końcu nakłonił go podstępem, by dał mu się objąć, jak matka obejmuje zbuntowane dziecko, i uciszył go.

- Przepraszam, przepraszam - powiedziała w końcu piskliwie; tyle tylko mogła z siebie

wydobyć. - Okej. Tak. Chyba wymyślimy coś innego.

- Też nad tym pomyślę - zaproponował Pierce.

- Przyjdiesz? Na pogrzeb? Pojutrze.

- Przyjdę.

Rozłączyła się, ciągle obcierając oczy rękawem; i wtedy przypomniała sobie o Sam, którą posadziła przy własnym biurku (w zasadzie stoliku do kart, na którym piętrzyły się stosy niedokończonych spraw Fundacji, dla kogo, jeśli w ogóle kogokolwiek, miałyby je kończyć?), żeby sobie rysowała.

Rosie ujrzała duszę Sam w momencie gdy wracała już do ciała dziewczynki, napiwszy się u źródła łez matki. Pomyślała, że Sam często widuje ją we łzach przyklejoną do telefonu - zbyt często.

- Smutno mi z powodu Boney'ego - powiedziała.

- A mi już nie jest bardzo smutno - odparła Sam. - Bo go tu nie ma.

- Tak. Jest w tym jakiś sens, kochanie.

- Czy Pierce też płakał?

- Nie. - Wstała, tyle jeszcze trzeba zrobić. - Posłuchaj, muszę pójść po parę rzeczy na górę, zostaniesz tu na chwilkę, dobrze...

Ale Sam już była u jej boku, a Rosie pomyślała: Niech idzie. Ona też była jego przyjaciółką.

- Idziemy na górę, do pokoju Boney'ego? - spytała Sam ze zdziwieniem w głosie, gdy wchodziły po schodach.

- Aha.

W domu pogrzebowym dostała listę rzeczy, które potrzebne były do pochówku; na liście był garnitur, koszula i krawat (po co, zastanawiała się Rosie, skoro mają go zamknąć w trumnie. I zrozumiała, że chodzi tu nie tylko o nią czy Boney'ego, ale także o dom pogrzebowy; trzeba zachować normy). Bielizna także, o rany, i skarpetki, ale nie buty.

Jego proteza. Dziwne, że idzie się do grobu nie z samym ciałem, ale i z jego historią, z wszystkimi wypadkami, których doznało, z pracą na nim wykonaną. Przekłute uszy i nieusuwalne obrączki ślubne, plomby i mostki w zębach, śruby w złamanych kościach. Czy chowają ludzi, zastanawiała się, razem z ich drewnianymi nogami, aparatem słuchowym. W końcu jest to już krew z krwi, kość z kości. Może okulary też?

W pokoju Boney'ego, w którym żadna z nich wcześniej nie była, a do którego obie teraz weszły, zobaczyły wielkie łóżko z zieloną narzutą, stare skórzane kapcie wystające spod niego; wielką drewnianą szafę z lustrami. Na nocnym stoliku książka, którą czytał, gdy spał tu

po raz ostatni, otwarta w miejscu, gdzie skończył, grzbietem do góry. *Zły cię przywiódł księżyc*, opowiadania grozy Fellowesa Krafta.

Sam z nabożną ciekawością poczęła otwierać drzwi szafy, która była zaskakująco pełna, biorąc pod uwagę, jak niewiele ubrań Boney zazwyczaj nosił. Nigdy niczego nie wyrzucał.

- Patrz - powiedziała, wyciągając parę brązowo-białych butów. - Mają gwoździe. - Zdumiona dotknęła kolców. Rosie próbowała sobie wyobrazić Boney'ego grającego w golfa, w jakiejś innej epoce. Pomyślała, że powinien tu być tłum jego potomków, który mógłby się tym zająć; Allan mówił, że w Nowym Jorku mieszka jakiś jego wiekowy bratanek czy kuzyn, ale oprócz niego, o ile wiedziała, nie miał nikogo. Nikogo oprócz Val.

Stary drań. Naprawdę. Jak mógł coś takiego zrobić, wystarczy, żeby ominąć niebo szerokim łukiem, oczywiście jeśli ono istnieje.

Zła na siebie za ten przyływ gniewu, pomyślała o własnym ojcu, który też szybko się ulotnił, uszło mu to na sucho, wywinął się od odpowiedzialności; a teraz czeka na nią w przyszłości. Tak przynajmniej twierdził Mike: że jej ojciec czeka, aż ona doń dotrze, żeby przeprowadzić się przez jej uczucia jak przez zarośla w dżungli. Co by mu powiedziała? Mike sądził, że wie (w końcu przyznałaby się do miłości, do gniewu), ona jednak nie wiedziała.

Tam, na końcu, w ostatnim punkcie zwrotnym, czekają wszyscy utraceni i zbiegli ojcowie. Wśród nich Boney. Ojciec Rosie. I Pierce'a, który odnalazł się po latach, najwyraźniej w nie najgorszych stosunkach z synem; ale jednak. Kraft nigdy nie wspominał w swoim pamiętniku o ojcu; też utracony. Zobaczyła wyraźny wzór, wyłaniający się z otaczającego ją świata, świata istnień, w którym sama istniała: wzór jak pomysł na obraz pod tytułem *Straceni ojcowie*, przewijający się od dawna, lecz niedostrzegalny dla niej aż do tej pory. Plaga martwych, obcych, nieobecnych, nieświadomych, odrzucających ojców.

Czy to z powodu klątwy, która ciążyła na świecie? A może chodziło o samo zaklęcie? Jeśli tak, jak miała to naprawić, znaleźć im wszystkim ojców?

Wtedy przyszło otrzeźwienie, jakby wybudziła się ze snu, i wróciła do miejsca, gdzie stała, przed garniturą Boney'ego, zdziwiona tokiem własnych myśli, które ulotniły się, gdy znów chciała do nich wrócić, zabierając ze sobą swą senną pomrokę.

No dalej, który. Nie miało to żadnego znaczenia, powinna po prostu wziąć którykolwiek, pierwszy z brzegu, ale fakt, że nie miało to znaczenia, powstrzymywał ją przed wyborem. Lniany na lato? Coś ciemnego i odpowiedniego dla dominium śmierci? Kiedyś, gdy była dzieckiem i zapaloną czytelniczką beletrystyki wszelkiego rodzaju, ustaliła ku własnemu zadowoleniu, że duchy dla siebie nie są żywe, lecz są jedynie wytworem osoby,

która je widzi: a to z powodu tego, co mają na sobie. Skąd to wszystko brali - obszarpane suknie ślubne, cylindry, zbutwiałe trupięgi, garnitury, zbroje? Czy ubrania też były duchami?

Przeszedł ją dreszcz gorąca, zatopiła rękę między puste męskie postaci, które zadrżały teraz, zaniepokojone jej najściem, i zdjęła jedną. Brązową. Ładną.

- Ładne - powiedziała Sam radośnie. - A co teraz?

- Skarpetki, koszula, bielizna.

- Okej. Mogę ja wybrać skarpetki?

- Możesz. - Dobry Boże, już gotowa bawić się w grę śmierci i pogrzebu jak w każdą inną. Ale wybór był mało zabawny, bo choć Boney miał wiele par, a wszystkie starannie zwinięte, każda z nich była czarna.

Bracia duńscy dzielili prosty, biały, drewniany kościół na niewielkim wzniesieniu powyżej Blackbury Jams z innym pomniejszonym wyznaniem; żadne z nich nie miało wystarczającej liczby członków, by utrzymać samodzielną świątynię. A ponieważ bracia duńscy (wśród innych teologicznych i liturgicznych osobliwości) odprawiali cotygodniowe nabożeństwo nie w niedzielę, lecz w sobotę wieczorem, taki system mógł się sprawdzić.

Mimo wszelkich starań Rosie, by życzeniom Boney'ego stało się zadość i by ograniczyć uroczystość do minimum, zapowiadało się, że kościół będzie pełen. Boney mieszkał tu i w Arkadii od zeszłego stulecia, przypominał jej Allan Buttermana; znało go mnóstwo ludzi. Postarała się o kwiaty do udekorowania ołtarza, odrzuciwszy otrzymaną od domu pogrzebowego propozycję dostarczenia wieńców i wiązanek gladiolusów (sadiolusów²⁵, jak je nazwała, rozbawiając Sam); zamiast tego własnoręcznie zerwała naręcza płomyków, lilii i goździków, niezbyt umiejętnie upychając je w wazonach, zrzucając liście i płatki, które wdeptano później w wypolerowaną podłogę i fioletowawy dywanik.

Pierce wdychał intensywną woń. Szedł pieszo z mieszkania przy Maple Street i przybył zbyt wcześnie, wchodząc do surowego pomieszczenia z poczuciem przyjemności i wykroczenia zarazem (pamiętał z dzieciństwa, że uczestniczenie w nabożeństwach schizmatyków jest grzechem); usiadł w tylnej ławce. Boney spoczywał w drewnianej skrzyni w głównej nawie. Rosie, siedząca z przodu, odwróciła się i zobaczyła go (ze swojej ławki nigdy by nie zgadł, że kobieta w czarnej garsonce i kapeluszu to ona). Wyśliznęła się z ławki i podeszła doń boczną nawą.

²⁵ Nieprzetłumaczalna gra słów. Nazwa gladiolusa, kwiatu zwanego inaczej mieczykiem, zaczyna się od sylaby *glad*, znaczącej „zadowolony”, zastąpionej tu sylabą *sad*, czyli „smutny”.

- Pierce - szepnęła, siadając obok. - Słuchaj, wiem, że to trochę niezręczne. Ale czy mogę cię prosić o przysługę? - Nie było odpowiedzi, której mógłby udzielić, więc czekał, co powie. - Widzisz tego mężczyznę w pierwszej ławce z prawej? Tego trochę przygarbionego? To kuzyn Boney'ego.

- Aha.

- Miał, wiesz... nieść trumnę. Tylko że właśnie mi powiedział, że nie może. Problemy z kręgosłupem czy coś. Pomyślałam, że może ty.

Pierce'a oblała fala opornego przerażenia, która zaraz minęła. Nikt nie prosił go, by pomógł nieść trumnę wujka Sama, i nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego tego nie robił.

- Hm. Nie ma nikogo innego, z rodziny, przyjaciół? - zapytał. - Wiesz, chętnie bym pomógł, ale ledwo go znałem.

- Już nie żyją. - Podniosła głowę i Pierce zobaczył, jak jej twarz blednie, nieczęsto widywał coś takiego; odwrócił się. Główną nawą niepewnym krokiem zbliżała się Val. Zwróciła się ku ławce Pierce'a z czymś w rodzaju ulgi.

A jednak ktoś żyje, pomyślała Rosie.

- Słuchaj, Val - powiedziała. Val miała na sobie teatralnie obszerną ciemną suknię, nie czarną, gdy się przyjrzeć, ale opalizującą i wielokolorową niczym pióra wilgowrona. Całości dopełniały ciemne okulary. Gwiazda filmowa incognito. - Chcesz pomóc go nieść?

Nie odpowiedziała. Potrwało chwilę, nim Rosie zrozumiała, że Val nie wie, o co jej chodzi, i że próbuje wydobyć sens z dziwnej propozycji Rosie.

- No wiesz, nieść trumnę - wyjaśniła.

- Chryste, nie - odpowiedziała Val.

- Oczywiście, w porządku. - Rosie położyła jej rękę na ramieniu. - Chodź, Pierce. - Ujęła jego dłoń i wyszli z ławki; prowadziła go boczną nawą, by usiadł przy niej, wciąż nie puszczając jego dłoni, przeciwnie, ściskając ją dziwnie mocno.

Nabożeństwo było równie skromne jak sam kościół. Kiedy pastorka - ubrana podobnie jak Rosie w ciemną garsonkę, z rumianymi policzkami, popielatoblond włosami, dobrodusznymi oczami i ustami - na początku ceremonii wstała, by oznajmić, że zmarły nie życzył sobie mowy pożegnalnej ani kazania i że jego wola zostanie uszanowana, zrobiła to tak poważnie i wymownie, jak gdyby to jednak była mowa pożegnalna. Potem otworzyła modlitewnik.

Nagi wyszedłem z łona matki i nagi tam powrócę. Dał Pan i zabrał Pan.
Niechaj będzie błogosławione imię Pańskie.

Pierce'a zawsze wzruszało w chrześcijańskich pogrzebach, zawsze powodowało napływ niespodziewanych łez do oczu, kiedy mówiono o duszy powracającej do domu, która już nigdy nie będzie skrzywdzona. Bo nie można było tego powiedzieć, nie przypominając jednocześnie o wszystkich tych duszach, które cierpią. Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie. Nic bardziej nie mogło go wzruszyć.

Trwało to chwilę, potem Rosie trąciła go, a człowiek z domu pogrzebowego wskazał mu miejsce przy uchwytych i wraz z Alanem Buttermanem oraz czterema członkami miejscowej starszyny, których Pierce nie znał, poniósł Boney'ego (czy był lekki, ciężki? trudno powiedzieć) główną nawą; wyszedłszy z budynku, umieścili go w karawanie. Uświadomił sobie, że nie będzie mógł teraz skręcić do domu, ale musi iść dalej, na cmentarz, gdziekolwiek się on znajduje, odprowadzić Boney'ego do jego miejsca w ziemi, skąd nie ma już odwrotu.

- Jedź ze mną - powiedziała Val, idąca u jego boku. - Coś ci opowiem.

Allan przekonał Rosie, by stypę zorganizować na koszt Fundacji; pani Pisky, wciąż orężna w status opiekunki, wiedziała, co robić, i przygotowała wszystko tak, jak gdyby od lat nie myślała o niczym innym; na trawniku znalazły się więc długie stoły, nakryte białymi obrusami z widocznymi zagięciami w miejscu złożenia, niczym płótno na florenckich malowidłach zmarłych świętych, pod nimi stały przenośne lodówki z napojami, a za nimi młodzi ludzie w białych koszulach gotowi do obsługiwania uczestników; był też chłopak do parkowania samochodów.

Przez cały poranek przychodzili i wychodzili, mijali Rosie w korytarzu i na trawniku, zadając jej pytania ściszym głosem (choć czasami śmiali się między sobą, układając stoły i rozkładając obrusy), a teraz wszystko było gotowe, goście z powagą wchodzili na trawnik, zbyt duży, by kiedykolwiek wydać się zatłoczonym, i obsługiwano ich z taką samą powagą. Rosie przyszły na myśl Pola Elizejskie. Jak gdyby wszyscy w tych swoich szykownych strojach znaleźli się w spokojniejszej wersji ziemskiego życia.

Wypiła szybko drinka na wzmocnienie; może zbyt szybko: poczuła, że się unosi nad ziemią, że może obserwować całą scenę, ale nie była pewna, czy może wziąć udział w przedstawieniu. Widziała Allana i ludzi z Nowego Jorku, dalekiego, rachitycznego kuzyna, Spofforda w wysokich butach i czarnym garniturze, z którego mankietów wystawały opalone nadgarstki; skąd on go wziął, albo gdzie go trzymał; przypominał bardziej szeryfa niż żalobnika. Gdy tak patrzyła, Pierce właśnie przerwał rozmowę z nim i podszedł do pastorki, która czekała nań ze sporym drinkiem w dłoni.

- Chciałem panią o coś zapytać - powiedział Pierce, gdy już się sobie przedstawili. (Nazywała się Rhea Rasmussen, lecz nie była bliską krewną Boney'ego; na próżno usiłowali znaleźć jakieś pokrewieństwo). - Kiedy byliśmy na cmentarzu...

- Tak?

- Kiedy nieśliśmy... w kierunku... Powiedziała pani, byśmy się na chwilę zatrzymali, i czytała pani...

- Tak.

- I poszliśmy dalej, kilka kroków, i znów się zatrzymaliśmy.

- Tak.

W czasie tego drugiego postoju (mimo wszystko staruszek był ciężki, on i jego trumna) Pierce podniósł wzrok i zobaczył przed bramą samochód Val z nią w środku, wciąż w okularach; postanowiła nie brać w tym udziału. I nie przyszła na stypę.

- Potem znów, jakieś trzy czy cztery razy.

- Tak. Siedem razy w sumie. - Uśmiechnęła się, a uśmiech rozjaśnił jej surowe rysy, rozświetlił oczy.

- Czy to był... Och". S i e d e m razy.

- Jest ku temu ezoteryczny powód, choć tak naprawdę już się go...

- Planety - powiedział Pierce.

- Tak. - Zaśmiała się lekko. - Pan się na tym zna? Zazwyczaj trzeba długo wyjaśniać. Czasami mam nadzieję, że nikt o to nie zapyta.

- Powiedzmy. Żeby zostawić ziemskie troski i brzemię.

Dusza w chwili śmierci pozbywa się ciała, lecz nie niematerialnej - czy też mniej cielesnej - powłoki; tę zrzuca dopiero, gdy przemierza sfery mające nad nią władzę. Gdy dusza się wznosi, oddaje część tej osłony, która należy do danej sfery, zanim będzie mogła przejść do następnej. To tradycja neoplatońska, pomyślał Pierce, lub gnostyczny mit; hermetyczny. Skąd się wziął u północnych protestantów?

- Zatrzymywaliśmy się więc przy każdej.

- Tak samo robi się przy ortodoksyjnych żydowskich pochówkach. - Potrząsnęła lodem w szklaneczce i łyknęła. - Sądzę, że przejęliśmy to od nich.

- Naprawdę?

- Tak. Zauważył pan, że odprawiamy nabożeństwa w sobotę? Byliśmy bardzo ekumeniczni. To ciekawa historia. Może chciałby pan kiedyś o tym posłuchać.

- Owszem - odpowiedział. - Bardzo. - A niech mnie, jeśli Boney rzeczywiście po każdym zatrzymaniu nie robił się lżejszy. Zajrzał do szklaneczki i zaśmiał się z cicha,

wyobrażając sobie duszę Boney'ego przechodzącą przez sfery (te same, które Beau Brachman rysował na podjeździe) w górę, w górę, coraz wyżej, wydostającą się spod ciężkich warstw ziemskich krzywd i astralnego przeznaczenia. Chyba że, oczywiście, powstrzyma go jakieś niespodziane zobowiązanie.

Una Knox. Nazwisko to, gdy tylko Val je wymówiła, poruszyło jakąś strunę gdzieś głęboko, w niewłaściwej lub nieoczekiwanej części jego pamięci, ale nie mógł jej sięgnąć.

Stojąc na skraju trawnika i zbierając się na odwagę, by wmieszać się w tłum, Rosie poczuła dłoń na łokciu.

- Och, witaj, Mike.

- Rosie. - Trzymał jej rękę dłuższą chwilę i przypatrywał się badawczo jej twarzy z wyraźną, szczerą neutralnością, która chyba miała być otwarta i chłonna, ale która, może zdawał sobie z tego sprawę, była też niepokojąca. Odezwał się:

- Jest ci ciężko.

- Tak.

- Przypuszczam, że byłeś przy tym.

- Tak. - Pomyślała, że mogła powiedzieć, iż Boney umarł w jej ramionach, jej, Val i pani Pisky. Przed oczami stanął jej długi korytarz, oświetlona łazienka. Błyskawica czy odpalona rakietka właśnie w tym momencie oświetliła na chwilę okna.

- Musiałś być blisko.

- Cóż. Blisko. Nie wiem. - Spojrzała na Mike'a, który teraz patrzył i uśmiechał się ponad pogrzebowym tłumem z rękoma luźno splecionymi za plecami. Marsowe, wojownicze spojrzenie, do którego przyzwyczyli ją przez ostatnie miesiące, teraz ulotniło się, zastąpiła je ta twarz, słodka, z szeroko otwartymi oczyma, beztroskimi niemal i trochę drapieżnymi. Wydawał jej się obcy.

- Masz teraz dużo na głowie - powiedział. - Nie chciałbym ci przeszkadzać. W żałobie. Pewnie zostawił sporo niedokończonych spraw.

Owszem; sporo. Jeśli nie dopuszcza się myśli o śmierci, często unika się doprowadzania spraw do końca. Nie powiedziała nic, tylko splotła dłonie przed sobą.

- Nielatwo mi o tym mówić - powiedział. - Ale chciałbym cię prosić o przysługę.

- Oczywiście. - Oczywiście, prosz: kiedy Rosie była dzieckiem, jej najlepsza przyjaciółka Sylvia wytłumaczyła jej, że jak najbardziej można powiedzieć „oczywiście”, gdy ktoś powie „chcę cię prosić o przysługę”, i wciąż móc odmówić wyświadczenia jej. Później Sylvia zdradziła ją okrutnie; wciąż to pamiętała.

- Sporo się zmienia w „Lesie”. Naprawdę zmienia. Cała nasza misja może się zmienić. Pojawiają się nowe, poważne kwestie. - Potrząsnął głową ze zdumieniem, a Rosie wydawało się, że jego oczy są wilgotne. - Chciałem tylko powiedzieć, że to fatalna pora na jakiegokolwiek zmiany w naszym finansowaniu.

Znów nie powiedziała nic. Nie słyszała wcześniej, żeby w „Lesie” zachodziły jakieś duże zmiany. Zastanawiała się, dlaczego Mike martwi się o fundusze, które „Las” otrzymywał od Fundacji Rasmussena, a które stanowiły niewielką część dochodów kliniki, przeznaczoną na, jak myślała, projekty badawcze. Nigdy nie poświęcała zbytnej uwagi dokumentom.

- Aj - powiedziała. - Nic nie mogę ci teraz powiedzieć, Mike.

W niewielkiej odległości, w miejscu, na które oboje patrzyli, stał, nie przyłączając się do żadnej z grup, duży, starszy mężczyzna w zmiętym garniturze. Za plecami trzymał słomkowy kapelusz i rozglądał się ze spokojem wokół, nie patrząc na nikogo konkretnie.

- Rozumiem. Naprawdę. Ale myślę, że gdybyś była zaangażowana w to, co się tam teraz dzieje. - Kopał w nieszkodliwą łatę mchu, która leżała u jego stóp, testując jej nieustępliwość. - Kiedyś cię to interesowało. Czym się zajmujemy. Czym ja się zajmuję.

- Klimakteria - powiedziała Rosie. Nie miała zamiaru wypytywać go o to. Mike zaśmiał się cicho: z lekceważeniem nawet, przeszło jej przez myśl, jak gdyby wspomniała o jakiejś jego starej pasji, motorach czy kolekcjonowaniu znaczków.

Kim był ten człowiek? Nikt stąd, widać to na pierwszy rzut oka. Jego ogromną, dyniowatą twarz znaczyła zadziwiająco gęsta siateczka zmarszczek, małe oczy i rysy ginęły w jej przestworzu.

- Więc jaka to przysługa? - spytała.

- Chciałbym ci kogoś przedstawić. Pracuje z nami w „Lesie”. Bardzo chciałem, żeby starszek go poznał, ale...

- Ale - powtórzyła Rosie. - Tak. To jakiś terapeuta?

Mike roześmiał się nowym, cichym śmiechem, przepełnionym niemożliwymi do wypowiedzenia sprawami.

- Hm. Tak.

- Jak się nazywa? Dlaczego koniecznie mam go poznać?

- Nazywa się, tylko się nie śmieję, nazywa się Honeybeare²⁶.

²⁶ Efekt komiczny ma się tu brać z łudzącego podobieństwa nazwiska do dwóch słów. *honey* - miód oraz *bear* - niedźwiedź, miś.

- Ach, tak? - Nie śmiała się. Znała kiedyś kogoś o tym nazwisku, instruktora pływania, kościstego i zgorzkniałego, który zrobił z Rosie porządną zawodniczkę.

- Raymond Honeybeare. Chciałem ci go przedstawić, bo... - Umilkł, wybierając spośród przyczyn, które najwyraźniej walczyły między sobą. - Bo mnie o to prosił.

- O rozmowę ze mną?

- No, z Fundacją.

- To nie ja.

- Myślę po prostu - powiedział Mike - że cię to zainteresuje. Naprawdę.

Usłyszała to wyraźnie. To mówił Mike, mały Mike wewnątrz Mike'a, który zwykle mówił, Mike, którego od dawna nie słyszała.

- No cóż - odparła. - Dobrze. Może kiedyś.

- Teraz jest odpowiedni moment - powiedział i znów chwycił jej łokieć.

- Teraz?

- To on. - Wskazał dużego mężczyznę z kapeluszem, wpatrującego się w pustkę.

- Och - powiedziała Rosie. Oparła się ramieniu Mike'a, które popychało ją delikatnie w kierunku gościa. - Michael, nie. Ach.

- Tylko się przywitasz.

- Nie widzę powodu, Mike. - Była pewna, że nie chce poznać tego mężczyzny, zetknąć się z nim ani porozmawiać. Jego bliskość i udawana rezerwa odstręczyły ją nagle.

- Słuchaj - powiedziała stanowczo - nie teraz.

- To kiedy?

- Umów go. Mam coś do zrobienia.

Odwrociwszy się, odeszła w pośpiechu i niezgrabnie, nienawykła do chodzenia w butach na obcasie; nie spojrzała nań; było jej przykro z powodu jego zakłopotania, przykro, że nie mogła inaczej postąpić, i zastanawiała się dlaczego.

Doszła do werandy, gdzie siedział Allan Butterman z ludźmi, którzy przyjechali z Nowego Jorku, kuzynem Boney'ego i członkami zarządu Fundacji lub ich prawnikami czy agentami, którzy siedzieli wcześniej z Allanem w kościele z przodu. Allan uniósł na powitanie wykałaczkę z krewetką.

- Rosie.

- Cześć, Allan. - Skinęła innym, świadoma, że się jej teraz przypatrują. Czy ten dzień nigdy się nie skończy? Miała nadzieję, że do żadnego z nich nie będzie musiała zwracać się bezpośrednio; Allan przedstawił ją w kościele, a jeszcze wcześniej wręczył jej listę z ich nazwiskami, ale żadne nie połączyło się w jej pamięci z twarzą.

- Panowie muszą się już zbierać - powiedział. - Wcześniej jednak chcieliby z tobą porozmawiać.

- Oczywiście - powiedziała Rosie. Allan obiecał jej wcześniej, że nie będą jej dręczyć pytaniami o pieniądze ani kwestie zarządzania. Niemniej jednak jej serce przyspieszyło.

Zaprowadziła ich do gabinetu Boney'ego, który pani Pisky zdążyła posprzątać, choć butla z tlenem i aparat tlenowy ciągle stały pod ścianą, jak służący czekający na pozwolenie, by odejść. Panował tu chłód. Rosie wciąż wyczuwała zapach Boney'ego, ale nikt inny go nie rozpoznał.

Allan powiedział, że goście chcą porozmawiać, ale to głównie on mówił; oni jedynie siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, poprawiali krawaty, wygładzali piękne garnitury, patrzyli na nią ze stanowczą, acz delikatną uprzejmością. Allan pokrótce przedstawił historię Fundacji Rasmussena, szukając co jakiś czas potwierdzenia w oczach pozostałych, którzy w odpowiedzi kiwali głowami; omiatał wzrokiem biurko Boney'ego, szukając być może jakiegoś długiego żółtego ołówka, którym zwykle bawił się, kiedy przemawiał, prowadząc z nim własnym dyskurs.

- Jesteś oczywiście świadoma - powiedział wreszcie - że pan Rasmussen nie pozostawił testamentu. Te kwestie podejmiemy kiedy indziej, są trudne, ale do rozwiązania. Teraz ważne jest to, że tego roku zrobił wszystko, co konieczne w stosunku do Fundacji, mianował następcę, podpisał dokumenty.

Rosie widziała je, pięknie wydrukowane, z brązowymi okładkami, ale nie wgłębiała się w ich istotę.

- Następcę?

- Przepisy nie określają, że stanowisko objąć musi członek rodziny, ale preferencje rodzinne są bardzo jasne. Nie miał zbyt wielkiego wyboru, chociaż mógł sięgnąć dalej. Oczywiście tego nie zrobił.

Oczywiście? Rosie poczuła pewność, interpretując twarz Allana, że śmierć Boney'ego nadal będzie przynosić niespodzianki, sprawy, których nie dokończył i nie pozatławił, a które załatwi za niego sunący Czas.

- A więc...

- Wybrał ciebie na szefa Fundacji. - Allan uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem. Wszyscy się uśmiechali, jak na wytwornym przyjęciu z niespodzianką. - Dowiedziałem się dopiero dziś rano. Trochę późno, nieważne, zapewne myśleli, że pan Rasmussen zrobił to za twoją wiedzą i zgodą. Tak nie było, prawda?

- Prawda.

Zaczął wzbierać w niej uczucie, w którym nie od razu rozpoznała gniew. Kiedy nareszcie to zrobiła, poczuła strach przed otwarciem ust. Musiał wiedzieć o tym od miesięcy, ale nie powiedział, nie zapytał; być może bał się, że odmówi. Zostawił po prostu rzecz nie do odrzucenia, nie do przyjęcia, jak ten list z instrukcjami pochówku. Myślała o tamtym poranku, poranku czwartego lipca, kiedy po raz ostatni z nim rozmawiała. Przepraszam, powiedział wtedy, żałuję, że cię z tym zostawiam. A zatem miał na myśli kontynuowanie swoich badań. Chryste.

- Cóż - powiedziała wreszcie, na tyle tylko było ją stać. Wiedziała, że ma wypieki na twarzy. - Czy mam prawo odmówić?

- Oczywiście. Ale ja bym się zastanowił.

- Obawiam się, że nie mam kwalifikacji. Już samo to.

- Boney uważał, że je masz - powiedział Allan, wciąż się uśmiechając.

Pomyślała: oni nie rozumieją. Spojrzała na nich jak na stado sympatycznych zwierząt, koali albo pand. Sądziła, że Boney to tajemniczy starzec, który pozostawił swojej krewnej wspaniały dar, a nie samolubny, przerażony egoista, który chciał, by reprezentowała go pośród żywych nawet po śmierci.

To było nie fair. Biedny głupiec, co on u licha zrobił.

- Cóż - powtórzyła. - Muszę pomyśleć. - Była bliska łez i wściekła na siebie z tego powodu, a im wreszcie z ust spłynęły miłe uśmiechy. - Tylko pomagałam.

- Nie sądzę, by zarząd potrzebował odpowiedzi już dzisiaj - powiedział zdumiony Allan. - Nie spiesz się, zastanów. Do dyskusji pozostaje odszkodowanie. No i dom.

Dom. Tu, gdzie siedzą. Czują, jak jego ściany zaciskają się wokół niej.

Starszy kuzyn Rasmussena, który opierał się o biurko Boney'ego, podniósł się.

- Rosie? - powiedział pytająco. - Ci panowie mogą tego nie rozumieć. Ja rozumiem. Naprawdę. - Włożył ręce do kieszeni. Jego ciemna muszka opadła z gorąca. Bardzo przypominał jej Boney'ego, ale w jaki sposób oprócz radosnej powagi, którą Boney na koniec utracił? - Nie wiem, czy wiesz, że wielu Rasmussenów to mormoni. Tak. Od wielu lat. Mnie też to kiedyś interesowało. Pojechałem na zachód, dziś już nie wiem dokładnie czemu, do Utah i Salt Lake City, spędziłem trochę czasu z mormonami. Ich wierzenia są niesamowite. Wierzą, że dusze zmarłych, jak dusze żywych, mogą być zbawione. Spędzają dużo czasu, ucząc się imion i dat z życia zmarłych krewnych, nawet sprzed stuleci, aby móc przeprowadzać ceremonie, które uwalniają ich dusze. Teraz mi się wydaje...

Zamilkł, by ułożyć sobie konkluzję, a wszyscy nań patrzyli. To mój krewny, pomyślała Rosie.

- Wydaje mi się, że to prośba o coś podobnego. Tak? O zrobienie tego, co konieczne, by zbawić dusze zmarłych krewnych.

- Uśmiechnął się. - Nie zrozum mnie źle. Mam nadzieję, że się zgodzisz. Ale jesteś młodą kobietą. Wiem, dlaczego możesz chcieć odmówić. Ja na twoim miejscu bym odmówił. Właściwie to byłem kiedyś na twoim miejscu i odmówiłem.

Podniósł laskę, której chyba wcale nie potrzebował, taki wielki facet, wszyscy Rasmussenowie byli długowieczni, ona sama pewnie też. Pozostali wstali na jego znak.

- Nie chcemy cię naciskać. Pomyśl o tym. Może odmówisz. Jak powiada Ewangelia, zostaw umarłym grzebanie ich umarłych.

Popołudnie, cykady ostrzegają się z dębów; Pierce Moffett, szukając bezowocnie łazienki na dole, w której kiedyś był, gdzieś tutaj, wpadł na Rosie w kuchni: siedziała na dolnym stopniu stromych schodów, boso, z drinkiem w dłoni i niezwykłym u niej papierosem.

- Wołają cię - powiedział Pierce.

Strząsnęła popiół na podłogę.

- Pierce, czy ty naprawdę wiesz, czego on szukał? Co to było?

- Wiem, jak to się nazywa. Wiem, za co to uważano.

- To było takie dziwne. Aż źle się o tym mówiło. Zawsze odpowiadał: kiedyś zrozumiesz.

Pierce usiadł obok na schodach.

- W mitologii alchemii tak to wygląda. Ma wiele nazw i definicji. Nikt tego jasno nie opisuje, częściowo dlatego, że nie była to bardzo wyraźna idea, częściowo dlatego, że w tamtych czasach naukowcy i badacze, jeżeli można ich tak nazwać, dużo wysiłku wkładali w ukrywanie tego, co wiedzieli albo co im się wydawało, że wiedzą. Inaczej niż dziś.

- Ale to nie istniało naprawdę.

- Spójrz na to w ten sposób. Przemiana metali nieszlachetnych, tak zwanych nieszlachetnych, w złoto nie jest możliwa. Ale są mocne poszlaki, że kiedyś udawało się tego dokonać. Nikt nie może żyć przez lata żywiąc się tylko hostiami. Ale wiemy, że pewne zakonnice potrafiły.

- Więc?

Zaśmiał się cicho.

- Załóżmy, że dawno temu świat był inny, naprawdę inny w swoich najgłębszych mechanizmach. I załóżmy, że coś przeszło z tamtego świata do naszego. Właśnie to.

- O tym mówił Boney.

- O tym pisze Kraft w książce.
- Boney uważał, że Kraft wiedział o tym.
- Kraft pisał beletrystykę.
- Czasami brzmiało to jak lekarstwo, czasem jak metal albo klejnot.
- Było także proszkiem albo płynem. Można użyć różnych słów, ale sędzę, że rzecz sprowadza się do tego: to coś, czego brak. Coś, czego się nie ma.
- Więc jeśli uda się to zdobyć...
- To nie będzie to. Taka przypowieść.

Rosie poczuła aż nazbyt dobrze znajomą bolesną pustkę w piersi; a sądziła, że ona już nigdy nie wróci.

- Myślałam, że to coś jak magiczny lek. Lek wiecznego życia.
- To jeden z opisów.

Kiedy jako dziecko bawiła się w kowbojów i Indian albo w policjantów i złodziei, używali Magicznego Leku (słyszała, jak wymawia tę nazwę, wymówić ją znaczyło zaaplikować lek) do ożywiania niezliczonej ilości trupów, aby znów można było je zabić.

- Wiesz, co chcę powiedzieć. - Zamrugła, by odegnąć łzy, pierwsze tego dnia. - To najgorsze, co może zrobić umierający człowiek. Postawić wciąż żyjącym pytanie, na które nie potrafią odpowiedzieć. - Wrzuciła niedopałek do niedopitego drinka. - To jak klątwa.

Pomyślała: to jak gdyby zegnający się gość odwrócił się u drzwi po wszystkich pozdrowieniach i komplementach, pytając ze smutkiem i złością, dlaczego tak źle go potraktowano, a potem odwrócił się i ignorując wyciągniętą dłoń, odszedł bez słowa.

- Jakie pytanie postawił ci?

- Nie mnie - odpowiedziała, myśląc, że on nie tyle postawił pytanie, co sam nim był. - Nam. Tobie.

Włożyła ciasne buty i zaniósła szklankę do zlewu. Gdzieś z zewnątrz doszedł głośny śmiech. Czyj?

Pierce oczywiście znał już pytanie; była to tylko wersja Boney'ego tego samego pytania, które musiało zadawać wielu ludzi, pytania, jakie on sam mógł zadać nieznanym potomkom i krewnym, którzy będą stać wokół jego łóżka (jeśli nie umrze w samotności, stawiając pytanie czterem niewiele bardziej komunikatywnym ścianom): dlaczego muszę umrzeć? Dlaczego teraz, a nie później, w lepszym czasie? Dlaczego ja, a nie wy? Dlaczego nie możecie, wy, tacy żywi, pełni wigoru, uratować mnie?

Zadrzał. Niech go Bóg broni przed taką śmiercią. Do jakiego świętego trzeba się modlić. Dziewięć Pierwszych Piątków, gwarancja Dobrej Śmierci. Nie dla niego.

- Nigdy nie udało mi się tego znaleźć - powiedział z uśmiechem. - Szukałem. Naprawdę.

- Trzeba szukać dalej. Boney chciał ci to powiedzieć. Ja miałam ci to powiedzieć. Była dotacja dla ciebie. Coś w rodzaju stypendium. Stypendium podrózne, jak to nazwał.

- Tak?

- Miał ci powiedzieć, jak się o nie starać. Potem byś je otrzymał.

- Hm - zasepił się Pierce.

- W ramach stypendium miałeś jechać do Europy. Wytropić to coś. Dowiedzieć się wszystkiego. Zdać relację. - Zaśmiała się.

- Naprawdę?

- To wciąż jest aktualne. Tak myślę. Jeśli chcesz. Wszystko jest chyba nadal zorganizowane. Może teraz... Kto wie, co się stanie. Ale...

- Kiedy?

- Kiedy będziesz gotów. - Zasłoniła usta, tłumiąc śmiech, ta gra Boney'ego miała ciągle trwać i stawać się coraz dziwniejsza. - Kiedy będziesz wiedział, gdzie szukać.

- Ha, ha. Okej - odparł ze schodów.

- Słuchaj, muszę iść, będą się zastanawiać. Nie wiem, wszystko będzie teraz inaczej, porozmawiamy. - Wyglądziła pomietą koszulę i wymknęła się uchylnymi bezklamkowymi drzwiami, takimi jak w restauracjach, które po jej wyjściu znów się otwały, potem zamknęły, potem znów otwały i znów zamknęły.

Pierce nigdy nie był w Europie. Była to wielka, wstydliva luka w wykształceniu, nie jedyna, ale taka, która najbardziej go bolała. Nie do końca świadomie wypracował pewne zwroty, które w rozmowie ukrywały ten fakt bez ewidentnych uników.

Ale teraz.

Europa. Stary Świat.

Zaśmiał się głośno w pustej kuchni. Upragniony wyjazd do krainy, którą rzekomo już znał, dla wypełnienia życzenia zmarłego człowieka, szukającego życia wiecznego, aby napisać książkę promującą magię, w którą nie wierzył. Zdawało mu się, że patrzy na tę krainę z miejsca, gdzie siedzi, że widzi ją jak gdyby z okna samolotu: wybrzeże zimnego morza, następnie pola i góry, ruchliwe rzeki, szare krzemienne miasta wznoszące się z krzywizny ziemi, nabijane kościołami i zamkami, gdzie ludzie jeżdżą po dziedzińcach i gościńcach albo chodzą śladami swoich przodków; niekończące się wstążki starych dróg, wiodących na wschód.

Rosie pożegnała się z ostatnimi gośćmi (jej gośćmi, nie myślała o nich w ten sposób, ale przecież nie byli gośćmi Boney'ego, on wcale ich tu nie chciał). Sam wreszcie zasnęła po okropnych zmaganiach, przemęczona, niemogąca się wyłączyć.

Śpi? Tak. Rosie stała pod schodami i słuchała: cisza.

Na podjeździe obsługa ładowała rzeczy na ostatnią furgonetkę. Wszystko się udało, powiedział jej Allan.

Udało się.

Światło nareszcie zaczynało opuszczać wielki salon; krzesła i sofy, bardziej sfatygowane i mniej imponujące niż kiedyś, odzyskiwały o zmierzchu poważny formalizm. Długa kanapa, której skórę znaczyły drobne pęknięcia, jak skórę Boney'ego; mahoniowy kredens i patera porcelanowych owoców, którymi Sam uwielbiała się bawić. Dziwna komoda z inkrustowanego drewna z zamykaną na klucz szkatułką.

Postawiła gołe stopy na dywanie. Nigdy w najżywszych ani najmglistszych wyobrazeniach o swojej przyszłej drodze, o tym, co będzie musiała zrobić i co na niej wycierpi, nie myślała, że ta droga nie zaprowadzi jej donikąd; że zostanie tutaj, że decyzja już zapadła.

Przecież nie zapadła.

Przeszła przez pokój do niewzruszonej komody i przekręciła klucz, jak to zeszłego roku zrobił Boney, przekazawszy jej jeden z sekretów tego domu; być może już wtedy postanowił, co zrobi. Otworzyła szkatułkę i wyciągnęła aksamitną torbę sznurkową; otworzyła ją i wydobyla z niej kulę kwarcowego kryształu wielkości piąstki Sam.

Miał ją niegdyś w posiadaniu prawdziwy magik, powiedział Boney (choć nie powiedział, skąd to wie i skąd ją wziął). Kiedyś były w niej anioły, można było je zobaczyć i porozmawiać z nimi, a one odpowiadały; ich imiona zaczynały się na literę A.

Cięższa, niż wydawało się z pozoru. Ale teraz pusta; tyle widziała Rosie, a może to ona sama była pusta. Przedmiot, pozostałość z przeszłości; przedmiot, którego ci najbardziej potrzeba. A jeśli się go znajdzie, to znaczy, że to nie to.

Próbowała wyobrazić sobie odziedziczenie prawa do wysyłania ludzi, by odkryli prawdę, coś, co ludzie potrzebują wiedzieć, coś, co będzie kolejnym krokiem na drodze, jakakolwiek ta droga była; i czymkolwiek to było, nie pozostanie takie samo, nowa wiedza zmieni odrobinę bieg drogi i nie da zawrócić.

Mike chciał kontynuować wsparcie Fundacji dla ich badań. Zastanawiała się, co chcieli odkryć. Dziwny facet.

Czego można się dowiedzieć, zastanawiała się, gdyby włożyć w to wszystkie

pieniądze Fundacji. Nie, nie zwariowana misja Boney'ego, nie o to jej chodziło; coś prawdziwego, prawdziwe badanie, prawdziwa wiedza.

Trzymała w dłoni zimną magiczną kulę, sekret domu, a teraz i jej; kula przyciągała wieczorne światło niczym oko.

Czego potrzebujesz? - spytała samą siebie. Co chcesz wiedzieć?

DWA

Robbie był z Pierce'em przez tydzień. Co rano wstawali wcześniej i ćwiczyli razem, czasem też spacerowali o wilgotnym poranku, obserwując magiczne linie na pokrytych rosą trawnikach, błękitne niebo wylaniające się z czmychającej przed promieniami słońca mgły. To samo działo się z melancholią, umykała co rano, jego serce na powrót było błękitnym niebem, kiedy wracali na śniadanie.

Pierce pomyślał, że bez wątpienia średniowieczni lekarze bliżsi byli prawdy w kwestii pożądanego od współczesnych terapeutów, którzy postrzegają je jako rosnącą presję, a psychikę jako bojler potrzebujący zaworu bezpieczeństwa, ujścia pary, pod groźbą rozerwania się. Terapeuta taki (Mike Mucho? Pierce nie znał terapeutów, nigdy nie był przez żadnego leczony) powiedziałby na pewno, że ponieważ w pewnym sensie Robbie'ego sprowadziła wymuszona wstrzeźliwość i seksualne napięcie, to danie ujścia żądy z prawdziwą osobą powinno sprawić, że chłopiec zniknie. Ale tak się nie stało. Każdego ranka jednak trzeba go było stwarzać na nowo: Pierce z cierpliwością Pigmaliona pracował nad słabnącym fantomem, dopóki przez chwilę, kilka chwil, nie był znów obecny, nie stawał się Prawdziwą Obecnością, z którą można było obcować. Nie było to łatwiejsze, ale Pierce wciąż był otwarty, a Robbie nie przestał się pojawiać.

Rozmyślał czasem przerażony o tej chwili w bibliotece Kraftha, kiedy poczuł, że jego moc, moc życzenia i wchodzenia w posiadanie, przebudziła się na nowo. *Tym razem tego nie zmarnuję*, obiecał temu darczyńcy albo dardzierzcy (samemu sobie). *Teraz jestem starszy, mądrzejszy, nie zmarnuję tego, wykorzystam w kontekście swojego życia*. Pomyślał o dwóch głupcach z opowieści: otrzymawszy trzy życzenia, jeden poprosił o tłustą kiełbasę, drugi oburzony takim głupim marnotrawstwem zażyczył sobie, żeby kiełbasa przykleiła się tamtemu do nosa; zatem ostatecznie życzenie mogli wykorzystać już tylko w jeden sposób.

Od dziecka całym sercem marzył tylko o miłości. Gdyby był Boney'em Rasmussenem, nie szukałby wiecznego życia, życie wieczne bez miłości to pusta beczka, chodziło mu o miłość połączoną także z seksem, tak intymnie jak sny ze snaniem; mógłby wymienić inne rodzaje miłości, ale nie potrafił sobie wyobrazić, jak by to było tak mocno pragnąć. Boże, co za człowiek. Może gdy będzie w wieku Boney'ego...

Pomyślał o Rose Ryder, z którą nie kontaktował się od śmierci Boney'ego. Podziwiali

fajerwerki, gdy on umierał, dziwna koniunkcja, dość wyobrazić sobie, ilu innych jeszcze tej nocy. Robbie wciąż tu był, ale ona zniknęła w Shadowland. Nie mógł sobie nawet przypomnieć nazwy tego miejsca, aż wreszcie w sobotę rano w „Kurierze Faraway”, który kupił podczas codziennej przechadzki, zobaczył, że Kościół Boży w Shadowland organizuje kiermasz rzeczy używanych dziś i nabożeństwo dla chorych jutro.

Tak naprawdę to myślał o Klimakteriach. Rozważał system Mucho w równym stopniu co resztę wydarzeń tamtego popołudnia i wieczora. Narysował swój wykres według zasad Mike’a, na tyle, na ile je zapamiętał, i zdziwił się, jak bardzo był on trafny, tak trafny jak (jakżeby inaczej) astrologia czy chiromancja. Zobaczył, że on sam, właśnie w tej chwili, w zaskakujący sposób, schodzi po dużej krzywej: w grudniu skończył trzydzieści pięć lat, miał ze szczytu rozległy widok (czyż nie? ależ tak), a jego samochódziki wkrótce miał zacząć nabierać prędkości na drodze w dół.

Przejrzał swój wewnętrzny kalendarz, nieco zapuszczony. Wreszcie sięgnął po ołówek i kartkę, by rozpracować rzecz matematycznie.

Ostatnie wznoszenie przypadło na upojne i barwne miesiące, które spędził z dilerką kokainy. Wtedy dosłownie szedł w górę: wyjeżdżał windą z lustrami w wieży z nagiego betonu do mieszkania o szerokich oknach z widokiem na zachód słońca, gdzie oboje mieszkali.

Ależ nisko upadł, o rany, z tego orlego gniazda.

Przygryzł gumkę ołówka, studiując prymitywną kolejkę górską, którą narysował. W Roku Przejściowym Wznoszenia przed tym rokiem nie tylko on znalazł się na drodze ku górze, ale całe miasto i cały naród, rozwrzeszczane, rozkrzyczane, rozplakane. Cały świat, od Paryża po Pragę. Prawie jak gdyby...

Tak. Prawie jak gdyby.

Naraz zrozumiał, w jaki sposób może wprowadzić subtelny poprawkę, czy też epicykliczny dodatek do teorii Klimakteriów, dzięki któremu jej skuteczność wzrosłaby dziesięciokrotnie, a o którym Mike Mucho nie pomyślał, bądź nie spostrzegł go w swoim systemie.

Co się dzieje, gdy krzywa wznosząca w siedmioletnim cyklu życia (dajmy na to myśliciela lub człowieka czynu) zbiega się z transformacją czy fermentem w życiu całego społeczeństwa? Wtedy taki ktoś - a właściwie wszyscy, którzy w tym momencie znajdują się w tym samym punkcie tych samych cykli - zobaczy rewolucję wielkiej wagi, rozgrywającą się nieprzerwanie na jego oczach, Falę Historii osiagającą najwyższy poziom, tam, gdzie inni stojący w różnych punktach s o i c h cykli zobaczą jedynie zamieszanie, bałagan,

niczego nieświadome armie. W zasadzie ci, którzy zmierzają w górę, mogą d o k o n a ć rewolucji tylko dlatego, że j ą w i d z ą, poprzez spektrum własnych tęczyowych klimakterycznych gogli, bez których w ogóle nie można nic zobaczyć.

Ponieważ oczywiście naturalnym byłoby dla dusz poddanych tym cyklom postrzeganie całej historii świata w cyklicznych okresach bez względu na to, gdzie same będą się wtedy znajdować. Cykle wznoszenia i opadania, możliwości i odwrotów mogłyby tłumaczyć przekonania, jakie mamy w różnych punktach życia - że niedawna przeszłość to ponura, zamknięta książka, ale terazniejszość kipi od pasjonujących możliwości bez ograniczeń, albo przeciwnie, że ta dekada będzie nieciekawym łachmanem z resztek i strzępów, odpadem ze starych, dobrych czasów. Cykle rzeczywiście tłumaczyłyby oceaniczne i niepodważalne przekonanie, że świat („ten świat”, to wszystko, ludzkie życie łącznie) tak naprawdę składa się z tych ogromnych zmian, punktów kulminacyjnych i upadków; a każdy oddziela nas od starszego świata na zawsze, z wyjątkiem naszych zmiennych i zawodnych wspomnień, które są częścią nowego, a nie starego świata.

Tak! O to właśnie chodziło, życie jednostki interpretujące życie całego świata podług jedynych kryteriów, jakie posiadało, i interpretujące je na nowo w miarę osiągania kolejnych punktów cyklu, kryteriów zmieniających się od szczęśliwego oczekiwania (Okres Przejściowy Wznoszenia) poprzez pewną siebie siłę do zmian (Okres Stabilizacji), a dalej poprzez nagromadzenie przeciwieństw i sprzeczności (Okres Przejściowy Opadania) aż do ponurego więzienia wyparcia i niezgody na zmianę (Okres Dna).

I za każdym razem, gdy czas i dusza, która go postrzega, zbliżają się razem do linii środkowej (tak jak niebawem w przypadku Pierce’a), następuje Okres Przejściowy: wtedy to właśnie przychodzi wiatr możliwości, który zawsze wieje wzdłuż granicy między Wtedy a Teraz, między Tutaj i Tam. Wtedy rodzą się nowi bogowie, wielkie demony, które powstają z wadliwych członków starszych i młodszych braci; wtedy następuje przekazanie duszy strasznych tajemnic, ukrytych historii świata, imion archontów. Wtedy czerpiemy z magii albo cierpimy przez nią.

Boże, to przecież czysta psychologia, to się działo w e w n ą t r z, a nie na z e w n ą t r z świata; prawdopodobnie nie bylibyśmy w stanie nawet wyobrazić sobie, że kiedyś świat działał na innych zasadach, chyba że zrozumielibyśmy, przynajmniej z grubsza, że dotyczy to też nas samych. Tak jak udało się to być może Kraftowi, pracującemu nad ostatnią książką, zmierzającemu ku śmierci i Wielkiemu Klimakterium zarazem. Być może jego ostatnia książka naprawdę była czymś w rodzaju autobiografii. Tak samo być może jak Pierce’a; nie historia jakiegoś świata, ale duszy, z jej zsypaniami i drabinami, zmaganiem i

przegranymi, rozgrywająca się w oczywisty sposób na tle wiecznych i niezmiennych ziemi i nieba.

Skręcił papierosa, zadowolony, z uczuciem czystej satysfakcji Euhemera, któremu udało się zredukować mit do sensu bez konieczności rezygnowania zeń.

Robbie, który siedział na drugim końcu kanapy w samych spodenkach, uśmiechnął się do szczęśliwej myśli ojca; potem uniósł do ust srebrny flet i spuścił długorzęse oczy, by zagrać.

Tego dnia w południe zadzwoniła Rose Ryder.

- Nie wiem, co mam o tobie myśleć, Moffett - powiedziała tonem, jak przypuszczał, żartobliwym, którego jednak nie potrafił właściwie zinterpretować. - No nie wiem, co o tobie myśleć.

- To znaczy?

- Ta cała magia. Nie wiem.

Ach, o to chodzi. O co jej tak naprawdę...

- Po pierwsze dziwne sny. - Zaśmiała się lekko i cicho. - Od trzech dni śni mi się magiczne istoty. Bardzo trudno odróżnić te sny od rzeczywistości, wiesz? Tego rodzaju sny. Śni mi się, że idę do toalety, a tu pojawia się dziewczynka, jakby anioł czy coś, i muszę ją przegonić, żeby sobie poszła. A ona chichocze. Inne tak samo. Potem budzę się i widzę je w drugim pokoju.

- Budzisz się i je widzisz?

- No śni mi się, że się budzę.

- A one co robią?

- Zajmują się sobą. Jak myszy.

- No cóż - powiedział Pierce - to chyba nie tak źle. Mogłyby zająć się tobą.

- A, to co innego - odparła tym samym prawdopodobnie żartobliwym, albo może oskarżycielskim tonem. Wydawało mu się, że wie, co to ma oznaczać, i rozważał kilka odpowiedzi. Nim się jednak zdecydował, zaczęła opowiadać, co się wydarzyło w „Lesie”, a co miało, bądź nie, związek z dniem, który spędzili razem, oraz jej kolejnymi snami, będącymi jego następstwem. Chodziło o spotkanie z pacjentem, niepokojące, profetyczne; jej przełożeni nie rozumieli jej trudnego położenia; ktoś ją obraził.

- Chyba nie do końca rozumiem - powiedział, gdy dobiegła do końca. Wydawało mu się, że przedstawiła mu problem czy trudność i oczekiwała, że on wszystko rozwiąże, a przynajmniej inteligentnie skomentuje, on zaś nie wiedział, o co chodzi. Jej opowieść nie

trzymała się kupy, jak motek źle dobranej przędzy. Nabrał przekonania - miał teraz chyba dosyć dowodów - że Rose jest dziwaczką. Im dłużej z nią rozmawiał, tym bardziej oddalała się odeń, nawet jej głos zaczął brzmieć jakoś sztucznie, z oddali; bardziej sygnały niż słowa.

- Aha. Hm. Rozumiem.

Człowieku, pomyślał. Branie się za to będzie oznaczać wiele godzin nudy, rozwiewanej jedynie przelotnie.

- A tak przy okazji, myślałem o Klimakteriach - powiedział, by zmienić temat na taki, o którym da się podyskutować.

- O Boże.

- Wiesz, to jest naprawdę stary system znakowania życia. Wiesz o tym?

- Jasne.

- Dlaczego osiągamy pełnoletność w wieku dwudziestu jeden, a nie dwudziestu lat.

- Jasne. Ludzie chyba wyczuwają to instynktownie.

- Siedem - powiedział - to wiek rozumu. Według dogmatów katolickich. Wiek, kiedy możesz zostać pociągnięty do odpowiedzialności za grzech.

- Ach, naprawdę? Coś takiego.

- Etruskowie - zaczął (dopiero teraz sobie o tym przypomniał, odniesienia pojawiały się jedno po drugim niczym owoce w automacie do gier) - uważali, że aby móc objąć urząd publiczny, trzeba mieć skończone trzydzieści pięć lat. Rzymianie przejęli to od nich. A my od Rzymian. To dlatego nie możesz zostać prezydentem, jeśli nie masz siedem razy pięć lat.

- Naprawdę? Ha. Słuchaj, poczekasz chwilę? Pójdę po ołówek.

- Jasne.

Gdzie ona była? Słyszał w tle niewyraźny ptasi śpiew. Etruskowie, pomyślał, rzeczywiście liczyli po pięć, pięć lat lustrum, nieważne.

- Możesz powtórzyć? - poprosiła, gdy wróciła.

Powtórzył. Kiedyś przyszło mu na myśl, że mógłby zarabiać, otwierając sklep i sprzedając historię tym, którzy jej potrzebują. Jako ktoś, kto mimo wszystko jej nie potrzebował. Ześlizgnęli się w niepewną błahość. Zastanawiał się, co robi, i ona być może też. Znow się jednak umówili, po czym przerwali nagle rozmowę jak handlarze koni, którzy tylko udawali, że rozmawiają o pogodzie. Pierce ostrożnie odłożył słuchawkę i przez długi czas siedział, nie myśląc o niczym: siedział jakby plecami do drzwi, na które napierały myśli chcące wdrzeć się do środka.

Lunch zjadł w Pączkowej Dziurce, pod oblepionym muchami wiatrakiem, który wytrwale rozplątywał wilgotne powietrze. Nie w tym boksie, w którym siedział z Rose Ryder czwartego lipca, lecz w miejscu, skąd dobrze go widział. Był teraz pusty.

Zorientował się, że zapłacił rachunek i wyszedł z lokalu, nie biorąc w tym świadomego udziału, i że stoi teraz na River Street twarzą do Blackbury. Wzruszył ramionami i przeszedł przez most, prowadzący na South Blackbury, rzadziej zaludniony brzeg biegnący wzdłuż rzeki na południe, upstrzony fabrykami i rzędami domów robotników oraz rdzewiejącymi wieżami ciśnienia. Obok znajdował się rząd dwupiętrowych sklepów, bar, fryzjer, budynki, które mimo pozorów śmierci zdawały się żyć i czerpać z zapasów przeszłości. Jednym z nich był swego rodzaju dom towarowy. W dużych oknach widać było kilka sukienek, bele materiału i zabawki z ręcznie wypisaną ceną na zawieszkach; do środka prowadziły szklane drzwi w wielokrotnie przemalowywanej framudze. Pierce nie przypominał sobie, by kiedykolwiek tu był. Ale, prawdopodobnie, nie dlatego, że wcześniej sklep nie istniał, choć rzeczywiście okolica pełna była domów i ulic dających radość Pierce'owemu zmysłom, tak bezużytecznych dla świata, że zdawały się należeć do tych, które pojawiają się przed błądzącymi podróżnikami raz na sto lat. Wszedł.

W środku prócz jednej sprzedawczynie, starszej kobiety ze srebrnym łańcuszkiem przy okularach, zajętej wykładaniem towarów, nie spostrzegł nikogo. Uświadomił sobie, że będzie z nią sam na sam - sytuacja, w której zazwyczaj czuł się ogromnie niekomfortowo, ale nie teraz. Przechadzał się w chłodnym pomieszczeniu, spokojny, zadowolony, wokół stołów z rozłożonymi koszulami, torbami i perfumami oraz zapasami w szerokich szufladach z lśniącego drewna poniżej.

- Gorąco dziś.

- O, tak.

- Pomóc w czymś?

- Och. - Pierce nie potrzebował muszki, bokserek, szelek do skarpetek. Jednak miał ochotę jeszcze tu pobyć. Wybrał więc błękitną batystową koszulę i zaniósł do kasy.

- Wyprzedaż - powiedziała kobieta, równie zadowolona jak on, że znajduje się tu, w niezmaconej niczym ciszy. Na zatłoczonej ladzie zauważył koszyk różnokolorowych chustek. Dolar za sztukę. Pierce chwycił koniec pierwszej z brzegu i wyciągnął. Kwadrat trzydzieści na trzydzieści. Sprzedawczynie zsunęła nieco okulary, patrząc, jak Pierce wybiera kolejną, i jeszcze jedną, i jeszcze jedną. Nie potrafiłby powiedzieć, jakimi kryteriami się kierował, ale wiedział, których nie chce.

Nie tę z buldogowymi mordami; nie tę z chorągiewkami. Kiedy miał już zwiewny

kłęb, podał je kobiecie.

- Och, proszę ich nie składać - powiedział. - Proszę tylko wrzucić do pudełka, dobrze?

- Oczywiście - odpowiedziała łagodnie, bez zaskoczenia.

Wyszedł na skwar, z koszulą i białym pudełkiem w torbie; zatrzymał się na chwilę, zdziwiony znów, że znajduje się tu, gdzie się znajduje; a potem zawrócił w stronę Jams, z powrotem przez most, w stronę biblioteki. Wszedł po schodach, myśląc, że najpewniej znajdzie tam Rose przy pracy; potem uznał, że to mało prawdopodobne; wreszcie zdecydował, że spotkanie z nią teraz nie byłoby dobrym pomysłem. Odwrócił się i niemal wpadł na Val, która szła za nim i nie spodziewała się, że nagle zmieni kierunek.

- Hej - powiedziała.

- Raczej ty hej. Wchodzi się prawą stroną.

Patrzyła nań nieufnie przez ułamek sekundy, upewniając się, że żartuje, po czym roześmiała się. Przez chwilę próbowali się wyminąć, dwa olbrzymy w godowym tańcu słoni, aż wreszcie Val przeszła. Gdyby nie był tak pochłonięty czym innym, mógłby zauważyć wielką książkę, którą niosła pod pachą, i dostrzec tytuł; tak się jednak nie stało. Nie rozpoznał też fioletowawej oprawy z marokinu, ponieważ okładka na egzemplarzu Biblioteki Stanowej w Kentucky, który mu wysłano, była inna, z oliwkowego bukramu. Mimo to wzięłyby ją od Val i odkrył, czym jest, gdyby tylko dojrzał złożony hieroglif na okładce, pieczęć ciszy i objawienia, którą dobrze znał.

A gdyby ją od niej wzięł i otworzył ze zdumieniem, czy nie otwarłaby się najprawdopodobniej (w tej epoce, gdy Koincydencja była tak silną boginią) na stronie, którą Val czytała Rosie w Volcano - na odwrocie strony, gdzie cytowano wypowiedź Platona o Erosie? *Erosa nie należy mylić z pięknym ukochanym, choć wielu mężczyzn to czyni, jego pojawienie się zapowiada raczej przybycie ukochanej osoby; on jest duchem, który inspiruje miłość, który sprawia, że nie można się jej oprzeć...*

I czy nie dowiedziałyby się wtedy, co nim zawładnęło, co już się wymykało, a zatem być może już się wymknęło?

Nie wzięł jej. Epoka minęła. Ramię Val zakrywało hieroglif monady na okładce i Pierce go nie zobaczył, a hieroglif tym razem go nie wezwał.

Przyjechała po niego (bo oczywiście w odróżnieniu od niego prowadziła) i pojechali do knajpy w górach. Jedli kolację na dużym tarasie z widokiem na zbieg rzek (Shadow, Blackbury), kiedy dzień przechodził z ociąganiem w noc. Mówiła o swojej młodości, jakim niespokojnym, lecz dobrym duchem była, i dopiero później zrobiła się nieco dzika.

- Dzika - powiedział. - Wiesz, to trochę dziwne, bo...

- Nie bardzo dzika - dodała. - Naprawdę. Względnie.

- Bo kiedyś, wiesz, powiedzmy w czasach Szekspira, kiedy mężczyzna nazywał kobietę dziką - przynajmniej poeta - to miał na myśli to, że jest cnotliwa.

- Ach, tak?

- Tak. Dzika to znaczy czysta, jak służebnice Diany. Nieuchwytna, niepokromiona. - Dolał jej wina. - Kochanek wyruszył na podbój dzikości. Ujarmiona stawiała się na wezwanie.

- Aha. - Słuchała uważnie.

- By jeść mu z ręki. Poecie. Chętna przyjść, chętna skosztować. - Upił drinka. - Zabawne, nie?

- Zabawne.

Rozmawiali o „Lesie”, miejscu, którego Pierce nie mógł sobie wyobrazić. Zaczęła tam pracę w ramach praktyki studenckiej, by zdobyć doświadczenie zawodowe przydatne w zawodzie psychologa bądź nauczyciela, do którego dążyła, choć bez szczególnego entuzjazmu, pomyślał Pierce. A teraz wszystko wskazywało na to, że i tak może stracić posadę. Sytuacja finansowa „Lasu” nie przedstawiała się najlepiej.

- Dlatego, że zniknęło już zapotrzebowanie na tego rodzaju ośrodek. Niezupełnie. Może też jest za dużo szefów. Próbują teraz wymyślić inne źródła przychodów.

- Na przykład...

- Organizują tygodniowe treningi wrażliwości dla mężczyzn. Warsztaty budujące poczucie własnej wartości i przekwalifikowujące dla kobiet, które chcą wrócić na rynek pracy.

- Bo zadaniem mężczyzny jest łkać, a kobiety pracować - zażartował Pierce.

- To naprawdę ważne - powiedziała takim tonem, jak gdyby miała na myśli „nieważne”. Ważne, nieważne. - No i jeszcze jest specjalny program uzdrawiający.

- Jaki?

- Zainteresowała się tym pewna grupa - powiedziała, a jej oczy zamglily się w sposób, który Pierce zaczął zauważać, nie będąc jednak w stanie w pełni go zinterpretować; pomyślał, że czasami w jej źrenicach odbijają się, przechodzą na uboczu przez jej myśli, inni mężczyźni, związani z tematem, o którym w danej chwili mówiła. - Alternatywne podejścia. Albo bardziej tradycyjne, można powiedzieć, w porównaniu z terapią.

- Jest ich całe mnóstwo - Pierce'owi przyszła na myśl medycyna astrologiczna, teoria zmiany nastroju poprzez rośliny solarne, muzykę czy kolory, autorstwa Ficina. Na pewno nie.

- Taki był zamysł na początku. Teraz go zawężili. Wszyscy się interesują tym jednym gościem. Chrześcijaninem. Był już dwa razy.

- I co, on jest uzdrowicielem? Co to? Stowarzyszenie Chrześcijańskiej Nauki? Uzdrawianie wiarą?

- Nie jestem pewna. Nie biorę w tym udziału, nie zaproszono mnie. Może chodzi o bycie chrześcijaninem. Uzdrawianie, wiesz, jak Jezus. To znaczy, wiem, że mówi, iż trzeba być chrześcijaninem.

- Żeby uzdrawiać, czy żeby być uzdrowionym?

- Nie wiem. - Spojrzała obojętnie. - Ciebie by to zainteresowało?

- Nie. Nawet nie to, żeby wyzdrowieć. - Skręcił papierosa. - Wychowano mnie na katolika. Myślę, że to działa jak pewnego rodzaju szczepionka, po której jest niemal niemożliwe zostać chrześcijaninem innego wyznania. Uodparnia też na inne systemy religijne. Nie wiem.

- A magia - rzuciła. - Wierzysz w to?

Zaciągnął się papierosem i ze spokojem mistyka wypuścił dym.

- Nie - odpowiedział.

- Ale twoim zdaniem to działa.

Milczał.

Rose przejechała palcem po krawędzi kieliszka, wywołując cichy, acz upiorny pisk.

- Gdybyś o tym dużo wiedziała, tyle ile wiesz, myślę, że kusiłoby cię, żeby ją wypróbować. Gdybym ja tyle wiedziała, tak bym zrobiła.

- Tak?

- Może mogłabym być twoją uczennicą. Nauczysz mnie tego, co umiesz.

- Mogłabyś. Mogłabyś siedzieć u moich stóp.

Przyglądała mu się przez jakiś czas, potakując głową, najpierw chwilę z jednej strony, potem chwilę z drugiej, uśmiechając się delikatnie, jak gdyby (pomyślał Pierce) najpierw słuchała dobrego anioła z prawej, a potem złego anioła z lewej, niechętna dokonać wyboru.

- Nauka trwa długo - powiedział - i jest strasznie żmudna.

- Ale ty wiesz.

Zastanowił się. Mógł powiedzieć, że nie wie. W pewnym sensie byłaby to prawda. Czekala. Z uczuciem wchodzenia do ciemnej wody rzekł:

- Mag robi to, co chce, znając wewnętrzne mechanizmy rzeczy. Rozumie to, co wielkie i ogólne, a co ma wpływ na wszystkich - przede wszystkim gwiazdy, to znaczy planety, ogromne siły, które kontrolują nas i czynią nas takimi, jakimi jesteśmy. Wystarczyłoby mu

tylko raz spojrzeć na mnie, żeby powiedzieć, że jestem typem saturnicznym. Na przykład. Pod wpływem Saturna.

- W jaki sposób?

- Znaki. Emanacje. Zapachy. Nie do końca...

- Nie znasz mnie, Moffett.

Spojrzał na nią bez ironii, szczerze, a ona na chwilę znieruchomiała. Tego, co wiedział o niej, nie zdobył jakimiś tajemnymi środkami: jedynie czułą anteną melancholika wyłapywał słabe sygnały wysyłane przez Rosie Rasmussen i na ich podstawie działał. Magia to iluzja.

- On wie - ciągnął - jakie obrazy powinien pokazać, żeby przyciągnąć duszę, którą chce schwytać.

- Obrazy?

- Magiczne obrazy, które buduje. Wizerunki mocy, które dają mu wewnętrzną siłę.

Talizmany.

- Hm.

- Używa się ich, by zawładnąć duszami innych. - Zgasił papierosa. - To się nazywa „przywiązywanie”. Więzy, które się tworzą, to „łańcuchy”, *vincula*.

- Ale jak się je pokazuje? - spytała. Uniosła dłonie i strzepnęła energię z palców niczym filmowa czarodziejka.

- Tak naprawdę nie wiem, jak to robili. Nie sądzę, żeby to się różniło od tego, co robimy cały czas. Nie potrafimy myśleć bez obrazów, a obrazy nie mogą w nas działać, jeśli nas nie poruszą. Tym, co porusza nas najbardziej, jest miłość. Erotyczna siła, energia, pożądanie. Pewien mag powiedział: *Miłość to magia, magia to miłość*. Giordano Bruno. Wierzył, że obrazom tworzonym z miłości dajemy życie i moc.

- Ale nie miał na myśli...

- Ależ tak. Mówił o m i ł o ś c i, miłości, tej samej erotycznej sile, która wiąże kogokolwiek z kimkolwiek, z czymkolwiek czego pożąda.

- Miłość.

- Miłość sprawia, że świat się kręci - powiedział.

- Ale jeśli wszyscy to robią przez cały czas?

- Różnica polega na tym, że mag robi to świadomie. Świadomie kultywuje w sobie energię erotyczną, by móc ożywiać potężne obrazy, którymi wiąże innych.

- Zimne.

- Zimna miłość. Ale wewnątrz gorąca. I niebezpieczna. Mistrz za wszelką cenę musi unikać ryzyka dostania się w okowy tych potężnych obrazów, które sam stworzył.

Słuchała go z uwagą; a może, pomyślał, wcale nie.

- Wszyscy ci magowie to robili albo próbowali - powiedział. - Tworzyli obrazy gwiazd lub boskiej inteligencji - aniołów, demonów - które napędzają gwiazdy; czasami robili medaliony z planetami, z właściwych kruszców i tak dalej, i kontemplowali je, by przyciągnąć astralne moce ku sobie, urosnąć w siłę. Albo też tworzyli je wewnątrz, myślą. Mówili: w sercach.

Położyła miękko dłoń na piersi, jak gdyby próbowała to sobie wyobrazić lub poczuć, że coś się tam dzieje, że można tam coś stworzyć. Pierce również próbował zajrzeć do środka przez okna jej oczu, zwrócone do wewnątrz i otwarte.

- Więc co mogłabym się nauczyć robić? - spytała. - Gdybym się uczyła. Jakich rzeczy?

- Hm, co byś powiedziała na niewidzialność?

Opowiedział jej, jak dawni cudotwórcy potrafili, znając subtelne astralne źródła albo korzenie rzeczy, masowo produkować ze swych potężnych serc obrazy, dzięki którym stawali się niewidzialni. Jeśli wiedziałeś, które rośliny, zwierzęta, kamienie, kolory, pory dnia przepojone były mocami których gwiazd i planet, i jeśli, powiedzmy, pracowałeś w Lwie i Słońcu w południe, obserwatorzy zobaczyliby nie maga w todzie, ale jedynie złotego pręgowanego kota śpiącego pośród dmuchawców.

- Ha! - zaśmiała się. - Widzisz? Niewidzialność. - Była poruszona i zadowolona, dobywając z tego, co powiedział, sens, którego on mógł się tylko domyślać. Znaczącym gestem uniosła pusty kieliszek.

Później obejrzelili film: pewien przedsiębiorca niedawno przejął duży, zapuszczony budynek w Stonykill i w weekendowe wieczory urządzał tam pokazy filmów zagranicznych oraz wiedzy tajemnej. Film był dziwaczną i głupkowatą historyczną produkcją o życiu mistyczki i zakonniczki Hildegardy z Bingen. Pierce próbował nie śmiać się głośno, choć tak po prawdzie większość widzów niecierpliwiła się i rozmawiała swobodnie. Hildegarda oddała się Bogu: uklękła przed surowym, choć mającym ciepłe spojrzenie księdzem, by obciął jej złociste pukle godne gwiazdki filmowej.

- Och, chodźmy stąd - powiedział Pierce.

- Czekaj. - Wyczuł jej łagodną stanowczość. Hildegarda, ostrzyżona i pokorna, trzymała w dłoniach burzę swych włosów. W świetle projektora włosy Rose błyszczały, luźno splecione w warkocz.

W samochodzie, chwiejącym się na ciemnych zakrętach górskiej drogi prowadzącej do Blackbury Jams, Pierce rozvodził się nad głupotą tego, co widzieli, nad tym, że było to tak

średniowieczne jak, jak; a ona milczała. Dopiero dużo później, kiedy, by się ocalić, był skazany na powtarzanie w samotności swego serca wszystkich tych chwil spędzonych razem, wrócił znów do tego filmu, do tej nocy, zanim pojał ogrom niezwyklej konstrukcji Rose, zanim zrozumiał, jaka gorączka ją trawi; jak nieuchronnie pobudza ją strzyżenie włosów, niespodziewane odgłosy, szept, długie rękawiczki z kożłęczej skóry, bliskość ognia - i nie tylko.

Gdy znów usiedli przy kuchennym stole (dla niej tylko woda sodowa, jeszcze trochę wina, powiedziała, a przestanie sobie ufać), pozwolił jej mówić przez chwilę, splatać opowieści, nadzieje i bolączki, podczas gdy sam słuchał. Potem podniósł się z krzesła i wziął z blatu skromne białe pudełko, takie, jakich używano w staroświeckich sklepach do pakowania towarów.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział.

Postawił pudełko na środku stołu i czekał, a ona podniosła się, rozchyliła skrzydełka, rozsunała papier i wyciągnęła chustki, jedną, potem drugą i kolejną. Wyciągnąwszy wszystkie, uśmiechnęła się delikatnie i zaczęła coś mówić, ale on odezwał się w tym samym momencie, więc umilkła.

Mówił ostrożnie i miękko, usiłując się przy tym nie ruszać; jego duże dłonie spoczywały jedna na drugiej na stole.

- Chcę, żebyś wzięła je do sypialni. Rozbierz się i czekaj. Przyjdę za chwilę.

Nie uśmiechnęła się kokieteryjnie, uwodzicielsko; nie powiedziała nic, ale w wyrazie jej twarzy dostrzegł tę samą abstrakcję, którą widział po raz pierwszy w Pączkowej Dziurce, gdy poleciał jej, by nie zapinała guzika. Nie musiał mówić nic więcej. Stała przez chwilę w bezruchu, jakby w oczekiwaniu na wewnętrzną aprobatę, choć nie jej własną; potem zebrała ręką niewinne przedmioty i wyszła z kuchni szybkim, płynnym krokiem.

Pierce nie ruszył się z miejsca.

Nie wiedział, czy się uda: siedział przy stole ze ściśniętym gardłem i palącą skórą, próbując odmierzać nieczuły, władczy czas, choć bicie serca nie nadawało się do tego. Nigdy przedtem niczego takiego nie robił; nie miał pojęcia, jak złamać wolę kobiety i poddać ją własnej. Było coś innego, co wiedział i w czym był dobry: potrafił wsłuchać się w pragnienia kobiety i odgadnąć, jak je zaspokajać, lub przynajmniej ich część, przez jakiś czas.

O to też przecież tu chodziło, prawda?

Opróżnił kieliszek i wstał. W drzwiach sypialni przystanął, zobaczył tajemniczy zarys sylwetki w świetle padającym z kuchni za nim - nie odważyła się włączyć lampki na nocnym stoliku. Zrobiła, jak jej kazał, i leżała, emanując ciemnością w rudobrunatnej pościeli, wciąż

w swoich dziewczęcych podkolanówkach, z nieco podniesioną głową, by móc śledzić jego kroki; czujna, wyczekująca, jak pacjentka przed nowatorskim zabiegiem.

Podszedł, rozpinając pasek, nie wiedząc lepiej od niej, na co się porywają. „Porywają”: Pierce zawsze uważał, że to słowo skrywa w sobie cień niebezpieczeństwa, niewiadomą, widział oczyma wyobraźni siebie w porywie serca wchodzącego do łódki, wypływającego w morze kruczoczarnych, rozbuchanych porywistym wiatrem fal.

Powtarzała jego imię raz po raz, w miarę jego postępów, z policzkiem przyciśniętym do poduszki jego dłonią, ręce i nogi przywiązał jej do łóżka sztucznym jedwabiem. Pierce, krzyczała, Pierce, Pierce: równie dobrze mógł to być rozkaz, co błaganie. Na pewno ten krzyk nie był przeznaczony dla niego; nie mógł być, bo ona go nie знаła. Kłamiąc, zwodząc, biorąc w tym udział razem z nią, w tej grze, a nie leżąc tu samotnie w łóżku, zyskiwał gwarancję, że nie mogła go znać; a zatem nie mogła go pokochać, a więc i przestać kochać; był bezpieczny, niczego nie ryzykując. To grzech, którego nigdy wcześniej nie próbował popełnić: i powinien był przewidzieć nawet tamtej nocy, że i tym razem mu się to nie uda.

Wyszła o pierwszym brzasku, nie chcąc, by ktokolwiek zobaczył jej samochód przed budynkiem. Zszedłszy ze schodów, delikatnie zamknęła za sobą drzwi, by nie obudzić sąsiadów, a poranny wiatr znów je otworzył; zimne powietrze wturlało się po schodach i do sypialni, a Pierce poczuł w nim nadchodzący dzień.

Wsiadła do aspa i uruchomiła go, czując poprzez fotel dygot silnika jakby po raz pierwszy; z poczuciem winy i zaspokojenia, jednocześnie pusta i pełna. Zatrzymała się na światłach w centrum miasta, wpatrując się w czerwień. Wytarła usta wierzchem dłoni i spojrzała na nią, jakby spodziewała się zobaczyć krew; potem ruszyła, nie bacząc już na światła.

Zapowiadał się bezchmurny, błękitno-zielony dzień, i już wypełniał się przedmiotami, domami, wysokimi, żółtymi znakami i samochodami rannych ptaszków. Przejechała przez most i skręciła w Shadow River, w jodłowy mrok.

TRZY

Myśliwy Aktæon wchodzi do lasu; nie lęka się jego ciemności; puszcza przodem ostre psy - charty - wytrzymałe, o wyczulonym węchu, tak samo jak ich pan niezrażone głębią lasu, ogromem góry. Szybko dostrzegają ofiarę w pobliżu, to Jeleń; rozszczękiwiają się, puszczają się w pogoń. Już przedtem setki jeleni poddały się im i strzałom ich pana; jakie to ma znaczenie, że ten zaprowadził ich głębiej i dalej niż inne, jego też powalą.

Lecz gdzież to pościg doprowadził Aktæona: w serce serca leśnego mroku, świetlista tafla odbija błękit i złoto Apollona i nieba; a w wodzie - otoczona niewinnymi nimfami, biała niczym chmura, jasna niczym dzień, całkiem naga, alabaster i purpura - kąpie się Diana.

Odwróć wzrok, śmiertelniku! Ludzkie oko nie może spocząć na tej okrutnej niewinności. Ogary cofają się w przestrachu i konfuzji, a Aktæon pada na kolana: lecz nie odwraca wzroku. Jeleń, którego ścigał, umknął, to bez znaczenia, całe życie jednego tylko pragnął, polując nieustannie - tego widoku: był mu nieznan, lecz już nie jest. Ta, która jest boginią łowów i ich obiektem. Nie odwróci wzroku.

O bezlitosne cnotliwe oczy, które nań patrzycie, oczy tej, której nie tknął żaden bóg. Aktæon wyczuwa w sobie duszę, zaspokojoną i wygłodniałą zarazem, wyskakuje z własnych oczu, by roztopić się w jej oczach, mimo że jej wzrok przewierca go. Już stracił swą postać, zresztą niechcianą, i przybiera inną. Czuje ciężkie poroże, niczym korona wyrastające z jego szczęśliwego czoła. A psy, które niegdyś ścigały dla niego, teraz zwracają się ku niemu, znając swój obowiązek, szykują się do skoku, by go rozszarpać. Albowiem Aktæon stał się tym, co ścigał.

Odląć symbol lub pieczęć; wyrzeźbić posąg, namalować obraz i umieścić go w głównej komnacie, najgłębszym kręgu labiryntu Pamięci: Aktæon, Filozof, spuszczający swe ostre Myśli w pogoni za nieuchwytną Prawdą, znajduje w końcu nagie Piękno: nietknięty, nieznan, płomień inteligentnego ognia w środku mrocznego świata namacalnych cieni. Widząc to, Filozof staje się tym, co ścigał: umiera dla siebie i żyje w Niej.

Drząc lekko z powodu, którego nie potrafił wytłumaczyć, Giordano Bruno Nolano stał, oczekując na powrót Diany z jej parku.

Najpierw przybyli myśliwi z jeleniem, którego ustrzeliła, zwieszającym się z liściastej gałęzi. Nieśmiały aplauz i słowa podziwu doszły od gości i dworzan. Z odciętej głowy

zwierzęcia wystawał język, a jasna krew, bardziej błękitna niż krew Bruna, skapywała gęsto na zroszoną trawę. Następnie przybyły służące, jak zwykle całe w bieli, nigdy nie zadał sobie trudu, by spróbować je rozróżnić lub nadać im imiona.

Wreszcie z parku wyjechała ona na swym strojnym rumaku, prowadzona przez hrabiego Leicester, który niósł też jej łuk. Nie naga, nie, ukryta nawet na polowaniu w nieprzebranych warstwach: płaszcz, wierzchnia suknia, peleryna; spodnia suknia, rozcięte rękawy; kryza, rękawiczki, pończochy i buty.

Pod tym wszystkim jednak, pod bielizną, była naga i nietknięta. Wszyscy o tym pomyśleli.

Zsiadła z konia. Mecenas - sir Walter Raleigh i Edward Dyer, poeci, wielbiciele Diany - przedstawili jej nolańczyka. Podała mu rękę w obcisłej rękawiczce (z czarnej gienzy, ozdobioną maleńkimi kwiatami: truskawką, bratkiem, fiołkiem, niemal zbyt małymi, by je dojrzeć, dopiero gdy dłoń została pocałowana, oko zbliżyło się na tyle blisko, by dostrzec złoconą muchę, mrówkę, połyskliwego żuka w zaroślach, gdzie ukrywały się kamienie jej pierścieni). Nie dotknął ustami jej osoby. Kiedyś ucałował pierścień papieża, nie należało tego robić, po tysiącu lat pocałunki by go wytarły.

„Ten dżentelmen pragnie podarować Waszej Wysokości dzieło rąk własnych”.

„Ten dżentelmen składa nim Waszej Wysokości, jej królestwu i poddanym szczere wyrazy szacunku”.

Jej uśmiech, krótki i autentyczny, zaciągnął go z miejsca i na zawsze do jej prywatnej armii. Pozwolił na to. Było go na to stać; mógł jej dać dużo, tyle, ile zechciałaby wziąć.

„Zatem zobaczymy” - rzekła. Wzięła odeń książkę i pozwoliła mu wstać. „Jakiż jest twój temat?”.

„Moim tematem jest Miłość” - odpowiedział po włosku.

„Wychwalasz ją?” - spytała w tym samym języku.

„Muszę. Nie ma na ziemi siły większej niż Miłość”.

Zaśmiała się, jak gdyby ekstrawagancja sprawiała jej przyjemność, i spojrzała bardziej krytycznie. Nie spuścił speszony wzroku; jego duch sięgnął jego oczu, by poznać jej źrenice, zaglądające do środka, choć patrzenie na nią pośród tysięcy władczych klejnotów, które ją otaczały i chroniły - zimne mleczne perły, gorące rubiny, płynne szmaragdy, złoto, srebro, adamant - konfundowało.

„*Eroici furores*” - powiedziała. - „Czy mówisz o gorączce, co spala kochanków? Są tacy, którzy twierdzą, że zabijają ich oczy miłości, że mrą z miłości. Czy tylko udają? W naszym kraju powiadamy: ludzie umierają, a robactwo ich zżera, ale nie za sprawą miłości”.

„Pani” - odparł. - „Ja nie piszę o zwyczajnej miłości między mężczyzną a kobietą. Ani nawet o bardziej szlachetnej miłości, którą twoi dworzanie i słudzy, pomiędzy których wliczam swą skromną osobę, darzą Waszą Wysokość”.

„Nie?”

„Nie. Pod postacią Aktæona i Diany, Filis i Kloryndy, jego i jej, oczu i gwiazd, serc i strzał, piszę o innej miłości”.

„Ach. Czy przystoi słudze mówić nam, że posiadał inną miłość?”

Przez moment Bruno (przygarbiony, by jego głowa nie sięgała wyżej od głowy królowej) poczuł się sprawdzany. Spódnica jej sukni, ciągle obserwował (jego oczy zwrócone były w tym kierunku), była morzem: skały, statki, wielkie ryby zbliżały się, perliska piana na atłasowych falach, tonący, skarby, perły wyrzucane na złocisty piasek.

„Dla ciebie, Pani” - powiedział - „sługa z płomiennym sercem może poszukiwać Prawdy. Wiedzy. Samej Miłości. By móc na ostatku zgiąć kolano przed Waszą Wysokością”.

Uśmiechnęła się ostrożnie. Jej wierzchnią suknię ozdabiał las, fontanny, pnie zwalonych drzew, mech z głębokiej aksamitnej kępy; pożar lasu, zadziwiający, umykające zwierzęta, gronostaj, wiewiórka, lis i jelen. Woda, ziemia, powietrze, ogień.

„Twój pan, ambasador, wraca wkrótce do Francji. Pojedziesz z nim?” - spytała.

„Ze smutkiem. Niechętnie”.

„W innej twojej książce, jak nam mówią, wyrażasz się z szacunkiem o naszym francuskim kuzynie, Henryku. Obiecujesz mu służyć i życzysz mu wielu królestw. Prawdaż to?”

„Jego Wysokość okazuje mi przychyłność. Zrobię, co w mej mocy. Choć to niewiele”.

„A jednak służyysz nam”.

Uśmiechnęła się i położyła dłoń w rękawiczce na jego nadgarstku.

„Bądź nadal naszym sługą, kiedy wrócisz. Mów o nas dobrze naszemu kuzynowi. Powiedz mu, że pragniemy jego przyjaźni wbrew wszystkim nietolerancyjnym i niesprawiedliwym siłom. Przekaż mu to”.

Mógł się tylko ukłonić. Posłała mu ostatnie, długie, oplątujące spojrzenie, po czym jej wzrok spoczął znów na jego książce.

„Miłość”, powiedziała. „Miłość”.

Miłość jest przyczyną życia; nie ma potężniejszej siły nad miłość. Eros to Wielki Demon, pan tego świata; najmocniejsza więź woli to rozpięty pas Wenus.

Eros włada nawet w Królestwie Zwierząt: żaden samiec nie będzie tolerował rywala;

nie inaczej samica; najpodrzedniejszy zwierz gotów jest zrezygnować z jedzenia, z picia, wszelkich innych przyjemności, a nawet zaryzykować własne życie dla miłości, jak to często widzimy.

Miłość powoduje starymi i młodymi; popycha gorących młodych ku sobie wbrew zakazom duchowieństwa i starszyny, królów i krewnych, wpędza w chorobę, szaleństwo, a nawet śmierć. Miłość nachodzi znieca poważnych senatorów i przeorysze, dręczy stare ciało młodą gorączką, każe im tańczyć i podskakiwać do jej rytmu.

Potęga miłości obraca Ziemią w jej łożysku; umiłowanie słonecznego piękna zmusza ją, by na wieki obracała się wokół tej lampy, niczym nieśmiertelna ćma; sama miłość własna i pragnienie trwania przyjemności w nieskończoność powstrzymują Ziemię przed zanurzeniem się w ukochanym ciele i całkowitą zaturą; a mimo to z każdym stuleciem zbliża się do swej miłości.

Umiłowanie Boga to niekończąca się płodność, nieustająca, szczodra, bezgraniczna wytwórczość; umiłowanie Człowieka to ciągle pragnienie wytworów Nieskończoności, którego nie można nigdy zaspokoić.

Miłość to magia: zdolna zahipnotyzować i porwać nieroztropnych, zdolna sprawić, by mężczyzna i kobieta widzieli to, czego nie ma, a ukryć przed ich oczyma to, co widzą wszyscy inni, zdolna zmienić zdeformowanego i szpetnego lubego w Hermesa, a ospowata służkę w Filis.

Magia to miłość: jedynie siła miłości w sercu kochającego może poruszyć dusze innych; jedynie miłość może zawładnąć istotami powietrza. Bez miłości nawet najprostsza Sztuka Pamięci nie mogłaby funkcjonować; bez upodobania i obrzydzenia, co wiązałyby duszę z obrazami?

Biedny Dicson: pedantyczni doktorzy rzucili się na jego dziełko o Pamięci, dokładnie tak, jak się tego spodziewał, i *Puritani*, powiedział o nich; jeden z nich opublikował pamflet ukazujący nie tylko bezużyteczność Sztuki Pamięci Dicsona, lecz także jej bluźnierczość. Tak jak przewidział Dicson: ponieważ wymagała tworzenia fałszywych bóstw, Posągów, Obrazów. Pamflecista (był wykładowcą college'u innego niż ten, z którego wyrzucono Bruna) zalecał w zamian metodę Pierre'a Ramusa, francuskiego arcypedanta, która czerpała z uczniowskiego systemu Szczegółów i Ogółów, wypisywanych na kartce, ponumerowanych i oznaczonych literami.

Ale to nie wszystko: ten osioł z Cambridge przyłapał Dicsona, gdy ten dowodził, iż - wzięwszy pod uwagę fakt, że obrazy wykorzystywane w pamięci muszą rozbudzać uczucia - bardzo skutecznym sposobem byłoby zatem umieszczenie w Domu Pamięci wizerunku

pięknej kobiety. Oburzenie i świętoszkowata zgroza: proszę bardzo, jedyny grzech, który gorszył tych dziwnych pólludzi bardziej niż bałwochwalstwo.

Dicson - który w końcu sam pochodził z ich kraju, ze Szkocji - był zaskoczony i poczuł się dotknięty oskarżeniem o rozwiązłość, lubieżność i popędliwość. Lecz oczywiście miał rację. Bruno spytał Dicsona: czy te obrazy sprawiają, że twoje serce bije szybciej, że czujesz w piersi ciepło, że twoja męskość twardnieje? Powinny; muszą. Jeśli sami nie będziemy mieli odwagi korzystać z Miłości, Miłość wykorzysta nas, nie ma co do tego wątpliwości; tak samo nienawiść, odraza, wstręt, to tylko awers tej monety, z nich również korzystajmy, zdobywajmy i nie dajmy się pojmać.

Angielscy dżentelmeni, których Bruno poznał - Sidney, Dyer, Fulke Greville - śmiali się z cambridge'owskiego uczonego i jego ostrej krytyki Sztuki Pamięci, zdawali się mieć takich ludzi za śmiesznych: Bruno wiedział lepiej; jednak nie przeszkadzało im to w dyskusowaniu z głęboką powagą i zmarszczoną brwią Ramusa i jego błahostek, poruszała ich Zreformowana Religia, jak ją nazywali, i nowy jasny styl. Bruno stworzył w umyśle ten symbol: opiekunka Tamiza, dająca schronienie wielu osieroconym dzieciom, karmi je nieświadoma, że pośród nich znajduje się wilcze szczenię.

Ten spór o pamięć można łatwo rozstrzygnąć, rzekł im Bruno. Niech panowie zorganizują wielki Turniej Pamięci lub Konkurs Zapamiętywania, w którym mistrz Wielkiej Sztuki przekazywanej od Ægiptu poprzez Greków, Alberta Wielkiego i Tomasza z Akwinu aż po teraźniejszość stanie naprzeciw mistrza nowej, antyobrazowej metody Francuza. Zwycięzca zabierze ze sobą palmę. Bruno przedstawił im swój pomysł bardzo szczegółowo: amfiteatr przystrojony mirtym i rozmarynem (dla Apollona i Wenus) i tkaniną w solaryjskim błękicie i złocie; wysokie miejsca dla arystokracji, a jedno, najwyższe, dla samego Sędziego, Sprawiedliwości, Astræi. Na środku dwie katedry, woda i wino przy każdej z nich; dla Ramisty ryzy papieru, naostrzone gęsie pióra i słoiczek inkaustu, jeśli takie wyrazi życzenie. Brunista będzie potrzebował jedynie serca i umysłu.

Pierwsze zadanie, nazwiska ojców wszelkich sztuk i rzeczy użytecznych. Ramista powoli puszcza w ruch tryby swej maszyny i pisze Ogół - Agrykultura. Poniżej Szczegół, Ziarno; bardziej szczegółowy Szczegół, Sianie; a wreszcie imię pierwszego siewcy, Tryptolemus. W tym czasie Brunista kieruje światło wewnętrzznego słońca przez sfery planet na żywioły, którymi rządzą, na życie człowieka na Ziemi, na szeregi wynalazców, każdy na swoim miejscu, każdy ubarwiony kolorem planety, każdy trzymający w dłoni symbol swojej Sztuki: w samym tylko kręgu Saturna znajdują się Chiron - ojciec medycyny, Zoroaster - magii, Pharphacon - nekromancji, Kirke - hipnozy; pod Słonecznym Apollonem stoi

Mirchanes, który jako pierwszy tworzył postacie z wosku, Giges, pierwszy malarz obrazów, Amfion, twórca nut; Merkury miał Theuta, który wynalazł pismo, patrona pisarczyka w katedrze obok; Prometeusza, Hipparkusa, Atlasa, dziesiątki innych, panie i panowie patrzą i szepczą z podziwem; a Brunista pozwala sobie na mały żart, imię ojca Sztuki Zapamiętywania dzięki Pieczęciom i Cieniom - Giordano.

Pojedynek trwa godzinami. W trakcie *examen* odczytywane są łacińskie historie, Ramista bazgrze Ogóły i Szczegóły i widzi, jak jego pismo napiera niezmordowanie na prawy margines, Brunista tylko otwiera swe wielkie serce. Powtarza wszystko do przodu i do tyłu, podczas gdy Ramista jąka się, szukając sedna. Lepiej radzi sobie w *ad-libitum*, ze wszystkimi twierdzeniami Euklidesa, jednak słuchacze robią się niecierpliwi; Brunista wzywa na pomoc Centurię Przyjaciół i każe im powtarzać w galiardzie i galopie nazwiska wszystkich obecnych dam w kolejności ich przybycia (odciśnięte w jego pamięci dzięki Centurii, kiedy wchodziły i zajmowały miejsca); z tłumu dochodzi szmer zachwyty.

Kolejne zadania, zapamiętanie ładunków statków rozładowanych w Wapping, spisu klejnotów królowej Saby, imion dzieci Deukaliona i Pyrry, cen rzepy w ciągu całego panowania cesarza Karola. Ramista poci się i zgrzyta zębami, biały kołnierz mu oklapł. Brunista prosi o coś trudniejszego, kolejność wszystkich drzew w Windsorskim Lesie według gatunków, kształt ich liści. Stopniowo, dla jednych szybciej, dla innych wolniej, zachodzi dziwna i cudowna reakcja: sztuka pamięci Brunisty zaczęła tworzyć w duszach dam i dżentelmenów obraz żyjącego świata, świata niezliczonych i nieustannych procesów wytwarzających nieskończoną liczbę rzeczy, a w każdej z nich znajduje się boża iskra, ustawiająca je bezbłędnie i bez wahania w przynależnym im miejscu w szeregu stworzenia, od najniższej do najwyższej. Gdy zaczęli już pojmować ten bezgraniczny wewnętrzny świat, równocześnie poczuli, jak mistrz pamięci kieruje ich uwagę (on jest ich przewodnikiem, choć nie wiedzą tego) na Królestwo, w którym przyszli na świat, szczęśliwe Królestwo pośród gór, oceanów, łądów Ziemi, która otacza Słońce wśród nieskończonych słońc tworzenia; a następnie na Królową Królestwa, obecną tu, na wspaniałą, gorliwą, wielobarwną duszę, która kryje się pod warstwami materiału, w jej ciele, ich własne Słońce sprawiedliwości i pokoju. Rozumieją. Miłość rozlewa się w ich sercach i każdy odnawia swą przysięgę lojalności i obowiązku wobec niej.

Brunista postępuje naprzód (Ramista od dawna milczy, albo swoim mamrotaniem i szeleszczeniem papieru dodaje akcentu humorystycznego) i składa głęboki ukłon. Przypatrują się im niemal namacalne boskie inteligencje, Pokój, Płodność, Przyjemność, Prawda, Intelktualna Rozkosz, wezwane tu wysiłkiem jego ducha. W jej spojrzeniu odczytuje, że wie,

czego dla niej dokonał, ale nie tylko; a ona, *unica Diana*, każe mu wstać i usiąść obok siebie.

Giordano Bruno patrzył przez małe, wysokie okno francuskiej ambasady na zimową rzekę. Za nim na schodach panował wielki ruch - służący nosili spakowane kufry i *impedimenta* gospodarza.

Tak nie miało się stać. Nie dane mu było wystąpić na forum większym niż to przy stole ambasadora, a kiedy napisał swego rodzaju komedię kopernikańską o przyjęciu (z podstarzałymi wioślarzami, prostackim angielskim motłochem, oksfordzkimi pedantami, nonszalanckimi lordami), nie dostrzegli humoru, nie dostrzegli też wstającego Słońca. Uczta popiołów i prochów była tu jego udziałem.

Być może życie w izolacji na błotnistym krańcu świata stępiło Anglików, utrudniało z nimi pracę; nie byli pozbawieni inteligencji, nie byli nikczemni, lecz w pewien sposób niezdolni podejść poważnie do ważkich spraw. Jego własne motto brzmiało *In hilaritate triste, in tristitia hilare*, ale Anglicy zawsze źle go rozumieli, albo obrażali się na jego żarty, albo nie byli w stanie uwierzyć, że szczerze myśli to, co mówi. Sir Sed-Ne z tym niefrasobliwym uśmiechem. Który niczego nie potwierdzał, a zatem (jak rzekł) nigdy nie skłamał.

Nawet królowa, kiedy posłał ku niej swego ducha, z miłością i na jej rozkazy (zgodnie z powinnością mężczyzny), zdolna była uchylić się i umknąć mu, otoczyła się zabawkową fortyfikacją, wobec której prawdziwe oblężenie było na nic.

Niezwykła kobieta, niezwykły duch.

Powiadano, że Doktor po drugiej stronie rzeki zawsze służył jej radą, opracował układ planet przy narodzeniu, nauczył ją swojej sztuki. Bez wątpienia leczył też jej choroby i bóle.

On (jeśli to był on) uczynił ją silną, lecz zarazem małą.

Bez znaczenia. Nieczęsto spodziewał się, że królowie i monarchowie zrozumieją lub wyobrażą sobie, jak korzystać z mocy, które im oferował. Henryk, król Francji, obdarowany *Cieniami* i pewną metodą wzbudzania w sercach poddanych potężnej miłości ku swej własnej boskiej osobie, miłości, która gwarantowałyby jego królestwu wieczność, przysłał go w zamian tutaj, by próżnował. Mimo że zajmowali wysokie miejsca w szeregu, nie byli mądrzejsi, zazwyczaj, niż zwykli ludzie; ich dusze były niemowlętami w starczych sercach, wrzeszczącymi o nagrody i wygody, albo murami, których zburzyć nie mogli nic.

A zatem ruszy dalej; wróci do Francji, ale nie zostanie tam długo. Na rzece gruby hanzeatycki kupiec parł galerą mozolnie pod wiatr, żagle łopotały, wciągano flagi.

Zapytał duszy: mały wędrowcze, gdzie teraz pójdziesz, co się z tobą stanie?

Na dworze mówiono, że John Dee miał audiencję u Stefana, króla Polski, a teraz

przebywał na dworze cesarza w Pradze, obsługiwany przez mędrców tego miasta. Wytwarzał złoto. Tak mówiono.

Paracelsus, niemiecki filozof, napisał kiedyś, że ten, który pragnie zgłębiać Naturę, musi przewędrować jej księgi na własnych nogach. Jeden kraj, jedna strona: stąd *codex Natura?*, stąd księgę należy wciąż wertować. Powiedział mu to Alexander Dicson; Bruno nigdy nie czytał Paracelsusa i nigdy nie miał przeczytać, ale to stwierdzenie spodobało mu się. Jeden kraj, jedna strona. Jeśli królowie i książęta nie słyszą jego wołania, może cesarz usłyszcy.

Wstał z parapetu, na którym się wspierał. On sam niewiele musiał spakować; pudło czy dwa książek, papiery. Gdyby stracił je na morzu, potrafiłby je odtworzyć z pamięci.

Wyruszyć, pomyślał, wyruszyć, wyruszyć.

CZTERY

Jest wielu monarchów i książąt, ale tylko jeden cesarz. Rudolf II, król Węgier i Bohemii, arcyksiążę Austrii, został obrany cesarzem i namaszczony przez papieża: stał się jedynym i powszechnym monarchą całego świata. A przynajmniej jego cieniem. Jego dziad, Karol, który był królem wszystkich tych ziem co Rudolf, był także władcą Hiszpanii i Niderlandów; królem Sabaudii, panem Neapolu i Sycylii, papieża miał u stóp i złupił jego miasto, Rzym. Bicz boży. Karol miał własne godło, najślawniejsze spośród godeł i znaków wielkich władców, znane i podziwiane w całym świecie chrześcijańskim i w cudzych ziemiach, o których istnieniu nie wiedzieli dawni cesarze rzymscy. Godło Karola ukazywało dwa filary - filary Herkulesa, które stoją u wrót morza, wrót nowego świata. Wokół tych filarów biegła wstęga ze słowami *Plus ultra*, „jeszcze dalej”. Godło tłoczono na medalach, tarczach i zbrojach, rzeźbiono w drewnie i drukowano na tytułowych stronach atlasów nowego świata oraz wybijano na monetach ze złota, wydobywanego po drugiej stronie kuli ziemskiej. Godło to stało się tak sławne, że tłoczono je na złotych monetach jeszcze długo po śmierci Karola, aż matryce straciły wyrazistość, a słowa motta się wytarły, ale wciąż bito je na hiszpańskich monetach, chociaż widać już było tylko dwa filary i wijącą się wstęgę, nieoznaczające już „Cesarstwo” albo „Karol”, czy też „jeszcze dalej”, lecz tylko „dolar”.



Żadne królestwo nie trwa wiecznie.

Rudolf czytał historię, czytał Aureliusza, wiedział o tym. Ziemskie imperia nie będą trwać. Posiadłości Karola (nad którymi słońce nigdy nie zachodziło) musiał w końcu podzielić pomiędzy synów; Włochy, Hiszpanię, Austrię, ponieważ żaden człowiek nie był dość wielki, by panować nad wszystkimi. Teraz synowie synów spoglądali na siebie nieufnie z różnych stron mapy, jak gdyby świat nie był dla nich wystarczająco duży.

Ziemskie imperia przemijają. Ale Imperium Rudolfa ustanowił Bóg; jak Królestwo Chrystusa nie było ono, przynajmniej do końca, z tego świata. Bez względu na wyzwania dla jego władzy, bez względu na to, ile ziem odpadło od Cesarstwa, ono samo nie mogło umrzeć. Przez jakiś czas miało się kurczyć niczym ślimak; zaludnione krainy, rządy, armie, marynarki miały zostać wydestylowane do potężnych symboli na tyle małych, by nieść je w procesji, wyrzynać na klejnotach, zawieszać na szyi cesarza. Chociaż dotąd wciąż się zmniejszało,

wręcz do obszaru jego własnej świętej osoby, ciągle miało w sobie moc sublimacji, i kiedy nadejdzie nowa epoka, będzie w stanie odtworzyć wszystkie swoje członki z nasion, klejnotów i symboli, które cesarz trzymał w szkatułach. Nieważne, co oni sobie myślą, ci wszyscy swarliwi biskupi, książątka, reformatorzy, nuncjusze, zadzierzyści mieszkańcy miast za murami, wszyscy oni wciąż żyli w Świętym Cesarstwie Rzymskim.

Zarazem sam cesarz jeszcze przed zaistnieniem swego imperium wycofywał się z pola widzenia. Nie chciał się żenić pomimo namów doradców. Opuścił Wiedeń, siedzibę przodków, i przeniósł dwór do Pragi. Zamknął się w zamku, w prywatnych komnatach, w komnacie sypialnej, we własnym łóżku. Jak u wielu osób cierpiących na melancholię, jego duch koncentrował się na pytaniach bez odpowiedzi. W jaki sposób esencja imperium zawierała się w klejnocie z wyrzeźbionym godłem? Co liczyło się bardziej, istota klejnotu czy kształt godła? A kiedy szukał ucieczki od swoich obsesji, w swoich zbiorach, zegarach, malowidłach, metalurgii, genealogii, one same stawały się także obsesjami. Coraz więcej czasu poświęcał coraz mniejszym rzeczom.

Ostatnio wymyślił, żeby stworzyć automat, który mógłby zastąpić go w oficjalnych obowiązkach: procesjach, chrzcinach, ucztach, balach i mszach. Napędzałyby go zegarowe tryby, modlitwy i inkantacje (białe, białe), o odpowiednich porach nadawałyby mu chwilową inteligencję. Ale co można by zrobić, żeby dotyk automatu uzdrawiał, jego modlitw słuchał Bóg, a błogosławieństwa odnosiły skutek?

Klejnot, właściwy klejnot, z wyrytym właściwym znakiem, zamknięty w najgłębszej głębi duszy.

O Żydach z tego miasta mówiono, że potrafią stworzyć człowieka z gliny, który ożyje, kiedy na jego czole napisze się właściwe hebrajskie litery. Jakie serce otrzyma? Kiedy już wykona swoją robotę, rabin usunie jedną literę ze słowa na czole (jakiego słowa? Cesarz nie pamiętał) i zmieni słowo na Śmierć.

Można by porozmawiać z naczelnym rabinem, zapytać go o to. Nie zrobił tego dotąd, ale mógł. Myślał o tym i czekał, aż jego poszukiwacze klejnotów wrócą z ekspedycji w Góry Olbrzymie. Kiedy wrócili, nie przywożąc niczego szczególnej wartości, cesarz wrócił do łóżka.

Był najslawniejszym melancholikiem Europy, zatrudniał tuzin lekarzy kilku narodowości i szkół, słuchając wszystkich i żadnego, zawsze skory posłuchać innych. Kuracje, które mu zapisywano, obrażały jego niemrawe serce: diety, ćwiczenia, wstrzeźliwość, kopulacja z młodymi kobietami, muzyka podczas snu, tygrysie mleko z winem, w którym rozpuszczono perłę - człowiek musiałby mieć niezaspokojoną żądzę życia,

żeby podjąć się tego wszystkiego. Ponieważ choroba była niejasna, rozprzestrzeniająca się i zmienna, powinien istnieć jeden prosty, przejrzysty lek; cesarz był przekonany, że taki lek istnieje i że jego przekleństwem jest to, iż go potrzebuje, a jego przeznaczeniem jest go znaleźć. Lekarze powiedzieli mu, że wiara ta jest kolejnym symptomem choroby; lecz oczywiście lek uleczyłby także to.

Kiedy otrzymał list Johna Dee (jego sekretarze wiedzieli, że takich listów nie należy zatrzymywać, w przeciwieństwie do innych, które mogły zawierać niemiłe wiadomości albo prośby nie do spełnienia) udał się, by odszukać egzemplarz *Monas hieroglyphica*, który przysłano w darze cesarzowi Maksymilianowi całe lata temu. Rudolf nigdy nie czytał tej książki i nie wiedział, czy jego ojciec ją czytał. Kazał położyć ją na stole przy łóżku, skąd mógłby po nią sięgnąć, gdyby trapiła go nocą bezsenność albo strach. Kiedy przygotowywano go do snu, otworzył ją i wpatrzył się w złożony wzór na stronie tytułowej, który w książce rozebrano i złożono na powrót. Według książki składał się on z punktu, który tworzył linię, a ta z kolei formowała okrąg, Słońce oraz Krzyż, co w sumie dawało cztery elementy; było tam siedem planet, geometria Euklidesa, znaki zodiaku, począwszy od Barana na dole - kardynalny Ogień, czyli jego *incipit* i jego początek.

Był to hieroglif dzieła. Rudolf to widział; męczył się z wieloma podobnymi, sekretami zamkniętymi w godłach, godłami spisanymi wierszem, wierszami wyjaśnionymi w tajemnicach.

O przeszczęśliwy człecze, któryś sięgnął quasi-kopulatywnego punktu w Troistości, odrzucasz i usuwasz posępną i zbędną część Kwadrantu, źródła mglistych cieni. Toteż po niejakiem czasie otrzymamy białe szaty, jasne jak śnieg.

Czerń w biel, odziasz Dziecko, przygotować się do Ślubu, Gamaæa Ziemi i Nieba. Słyszał to już wcześniej.

O Maksymilianie! Niech Bóg swą mistagogią uczyni cię (lub innego potomka dynastii austriackiej) wszechmocnym, kiedy przyjdzie czas, abym zasnął w Chrystusie, aby twe potężne Imię zostało przywrócone do potęgi pośród nieznośnych cieni nad Ziemią.

Nieznośnie cienie. Gdyby mogły się podnieść. Cesarz odszukał z powrotem stronę, gdzie narysowano monadę. Chociaż długo się w nią wpatrywał, niczego mu nie przekazała; ale tej nocy spał spokojnie. Rankiem posłał po Dee.

Tysiąc stopni wiedzie z praskiego Starego Miasta do wrót zamku królewskiego na Hradczanach. Stopnie wycięto w kamieniu, na którym stoi zamek, wiją się i wspinają, różnią się wysokością i szerokością, stopa podróżnego nieustannie gubi krok. Na stopniach, w

ruinach i grotach w kamieniu, w szalaszach i pod gołym niebem zbierają się żebracy i przepowiadacze przeszłości, a także cierpiący na ohydne choroby i deformacje (albo ludzie pozorujący dla jałmużny); dziwki, sieroty, święci z wizją końca; a także petenci do cesarza, którzy w pół niekończącej się drogi (taką zdawała się doktorowi Dee) porzucili dążenie do sprawiedliwości albo miłosierdzia, a teraz pólleżeli w rozpacz, nie mając siły podnieść błagalnie dłoni ku przechodniom.

Wspinał się i czerstwy, starszy mężczyzna, powodowany celem, ucieszony, że ma jeszcze dość siły w nogach, a to dzięki latom wędrówek po wzgórzach Wielkiej Brytanii w poszukiwaniu starożytności i świętych miejsc. Wspinając się, recytował słowa, które anioł Uriel powiedział ostatniej północy:

Jeżeli będzie żył prawo i będzie mnie słuchał, podeprę jego Dom filarami z hiacyntu, a jego komnaty pełne będą modestii i komfortu. Sprowadzę nań wschodni wiatr jak Poczyszycielka, i zasiądzie ona na jego zamkach triumfalnie, a on zaśnie z radością.

Strażnicy i służby u bram byli tu chyba po to, by nie wpuszczać nikogo do środka. Doktor Dee przepędził pół poranka, pukając we wrota, z których odsyłano go ku innym, a stamtąd do kolejnych, aż wreszcie uznano, że przybywa *bona fide* i wprowadzono go z radością. Jego wysokość oczekuje was, dlaczego tak późno, prosimy, prosimy.

Cesarski lord szambelan, Octavius Spinola, uczony dworzanin, od którego Dee otrzymywał przyjazne listy w nadzwyczajnej łacinie, wziął od niego wierzchnie okrycie i poprowadził go znów tytanicznymi schodami, po których (powiedział) niegdyś wjeżdżali na swych wierzchowcach rycerze w zbrojach na mszę; pod fantastycznym sklepieniem wachlarzowym, rozpiętym niczym palce u dłoni przybrane w koronki, przez drzwi, które przed nimi otwierano, wzdłuż rzędów witryn i półek, które kto wie co skrywały, przez prywatne komnaty, gdzie okiennice przymknięto do połowy dla osłony przed letnim słońcem; przez komnatę jadalną aż do komnaty samego cesarza. Nie była pełna ani modestii, ani pociechy, ot, wysoka, chłodna sala, duży stół z czarnego mahoni, przy którym siedział cesarz, ze wspaniałą srebrną zastawą i otwartą szkatułą, z której wyjął był egzemplarz *Monas* oprawny w skórę ze złoceniami: Dee go rozpoznał.

„Należała do mojego ojca” - rzekł cesarz. - „Dziś ją znalazłem”.

„Był wielkim i dobrym człowiekiem” - odparł John Dee. - „Czczę jego pamięć”.

Czy była to jedynie iluzja nieoświetlonego wnętrza, czy też w cesarskich oczach zaszklili się łzy?

„Jest dla mnie zbyt trudna” - powiedział cesarz, otwierając książkę - „lecz jeśli zechcesz mówić, będę słuchał. Zakosztuj wina”.

Szambelan nalał trunku z ogromnego dzbanka i wyszedł. Zostali sami. John Dee, który przebywał w towarzystwie królowej Anglii i uczył ją alchemii, który składał petycje na ręce króla Polski, Stefana, który osobiście wręczył Maksymilianowi książkę zadedykowaną mu z przyjaźni i obowiązku, milczał przez chwilę speszony: nie osobą, przed którą stał, ale obecnością niewidzialnych, których trudne słowa musiał przekazać.

Zaczął mówić o swoim dzieciństwie. Jego ojciec Roland był sługą króla Henryka. Wychował się w Londynie, nad brzegami rzeki. W młodości widywał niezwykle rzeczy i słyszał głosy istot, których nie widział. Ale to minęło, odkąd wszedł w wiek męski. Nie zapomniał jednak, że wszędzie, w każdym atomie, w każdym obszarze powietrza obserwują nas dobre istoty, życzą nam jak najlepiej, przemawiają w naszym imieniu przed boskim tronem.

Teraz przybyły porozmawiać bezpośrednio. Nie z nim jednak, nie, on ich nie słyszał, uszy miał zatkane, a oczy zasłonięte; ale łaską Boga znalazł przyjaciela, wraz z nim otrzymał wieści od aniołów i spisał je w dwudziestu ośmiu księgach. Księgi te przywiózł z sobą do miasta, by cesarz je przestudiował. Skąd Dee widział, do czego anioły zmierzały, jaki przełom na świecie się zbliżał i co trzeba było teraz zrobić, by się z nim zmierzyć i uczynić nowy świat lepszym od starego? Nie wahał się powiedzieć Rudolfowi, że aby wykorzystać dary i zrealizować obietnice aniołów, cesarz musi odwrócić się od swych grzechów i odpokutować. Chrystus nie bał się mówić tego najpotężniejszym, nie bał się mówić prawdy władcom; a zalecenie doktora Dee pochodziło od chrystusowego anioła Uriela. Więc przemówił. Cesarz (który miał pięcioro dzieci z żoną swego ulubionego antykwariusza, który zaniedbał swoje obowiązki wobec Boga i człowieka, który nie otwierał swojej poczty od miesiąca, który chciał umrzeć z własnej ręki albo żyć wiecznie) popatrzył nań tylko z nietkniętym kielichem przed sobą.

„Niczego nie udaję” - powiedział doktor. - „Nie jestem także hipokrytą ani ambicjonerem, nie zblizowałem ani nie śnię. Jeśli mówię w tej kwestii bez sprawiedliwej przyczyny, niniejszym odrzucam swoje zbawienie”.

Nieporuszony, a przynajmniej niedający tego po sobie poznać (to kwestia hiszpańskiego wychowania, potrafił słuchać wszystkiego, nie zmieniając wyrazu twarzy, choćby dusza w nim się trzęsła) cesarz w ostatku podniósł się.

„Czy posiadasz *Steganographię* starego opata Sponheim, Trithemiusa?”

„Tak. Sam ją skopiowałem wiele lat temu”.

„I ja ją mam. Manuskrypt samego opata. Gdzieś. Był spowiednikiem pierwszego Maksymiliana, dziadka mojego ojca. *Steganographia* traktuje o tym, jak przyzwać anioły.

Setki aniołów".

„W młodości próbowałem tej metody. Nikt nie przybył na moje wezwanie. Nie można ich do niczego skłonić; przybywają z własnego wyboru. Tak też się stało".

Cesarz splótł ręce za plecami i wolno kroczył po sali. Był niższy, niż Dee oceniał go po postawie siedzącej; miał wielką głowę, zapadnięte policzki i brodę. Ozwał się:

„Maksymilian spytał kiedyś Trithemiusa, dlaczego nikczemnik może władać złymi duchami i zmusić je, by przekazywały mu swoje sekrety i przynosiły rozmaite przedmioty, a człowiek dobry nie jest w stanie niczego uzyskać od anioła".

Dee pochylił głowę.

„Były dla nas bardzo hojne. Dokończyły moje księgi, których sam nie potrafiłem dokończyć; podarowały nam inne księgi mądrości, których świat nie wyczerpie przez tysiąc lat. Dały nam kamień większej wartości niż jakiegokolwiek ziemskie królestwo".

Cesarz przestał kroczyć po sali.

„Kamień?"

„To znaczy szklaną kulę. Gdzie można je zobaczyć i rozmawiać z nimi".

„Hm".

Cesarz podjął spacer i podszedł do stołu, na którym spoczywała *Monas*.

„Potrafisz stworzyć taki kamień?"

Doktor Dee wiedział, o co chodzi, ponieważ powiedziano mu wcześniej, o co spyta cesarz; udzielił odpowiedzi, którą podał mu Uriel.

„Tak. Z pomocą Boga i jego aniołów potrafię stworzyć kamień. Powiedziały mi, że podolałam".

Cesarz popatrzył na Dee swoimi zranionymi oczyma, w których dało się wyczytać powątpiewanie, żarliwość, potrzebę, jak u nieśmiałego dziecka: John Dee zrozumiał, dlaczego Uriel mówił o Rudolffie tak, a nie inaczej.

„Pragną cię pocieszyć" - powiedział łagodnie cesarzowi całej ziemi - „bardzo".

Kamień filozoficzny i eliksir życia wytwarza się z filozoficznego złota, czyli złota wytworzonego z materii podstawowej dzięki mocy Kamienia. Kamień uzyskać można jedynie jako produkt pracy wytwarzania złota filozoficznego; a jedynym czynnikiem, który takie złoto wytwarza, jest kamień. Dlatego proces ten przedstawia się za pomocą symbolu smoka pożerającego własny ogon.

Ale pierwszy etap to wytworzenie złota, nie filozoficznego, ale materialnego; a wytworzenie materialnego złota to rzecz prosta.

Ziemia i świat, jak matka i ojciec, wytwarzają złoto z materii podstawowej, i trzeba zrobić to tak samo, być matką, ojcem i akuszerką dla złota, które się wytwarza.

Po pierwsze trzeba mieć *prima materia*, taką, jaką Bóg stworzył z niczego. Ponieważ Bóg od razu zaczął pracować na tej *prima materia* i poprzez dodanie, podział i łączenie zmieniał ją, aby stała się wszystkim, co istnieje, trzeba odtworzyć ją dla własnych celów: odjąć z istniejącej rzeczy dodatki tego i tamtego, które sprawiają, że jest, czym jest - ziemię, powietrze, ogień i wodę obecne w różnym stopniu - i pozostawić tylko oryginalny podkład istnienia, nagą substancję, nijaką, nieopisaną. Można użyć każdego elementu stworzenia - zmiennokształtna rtęć, ołów, końskie szczyny, wszystko ma w sobie tę samą substancję. To dlatego mądrzy twórcy mówili, że kamień jest wszędzie wokół, w powietrzu, na ulicy, w polu, niezauważony i cenny.

A zatem: kiedy już się stopniowo obędzie wszystko, co czyni z materii podstawowej to, czym jest, trzeba tylko dodać do niej stopniowo to, co nada jej cechy złota: żółtą barwę, szlachetność, miękkość, właściwy ciężar, brak smaku i wszystko to, co ma złoto. Jak? Trzeba włożyć w nią ziarno, tak jak mężczyzna umieszcza twórcze ziarno w gorącym bezkształtnym chaosie kobiecego łona, wokół którego tworzy się dziecko. Złoto rośnie z ziarna rzuconego w chaos, gaz lub bezimienną substancję, którą wytworzono z substancji nazwanej.

W ten sam sposób złoto powstawało przez wieki w górach, skąd wydobywali je ludzie: z ziarna zasadzonego w mrocznym łonie na początku świata. Nasze złoto urośnie tak samo, tylko szybciej, ponieważ zmusi je do tego nasza wola, tak jak wola ogrodnika śliwki w cieplarni: poprzez ciepło wzmagające i przyspieszające wzrost.

Ale jakie ziarno?

Ze wszystkich etapów - prostych, trudnych, szybkich - procesu tworzenia złota ten jest najbardziej złożony. Oszalali twórcy próbowali prawie wszystkiego. Siarka ze względu na żółtą barwę, sól, by przytwierdzić ją do nagiego ciała materii; antymon, wilk metali; cynober, drugi metal słońca; samo złoto rozproszone po zwłokach; melanz tych i innych, kalcynowanych, destylowanych, fermentowanych, koagulowanych i podpalanych. Dopóki nie ma ziarna projekcji, praca nie jest skończona; nie jest tak naprawdę nawet rozpoczęta.

Kelley miał takie ziarno. Znajdowało się w kamiennym dzbanku zapieczętowanym woskiem - maleńka drobina czerwonego proszku, który duch dał mu w zamian za duszę. Mogła to być własna mikstura demona, którą stworzono po to, by go zwabić, tak jak lep zwabia muchy; albo - jak uważał Kelley - mogła to być też cząstka ziarna zmieszanego z ziemią podczas Stworzenia, aby pobudzić stworzenie złota, które podziemne moce potrafiły pochwyć i zachować.

Jakie nieczyste targi rozegrały się między tymi ziemskimi mocami i duchami powietrza, które zdobyły duszę Kelleya? Nie miało to znaczenia, ponieważ demon z psią twarzą, który towarzyszył mu przez całe lata, został ujęty i wygnany, a Madimi odzyskała dla Kelleya jego duszę: był więc teraz dwukrotnie ocalony i nie mógł zostać już nigdy przeklęty bez względu na swoje czyny.

A przy tym wciąż miał proszek od demona.

„Dzisiaj zaczynamy” - rzekł doktor Dee.

Szambelan cesarza Spinola umieścił ich w domu naczelnego lekarza cesarza, doktora Hajka (o którym Dee już słyszał), który na cesarskie polecenie wyjechał. Dom był dobrze wyposażony do pracy, którą zajmował się z zapalem także doktor Hajek; miał porządne palenisko z cegieł, całą baterię naczyń, tykwy, retorty, alembiki; we właściwych pojemnikach znajdowały się materiały takie jak kwasy, *aqua regia*, rtęć, antymon, *sal cranii humani*.

Opisane schludnym niemieckim pismem, tym samym, którym na ścianach wypisano niemieckie powiedzenia, porzekadła i instrukcje dotyczące pracy, rozpraszające raczej niż pomocne, podobnie, jeśli o tym pomyśleć, jak naczynia, instrumenty i rzadkie minerały, które nie bardzo miały im się przydać.

Na dziedzińcu zgromadzili zakupione drewno na opał, posortowane w zależności od rozmiaru i rodzaju, do zastosowania przy ogniu gorętszym lub wolniejszym - jesion, dąb, cis i sosna, z których każde wydzielало inne ciepło. John, chłopak do pomocy, przynosił, co było trzeba dla nienasyconego ognia, raz pożerającego, raz poszczającego.

Kiedy zamknięto alchemiczne palenisko - wielkie jajokształtne naczynie, w którym zająć miała agonia - Kelley wyjął kamienny dzban z proszkiem z torby, gdzie go trzymał, i podał go Johnowi Dee. Zastanawiali się, czy należy go otworzyć teraz, nim praca się zaczęła, czy dopiero kiedy przyjdzie czas. Kelley całym sercem chciał spojrzeć już teraz, ale nie pozwolił Dee odpieczętować dzbana. Nie: trzymaj go przy sobie, powiedział; czekajmy, aż wszystko inne się dokona; wtedy będzie wiadomo.

Po dwóch dniach ablucji i abstynencji, po nabożeństwie i oddaniu czci hostii i kielichowi (model wszelkich transformacji) oraz zjedzeniu (a także picciu po bohemiańsku) tego eliksiru wiecznego życia, rozpalili ogień, a naczynie wstawili w palenisko, szepcząc nerwowe modlitwy i drżąc ze strachu, jak gdyby chcieli spalić żywcem przyjaciela, co było zresztą prawdą. Kelley padł na kolana przed paleniskiem i poczuł, jak jego duch jest wyciągany z ciała ku zamkniętym drzwiczkom i naczyniu wewnątrz.

Praca rozpoczęła się w znaku Barana, nie Barana w ich własnym świecie (gdzie była

pełnia lata, brzoskwinie dojrzewały pod murem ogrodu), ale w znaku, w który Słońce weszło na innych niebiosach jaja-świata, paleniska, które doktor Dee ustawił jak zegar na odpowiednia godzinę, by odmierzał czas przez cały rok, dwanaście znaków, dwadzieścia osiem stacji Księżycy, trzydzieści sześć dekanatów, trzysta sześćdziesiąt stopni, trzysta sześćdziesiąt pięć dni i kilka godzin. John Dee wyliczył, że alchemiczny rok zmieści się w dobie.

Mieli się wymieniać przy ogniu, ale kiedy skończyła się wachta Kelleya (Dee obrócił wielką klepsydrę, by zacząć swoją), ten nie dał się podnieść. Klęczał wciąż przed paleniskiem przez osiem godzin. Przyszedł wieczór i zajrzał w okno. John Dee zdjął z własnego grzbietu szlafrok i przykrył nim drżące ramiona Kelleya, a potem ukląkł obok.

Materia to pałac zamknięty na cztery spusty. W środku, w centralnej komnacie, znajduje się król, jałowy, beczynny, bezpotomny; na jego twarzy rozgościła się czarna melancholia. Nogi i ręce może mieć spętane, może nosić koronę z obsydianu i żelaza. Może też być chory, cierpiący z powodu dawnej rany, ale odmawia leczenia, poddaje się rozpacz; lub też uzbroił się przeciwko wrogom i przyjaciółom, pozamykał wszelkie wrota, ustawił strażę, a teraz szlocha samotnie w gniewie i strachu.

Kelley widział wieże za granicą tej kwietnej łąki, nad wierzchołkami tamtego zielonego lasu. Wyruszył.

Do lasu prowadziła ładna dróżka, ale potem nie wiedział, jak się wydostać. Cis, jesion, dąb i sosna trzymały go swymi gałęziami, dzika róża raniła jego ciało (jak to się stało, że jest nagi?), w oczach miał łzy strachu. Chociaż był tu już wcześniej, a nawet kiedyś zaszedł już tak daleko, nie pamiętał, co się ma dalej stać. Rozejrzał się i poznał, że jest zgubiony.

Zgubiony.

Uczuł straszliwe pragnienie i podszedł do źródła tryskającego w głębi mrocznego lasu i wypływającego zeń srebrnego strumienia; ukląkł z westchnieniem wdzięczności, by się napić. Kiedy się nasycił i podniósł głowę, las wydał mu się inny: nie dziki, lecz uporządkowany; ścieżki, których wcześniej nie zauważył, prowadziły w czterech kierunkach; nad jedną zachodził księżyc, nad inną wschodziło słońce. Był pierwszy dzień maja. Oświetloną słońcem ścieżką szedł chłopiec, a każdy krok przenosił go tak daleko, że zdawało się, iż ma skrzydła u stóp albo sunie na promieniach słońca ku Kelleyowi.

Wdzięczność i radość, jak po łyknięciu czystej wody. Znał tego młodzika, który obchodził się z nim uprzejmie, jak przyjaciel: spójrzcie na ten uśmiech, emanuje troską i niepokojem, spójrzcie na jego stopy i dłonie, uskrzydłone. On wyprowadzi Kelleya z lasu.

Kiedy tylko Kelley dał serce młodzikowi, z ciemnego lasu wokół wyłoniło się trzech uzbrojonych mężczyzn, czarnych, szczerzących zęby złoczyńców, jeden z siatką, drugi z błyszczącym nożem, trzeci z kuszą i zębata strzałą. O Jezu Chryste, chłopiec ich nie widział, a Kelley oniemiał; chociaż krzyczał bezgłośnie, chłopiec szedł nieustannie, a strzała przebiła jego białą pierś.

Kelley poczuł w tej chwili, że przeszywa i jego samego. Żelazny łowca z siecią zarzucił ją na ustrzelonego ptaka. Trzeci wypróbował ostrze noża na kciuku. Piękny młodzik wił się bezgłośnie, skrzydlate dłonie odcięto mu od nadgarstków, biała krew trysnęła w srebrną wodę strumienia, potem przyszła kolej na stopy, skrzydła łopotały dziko i na próżno; przez cały ten czas patrzył błagalnie na Kelleya, czy było to błaganie o pomoc, nie potrafił pomóc, a może błaganie, by nie zapomnieć, tego też nie potrafił.

Leżał nieruchomo, okaleczony.

Mordercy, wciąż szczerząc nikczemnie białe zęby, wpakowali go do siatki i ułożyli na dębowych noszach. Kelley szedł za tym katafalkiem jako jedyny żałobnik; ale kiedy dotarli do wrót zamkniętego pałacu, trzymał rannego chłopca w ramionach. Drzwi były zapieczętowane, nie można było wejść, lecz gdy Kelley przyjrzał się pieczęci, rozpoznał ją. Tak, znał ją:



Wokół symbolu nie było okalającej wstęgi, czy też owalnej obręczy, zastanawiał się dlaczego, aż nagle zrozumiał, że znajduje się ona wszędzie wokół niego: *crater* albo *vas Hermetis*, te niebiosa, gdzie wirowały teraz letnie konstelacje, znak Bliźniąt, on i chłopiec w domu Lucrum.

Drzwi otwarły się, kiedy patrzył na pieczęć.

Poprowadził chłopca (przytulonego doń jak śpiące dziecko) przez korytarze z krzemienia i ciemności, obok drzemiących wartowników, przez pokryte pajęczyną drzwi. Okaleczone dziecko poczęło szeptać mu do ucha: nie prowadź mnie dalej. Uwolnij mnie. Uwolnij mnie, a ja zrobię dla ciebie złoto. Będziesz bogaty. Uwolnij mnie, a spełnię twoje największe życzenie.

Ale Kelley wiedział, że musi puścić te prośby mimo uszu. Powiodł go do ostatnich drzwi w samym środku, do izby na drugim końcu domostwa, także opieczętowanej, jak wszystkie drzwi. Tam król siedział skamieniały i bezczynny na tronie. Kelley postawił dziecko na zimnej podłodze. Oto twój syn.

Król podniósł się z wyrazem pełnej zdumienia radości na twarzy. Mój syn! Chłopiec podniósł okaleczone członki, jak gdyby chciał pokazać mu rany, a może po to, by osłonić się przed wielkim królem, który podchodził, łkając, z ustami otwartymi szczęściem i bólem i łzami ściekającymi z kącików oczu. Podchodząc, jeszcze szerzej otworzył usta. Dużo szerzej. Stał nad synem, który zwijał się, niezdolny uciec, pochwycił go i swoimi wielkożabimi ustami pożarł go: połknął w całości, poczynając od głowy. Kelley bez trudu dostrzegł wielkie, szare trzonowce, język lśniący niczym fioletowy wieloryb.

W dół, do środka. Król, zdumiony i wybałuszający oczy, złapał się za brzuch i przełknął. Ruszył, stawiając ciężkie kroki, wyciągając dla równowagi ręce jak ciężarna kobieta, ku kanapie. Położył się, by przetrawić.

Słońce weszło w znak Lwa. Lato rozkwitło całą pełnią. Brzoskwinie dojrzewały pod murem ogrodu w centrum pałacu. Pośrodku ogrodu znajdował się staw. Kelley nie mógł dostrzec dna. W południe król przybył na kąpiel. O, wyglądał zdrowo i młodo, ożywiony posiłkiem; zdjął szaty; niczym Jezus o natuszczonych włosach i miękkich, czerwonych ustach. Kelley spojrział nań i zrozumiał, że sam jest nagi. Nimfy pomogły królowi zejść do oklejnionych wód. Taplał się z rozkoszą, obmywając długie ramiona i kształtne nogi, unosił białe pośladki, ale teraz patrzcie, obrócił się i zaczyna rozdzielać się na dwoje.

Patrzy ze słodką pewnością na Kelleya, teraz rozumiesz? Teraz rozumiesz? Dwoje. Jest ze swoją królową, która jest nim. Patrz (król-królowa zdaje się mówić), całuję ją i pieszczę, jest moja, on także jest mój. Nimfy śmieją się i dotykają wzajemnie w podziwieniu. Kelley pod gorącym naporem letniego słońca, które ozłaca ogród, czuje, jak staje mu kutas, jak mogłoby być inaczej, jakie to miłe, *conjunctio oppositoru*, to nie jest król ani królowa, ale tylko Jedność, krzyczą głośno, ocierając się o siebie, woda pieni się z rozkoszy na ich nagim ciele, o Boże, zanurzyli się pod wzburzoną powierzchnię stawu, bulgoczą i pluja, a potem znikają.

Utonęli.

Kelley patrzył ze zgrozą. Powierzchnia stawu uspokoiła się i parowała tylko. Słońce świeciło okrutnie. Potem woda znów się wzburzyła, zakipiała, jak gdyby wywracając się na nice, i podniósł się, ciekąc srebrną skórą, z roześmianymi oczami, skrzydlaty chłopiec, nietknięty, uleczony, chociaż bezskrzydły, cały, ale obłaskawiony, bardziej kochający i mądrzejszy niżli wcześniej.

Powiedział:

„Chodź i pocałuj mnie, przestań płakać, to ja”.

Był świt drugiego dnia. John spał. Kelley nie poruszył się na poduszce, gdzie klęczał; chociaż pochylił się do przodu niczym śpiące niemowlę, to oczy miał otwarte.

John Dee położył brudny od sadzy palec na wykresie urodzeniowym, który sporządził dla materii w świecie paleniska. W Domach Wiosny umieścili Merkurego i połączyli go ze starym królem Saturnem, ołowiem. W czwartym Domu, pierwszym letnim, spociał się i napracował. W piątym Domu (*Nati*, dzieci i prokreacji) zredukowali produkt w kąpieli w Wodzie Życia i z niego stworzyli Monadę, młodego króla, który był tym wszystkim i niczym zarazem.

Teraz trzeba zredukować nową substancję, wyprażyć i zaczernić ją, aż stanie się pierwszą materią pozbawioną cech.

John Dee obsługiwał miechy godziwie, dodawał do ognia dębiny, króla drew, jak to powiadali dawni Walijczycy.

Z drzew wszelakich najzacieklej płonie dęb.

Z jego żaru nikt nie ujdzie cało.

Żarliwością jego uczuć głowa boleć poczyna.

Gryzące polana wyciskają z oczu lzy.

W *Valetudo* Kelley wziął chłopca na sługę, związał go, zbił za krnąbrność. Chciał zetrzeć z jego ust uśmiech. W parnych podziemiach, do których go zabrał (*Uxor*) ułożył grube, ciężkie dziecko na łóżku albo stole i męczył je (na jego życzenie, na jego), aż wydało złoto, wyrzuciło je obrzydliwie z ust i odbytu, wielkie stopy substancji w kolorze złota, pokrytej lśniącym śluzem i zimnej w dotyku, a chłopiec, śmiejąc się z ulgą, poderwał się wolny i uciekł.

Tylko po to jednak, by bez uszczerbku zostać sprowadzonym ponownie (po sublimacji, kondensacji, ponownej sublimacji, gdy ogień Johna Dee nieustannie pochłaniał dębowe głownie) do okropnego warsztatu Kelleya. Kelley spocony i płaczący nie wiedział, czy zbił go, zjadł czy zniewolił. Z jego ciała zmieniającego barwę: biel, czerwień, błękit, czern, dobywał olejów, gryzących tłuszczów, skrzących się cukrów.

Wreszcie zachorzał, skurczył się, srebrzyste ciało straciło postać. Przestał naigrawać się i gadać, jak przez wszystkie tortury. Znieruchomiał pełen pokory, smutku. Umarł w tym mroku (*Mors*) i Kelley położył się obok niego w pełnej winy rozpacz, o mój synu, o mój jedyny synu. Trup poczerniał i zaczął cuchnąć; potem wysechł i stwardniał jak sztokfisz, stał się nie do rozpoznania, bezusty, bezręki, bez twarzy, całkiem nikt.

Koniec, koniec, koniec.

Według obliczeń Dee rok w palenisku dotarł teraz do najkrótszego i najciemniejszego dnia, dnia śmierci i narodzin słońca, wierzchołka Koziorożca. Wziął kamienny dzban proszku Kelleya i zerwał pieczęć. Cudowny zapach wypełnił komnatę; chłopak do posług wzdrygnął się i oblizał wargi. Kelley klęczał wyprostowany; otworzył ramiona w adoracji. John Dee podszedł do drzwiczek paleniska i otworzył je.

Ściany paleniska były nieomal przezroczyste z gorąca; Dee widział, co się tam dzieje, jak gdyby patrzył na namiot ze świeczką zapaloną w środku. Cienką rurką przebił go i jak przez słomkę wypluł do środka nasionko. Kelley (ten drugi Kelley, który wyszedł z Kelleya do paleniska) pochylił się nad bezkształtnym chaosem swego syna. Wszystko, co zrobił, także sam przecierpiał, utracił to wszystko, co utracił chłopiec; a kiedy nasionko transformacji weszło w gorącą, czarną masę, weszło także w niego. O, okropność: wezwanie do wzrostu i zmiany, walka o ruch i czyn! Kierujące nim nasionko było niczym choroba, a nie lek, nie wiedział wcześniej, że będzie tak strasznie.

Ale żył, słońce się rodzi. Ognista krew krąży w jego żyłach, skóra z czarnej staje się srebrna, a potem złota, uśmiecha się, śmieje, jak gdyby jego śmierć i gnicie było grą, podziwiała własną rozkoszność, próbuje stawów, robi pierwsze kroki, żyje, żyje - o. Czemu jest tak mały?

Nie, żył - tylko to się liczyło. Miało już nigdy nie być żadnej śmierci. Kelley będzie go oczywiście karmił; karmił tak, jak pelikan karmi swoje młode własną krwią. Urośnie, stanie się wysoki i krzepki, przywdzieje czerwień i poślubi Białą Kobietę, własną matkę, Królową Niebios; a ich syn, nareszcie, będzie eliksirem, *Filis philosophorum*, koroną chwały, bazyliszkiem, salamandrą, lwem pustyni.

Nie. Dlaczego był tak mały?

„Łaskawy Boże, bądź pochwalony, Tyś przyznał sługom owoc czasu, wspaniały owoc. Wszyscy spójrzcie” - powiedział John Dee.

Kelley podniósł się chwiejnie. Dee drżącymi dłońmi trzymał otwarte palenisko. Brzegi i rękawy jego szaty były poczernione, nadgryzione zębem ognia. Twarz mu płonęła czerwienią i złotem; jakiś wiatr zdawał się krążyć wokół niego i trzymanego przezeń wulkanicznego pucharu.

Kelley, niepewny, w jakim pomieszczeniu się znajduje, zajrzał do naczynia.

Dee był bliski łez radości i wdzięczności.

„Patrz”.

Na dnie lśniła jasno kuleczka złota, maleńka, błyszcząca masa, niczym poskręcane ciało, na oko ze dwadzieścia granów wagi.

Dotarli do pierwszego etapu dzieła. Od zawsze wiedzieli, że to możliwe, ale dotąd nigdy nie udawało im się to, ani nawet nie udawało im się w pełni uwierzyć, że zrobią to oni lub ktokolwiek: a teraz dokonali tego. Stworzyli złoto, sapiencjalne, cudowne.

„Czemu tak mało?” - spytał Kelley. Gardło miał suche, głos skrzekliwy.

„Nie było multiplikacji nasienia, jakaś jałowość, brak wigoru” - odpowiedział Dee.

Kelley zamrugał, patrząc tępo. To? To był kres wszystkich obietnic mu złożonych? Gdyby rąbał drwa i nosił wodę tak długo i z takim zapałem, jak pracował nad dziełem, zarobiłby więcej niż warte było to złoto.

„Za mało” - powiedział.

„Za mało na kamień. Musimy być cierpliwi”.

O Boże, trzeba będzie wrócić do tej mrocznej, ognistej krainy kopulacji, zepsucia i śmierci, by znaleźć, uwolnić, zabić innego chłopca, albo tego samego jeszcze raz. Serce w nim zamarło. A nagroda, za którą oddał swą nieśmiertelną duszę, została zużyta w jednej chwili do otrzymania dwudziestu granów złota, za które nie kupi ani szczypty czerwonego proszku, ani jednego atomu. W jaki sposób ukończą teraz dzieło?

„*Czy myślałeś, że istnieje jeno jedno nasionko?*” - spytała Madimi, gdy klęczał o świcie przed kulą, szlochając i prosząc o pomoc. - „*Głupcze, czy myślisz, że jest jeno jeden Puchar, jeden Kamień, jeden sposób?*”.

Patrzył na nią z szeroko otwartymi ustami. Stała się już kobietą - prawie. Piersi miała pełne, szyję długą, złote włosy rozwiewał jej niewiadomy wiatr, być może ten sam, który wiał w pomieszczeniu, w rozbitym palenisku, w białych splotach brody doktora.

„*Są małe Kamienie i wielkie. Są Kamienie, które wykonuje się szybko, i Kamienie, które wytwarza się wciąż od początku czasu. Sama ziemia jest Pucharem i w niej lub na niej nastąpi Ślub, Syn się narodzi. A przecież i to nie jest największy Kamień*”.

Kobieta w kuli poczęła zdejmować czerwono-białą szatę. Uśmiechając się, spytała:

„*Czegóż chcecie? Mogę dać wam wszystko. Myśleliście, że się z wami bawię? Widziałam, jak kładziono fundamenty Nieba i Ziemi, wiem, gdzie znajduje się wszystko, co kiedykolwiek zgubiono, znam każdy wielki czyn, grzech i wstyd, potrafię zrobić lub powiedzieć wszystko, potrafię być wszystkim*”.

Piersi miała nagie, wielkie oczy w kolorze brzasku mądre i lubieżne. Rozchyliła szaty.

„*Czy już dwa razy cię nie ocalono? Czy nie cieszyłeś się faworami Boga, których od początku świata dostąpili nieliczni? Nie istnieje dla ciebie grzech, możesz robić, co chcesz, i*

mieć, co się da".

Pochylili głowy, przestraszeni po raz pierwszy, odkąd wyszła dziecięciem z kuli.

„Czy sięgniecie wyżej niż dotąd? Czy będziecie mieć Kamień wspanialszy niż jakikolwiek, o którym dotąd mówiono? Znajdę go dla was, ukryto go w miejscu, które znam. Czy będziecie mieć złoto? Wypiekę je wam niczym chleb. Będziecie mieli go aż nadto, jeśli tak je kochacie. Ale jeśli macie mieć to, co wam ofiaruję, musicie odrzucić opinie ludzi".

Była prawie naga. Diana. Dziewica. Czekąca, aż ją poznają.

„Czego pragniecie? Przestańcie drżeć. Weźcie się w garść. Co chcecie wiedzieć?"

PIĘĆ

W gorące sierpniowe dni dziwny chłód panował w Arkadii; zasłony były spuszczone do połowy, a pasiaste płócienne markizy podniesione. Dom stał cicho w cieniu drzew, jak gdyby z niedomkniętymi powiekami. Wieczorami, kiedy chłodniało, Rosie obchodziła pokoje; odsunąwszy kotary, wpuszczała przez okna noc i siedziała w zamyśleniu, zanim włączała światło.

- Co to za kolor? - spytała córkę i pokazała jej prostokątną żółtą karteczkę.

- Żółty.

- Dobrze.

- Co dalej?

Rosie odwróciła karteczkę, spodziewając się jakiejś figury w kolorze żółtym po drugiej stronie, ale zamiast tego znalazła postacie dwu laleczek i cyfrę dwa.

- Dwa - powiedziała. - Widzisz?

- Moja kolej. - Sam wzięła ze stosu karteczkę. Dwie duże kropki, fioletowa i żółta. Sam opisała je i odwróciła karteczkę. Nożyczki przecinające sznurek. Z fioletowymi uchwytami. Odrzuciła ją bez zainteresowania. Cały dzień była odrętwiała i marudna. Rosie starała się nakłonić ją do zabawy w ogrodzie, ale Sam wolała półmroczny salon, przenosząc się z długiej skórzanej kanapy na podłogę, a potem na wysokie krzesła, - jak foka na skałach w morskiej jaskini. Kilka godzin po pójściu spać zeszła rozbudzona na dół do salonu, gdzie zastała zamyśloną Rosie, i nie chciała wrócić, narzekając na nie wiadomo co. Rosie dotknęła jej czoła. Gorączka? Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest termometr. Wiedziała, że powinna być stanowcza, ale nie była; pozwoliła Sam zostać.

- Teraz twoja kolej - powiedziała Sam.

Rosie wybrała kolejną kartę. Mike podarował zestaw Sam tydzień wcześniej, była to gra edukacyjna. Sam uparła się w nią grać. Rosie przejrzała opis na pudełku, ale nie pojęła, o co chodzi. Kolory, kształty, liczby, proste słowa. Karteczka, którą wyciągnęła, przedstawiała roniący farbę pędzel.

- Jaki to kolor?

- Zielony.

Z tyłu narysowano zielone drzewo. Okej.

- Mamo, wierzysz w Boga?
- Hm. Chyba tak.
- Co to jest Bóg?
- Bóg, yyyy, to coś jak Matka Natura. Przyczyna, dla której wszystko istnieje.
- Kocham Matkę Naturę.
- Ja też - powiedziała Rosie, zadowolona, że udało jej się ominąć problem. - A to co?

Podniosła karteczkę, na której widniał mały domek z kominem, płotkiem i stromym dachem z gontami, takimi samymi jak te, pod którymi teraz siedziały. Obrazek pełen był kształtów geometrycznych, których nazwanie stanowiło powód jego istnienia, prostokątów, okręgów, ośmiokątów, gwiazd.

- Kochasz Jezusa? - spytała Sam.

Rosie popatrzyła na nią.

- Co?

Sam wzruszyła ramionami, cofając pytanie, i przyjrzała się następnej karteczce. Trzy laleczki i słowo „trzy”. Róg kartonika był przycięty. Czy to coś znaczyło?

- Matka Natura i Jezus mogą się ożenić - powiedziała. - Bo Jezus jest chłopczykiem.

- Pewnie - odparła Rosie. Patrzyła na karteczkę ze słowem „fiolet”. Z tyłu był wagon cyrkowy, ale nie fioletowy, także składający się z kształtów geometrycznych, rombów, kwadratów, owali, trójkątów. Niczym jakiś symbol albo świątynia.

- Twoja kolej.

Przeszukała stertę kartoników. Wiele z nich miało przycięte rogi; inne miały paseczki, jeden, dwa albo trzy w narożnikach, wzdłuż których można by je przyciąć, gdyby tylko wiedzieć po co. Na niektórych były słowa. Czasami karteczki były jednolicie pokryte kolorami, czasami widać było tylko maźnięcie pędzla.

- Skarbie?
- Czy tata wierzy w Matkę Naturę?

Sam podniosła kartonik. Po jednej stronie laleczka szła przez most. Po drugiej szła pod nim.

- Wygrałam - powiedziała.

- Nie wiem - odpowiedziała Rosie. Co to w ogóle za karty. Podniosła pudełko z podłogi i znów przeczytała opis. „Cała naprzód”. Stymuluje twoje dziecko i jego świadomość powiązań, a zarazem prezentuje podstawowe elementy percepcji. Na karteczce, którą trzymała, było słowo „prostokąt”. Na drugiej stronie widniał obrazek karteczki z domkiem o dachu z gontami, owalnymi oknami i rombowlatym płotem. Obraz karteczki. U drzwi maleńki

chłopczyk machający ręką.

- Na pewno chcesz w to grać, Sam?

Sam opadła na poduszki z rozchylonymi ustami. Rosie zerwała się, rozsypując karty, i znów położyła jej dłoń na czole. O Boże. To naprawdę gorączka. Oczy Sam wydawały się zamglone i nieobecne.

- Kochanie, chyba masz gorączkę. Pójdę poszukać termometru i aspiryny. Okej? Tej do zucia. Okej? A ty odpocznij.

Popatrzyła na klatkę piersiową Sam, ale nie zobaczyła ospowatej wysypki; pod brodą nie wyczuła pogrubionych gruczołów, jak przy śwince, na którą i tak dziewczynka była zaszczepiona; a może na odrę?

Różyczka, to musiało być to. Rosie poszukała w apteczce aspiryny dla dzieci i termometru. Odkąd została mamą, zapoznała się na nowo z nazwami dziecięcych chorób, o których już dawno zapomniała. Różyczka, szkarlatyna, ładne nazwy, takie romantyczne, jak imiona literackich bohaterów albo malarek *quattrocento*. Gdzie u diabła jest ta aspiryna.

Święty Józef. Skąd ta nazwa. Dzieciątko Jezus w jego ramionach na starodawnym obrazku na etykiecie. A termometr, tuż obok, po sąsiedzku, jak okulary i książka, fajka i tytoń, zwykle aż tak dobrze nic się nie układa. Kiedy wróciła do salonu, Sam oddychała ciężko, wbijając wzrok w dywan. Och, oby tylko nie było to coś poważnego. Rosie kazała Sam otworzyć usta. I co by tam mogła wypatrzyć? Nic jej nie bolało, ze złością odtrąciła rękę matki. Ale grzecznie wzięła maleńką, różową pastylkę i łapczywie napiła się wody.

- Pobawmy się - powiedziała słabo.

- Ojej, Sam.

Sam podniosła swoje kartoniki i przyjrzała im się.

- Co to jest? - spytała, ale nie chodziło jej o karteczki. Spojrzała na Rosie, zdawała się jej nie widzieć, a potem znów na kartoniki; potem nagle strąciła je spazmatycznie, wypadły jej z rąk strumieniem kolorów, słów, przedmiotów, kształtów i cyfr. Kiedy wszystkie spadły na podłogę, jej dłonie wciąż drżały, a potem także ramiona i barki. Straciła przytomność.

- Sam!

Dziecko padło na kanapę twarzą w dół, wciąż w konwulsjach. Głowa szurała o tkaninę bezmyślnie jak u lalki. Rosie chciała ją podnieść, uspokoić, ale nie dało się, ciało Sam było sztywne, zapamiętałe w spazmie, bezrozumne.

A potem atak się skończył. Sam wyłoniła się jakby z głębokości: nogi i ręce zatańczyły jej łagodnie, a oczy zajaśniały na nowo.

- Co się dzieje, słoneczko? - szepnęła Rosie. - Czy ty to zrobiłaś?

Ale Sam milczała. Cmoknęła i zwinęła się w kłębek obok matki jak niemowlę potrzebujące snu.

- Skarbie?

Sam, oddychając ciężko, zasnęła.

Rosie ułożyła ją na kanapie. Co to było, na Boga? Dotknęła czoła córeczki. Wciąż gorące. Co to było. Pojawiło się i minęło tak szybko. Sam lubowała się w dziwnych wyskokach, pogrążaniu się we własnym świecie, niewytłumaczalnych ruchach. To musiało być to. Na pewno?

Przykryła dziecko narzutą i podeszła do telefonu. Numer miała w notesie, notes w torebce, a torebkę gdzie? Do diabła z nią. Zadzwoiła na informację i dopiero, gdy uzyskała numer i wykręciła go, uświadomiła sobie, jak jest późno i że gabinet na pewno będzie zamknięty.

Ktoś odebrał po pierwszym sygnale.

- Gabinet doktora Bocka? - spytała zaskoczona.

- Nie, jego obsługa telefoniczna.

- O .

- Może pani zostawić wiadomość i doktor oddzwoni. Czy sprawa jest pilna?

- Nie wiem - odpowiedziała. Czują, jak wokół zbiera się ciemność, przez którą trudno było zrozumieć, o co chodzi innym. - Moja córka, którą leczy doktor Bock, miała właśnie bardzo dziwne objawy.

- W porządku. Czy mam dać znać doktorowi?

- To znaczy?

- Mogę wysłać mu powiadomienie, żeby do nas zadzwonił. Potem on zadzwoni do pani. - Rosie podała numer. - Oddzwoni, jak tylko skontaktuje się z nami.

Rozłączyła się.

Sam wciąż spała; instynktowne podnoszenie się i opadanie jej piersi było szybsze niż zwykle; wyglądała, jakby trwała w zawieszeniu, utrzymywana przy życiu zewnętrznymi siłami, które zmuszają jej płuca do głębokich oddechów, podczas gdy jej bezwładne ciało leży nieświadome otoczenia. Spała. Rosie stała, patrząc na nią, kiedy telefon zadzwonił głośno, wciąż podkreślony dla przytępionego słuchu Boney'ego i pani Pisky; także tym razem sprawił, że podskoczyła.

- Słucham.

- Z tej strony doktor Bock. W czym problem?

- Panie doktorze - obejrzała się na śpiącą Sam - coś dziwnego, pewnie nic poważnego.

- Wystarczył sam dźwięk mocnego, lecz miłego głosu doktora, by strachy odeszły; ale w gardle Rosie narastała dławiąca gula. Opowiedziała mu, co się wydarzyło.

- Czyli dostała gorączki?

- Tak, chyba tak. Tuż przed.

- Jakież inne objawy grypy lub przeziębienia? Zapalenia ucha?

- Mówiła, że czuje się dziwnie. Nie kichała ani nie kaszłała.

- W porządku - powiedział.

On zaraz powie, że wszystko w porządku, że to nic. Rosie była tego pewna; czuła się, jak gdyby już to powiedział.

- Może ją pani przywieźć do mojego gabinetu?

- Teraz?

- Tak. Zaraz wyjadę i spotkamy się tam. Odpowiada to pani?

- Okej.

Rozłączył się.

Gabinet doktora Bocka znajdował się kiedyś w Ball Building, ale jakiś czas temu przeniesiono go do bezpłatowego pawilonu przy Cascadia Road - niskiego, klimatyzowanego kompleksu, który doktor dzielił z dwoma innymi lekarzami i dziwacznym libańskim dentystą, lubiącym zagadywać ją bezsensownie we wspólnej poczekalni.

Gdy zajechała, budynek był ciemny poza jednym jaskrawym reflektorem trwającym na straży. Z okna gabinetu wylewał się mrok. Dotarła tu pierwsza.

Sam, która spała całą drogę, uśpiona szumem silnika (jej ojciec miał tak samo, ryzykowna sprawa dla kierowcy), obudziła się, otworzyła szeroko oczy, pomlaskała, gdzie jestem.

- Cześć, skarbie. - Rosie dotknęła jej czoła: było gorące, ale nie rozpalone, chyba, może; sierpniowa noc i koc, którym Rosie otuliła ją absurdalnie i profilaktycznie.

- Jesteśmy w domu?

- Nie. U doktora Bocka.

- Ja nie chcę.

- To zajmie tylko chwilkę.

Sam powierciła się pod kocem, zaczynała kipieć, za minutę będzie wrzeć. Rosie przeszła na siedzenie obok i przytuliła ją.

- Nie przejmuj się, kochanie. Chcesz, żebym ci zaśpiewała?

- Nie.

- Dobrze.

Zaczęła śpiewać. Nigdy nie wiedziała, które piosenki okażą się mieć efekt uspokajający. Michał płynie łodzią do brzegu. Opowiedz mi historie, które są mi tak drogie, dawno, dawno temu, dawno, dawno temu. Biedny Mike: z jakiegoś powodu nigdy nie nauczył się nonsensownych piosenek z dzieciństwa - tych tabletek na sen czy też gazu rozśmieszającego - wypróbowanych i skutecznych. Kiedy śpiewał Sam, przypominały mu się tylko stare reklamowe dzingle, może wychowywał się przed ekranem telewizora. Dla Sam nie miało to znaczenia. Efekt był identyczny. Co będzie o nich myśleć za wiele lat, kiedy znajdzie je w zasobach swej pamięci razem z krową, która przeskoczyła księżyc, i Bobbym Shaftoe, który wyruszył na morze.

Znów zasnęła, dzięki Bogu. Co im przyszło do głowy, jej i Mike'owi, żeby mieć dziecko. Teraz prawie niemożliwe było odtworzenie tamtego nastroju, kiedy zdecydowali się skoczyć na łeb, na szyję, rzucić wszystko, pójść do łóżka. Wystarczyła jedna cholerna noc. Życie i myślenie sprzed Sam było już poza zasięgiem; szpitalne łóżko okazało się drzwiami, życie po tej stronie to jedno, życie po tamtej, drugie.

Dramatyczny zwrot akcji.

A gdzie w ogóle ten stary pierdziel. Spojrzała na jaśniejącą tarczę zegarka, niezmienną niczym malowany cyferblat.

Żadne samochodowe reflektory, które obmywały ich samochód, nie zwolniły ani nie zmieniły kierunku. Rosie pod własnymi żebrami czuła, jak przemykają obok. Zanim zaszła w ciążę, dużo wcześniej, wpadła na pomysł projektu artystycznego, chyba nawet spisała go kiedyś na ocenę w klasie filmu czy fotografii. Wymyśliła, że chętna para młodych rodziców może prowadzić zapis, jak żaden inny w historii świata, zapis, który będzie tajemniczy i wstrząsający, a może nawet ujawni coś niezwykłego - tego nie da się stwierdzić, dopóki projekt nie dobiegnie końca.

Rodzice mieliby ustawić kamerę i oświetlenie przed czystym tłem. Kamerę filmową albo aparat, z którego zdjęć można by potem zrobić film. Co dnia, każdego dnia, kładliby dziecko przed kamerą i robili zdjęcie. Co dnia, każdego dnia, ta sama scena, ta sama poza. Musieliby kontynuować to przez całe niemowlęctwo, dzieciństwo, codziennie, jak mycie zębów. Nago. Całe ciało. Zanim dziecko dorośnie (i zbuntuje się, co było prawdopodobne), gotowe będą tysiące zdjęć, tysiące klatek filmowych. Połączyć je wszystkie i puścić z odpowiednią prędkością, a w ciągu godziny, czy coś koło tego, widz zobaczy, jak dziecko rośnie. Niezauważalnie, subtelnie, z jednej klatki filmowej do drugiej, kumulatywnie.

Włosy i zęby będą rosnać, nogi się wydłużą, palce nabiorą kształtu, dziecko stanie na

nogi, szyja się wydłuży, włosy skręca i pociemnieją, zęby wypadną i znów wyrosną, zmieniając twarz, charakter także się zmieni, co ujawni się w twarzy i ciele. Rany i siniaki przemina w kilka chwil, złamana noga w minutę.

Życie. Dorastanie. A potem, jeśli dzieciak się zainteresuje, albo jeśli rodzice zdołają zmusić go lub nakłonić do kontynuowania całej sprawy? Będzie się starzeć, w wolniejszym tempie, ale z taką samą pewnością; piersi, włosy łonowe; zmarszczki, obwisłości, starość.

Może wielki brzuch. Nagle będzie ich dwoje.

A może nie. Może film będzie krótki, nie dotrze do dorosłości; urwie się nagle i nie zostanie nigdy dokończony. Zgasną światła. To może stać się opowieścią uniwersalną („Życie człowieka na Ziemi”) albo tragedią jednej osoby. O Boże, błagam.

Oślepił ją odbłask w szybie, reflektory samochodu mierzyły w bramę.

- No, nareszcie - powiedziała do siebie i otworzyła drzwi, kiedy samochód doktora zatrzymał się na parkingu. Wysiadła, machając do niewyraźnej postaci biedzącej się przy kluczach, ale nie poczuła ulgi, na którą miała nadzieję. Obeszła samochód, by wyciągnąć Sam. Ale dziewczynka nie chciała iść.

- No chodź, skarbie. Po to tu przyjechałyśmy.

- Nie. Nie, nie, nie, nie, nie. Mówię, że nie. Wyciągnęła ją prawie siłą, zarzewie buntu tłące się w kocu.

Sam ucichła, słysząc głos lekarza, który przytrzymał im drzwi.

- Witaj, Sam.

- Dobry wieczór, doktorze - powiedziała Rosie. - Przywitaj się, skarbie.

Rosie ufała doktorowi Bockowi, choć nie całkiem go lubiła; lubiła za to sposób, w jaki jako pierwszy odzywał się do pacjenta, podobało jej się, że uważał to za ważne. Wyprzedził je, włączając światła, które rozbłyskiwały jedno za drugim w poczekalni i gabinecie.

- Co my tu mamy - powiedział.

Przyklejona do matki Sam nie chciała mieć z nim nic do czynienia. Myjąc ręce, poprosił Rosie, by jeszcze raz wszystko mu opisała; odpowiadała na jego niezwykle szczegółowe pytania, wreszcie musiała groteskowo naśladować krótkie spazmy Sam, co rozśmieszyło tę ostatnią, a przed oczy wyobraźni Rosie przywróciło całą sytuację w jaskrawych barwach.

- Potem zasnęła.

- Dobrze, niech się przyjrzę.

Światła odbiły się od wielkiej łysiny doktora Bocka i jego okularów, kiedy nachylał się nad Sam. Nie reagowała na żadne jego sztuczki, a kiedy w końcu dotknął jej, zapiszczała.

Zbyt mała, by dać się zastraszyć i ulec, zbyt duża, by dać się źle traktować. Doktor Bock starał się, jak mógł, cierpliwy, poza momentem, kiedy chciał zajrzeć jej do uszu, a ona szarpnęła się, odpychając instrument, który uderzył go w okulary.

- Sam, w tej chwili masz przestać! - zawołała Rosie.

- Bolało.

- Nie bolało.

- Bolało.

Zmagając się z oporną dziewczynką, nie przestawał pytać. Czy kiedyś już coś podobnego miała? Czy Rosie pamięta coś takiego u siebie? Nie? A u Mike'a? Okej.

Wreszcie puścił Sam, chyba usatysfakcjonowany, choć jeszcze nie skończył.

- Wygląda na to, że nie ma żadnej choroby, grypy, ospy. Gardło, płuca, wszystko w porządku.

- W porządku - niepewnie powiedziała Rosie.

- Kiedy coś takiego się dzieje, szuka się zewnętrznej przyczyny. Gdyby Sam nagle skoczyła gorączka, z powodu grypy albo zapalenia ucha, można by powiedzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że to drgawki gorączkowe.

Uśmiechnął się do Sam, która pozostawała urażona.

- Są to łagodne napady drgawkowe będące wynikiem wysokich gorączek. Cierpi na to wiele dzieci. Zwykle przypadłość ta jest obecna w rodzinie od jakiegoś czasu. Nie jest to powód do zmartwienia. W wieku dorosłym nie występuje prawie nigdy.

Tym razem Rosie nie powiedziała „w porządku”. Wiedziała, że będzie więcej.

- Ale nie znalazłem niczego, co mogłoby spowodować taką gorączkę. A to skłania do wniosku, że gorączkę sprowadziła aktywność samego mózgu. Tak się czasami dzieje. Innymi słowy, napad drgawkowy spowodował gorączkę, a nie odwrotnie.

Sam, o dziwo, zostawiła mamę i podeszła do doktora Bocka, patrząc mu otwarcie w wielką twarz. Objął ją ramieniem.

- Kiedy mówi pan „napad drgawkowy” - powiedziała Rosie - nie ma pan na myśli... Nie ma pan na myśli padaczki.

- Szczerze mówiąc, teraz nie używa się tak często tego terminu. Występuje wiele typów napadów drgawkowych. Ludzie mieliby niewłaściwe pojęcie. - Spojrzał na nią z poważną, zdystansowaną, niemiłosierną sympatią bożka. - Ale tak, można by to nazwać padaczką.

To było to. Rosie nie miała wątpliwości: to było źródło całego tego dziwnego mroku, który opadał na nią jak chmury; to był mrok sączący się z przyszłości, z tej chwili, kraina

mroku, ku której cały czas zmierzała, do której w końcu dotarła, a która nie miała końca.

- Podam pani podstawowe informacje - powiedział doktor Bock - o tym, czego możecie się obie spodziewać; ale wiem, że nie zapamiętacie wszystkiego, więc porozmawiamy o tym jeszcze, kiedy będziecie chcieli. W porządku?

Później, kiedy Rosie wracała myślą do tej nocy, czyli dość często, odnajdywała tam siebie stojącą twarzą w twarz z chwilą, w której to usłyszała, i zastanawiała się, czemu doktor pomyślał, że miałyby tego nie zapamiętać. Została wytarta niczym tablica, a on wypisał na niej przyszłość jej i Sam; nie rozumiała wszystkiego, co powiedział o napadach drgawkowych, równie trudno byłoby przypomnieć sobie - oraz zapomnieć - ohydny sen, bo tak interpretowała podówczas jego wyjaśnienia; ale z tego, co usłyszała, nie zapomniła ani słowa: nawet gdy starała się zapomnieć.

- A zatem - powiedział - chcę zacząć podawać Sam środek uspokajający, tak na próbę, na pół roku. Może nie będzie kolejnego napadu. Jeśli tak się stanie, możliwe, że był to przypadek. A wtedy przestaniemy go jej podawać. Może.

Sam, dziwna rzecz, siedziała na taborecie obok doktora Bocka i położyła mu głowę na kolanach. Rosie nie była pewna, czy jest w stanie się odezwać, jak gdyby zbierający się zgęstniały mrok mógł zatkać jej gardło.

- Środek uspokajający?

- Fenobarbital - powiedział, kładąc dłoń na włosach Sam.

- O Boże.

- W bardzo małej dawce.

I co miała teraz zrobić. Nie tylko musiała to wszystko znieść, musiała też powiedzieć coś i coś zrobić. Zrazu nie wierzyła, że jest w stanie, ale alternatywy były nie do pomyślenia, więc się zmusiła. Zbierało jej się na płacz.

- Nie bardzo mi się to podoba.

Spojrzał na nią, ale światła odbijające się w okularach nie pozwalały odczytać spojrzenia.

- Rosie, musimy uniknąć powtórnego napadu drgawkowego. Naprawdę. Mogą one być nieszkodliwe, tak jak mówiłem. Może nawet większość taka jest. Ale nie wszystkie.

- Nie podoba mi się podawanie trzylatce fenobarbitalu.

- Jest dobrze tolerowany.

- Aha. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Nic dobrego. Jak długo miała tu stać z wyciągniętym mieczem? Czemu się nie wycofał?

- Zrobimy tak. Dam ci receptę. Jutro umówimy cię z neurologiem, z którym sobie

porozmawiasz, ale jestem pewien, że powie ci to samo.

- Czy mogę poczekać z decyzją, aż z nim porozmawiam?
- Osobiście radzę nie czekać. Chcę, żeby to było jasne.
- Dobrze, słyszę.

To był fortel Mike'a, którego się nauczył na terapii grupowej i często wykorzystywał przeciwko niej, kiedy nie mógł wywinąć się od odpowiedzi.

Lekarz zważył zmęczoną Sam, coś obliczył i wypisał receptę, wyjaśniając, jak trzeba zażywać lek.

- Zaraz rano - powiedział.

Spojrzała na prostokątny karteluszek. Drobne eleganckie pismo, dziwne przy tak wielkiej łapie. *Fenobarbital elixir*.

Bilet do zaświatów. Złożyła go starannie i włożyła do torebki. Dopiero dotarłszy do samochodu i zamknąwszy drzwi, dała upust łzom, przytulając Sam i patrząc, jak w gabinecie doktora Bocka gasną światła.

Ona nie jest chora, powiedział doktor Bock, i nie trzeba jej traktować jakoś specjalnie; ale niemożliwością było nie opiekować się nią z pełną strachu troską, jak gdyby zmieniła się w szklaną, nieskończenie kruchą figurkę zwierzęcia, których Rosie nigdy nie znosiła; zaniósła ją na górę i położyła do łóżka, świadoma, że wystrzega się wstrząsów ze strachu, iż to znów może się stać, jakby niosła nabity pistolet.

W szkole miała koleżankę, która miewała napady drgawkowe. Rosie pamiętała jej mroczną urodę; chodziła na lekcje baletu, tylko to jeszcze wiedziała o niej Rosie. Nigdy nie widziała u niej drgawek, ale mówiło się o tym. Czasami zasypiała na ławce. To przez fenobarbital, Rosie zrozumiała to teraz, tak musiało być. Błada, ciemnowłosa; nauczyciel budzi ją łagodnie, być może tak samo jak Rosie przestraszony, że to się może stać.

Słuchała miarowego oddechu Sam. A jeśli nie miała racji, dlaczego postępowała, jak gdyby wiedziała najlepiej? Jeśli skrzywdzi Sam, myśląc, że wie lepiej? Wsparta na łokciach w swoim łóżku, w głębokiej ciemności błagała o radę. Czy nie powinna po prostu zrealizować recepty? Nie mogła.

Miarowy oddech. Długa chwila przerwy po każdym wydechu, aż wreszcie zaczynał się wdech; Rosie wstrzymywała własny oddech, dopóki Sam nie dała znaku życia.

Spoczęła na poduszce.

Kiedyś, kiedy była w ciąży, Mike wrócił do domu i powiedział jej, że miał kiepski dzień, spędzony na rozmyślaniach o wszystkich tych okropnych sytuacjach, które mogą na

nich czekać, a które wymagać będą wiele poświęcenia i wysiłku, a przynieść mogą smutek i stratę; powiedział też, że zmagał się z tym cały dzień, pasował się jak nigdy wcześniej; i poczuł się gotowy. Ona nie postąpiła podobnie; wszystkie te możliwe sytuacje trzymała z dala od siebie i czuła do Mike'a pełen zdumienia respekt oraz wdzięczność, chociaż zastanawiała się, skąd wiedział, do czego będzie zdolny; a teraz, kiedy być może, prawdopodobnie, zapewne, nadeszła jedna z tych sytuacji, zabrakło go.

Nie chciała go tu widzieć, naprawdę: gdyby tak było, czym różniłoby się to od nawrócenia na łożu śmierci, to było poniżej jej poziomu. Ale na pewno potrzebowała kogoś. Kogoś, kogoś, kto powie, że ma rację, że postępuje właściwie, albo niewłaściwie; że jest głupia, że powinna poczekać, że nie powinna czekać. Kogoś.

- Mamusiu.

Rosie zerwała się z łóżka szybciej, niż wydawało się możliwe, i stanęła głupio naga obok łóżeczka Sam.

- Mamusiu, nie czuję się dobrze.

Znowu była rozpalona, choć nie tak bardzo jak poprzednio.

- Wszystko dobrze - powiedziała Rosie z bijącym sercem i suchymi ustami. - Wszystko dobrze.

Sam zrzuciła pościel, którą Rosie ją okryła.

- Mamusiu.

- Tak, skarbie?

- Ucho mnie boli.

- Ucho cię boli?

- W środku.

- Naprawdę?

- Mamusiu. - Sam roześmiała się, widząc jej zdumienie. - Moje ucho. - Wskazała je palcem, szybko, raz i drugi.

Piękne zapalenie ucha środkowego, powiedział doktor Bock (trochę zawstydzony, pomyślała Rosie, że ostatnim razem mu to umknęło); tak, wyjaśnia gorączkę, często można zaobserwować jej nagły wzrost towarzyszący zapaleniu ucha; więc jeśli znamy jej przyczynę, jest bardziej prawdopodobne, że drgawki były związane właśnie z nią, a nie z czymś poważniejszym.

Ale niczego wykluczyć jeszcze nie można.

A fenobarbital?

Jednak nie. Nie tym razem. Zobaczymy, co będzie.

- No i wszystko ładnie - powiedziała pielęgniarka doktora Bocka, przyklejając do ubranka Sam nalepkę z klaunem.

- Dobrze, że nie zaczęliśmy z fenobarbitalem. Z doświadczenia wiem, że jak się zacznie, to nie można ot tak odłożyć, dopóki nie minie półroczna terapia. Więc dobrze.

Poranek był rześki, zaczynał się ciepły, bezchmurny, szczęśliwy dzień, szczęśliwy. Piękne zapalenie ucha środkowego.

To jak straszliwy wypadek, którego uniknięto o włos, pomyślała: człowiek wychodzi bez szwanku, całe albo sekundy od zderzenia; a potem jedzie powoli, z przerażeniem i nową świadomością, że w każdej chwili... Potem znowu noga na gaz.

Czy powinna mówić Mike'owi?

W poniedziałek pojechała ulicą Shadow River do „Lasu”, zgodziwszy się dostarczyć Sam ojcu ten jeden raz. Mike widocznie rozpoczął nowy program naginania zasad. Co jakiś czas robił się niespokojny, a może tylko ciekawy, i próbował zmienić uzgodnienia między nimi w kwestii, kto robi co i kiedy. Rosie nie miała sił tym razem się spierać.

Nie lubiła już przyjeżdżać do „Lasu”. Musiała szukać Mike’a po długich korytarzach i wielkich salach dawnego kurortu, ciągnąć Sam za rękę, strzegąc jej przed zainteresowaniem ludzi, którzy z przyjemnością widzieli tu dziecko. Złapała go wreszcie w pomieszczeniu dla personelu.

- Sójka - powiedziała Sam.

- Nie, to dzięcioł.

Wszystkim pomieszczeniom w „Lesie” nadano nazwy leśnych zwierząt - był to relikw z czasów kurortu. Mike wrzucał do miksera przeznaczonego dla personelu składniki na coś w rodzaju koktajlu: banan, jogurt i jakiś szary proszek, który zaczerpnął łyżeczką z plastikowego pojemnika.

- Cześć, Mike.

- Kogo tu mamy!

Spojrzał na Sam, dołożył jeszcze składników, soku owocowego, miodu z pojemnika w kształcie niedźwiadka, jeszcze jedną łyżkę szarego proszku z innego pojemniczka. Sam dopominała się zawsze, by móc włączyć mikser i patrzeć, jak zawartość pieni się i bryzga.

- Chcesz spróbować?

- Tak.

Łyknęła raz. Rosie podała jej lody w papierowym kubku, wyczuwając dezaprobatę w oczach Mike’a. Dziwna sprawa. Większość samotnych matek, które znała Rosie, musiała

opierać się beztrudnej pobłażliwości w kwestiach kaprysów żywieniowych tatusiów; tatusiowie nie byli dobrzy w samokontroli - stanowiło to jeden z powodów, dla których znowu byli samotni; ale Rosie było trudniej niż Mike'owi narzucić pewne ograniczenia w kwestiach żywienia. Zabawne, że Mike, chociaż nie kontrolował żadnej innej ze swoich zachcianek, potrafił zmusić się do zjedzenia - albo odstawienia - praktycznie czegokolwiek; wszystko na opak.

- Wolę moje - powiedziała Sam, zanurzając drewniany patyczek w sztucznej słodyczy.

- A ja moje - powiedział Mike.

To właśnie tu, w Dzieńciole, Rosie powiedziała Mike'owi, że chce rozwodu. Rzuciła mu ciastkiem otrębowym w twarz, kiedy ze złośliwym uśmiechem rzucił głupią uwagę o niej i Rose Ryder, z którą sam się widywał. Stara sprawa.

- Jak tam? - spytała, stojąc ze skrzyżowanymi rękami, zamiast usiąść. - Jak badania?

- Och.

- Pytam serio. Co to za wyjątkowa rzecz?

- Nie będę tu wchodził w szczegóły.

- Nie to nie.

- Chodzi o - zaczął, obserwując Sam - leczenie, częściowo. Ile można zrobić dla samego siebie, stosując... stosując metody znane ludziom od wieków, ale nieczęsto uznawane dziś za skuteczne.

- Na przykład?

- Modlitwa. - Wciąż patrzył na pochyloną nad lodami Sam. - Lekarze od dawna wiedzą, że niektórzy ludzie potrafią pozbyć się nawet nieuleczalnych śmiertelnych schorzeń. Cuda. Każdy lekarz zna kilka takich przypadków.

- Władza umysłu nad ciałem.

- Nie tylko ciałem. Po co się tak ograniczać. Istnieją udokumentowane sposoby kształtowania osobistego uniwersum.

- Coś jak samospełniające się życzenia? - spytała Rosie. - O tym mówisz?

- No cóż. A co, jeśli mogą.

Patrzyła, jak sączy napój.

- Ludzie zwykle przestają w to wierzyć - powiedziała. - Kiedy dorastają.

- Większość ludzi - powiedział Mike.

- Mój znajomy Cliff...

- O Boże, znowu ten facet.

- Znasz go?

- Słyszałem o nim.

- Cliff twierdzi, że rzeczywistość to marzenia na smyczy fizyki.

Mike odwrócił się w jej stronę, jakby otrzymał klucz, żeby otworzyć przed nią drzwi tajemnicy.

- Ale jeśli to nie to? Jeśli fizyka to nie wszystko? A jeśli sny naprawdę są na końcu tego wszystkiego, albo na początku? Jeśli są prymarne?

- Mike, ale...

- A jeśli tak jest? Jeśli są prymarne, a my o tym nie wiemy? Czy nie byłoby straszne żyć, nie wiedząc o tym? Żyć i umrzeć nie wiedząc, że tak jest, że można osiągnąć szczęście? To byłoby piekło - zapalił się i nagle roześmiał. - To jest piekło.

Patrzyła, jak znów chowa się w sobie, odwraca z powrotem do Sam; wsparł podbródek na rękach i uśmiechnął się do niej; zachichotała.

- Co tam u ciebie tak w ogóle? - spytał.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała Rosie. - Poza taką jedną drobnostką.

- Drobnostką?

Nagle Rosie poczuła, że chce stąd wyjść, natychmiast; z tego pomieszczenia, z „Lasu”.

- Zapalenie ucha, okazało się. Teraz już jest lepiej.

Oboje dotykali Sam, Mike ramienia, Rosie włosów.

- Dostała lek, ten różowy, który pachnie jak guma balonowa. Jest w torbie. - Pochyliła się, by pocałować Sam w chłodny, lepki policzek. - Pa, skarbie. Muszę już lecieć.

Sam z jakiegoś powodu - nigdy nie było wiadomo, kiedy to nastąpi - przytuliła ją długo i łapczywie, i powiedziała, że ją kocha. Rosie wyszła szybko, czując się jak po stracie albo spowiedzi; zawsze tak się czuła, opuszczając Sam. Kiedy dotarła na parking i weszła do nagrzanego bizona, z pękatej furgonetki z dyskretnym napisem CENTRUM PSYCHOTERAPII „LAS” wysypywała się grupa młodych ludzi, podobnych do tych, którzy w zeszłym miesiącu przyjechali z Mikiem zabrać Sam, tego dnia, gdy umarł Boney.

Teraz wiedziała, kogo jej przypominają, radosne, otwarte twarze i schludne fryzury, białe koszule z krótkimi rękawami i krawaty. To były te straszne, dobre dzieciaki z Klubu Biblijnego w szkole średniej, dzieciaki w autobusie na obóz kościelny, dzieciaki wysiadające z samochodów w sobotnie popołudnie i rozbiegające się po przedmieściach, żeby stukać do drzwi, ładny dzień, prawda, czy możemy porozmawiać chwilę o czymś bardzo, bardzo ważnym.

Przekreśliła kluczyk w stacyjce, silnik ryknął. Kiedy spojrzeli w jej kierunku, odwróciła wzrok.

SZEŚĆ

Tamtego sierpnia Pierce zrobił wreszcie prawo jazdy i kupił samochód. Dzięki temu wspiał się na płaskowyż obywatelstwa i dojrzałości, oferujący poczucie szczęścia, ale i odpowiedzialności; wyobraził sobie, jak musieli czuć się młodzi, którzy przechodzili przez tę bramę dokładnie w tym samym czasie, kiedy przekraczali również inne wielkie bramy prowadzące na wyżyny wieku dojrzałego: oto twoja włócznia, twoje ostrogi, tarcza.

Inicjacja Pierce'a zatem nie tylko nastąpiła tak absurdalnie późno, ale była też niezwykła na inny sposób, jako że przeprowadziły go przez nią prawie same kobiety. Kobiety podwoziły go tu i tam w czasie jego okresu próbnego (tymczasowe prawo jazdy zdążyło się już pogiąć i zetrzeć w jego kieszeni); kobiety nauczyły go podstaw, pozwalały mu przejmować kierownicę pod ich czujnym okiem. Prowadził kombi Rosie, garbusa Val i rodzinnego sedana Beau, z tą czy inną kobietą mieszkającą w domu obok, które wciskały nieistniejący hamulec z onomatopeicznym piskiem, gdy Pierce niezgrabnie usiłował wziąć zakręt. Wgniółł karoserię bizona przy wjeździe do Arkadii, pomyliwszy pedał gazu z hamulcem.

- O rany - powiedziała Rosie. - Zapomniałam już, że to w ogóle możliwe.

Kobiety prowadziły go też w trakcie całego procesu zdobywania prawa jazdy. Rose Ryder siedziała za nim, trzymając kciuki, podczas gdy obojętny policjant poddawał go próbie. Oczywiście zdał, założył krawat, stał się mężczyzną i obywatelem, jakże mógłby nie potrafić prowadzić samochodu? A jednak ledwo udało mu się zawrócić na trzy i podskoczył, ścinając krawężnik, przy wjeździe na parking urzędu.

Potem przyszedł czas na kupno własnego pierwszego samochodu, i to kobieta mu go zaoferowała, sąsiadka z naprzeciwka o ostrych rysach twarzy, której łańcuszek przy okularach zwisał wzdłuż policzków niczym kolczuga. To był steed, prosty, solidny samochód dla wdów i księży, w dwóch odcieniach delikatnej zieleni, szaławii i selera, z wygodnymi siedzeniami i wielką jak w autobusie kierownicą w kolorze agatu. Jej synowie (nie omieszkała dodać) kupili jej coś dużo lepszego. Przeglądał gazety, mógł wybrać małą, jaskrawozieloną piranię, przypominającą samochodzik elektryczny, albo eleganckiego, nisko zawieszzonego czarnego myrmidona, choć nie pierwszej już młodości i astmatycznego. Zdecydował się na steeda po tym, jak Spofford (jedyne męski doradca w tej sprawie) zajrzał pod maskę. Po raz pierwszy

od czasu dzieciństwa, starego remingtona. 22, pierwszego zestawu do szachów, poczuł się tak majątny.

Wkraczał z nim w system znaków, który przedtem dla niego nie istniał, a który teraz pojawił się przed nim - przewodnik i zagadka zarazem. Jak mógł wcześniej nie widzieć stojącego przy każdym zakręcie żółtego rombu z czarną strzałką wskazującą kierunek skrętu i oznaczeniem odpowiedniej prędkości? Prowadzony znakami, skręcał to w prawo, to w lewo, jak gdyby dokonywał nie lada wyczynu. Inni kierowcy, prawdziwi kierowcy, jak o nich myślał, wydawali się potrzebować mniej pomocy; czuł ich zawsze za sobą, niecierpliwych, spieszących gdzieś.

- Chyba się trochę ślimaczysz - powiedziała Rose. - Robi się za tobą kolejka.

- Jadę z największą dozwoloną prędkością - odparł. - To nie może być ślimaczenie się.

- Och, dozwolona prędkość. Wiesz, tak naprawdę to tylko sugestia.

Nie chciał jechać jej małym aspem, w którym siedzieli pokurczeni, z tyłkami ledwie kilka cali nad drogą (widział tę odległość oczyma wyobraźni), oddzieleni tajemnicą dźwigni zmiany biegów. Tajemnica: miał na myśli dawne, szczególne znaczenie tego słowa, sekrety branży czy przedsiębiorstwa, gramatykę sztuki, ukrywane przed nienależącymi do cechu. Dla Pierce'a i kilku innych, a może tylko dla niego, pomyślał, samochody i ich prowadzenie były kobiecą tajemnicą.

- Łatwizna - powiedziała Rose z dłonią na włączniku świateł hamowania niczym na maleńkiej, drżącej hermie. - Masz dużo więcej kontroli i dobrej zabawy. I nie przejmuj się, jeśli na początku coś ci nie wyjdzie. Po jakimś czasie będziesz to robił odruchowo.

Nawet gdy Pierce prowadził (rzadko na drogach szerszych niż dwupasmówki, nigdy do miasta), jego samochód emanował większymi możliwościami; kierowca opuszczał szyby, wyszukiwał radiostację, która puszczała muzykę z okresu świetności steeda, i wystawiał łokieć za okno, na słońce, prowadząc śmiało jedną ręką. Tylko czasem nachodził go jakiś dziwny strach, że powinien siedzieć w samochodzie sam, na miejscu kierowcy, biorąc pełną odpowiedzialność.

Przez górę, z miasta, wzdłuż rzeki, we wrześniu; gorąca plastikowa tapicerka w szkocką kratę, chłodne powietrze wpadające bez przeszkód przez cztery duże okna.

- Sprawdź jeszcze raz - poprosił siedzącą obok Rose.

- Littleville - powiedziała, nie konsultując się z kartką leżącą na jej kolanach. - Pierwsza w lewo za stacją benzynową. Jeszcze kawałek.

Prowadzenie nie miało wpływu na zmysł orientacji Pierce'a, czy też raczej jego brak. Zbiegło się natomiast z kryzysem, jaki jedynie nowoczesne środki transportu mogły

rozwiązać; Pierce musiał znaleźć sobie nowe lokum.

- Miej oczy szeroko otwarte - powiedział.

- Aj. Nie cierpię tego określenia.

Właściciel budynku w Blackbury Jams, gdzie mieszkał, postanowił przekształcić go w kawiarnię i sklep z rękodziełem. Wkrótce, przypuszczał Pierce, nikt już tam nie będzie mieszkał, zostaną same fasady, wszystko w środku będzie na sprzedaż. Za miesiąc musiał być gdzie indziej a nie znalazł w mieście nic odpowiedniego. Jedno wstrętne mieszkanie, wyłożone plastikową pseudososnową boazerią, nad cuchnącą kuchnią Pączkowej Dziurki. Idealne, żeby strzelić sobie w łeb, powiedział wtedy do Rose. Więc może lepiej poszukać czegoś poza miastem, odpowiedziała, a Rosie doradziła to samo. Skoro ma już samochód, może mieszkać gdziekolwiek.

- Pierwsza w lewo - powiedział Pierce, skracając.

- Pierce, to jest w prawo.

- Och, racja.

Miewał takie sny, o Szukaniu Mieszkania, w których przenosił się do miejsc bardziej lub mniej odpowiednich: sny wypełnione naraz poczuciem osiedlania się i zaczynania. Nowe mieszkanie (zmieniające kształt i charakter, gdy w nim mieszkał) zawsze okazywało się mieć jakieś osobliwe właściwości: darmowe i wystawne posiłki, coś obrzydliwego w szufladzie, tuziny wolno stojących klozetów.

- Tam - powiedziała Rose. - Littleville, pierwsza w lewo.

Littleville leżało kilka mil na północ od Jams, nad Blackbury; było to miasteczko w zasadzie bez wyraźnego centrum z wyjątkiem poczty, zbudowanej nietypowo ze zlepieńca, i kościoła baptystycznego jakby żywcem wyjętego z makiety kolejki. Domek, który Pierce znalazł w ogłoszeniu w „Kurierze Faraway”, zdawał się należeć do większego osiedla. O, chyba tego. Pierce ostrożnie wjechał między dwa kamienne słupki podobne do tych, które stały u wjazdu do Arkadii.

- Wow - powiedziała Rose.

Droga prowadziła pod górę, między polami nieskoszonych traw, wysokich i ciężkich jak zboże, do dużego, otynkowanego na cytrynowo domu, emanującego łagodnością: zaokrąglony okap dachu, zagipsowane kominy, zdobione łukowate okna.

- A to co?

- Winterhalter. - Rose odczytała nazwisko z tabliczki w kształcie dwóch symetrycznych terierów. Pierce zaparkował obok złotego, wielkiego jak jacht sedana, po czym skierowali się do najbliższych drzwi, które, gdy się zbliżyli, otworzyły się; stanął w

nich starszy mężczyzna, dużo niższy od nich, ze srebrnym pistoletem w dłoni. Nie, po chwili broń zamieniła się w odłączoną od reszty dyszę węża ogrodowego w kształcie pistoletu.

- Tak - powiedział. - Wciąż aktualne. Wejdźcie na chwilę.

Poszli za nim. Położył dyszę na grzejniku tuż za drzwiami (później Pierce pomyśli o niej, że to był znak prób, przez jakie miał przejść, a jakie już wtedy nań czekały: ale do tego czasu niewiele będzie rzeczy, których nie uzna za znak; jego umysł nie mógł od nich uciec). Weszli do dużej kuchni o kwaśnym zapachu.

Pan Winterhalter mówił w liczbie mnogiej, więc niewątpliwie była też gdzieś pani Winterhalter, która korzystała z tych niezliczonych garnków i patelni wiszących na haczykach, drewnianych utensyliów wystających z waz.

- Nie bierzemy dużo - powiedział. - Jest ku temu powód. W zimie jeździmy na Florydę. Komu potrzebny ten chłód. Jest parę spraw, których trzeba dopilnować, nic wielkiego, ale chcemy wiedzieć, że ktoś jest w pobliżu.

Otworzył drzwiczki kredensu. Z przyklejonych do nich haczyków zwieszały się pęki kluczy. Pan Winterhalter wybrał kółko ze starym kluczem uniwersalnym i miedzianym Yale.

- Będziemy potrzebowali referencji.

- Oczywiście.

- Proszę tędy.

Wyprowadził ich kuchennymi drzwiami na zewnątrz, do samochodu, obok którego zaparkował Pierce.

- Na dwoje jest trochę mały - powiedział, zatrzymując się i odwracając do nich.

- Och, ja nie... - rzuciła Rose.

- Towarzyszka podróży - wyjaśnił Pierce.

Winterhalter przez chwilę przyglądał im się badawczo, może z przyganą; ale był to prawdopodobnie wydłużony czas reakcji, informacja potrzebowała czasu na przetoczenie się wiekowymi kanałami do świadomości.

Zaprosił ich do samochodu i usiadł za kierownicą: był jednym z tych staruszków, których Pierce widywał na drodze, zatopionych w swoich gigantycznych pojazdach, z głowami ledwo wystającymi ponad deskę rozdzielczą, posuwających się w dinozaurowym tempie.

- Trzeba wyjaśnić parę rzeczy - powiedział.

Jechali tą samą drogą, którą tu przybyli, potem skręcili w lewo, w skromniejszą dróżkę pośród łąk, wiodącą w kierunku szpaleru drzew.

- Jesteśmy chyba bardzo blisko rzeki - powiedziała Rose.

- O, tak.

Pan Winterhalter zatrzymał się przed niskim, małym domem, otynkowanym na ten sam żółty kolor co dom główny, położonym na tle ciemnych drzew; najwyraźniej niegdyś mieszkała tu służba. Pierce wysiadł.

Znał to miejsce.

- Posłuchaj - powiedziała stojąca przy nim Rose. Rzeka bulgotała i pluskała w pobliżu. Można ją było dostrzec między drzewami i wybujałymi nadbrzeżnymi zaroślami. Pierce odwrócił się, by spojrzeć znów ponad nachylonymi trawnikami; nad przerośniętymi liliami widać było kominy i dachy domu. Po drugiej stronie, wiedział o tym, znajdowała się oszklona weranda; a między sosnami biegła ścieżka do brzegu - brzegu, gdzie kiedyś przywiązał łódź. Dobry Boże.

Pan Winterhalter, namęczywszy się z zamkiem, obrócił klucz uniwersalny i otworzył drzwi.

- W zeszłym roku nikogo tu nie było, więc jest troszkę...

Przepuścił ich do środka gestem szponiastej dłoni.

Odwrócenie sytuacji - dzień zamiast nocy, zaproszenie zamiast włamania - wzmocniło tylko wspomnienia wejścia tutaj, spoglądania nad nocnym trawnikiem na ten wielki dom. W środku tamtej nocy światło księżyca kładło się rombami na podłodze; teraz zastąpiło je światło słoneczne. Pierce spojrział na Rose, która także stała jak skamieniała, rozchylając usta, a w oczach mając wyraz jednoczesnego patrzenia na otoczenie i na coś w jej własnym umyśle: ale ona zwykle tak wyglądała, a żadnym znakiem nie potwierdziła swego współdziałania. Czy wciąż nie pamiętała?

- Salon - powiedział przewodnik. - Może pan korzystać z tych mebli.

Zwinięty dywan w rogu, oparty o ścianę niczym trup. Akurat tutaj.

- Kuchnia.

- Tak.

- Gotuje pan? Mój brat jest kucharzem. Pokój jadalny.

- Tak. Gotuję. Czasami.

Pod różnymi względami było to ponure i przygnębiające miejscątko, na dodatek niewygodne. Łazienka znajdowała się za pokojem jadalnym; Rose poszła w jej kierunku, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Teraz otwarła drzwi po drugiej stronie łazienki.

- O, patrz - powiedziała. - Tajemnica.

W tamtej epoce - to staje się jasne dopiero, gdy się patrzy wstecz, z przyszłości, kiedy nic nie jest już takie samo, kiedy tylko w snach i nagłych olśnieniach można przypomnieć

sobie, jak było - w tamtej epoce konsekwencje, zamiast tkwić domyślnie i potencjalnie w czynach, mogły niekiedy dyktować okoliczności, które wytworzyłyby tylko je i żadne inne, niczym w intrydze starej farsy. Letniej nocy w zeszłym roku, zanim jeszcze Pierce przeniósł się z miasta na wieś, razem z Rose płynęli rzeką skąpaną w blasku księżyca i oboje myśleli, że druga osoba jest kimś innym. To samo robili teraz. Przycumowali wtedy łódkę do przystani i włamali się do tego domku, trochę to im zajęło, i rozpoczęli wyprawę badawczą, wdychając woń myszy i kulek na mole, wpadając na meble. Wreszcie dotarli do tej dziwnej sypialni, dokąd wejść można było tylko przez drzwi w ścianie łazienki. Tajemnica, tak jak powiedziała Rose.

- W tamtym pokoju są drzwi na zewnątrz - usłyszeli słowa Winterhaltera, który nie szedł za nimi, czy to z powodu konwenansów, czy oszczędności energii. - Powinny być zamknięte.

Było to prawie największe pomieszczenie budynku. Pierce objął Rose ramieniem i pociągnął ją do środka, poza pole widzenia.

- Pamiętasz? - szepnął, przytulając ją od tyłu.

- Ale co?

Patrzyli oboje na stary żelazny stelaż z mosiężnymi kwiatonami, wąski, pokutny, z poplamionym cienkim materacem bez przykrycia. Pierce objął Rose mocniej i podniósł sukienkę od przodu, chociaż przytrzymała ją rękami.

- Przestań - powiedział.

Jej oporne ręce zwiotczały; jego ciekawskie dłonie wsunęły się w jej majtki, ciągle ją trzymał, ustami przywarłszy do karku, gdzie czuł uderzenia pulsu.

- Pamiętasz - powiedział. - Musisz.

- Tak, tak.

- Więc wszystko w porządku! - zawołał pan Winterhalter. - Kilka spraw muszę wyjaśnić.

Pierce odwrócił się niechętnie, zostawiając Rose, by się pozbierała; z rękoma w kieszeniach wyszedł z łazienki.

- Tak?

- Woda. Proszę tu podejść. Pokażę panu. Winterhalter poprowadził Pierce'a do ostatnich, nieotwartych drzwi. Wiodły do wilgotnej, tchnącej zapachem ziemi piwnicy. W świetle otoczonej aureolą słabej żarówki pokazał Pierce'owi przysadziste urządzenie, z którego w kilku kierunkach biegły czarne plastikowe rury.

- Pompa. Woda w tym budynku pochodzi ze studni. Rozumie pan?

- Tak.

- Teraz jest wyłączona. Skoro nikt tu nie mieszka... Ale pompuje wodę ze studni i... Proszę tu spojrzeć.

Pokazał Pierce'owi, gdzie jedna z rur dochodzi do pokrytego pajęczynami okna i wychodzi na zewnątrz przez sklejkę zastępującą szybę.

- Odprowadzenie nadmiaru wody. To bardzo ważne.

Co tu robił? Skąd się tu wziął? Nie był w stanie z pełną uwagą słuchać dziwnie groźnego opisu działania pompy. Samo to, że światem rządzą pewne prawa - żelazne prawa tragicznej konieczności albo drewniane melodramatu, czy też cudaczna, niezmienna koincydencja - nie znaczy, że nie dziwi nas, kiedy sami im podlegamy.

- Pójdziemy teraz na górę - powiedział Winterhalter. - Pokażę panu resztę. Jak to wszystko działa.

Rose stała ze skrzyżowanymi ramionami w nimbie okiennego światła na szczycie schodów do piwnicy. Pierce z trudem wspiał się po drabinopodobnych stopniach.

- Na zewnątrz - powiedział stary mężczyzna. Poprowadził go pod mur domu, gdzie wskazał grunt obok kamiennych fundamentów. W żółtej trawie Pierce zauważył grubego czarnego węża do podlewania, pytona chowającego się w norze; zapewne przechodził przez ziemię i ścianę do pompy.

- Widzi pan? - spytał Winterhalter. Wskazał ledwo widoczną linię czarnej rury biegnącej przez trawę ku domowi, do lasu. - Chodźmy. Podejźmy tam.

Rose nie poszła za nimi, kiedy szli wzdłuż rurki do pożółkłego lasu po omszałych kamieniach; stary mężczyzna oddychał ciężko, ale nie zwalniał, Pierce potykał się tuż za nim. Dotarli wreszcie do pięknego małego budynku studni; pochyły dach pokryty był mchem, kamienne mury połatane betonem.

- Jak pan widzi, stąd bierze się woda.

Dłonią zaprosił Pierce'a do zajrzenia do wnętrza.

- Zimą niech leci, troszeczkę. Płynąca woda nie zamarza. To kwestia fizyki. Ale tylko troszeczkę. Jeżeli będzie lecieć zbyt szybko, opróżni zbiornik, przestanie płynąć i zamarznie w rurach. A więc ani za szybko, ani za wolno. Nauczy się pan.

Pierce zajrzał do wnętrza, poczuł zapach słodkiej wody. Bursztynowe refleksy na czarnej toni nadawały murom i drewnianemu sufitowi marmurkową fakturę. Okruch ocembrowania wpadł z pluskiem do wody. Zdawała się nie mieć dna.

Kiedy wrócili do domu, Pierce zauważył przez otwarte drzwi Rose stojącą w jadalni, jego przyszłym gabinecie; nie celebrował posiłków. Podniosła ramię, jak gdyby chcąc

dotknąć ściany, ale tego nie zrobiła; rozejrzała się po pokoju, po domu, nie tyle starając się sobie przypomnieć, ale raczej jak gdyby spodziewając się w każdej chwili, że usłyszy, co się tu z nią, z nim stanie; jeżeli się skoncentruje, usłyszy, o czym traktować będzie opowieść.

- Więc odpowiada panu - stwierdził zasapany Winterhalter.

- Tak, tak. W zasadzie tak.

- Czy to może być prawda? - zapytała Rose, kiedy odjeżdżali. Portfel Pierce'a lżejszy był o kaucję. W lusterku wstecznym wciąż widniał machający im Winterhalter, rajfur Czasu, oczywiście nieświadomy, ale i w to miał zwątpić Pierce.

- Że co niby?

- No, ta woda. Że nie zamarza, płynąc tak po ziemi.

- Mnie to przekonało - odparł. - Płynąca woda nie zamarza. - Przypomniał sobie nagle i jaskrawo, jak stał w łazience bungalowu w Kentucky zimową nocą i ustawiał stróżkę sączącą się z kranu. Płynąca woda nie zamarza.

W oknie łazienki upiorna, dzika twarz.

W tamtej epoce prawdziwe związki między rzeczami - wzory, powtórzenia, inwersje, echo - były czasami wiadome lub wyczuwane, ale tylko w niezwykłych chwilach; wpadano na nie jak gdyby w ciemności i wymacywano ciekawskimi palcami. To, co teraz jest oczywiste, wtedy było ukryte, trudne do wypowiedzenia, wypuszczane zaraz po złapaniu. Skręcili przy bramie.

- A jak sobie poradzisz ze śniegiem? - spytała.

Pierce nie odpowiedział, bo o tym nie pomyślał. Wynajmie kogoś do odśnieżania. Kupi rakiety śnieżne. Bez znaczenia. Gdyby nie to, że Winterhalter zamknął za nim drzwi i dopiero po podpisaniu umowy miał dać mu klucz, Pierce zawróciłby, zaprowadził ją do sypialni i wreszcie wziął na tym obskurnym łóżku.

- Cieszę się jednak, że jesteś nad rzeką - powiedziała. - Lubię wodę. Bardzo.

- Rose, wtedy, zeszłego lata.

Ale w tym momencie zaczął się absurdalnie bać, przestał ufać wspomnieniu, wydało mu się nagle zbyt jaskrawe, zbyt nieprawdopodobne. Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki. Rzeka nie jest ta sama. Ty nie jesteś ten sam.

- Lato ma się ku końcowi - powiedziała.

Zerwał się wiatr. Jak gdyby pchani przezeń, jechali przez tunel utworzony przez rosnące po obu stronach drogi drzewa, których zmięte, opadłe liście umykały przed nimi po asfalcie. Jezdnia była chyba nowa, bo jej głęboką czerń obramowywały czyste białe linie i

znaczyły niekończące się żółte prostokąty, a przez blady, niespokojny las wiła się z mocą i wrażeniem celu. Prowadząc swojego steeda, Pierce czuł, że to kierownica kieruje jego dłońmi, jak gdyby samochód sam znał drogę.

SIEDEM

Bardzo ciekawa rzecz: Kiedy Wielka Armada, którą Filip, król Hiszpanii, wysłał przeciwko Anglii, została pokonana, rzecz jasna zarówno zwycięzca, jak i pokonany przypisywali to Bogu. Pośród Anglików zaczęła podówczas krążyć opowieść, która miała się stać nieodzownym elementem triumfalnej historii brytyjskiej, opowieść o cudownym „protestanckim wietrze”, który wezbrał w ostatniej chwili i ocalił obleżoną wyspę oraz jej lud przed wyniosłymi galeonami i takimiż władkami. W kościołach od Penzance po Szkocję śpiewano *Te Deum* i *Non nobis*. Tobie, Panie, nie nam, wiktoria.

Filip zgadzał się, że zwycięstwo nie było zasługą ludzkiego oręża ani okrętów, chociaż zupełnie inaczej sądził o tym, czego Bóg pragnął przy tym wydarzeniu.

- Wysłałem ich, by walczyli przeciwko ludziom, a nie przeciwko wiatrowi. - Te słynne słowa miał wygłosić, usłyszawszy o klęsce.

Ciekawe, że najprawdopodobniej nie było żadnego wiatru. Wiele hiszpańskich okrętów padło ofiarą sztormów u wybrzeży Irlandii, a ci, co przeżyli, trafili do tamtejszych legend. Ale wydarzyło się to dopiero w trakcie długiej i pełnej goryczy podróży do ojczyzny już po bitwie, po klęsce. W tych czerwcowych dniach, kiedy rozgrywała się wielka bitwa, wiatry były łagodne i sprzyjały raczej Hiszpanom. W wieściach, wysyłanych z pokładów przez obie strony podczas starcia, nie wspomina się o żadnym wielkim wietrze przynoszącym ocalenie czy zniszczenie. Cóż tu rzec.

Być może istotnie był wiatr, który w jakiś sposób nie zostawił po sobie śladu w pierwszych źródłach z epoki. Ponieważ gdyby wiatru nie było, czy Anglicy nie woleliby przyznać zasługi sobie, przy udziale (oczywiście) Boga? Skoro nie było wiatru, to czemu Filip miałby go wymyślać, obarczając Boga winą za klęskę floty, która miała przecież żeglować pod boskim patronatem? A być może naprawdę nie było żadnego wiatru - dopóki niesamowita szczęśna siła, którą przydali mu komentatorzy, nie wzbudziła go z opóźnieniem. Dopiero kiedy mit potężnego wiatru (twórcy nowego Imperium Brytyjskiego, niszczyciela hiszpańskiej hegemonii nad dawną historią świata) nabrał mocy pod piórami historyków, zaczął wiać wstecz z czasów późniejszych ku wcześniejszym, gdzie królowie, papieże i ambasadorzy mogą go odczuć, chociaż nie czuli go żeglarze ani okręty.

W cesarskim mieście Pradze panował zastój przez cały maj, kiedy hiszpańskie statki manewrowały na morzach, a księżę Parmy przygotowywał desant i musztrował wojska inwazyjne. Miasto wydawało się oczom cesarza piękniejsze niż kiedykolwiek, ciepła barwa kamieni, dachy czerwone niczym klejnoty, wszystko przejrzyste pod błękitną kopułą nieba, powietrze tak nośne, że śmiech, śmiech szczęśliwych obywateli, płynął z ulic poniżej aż na jego Hradczany.

Był to rok, w którym jego imperium miało upaść albo zmienić się nie do poznania. Przepowiednie sprzed stu lat, których korzenie sięgały jeszcze głębiej w czas, były jasne, tyle tylko, że mroczne - jak to siłą rzeczy musi cechować przepowiednię, która opisuje nieforemne jeszcze niedźwiedziątka czasu.

Cesarz (któremu horoskopy stawiał Nostradamus) uważał większość przepowiedni za być może prawdziwe, ale bezużytecznie niejasne: tak niejasne jak świat, którego przyszłość chciały przewidywać. Jedyna pewność leżała w liczbach, co do manipulacji którymi każdy rozumny człowiek mógł się zgodzić, ale protestanci w służbie cesarza przeczesał pod tym względem Księgę Objawienia, Księgę Daniela, Izajasza i niektóre księgi równie święte, lecz bez kanonicznej pozycji, których manuskrypty trzymano w cesarskich szkatułach na skarby. Obliczenia nabierały kształtów niczym szron osadzający się na szybach. Liczby w Piśmie Świętym wskazywały na epoki następujące po sobie od początku czasu, każda formująca się kolejno jak kropla w klepsydrze, rosnąca, by w końcu brzemienią własną pełnością opaść i pozwolić innej się tworzyć. Według tych gromadzących się i niepodważalnych liczb przedostatnia epoka w tej serii od stworzenia świata do jego końca zakończyła się w 1518 roku, gdy Marcin Luter sprzeciwił się papieżowi, a cały świat chrześcijański odczuł wstrząs. Od tej chwili do dnia Sądu Ostatecznego, kiedy otwarta zostanie siódma pieczęć i wzleci Smok, pozostawało dziesięciokroć po siedem lat. Cesarzowi zaproponowano podliczenie liczb osobiście, ale nie było takiej potrzeby. Sprawa była ewidentna. Piętnastokroć po sto i osiemnaście plus dziesięciokroć po lat siedem sięgało prosto w jego przejrzyste popołudnie - czysta, okrągła kropla, zbyt wielka, by dłużej się utrzymać.

Byli też mnisi kapucyńscy z własnymi przepowiedniami, którzy także składali cesarzowi tajne raporty, lecz nie wtedy, kiedy przemycano protestanckich uczonych.

Kapucyni (a raczej pewna sekta w ich obrębie, której członkowie znani byli tylko samym sobie) od ponad stu lat oddawali się medytacjom nad objawieniem opata Joachima da Fiore. Joachim już dawno ustalił, że wszechświat stworzony przez Boga dzielił się na trzy, jak sam Bóg: pierwsza epoka to epoka Ojca, a Prawo było prawem proroków, oko za oko, ząb za ząb; epoka druga, epoka Syna, która zaczęła się, gdy Chrystus umarł za nasze grzechy, a

zasłona w świątyni rozdarła się, rządzona była przez Kościół i Prawo Miłości. Na końcu miała przyjść epoka Ducha Świętego, kiedy Kościół Chrystusowy odejdzie już niepotrzebny; Rudolf pomyślał, że to piękna wizja; wtedy nie będzie już prawa, nastąpi Wieczny Pokój, aż gwiazdy spadną ze swych sfer i Bóg zamknie świat na dobre.

Kiedyż miałyby nadejść ta epoka?

Pośród zwolenników Joachima byli tacy, którzy już żyli w trzeciej epoce, którzy w głębi serca opuścili przestarzały Kościół oraz puste sakramenty i żyli wewnątrz wolni. Tak słyszał cesarz. Wolni.

Spowiednik oskarżył go o dawanie posłuchu heretykom, ale cesarz odpowiedział, że heretycy potrafią liczyć równie sprawnie jak dobrzy katolicy, a prawdy Pisma Świętego przeczytać może każdy, choćby miał je źle interpretować. Nie dodał, choć doskonale pamiętał, jak jego szanowany ojciec Maksymilian powiedział raz, zanim jeszcze świat chrześcijański rozpadł się na dwoje, że wszyscy ludzie dostąpić mogą zbawienia po swojemu, Turków może zbawić ich prorok, a i dzikusów Nowego Świata mogą zbawić ich święci, tak jak nas Chrystus. Nawet istoty powietrza i inne byty mogły, jak sądził cesarz, zostać zbawione w obrębie własnej religii, jakakolwiek była.

Nie: nie zostaną zbawione, należały do tego szczęśliwego, pośredniego rodzaju, który nie będzie ani zbawiony, ani potępiony, ponieważ nie będzie w ogóle sądzony. W oczach cesarza załśniły łzy.

Pomieszczenie na wieży, z okien którego cesarz wyglądał na miasto, było zarazem gabinetem, pracownią i azylem. To tutaj z pomocnikami (trzema mnichami i ogolonym nowicjuszem, który cierpliwie patrzył na kontemplującego cesarza) konstruował i przerabiał zegary, szlifował soczewki i studiował katoptrykę, całą noc mierzył ruch gwiazd. Tu cesarz malował; jego dziadek Karol zaskoczył kiedyś swych dworzan, pochylając się, by podnieść pędzel upuszczony przez Tycjana, ale Rudolf sam nauczył się malarstwa i bez wytchnienia (oraz efektów, wiedział o tym) pracował nad płótnami.

Jak wszyscy Habsburgowie, uwielbiał zegary; Karol spędził starość w górach Hiszpanii, próbując zsynchronizować z sobą bicie wszystkich swoich zegarów, ale nie wierzył w czas, który odmierzały.

Czas (cesarz nigdy nie musiał na to wpadać, odnalazł w sobie ten koncept już gotowy, zawsze czuł, że tak jest) był niczym kręgi na wodzie wywołane rzuconym kamieniem, słowo boże wypowiedziane na początku świata; różnica polegała na tym, że każdy wzbudzony moment nie był coraz mniejszy i nie zawierał się w swoich poprzednikach, jak kręgi na wodzie, ale był większy niż wszystkie te, które go poprzedzały, i zawierał je wszystkie bez

wyjątku. Czas nie znał ruchu, tylko zawartość; pod słońcem nie było nic nowego, ponieważ wszystko zawierało się w obrębie pierwszego kręgu.

Dlatego właśnie astronomowie potrafili poznać przyszłość w wiecznie rosnących kręgach, które zataczały gwiazdy i planety.

Astronom Regiomontanus prawie sto pięćdziesiąt lat wcześniej przewidział ten okropny rok (*Octogesimus octavus mirabilis annus*, 88, rok cudów) i wyliczył każdą katastrofę, każdy zły wpływ astralny (koniunkcję Saturna, Jowisza i Marsa - właśnie teraz, tego dnia - w zimnym domu Księżycy) i spisał wszystkie konsekwencje: *Nawet jeśli wszelkie lądy i morza nie obrócą się w perzynę, to świat będzie wił się z bólu, imperia upadną, a wszędzie podniesie się wielki lament.* Żaden astronom ani doktor, z którym cesarz rozmawiał, a w tym mieście było ich wielu, nie potrafił rozjaśnić tego obrazu.

A teraz ten angielski doktor staje przed nim, wzywa go do usłuchania aniołów i pokuty. Nie zamierzał pokutować, bo nie mógł uwierzyć, że zgrzeszył. *Annus mirabilis* był już blisko. Cały świat o tym wiedział. Reformatorzy zacierali ręce ze wstrętnej radości, oczekując upadku Bestii i Nierządniczy; Jezuita wysuwali z zadowolenia ogolone szczęki, spodziewając się, że anielskie zastępy dołączą do ich armii. W międzyczasie czarowano na potęgę, dochodziło do cudów, a wilki porywały dzieci z wiejskich ulic.

Czy zastanawiali się, dlaczego opuścił salę audiencyjną, odmawiał wyjścia do ludzi, dzielił czas między komnatę a wieżę? Niech się zastanawiają.

Królowa Anglii ścięła królową Szkocji, straszna zbrodnia, której (jak mu powiedziano) od razu pożałowała, płacząc i rozdzierając szaty, tak jak trzeba; tych, którzy jej dokonali, wtrąciła do więzienia (Rudolf oczyma wyobraźni widział wysokiego mężczyznę odzianego w czerni). Nie ocaliło jej to jednak przed konsekwencjami. W pałacu Rudolfa ambasador hiszpański, nuncjusz papieski i pomniejsi emisariusze siedzieli w oczekiwaniu bądź wałęsali się znudzeni i poirytowani po bibliotekach, skarbcach i innych pomieszczeniach; czekali całymi tygodniami na przekazanie cesarzowi wieści, którą już znał: że floty jego wujka Filipa hiszpańskiego wypłynęły w morze, że Anglicy wnet zostaną podbici, że (z tego, co wiedział) królowa Anglii już nie żyła, a szubienice i stosy zbierały żniwo, swąd heretyckich ciał unosił się ku nozdrzom zadowolonego Boga. Anglia była daleko; wszystko mogło się tam dziać.

Widywał autodafe w Valladolid i Sewilli, kiedy jako chłopiec dorastał na hiszpańskim dworze. Pamiętał ten swąd. W tamtych latach był pobożny, nieomal świątobliwy, choć nie wyjątkowy pośród świętych na tym dworze; codziennie uczestniczył we mszy, służył do ołtarza w ubogiej komży i przystępował do komunii. Podobało mu się podówczas, że rok liturgiczny stanowi model albo symbol życia Chrystusa: zima to wcielenie, wiosna

odkupienie; w lecie Duch Święty nawiedzał Kościół w dzień Pięćdziesiątnicy, a dzień św. Jana i jesień odwoływały się do rozwoju i triumfu Kościoła. Tak samo było z dniami tygodnia: w poniedziałek Chrystus przyszedł na świat, we wtorek nabył mądrości, w środę chrzczył, w czwartek nauczał i leczył, w piątek cierpiał i umarł, w sobotę zstąpił do piekieł, a w niedzielę w cudzie rozmnożenia chleba zmartwychwstał.

Ale i każda msza była tym samym cudem w mniejszej skali: Chrystus wcielał się w niezwyklej teurgii przeistoczenia, uświęcony jedzeniem i przelykaniem, przenoszony do mrocznego i cuchnącego grobowca wnętrzości, aby zmartwychwstać w chwale w odnowionym sercu.

Każda msza (pojął to z radością wiele lat temu w srogich górach Asturii) przedstawiała całą historię świata, nie w obrazkach i nie odtworzoną, w samej jej istocie dokładnie ten sam cud powtarzał się codziennie w kościołach całego świata chrześcijańskiego: stworzenie, upadek, wcielenie, męka, zmartwychwstanie. Czyny. Koniec świata.

Każda tworząca się chwila zawiera w sobie każdą dawniejszą chwilę, zawiera je wszystkie, zarazem zawierając się w kolejnej, która dopiero powstanie. Cesarz Rudolf wsparł potężną szczękę na dłoni, a łokieć na ciepłym kamiennym parapecie okna wieży. Od miesięcy nie przyjmował ciała Chrystusa.

Wyniosła komnata był niczym orle gniazdo; mógł spoglądać na olbrzymi dysk ziemi i sklepienie nieba niczym na talerz z przykrywką. Choć widział doskonale, że ziemia i niebo nie są jak talerz z pokrywką. A co to?

Wzrok cesarza pomknął na wschód, gdzie nisko nad horyzontem wezbrała biała chmura.

Zacisnął dłonie na kamiennej balustradzie i wpatrzył się we wschodnie rubieże. Co się tam działo? Zawrócił do zagraconego pomieszczenia i mruczając coś do siebie, zaczął przeszukiwać zbiory papierów, zegarowych mechanizmów, alembików i retort, rękawic ochronnych, nieoszlifowanych kamieni, narzędzi złotniczych, astrolabiów i lasek Jakuba, a pomocnicy pierzchali przed nim.

Perspiciel. Odkryli go dlań mnisi. Niedawno skonstruował go niezrównany Cornelius Drebbel. We Flandrii (również należącej do jego imperium, choć tam mieli inne zdanie) umiejętni szlifierze soczewek próbowali ze zwykłymi soczewkami, rurkami i lusterkami uczynić to co Drebbel; byli ludzie, którzy zapłaciliby fortunę za ten sekret, ale cesarz ubiegł ich, by zatrzymać Perspicil tylko dla siebie.

Kazał zanieść przyrząd pod okno. Długą mosiężną tuleję pokrywały sceny z historii wzroku: stuoki Argus, Narcyz patrzący w wodę, Mojżesz spoglądający ze szczytu na Ziemię

Obiecaną. Pomocnik ustawił sprzęt, narzucił na głowę cesarza aksamitną chustę. Rudolf przybliżył oko do apertury.

Tam. W kierunku Trzebonia, gdzie leżała posiadłość Petra Voka Rožmberka, potężnego i dumnego poddanego; tam teraz przebywali Anglik Dee i Szkot Kelley. Cesarz manipulował teleskopem, ale nie mógł dojrzeć samego domu. Co im chodziło po głowie? Wydawało się, że nieopodal podniosła się letnia burza pyłowa, jednak dużo większa niż przydrożne kłęby kurzu. Nie dość duża, by dać się odczuć tu, na górze, ale rosnąca na oczach cesarza. Do wieczora wschodnie niebo pociemniało od chmury, a cesarz poczuł wiatr na policzkach.

Tej nocy w wiosce, w odległych górach Bohemii, młodzieńca po raz pierwszy przyzwał zew, naglący głos z uliczki pod oknem.

Wstał z łóżka i stwierdził, że jest w swojej innej postaci, tej samej co stara postać, która patrzyła nań z dołu. Jednym susem z okna spadł na ulicę. Nikt nie widział jego odejścia; musiał dopilnować, by nikt nie widział także powrotu. Ruszyli razem ulicą.

Był wtedy jeszcze prawie chłopcem; wcześniej nigdy nie odbył takiej podróży i wiedział o niej tylko to, co stary biegnący obok powiedział mu w mroku stajni jeszcze za dnia, kiedy przybierał ludzką postać, a nie tę, którą miał teraz. Odkrywszy, że chłopiec jest taki jak on oraz pełen strachu, wstępu i konfuzji, przybrał rolę jego mistrza. Wyjaśnił mu dziwny los, do którego wypełnienia obaj się urodzili, i dzieło, jakie mieli z tego powodu wypełnić, dzieło, które stary wykonywał w Suche Dni każdej pory roku przez te wszystkie lata; i obiecał biec ramię w ramię z chłopcem, żeby mu przewodzić. Chłopiec patrzył nań: długi, falujący jeźor wystawał z posiwiałej mordy, przypominającej jego dzienną twarz; żółte oczy były wilgotne i miękkie jak zawsze. Wyglądał jak komiczna wersja samego siebie z dziennego świata.

Ulica i zamknięte domy, które mijali, skąpane były w bladym świetle, jakby iluminowało je zimne słońce, a przecież jego wzrok nie był tak dobry jak w tym drugim życiu: odległe przedmioty nie miały kształtu, a liście i mury nie przypominały kolorów, które miały w świetle księżyca - były szare jak grobowce albo gwiazdy.

Jakże szybko pędzili! Czuł w sobie wielkie serce, pompujące prężnie i bez wysiłku niczym siłacz rąbiący drwa, a grunt umykał mu spod nóg. Czuł dojrzewające zasiewy, rozczesywane nocnym wiatrem sączącym się w ich siwe uszy; czuł wielką dumę ze zboża, a zarazem brak zainteresowania nim, niezdolny przypomnieć sobie, jak sam orał i siał poletka ojca, modląc się o dobre zbiory.

Wiatr się wzmagał.

Zapytał wcześniej starego: dlaczego nie powiemy ludziom, co dla nich robimy, jak ich strzeżemy; czy wtedy nie pokochaliby nas tak, jak teraz nienawidzą? Stary uśmiechnął się na to pytanie, a chłopiec poznał odpowiedź, biegnąc teraz przez bezbarwny kraj: wiedział to w krwawym sercu, wiedział, że jest istotą brutalną i bezwzględną, która zabija bez skrępowań - istotą podobną straszliwym rycerzom w zbrojach, którzy strzegli tej krainy przed wrogami, dobrym ludziom, którym mądrzy nie wchodzili w drogę. Prawie się roześmiał.

Okrążyli chaty wieśniaków, trzymając się po zawietrznej od stajni i psów; nie nadeszła jeszcze pora napadu. Wkrótce opuścili krainę, którą znał, granice parafii; pola i drogi były mu już nieznane. Po księżycu poznał, że zdążają na północny zachód, ku lasom. Noc umykała, a zarazem trwała niezmiennie w szarym powietrzu, gwiazdozbiory nie obracały się, księżyc nie zachodził. A teraz razem z nimi byli inni; wyczuł ich dużo wcześniej, niż zobaczył, dalekie kształty skaczące przez leżące odłogiem pola na skraju lasu: wyczuwał ożywienie, podobieństwo do samego siebie, dzięki zmysłowi, którego posiadania nie był świadom. Potem znikły. A potem znów razem, coraz bliżej.

Kolejny kształt zaskoczył go, pojawiając się nagle tuż obok, wielka, ruda bestia, przed którą chłopięca dusza w jego wnętrzu się wzdrygnęła; skoczył w kierunku opiekuna - ale teraz w świetle księżyca opiekun był dokładnie tak odrażający jak on sam: doznał uniesienia.

W trójkę wbiegli na wyżynne pastwiska, gdzie pasterze wypasali latem swe stada. Przynajmniej jeden z tych pastuchów (wiedział o tym) należał do jego gatunku i bez wątplenia zmierzał z nimi tej nocy ku bitwie. Ciężki los, pomyślał: być wewnątrz tą samą istotą, przed którą trzeba strzec własnego stada, istotą wzbudzającą największy strach.

Na łące skupiło się małe stadko, chroniąc się przed chłodem pod okiem pasterza. Trójka nocnych wędrowców wypadła na nie zza targanych wiatrem drzew. Owce wyczuły ich i poruszały się jak jedno zwierzę; za chwilę już pędziły, becząc, w górę wąskiej doliny, pasterz razem z nimi, poganiając maruderów kijem. W pojedynkę nie mógł jednak upilnować ich wszystkich (jego towarzysze w ukryciu prawdopodobnie nadstawiali uszu, by usłyszeć spanikowane owce, lecz byli zbyt wystraszeni, by wyjść z szałasów w taką noc), łatwo więc było ich trójce wybrać pojedynczą owcę, odegnąć ją od pozostałych i zapędzić ku drzewom, podczas gdy stado uciekało w drugą stronę.

Kiedy zbliżali się do owcy - on, stary siwus, i wiodący ich rudzielec - pasterz obrócił się, by stawić im czoło z kijem w dłoniach i ściągniętą gniewem twarzą: widzieli, jak zagryza zęby, widzieli białka oczu. Odważny człowiek! Wyminęli go i otoczyli jagnię; przestało już uciekać i stało nieruchomo, łagodne i cierpliwe. Właśnie ten spokój sprawił, że krew w nich

zawrzała. Pasterz uciekł, potykając się. Pobłogosławili jagnię, zabili je i zjedli.

Chłopiec podniósł okrwawiony łeb, ochrzczony, obzarty; z góry patrzyła na nich biała głowa księżycy. Wtedy, gdzieś ze środka, z korzenia jego twardego członka albo z wąskiego zadu, dobył się głos, dygot, jak gdyby jego ścięgna naciągnięto i trącano, by brzmiały. W końcu wyszedł mu z gardła dźwięk, który sprawił, że jemu samemu sierść stanęła dęba, że przejął go dreszcz, czaszka mu się zatrzęsała i wibrowała pozornie bez końca. Kiedy wreszcie ucichł, opuścił łeb i ujrzał, jak starsi patrzą nań z czymś w rodzaju sympatii; z dala, zza gór i doliny, przyszła odpowiedź wilka lub wilkołaka.

Zostawili za sobą ludzkie sadyby, otoczone murami miasta i uprawne pola, mosty, wieże i drogi. Wspięli się po kościstym grzbiecie niezamieszkanego góry, z której skalnych wychodni spoglądali w dół na czarną, nieskończoną mierzwę lasu, rozciętą łukiem rzeki. Potężny wichur, w którego objęcia podążali, sięgał powyżej szczytów, do samych porwanych chmur i księżycy. Było ich teraz wielu, przybywali z daleka, dołączając do towarzyszy na szerokiej, niewidzialnej drodze prowadzącej ku bitwie. Dwaj starsi, którzy biegli obok, wymienili spojrzenia pełne zdziwienia, a może złych przeczuć? Tegoroczna bitwa będzie niewątpliwie zajadła, ponieważ tłumnie zjawiły się też czarownice, zlatując się jak wielkie ptaki nocy; wspinając się, słyszał je w wierzchołkach drzew, gdzie odpoczywały, by zaraz wrócić do przelatujących po niebie stad. W swoich szatach, pasach i workach trzymały całoroczne zbiory, dojrzewające ziarno i młode: niosły je panu, który nagrodzi je za grabież, głód, gorycz i gwałt.

Ale jak nagrodzi? - zastanawiał się. Czy one też nie muszą mieszkać z nami na ziemi, czy one też nie cierpią, gdy ziemia traci? Jaka nagroda mogła im to zrekompensować, co mogło wynagrodzić śmierć roku? Niech Bóg im wybaczy, powiedział stary: one są głodne, wiecznie głodne, i nic, co mogą zobaczyć, czego mogą dotknąć i skosztować, nie może ich zaspokoić; zawsze muszą wyobrażać sobie lepsze jedzenie, większą rozkosz, smaczniejszy sos, słodszy owoc niż te, które już znają, i to właśnie im się obiecuje, choć nigdy tego nie dostają, nigdy, ponieważ Diabeł nie ma nic do zaoferowania: tylko obietnice.

Dotarli do przełęczy prowadzącej w dół, ku ostatniej dolinie i wypalonym okolicom piekła, których kwaśny smród doleciał ich na skrzydłach wiatru; tam spoczęli. Kiedy zasiedli do narady, zrobili to jak ludzie, wyprostowani, z rękoma na kolanach, patrząc sobie w oczy. Gdyby byli ludźmi, mogliby wyjąć teraz hubkę i krzesiwo i rozpalić ogień - ale nie kochali ognia.

Rozmawiali o łowcach wilków, z cesarskimi licencjami licznie przeczesujących teraz lasy i biorących skóry, za które dobrze im płacono. Strzeżcie się, pilnujcie. Rozmawiali o

tych, o których słyszeli, istotach ich rodzaju: przynajmniej jeden był księciem cesarskiej krwi i tkwił zamknięty w praskim zamku, wyjął w najgłębszych lochach podczas Suchych Nocy.

Snuli opowieści, których świat dzienny nie znał, których nie znali oni sami, kiedy kapali się w promieniach słońca. Opowiadali (niektórzy w to wierzyli), że w noc narodzin Chrystusa wielki i straszny wilk pojawił się nieopodal Betlejem, a kiedy aniołowie ponieśli dobrą nowinę o narodzinach Dzieciątka, usłyszał ją i wilk, nie był jednak zatrwożony jak pasterze; gdy oni pozostawili stada, by odnaleźć Dziecię, wilk rzucił się na jagnięta i zjadł jedno. Potem jednak po raz pierwszy w życiu poczuł żal i nie wiedział dlaczego; zbolewały uciekł i trafił na pasterzy, którzy szli w kierunku stajenki. Podążył za nimi; ujrzał w środku matkę i dziecko; zobaczył, jak pasterze klękają i składają w darze jagnię. Wilk patrzył i czekał; kiedy wszyscy w stajence zasnęli, wkradł się do środka. Zwierzęta, wyczuwając jego obecność, zaniepokoiły się, a Dzieciątko się obudziło i uspokoiło je; swoją łagodnością przywołało wilka, który podszedł i położył pysk na sianie, błagając o odpuszczenie. Za grzechy jego i jego rodzaju Dzieciątko Jezus wyznaczyło pokutę wilkowi: on i jego potomkowie mieli odtąd wejść w świat ludzi i w świetle dnia wyglądać jak oni, tylko w pewne święte noce mieli przybywać na zew do jego armii, by walczyć w imię Baranka, i w te noce wracać do wilczej postaci. Tak żyli od tamtego dnia do teraz, nienawidzeni przez wszystkich ludzi, uznani za prawych tylko przez Jezusa.

A więc ich prawdziwa natura - natura włochata - kryła się w środku, a ludzka postać była jedynie pozorem.

Kiwali ciężkimi łbami, potakując opowieści słyszanej już tyle razy, i chętnie załkaliby, ale teraz nie potrafili. A potem jeden z nich uniósł czarny nos i pochwycił woń; jeden po drugim wstawali i (przytakiwali sobie, wystawiając jęzory) znów ruszali. Obcy we własnej ojczyźnie.

Niejawnieni; sojusznik nieznany w świetle dnia. Inny na zewnątrz, inny w środku; być na pozór nikim i niczym; być obiektem pogardy i lekceważenia, przemykać niezauważenie, a zarazem wiedzieć, że tylko od nich zależy dobro wszystkich, którzy nie mają o tym pojęcia.

Będą walczyć w ostatniej bitwie, która przyniesie nową epokę; kiedy dzieci człowieka ujdą, by schronić głowy, i krzykną górą: zawalcie się na nas, a wzgórzom: osłońcie nas. Oni tam będą; nie skryją się.

Być może w następnej epoce ukazą się w prawdziwej postaci, niekoniecznie mniej przerażający, ale sprawiedliwie honorowani; i chociaż być może niebo zamykało podwoje dla takich istot - po śmierci obróć się w proch jak zwierzęta - to jednak pośród ludzi nie będą już

musieć się kryć, żyjąc pełnią życia: co ukryte, stanie się widoczne.

Wtedy nie będą już wygnańcami; będą witać się w świetle dnia, nosić z dumą oznakę braterstwa, kiedy (w swoich nijakich ludzkich postaciach dziennych) pójdą wszyscy do ołtarza: oba gatunki, ponieważ byli prawdziwymi bohemiańczykami i utrakwistami, przyjmą *corporem utraque ganguinem*, ciało i krew.

Wiatr wciąż się wzmagał. Tej nocy przybywały z nim nie tylko wiedźmy z Bohemii, lecz także z Inflant i Moraw, jak również czerwone wiedźmy z Galicji oraz wiedźmy transylwańskich gór, uzbrojone w wiązki kopru; wiedźmy, które nigdy wcześniej nie wyprawały się daleko, teraz dawały się ponieść wielkiemu wichrowi. Każda miała własnego prześladowcę i chociaż było ich wiele, wrogowie nie ustępowali im liczbą; mknęły z nimi ochoczo ku paszczy Piekła.

Czuł się, jakby był w drodze od stu lat, jak gdyby od stu lat wiedział, jakie to uczucie. Wiedział, że wielki rudzielec, który biegł obok, z którym zabił jagnię, to przywódczyni - tropicielka, pogromczyni wiedźm, zbawicielka zboża. Chciał zostać przy niej w bitwie u kresu nocy. Zastanawiał się, czy rozpoznałby ją, gdyby się spotkali w innej postaci - długoręką, rudowłosą panią domu pochyloną nad zlewem.

Był teraz sam, niewidoczny dla innych, ale świadomy, że są wszędzie wokół. Miał w sercu niespożytą siłę, czuł, że wie, jaka będzie bitwa; widział wiedźmę, którą los nakazał mu ścigać i ukarać - sunęła na wielkich nogach po niebie ku wąwozowi Piekła: widział jej straszne, łakome oko, odwzajemniające spojrzenie.

Ruszył mroczną ścieżką przez las, którą jego bracia wytyczyli zapewne dla wygody, wędrując wielokrotnie w obie strony: jaśniała blado niczym ślad ślimaka. Kiedy sidła ustawione na ścieżce - prawdziwe sidła z żelaza, założone przez człowieka - zatrzasnęły się na jego lewej łapie, wyrzuciły go w powietrze i błyskawicznie zmiażdżyły przegub.

Wstrząśnięta dusza wróciła do ciała z krzykiem i okropną wiedzą (jak wiedza potępionej duszy w chwili śmierci), że został złapany, że jest straszliwie ranny, że nie uwolni się i że pewnie schwytają go łowcy wilków, a on umrze. Ale tym, co bolało go najbardziej, co kazało mu wić się i gryźć w beznadziejnym gniewie, była świadomość, że przez jego własną nieroztropność ominie go bitwa. Pierwsza bitwa, na którą został wezwany, być może ostatnia, bitwa, do uczestnictwa w której stworzył go Bóg: a jego zabraknie. Gryzł ziemię i skamlał. W górze wrogowie parli naprzód.

Wszystko było tak, jak gdyby Ziemia i Przyroda uznały wreszcie siłę argumentów przeciwko Kopernikowi - gdyby kula ziemską naprawdę kręciła się stale ku wschodowi, wiałby potężny

wiatr, całą sferę powietrza ruch obrotowy Ziemi pchnąłby na zachód; wiatr byłby dość silny, by wyrwać drzewa z korzeniami, strącać ludzi i zwierzęta do morza, wypychać oceany z brzegów na suchy ląd. No proszę. Roześmiał się, walcząc z wiatrem. Dlaczego ludzkie serce kocha dziką pogodę, pożary, powódzie i wiatry, chociaż niszczą pracę ludzkich rąk i zagrażają życiu?

Do wrót Pragi wciąż miał wiele mil i ta burza mogła go raczej spowolnić niż przyspieszyć. Wystarczyło spojrzeć na chmury, gęste jak smoła, czarne jak niedźwiedzie futro. Miał straszliwą i porywającą wizję, że się rozedrą, a Praga i jej zamek zostaną porwane wiatrem, roniąc w pędzie na zachód kamienie brukowe.

Czas się zatrzymać. Dotarł do gromady chat o zatrzaśniętych okiennicach, porzucony słomiany kosz szamotał się po ulicy, rozbijając o ściany. Tu nie było zajazdu. Był jednak kościół, więc Bruno, zmęczony mrużeniem piekących oczu przed pyłem, otworzył furtkę i wszedł. W środku było ciemno jak nocą, ponieważ ksiądz zamknął okiennice; płonęły świece i pochodnia z sosny smołowej, płomienie tańczyły w podmuchach. Wnętrze wypełniali mieszkańcy wioski, klęczący na podłodze, okutani w szale i płaszcze niczym czarne owce zbite w stado; od czasu do czasu wyglądała spomiędzy nich biała twarz, badając źródło dźwięku.

Msza dotarła już do konsekracji. Potem, podejrzewał Bruno, będą bić w jedyny dzwon, aby odstraszyć demony powietrza. Podniósł wzrok: dziwne, jak szczeliny w kamiennej tkance kościoła - wieża, dach - wzmacniały dźwięk, tworząc osobliwe harmonie: głos demona, jak sądzili ludzie, szukającego dusz. Ale Bruno wiedział, że jest inaczej. *Semhamaphores*, które są wiatrem, nie potrafią mówić.

„*Suscipiat Dominus sacrificium de manibus tuis*”.

Bruno ukląkł, już przyciągnąwszy wzrok: cudzoziemiec, ktoś, kogo trzeba się bać. Bez wątplenia ci ludzie wierzyli także, że wiedźmy potrafią wzbudzać wichry, wyblagać go od demona. Pewnie dobrze, że ukląkł, ponieważ o tym dniu i tym kościele wkrótce będzie się dużo mówić, ze strachem i zdumieniem, relacje dotrą aż do cesarza w Pradze i papieskiego nuncjusza, który przekaże je do Rzymu: kiedy wiejski ksiądz wymówił słowa konsekracji, przemieniając opłatek w ciało Chrystusa i unosząc je przed wiernymi, ludzie ujrzeli w jego dłoni pręgowanego kotka, który potem zmienił się w kij z drewna wiązowego, a następnie w wijącego się pstrąga; ksiądz popatrzył z obnażonymi zębami i szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc rozewrzeć palców, a pstrąg zmienił się w płonącą bryłkę węgla, pryskającą skrami, a następnie w szarego gołębia. Ludzie stojący najbliżej ołtarza słyszeli łopot skrzydeł.

Wiatr wiał tego i następnego dnia, wysyłając na zachód inwazyjną flotę czarnych chmur. Hiszpańscy kapitanowie czuli go na twarzach, tak jak człowiek czuje atak wilka za plecami, zanim jeszcze usłyszy tupot jego łap. Niebo pociemniało w niewłaściwej części. Przeżegnali się lub zaklęli szpetnie - albo i to, i to.

Ale nie wiał on jeno przez świat chrześcijański: wiał na całym świecie, czesząc ruskie trawy, zgarniając szarą pianę na Bosforze, łopocząc jedwabnymi sztandarami sułtana, gasząc lampy w Babilonie i Chinach. Wstrząsał linowymi mostami Peru, po których przenoszono dzień i noc złoto króla Hiszpanii; gryzącym pyłem zamykał oczy libijskich lwów, wzbijał tumany śniegu ze szczytów Kaukazu. W Egipcie piasek falował niczym morze, wyłaniały się głowy Sfinksów i długie ciała upadłych obelisków; na powierzchnię wychodziły schody dawno porzuconych świątyń; w sanktuarium (chroniący się tam pasterz klęczy w zdumieniu) lampki płoną na ołtarzu, oczy bóstwa są otwarte.

W Trzebonie, dzień jazdy od Pragi, gdzie zaczęło się od zaledwie niewielkiego wiru unoszącego garść suchych liści, wiatr wciąż mocno wiał, pohukiwał w wieżach zamku Rożmberków i szarpał drzewami w parku. W komnacie, wysoko na zamku, nowe szklane okna brzęczały w starych kamiennych łukach, a włóczęgowskie podmuchy podnosiły kotary i igrały z płomieniami świec. Jane, żona Johna Dee, przytuliła dzieci, Katharine i Michaela, i zaśpiewała im piosenkę. Wiej, wiej, zachodni wietrze, deszczyku, padaj. Na grubym dywanie Rowland Dee bawił się pierścieniami z ciężkiego złota, sapiencjalnego, cudownego; jeden się odtoczył i kot rzucił się za nim jak za myszą.

Na górze, w pokoju na wieży, John Dee siedział przed mroczną kryształową kulą. Patrzył w głąbię i widział coś, czego nie znał, maleńką młodą kobietę.

Spytał: czy to pierwszy wiatr, o którym nam mówiłaś, wiatr, który pogrzebie imperia?

Kiedy odpowiedziała, usłyszał ją też po raz pierwszy; słyszał tak, jak gdyby jej głos był zarazem jego głosem, czuł drzenie własnych strun głosowych, gdy mówiła.

„Szkoda. Szkoda biednej pani, Madimi, która zrobiła wszystko, czego od niej żądano, i nic więcej. Odmów nunc dimittis, ponieważ ja nie mogę zostać. Szkoda”.

Zrozumiał, że został oszukany. Dała mu wskazówki do odlania pieczęci, dzięki której można wezwać pewnych ksiąg powietrza, i zastosował się do nich, powiedział też słowa, które kazała mu powiedzieć: i wezbrał wiatr. Ale nie wywołał tego wiatru dla własnych celów, lecz tylko spowodował go; ona pochlebiała mu, nazywając go jego wiatrem, choć kierował się on celami jakich Dee nie znał, i wiał tam, gdzie chciał. Ale czy był to pierwszy wiatr przemijającego czasu, a jeśli tak, to skąd powstanie drugi, przeciwstawny?

„Chrystusie Panie, niech nie umrą na zawsze ci, którzy czcili Cię, służyli Ci i jedli

chleb Twojego zbawienia. Niech nie znikną bezpowrotnie w nocy nicości".

Dee pytał dalej.

„Czy to pierwszy wiatr? Odpowiedz".

„Przygotował miejsce dla tych, którzy porzucili drogę. Zostaną rzućeni w mrok i pogrążą się we śnie. Panie, niech śpią i nie zostaną zabici".

Dłonie Johna Dee objęły kulę. Nie zamierzał dać się jej wymknąć.

„Pani, zaklinam cię".

„Szkoda. Szkoda, jak nagie, nowo narodzone dziecię" - powiedziała z szeroko otwartymi oczyma. Zadrżała, ponieważ wiatr wiał także tam, gdzie się znajdowała. Zasłoniła swoją nagość i próbowała owinać się łopoczącą szatą, której pożądał wiatr. Dee przestał pytać. Serce przepelniało mu wzruszenie. Nie przemawiała już ani nie nauczała. Modliła się jednak nie za ludzkie dusze, ale za siebie: przerażona jak dziecko pośród nocnej burzy, jak sierota wojenna błagająca o życie bezdusznych zwycięzców, którzy jej nie słuchają.

OSIEM

Na stokach góry Whirligig wiatr targał sędziwymi drzewami w nigdy nie tkniętym toporem lesie wokół Centrum Psychoterapii „Las”. Ośrodek - zbudowany z drewna prawie stulecie temu i od tamtego czasu borykający się z niepogodą - stawiał czoło podmuchom niczym stary galeon, skrzypiąc i jęcząc, czym budził gości (nigdy pacjentów, nigdy pensjonariuszy) i ich strachy. Lina od flagi uderzała o metalowy maszt rytmicznie niczym dzwon alarmowy.

Dawno zgaszono już światła i w długich drewnianych korytarzach panowała ciemność, ale z damskiej łazienki na końcu drugiego piętra zachodniego skrzydła dobiegały odgłosy sprzeczki (głos histeryczny i piskliwy, spokojny i niski). Dźwięk pluskającej wody. Trzaśnięcie drzwiami. Szybkie klaskanie bosych stóp po korytarzu, ktoś podąża za pomrukiem na gumowych podszwach, szept - prośba albo polecenie - tupot bosych stóp na schodach. Weszła do kuchni, gdzie znalazł ją stróż; kiedy zaczęła opróżniać półki z zapasów, dużych pojemników soli i przypraw, okazałych puszek pomidorów, kukurydzy i brzoskwiń, stwierdził, że jest zbyt silna, i udawszy się po pomoc, obudził całe pierwsze piętro, waląc w drzwi rezydenta.

Ktoś się wściekł: obudzeni nasłuchiwali bacznie w łózkach. Zamieszanie w nocy nie było tutaj niczym wyjątkowym i stanowiło temat dyskusji przy śniadaniu, któż to szwendał się o drugiej w nocy. Ale to był prawdziwy przypadek psychotyczny, rzadki w „Lesie”. Zamęt przeniósł się z kuchni do wielkiego pokoju rozrywkowego, zaangażowawszy już opiekuna drugiego piętra, który znalazł ją w łazience, terapeutę, którego obudził opiekun, stróża, który znalazł ją, kiedy tamci dwaj zgubili, i rezydenta, którego z kolei on obudził - Mike'a Mucho. Nikt z nich nie był gotów obezwładnić jej siłą, ale nie udawało im się zmusić jej do wzięcia środka uspokajającego czy zastrzyku ani do powrotu do łóżka.

Skłonili ją, by usiadła na jakiś czas w strefie rozmów obok stołu bilardowego; twarz powlekała jej bladość i pot, wzrokiem przeskakiwała z jednego na drugiego, jak gdyby próbując przejrzeć, co to za stworzenia. Potem nagle uderzyła się po kolanach i wstała, czas na mnie, i próbowała wydrzeć się z ich powstrzymujących rąk (na ślepo, jakby przedzierała się przez busz), kiedy pojawił się Ray Honeybeare w gładkim szlafroku i kapciach.

Później Mike uważał to za działanie opatrności, że pośród osób obudzonych w celu poradzenia sobie z dziewczyną nie znalazł się nikt, kto trzymałby Honeybeare'a z daleka. Na

jego widok zatrzymała się, jak gdyby rozpoznała w nim człowieka, inaczej niż w przypadku pozostałych. On tylko patrzył na nią ciekawie, ze spokojem na zmiętoszonej smem twarzy.

Potem cały teatrzyk znów zmienił lokalizację i wrócił do wywróconej do góry nogami kuchni. Zrazu szła rezolutnie, potem niechętnie czy niepewnie, jak gdyby w jej wnętrzu jakaś opętańcza wola na przemian brała i traciła nad nią kontrolę; wszyscy podążali za nią, Honeybeare z rękoma w kieszeniach. Zapalały się następne światła, drzwi się otwierały, ciekawskie spojrzenia zmierzały ku schodom, by zajrzeć do kuchni.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Honeybearem.

Nie wyjmując rąk z kieszeni, wlepił w dziewczynę swoje niebieskie oczy w różowej obwódce, przypominające klejnociki porzucone w ruinie jego twarzy. Wiatr trząsał okiennicami, cedry na zewnątrz jęczały. Honeybeare odezwał się.

- Powiedz, jak się nazywasz.

Zacisnęła szczęki i podniosła głowę; oczy jej płonęły, ścięgni napięły się na karku. Stojący obok Mike Mucho czuł jej strach. Honeybeare powtórzył:

- Powiedz, jak się nazywasz.

Odpowiedziała: wyrzuciła to z ust, strumień bezsensownych dźwięków; drżała ze strachu, złości, albo i tego, i tego. Kiedy tylko Honeybeare usłyszał odpowiedź, wyciągnął ręce z kieszeni, złapał dziewczynę za kościste łokcie i patrząc nie na jej twarz, ale na piersi, powiedział niemal niesłyszalnym głosem:

- Zostawcie tę kobietę. Mówię wam. W imię Chrystusa Pana.

Czy właśnie wtedy wzmógł się wiatr? Mike Mucho tak potem twierdził. Czuł, że on sam, tak jak „Las” i Whirligig - wszystko, z czego składa się świat - rozluźnia się, wznosi i zatrzymuje w powietrzu: aby odtąd tkwić na swoich miejscach tylko siłą zgody albo rozkazu.

Po długiej chwili dziewczyna przestała się trząść. Budziła się niczym dziecko z napadu nocnych koszmarów; zdawała się krzepnąć jako własna osoba w spizarni pośród rozsypanego jedzenia, garnków i patelni, widząc wszystko to w sposób, jaki wcześniej był jej niedostępny; i zaczęła szlochać z bólu, ulgi i wstydu.

Nie pamiętacie wiatru tamtego późnego lata, we wrześniu 1977, a może 1978 roku, tej nocy, kiedy dał tak długo i tak powszechnie? Wiał nie tylko w Faraways i przez otwarte okna mieszkań Nowego Jorku i Bostonu, nie tylko nad wschodnim morzem, wzbijając fale, rozbijając łodzie na przystaniach: wiał w całym kraju, przybierając na planszach formę zawijasów pędzących przez Wielkie Równiny (prezenter pogody wskazał je entuzjastycznie Val i mamie, siedzącym na łóżku tej pierwszej z podciągniętą atlasową kołdrą i ożywionym

lasem dookoła); wiał też na drugim wybrzeżu. Julie Rosengarten wiedziała, ponieważ telefon z Big Sur obudził ją po północy, i rozmawiała o wietrze oraz o tym, co on oznacza, przez pewien czas, prawie słysząc śpiew kontynentalnych linii telefonicznych, tak jak w muszli słyszać fale. Została sama, kiedy rozmówca wreszcie zakończył rozmowę, napozdrawiawszy się z daleka. Syrena wyła w tunelach rezonansowych ulic, a koty podkładały się ku jej podniesionym kolanom; wzięła telefon, powtórzyła na głos numer i zadzwoniła do Beau Brachmana w Faraway Hills.

Beau nie miał telefonu w mieszkaniu, ale kobieta z parteru, która odebrała, wiedziała, że nie śpi; nie spał nikt w całym domu, dzieci płakały, ludzie przechodzili z pomieszczenia do pomieszczenia, zamykając okna. Poszła po Beau na górę. Julie czekała, słuchając odgłosów odległego, przebudzonego domu.

- Halo.

- Beau! - Przycisnęła słuchawkę do ucha. - Co to jest? Co to jest?

- Nie wiem. Czasami silny wiatr to po prostu silny wiatr.

- Rozmawiałam z Leo. Z Kalifornii. Tam też to odczuli. Hilary powiedziała, że pękł jej bursztyń. Trzymała go wczoraj w ręce i po prostu pękł. - Czekala na odpowiedź. - Beau?

- Słucham, Julie.

- Boję się.

- Nie można bać się zmiany - powiedział łagodnie.

- Można. Ja się boję. Zawsze.

- Gdyby nie było zmiany...

- Nie mówię, że nie chcę zmiany ani że się jej sprzeciwiam. Nie sprzeciwiam się. Tylko... - Podniosła wzrok i ujrzała przez drzwi kuchenną ścianę z kalendarzem, wyraźnie widocznym w plamie ulicznego światła, który właśnie w tej chwili zatrzepotał dziko i zachybotał na gwoździu. - Beau, pomyślałam, że mógłbyś powiedzieć dla mnie to słowo. Wiesz.

- Możesz sama je sobie powiedzieć. Wtedy działa jeszcze lepiej.

- Nie potrafię. Nigdy nie mogę go zapamiętać. A kiedy ty je mówisz...

- W porządku. Ale to także twoje słowo. Dla ciebie.

- Tak.

Czekała, a Beau zbierał się w sobie. Potem usłyszała niewyraźne i złożone słowo, nigdy nie mogła go zapamiętać, dopóki nie padło, ale kiedy wreszcie je słyszała, wchodziło w nią jak ulubione wino. Pozwoliła mu się ogrzać od środka. Powtórzyła je dla niego, dla własnego serca. Kiedy podziałało, mogła pozwolić wichrowi unieść się tam, gdzie zamiast

trzymać się kurczowo gałęzi, mogła pożeglować.

- Beau, martwię się o Pierce'a.

- Aha.

- Widujesz się z nim, powiedziałaś mu kiedyś... - Po drugiej stronie panowało milczenie, zasłuchana cisza; to Julie była tu od mówienia, nie Beau. - On myśli, że jest taki silny. Taki niezłomny. Ale jest kruchy. Nie podoła.

- No cóż, podjął się niełatwego zadania, prawda. Przynajmniej mu się chce. Ciągłe dąży naprzód.

- Gdzie anioły stapać się nie ważą. - W gardle Julie wezbrała kula bólu, w oczach łzy; choć nigdzie nie kotwiczyła, podlegała uczuciom: uczuciom solidarności z ludźmi w drodze, czyli tak naprawdę ze wszystkimi: było ciężko. - Zastanawiam się, czy on wie, że inni się martwią.

- Pierce chyba nie sądzi, że ludzie myślą o nim, kiedy go przy nich nie ma.

- Będziesz go strzec? Nie chodzi mi o... Będziesz? Długo nie odpowiadał; oczyma wyobraźni widziała jego peszący uśmiech, tych sto mil stąd; uśmiech, w którym kryło się rozbawienie jej zmartwieniem albo potknięciami innych, którzy tak naprawdę nie ucierpieli, przynajmniej nie bardziej niż dzieci, których pilnował: wstań, otrzep spodnie, baw się dalej.

- Okej - powiedział wreszcie.

- Ooo. - Słowo Julie brzmiało jak mowa wiatru. - Ooo, posłuchaj teraz.

Klon przed domem Pierce'a podrapał dach i okna, próbując wedrzeć się do środka. Pierce zamknął okna na werandzie, wszystkie poza jednym, przy którym stał jego syn, przywołany z łóżka - wąskiego, białego łóżka na werandzie, werandzie z oknami.

Odwrócił się wreszcie od sunących chmur i nocy i podszedł do łóżka ojca; nie było już tu dla niego miejsca. Stał nieokreślony czas nad śpiącą postacią Pierce'a, nagi, drżący, szczęśliwy, przepełniony tym wszystkim, co się tu stało. Teraz zastąpią go inni, pouczający i nie tak mili, niedający się tak łatwo odprawić. Pochylił się nad ojcem i pocałował go w zarośnięty policzek.

Pocałunek powinien obudzić Pierce'a, tak się jednak nie stało; ale w głębi jakiś głos jęknął cicho, głos małego Pierce'a, tam w środku; Pierce'a, który przyjął pocałunek, który widział tę rozłąkę. Potem syn obrócił się do otwartego okna, do nocy i wiatru. Przez chwilę stał na dachu w świetle lamp ulicznych przetykanym cieniami liści klonu, osłaniając przestraszony swą nagość. *Pallidula rigida nudula*, mały, blady, nagi, drżący, żadnych więcej zabaw; co się z tobą stanie, dokąd pójdziesz? Pierce we śnie ujrzał tam chłopca: w tej chwili jego oczy otwały się szeroko.

Po chwili usiadł, niezdolny ustalić, co go obudziło. Postawił stopy na zimnej podłodze. Pomyślał, że to może alkohol, ekonomia alkoholu, obala cię prosto w sen, ale później zmusza do przebudzenia, by wyrównać rachunek; a może to wiatr, lub nieustanny ruch ciała obok, pełnego własnych snów; nie nawykł do dzielenia łóżka z dużą, niespokojną kobietą, i pewnie nie nawyknie; może powinien pójść spać na fotel.

Wstał powoli, podszedł do werandy, trzeba zamknąć to okno. Chwycił sznurek, a potem pomyślał, że będzie tu stał, dopóki się nie uspokoi, i wtedy wróci do łóżka. Czekał więc długo, próżny i otwarty w dzikim wylewie powietrza. Ale jego serce nie chciało, nie mogło być cicho: przynajmniej dopóki nie wróci do jego piersi, dopóki nie wróci doń z podróży drogami do nicości, gdzie ciała nie rzucają cieni, a lustra nie odbijają niczego. I nie zaśnie znowu, dopóki się nie obudzi.

Daleko stamtąd (nie, nie tak daleko, Pierce'owi wydawało się, że to dystans nie do pokonania, ale był on krótki dla wiatru pędzącego przez przełomy rzeki Delaware, z biegiem pomarszczonej wody, szybko po nowej międzystanowej, po której suną wielkie ciężarówki, a potem ku górom) siostra Mary Filomela obudziła się w swoim pokoju w Szkole Królowej Anielskiej.

Wokół rozciągało się ogromne pustkowie środka nocy, z którym nie była dotąd zaznajomiona poza tymi nocami (prawie już zapomnianymi), kiedy leżała bezsenna i spocona z bólem brzucha. Rozbudziła się całkowicie w mgnieniu oka, nie w kilku półsennych etapach, i wiedziała, że jest jakiś powód, lecz nie wiedziała jaki. Co za burza. Czuła, jak powietrze w mrocznej sali porusza się w solidarności z powietrzem na zewnątrz.

Co to jest? - zapytała pokój i noc. Usiadłszy w łóżku, nieświadoma, że się podniosła, przeżegnała się i rozpoczęła szybką modlitwę, przebiegając oczyma doskonale znane kąty, w których mieszkała od blisko dwudziestu lat. Spękany gipsowy sufit, ściana nad krucyfiksem i klęcznikiem, stopy wznoszące się pod szarą kołdrą niczym płyty nagrobne; teraz i w godzinie śmierci naszej; krawędź łóżka, podłoga, kapcie...

Drżąca podniosła się na cal z materaca, wciąż zwierając dłonie, i na powrót opadła: ponieważ tuż obok łóżka, tak blisko, że nie od razu go ujrzała, stał święty Wacław, jej stary, nadgryziony przez korniki święty z bukszpanu, który kiedy wieczorem zamykała oczy, stał jak zwykle na komodzie.

Siostra Mary Filomela przesunęła się ku krawędzi łóżka, wymacała okulary na nocnym stoliku i spojrzała przez nie na świętego. Na głowie miał koronę, w dłoni scepter, w miejscu dawnego pęknięcia kreskę kleju. To on. Ale na jego twarzy widniał zupełnie inny,

kurczowy, natarczywy wyraz cierpienia. Spojrzała nad płamą dywanu, krzesłem i komodą na koronkową serwetkę, gdzie wcześniej stał: drogę, którą musiał przebyć, żeby pojawić się obok łóżka, niemożliwą i bolesną pielgrzymkę.

Co się dzieje? - spytała go w myślach i nachyliła się z rękami spoczywającymi na skraju łóżka. Kiedy spojrzała z bliska w drewnianą twarzyczkę, stało się jasne, o co chodzi: wyciągnęła rękę i wyjęła z rozwartych szczęk dawnego króla.

Wiatr obijał się i grzechotał od strychu po piwnice.

Mały, zimny, mosiężny klucz.

Drżąc z chłodu, lecz nie strachu, siostra Mary Filomela odrzuciła kołdrę i wsunęła kaptcie. Twarz świętego znów była bierna i świątobliwa, nieco tylko skwaszona, jak zwykle. Podniósłszy go z pełnym respektu zdumieniem, odstawiła na miejsce, ubrała się i włożyła kluczyk do kieszeni. Zatrzymała się przy małym lustrze i w nocnym świetle poprawiła czepek. Przeszła przez dormitorium, mijając rzędy białych łóżek, gdzie spało dwadzieścia dziewcząt, niektóre jakby nieżywe, inne w powykręcanych pozach i pomiętych koszulach nocnych, oddychające szybko, jeszcze inne poruszające się lub mruczące z senną powolnością. Dwie obudzone przez wiatr szepnęły coś do przechodzącej, ale uciszyła je i poszła dalej.

W dół po wąskich tylnych schodach na niższe piętro, obok sal, gdzie śpią siostry, po nawoskowanych i wysłanych dywanem szerokich schodach frontowych (podmuch nocnego powietrza wydał habit), tam, gdzie pod ścianą stoi wielki, stary rzeźbiony kufer, poczerniały od wosku pszczelego. Przybył do Szkoły Królowej Anielskiej ze szpitala w Bondieu po rozbudowie, wniesiony bezceremonialnie przez zdziwionych tragarzy po frontowych schodach, ciężki jak ołów. Dopiero stanąwszy tu, siostra Mary Filomela zdumiała się, że natychmiast i bez wątplenia wiedziała, co otwiera kluczyk z ust biednego świętego; dopiero kiedy wyciągnęła go z kieszeni, zastanowiła się, dlaczego od razu przysła go otworzyć. Powiedziała sobie: lepiej zostawić, jak jest. Potem uklękła na parkiecie przed kufrem i włożyła klucz do zamka.

Płomienie w lampkach zamigotały; siostra Mary Filomela usłyszała odległy krzyk, może to kot albo zagubione dziecko, czy też może zawias torturowany przez wiatr. Kiedy obróciła klucz, poczuła ruch, jak gdyby tym jednym obrotem otworzyła kolejno wszystkie szufladki i przegródki w środku (których nikt za jej pamięci nie widział). Przeniknęło ją uczucie, że nie tylko coś otworzyła, ale także tchnęła w coś życia; w coś, co od dawna jej oczekiwało, spodziewało się jej albo kogoś takiego jak ona, by wreszcie przybył i zrobił, co trzeba.

Dokładnie w tym czasie biały kabriolet tempest (który godzinę wcześniej zjechał z drogi międzystanowej w Pikeville i przejeżdżał prawie pod samymi oknami Szkoły Królowej Anielskiej) przejechał przez nieistniejące już sioło Hogback ku następnej flance góry. Kiedy szeroka droga oddzieliła się, zmierzając do starej kopalni odkrywkowej na zboczu, tempest skręcił w gruntową drogę w dół; kierowca wyłączył silnik, a samochód widmo potoczył się cicho po chrzęszczącym żwirze i zatrzymał nad brzegiem potoku. Kobieta przesunęła się po czerwonych fotelach i wysiadła drzwiami pasażera; pomyślała, że most jest ten sam, a może nowy, lecz taki sam jak stary; przeszła go ostrożnie na szpilkach.

Już chciała wracać; chciałyby w ogóle tu nie przybywać, ale nie, jej była wola i cokolwiek zastąpiło ją teraz w jej umyśle, przeniosło ją bez wahania nad rozhukaną wodą ku ścieżce, obok wielkiego głazu, którego nigdy nie usunięto z obejścia, by pozostał jako znak. Sosny na szczycie odrosły tam, gdzie nieraz spała, dawno, bardzo dawno temu. Czy pod werandą chował się pies? Żaden się nie obudził. Podeszła do drzwi; były otwarte; nie zamknęła za sobą.

Dom. Nie świeciło się żadne światło poza siwą poświatą telewizora z wyłączonym dźwiękiem - drobne postacie w dziwacznych strojach zmieniały się szybko. Naprzeciwko ujrzała zapadniętą kanapę i krzesło, które zrobił jej pradziadek; na siedzeniu leżała Biblia.

Przeszła obok, w kierunku otwartych drzwi jedynej sypialni. Linoleum zatrzeszczało pod jej stopami. Wiatr zdawał się pragnąć poderwać domek w powietrze, w korony drzew.

Był tutaj.

Leżał na plecach na materacu, bez koszuli, z rozłożonymi wielkimi sękatymi stopami i jednym długim ramieniem na podłodze. Zrazu myślała, że nie śpi, że jego oczy widzą; ale kiedy podeszła (ze wstrętem i zdziwieniem, ale bez strachu) poznała, że tak naprawdę go tu nie ma. Wiatr szarpał zasłonę otwartego okna.

Nie zawahała się, nie mogła; podniosła opadłe ramię i położyła je u jego boku; potem wsunęła dłoń o czerwonych paznokciach pod plecy (był zimny jak trup) i pchnęła. Ciężki też jak trup. Zapała się niepewnie na szpilkach i z jękiem przewróciła go jak manekina na twarz. Nie obudził się; nie mógł.

Teraz jego wędrujący duch po powrocie o świcie nie będzie mógł wejść przez usta, z których wyleciał. Został uwięziony na zewnątrz.

Obróciła się i wyszła, pozostawiając drzwi otwarte (teraz nie mógł przez nie wrócić), przeszła obok diabelskiego kamienia i z powrotem przez mostek, tym razem łamiąc obcas w szczelinie. Schyliła się, by zdjąć buty, niemal się nie zatrzymując, i jeszcze szybciej podeszła do białego samochodu, pozostawionego nad brzegiem; ruszyła w gradzie kamyków, a wiatr

wołał za nią przerażony.

Och, nie pamiętasz, nie pamiętasz? Nie pozostanie żaden zapis poza tym, który masz w pamięci. Jedna z wielkich sosen na pagórku poddała się pod naporem wiatru, upadając prosto w serce Arkadii, gdzie zbudowano wielki ul; chmara pszczoł uniosła się na spotkanie wroga i rozproszyła. Wiatr zdarł dachówki ze stajni i potargał strony „National Geographic”, ułożonego w stosach na strychu. Uderzał, ale nie mógł otworzyć zamkniętych drzwi, przed którymi Boney Rasmussen stał skamieniały i bezwładny od czasu swojej śmierci w lipcu.

Rosie Rasmussen usiadła na łóżku, obudzona wiatrem, a może dźwiękiem dochodzącym skądinąd jak zbliżające się kroki. Na pewno to też sprawka wiatru. Czujnie patrzyła na czarny prostokąt otwartych drzwi, myślą skłaniając tajemniczego gościa do odejścia.

Odejdź.

Ale wtedy właśnie, kiedy Rosie poczuła pewność, że obok ktoś naprawdę jest, rozległy się nowe, ciche kroki i drobna postać w bieli przeszła korytarzem, nie zaglądając do pokoju.

O Boże, to Sam.

- Skarbie, gdzie idziesz?

Nie, nie szła do łazienki. Rosie wstała i wyszła na korytarz akurat w porę, by ujrzeć, jak Sam skręca na schody w dół.

Czy to prawda, że nie można ich budzić, bo może stać się coś strasznego? Nie, to był mit; kiedy powiedziała to sobie, zabrzmiało to jak coś wymyślonego właśnie z powodu dziwności, strachu, ale przed czym.

- Sam - szepnęła nie dość głośno. Wsłuchaj się w wiatr.

Sam zeszła po schodach, trzymając się grubej poręczy. Bez wahania. Co się działo w tej małej główce, dokąd szła. Rosie ruszyła za nią, na karku i ramionach czuła dreszcz, taki jak kiedy ktoś opowiadał przy niej straszny sen. Patrzyła, jak biała nocna koszulka Sam splotywała korytarzem ku drzwiom wyjściowym. Kiedy tam dotarła, wspięła się na palce i chwyciła gałkę, chcąc wyjść albo pozwolić nocy wejść.

- Nie! Sam, nie! - Zawołała Rosie, niezdolna się powstrzymać; biegła szybko. - Nie!

Sam odwróciła się od drzwi. Jej ciało zatrzęsło się na widok matki, holu i siebie pośrodku; oczy miała zognioniałe.

- Co to? - spytała.

Potem znów się zatrzęsła i nie przestała. Upadła na podłogę, nim Rosie zdołała ją chwycić. Próbowwała ją podnieść, ale Sam zeszywniała i poskręcała się, widać było tylko

białka jej oczu, zęby miała zaciśnięte, z gardła dobywał się dziki ryk.

Burza w mózgu - tak nazwał to doktor Bock. Burza elektryczna.

- O Jezu! - zawołała Rosie, próbując ją objąć. - O Jezu. - Było tuż po północy, dwudziestego pierwszego września. Drgawki trwały blisko minutę. Wieczność. - O Jezu - szeptała błagalnie Rosie. - O Jezu, O Jezu Chryste.

DZIEWIĘĆ

- Serce - powiedział do Pierce'a Frank Walter Barr - ma historię.

Poklepał się po mostku, za którym powinno się znajdować jego własne.

- Tak? - zapytał Pierce.

- Dzisiaj serce to tylko pompa. Mięsień. Podatny na uszkodzenia i wymagający opieki. Ale przez wieki był, naprawdę był, siedzibą emocji, tłumaczem świata, źródłem życia uczuciowego.

Szli razem aleją smukłych palm, których wielkie korony szeleściły na wschodnim wietrze. Na końcu alei stała mała piramida, strzeżona przez sfinksy z domalowanymi kocimi ślepiami i różanymi ustami.

- Oczywiście dawno temu - ciągnął Barr - osoba ludzka zbudowana była inaczej niż obecnie. Kiedyś składała się z rozdzielnych i niewspółmiernych części, duszy i ciała, ciała i duszy.

- Tak.

- Dusza nie była materialna; nie miała wymiaru, kształtu, gęstości, ciężaru, nic z tych rzeczy. Dzieliła się na części, ale nie o to tu teraz chodzi. Ciało było w całości materialne i składało się z czterech żywiołów, powietrza, ognia, ziemi i wody, w nieco odmiennych kombinacjach.

Pierce skinął głową. Wyjął z kieszeni i założył brązowe okulary, które kupił podczas pierwszej podróży do Faraway Hills, w poprzedniej epoce świata przed okresem przejściowym. Piasek i morze pociemniały.

- Problemem wtedy był - kontynuował Barr - związek między dwiema częściami. Dusza była całkowicie niematerialna, a ciało wprost przeciwnie; więc w jaki sposób dusza może pojąć ciało i materialny świat? W jaki sposób ciało może reagować na polecenia i aspiracje duszy? Co może je łączyć?

Podniósł dłoń, by wskazać piramidę przed nimi - powinni podejść, zamiast obejść. Był niskim człowiekiem, który sprawiał wrażenie dużego, jak gdyby zbudowany był z ciężkiego i mocnego materiału, lecz kroki stawiał niepewne, a ramiona w szybko schnącej koszuli zginał nieco w łokciach. Był stary już wtedy, kiedy Pierce u niego studiował.

- Ale oczywiście ty nie musisz mieć tego problemu. - Pierce poczuł, jak opadają go

znajome niepokoje - Sam go sobie ustalasz, dzieląc osobę.

- Zgadza się. Tak robili Grecy. Ustalali kwestię, którą rozwiązać miał każdy, kto sądził, że Grecy we wszystkim mieli ostatnie słowo. Oto, co zrobili: wysunęli tezę trzeciej rzeczy, ducha, po grecku *pneuma*. To słowo ma wiele niejasnych znaczeń, w tym techniczne.

Dusza, duch: Pierce powiedział, że znajdował te słowa u dawnych autorów i słyszał je w kościele od dzieciństwa, a nigdy tak naprawdę nie rozumiał różnicy, jeśli jakaś była.

- No cóż. Przyszła z czasem. Oczywiście przeczytałeś Ficina? *De vita coelitus comparanda*.

- Podczytywałem - odpowiedział Pierce, rumieniąc się, jeśli nie na poparzonej słońcem twarzy, to w sercu.

- Znasz jego rozróżnienia, które okazały się bardzo wpływowe. Różnica między duszą a duchem polega na tym, że duch to materia, a dusza nie; duch to wydestylowana szlachetna materia, coś ognisto-płynnie-powietrznego i tak dalej. Przepływała przez ciało, była bardzo ruchliwa, gorąca i w pewien sposób lśniąca, srebrzysta, odblaskowa, więc to, co postrzegały ludzkie zmysły, odbijało się w niej.

Barr wskazał świat, roślinność, parę roztrzepotanych motyli, ludzi wokół, którzy spacerowali boso tam i z powrotem oraz patrzyli nad piaskami, osłaniając dłońmi oczy.

- Dźwięk wchodzi przez ucho albo widok wchodzi przez oko. Trafia na lśniącego ducha, który reaguje, podgrzewa się od emocji (choć ona sama nie jest materialna). A dusza, która nie potrafi postrzegać materii, nie ma po temu zmysłów, potrafi postrzegać te odbicia, które są niematerialne, na przykład światło. I tak dusza dostrzega to, co dostrzega ciało, ponieważ wszystko to odbija się, odciska lub graweruje w duchu.

- Nie jestem pewien, co to ma wspólnego z sercem - powiedział Pierce. Rozmowa zaczęła się od wzmianki Barra o jego niedomaganiach sercowych.

- Serce. Racja. A więc duch przepływał przez ciało. Tworzył coś w rodzaju drugiego ciała, ściśle związanego z fizycznym, tym.

- Ciało astralne - powiedział Pierce, myśląc o Beau Brachmanie.

- Tak. Właśnie. Ale to w sercu duch jest wytwarzany i stąd krąży; i tu to, co materialne i rejestrowane przez zmysły, zostaje przyjęte i odczute.

- Aha.

Pierce zaczynał dostrzegać zarysy pewnych dawnych filozoficznych trudności, wywleczonych przez tę ideę na światło dzienne; dlaczego ludzie mówili kiedyś to, co mówili, robili, co robili. Bruno. Dee.

- Rozumiem - powiedział, chociaż nie do końca tak było.

- Duch wypływał z serca i doń wracał. Częściowo pozostawał pod kontrolą duszy, częściowo podlegał ciału, którego zmysłom służył. Materialne zmysły otrzymywały dane, dane podgrzewały ducha, serce syntetyzowało obraz ze wszystkich zmysłów, a dusza postrzegała w nim niematerialne odbicie przedmiotów i rozważała, czy to dobre, czy złe. Wola (która jest częścią duszy) mogła następnie wybrać lub odrzucić.

- Aha.

- Weźmy seks - powiedział Barr. - A raczej miłość.

- Aha - powtórzył Pierce, jak gdyby spodziewał się tego; w pewien dziwny sposób tak właśnie było.

- Widzisz osobę. Fizyczne właściwości tej osoby wchodzą w twoje zmysły. Odbijają się w twoim duchu, który ogrzewa się, gdy twoje uczucia się budzą. Dusza patrzy w to lustro, w ducha, widzi odbicie i daje się uwieść albo nie. Miłość.

Dołączyli do tuzina ludzi, którzy także podchodzili do piramidy i czekali tam, niektórzy starzy i zbrązowiali, inni trzymający dzieci za rękę, cierpliwi, pod łagodnym słońcem.

- Ona wchodzi przez twoje oczy. Nie osoba fizyczna, ale obraz, wychodzący z jej własnych oczu, źródła jej mocy powodowania miłości.

- Beatrycze i Dante. - Pot zaczął spływać mu spod kapelusza. - Petrarka i Laura.

- Pamiętaj, dusza, czyli jedyna część ciebie, która potrafi kochać, nie umie nigdy dostrzec ciała drugiej osoby; potrafi tylko dostrzec i pokochać odbicie tej osoby w twoim sercu, w twoim duchu.

- A zatem tak naprawdę nie zakochujemy się w drugiej osobie - powiedział słabo Pierce - tylko w idei.

- To nie takie głupie, prawda? - uśmiechnął się Barr. Zdjął słomkowy kapelusz i wytarł wnętrze chusteczką. - Renesansowi platonicy postrzegali cały mechanizm osobowy inaczej, ale nie byli wcale głupszy w tych kwestiach od nas.

Przyszła ich kolej. Podeszli do szerokiego okna i białego kontuaru, gdzie pomarańcze piętrzyły się jak armatnie kule w małą piramidkę; czarny młodzieniec w zawadiacko przekrzywionej białej czapce uśmiechnął się do nich. Nad okienkiem grubymi i przekonującymi literami wymalowano łukiem słowa ŚWIEŻY SOK.

- Duży czy mały? - zapytał Pierce'a Barr.

- Mały.

Barr pokazał dwa palce.

- Używają odmiany Walencja - powiedział Barr. - Ustaliłem. Najlepsza na sok.

Podał Pierce'owi kubek pienistej cieczy i parującego lodu; wcale nie taki mały.

- Kolejna sprawa, którą można w ten sposób wyjaśnić - ciągnął Barr, kiedy odeszli - to problemy miłosne, których wtedy nie brakowało.

- *Amor hereos*. Pisz o tym Burton.

- Tak. To się wiąże z melancholią. Ta etiologia wchodziła w skład teorii ducha. Teraz patrz. Załóżmy, że twój duch jest szczególnie gorący, lśniący, zmienny, płynny. Widzisz albo spotykasz kogoś, kto z wszelkich powodów, głównie związanych z gwiazdami, doskonale pasuje do zdolności odbijania twojego ducha. Może się stać, że obraz ukochanego lub ukochanej zacznie szaleć po ciebie, unoszony duchem; może przeistoczyć się w infekcję.

- Choroba miłości. - Serce Pierce'a zaczęło szybciej bić, jak twarda piastka łomocząca o drzwi celi, to już się stało niemal codziennością i zaalarmowało go do tego stopnia, że poszedł do lekarza, prawdziwego nowoczesnego lekarza, który wysłuchał go i zalecił spokój.

- Dusza traci zdolność myślenia o czymkolwiek innym, ponieważ duch nie może niczego innego odbijać. Fantazmatyczne odbicie drugiej osoby, szalejące po twoim duchu, nabiera cech autonomicznych. To nie jest osoba, pamiętaj o tym, to twój własny wytwór, ale może działać jak osoba. Ponieważ biedna dusza nie jest w stanie o niczym innym myśleć, fantazmat ukochanej osoby potrafi zająć miejsce twojej subiektywności i znaleźć się tam, gdzie powinieneś być ty. Ta osoba zaczyna władać twoim sercem.

- I co się wtedy dzieje z człowiekiem?

- Znika. - Barr dopił sok. - Jeśli nie wrócisz na swoje miejsce, umierasz. Nie potrafisz jeść, ubrać się i tak dalej.

Przez chwilę Pierce czuł, jak kolana mu miękną, a jasny dzień mrocznieje; pomyślał, że lada chwila narobi wstydu sobie i dawnemu wykładowcy, mdlejąc tu na chodniku.

Wiedział, że to nie pierwszy przypadek zakażenia, jakiego ofiarą się stał; w swoim dojrzałym życiu rzadko się zdarzało, by nie chorował, zdrowiał albo niestrudzenie szukał możliwości zakażenia. Ale to było coś innego. Mężczyzna, który siedł obok Barra, sącząc sok przez słomkę, przypominający jego dawnego studenta, spotkanego dziwnym przypadkiem w położonym na uboczu florydzkim kurorcie, był w istocie bezwolnym golemem, skorupą wyłobioną przez coś podobnego do śmiertelnej choroby; puste przestrzenie wypełniały mu okropne wyobrażenia, czarna materia, przez którą słońce nie mogło się przebić.

- Czy istnieje - starał się pytać spokojnie - panaceum? - Wymęczył uśmiech bezinteresownej ciekawości. - Chodzi mi o to, że skoro uważali to za chorobę, to może mieli na to lek. Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Starali się. Kazaliby ci położyć się do łóżka. Przemyśleć to. Modlić się. Wyjechać w

nieciekawą okolicę. W niektórych przypadkach oczywiście występowały spontaniczne remisje.

Na pewno. Przecież Pierce sam przeżył ten proces, i to nieraz. Słabość, ale nie śmierć, jeszcze nie. Ale tym razem.

Otworzył usta, Barr czekał. Pierce nic jednak nie powiedział; obrócił się jak gdyby po to, by obrzucić spojrzeniem miniaturową plażę (sztuczną) i odpływające chmury. Ale tak naprawdę chodziło o to, by odwrócić uśmiechniętą, lecz (czuł to) ewidentnie chorą twarz od nauczyciela. Doświadczył straszliwej udręki szaleńca: konieczności proszenia o pomoc ludzi niebędących w stanie zrozumieć duchowego cierpienia, które przeżywał; świadomości, że właśnie dlatego nie są w stanie pomóc; i pogrążenia się głębiej w mroku na oczach zdumionych twarzy Beau, Rosie Mucho i Spofforda, kiedy próbował im to wyjaśnić, jak dziecko dręczone przez nocne koszmary, szukające pociechy u dużych dorosłych, dziecko, które wie, że dorośli są poza zasięgiem takich lęków, a przez to jest jeszcze bardziej wystraszone i samotne. Oczywiście trudno im było w to uwierzyć i wczuć się. Samemu Pierce'owi trudno było w to uwierzyć - to było tak straszliwie nieprawdopodobne; jego jaźń z głębi szarego, zimnego bezmiejsca, do którego trafiła, odwzajemniła spojrzenie pełne bezradnej i zdumionej rozpacz.

Szedł z Barrem drogą wzdłuż plaży, obok stoisk z pamiątkami i jedzeniem, z powrotem do hotelu. Znów zwrócili uwagę na koincydencję, że też spotkali się akurat tutaj, każdy z dala od domu, a Barr powiedział: mały ten świat; ale Pierce'a przestały już dziwić te niezwykle spotkania, tak jak błędnego rycerza nie dziwi spotkanie pustelnika w wielkim, dzikim lesie, właśnie tego, którego potrzebuje spotkać. Wydało mu się, że od tej chwili będzie pewnie spotykał swojego dawnego mentora i przewodnika w każdym ponurym punkcie podróży, a jeśli nie jego samego, to kogoś podobnego; a zarazem wciąż nie potrafił zadać pytania, które go uwolni, nie wiedział nawet, czy istnieje takie pytanie.

Boże, żeby tylko na to nie umrzeć, myślał, wracając do mieszkania matki. To byłoby tak bez sensu, taki wstyd, nie byłby w stanie spojrzeć w oczy innym trupom.

- Pracowała w ośrodku psychoterapii - powiedział Pierce do matki. - To tam przyłączyła się do nich. Do tej grupy.

Siedzieli razem znów wieczorem na molo małego motelu, w którym Winnie miała udział. Zimowe powietrze było łagodne.

- Nazywa się to Powerhouse International. - Pierce wydał z siebie zduszony śmiech - Tak, Powerhouse. Quasi-chrześcijański kult biblijny. Specjalizują się w uzdrawianiu,

przynajmniej ci ważniejsi. Szczycą się sukcesami z pacjentami chorymi psychicznie.

Winnie potrząsnęła smutno głową.

- Myślę, że wciągnął ją w to dawny kochanek. - Pierce widział ich oczyma wyobraźni, agentów jej nowo odkrytej wiary, nocne ptaki siedzące z otwartymi ślepiami w jego wewnętrznym mroku. Mucho: narzędzie, Ray Honeybeare: niemrawy mag; a daleko za nimi, gdzieś na Środkowym Zachodzie, gdzie sekta ma swoje korzenie i świątynię, założyciel i głowa, wieszcz-smok, który pojawia się w stylu Oza na wideo, by instruować wyznawców i nowicjuszy. Rose opisała mu sesję; powiedziała, że go zainteresują.

- Dużo ludzi z sekt daje sobie radę - powiedziała Winnie - Człowiek myśli, że wpadają jak w czarną dziurę i nigdy nie wychodzą. Ale wielu się udaje.

Sekty były wtedy wszędzie, domki z piernika wyrastające na ścieżce, do których zwłaszcza młodzi kuszeni byli tysiącami. Sekty to stwory okresu przejściowego, być może, wielocłonowe potwory zdumione swoimi nagłymi, nowymi mocami; albo też beznadziejne schroniska, do których ucieka się w czasie rewolucji, tak jak pasażerowie tonącego liniowca uciekają na uniesioną rufę, by trzymać się tam razem; mogły też być symptomami niepokojów społecznych i psychicznych, które zawsze istniały, ale dopiero teraz zostały zauważone. Albo jeszcze czymś innym. Tak czy owak, Pierce miał w ostatnich latach profetyczne sny, w których pojawiały się sekty; sny, w których pojawiał się guru tej czy innej (nie tylko on o tym śnił); ale do tej chwili zawsze potrafił poznać, że śni.

- Oni wierzą, że potrafią zmienić świat. Nie tylko uzdrawianiem. Potrafią, wiesz, załatwić pewne sprawy poprzez modlitwę. Odnaleźć zagubione przedmioty. Mieć, co chcą.

- Na miłość boską!

- Kto prosi o chleb, nie dostanie kamienia, rzekł Jezus.

Próbował wyjaśnić Rose spokojnie i szczerze, że zna tę religię, że dużo o niej myślał, nie tylko o założeniach i dogmatach, ale także pasji. *Ale ty nie jesteś chrześcijaninem* - powiedziała zaskoczonemu Pierce'owi. - *Jesteś katolikiem.*

- Jeśli pozwolą ci się z nią zobaczyć - powiedziała Winnie - powinieneś okazać zrozumienie i nie oceniać, nie wpadać w histerię. Czytałam o tym. To tylko wpycha ich jeszcze bardziej w szpony sekty. - Roześmiała się i spojrzała na Pierce'a z ukosa. - Potrafisz?

- Nie byłem taki.

Nie, natarł na nią, furiacki prowincjonalny ateista, zapomniał całej swej mądrości, nowego nieskończonego Boga w nieskończenie małym sercu wszechrzeczy; z niewyjaśnioną zgrozą patrzył, jak pod ich czarem zapada w sen, chociaż roześmiała się, kiedy tak to opisał. Wściekły był też na siebie za chamstwo, brak taktu i taktyki. Dostał, mówiąc wprost, świra, i

nie miał pojęcia dlaczego. Nie zamierzał mówić matce, że sam widywał pomniejszych cuda, pominięcia i zmiany czasu oraz materii, przeważnie bez znaczenia, lecz i tak przerażające: drobne, niepodważalne znaki, które we śnie znaczą, że rzeczywistość jest inna, niż się zdawała.

A może wcale nie widział cudów - on widział je jak gdyby, tak dokładnie jak gdyby, że nie mógł podać ich w wątpliwość. Teraz co dnia żył w świecie jak gdyby. Może nie sam, może różnica szwankowała wszędzie na świecie, metafory implodowały.

Odchylił się na krzesło, oparcie dotknęło poręczy. Nad ich głowami wielkie ptaki odbywały wieczorny lot na zachód, długie nogi ciągnęły się z tyłu. Ibis, według jego albumu ornitologicznego, ptaki zupełnie niepokrewne ibisom starego świata czczonym w Egipcie i Ægipcie.

- W Kentucky - powiedział - ta sierota, którą wzięliśmy do domu, kiedy was nie było.

- Tak.

- Ona wierzyła w tajną ewangelię, którą znał jej tata. O końcu świata.

- Naprawdę? - Winnie spojrzała nań zdumiona, że pamięta coś takiego; sama bez żalu pozbywała się bezużytecznych wspomnień.

- Diabeł rzucił głazem w dom jej taty.

- Tak?

- Żeby nikogo nie powiadomił o końcu świata. Żeby jego żołnierze nie stracili zapachu.

Kto to wie.

- Co za ludzie.

To właśnie to uczucie, uświadomił sobie Pierce: czuł się, jakby siedział pod wiatą latem końca świata, nie mogąc uratować Bobby, broniąc swego niezamieszkanego serca przed mrokiem, który ona tam wsączała. Nie, to nie uczucie, to fakt - to się nigdy nie skończyło.

Ale teraz wiedział, że nic nie dzieje się raz. Wszystko powtarza się w cyklach. Każdy cykl jest identyczny jak poprzedni, tylko w innej formie; bez wątpienia także każda epoka; jak w powieści, gdzie bohaterowie to awatary mitycznych postaci, ich banalne czyny odtwarzają wszystkie zakręty starożytnych opowieści, ich imiona także pobrzmiewają dawnymi oryginałami, chociaż nawet tego nie rozpoznają; myślą, że własnoręcznie wykuwają swój los, chociaż prowadzi ich tu i tam nigdy nie zasypiająca Koincydencja, są zobowiązani wszystko wypełnić, nawet morderstwo, nawet szaleństwo, do ostatniej strony.

- Pierce, wszystko w porządku?

Uprzytomnił sobie, że od pewnego czasu pochyla się w aluminiowym krzesle przyciskając rękę do piersi.

- Coś cię boli?

- Nie, nie. - Próbował się wyprostować, wyglądać normalnie. - Ciągłe mi się wydaje, że mam chore serce. Ale nie, nie martw się, lekarze mówią, że nie.

- Może złamane? - Winnie dotknęła jego ręki. - Dziwne, prawda? To się właśnie tutaj czuje. Jak gdyby.

Tak. Jak gdyby. Jaki przepływ z głowy do serca, z organu wiedzy do organu krążenia, umożliwił ten okropny ból w piersi? Dlaczego akurat tutaj?

- Kiedyś - powiedział - ludzie naprawdę wierzyli, że może się złamać i zabić.

- Ludzie wciąż w to wierzą. Wielu ludzi.

- Jasne, te koncepcje nigdy nie znikają. Właśnie ta książka, którą teraz piszę...

Zamilkł, jego serce zamarło w zdumieniu. Wieczór zwolnił na chwilę, zatrzymał się. Boże, znalazł to.

Serce w jego piersi wezbrało zrozumieniem do olbrzymich rozmiarów i Pierce jęknął, chlipnął; a potem zaszlochał, opróżniając je z łez, chociaż wcale się nie kurczyło.

Odnalazł to. Obiecał, że odnajdzie, i odnalazł.

Co odziedziczyliśmy po odległej przeszłości, co przetrwało niezmienione z dawnych epok? Jaka rzecz nie straciła swojej dawnej natury ani mocy?

Boney chciał, by był to eliksir, który pozwoli mu żyć wiecznie. Ale to nie było to.

Było to w nim, oczywiście, cały czas; było w Piersi, było w każdym, zawsze w naszym ogródku, doskonale znane wszystkim poza głupcem, który wybiera się na poszukiwania. Nie da się nawet pomyśleć, czy przemówić, nie przywołując tego, nie odwołując się do jego mocy i przyczyn; cokolwiek chirurdzy odnajdą i zbadają, kiedy wedrą się do piersi, każdy wie, co to jest, jaką pracę wykonuje: to tam suche badyle dostrzegalnej rzeczywistości zmieniają się w sens, aby dusza miała się czym karmić. Nawet chirurdzy o tym wiedzą.

Serce. Serce, tak, w piersi, bo gdzie indziej, to nie metafora, to jest tutaj, tutaj, tutaj, Pierce uderzył się trzy razy. Tutaj, gdzie była moc, gdzie moc jest i zawsze będzie: dokładnie tu, skąd wedle magii bierze się moc.

- O, synku - Winnie podrapała się pod nosem i sapnęła. Znow wzięła go za rękę. - Niech to wszyscy diabli.

Właśnie wpadł na zakończenie książki. Jego żalosne chlipania zmieniły się w dziki wrzask śmiechu. Tak - zakończenie książki. To było gorsze niż nie wpaść na nie nigdy, wpadł na zaskakujące zakończenie książki teraz, kiedy był pewien, że nigdy nie będzie w stanie jej napisać.

Miał stracić wszystko, rozum i serce, a także zajęcie; wszystko to będzie mu odebrane. Wielka spleta, czuł, że sobie zasłużył. Z przeklętej niespokojnej, saturnicznej nudy i tęsknoty zranił swe magiczne serce, nadużył je śmiertelnie w poszukiwaniu pobudzających je dreszczyków, a ono w końcu zaszwanowało, skurczyło się w jego piersi, dłużej już nie będzie działać, nie będzie robić niczego poza pompowaniem krwi i łkaniem.

Wraz z nastaniem nocy temperatura na północy spadła. Razem z Winnie i Doris - jej towarzyszką i partnerką w interesach - oglądał w telewizji ludzi w płaszczach i kaloszach, stawiających czoło śnieżycy północnych miast albo nadaremnie odkopujących przysypane samochody. Rozmyślał o burzy nad swoim domkiem na końcu zasypanego podjazdu. Dwa razy od początku zimy woda płynąca do domu zaczynała zamarzać i dwa razy zdążył usunąć lód z plastikowej rury, zanim było za późno. Teraz nie miał kto się tym zająć.

Śnieg i mróz szalały także w Europie; tam, gdzie zwykle osiadał tylko lekki szron, rozciągały się teraz głębokie zasy, wielkie teatralne płatki spadały na rzadko je widujące śródziemnomorskie miasta, dzieci wyciągały ręce na przyjęcie maleńkich istot, które znikwały tuż po wylądowaniu. Komentatorzy stwierdzali, że to może być awangarda nowego, mroźnego okresu, powrót małej epoki lodowcowej z XVII wieku, kiedy Tamiza co roku zamarzała, a na lodzie organizowano festyny.

U Winnie powietrze trwało nieruchome i łagodne, podobnie jak na wodach zatoczki za molo moteliku. Pokąźnych rozmiarów czapla stała w trawie na jednej nodze, śpiąc z dziobem schowanym pod skrzydłem. Pierce mógłby ujrzyć jej sylwetkę na tle srebrzystej wody, gdyby tylko wystawił głowę na zewnątrz.

Leżał rozbudzony na wilgotnej poduszce, patrząc w kasetony sufitu, które zdawały się doń wykrzywiać; kwadratowe ospowate oblicza straceńców mrugały do pustki.

Serce, Julie, serce. Czy to nie jest coś? Ostatni magiczny motor opierający się zmianom, wciąż zdolny do cudów, jeśli ośmielisz się z nich skorzystać; ale i do okropieństw.

Magia to miłość, Julie. Miłość to magia. Czyż nie wiedziała o tym cały czas? Najlepsza niespodzianka to taka, którą można przewidzieć, którą się zna, a jednak się jej nie spodziewa. Chociaż to, co Julie miała za miłość, nie była na pewno okropną skrzydlatą *ker*, która przykryła Pierce'a. Serce, które miała na myśli, nie było straszliwym syntezatorem obrazów kultywowanych przez potężnych saturnicznych melancholików w typie Bruna.

Bruno - było to teraz całkowicie jasne - starał się złapać ową chorobę serca, *amor hereos*, celowo: chciał obalić własną subiektywność, wygnać ją, zamordować, zastąpić fantazmatem ukochanej, która rządziłaby w jego miejsce. Tyle tylko, że jego ukochaną nie

była kobieta z krwi i kości, lecz bogini Diana: samotworzący obraz uniwersum, którego serce, mózg i jaźń były wytworami. Kiedy stworzył w erotycznym żarze warsztatu swojego serca tak wspaniały obraz, tak żarliwy obraz, że nie mógł się nie zakochać, czekała go śmierć w procesie zastępowania nim własnej świadomości: zastępowania duchowym krewnym całego świata, tego wewnątrz i tego na zewnątrz, pod jego rozkazami. Stałby się bogiem.

Wariat. Mylący się wariat. Niech jedzie do Rzymu i wyjaśni to inkwizycji. Wtedy odkryje, gdzie leży prawdziwa władza, w rękach jakiego boga.

Serce Pierce'a znowu rozpoczęło to okropne terkotanie o żebra.

W chatce nieopodal Blackbury konspirowali razem, on i ona, by wykuć hieroglif Miłości w kształcie jej ducha (wielopłatkowej róży) alchemiczną mocą Erosa. Teraz nie można już było go wyrzucić, był to tylko obraz, ale rządził j e g o sercem w j e g o zastępstwie, podczas gdy ona żyła tragicomicznym prawdziwym życiem, z którego na początku je wydobyli. Dziwne, ponieważ opowieść, którą stworzyli razem w sypialni nad rzeką, koncentrowała się wokół oddania mu przez nią tronu.

Nie krępował jej wcale czarami; a teraz dysponowała silniejszą magią. Nie spodziewał się, nigdy nie uważał za możliwe, by jego dawny bóg, żalсна deistyczna struktura sklecona z kiepskiej metafizyki, scholastycznej retoryki, twierdzeń absolutnych podzielanych przez absolutystyczną logikę dziecka, nagle drgnął, sztuczny, ale żywy, poruszył się jak bezoka gruda ohydny we śnie; przenikając jego uniki i kazuistykę, tak jak niegdyś Sam przenikał jego bezczelność; żywy, potężny, odporny na wymówki i żądający na własność kobiety, którą Pierce ukrył u siebie.

A nie miał niczego, czym mógłby o nią walczyć, żadnego miecza, tarczy, zginęły, zgubiły się, zniszczyły; duszy też nie miał czystej. Miał tylko rozum. Zaczął przedstawiać jej racjonalne rozumowanie o istnieniu Boga, prawdę Księgi, twierdzenia jej hierofantów, wszedł w spór niczym w ciernisty las, który od razu się za nim zamknął. To też nic nie dało; mógł skrzywdzić ją swoim nieustannym atakiem, przywieść do łez, ale nie mógł uwolnić jej serca od jedynej wielkiej dobrej rzeczy (jak mówiła), która się tam zakorzeniła.

Hypnerotomachia.

O Jezusie, żeby tylko jej nie skrzywdzili. Żeby nie skrzywdzili.

Może gdyby wstał teraz i zadzwonił; gdyby powiedział, że jest mu przykro z powodu swego zachowania, że teraz będzie próbował naprawę zrozumieć.

Nie, na pewno już śpi. Nie będzie chciała, by ją budzić. Sen, spokojny sen - to jedna z korzyści przyobiecanych wierzącym.

Słodki sen bez snów.

Ooo, wróć, wróć duszo, jaźni, jak mógł znaleźć drogę z powrotem, jaką okropną podróż odbyć do pustej sali tronowej serca?

Pożałował, że nie może zapłakać.

Hermesie, zaczął się modlić, boże łączenia i rozłączania: uwolnij mnie od czaru, w którego pułapkę wpadłem. Brak mi mądrości - myślałem, że ją mam, ale nie. Bruno: ty mnie w to wpakowałeś, przyjdź po mnie teraz, jeśli tylko możesz. Naucz mnie, jak odwrócić magię, którą przywołałem. Ty draniu.

Leżał nieruchomo i starał się wierzyć, że tam gdzieś czeka go pomoc, jeśli tylko w nią uwierzy - ale nie. Dlaczego miałaby czekać. Nie, jedyną nadzieją było przetrwanie: przeniesienie się jakoś w całości do następnej epoki, do nowego świata, kiedy ohydne i piękne kreatury okresu przejściowego odwynajdą się, przeminą z wiatrem. Wszystko, co widział teraz i czuł (trzymając kurczowo krawędzie motelowego łóżka, czując na wargach pot), mogło stać się zwykłym szaleństwem, błędem psychicznym albo moralnym. Zrozumiałym. Uleczalnym. Może da się wziąć jakąś tabletkę. Spokojna klinika, widział ją wyraźnie; wchodzi pielęgniarka, niesie na tacy szklanekę zimnej wody i pigułkę, różową, podzieloną czule na pół.

Świecie, przestań się kręcić jak kulka w ruletce, szukająca miejsca spoczynku.

Ale to mogło trwać lata, dekady całe. Do tego czasu będzie musiał się utrzymać przy życiu. Odnaleźć drogę przez to dzikie pustkowię, sam, nawet bez towarzystwa Dobrych Uczynków, bo nigdy takowych nie robił; nie przypominał sobie ani jednego.

Tylko nie przestać wierzyć, że to nastąpi; nowy świat. Nie przestać tęsknić, bo ten świat może się nie zdarzyć; jego nadejście mogło zależeć od tej tęsknoty, chęci ciągłego pragnienia.

Usiadł. Nie było sensu leżeć w ciemności. Gdyby tylko miał coś do czytania. Ale bał się książek, które zabrał ze sobą, tych o historii, o magii. Żałował, że nie trzymał przy sobie Enosha, choćby jednego tomiku.

Po powrocie do domu postanowił zadzwonić do Rosie Rasmussen. Powie, że jest gotów jechać do Europy, wypełnić podanie i tak dalej; że jest gotów jechać zaraz, teraz. Inne niebo, długi urlop; coś do odnalezienia i powód do poszukiwań: *apotropaiczne* - cudowne czarne słowo - coś, co jest zdolne odwrócić groźące zło. Sięgnął do kieszeni spodni, szukając papierosów, zapalił jednego, choć wiedział, że teraz nie zaśnie już do rana. Usiadł w szortach na krawędzi łóżka, z popielniczką między kolanami i aż zgarbił się pod ciężarem sukuba, własnej pracy wykonanej w kuźni serca, która była teraz zamknięta i bezczynna.

Ale w międzyczasie: czy pomoc nie ma nadejść?

Czy posłaniec z Krainy Światła nie wyruszył dawno temu, zrazu nieskończenie mały, ale teraz już zapewne dorósł? Podróżujący na zewnątrz i do środka, od æonu do æonu, z wiadomością tylko dla Pierce'a?

Cóż, zgubił się; gubił się tak naprawdę nieraz, tracił wątek, zbaczał na manowce, ruszał w złym kierunku, a nawet wstecz, włóczył się po sferach zamętu i zapomnienia, wciąż opóźniany, nierozsądnie, strasznie opóźniany zwrotami akcji; fabuła starej farsy, a czyja to wina? Teraz, kiedy posiwiałe potęgi starej epoki świata kuśtykają, schodząc ze sceny, wciąż nie dokończywszy dzieła (nigdy nie zostanie ukończone, to niemożliwe, nie udało się to dotąd w żadnej epoce), on, a może ona stoi na granicy wolnej i ulotnej sfery, próbując sobie przypomnieć, dokąd ona, a może on zmierza, z jaką wieścią, dla kogo: głowi się niczym podróżny, przemierzający dworzec o północy z nieprzyjemnym podejrzeniem, że ostatni pociąg już odjechał.

Ale czy przybędzie na czas? O tak, na czas; kiedykolwiek przybędzie, stanie się to na czas; rozpaczamy tysięczną nocą nad takim przybyszem skądkolwiek, z kiedykolwiek, a ona przybędzie w pośpiechu, przebijając ostatnie sfery powietrza, ognia, wody, ziemi, z hukiem otwierając kolejne drzwi długiego korytarza, biegnąc z rozwianym włosom, ściągniętą brwią, dłonią przy ustach, by zawołać do ucha naszych dusz: *Przebudźcie się.*

KONIEC